

Hilary Norman

Pakt

Przełożyła Patrycja Fiodorow



*Dla mojej matki, Herty Norman,
która pierwsza czyta i recenzuje moje książki*

Podziękowania

Jak zwykle, serdeczne podziękowania należą się wielu osobom, starym i nowym przyjaciółom. Wymieniam je w porządku alfabetycznym. Chciałabym zatem podziękować:

Personelowi American School w Londynie, portierowi z hotelu Amigo w Brukseli za to, że zechciał udzielić mi odpowiedzi na wiele dziwnych i niezwykłych pytań, Dorothy i Dawidowi W. Bafrourom, którzy znowu zadali sobie wiele trudu (w przenośni i dosłownie), aby mi pomóc, Howardowi M. Barmadowi, Carolyn Caughey, mojej kotce Charlotte, która pomogła mi zrozumieć Cleo, pracownikom biura prasowego Eurostar, Sarze Fischer, Jimowi Gillesowi z „Newport Daily News”, Johnowi Hawkinsowi, Jonathanowi Kernsowi, mojemu mężowi, za wiele rzeczy (a zwłaszcza za to, że wie, kiedy zostawić mnie w spokoju), Audrey LaFehr, specjalne serdeczne podziękowania dla Nicholasa Parkhouse'a, doktora medycyny, chirurga i członka Królewskiego Kolegium Chirurgów, za jego fachowe porady, życzliwość i bezinteresowną pomoc, Robertowi Purdy'emu z kościoła St. Mary w Newport, Rhode Island, Helen Rose, mojej siostrze, która zawsze mi pomaga, a także Nealowi Rose'owi, który tym razem naprawdę się sprawdził, Lynne Sacks za cenne uwagi na temat brytyjskiego przemysłu reklamowego, doktorowi Jonathanowi Tarłowowi, który zawsze był moim przewodnikiem na krętych ścieżkach medycyny, a który tym razem przeszedł samego siebie, Michaelowi Thomasowi, Normanowi Watermanowi za to, że podzielił się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniem na temat amerykańskiego przemysłu reklamowego oraz pracownikom biblioteki w Westminster i Wiedniu za całą pomoc, której mi udzielili.

Według greckiej mitologii, kiedy Pandora, wiedzona ciekawością, otworzyła puszkę, która miała pozostać na zawsze zamknięta, uwolniła z niej wszelkie zło i nieszczęścia i rozsiała je po całym świecie, pozostawiając jedynie nadzieję

Rozdział 1

Prolog

Bruksela, 26 lipca, 1995

Oliwia Segal siedziała na wyblakłym jedwabnym dywaniku modlitewnym i, trzymając na kolanach Cleo, małą kotkę o szylkretowym umaszczeniu, co chwila spoglądała na zegar.

Siedem po piątej po południu w Brukseli, siedem po jedenastej przed południem w Nowym Jorku.

W końcu sięgnęła po mały czarny telefon komórkowy Ericssona, zdecydowana zadzwonić po pomoc. Policja belgijska była bardzo uprzejma i usłużna, ale wiedziała, że tak naprawdę nie uwierzyli w jej opowieść, uważając ją za wariatkę. Wiele razy próbowała skontaktować się z Jamiem, ale bezskutecznie i teraz została jej już tylko Annie.

Jamie i Annie – dwoje najlepszych na świecie przyjaciół. Gdyby tylko mogła, oszczędziłaby im tego – naprawdę chciała załatwić wszystko sama. Ale teraz była zbyt przerażona. Zawsze myślała, że jest silna i odważna – Annie ciągle jej to powtarzała – jednak w tej chwili, siedząc ze złamaną lewą ręką, z klatką piersiową i nogami pokrytymi ciemniejszymi siniakami – sama w pięknym, ale nie dającym poczucia bezpieczeństwa domu, po prostu bała się. Więcej – mimo że zaopatrzyła się w telefon komórkowy, na wypadek gdyby linia naziemna zablokowała się – była przerażona. Bała się nie tylko o siebie. Z tego, co wiedziała, także Jamie – kochany, nieświadom niczego Jamie – był zagrożony. A od dnia, w którym wtajemniczyła we wszystko Annie, od chwili gdy wyjawiała jej długo skrywaną, mroczną, potworną tajemnicę pudełka, które otworzyła niczym mitologiczna Pandora, Annie również groziło niebezpieczeństwo.

Po raz setny Oliwia zastanawiała się, czy nie zrezygnować, zepchnąć ohydną prawdę gdzieś w najdalsze zakątki umysłu. Może gdyby teraz poddała się, zamilkła, daliby jej spokój, pozwolili zapomnieć. Pozwolili żyć. Ale zdawała sobie sprawę, że nie jest to już możliwe. Przede wszystkim nie pozwoli jej zapomnieć jej własne sumienie. Odkrycie prawdy, przynajmniej to była winna duchom przeszłości, dawno zmarłym ofiarom. Musi dopuścić do głosu sprawiedliwość.

A poza tym była pewna, że nie pozwolą jej żyć.

Było osiem po piątej.

Oliwia sięgnęła po telefon i wybrała numer.

Annie Aldrich Thomas odłożyła słuchawkę i siedząc na brzegu ogromnego łoża, rozglądała się po apartamencie, który wraz z Edwardem, jej mężem, wynajęli w hotelu St. Regis. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie, dokładnie tak samo, jak kilka minut wcześniej, przed telefonem Oliwii. A jednak Annie wiedziała, że nic już nie będzie takie samo. Nie dla niej.

Wstała i odruchowo poszła do łazienki. Stojąc pod prysznicem, próbowała pozbierać rozbiegane myśli. Przede wszystkim musiała znaleźć jakąś wymówkę, aby odwołać lunch z Edwardem o pół do pierwszej. Wiedziała, że Edward nie będzie protestował, ale nie zносиła go okłamywać; robiła to zbyt często w przeszłości. Z drugiej strony nie miała wyboru – Oliwia miała kłopoty i potrzebowała jej pomocy. Annie wiedziała, że Oliwia nie zadzwoniłaby, gdyby nie była zdesperowana. Chociaż własne kłopoty od ośmiu lat miała za sobą, zarówno Oliwia, jak i Jamie nadal starali się chronić ją przed wszelkim złem.

A gorzej być już nie mogło.

Wyszła spod prysznica i wycierając włosy rozmyślała. Znały się od ponad dwudziestu lat i Annie nigdy nie zauważyła, żeby Oliwia czegokolwiek się bała. Spokojna, mądra, niezależna Oliwia. Z nich trojga ona była najrozsądniejsza, najlepiej zorganizowana, najśmielsza. Ale gdy rozmawiała z Oliwią przez telefon, wyczuła w głosie przyjaciółki prawdziwą panikę.

– Nie chciałam cię w to angażować – mówiła Oliwia szeptem do słuchawki. – Ale nigdzie nie mogę złapać Jamiego, nikomu innemu nie mogę zaufać, a sama nie dam sobie rady.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała ciepło Annie. – Nie musisz.

To właśnie powiedziała jej Oliwia, a Annie przejęta nagłym, przerażająco zimnym dreszczem, zrozumiała, że nic już nie będzie takie samo.

Jamie Arias siedział w wygodnym starym fotelu w swoim apartamencie w rodzinnym dwudziestopięciopokojowym „domku” przy Ocean Drive, w Newport, w stanie Rhode Island. Nad fotelem wisiał oryginalny obraz Vuillarda, który Jamie bardzo lubił. Przeglądał wielokrotnie czytany, zniszczony egzemplarz „Wojny i pokoju”, odkładając na później konieczność zejścia na

dół i dołączenia do innych. Przyjechał na przyjęcie z okazji pięćdziesiątych drugich urodzin swojego kuzyna Michaela, ale nie zamierzał pozostać w posiadłości rodowej Ariasów dłużej, niż było to konieczne, ponieważ ostatnio nie był w stanie przebywać zbyt długo w towarzystwie swojego starszego brata Petera, a nie chciał zepsuć Michaelowi urodzin rodzinną awanturą.

Zawsze darzył swojego kuzyna olbrzymim szacunkiem. Od ponad dwudziestu lat, od śmierci ojca Jamiego i Petera, Michael Arias był głową rodu, a poza tym nigdy nie wtrącał się do życia Jamiego. Jednak oprócz szacunku, obu kuzynów łączyły jedynie więzy krwi.

Siedząc teraz w zaciszu salonu, ponownie zatopiony w powieści Tołstoja, Jamie nie miał pojęcia, że Oliwia desperacko próbuje się z nim skontaktować. Nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo grozi przyjaciółce.

Problemy Annie i Oliwii – a jeśli miał być szczery, to zwłaszcza Oliwii – były dla niego najważniejsze. Ważniejsze od rodziny, pracy, wszystkiego. Tak było przez ostatnie dziewiętnaście lat.

Oliwia leżała skulona na dywaniku w salonie, na parterze swojego brukselskiego domu. Na podłodze, w zasięgu ręki, położyła czarny telefon, ciągle mając nadzieję na skontaktowanie się z Jamiem. Ale nawet możliwość usłyszenia uspokajającego głosu Annie już podniosła ją nieco na duchu. Trzymając się z dala od okien, żałowała, że zamiast stylowego, zacisznego apartamentu na parterze nie wybrała czegoś mniej intymnego, ale położonego na wyższym piętrze. Mimo to musiała przyznać, że po rozmowie z Annie już się tak nie bała, a i ucisk w żołądku nieco zelżał.

Od wyjazdu z Londynu wiedziała, że wystarczy jedynie, aby wykonała dwa telefony, a Jamie i Annie rzucają wszystko i podążą jej z pomocą. Taka była jedna z niepisanych zasad paktu, który zawarli wiele lat temu. Przysięgli sobie wówczas, że zawsze będą się wspierać, gdziekolwiek by nie mieszkali, jak bardzo nie byliby obciążeni rodziną, pracą czy jakimkolwiek innym zajęciem.

Ona i Jamie pomogli Annie, gdy osiem lat temu wpakowała się w poważne kłopoty. Trzy lata później wraz z Annie były przy Jamiem, gdy on ich potrzebował. Wzajemne wsparcie i pomoc były najważniejsze, a teraz, gdy Annie wiedziała, w czym rzecz, na pewno postąpi zgodnie z prośbą Oliwii, znajdzie Jamiego i razem przybędą, żeby jej pomóc.

Oliwie dręczyło tylko jedno: Czy zdążą na czas?

Rozdział 2

Pudełko Oliwii

Opowiadanie było schowane w grubym kartonowym pudełku, zaklejonym błyszczącą, brązową taśmą i umieszczonym bez dostępu powietrza w małej, ciemnej skrytce pod Leadenhall Street w Londynie, gdzie przeleżało prawie dwadzieścia lat. Spisał je młody człowiek, Anton Rothenburg. Strażnikiem pudełka przez te wszystkie lata był niejaki Paul Walter Osterman z Filadelfii. Osterman, orędownik sprawiedliwości, przez ćwierć wieku nosił na swoich barkach ciężar zła, które dotknęło rodzinę Rothenburgów, aby, zbliżając się do kresu życia, przekazać to brzemie swojemu następcy. Ten zaś, rozumiejąc niezwykle znaczenie tej spuścizny, ukrył ją bezpiecznie w owym schowku.

„Nigdy nie poznałem Antona Rothenburga – pisał Osterman – ani jego rodziców i dwóch sióstr. Ich historię opowiedział mi zupełnie obcy człowiek, który z kolei usłyszał ją od siedemnastoletniego Antona Rothenburga, w czasie gdy wydawało się, że obaj już długo nie pożyją. Nie chciałem poznać tej opowieści ani o to nie prosiłem, ale gdy ją usłyszałem, wiedziałem, że rany, które wypaliła w moim umyśle i duszy, nigdy się nie zasklepią. Historia ta zmieniła mnie – właściwie nie umiem powiedzieć dlaczego. Słyszałem już wiele podobnych, a nawet gorszych opowieści z tego przerażającego okresu i chociaż robiły na mnie duże wrażenie, po pewnym czasie uczucie żalu i gniewu traciło na sile i, jak wszystkie tego typu emocje, znajdowało sobie odległe, ukryte miejsce w świadomości, pozwalając mi na powrót do normalnego życia. Jednak, kiedy usłyszałem, co przytrafiło się tej rodzinie w faszystowskich Niemczech, uczucia, które mną zawładnęły, były tak silne, że całe moje codzienne życie straciło sens i nic potem nie miało już takiego znaczenia i wpływu, jak ta stara zapomniana historia.

Jak wspomniałem, nie znałem Emanuela Rothenburga, ojca Antona, ale w pewien sposób przypominał mi on mojego własnego ojca. On również urodził się w Baden-Baden – ale w przeciwieństwie do Emanuela Rothenburga, całe życie przeżył i umarł w Stanach Zjednoczonych. Mój ojciec także wielbił prawdziwą sztukę. Pamiętam, gdy byłem mały potrafił godzinami siedzieć w Muzeum Sztuki w Filadelfii i wpatrywać się w jakiś obraz. Pamiętam wyraz jego

twarży i pasję w jego oczach, gdy tak stał i patrzył. Myślę, że jestem w stanie zrozumieć, jak wielkie emocje może wyzwolić w człowieku genialne dzieło sztuki. Ojciec zmarł z przyczyn naturalnych wiele lat temu. Mając przy swoim łóżu kochającą żonę i syna, odszedł w pokoju. Emanuel Rothenburg zginął od kuli, która przeszła mu głowę, po tym jak stracił większość tego, co było mu tak drogie.

Poznawszy historię Rothenburgów, wiedziałem, że już nigdy nie będę taki sam. Znając tragedię, która ich spotkała, czułem, że w jakiś sposób zostałem wyznaczony do tego, aby ich pomścić.

Nie udało mi się to, a teraz i moje życie dobiega już końca. Ale pochodnia zemsty nadal płonie jasno w mojej duszy. Dlatego robię jedyną rzecz, którą jeszcze mogę zrobić.

Przekazuję tę pochodnię moim następcom".

Rozdział 3

Pakt 1976-1986

Stali mniej więcej w połowie wzniesienia Dukesfield Fell, jakieś dwadzieścia mil na południowy zachód od Newcastle-upon-Tyne i dziesięć mil od Muru Hadriana, w miejscu, gdzie dziesięć lat temu miało miejsce to wydarzenie. Było kilka minut po południu czwartego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku i chociaż pokonali długą drogę, wszyscy troje czuli przenikliwy chłód. Miejscowi twierdzą, że wiatr wiejący od wschodu znad Morza Północnego jest wystarczająco lodowaty, aby zgasić żar najgorętszego dnia, jednak Oliwia, Jamie i Annie wiedzieli, że nie wiatr należy winić za zimno, które czuli. Ten chłód pochodził z wewnątrz, z pamięci o tym, co się tu wydarzyło.

– Może to był błąd – powiedziała Oliwia.

Spojrzała na poblądłą twarz Annie i poczuła nagłe wyrzuty sumienia. To ona bowiem zorganizowała wyprawę, zmusiła ich do udziału w niej, poganiała, jak zwykle, gdy wierzyła w coś, chciała zrealizować jakiś plan. A teraz Annie wyglądała, jakby miała zemdleć, Jamie był także bardzo smutny i przygnębiony. Można było załatwić wszystko w prostszy sposób – spotkaliby się w Londynie, zjedliby lunch w jakimś cywilizowanym miejscu, na przykład w hotelu Connaught, zamówili pieczoną wołowinę i czerwone wino, i siedząc w cieplej restauracji wspominali tragedię sprzed dziesięciu lat – a tak sterczą tu teraz, na tym pięknym, ale przerażającym wzgórzu, a przed oczami mają tamte straszne dni! Kiedyż ja się wreszcie czegoś nauczę, pomyślała Oliwia..

– Nie uważam, abyśmy popełnili błąd – stwierdziła cicho Annie.

– Ja też – zgodził się stojący obok Jamie.

Oliwia, wdzięczna za te słowa, poczuła, że miłość i otucha płynące od przyjaciół stopiły częściowo lód, który zmroził jej ciało, a wraz z lodem odpłynęło i poczucie winy. Uczucie to nigdy nie gościło w sercu Oliwii zbyt długo, w jej charakterze nie leżało zadreczanie się.

– Myślę, że musieliśmy tu przyjść – powiedziała. – Nie mogliśmy spędzić tego dnia gdzie indziej.

Objęli się i przez chwilę stali nieruchomo w milczeniu, z zamkniętymi oczami, pozwalając, aby zawładnęły nimi stare wspomnienia. W siedemdziesiątym szóstym roku nie pozwolono im zobaczyć na własne oczy miejsca katastrofy, ale zdjęcia pokazywane w telewizji były wystarczająco wyraziste. Szczątki wraku zostały rozrzucone na znacznej powierzchni, ale główna część kabiny, a także ciała ofiar katastrofy, leżały właśnie tutaj, w miejscu gdzie dzisiaj stali.

– Czy ktoś chce coś powiedzieć? – spytała po chwili Oliwia.

– Chyba nie – odrzekł Jamie.

– Myślę, że powiedzieliśmy już wszystko – dodała Annie. – Oni wiedzą, co czujemy.

Ponownie pograżyli się w milczeniu. Wiatr wiejący coraz mocniej przenikał ich ciała, szarpał włosy. Delikatny zapach letniej trawy, ziemi i dzikich kwiatów, który niósł ze sobą wiatr, podkreślał jedynie okropność tragedii, jaka miała tu miejsce. Jej jedynym śladem były leje wryte w tym wzgórzu.

– Idziemy? – spytał wreszcie Jamie.

– Jestem gotowa – odrzekła Annie.

Oboje spojrzeli na Oliwię.

– Liwi? – spytała Annie.

Oliwia skinęła głową.

– Tak.

Odchodzili powoli, nadal objęci. Rozdzielili się dopiero na wąskiej ścieżce, prowadzącej w dół wzgórza, do drogi, na której czekał na nich wynajęty samochód. Wrócili nim do Riverdale Hall – małego wiejskiego zajazdu położonego w pobliżu Hexam, gdzie mieli zatrzymać się na noc. Gorący prysznic i zmiana ubrań wyraźnie poprawiły im humory, a po zjedzeniu świeżo złowionego dzikiego łososia i wypiciu szklaneczki słodowej whisky (nawet Annie, która w ogóle nie piła alkoholu, a jeśli już, to wyłącznie wino, wypła kilka łyków), poczuli, że powoli wracają do teraźniejszości. Wspomnienia ponownie odeszły w przeszłość, a czas i codzienność sprawiły, że tamte wydarzenia straciły swoją ostrość.

– Dziesięć lat – stwierdziła Oliwia, gdy po lunchu spacerowali nad rzeką. – Kto mógłby wtedy przypuszczać, że kiedykolwiek wrócimy do normalnego życia, a nawet będziemy szczęśliwi?

- Ale jesteśmy – zauważył Jamie. – Annie – szczęśliwa mama trojga dzieci, ja – żonaty...
- Co prawda z Carrie – dodała złośliwie Oliwia.
- Liwi, nie zaczynaj – zaprotestowała Annie.
- Oboje wiemy, co Oliwia myśli o Carrie – stwierdził otwarcie Jamie. – Przecież ty, Annie, myślisz to samo, choć jesteś zbyt dobrze wychowana, żeby powiedzieć to głośno.
- Ach, więc uważasz, że ja nie jestem dobrze wychowana? – spytała Oliwia.
- Na pewno jesteś szczerą – zapewnił z uśmiechem Jamie.
- Wiem – rzekła Oliwia, kopiąc jakiś kamyk. Słońce przeświecało przez chmury, wiatr złagodniał i zrobiło się całkiem ciepło. Dukesfield Fell wydawało się być odległe o tysiące mil. – Chyba nigdy nie będę tak miła jak wy, i pewnie dlatego zostanę starą panną.
- Nie jesteś dobrą kandydatką na starą pannę. Za bardzo lubisz seks – stwierdził Jamie.
- Więc nie dość, że nie jestem miła, to jeszcze rozwiązała! A oprócz tego jestem egoistką!
- To prawda – przytaknął Jamie. – Ale i tak cię kochamy.
- Jesteś po prostu – stwierdziła Annie – urodzonym przywódcą.
- O nie, na pewno nie.
- Ależ tak – upierała się Annie.
- Jesteś naszą siłą napędową – potwierdził Jamie. – To ty trzymasz nas razem, mimo że żyjemy tak daleko od siebie. – Przystanął i rozejrzał się dokoła. – Moglibyśmy zrobić tu kilka niezłych zdjęć.

Jednym z rytuałów towarzyszących ich spotkaniom było robienie zdjęć, załączanych następnie do „dokumentacji” ich przyjaźni, którą każde z nich prowadziło od wielu lat. Niezależnie od tego, gdzie i kiedy się spotykali, zawsze mieli wrażenie, że nic się nie zmieniło – czuli to samo, ich przyjaźń była niewzruszona. Tylko na fotografiach widać było, że drobna, złotowłosa, schludna Annie zrobiła się trochę zbyt szczupłą, czy że wokół ciemnych oczu zawsze eleganckiego i wytwornego Jamiego pojawiły się ostatnio nowe zmarszczki, a jego niemalże kruczoczarnym włosom przybyło kilka srebrnych nitok. Także otoczona burzą ciemnobrązowych włosów, pełna ekspresji, wyrazista twarz Oliwii z oryginalnym nosem, nieco słowiańskimi kośćmi policzkowymi i błyszczącymi zielonymi oczami nie była już taka młoda, a mijające lata pozbawiły ją tej beztroski i niefrasobliwości, która kiedyś ją charakteryzowała.

- Twierdząc, że jestem waszym przywódcą – kontynuowała Oliwia po zrobieniu zdjęć – tak naprawdę chcesz powiedzieć, że was terroryzuję.

– No, tak – przyznał Jamie.

– Strofuję was, poganiam i dopóki się do mnie nie przyzwyczaiście, strasznie was denerwuję!

– Racja – stwierdziła Annie.

– I za to cię kochamy – dodał ciepło Jamie.

– Właśnie dlatego jesteśmy tu dzisiaj – powiedziała Annie. – Przyjechaliśmy tu dla ciebie.

– Nieprawda – odparła Oliwia. – Jesteśmy tu z powodu dzisiejszej rocznicy.

– Niezupełnie. – Jamie potrząsnął głową. – A może w ogóle nie dlatego. Gdyby nie ty, Annie i ja spędzilibyśmy ten dzień jak każdy inny. Oczywiście, pewnie zadzwonilibyśmy do siebie i uczcili ich pamięć kieliszkiem czegoś mocniejszego, ale na pewno nie wspięlibyśmy się na Dukesfield Fell. A co najważniejsze, nie bylibyśmy razem – przerwał. – Przede wszystkim dlatego, że nie umiemy stawić temu czoła. Nie jesteśmy tak odważni jak ty, Oliwio.

Zarumieniła się.

– To bzdura – stwierdziła.

– Nie, Liwi – upierała się Annie. – Ja jestem okropnym tchórzem.

– Przecież urodziłaś trójkę dzieci – przypomniała jej Oliwia.

– Rodzenie dzieci to nic wielkiego – stwierdziła Annie.

– Ty i Jamie mieliście odwagę, aby założyć rodziny.

– Ale ty miałaś siłę, potrzebną do życia w pojedynkę – odrzekł Jamie.

– Nie jestem sama – powiedziała cicho Oliwia. – Mam was.

Niewtajemniczeni – jak Edward Thomas, który w osiemdziesiątym pierwszym roku ożenił się z Annie, czy Caroline Beaumont, która kilka lat później poślubiła Jamiego – myśleli początkowo, że pakt trójki przyjaciół został zawarty jeszcze w szkole średniej. Przypuszczenie to było uzasadnione, gdyż wszystkie młodzińcze przyjaźnie na ogół przyjmują formy tajnych porozumień czy bractw, a poza tym wszyscy troje uczęszczali do szkoły będącej swego rodzaju amerykańską enklawą w Wielkiej Brytanii. American School, znajdująca się w zadrzewionym St. John's Wood w Londynie, była koedukacyjną szkołą dzienną, która miała pomagać młodym Amerykanom przebywającym z dala od domu w przystosowaniu się do nowego otoczenia.

Rzeczywiście, Jamie, Annie i Oliwia byli przyjaciółmi już w szkole, a ich rodzice również utrzymywali ze sobą kontakty, ale przyjaźń ta nie była jeszcze wtedy tak silna. Chodzili wspólnie

na zajęcia, spotykali się na prywatkach i odwiedzali wzajemnie. Oliwia i Jamie trenowali koszykówkę i oklaskiwali Annie, która grała na skrzypcach w orkiestrze kameralnej; chodzili razem na wycieczki i bardzo się lubili, ale mieli także innych przyjaciół. Dzięki zamożności ich rodzin nigdy nie doświadczyli gorzkiego losu cudzoziemców zagubionych w obcym czy wrogim otoczeniu. Podobnie jak wielu ich rówieśników, Oliwia, Jamie i Annie mieli solidne oparcie w rodzinie, toteż życie w Anglii, czy to chwilowe, czy na stałe, było równie łatwe i przyjemne, co w rodzinnych stronach w Ameryce. Ojciec Annie, Franklin Aldrich, był współwłaścicielem starej i szacownej kancelarii prawniczej, a w czasie, gdy Annie była w angielskiej szkole kierował biurem w Londynie. Matka – Grace Aldrich – prowadziła dom. Ich angielską siedzibą był wspaniały zabytkowy budynek przerobiony z dawnych stajni, położony w pobliżu Belgrave Square. Ojciec Jamiego, Carlos Arias, był wdowcem pochodzącym z nobliwej hiszpańskiej rodziny, mieszkającym wraz z dwoma synami i bratankiem, którym zajmował się od śmierci brata i bratowej. Stał na czele dostojnego imperium handlowo-spedycyjnego Ariasów, którym zarządzał ze swego biura na Pall Mall z równą łatwością, co wytwornym apartamentem przy Regent's Park, w którym mieszkał wraz z rodziną. Emily Segal – matka Oliwii – była kardiologiem i pracowała w szpitalu dziecięcym przy Great Ormond Street, natomiast jej mąż, Artur, pracował w domu położonym koło Kenwood w Hampstead. Był kolekcjonerem dzieł sztuki i antyków, zajmował się zdobywaniem funduszy dla wielu organizacji charytatywnych, między innymi czynnie wspomagał Centrum Szymona Wiesenthala w Wiedniu i inne organizacje żydowskie, UNICEF i wszelkie fundacje, których cele były mu bliskie.

Mając po osiemnaście lat, Oliwia Segal, Jamie Arias i Annie Aldrich skończyli dopiero szkołę średnią i byli zwykłymi, zadowolonymi z siebie, szczęśliwymi i pełnymi radości życia młodymi ludźmi. Za wyjątkiem nagłej śmierci matki Jamiego, która zmarła na raka dziewięć lat wcześniej, żadne tragiczne wydarzenie ich nie dotknęło.

Aż do tego dnia – czwartego lipca siedemdziesiątego szóstego roku.

Wiele lat później ciągle pamiętali, gdzie byli i co robili w momencie, gdy dotarły do nich tragiczne wieści. Oczywiście, większość ludzi mówi to samo o zabójstwie prezydenta Kennedy'ego, ale wówczas Oliwia, Jamie i Annie mieli zaledwie po pięć lat i nie mieli własnych wspomnień związanych z tamtym wydarzeniem. Pamiętali jedynie ogólną rozpacz, smutek i brak wiary, że to się naprawdę stało, które zapanowały w całym kraju. To, co dotknęło ich w Dzień

Niepodległości siedemdziesiątego szóstego roku było tak osobiste, tak nieskończenie wstrząsające, że wspomnienia związane z tym dniem były i będą obecne w ich pamięci na zawsze, niczym bolesna, głęboka rana.

Wszyscy przyjechali właśnie na przyjęcie organizowane przez Dawida Orbacha w Dulwich. Orbachowie mieli ogromny dom otoczony kilkuakrowym ogrodem, w którym poczesne miejsce zajmował kort tenisowy i basen. Ich przyjęcia wydawane z okazji Dnia Niepodległości były znane z wystawności, przede wszystkim dzięki plotkom rozpowszechnianym przez szczęśliwców, którzy mieli okazję w przyjęciach uczestniczyć. Jamie dołączył do grona uczestników przyjęć w zeszłym roku i po powrocie do szkoły opowiadał Annie, której rodzice nie pozwolili brać w nich udziału, że wbrew krążącym pogłoskom nikt nie pływał nago, natomiast wielu wskakiwało do basenu w ubraniach. W rozmowie z Oliwią, która także musiała zostać w domu, gdyż jej rodzice wydawali własne przyjęcie, stwierdził, że wprawdzie nie zauważył żadnych śladów prawdziwej orgii, chociaż, z drugiej strony, liczba par pozwalających sobie na śmiałe pieszczoty w obecności rodziców była niewiarygodna.

W tym roku po raz pierwszy wszyscy troje mieli uczestniczyć w przyjęciu. Byli już pełnoletni, a poza tym ich rodzice lecieli wspólnie do Szkocji na przyjęcie wydawane przez jedną z organizacji wspieranych przez ojca Oliwii z okazji Czwartego Lipca. Dzięki nieobecności rodziców unikną krytycznych uwag na temat strojów, wyklócania się o godzinę powrotu do domu, a przede wszystkim nie poniosą przykrych konsekwencji, gdy następnego ranka zwłoką się z łóżka koło południa z wyraźnymi objawami kaca.

– W czym wystąpisz? – spytała Oliwia Annie.

Była piąta po południu i przyjaciółki właśnie rozmawiały przez telefon.

– Włożę sukienkę, którą mama kupiła mi w zeszłym miesiącu w Nowym Jorku.

– Co to za sukienka?

– Z krepy. Biała z odkrytymi plecami i dekoltem w szpic.

– Długa?

– Tak. – Annie wyraźnie się zawahała. – Myślisz, że będzie odpowiednia?

– Oczywiście, na pewno jest wspaniała. Ty zawsze ślicznie wyglądasz! – oświadczyła Oliwia z przekonaniem.

– A ty co włożysz? – spytała Annie.

– Kupiłam coś. Na pewno ci się nie spodoba – oznajmiła Oliwia z zadowoleniem.

– Dlaczego tak myślisz?

– Zaczekałam, aż rodzice wyjadą – wyjaśniła Oliwia – i natychmiast pobiegłam do tego małego butik na Heath Street. Wcześniej poprosiłam, żeby odłożyli dla mnie pewne ciuchy.

– I co kupiłaś? – Annie była wyraźnie zaciekawiona.

Rodzina Oliwii była równie konserwatywna co jej własna, mimo to Annie uważała, że Oliwia jest najbardziej ekscytującą osobą, jaką kiedykolwiek знаła.

– Będę wyglądać jak ulicznica! No, może niezupełnie.

– Niemożliwe!

– Naprawdę. Możesz nie wierzyć, ale kupiłam czarne obcisłe bermudy i jedwabny stanik w tym samym kolorze!

– Żartujesz! – Annie była wyraźnie skonsternowana, ale i pełna podziwu dla odwagi przyjaciółki.

– A do tego znalazłam naprawdę świetny pas nabijany ćwiekami i te zaokrąglone okulary, które widziałyśmy w „Vogue'u”. No i jeszcze na szyję obrozę z łańcucha. – Oliwia w ostatniej chwili ugryzła się w język, aby nie powiedzieć Annie o czerwonych pasemkach we włosach.

– To brzmi... uroczo – w głosie Annie słychać było wyraźne wahanie.

– Ale..?

– Czy nie miałyśmy przyjść w długich sukniach?

– Nie dostałam bermudów z długimi nogawkami!

– Wiesz, że chodzi mi o coś innego, Liwi.

– Wiem, Annie. – Oliwia uwielbiała droczyć się z przyjaciółką.

– A jeśli cię nie wpuszczą?

– Wpuszczą, wpuszczą. Jamie mówił, że w zeszłym roku niektórzy przyszli w zupełnie bajecznych ciuchach.

– Ale... obroza... – Annie brakło słów.

– Dawid Orbach był niemieckim pastuchem – stwierdziła beztrząsliwie Oliwia. – Więc jeśli będą kłopoty, po prostu zdejmę ten łańcuch i będę udawać, że przyniosłam mu go w prezencie.

Przyjęcie miało rozpocząć się o ósmej trzydzieści. Annie powiedziała Oliwii, że ona i Jamie jadą samochodem z Jenny Lee Barnsworth, znajomą ze szkoły, i jeśli chce, może jechać z nimi. Jednak Oliwia miała własne plany. Umówiła się z Billym Murrayem, który mieszkał w Highgate, znacznie bliżej Segalów niż Aldrichowie i Ariasowie. Miała nadzieję, że jadąc do Dulwich, zatrzymają się gdzieś na drinka. Oczywiście znajomość z Billym to nic poważnego, ale Billy był w porządku. Jazda do Dulwich zajmie im trochę czasu i równie dobrze mogą się całkiem nieźle zabawić po drodze.

Gdy Oliwia i Billy dotarli w końcu do Orbachów, cały podjazd i ulica były już zastawione samochodami, więc Billy, chcąc okazać się dżentelmenem, wysadził Oliwię przed domem, a sam ruszył na poszukiwanie wolnego miejsca do zaparkowania. Z „prezenterem” dla Dawida Orbacha w jednej ręce i małą czarną torebką w drugiej, Oliwia ruszyła dziarsko szerokim, zwirowanym podjazdem w kierunku rozświetlonego domu.

Prawie natychmiast zauważyła Jamiego, stojącego w holu. Na poszarzałej twarzy przyjaciela spostrzegła ślady łez, i zauważyła też, że stojący obok Dawid Orbach dziwnie się jej przygląda.

– O co chodzi? – Głos uwiązał jej w gardle. – Jamie, co się stało?

Wtem Oliwię ogarnęło straszne przecucie. Zawsze elegancki, szczupły, ale harmonijnie zbudowany Jamie wyglądał teraz nieszczególnie. Mimo wytwornego smokingu i nieskazitelnie białej koszuli, widać było, że jest zdruzgotany.

– Rodzice – wyszeptał.

– Co z nimi? – Oliwia wcisnęła Dawidowi łańcuch, który ciągle trzymała w dłoni, i chwyciła Jamiego za ramię. – Co się stało, Jamie?

Potrząsnął w milczeniu głową.

– Jamie, powiedz! Co się stało?

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł roześmiany Bill Murray. Szybko go uciszono i wraz z innymi spóźnionymi gośćmi pospiesznie wepchnięto do najbliższego pokoju.

– Nie żyją – powiedział bezbarwnym głosem Jamie, spoglądając błagalnie na Oliwię, jakby spodziewał się, że go uspokoi, powie, że nie ma racji, że wszystko sobie wymyślił.

Oliwia zastygła w milczeniu.

– Co powiedziałeś? – odezwała się w końcu.

– Wszyscy zginęli – powtórzył.

Podsłoczyła jak oparzona, gdy ktoś położył jej rękę na ramieniu.

– To prawda, kochanie – powiedziała pani Orbach, matka Dawida. – Tak mi przykro – dodała.

Wyglądała niezwykle dostojnie w czarnej sukni od Chanel. Na jej twarzy malowała się litość i strach, ale widać było, że czuła się niezręcznie. Nagle Oliwia zauważyła ze zdumieniem, że mimo niewątpliwego współczucia i zrozumienia dla powagi chwili, jej gospodyni najchętniej wyprosiłaby ją i Jamiego nie tylko z holu, ale i z domu, z przyjęcia.

– Twoja przyjaciółka czeka na górze – powiedziała łagodnie pani Orbach.

– Przyjaciółka? – Oliwia w pierwszej chwili nie zrozumiała, o kogo chodzi.

Czuła się zagubiona, dezorientowana, miała wrażenie, że za chwilę upadnie.

– Ona mówi o Annie – wyjaśnił jej Jamie.

– Dlaczego? – Oliwia spojrzała na niego ze zdumieniem. Co się stało Annie?

– Wszyscy zginęli – odpowiedział Jamie. – Lecieli do Szkocji.

I w końcu Oliwia zrozumiała.

– Helikopter? – spytała.

Annie ukryła się przed światem w sypialni na pierwszym piętrze. Siedziała skulona na dywanie, spowita w białą krepę. Widać było, że też płakała, ale teraz jej oczy były suche, a ona sama zdawała się być nieobecna, pogrążona w szoku. Wokół jej głowy latała ćma, zwabiona światłem wpadającym przez otwarte okno, ale Annie nie uczyniła żadnego ruchu, aby ją odpędzić.

Do pokoju weszli Oliwia i Jamie. Chłopak usiadł na podłodze koło Annie i objął ją ramieniem, a Oliwia, czując dziwną słabość w nogach, przysiadła na brzegu wielkiego łoża.

W dużym lustrze zawieszonym po przeciwnej stronie pokoju zauważyła swoje odbicie. Spojrzała na czarne bermudy i jedwabny stanik, które jeszcze kilka godzin temu wydawały się jej prowokacyjne i seksowne, na idiotyczne okulary przeciwsłoneczne, czerwone pasemka we włosach i dziwaczny łańcuch na szyi, który teraz wyglądał tak niesmacznie i ohydnie. Chciała go zerwać, ale był zbyt mocny i tylko się poraniła. Krzyczała z rozpacz, łkała i zawodziła, i dopiero dotyk rąk Jamiego, który wyjął jej z dłoni nieszczęsny łańcuch, zdołał ją uspokoić.

– Spokojnie – powiedział delikatnie. – Daj, ja to zdejmę.

Bezmyślnie patrzyła, jak zdejmuje jej obrozę z szyi i odkłada na łóżko.

– Czy naprawdę nie żyją? – spytała z niedowierzaniem, jak przestraszone dziecko.

– Tak – odpowiedział.

Annie nadal siedziała w milczeniu na podłodze, nie zwracając uwagi na ćmę, która usiadła na jej sukience. Jamie wziął Oliwię za rękę i pociągnął w dół, na dywan. Sam usiadł pomiędzy nią a Annie.

– To stało się dzisiaj po południu – zaczął ostrożnie. – Gdzieś koło Newcastle.

– Co tam się wydarzyło? – spytała Oliwia.

– Rozbili się. To wszystko, co wiemy – powiedział. Po chwili dodał: – Na dole czeka pewien człowiek przysłany przez mego kuzyna Michaela. Zabierze nas do domu. Chcieliśmy poczekać na ciebie.

– Przepraszam – powiedziała Oliwia. – Spóźniłam się, prawda?

– To nie ma znaczenia – odrzekł Jamie. – Nie musimy się spieszyć.

– Tak – zgodziła się Oliwia. – Już nie musimy się spieszyć.

Machina śmierci ruszyła. Byli dorośli, musieli stawić czoło rzeczywistości i załatwić wszystkie bolesne formalności. Wykonano sekcje zwłok, zorganizowano pogrzeby, przeprowadzono dochodzenie, które wykazało, że przyczyną katastrofy była awaria techniczna helikoptera. Żadnej gwałtownej burzy, podejrzanych okoliczności czy błędu ludzkiego. Po prostu zawiodły jakieś części, jakieś mechanizmy nie zdołały utrzymać maszyny w powietrzu. Oliwia, Jamie i Annie polecili do Stanów na uroczystości pogrzebowe. Otepiali, zdołali jakoś przetrwać ceremonie pogrzebowe różnych obrządków – tradycyjny żydowski pogrzeb Segalów w Nowym Jorku, protestancką uroczystość pogrzebową Aldrichów w San Francisco i mszę katolicką za dusze Ariasów na Rhode Island, ale potem musieli wracać do Anglii, aby wykonać najgorszą, ale nieuniknioną czynność – trzeba było spakować rzeczy rodziców.

Mogli liczyć na pomoc w pakowaniu i przenoszeniu większych mebli, ale było jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które zwykle pozostają po zmarłych – szafy, toaletki, półki i szuflady biurek, pełne drobiazgów i ubrań. Jamie miał starszego brata Petera, więc mógł liczyć na jego wsparcie, a i ich kuzyn Michael Arias, bratanek Carlosa, starał się, jak mógł, pomagać im w tych trudnych dniach. Jak sam przypomniał Jamiemu, był od niego prawie dwa razy starszy i to on, będąc nową głową rodziny Ariasów, musiał wykonać przykre czynności związane z zamknięciem biura na Pall Mail i domu przy Regent's Park oraz przeniesieniem wszystkich

rzeczy do posiadłości rodzinnej w Newport i biur w Nowym Jorku, skąd miał odtąd kierować firmą. Annie, najsłabsza psychicznie z nich trojga, początkowo próbowała samodzielnie poradzić sobie z masą dokumentów pozostawionych przez Franklina i Grace, ale szybko dała sobie spokój i poprosiła o pomoc Richarda Tysona – współnika jej ojca. Ten zgodził się zabrać wszystkie papiery nie segregując ich i złożyć w archiwum w londyńskim biurze kancelarii.

Oliwia zabrała się do tego smutnego zadania w jedyny sposób, w jaki umiała i chciała – bez zbędnych przygotowań. Emily Segal na pewno nie była typową żydowską matką – sentymentalną i trochę nieporządną. Toteż mimo smutku i poczucia straty, wywołanego widokiem i zapachem rzeczy matki, Oliwia szybko poradziła sobie z ich porządkowaniem. Inaczej rzecz miała się z Arturem – nigdy nie dbał specjalnie o porządek, a w ciągu całego życia wypełnił dom tysiącem pamiątek. Działając na wielu polach, zajmując się swoją kolekcją dzieł sztuki i angażując się w pracę niezliczonych organizacji charytatywnych, które miały teraz przejść pod opiekę fundacji jego imienia, był jednocześnie klasycznym przykładem żydowskiego męża i ojca, fanatycznie wręcz przywiązanego do tradycji i przeszłości swojego narodu. Nic więc dziwnego, że półki i szuflady jego mebli pękały w szwach od nagromadzonych w nich zeszytów z wycinkami z gazet, albumów fotograficznych, notatników i innych pamiątek.

A listy! Nie wyglądały tak groźnie schowane w szafkach i pudełkach, ale kiedy Oliwia spróbowała je posegregować, stwierdziła, że są ich miliony. Większą część korespondencji stanowiły zwykle, nudne notatki służbowe, które bez większego żalu można było przeznaczyć na makulaturę, a także stare pocztówki od przyjaciół, w tym trzy od marszanda Maksa Wildenbrucha, z pozdrowieniami z wakacji we Francji i Toskanii. Ale między nimi znajdowały się także przedmioty o nieocenionej wartości – jarmułka, którą Artur nosił na swojej bar micwie, wszystkie kartki urodzinowe od Oliwii, stare świadectwa szkolne: Artura, z których jasno wynikało, że nad naukę przekładał przyjaźń, Emily – którymi z pewnością chciałby się pochwalić każdy rodzic, no i Oliwii – niezależnie od ocen, były tu wszystkie, od pierwszej klasy, pieczołowicie przechowywane przez jej ojca. A przede wszystkim listy miłosne – proste, ale pełne uczuć. Oliwia przeczytała je wszystkie bez skrępowania, płacząc nad każdym, ale czując, że z każdym słowem jej rodzice stają się jej bliżsi. Poskładała je potem dokładnie, zachowując poprzedni kształt.

Trzeciego dnia robienia porządków Oliwia natrafiła w gabinecie ojca na starą, zniszczoną aktówkę ze świńskiej skóry. Przez ostatnie dwa lata Artur korzystał z niej rzadziej, chociaż wolał ją od eleganckiej czarnej teczki z cielęcej skóry od Aspreya, którą Emily podarowała mu z okazji urodzin. Podobnie jak wszystkie rzeczy Artura, aktówka była wypełniona papierami; niestety była zamknięta, a Oliwia nie miała pojęcia, gdzie szukać kluczyka. Przez chwilę przyglądała się małemu złotemu zamkowi, dochodząc do wniosku, że najprościej będzie po prostu go wyłamać. Jednak z drugiej strony sam pomysł otworzenia siłą tego, co jej ojciec chciał trzymać w zamknięciu, wydał jej się odrażający. Co prawda nie ma to większego sensu, pomyślała. Zważywszy, że przez ostatnie kilka dni czytałam ich prywatne listy.

Oliwia, dręczona poczuciem winy, zastanawiała się, dlaczego ludzie uważają, że fakt czyjejś śmierci upoważnia ich do poznania wszystkich, także intymnych, spraw zmarłego. Sama tłumaczyła sobie, że jej zainteresowanie prywatnym życiem rodziców wynika z czego innego – z chęci zbliżenia się do nich, chociaż chwilowego przywrócenia ich do życia. Z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że teraz, gdy już to zrobiła, słowa, które wyczytała w listach rodziców, zakorzeniły się w jej umyśle, stały częścią jej samej. Nie można było tego już cofnąć i nie było sensu czuć się winnym, zwłaszcza że jej charakter i żydowskie pochodzenie nie pozostawiały wiele miejsca na wyrzuty sumienia.

Wzięła z kuchni mały ostry nóż z czarną rączką i wróciwszy do gabinetu, tak długo grzebała nim w zamku aktówki, aż go otworzyła. Z ponurą satysfakcją stwierdziła, że jest to całkiem miłe zajęcie i zastanawiała się, czy podobne podniecenie czują włamywacze, otwierając wytrychem zamek albo wybijając okno, aby wkroczyć siłą w czyjąś prywatność.

Jeszcze więcej listów – od Couttsów z banku, dwa z firmy ubezpieczeniowej, biały kartonik z zaproszeniem na obiad w ambasadzie izraelskiej, i inny – na otwarcie wystawy w Hamilton Gallery. A oprócz tego dziwna, krótka wiadomość od ojca Jamiego, z datą 4 czerwca – na miesiąc przed katastrofą helikoptera. Notatka nakreślona odręcznie piórem była pisana jakby w pośpiechu, osobliwym, prawie telegraficznym stylem.

Drogi Arturze!

Z prawdziwym niepokojem i przerażeniem stwierdziłem, że Twoje podejrzenia nie są, jak myślałem, bezpodstawne. Musimy spotkać się jak najszybciej.

Carlos Arias

Rozmawiając tego wieczoru przez telefon z Annie, Oliwia opowiedziała jej o liście.

– To chyba coś ważnego. Jak myślisz?

– Uważasz, że powinnaś spytać Jamiego? – Annie była już całkiem spokojna, być może dlatego, że wzięła jedną z tabletek uspokajających, które przed pogrzebem dała jej kuzynka, ale przede wszystkim dlatego, że nie musiała martwić się o papiery rodziców. Richard Tyson był tak miły, że zgodził się wziąć je wszystkie do archiwum kancelarii.

– A nie powinnam?

Annie zamyśliła się.

– Ja bym mu o tym nie mówiła.

– Dlaczego?

– Ponieważ ta wiadomość może nie mieć znaczenia. Jamie i tak nie może nic z nią zrobić, więc tylko się zdenerwuje.

– Chyba masz rację – zgodziła się Oliwia.

– Ale ty nie jesteś tego pewna, prawda? – spytała Annie.

– No, nie wiem – przyznała Oliwia. – Grzebałam sobie w prywatnych rzeczach rodziców, aż tu nagle natrafiłam na list ojca Jamiego i nie jestem pewna, czy nie powinnam powiedzieć o tym Jamiemu.

– O czym, Liwi? To tylko wiadomość – nic ważnego!

– Ale jej treść brzmi bardzo poważnie.

– Może wtedy miało to jakieś znaczenie – powiedziała cicho Annie. – Teraz nie jest już ważne.

Oliwia nie powiedziała nic Jamiemu i dawno już zapomniała o całej sprawie, gdy pod koniec sierpnia spotkali się w kościele Wszystkich Świętych w Londynie, aby uczestniczyć w ekumenicznym nabożeństwie za dusze i wieczny spokój ofiar katastrofy: Johna Wilkesa, pilota z Edynburga, Carlosa Ariasa, Artura i Emily Segalów oraz Franklina i Grace Aldrichów.

W kościele pojawiło się wielu znajomych, współpracowników, wszelkiej maści kuzynów, ciotek i wujów, ale ponieważ Oliwia i Annie były jedynaczkami, jedynymi ich bliskimi byli krewni Jamiego – Peter i Michael Arias.

– Nigdy ich nie widziałam. A ty, Annie? – spytała Oliwia, zbierając się do wyjścia po nabożeństwie.

Annie potrząsnęła przecząco głową.

– Obaj są bardzo przystojni – zauważyła.

Oliwia przyjrzała się z uwagą obu mężczyznom, stojącym obok Jamiego.

– Michael wygląda bardzo dystyngowanie. Jest niesamowicie wytworny – stwierdziła.

– A Peter jest jeszcze przystojniejszy niż Jamie – dodała szeptem Annie. Plotkowały niewinnie, próbując w ten sposób odreagować smutek, który towarzyszył im w trakcie nabożeństwa. – Jest trochę w typie Alana Aldy, nie sądzisz?

– Jest zbyt idealny – stwierdziła Oliwia. – Popatrz, nawet w kościele nie zdjęli okularów przeciwsłonecznych. – Z trudem zduśiła niestosowny chichot. – Wyglądają jak hiszpańska mafia!

– To prawda – zgodziła się Annie. Naturalnym gestem, nieświadomie naśladującym ruchy Grace Aldrich, straciła nie istniejący pyłek z czarnego kapelusza. – Ale Jamie jest inny, nieprawdaż? – dodała.

Oliwia skinęła głową.

– Jamie jest bardziej elegancki, podobny do Carlosa. – Przez moment pomyślała, że mogłaby zadurzyć się w Jamiem Ariasie, ale ponieważ był takim miłym, prostolinijnym, pogodnym chłopakiem, a do wszystkich odnosił się z równą sympatią, nie potrafiła powiedzieć, czy odwzajemniłby jej uczucia. Teraz, gdy wrócą do normalności i codziennego życia i gdy ich drogi się rozejdą, już nigdy się tego nie dowie, pomyślała.

Powoli szły w kierunku wyjścia, wymieniając ze znajomymi zdawkowe uwagi, uściski dłoni i pocałunki. Po chwili dołączył do nich Jamie i razem wyszli na Portland Place, zdziwieni, że dokoła życie toczy się normalnie, z lekką ogłuszeni zgiełkiem zalanych słońcem ulic.

– Strasznie mi przykro z powodu pani Wilkes – powiedział nagle Jamie.

– Kogo? – zdziwiła się głupio Oliwia.

– Żony pilota – wyjaśniła Annie.

– Ach, tak. Rzeczywiście.

– Była taka smutna – stwierdził Jamie. – I widać było, że czuje się winna.

– Przecież nikt nie winił jej męża, prawda? – spytała Annie.

– Oczywiście, że nie – odrzekła Oliwia. – To była awaria. Nie było w tym niczyjej winy.

– Mimo to żal mi tej kobiety – stwierdziła Annie.

Oliwia popatrzyła na nią kątem oka, zauważając niezwykłą bladość twarzy przyjaciółki. Przypomniała sobie, jak niesamowicie wyglądała wtedy u Orbachów. Była taka cicha i zamknięta w sobie.

– Annie, czy wszystko w porządku? – spytała ostrożnie.

– Tak naprawdę, to nie – odparła apatycznie Annie. – A czy może być?

– Nie – przytaknęła Oliwia. – Nie sędzę.

– Jakże by mogło – dodał Jamie.

Oliwia zastanawiała się przez chwilę.

– Czy macie czas pojutrze? – spytała w końcu.

– Tak – odparł Jamie. – Wyjeżdżam dopiero w przyszły poniedziałek.

– Annie?

– Nie mam nic do roboty – odpowiedziała.

– Myślę, że powinniśmy tam pojechać – oświadczyła Oliwia.

– Gdzie? – spytał Jamie, chociaż doskonale wiedział, o czym mówi.

– Tam, gdzie to się stało – odrzekła Oliwia. – Tylko nas troje. Chcę tam pojechać i pożegnać się z nimi – przerwała. – Myślę, że może nam to pomóc – dodała.

– Nie wiem, czy to zniósę – powiedziała wolno Annie.

– Możemy urządzić sobie fajną wycieczkę – przekonywała Oliwia.

– Musimy wziąć ze sobą buty do wspinaczki i czekany – dodał Jamie. – Tam jest dosyć stromo.

– Nie musisz jechać, Annie – powiedziała Oliwia. – To tylko sugestia.

– Czy możecie dać mi kilka dni na zastanowienie? – spytała Annie.

Dwa dni później, uwolniwszy się spod męczącej opieki krewnych i znajomych, wyruszyli na północ. Pociągiem Intercity dojechali do Newcastle, gdzie wynajęli samochód i przy pomocy mapy dotarli do miejsca, skąd wyruszyli pieszo na szczyt Dukesfield Fell. Przez całą drogę Jamie i Oliwia bacznie obserwowali Annie, wiedząc, jak łatwo może się załamać – zawsze była najwrażliwsza z nich trojga. Ale Annie trzymała się dzielnie; wydawało się, że jest gotowa stawić czoło temu, co czekało ich na szczycie.

Nie było wprawdzie żadnych pozostałości rozbitej maszyny ani szczątków ofiar katastrofy. Jeśli była krew, to zmyła ją ekipa ratunkowa, a reszty dokonała natura, ale ciągle widoczne było wgłębienie w ziemi, w miejscu gdzie spadł helikopter, teraz ogrodzonym dla bezpieczeństwa linami, sama zaś ziemia pozostała nadal zryta i rozkopana.

I choć był piękny sierpniowy dzień, sam środek lata, tam na szczycie nie śpiewał żaden ptak, nie szumiała trawa. W sercach Jamiego, Olivii i Annie panował chłód deszczowego listopada. Tutaj ich ból stał się jeszcze bardziej przejmujący, po raz pierwszy od dnia katastrofy poczuli się osieroceni. Gdy oglądali relacje z miejsca wypadku w telewizji, brali udział w przesłuchaniach, uczestniczyli w nabożeństwach – a nawet, gdy stali na cmentarzu i patrzyli na trumny opuszczane do grobów, nie dopuszczali do siebie bezlitosnej, nieubłagalnej prawdy. Tu, na wzgórzu, nie było już niedomówień. Stali w miejscu, gdzie spadł helikopter, gdzie zakończyło się życie ich rodziców i gdzie płonęły ich ciała, dopóki nie zostały ugaszone przez deszcz.

– Chciałabym już wracać – oznajmiła po dłuższej chwili Annie.

– W porządku – odparła Oliwia.

– Mogę iść sama, jeśli ty i Jamie chcecie jeszcze zostać.

– Nie – rzucił szybko Jamie. – Musimy trzymać się razem. Ja też jestem już gotów do drogi. – Spojrzał na Oliwię. – A ty?

– Zostanę jeszcze chwilę – odparła. – Idźcie przodem, dogonię was.

– W porządku – zgodził się Jamie. – Jesteś tego pewna?

– Oczywiście – odrzekła.

Oliwia poczekała, aż trochę się oddalą, i usiadła na ziemi. Cieszyła się, że przyszli tu z nią, ale teraz chciała zostać przez chwilę sama. Ze względu na obecność przyjaciół musiała trzymać się, nie mogła pozwolić sobie na ujawnienie uczuć, aby jeszcze bardziej ich nie zasmucać. Ale w głębi serca chciała tylko położyć się na trawie jak najbliżej miejsca, w którym zginęli jej rodzice i ostatecznie się z nimi pożegnać.

Siedziała z zamkniętymi oczami, dotykając rękoma chłodnej ziemi. Myślała o rodzicach: o Emily Segal, lekarce, żonie, matce i kobiecie, o Arturze – filantropie, ojcu, mężu, kolekcjonerze dzieł sztuki, pamiątek i pięknych przedmiotów. Ciągłe byli tacy zajęci, zaabsorbowani wieloma sprawami, a jednak zawsze mieli czas dla siebie i swojej córki. Dali jej tak wiele; miała wszystko, czego potrzebowała, także ich miłość, przyjaźń, wsparcie i pomoc. To okrutne, myślała Oliwia, że musieli odejść tak wcześnie, mieli jeszcze tyle do zrobienia, tyle do

zaoferowania świata. Z drugiej jednak strony oszczędzono im wielu zmartwień i przynajmniej do końca byli razem.

Tej nocy zatrzymali się w starym hotelu w Blanchland, małej wiosce położonej w dolinie Derwent. Nic ich nie zmuszało do szybkiego powrotu do Londynu, gdyż i tak wkrótce opuszczali Anglię na dłużej. Oliwia i Jamie jeszcze przed tragedią poczynili pewne plany i tak czy inaczej mieli wyjechać we wrześniu, natomiast Annie zamierzała pozostać w domu. Teraz jednak nie mieli żadnego wyboru. Proces likwidowania ich angielskich domów dobiegał końca, a ich dotychczasowe życie musiało ulec zmianom. Jamie rozpoczął naukę w Harvard Bussines School, położonej zaledwie sześćdziesiąt mil od eleganckiej zabytkowej posiadłości Ariasów w Newport. Oliwia wyjeżdżała do Paryża studiować filologię romańską na Sorbonie, a Annie jechała do domu Aldrichów w San Francisco, gdzie miała nadzieję dojść do siebie po przeżytej tragedii. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ich kontakty siłą rzeczy rozluźnią się i być może po raz ostatni mają szansę spędzić wspólnie trochę czasu.

W restauracji zjedli obiad suto zakrapiany winem – nawet Annie wypła kieliszek czy dwa. Potem wszyscy udali się do pokoju Oliwii, który był największy. Oliwia i Jamie wypili jeszcze parę lampek koniaku, a ponieważ nie byli do niego przyzwyczajeni, szybko rozwiązał im języki i wkrótce rozmowa zesła na bardziej osobiste tematy – uczuć i obaw, które ich dręczyły. Cała trójka zdawała sobie sprawę, że nic już nie będzie takie samo. Stracili nieodwołalnie punkt oparcia, jakim był dom rodzinny, los pozbawił ich opoki, na której mogliby budować dorosłe życia, a przede wszystkim odeszli najbliżsi im ludzie, którzy zrobiliby wszystko, aby im pomóc.

– Pokłóciłam się – oświadczyła nagle Annie, usadowiwszy się wygodnie na krześle.

– Z kim? – spytała zdumiona Oliwia.

– Z tatą.

Annie podniosła gwałtownie głowę i zobaczyli, że jej udręczone niebieskie oczy są pełne łez. Raptem Oliwia zdała sobie sprawę, że Annie jako jedyna z nich nie powiedziała do tej pory nic na temat własnych uczuć.

– Kiedy ostatni raz widziałam ojca – ciągnęła – okropnie się pokłóciliśmy.

Jamie i Oliwia siedzieli w milczeniu, czując, że Annie potrzebuje czasu, aby wyrzucić to z siebie i wszelkie pytania byłyby nie na miejscu.

– Wszystko zaczęło się od przyjęcia – powiedziała. – Zwykła sprzeczka, nic więcej. Nie chciałam, żeby tam szła, ale powiedziałam mu, że jestem dorosła i mogę robić, co chcę. Ojciec przyjął to spokojnie i cieszyłam się, że zrozumiał. Prawie nigdy nie sprzeczałyśmy się ze sobą, więc byłam zadowolona, że i tym razem obeszło się bez kłótni. Ale potem tata zaczął udzielać mi mnóstwa wskazówek – jak powinnam się ubrać, czym pojechać na przyjęcie, kiedy i jak wrócić.

– Wszyscy ojcowie tak robią – stwierdziła Oliwia, odstawiając kieliszek z koniakiem i sadowiając się wygodnie na podłodze.

– Wiem – odparła Annie. – Wtedy też o tym wiedziałam i nigdy mi to nie przeszkadzało, ale tego dnia chyba wstąpił we mnie diabeł. Po prostu chciałam się z nim pokłócić. Wiele z tego, co mówił, miało sens, a mimo to upierałam się przy swoim.

– Myślę, że on to rozumiał – wtrącił Jamie.

– Nie – zaprzeczyła Annie. Teraz jej twarz była już zalana łzami. – Wcale nie rozumiał. Widziałam w jego oczach, że niczego nie pojmuję. Widziałam, że go zraniłam, ale tłumaczyłam sobie, że dobrze robię, sprzeciwiając mu się. Zawsze we wszystkim mu ustępowałam, zawsze byłam taką grzeczną małą córeczką i pomyślałam wtedy, że powinnam to zmienić.

Czekali, aż wyrzuci to z siebie.

– A potem nie zdążyłaś się z nim pogodzić – powiedziała w końcu Oliwia.

Annie potrząsnęła głową.

– Kiedy mama wróciła od fryzjera i usłyszała, że się posprzeczałyśmy, starała się wszystko załagodzić. Wiedziała, że cała awantura to zwykła burza w szklance wody i że wkrótce się pogodzimy.

– I miała rację – stwierdził Jamie. – Pewnie tak by było.

– Ale nie pogodziliśmy się – wyszeptała Annie. – Tata nadal czuł się dotknięty, a ja po prostu wyszłam z pokoju. Potem mama zajęła go pakowaniem, a kiedy już wyjeżdżali do Szkocji, ja akurat się kąpałam. Oczywiście mogłam zejść na dół i pożegnać się z nimi, ale nie chciałam. Mama tylko wsunęła głowę do łazienki, przesłała mi całusa i życzyła dobrej zabawy.

Oliwia rzuciła szybkie spojrzenie na Jamiego i powiedziała:

– A ty dręczyłaś się tym przez ostatnie kilka tygodni!

– Tak – odpowiedziała Annie, wycierając oczy chusteczką podaną jej przez Jamiego. – Pewnie, że tak.

– Annie Aldrich, jesteś w takim razie głupią gąską! Zapewniam cię, że twój ojciec wybaczył ci, a pewnie i zapomniał o wszystkim, jeszcze zanim wsiedli do tego helikoptera – oświadczyła Oliwia. – Przecież wiedział, że go kochasz!

– Chyba tak.

– Na pewno.

– Oliwia ma rację – zgodził się Jamie. – Twój tata na pewno nie chciałby, abys się tym zamartwiała, wszystkie dzieci kłócą się z rodzicami.

– Wiem – przyznała Annie.

– Tak przynajmniej twierdzisz – zaczęła łagodnie Oliwia. – Ale widzę w twoich oczach, że nie jesteś zupełnie o tym przekonana.

Annie przełknęła łzy, które znowu zakręciły się jej w oczach.

– Po prostu jest mi strasznie smutno – powiedziała.

– Wszystkim nam jest smutno – zauważył Jamie. – I tak będzie jeszcze przez dłuższy czas.

– Ale przynajmniej mamy siebie – dodała Oliwia.

– Nie na długo – stwierdziła Annie z przygnębieniem. – Ty będziesz w Paryżu, Jamie zaczyna studia na Harvardzie, a ja będę tysiące mil od was.

– To tylko odległość na mapie – odparła Oliwia. Wstała z podłogi, podniosła kieliszek i dolała koniaku sobie i Jamiemu. – Możemy przecież pisać do siebie, telefonować i odwiedzać się. Żadne z nas nie musi liczyć się z pieniędzmi. W każdej chwili możemy wsiąść do samolotu i przylecieć.

– Ale jednak to nie to samo, co mieszkać w jednym mieście – stwierdził Jamie. – Już teraz wiem, że będę za wami cholernie tęsknił.

– To dziwne – powiedziała Oliwia. – Chociaż w szkole nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, teraz czuję z wami niezwykle silną więź.

– Biorąc pod uwagę okoliczności – zauważył Jamie – nie ma w tym nic dziwnego.

– Mówisz o smutku, prawda? – spytała Annie.

Oliwia potrząsnęła głową.

– Tu nie chodzi tylko o smutek, Annie – powiedziała. – Myślę, że wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że nikt oprócz nas trojga nie jest w stanie zrozumieć tego, co przeżywamy. Wypadek, który zmienił nasze życie, zmienił i nas samych.

– Chyba wiem, o co ci chodzi – przytaknął Jamie. – Tego dnia, gdy staliśmy na Dukesfield Fell, zawiązała się pomiędzy nami niezwykła, fizyczna niemal więź. Byłem wtedy pewien, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym nici, która nas połączyła. Wiedziałem, a przynajmniej wydawało mi się, że wiem, o czym myślicie. To znaczy, oczywiście nie czytałem w waszych myślach, ale... – Przerwał, wzruszywszy ramionami. Nie potrafił wyrazić słowami tego, co chciał im powiedzieć.

– Ja chyba też rozumiem – powiedziała cicho Annie. – Chociaż skłamałabym, gdybym powiedziała, że poczułam to tam, na górze, byłam zbyt zajęta własnym cierpieniem. Chyba nie zwracałam na was większej uwagi.

– Wszyscy skupiliśmy się przede wszystkim na sobie – stwierdziła Oliwia. – To dlatego chciałam zostać przez chwilę sama – dodała. – Niemniej jednak wiedziałam, że jesteście przy mnie, i to dodawało mi otuchy.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu.

– Czy myślicie, że będziemy do siebie regularnie pisać? – spytał Jamie. – To znaczy, gdy wciągnie nas nowe życie... Nie mówię, że nie będziemy chcieli, ale...

– Ale jesteś po prostu realistą – dokończyła Annie.

– To, czy będziemy pisali listy, nie ma znaczenia – oświadczyła Oliwia. – Ważne jest, abyśmy w jakiś sposób byli w kontakcie. Jak znam siebie, to będę o wiele częściej dzwonić niż pisać, poza tym mogę wysyłać listy nagrane na kasetę...

– Dobry pomysł – pochwalił Jamie.

– Liwi ma rację, powinniśmy od czasu do czasu się odwiedzać – dodała Annie.

Oliwia pociągnęła łyk koniaku i odstawiła kieliszek.

– Jednak żadna z tych rzeczy nie zastąpi najważniejszego – powiedziała z namysłem.

– Co masz na myśli? – spytała Annie.

– Chcę powiedzieć, że najważniejsze jest to, czego potrzebujemy najbardziej – wyjaśniła – to znaczy wzajemne wsparcie wtedy, gdy wszystko będzie się walić, gdy któreś z nas będzie naprawdę w potrzebie. A zgodnie z zasadą prawdopodobieństwa, każdego z nas to czeka.

– Co wobec tego proponujesz? – spytał Jamie.

Oliwia wstała, mieszanka koniaku i wina buzowała jej w żyłach, ale umysł miała jasny.

– Chcę, żebyśmy złożyli przyrzeczenie, zawiązali coś w rodzaju paktu, ślubowali, że zawsze, gdy któreś z nas znajdzie się w kłopotach, będziemy przy nim.

Annie, nadal siedząc na krześle, wzięła głęboki oddech.

– Tak – powiedziała. – Zróbmy to.

– Jamie? – Oliwia spojrzała pytająco na przyjaciela.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się szeroko. – Czy chcesz zrobić tak, jak opisują w książkach? Mamy przysiąc, że zawsze będziemy w kontakcie, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc temu, kto będzie tego potrzebować?

– Nie. – Oliwia potrząsnęła głową. – „Wszystko, co w naszej mocy” nie wystarczy. Ludzie zawsze tak mówią. To taki miły zwrot, który w razie czego pozwala elegancko wycofać się ze zobowiązań. Mówię o prawdziwym pakcie, uroczystym przyrzeczeniu, że jeśli któreś z nas znajdzie się w prawdziwych kłopotach, to pozostała dwójka rzuci wszystko i przybędzie mu na ratunek.

Annie podniosła się z krzesła.

– Tak jak w rodzinie? – upewniła się.

– Tak jak w rodzinie. – Jamie przytaknął, także wstając z łóżka. – Tak jak zrobiliby nasi rodzice, gdybyśmy ich potrzebowali.

– *In loco parentis*. – Annie uśmiechnęła się. – Mojemu tacie to by się spodobało.

– Wszystkim im – sprostowała delikatnie Oliwia. Poczula, jak rodzi się w niej nowe ciepło, mające niewiele wspólnego z wypitym alkoholem. Poczula w sobie nową siłę i nadzieję.

– Weźcie kieliszki – zaproponował Jamie. – Wznieśmy toast za nasz pakt.

Stanęli blisko siebie i podnieśli w górę napełnione kieliszki.

– Za wzajemne wsparcie – powiedział Jamie.

– Bez względu na wszystko – dodała Annie.

– Na dobre i złe – zakończyła Oliwia i jednym haustem opróżniła kieliszek.

Przez następne dziesięć lat każde z nich żyło własnym życiem, ale nie zapominało o przyjaciołach. Pisali listy, telefonowali do siebie, a od czasu do czasu również spotykali się. Widzieli się w osiemdziesiątym pierwszym roku w Londynie, na ślubie Annie z bankierem Edwardem Thomasem. Następnego roku Annie i Jamie polecili do Nowego Jorku z okazji zaręczyn Oliwii, aby w pięć miesięcy później gnać tam ponownie pocieszać ją po rozstaniu z narzeczonym. Na miejscu okazało się, że Oliwia wcale nie potrzebowała współczucia. Przeciwnie, była w siódmym niebie, gdyż udało jej się w porę zakończyć ten niefortunny

związek. W osiemdziesiątym piątym roku, po serii wizyt z okazji chrzcin kolejnych dzieci Annie i Edwarda, znowu spotkali się we trójkę na weselu Jamiego i Caroline Beaumont, wschodzącej gwiazdy przemysłu reklamowego. A czwartego lipca osiemdziesiątego szóstego roku ponownie wspięli się na Dukesfield Fell, aby uczcić dziesiątą rocznicę wypadku rodziców.

Oczywiście, żadnego z tych spotkań, nawet ostatniego, nie można było zaliczyć do „życiowych katastrof”, w których przyrzekli wzajemnie się wspierać. Ot, po prostu miłe wizyty, ważne, ale nie niezbędne, kilka zdjęć i spotkanie z przyjaciółmi. Te lata były szczęśliwe dla całej trójki, nikt nie potrzebował pomocy.

Czasy prawdziwych problemów miały dopiero nadejść. Wszyscy z odwagą i nadzieją rzucili się w wir nowego życia i osiągnęli sukcesy, jednak tragedia, która ich dotknęła, nie pozostała bez echa. Każde z nich było silne, ale i każde miało swoją piętę Achillesa, a, jak to było do przewidzenia, nagła, niespodziewana śmierć rodziców jeszcze uwypukliła te słabe punkty w ich psychice.

W przypadku Annie była to obsesyjna chęć ukrycia tego, że czasami nie radzi sobie z codziennymi obowiązkami. Jamie chciał za wszelką cenę dorównać ideałowi, jakim był dla niego zmarły ojciec. Natomiast Oliwia ponad wszystko stawiała dążenie do prawdy, pielęgnowała w sobie fanatyczne wręcz poczucie sprawiedliwości.

W nadchodzącej dekadzie słabości te trzykrotnie wystawiły na próbę ich przyjaźń. Każde z nich znalazło się w sytuacji, gdy wspomnienie minionej tragedii zaważyło na ich życiu, a pozostała dwójka musiała wcielić w czyn słowa złożonej przysięgi.

Pierwsze wołanie o pomoc przyszło od Annie.

Rozdział 4

Pudełko Oliwii

Nazywam się Anton Rothenburg. W drugiej połowie lat dwudziestych naszego wieku byłem jeszcze dzieckiem. Mieszkaliśmy w dużej rezydencji z szarego kamienia, położonej na obrzeżach Baden-Baden. Teraz widzę, że byliśmy typowymi zasymilowanymi niemieckimi Żydami. Ojciec, Emanuel Rothenburg, matka – Hedi, ja i dwie młodsze córki Liii i Trudę – razem stanowiliśmy stosunkowo zamożną, szczęśliwą i niemalże idealną rodzinę żydowską. Nie byliśmy przesadnie religijni, aczkolwiek chodziliśmy do synagogi w ważniejsze święta, na nabożeństwa Jahrzeit – odprawiane w kolejne rocznice śmierci dziadków, zapraszano nas także na wesela i bar micwy przyjaciół. Rodzice mieli wielu znajomych, byli szanowani i lubiani, a ja i moje siostry także nie narzekaliśmy na brak towarzystwa. Mama uwielbiała wydawać przyjęcia, dwa razy w tygodniu spotykała się z przyjaciółmi na brydżu czy kanaście, często odwiedzała sklepy na Sophienstrasse, a przynajmniej dwa razy w miesiącu jechała robić większe zakupy w Stuttgarcie czy Frankfurcie. Papa niczego nam nie odmawiał. Zajmował się kolekcjonowaniem dzieł sztuki; praca ta sprawiała mu niekłamaną przyjemność, którą chętnie się z nami dzielił. Często powtarzał, jak bardzo jest szczęśliwy, że może obcować z najpiękniejszymi i najcenniejszymi przedmiotami stworzonymi przez człowieka, a przy tym może sobie jeszcze pozwolić na stworzenie prywatnej kolekcji obrazów symbolistów. Będąc jeszcze dzieckiem, oczywiście nie bardzo rozumiałem i podzielałem jego entuzjazm w tych sprawach. Dopiero po bar micwie, kiedy ojciec zaczął dzielić się ze mną tajnikami swojego zawodu i traktować jak równego sobie, zrozumiałem jego pasję i zaangażowanie. Jednak wtedy, w drugiej połowie lat dwudziestych, zanim zaczęły się kłopoty, wystarczyło mi to, że byliśmy po prostu szczęśliwi.

Z początkiem lat trzydziestych sława kolekcji symbolistów Rothenburgów wykroczyła poza granice Badenii-Wirtembergii. Nasz dom stał się czymś w rodzaju mocno strzeżonej twierdzy, w której ukryto prace tak doskonałych malarzy, jak Bonnard, Gauguin, Emil Bernard, Vuillard, Redon, Munch, Hodler i wielu innych. Jeszcze na długo przed styczniem trzydziestego trzeciego roku, kiedy to Hitler doszedł do władzy, a ja ukończyłem dwanaście lat, rodzice często rozpatrywali możliwość przeniesienia się do Ameryki i wywiezienia kolekcji obrazów.

– Nie ma pośpiechu – mówił papa zawsze, gdy mama podnosiła tę kwestię. – Nie ma powodów do paniki. Możemy spokojnie wszystko zorganizować, nie trzeba się spieszyć.

Rok wcześniej, w połowie lutego trzydziestego drugiego, po raz pierwszy nasz dom odwiedził tajemniczy nieznajomy. Nadal dokładnie pamiętam ten dzień. Było to niedzielne popołudnie. Po lunchu wszyscy przeszliśmy do salonu. Mama jak zwykle grała na fortepianie jakiś utwór Chopina, gdy do salonu weszła nasza pokojówka Maria, trzymając w ręku kartę wizytową. Na wizytówce widniało nazwisko: Georg Brauner, aczkolwiek ojciec powiedział nam później, że prawdopodobnie nie było to prawdziwe nazwisko nieznajomego. Mężczyzna płynnie mówił po niemiecku, jednak z nieznacznym obcym akcentem, którego papa nie potrafił rozpoznać, choć, w gruncie rzeczy, niewiele go to obchodziło.

Georg Brauner oznajmił, że przyszedł zaproponować nam pomoc.

– Dlaczego uważa pan, że potrzebuję pańskiej pomocy, panie Brauner?

Emanuel Rothenburg miał czterdzieści dwa lata. Jego jasnobrązowe włosy ostatnio nieco się przeredziły i zaczynały siwieć, a dodatkowe centymetry w pasie zapowiadały przyszłą otyłość. Był pogodnym, miłym mężczyzną, do niedawna także towarzyskim i otwartym człowiekiem, który z przyjemnością zapraszał i przyjmował w swoim domu wszystkich gości. Jednak wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że stał się ostrożniejszy i zaczął z dystansem podchodzić do wszelkich niespodziewanych wizyt. Tego lutowego popołudnia, siedząc naprzeciw eleganckiego, opanowanego, ciemnowłosego młodego przybysza, uznał, że jest od niego co najmniej dziesięć lat starszy. Mimo że znajdowali się w jego własnym domu, w spokojnej, bezpiecznej bibliotece, pełnej oprawnych w skórę dzieł klasyków: Goethego, Dumasa, Scotta, Emanuel czuł dziwny niepokój.

– Jak słyszałem, panie Rothenburg, zamierza pan wyjechać z Niemiec – oznajmił Brauner bez zbędnych wstępów i, nie czekając na odpowiedź Emanuela, dodał: – Obawiam się również, pan pewnie także, że przewiezienie pańskiej kolekcji do Stanów będzie bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

Emanuel siedział bez ruchu. Nie był pewien, co w wypowiedzi Braunera zaniepokoiło go bardziej: jego arogancja czy nieoczekiwana, nieznośna świadomość, że nieznajomy wie zbyt wiele o jego sprawach. Spojrzał na pudełko z cygarami stojące na stole z drzewa różanego z białym obitym skórą i poczuł nagłą ochotę na cygaro. Powstrzymał się jednak, gdyż wrodzona

uprzejmość nakazałaby mu poczęstować również Braunera, a Emanuel nie chciał przedłużyć tej przykrew wizyty – najchętniej po prostu wyrzuciłby intruza nie tylko z biblioteki, ale i z domu.

– Nie mam pojęcia – zaczął powoli – skąd uzyskał pan te informacje, panie Brauner, ale myli się pan.

– Co do czego? – spytał Brauner.

– Słucham?

– Które z moich informacji są mylne, panie Rothenburg? Czy nieprawdą jest to, że chce pan wyjechać do Ameryki, czy może to, że próbując wywieźć obrazy napotka pan na spore trudności?

– Jak już wspomniałem – ciągnął Emanuel, wolno cedząc słowa, aby nie okazać swojego poirytowania – nie mam pojęcia, w jaki sposób ani skąd dowiedział się pan o moich planach, ale zapewniam, że wprowadzono pana w błąd. Więc jeśli to wszystko, to... – oznajmił, podnosząc się z miejsca.

– Proszę, panie Rothenburg... – powiedział pojednawczym tonem nieznajomy. – Widzę, że pana zdenerwowałem.

– To absurd! – odparł Emanuel. – Jestem człowiekiem zajęтым i nie chciałbym marnować ani pańskiego, ani swojego czasu.

– Proszę tylko o kilka minut – upierał się Brauner. – Zobacz pan, że warto poświęcić mi chwilę uwagi.

Emanuel przyjrzał się mu uważnie. Mężczyzna ubrany był w idealnie skrojony, trzyczęściowy stalowoszary garnitur, do tego o ton jaśniejszy jedwabny krawat oraz nieskazitelnie czyste czarne buty. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął wąską złotą papierośnicę i otworzywszy ją, podsunął Emanuelowi. Z drugiej kieszeni wyjął złotą zapalniczkę i zapalił papierosa. Rothenburg stwierdził, że w zachowaniu mężczyzny jest coś nienaturalnego, był zbyt ugrzeczniony i w pierwszej chwili można było go wziąć za zwykłego oszusta. Jednak Emanuel był pewien, że eleganckie ubranie i wyszukane dodatki nie są tylko mistyfikacją. Zewnętrzny wygląd pasował do tego mężczyzny. Coś w Georgu Braunerze – mimo młodego wieku i odpychającej, nienaturalnie gładkiej i schludnej powierzchowności – znamionowało stare europejskie pieniądze, wrodzoną klasę i odziedziczoną po przodkach elegancję. Wszystko to skłoniło Emanuela do przystania na propozycję gościa i cierpliwego wysłuchania tego, co miał mu do powiedzenia.

– Dobrze, niech pan mówi – oznajmił.

Brauner, do tej pory rozluźniony, pochylił się do przodu i zaczął konspiracyjnym tonem:

– Naprawdę mogę panu pomóc, panie Rothenburg. Dysponuję sporą gotówką, ale przede wszystkim – co w pańskiej sprawie jest najistotniejsze – posiadam rozległą sieć kontaktów w kraju i za granicą.

Emanuel nieznacznie wzruszył ramionami, ale nie odezwał się.

– Pańska osobista kolekcja zasługuje na uznanie – ciągnął Brauner. – Ja także jestem wielkim miłośnikiem sztuki, a w pewnym sensie i kolekcjonerem, aczkolwiek daleko mi do pańskiego doświadczenia i znanstwa. Żywię jak najbardziej szczerzy podziw dla pańskich osiągnięć.

– Miło mi – odparł zdawkowo Emanuel, czekając, aż mężczyzna przejdzie do sedna sprawy.

Brauner skinął głową.

– Przejdźmy zatem do interesów – oznajmił. – Uważam, że mogę pomóc panu w przeniesieniu całej kolekcji do Ameryki. – Zauważył błysk zniecierpliwienia w oczach swojego rozmówcy, więc szybko dodał: – Proszę nie mówić mi znowu, że się mylę. Nawet jeśli tak jest i cała ta rozmowa byłaby czysto hipotetyczna, proszę pozwolić mi skończyć.

– Skoro pan tak nalega... – odparł Emanuel ze znużeniem.

– Tak jak mówiłem, mogę panu pomóc. Proszę mi wierzyć.

– Dlaczego chce mi pan pomóc? – spytał Emanuel.

– Dlaczego oferuję swoją pomoc? – Brauner uśmiechnął się. – Chce pan wiedzieć, co ja będę z tego miał? – Emanuel milczał. – Rzecz jasna, nie zrobię tego za darmo – ciągnął Brauner. – Oczekuję pewnego wynagrodzenia w naturze. Założmy, oczywiście czysto teoretycznie, że w zamian za Hodlera otrzymam Bonnarda lub na przykład Muncha za Redona, naturalnie wszystko jest do negocjacji.

– Naturalnie – odparł Emanuel, naprawdę zbity z tropu.

– Na pierwszy rzut oka cały układ jest bardzo prosty – powiedział Brauner, wzruszając ramionami. – Ale oczywiście nie obejdzie się, jak mniemam, bez pewnych komplikacji.

– Oczywiście – odrzekł Emanuel z wyczuwalną ironią w głosie.

– Więc... – Brauner odchylił się na krześle. – Jaka jest pana pierwsza reakcja na moją propozycję?

– Pierwsza i ostatnia – sprostował Emanuel. Zdziwienie i sarkazm wyczuwalny w jego głosie zniknęły. – Szczerze dziękuję panu, panie Brauner, za pańską propozycję, jednak fakt pozostaje faktem – nie potrzebuję pańskiej pomocy.

– Ponieważ ma pan własne kontakty w Stanach? – spytał łagodnie Brauner. – Znajomych kolekcjonerów sztuki i przyjaciół? Na przykład Maksa Wildenbrucha na Manhattanie?

Emanuel znowu poczuł się nieswojo.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam ochoty na rozmowę o moich znajomych – oznajmił sztywno.

– Naturalnie – odpowiedział Brauner. – Przecież prawie nic pan o mnie nie wie.

– W ogóle nic o panu nie wiem, sir.

Brauner raz jeszcze uśmiechnął się.

– Oprócz jednej rzeczy: tego, że mogę panu pomóc. I że chcę panu pomóc. Za odpowiednią cenę.

– A ja po raz ostatni mówię panu, że nie potrzebuję pańskiej pomocy. – Emanuel wstał, jednoznacznie dając nieznanemu do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną. Wyciągnął w jego kierunku rękę i dodał: – Dziękuję za wizytę, panie Brauner. Szkoda, że tracił pan czas.

– Nie uważam tej wizyty za bezowocną – zaproponował Brauner, odwzajemniając uścisk dłoni.

Wyszli z biblioteki i ruszyli w kierunku wysokiego, wyłożonego drewnianą boazerią holu. Dwa dogi Rothenburgów, leżące pod jednym z ulubionych obrazów Hedi pędzla Hodlera, poruszyły się i zamerdały ogonami, ale nie ruszyły się z miejsca.

– Gdyby zmienił pan zdanie... – już przy drzwiach rzucił Brauner – zatrzymam się w Brenner's Park.

– Jak długo zabawi pan w mieście? – zapytał uprzejmie Emanuel.

– Kilka dni – odparł Brauner.

– Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze bawić – powiedział Emanuel, otwierając drzwi wejściowe. Poczuli mroźny powiew wiatru.

– Na pewno – zgodził się Brauner. – Chociaż szkoda, że kasyno jest nieczynne. Słyszałem, że w przyszłym roku mają je znowu otworzyć. Czy jest pan hazardzistą, panie Rothenburg? – zagadnął.

– Czasami, głównie na wyjazdach, grywam w ruletkę, ale nie jestem prawdziwym hazardzistą.

– A to szkoda – stwierdził Brauner. – Zaryzykowałbym zakład o to, ile czasu zajmie panu zmiana decyzji co do mojej propozycji.

Emanuel był pod wrażeniem uporu mężczyzny, ale odrzekł:

– Na pańskim miejscu, nie marnowałbym pieniędzy.

Georg Brauner pojawił się w naszym życiu ponownie po przeszło roku, ale zaraz po przekroczeniu progu biblioteki papy skierował rozmowę na temat niesprawiedliwości, która spotykała Żydów w naszym kraju. Ojcu nie trzeba było przypominać, że już od kilku tygodni gestapo miało uprawnienia pozwalające im na aresztowanie, internowanie i przesłuchiwanie ludzi bez nakazu sądowego, że żydowscy artyści nie byli dopuszczani do udziału w wystawach, że książki żydowskich pisarzy były palone i wreszcie, że coraz więcej Niemców żydowskiego pochodzenia było już nie tylko dyskryminowanych i poniżanych, ale coraz częściej po prostu mordowanych. Gdy zwrócił Braunerowi uwagę, że ten nie powiedział mu niczego, o czym by on sam wcześniej nie wiedział, Brauner spytał go, dlaczego, skoro tylu ludzi wyjeżdża, ojciec także nie opuści Baden-Baden.

Ponieważ w naszym przypadku, odparł z całą szczerością ojciec, nie ma powodu do pośpiechu. Nikt nie przeszkadzał masowej emigracji, która, jakby nie było, pozwalała osiągnąć nazistom cel, który chcieli osiągnąć, czyli „oczyszczenie” Niemiec z ludzi, których Brauner nazywał „swoimi klientami”. Poza tym, dodał papa, on sam nigdy nie zwykł był się śpieszyć i nie widział powodu, aby teraz to zmieniać.

– Więc – stwierdził Brauner – nadal uważa pan, że moja pomoc jest zbędna?

Ojciec spojrział mu prosto w oczy.

– Ja to wiem – powiedział.

Ojciec naprawdę wierzył w to, co powiedział Braunerowi. Nasza sytuacja była inna niż większości niemieckich Żydów. Szczerze wierzył, że ze względu na pozycję, jaką zajmował w lokalnej społeczności, a także z uwagi na majątność naszej rodziny, przynajmniej chwilowo jesteśmy bezpieczni. Papa często powtarzał nam, że pieniądze jako takie znaczą niewiele, że

nieskończenie ważniejsza jest wzajemna miłość, dobre zdrowie i zadowolenie z życia. Jednak w miarę jak docierały do nas niepokojące wieści, a spokój rodziców coraz częściej burzyły przejawy brutalności i dyskryminacji, ojciec musiał przyznać, że docenia materialną wartość swojego bogactwa. To dzięki jego pieniądзом i szacunkowi, jakim go nadal darzono, mogliśmy wciąż cieszyć się w miarę spokojnym życiem. Nawet jeśli zdarzało się, że nasi sąsiedzi byli upokarzani w sklepach Baden-Baden, Stuttgartu czy Frankfurtu, mama zawsze mogła uniknąć tych nieprzyjemności, posyłając po zakupy Marię czy Rudiego, naszego szofera. Po pierwszych przejawach antysemityzmu w naszej szkole papa opłacił Liii, Trudę i mnie prywatne lekcje w domu. Byłem bardzo zadowolony z takiego rozwiązania, ponieważ na prośbę naszego sąsiada, Samuela Landau, w lekcjach tych uczestniczył także jego syn, a mój najlepszy przyjaciel – Leo. Nasz nauczyciel, profesor Eichinger, był o wiele młodszy i bardziej liberalny od szkolnych nauczycieli. Chociaż lekcje w domu nie były tak formalne jak w szkole, a na pewno o wiele ciekawsze, profesor potrafił utrzymać dyscyplinę i w rezultacie sprawił, że naprawdę przykładaliśmy się do nauki. Sam ojciec, co z dumą często podkreślał, nadal zajmował się sztuką i utrzymywał kontakty z wieloma artystami, którzy z racji tak swojej osobowości, jak i wykonywanego zawodu byli bardziej tolerancyjni niż reszta społeczeństwa, a rasizm i uprzedzenia były im obce. Krótko mówiąc, nasze życie nie uległo większym zmianom i nadal byliśmy szczęśliwi.

Jednak ojciec nie był ani naiwny, ani niemądry. Mijały kolejne miesiące, a ogólna sytuacja nie ulegała poprawie. Jego skrywane nadzieje, że być może uda nam się bezpiecznie przetrwać burze i pozostać w naszym pięknym domu, nikły w konfrontacji z rzeczywistością. Co gorsza, z coraz większą jasnością zaczął uświadamiać sobie, że jeśli zdecyduje się na ucieczkę z rodziną do Ameryki, musi liczyć się z tym, że straci większą część kolekcji Rothenburgów. Słyszałem, jak powiedział kiedyś do mamy, że w całym kraju pojawiło się wielu tak zwanych marszandów, którzy twierdzili, że są gotowi do „zaopiekowania się” dziełami sztuki, będącymi w posiadaniu Żydów. Ojciec z wielkim wzburzeniem stwierdził, że nie wierzy za grosz tym dwulicowym oportunistom. Jak z goryczą zauważył, Georg Brauner przynajmniej był uczciwy przyznając, że zamierza zarobić na oferowanej mu pomocy i otwarcie twierdził, że jest w stanie ocalić przynajmniej połowę kolekcji.

– Być może źle zrobiłem nie słuchając go – wyznał ostatnio mamie.

– Nie sędę – odparła ze spokojem mama. – Uważam, że postąpiłeś słusznie.

– Być może – westchnął papa. – Ale tak czy inaczej, jeśli jeszcze wróci, powiem mu, że jestem gotów dogadać się z nim.

Brauner wrócił. Pojawił się ponownie wieczorem trzydziestego września trzydziestego piątego roku, w piętnaście dni po wydaniu Ustaw Norymberskich. Przez ostatnie dwa tygodnie Emanuel musiał przyjąć do wiadomości to, że nowe prawo oznaczało w istocie wykluczenie Żydów z niemieckiego społeczeństwa, zakazywało małżeństw i wszelkich fizycznych kontaktów pomiędzy Niemcami a Żydami i rozwiewało wszelkie nadzieje na normalizację życia. W ciągu tych piętnastu dni Emanuel musiał zrezygnować z przywiązania do ojczyzny, za którą uważał Niemcy, i zająć się przygotowaniami do ucieczki, godząc się z nieuniknionymi stratami, jakie musiał przynieść pospieszny wyjazd.

Brauner był mocno opalony i najwyraźniej wypoczęty.

– Wygląda pan świetnie – zagaił przyjaźnie Emanuel.

Hedi i dzieci były w domu. Dziewczynki, czternastoletni już Anton i Leo Landau uczyli się w bibliotece, dlatego Emanuel przyjął Braunera w saloniku, ulubionym pomieszczeniu całej rodziny, znacznie przytulniejszym i mniej przestronnym od wielkiego salonu, w którym Rothenburgowie zwykli niegdyś przyjmować przedstawicieli najznamienitszych rodzin Baden-Baden. W pokoju tym znajdowało się radio i gramofon, dobrze zaopatrzone barek i fortepian, na którym często grywali Hedi i Anton. Umeblowanie saloniku stanowiły najwygodniejsze, często mocno już zużyte meble pozbierane z całego domu, na ścianach wisiały trzy obrazy autorstwa de Chavannesa, Denisa i na honorowym miejscu – dzieło Bonnarda.

– Spędziłem w tym roku wspaniałe wakacje – odparł Brauner.

W czasie gdy Hedi podawała im kawę, Emanuel próbował uspokoić się, powściągnąć z trudem ukrywane uczucie ulgi, które ogarnęło go, gdy zobaczył na progu swojego domu Braunera. „Okazanie zainteresowania uchybiałoby mojej godności, a co gorsza, z pewnością zaszkodziłoby moim interesom” – tłumaczył sobie, czekając, aż gość usadowi się wygodnie w fotelu. Oczywiście pragnął, żeby Brauner wiedział, że zmienił zdanie i gotów jest przystać na jego propozycję, ale równocześnie chciał sprawować kontrolę nad całą rozmową.

– Może się mylę – zaczął Brauner – ale wydaje mi się, że w końcu zdał pan sobie sprawę

z rzeczywistego stanu rzeczy.

– Mówi pan o planowanej przeze mnie ucieczce z Niemiec? – spytał Emanuel, doskonale wiedząc, że czas postawić sprawę jasno, bo być może nie będzie miał następnej szansy.

– Właśnie to mam na myśli.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio – rzekł Emanuel po chwili milczenia – złożył mi pan pewną ofertę.

– Wtedy, a także, jak pan sobie przypomina, przy naszym pierwszym spotkaniu – odparł Brauner.

– Byłem za nią wdzięczny – ciągnął Emanuel – ale nie przyjąłem jej.

– Nie mogę powiedzieć, abym dostrzegł w pańskiej odmowie wdzięczność – zauważył Brauner.

– W takim razie bardzo przepraszam.

– Nie ma za co.

– Bardzo pan łaskaw. – Emanuel poczuł, jak zaciska mu się żołądek, ale zmusił się do wyznania: – Teraz zdaję sobie sprawę, że być może moja reakcja była nieco nieprzemyślana.

– Czyżby? – zdziwił się Brauner i, podnosząc filiżankę razem ze spodeczkiem, wypił kilka łyków kawy.

– Muszę wiedzieć – Emanuel postanowił przejść do sedna, nie chcąc przeciągać rozmowy dłużej, niż było to konieczne. – Muszę wiedzieć, panie Brauner, czy pańska propozycja jest nadal aktualna.

– Tak – powiedział Brauner i odstawił filiżankę.

– Wobec tego – oświadczył Emanuel zadowolony, że Brauner nie zauważył, jak wielką poczuł ulgę, usłyszawszy tę odpowiedź – myślę, że moglibyśmy przejść do szczegółów. – Zawahał się. – Warunki, o których uprzednio pan mówił, były, jak sam pan stwierdził, czysto teoretyczne, powiedziałbym – nierealne.

– Całkowicie nierealne – zgodził się Brauner. – Z tego, co pamiętam, sugerowałem zapłacenie Bonnardem za Hodlera, tudzież Munchem za Redona.

– Dokładnie – uśmiechnął się Emanuel. – Zapewne przygotował już pan bardziej rozsądną propozycję?

– Naturalnie – odrzekł Brauner.

– Może jeszcze kawy? – spytał Emanuel.

– Nie, dziękuję – odparł Brauner. – Cena za moją pomoc, wzięwszy pod uwagę to, że pańska sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu, jest naturalnie wyższa. O wiele wyższa.

– O ile? – Żołądek zaciskał mu się coraz bardziej. Wcześniej Emanuel myślał, że jest dobrze przygotowany do tej rozmowy, ale obecnie uzmysłowił sobie, że mimo wielopokoleniowych fortun i wpływów, które za nim stały, w gruncie rzeczy Georg Brauner nie różni się niczym od innych oportunistów, z którymi miał ostatnio do czynienia.

– Zgodzi się pan, że pozostało niewiele czasu – powiedział Brauner.

– To prawda.

– Rozumie pan także, że chociaż mam znacznie większą niż pan swobodę w poruszaniu się i mogę dowolnie dysponować swoją własnością, to jednak zajęcie się pańską sprawą może być dla mnie naprawdę niebezpieczne.

– Tak – odpowiedział Emanuel. – Rozumiem.

– Znakomicie – odparł Brauner. – Czy mógłbym od razu zobaczyć pańskie obrazy?

– Oczywiście.

– Rzecz jasna, zgodnie z naszą umową, będę mógł już teraz wybrać i zabrać ze sobą niektóre prace?

Serce Emanuela zabiło mocniej, ale odpowiedział:

– Zgodnie z umową... tak.

– Dobrze. Zaczynamy więc – oświadczył Brauner, przewiercając go wzrokiem na wylot.

– O ile wiem, jest pan w posiadaniu dwóch obrazów Gauguina?

– Tak.

– A także kilku szkiców Muncha?

– Ma pan słuszność.

– Wezmę oba Gauguiny i wszystkie szkice, a w zamian postaram się, aby któryś z obrazów, powiedzmy dzieło Denisa, w przeciągu tygodnia rozpoczął swoją podróż do Nowego Jorku.

Emanuel z pobladłą twarzą gwałtownie wstał.

– To w ogóle nie wchodzi w rachubę – powiedział.

– To znaczy co?

– Ta cała wymiana. Wie pan, że to niemożliwe.

– Przeciwnie – odparł uprzejmie Brauner, patrząc mu prosto w oczy. – A dlaczegóż by

nie? Właśnie w ten sposób zamierzam dobić z panem targu.

– Ależ... to niedorzeczne... to kpina! – wykrzyknął Emanuel, całkowicie wyprowadzony z równowagi. – To tak, jakby porównywał pan dom zdrojowy czy kasyno z tym domem! Przecież wartość tych obrazów jest zupełnie nieporównywalna!

– Ma pan rację – przyznał Brauner. – Ale taka jest moja oferta.

– W takim razie, sir, nie mogę na nią przystać.

– Jest pan tego pewien? – spytał spokojnie Brauner.

– Całkowicie. Chyba nie przypuszczał pan, że się zgodzę na taki układ? – Emanuel stał, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. – Myślę, sir, że powinien pan natychmiast opuścić mój dom.

– Proszę usiąść, panie Rothenburg.

Emanuel spojrzał tępo na Braunera.

– Prosiłem, żeby pan usiadł – powtórzył Brauner.

Emanuel usiadł, powoli odzyskując równowagę. Może, pomyślał, ten człowiek tylko się ze mną bawi. Może jego propozycja to tylko głupi żart, a teraz rozpoczną się prawdziwe negocjacje. Emanuel potrafił docenić dobry żart, był przecież znany w całym Baden-Baden z poczucia humoru.

– Nadal nic pan nie rozumie – tłumaczył Brauner. – Nadal nie zdaje sobie pan sprawy z powagi sytuacji.

– Przeciwnie – zaprzeczył Emanuel.

– Niczego pan nie rozumie – upierał się Brauner. – I chyba nie docenia pan moich możliwości – zarówno tu, jak i poza granicami kraju.

Emanuel wpatrywał się w niego w milczeniu. To nie był dowcip. A co więcej, był całkowicie pewien, że nie usłyszał jeszcze najgorszego.

– Max Wildenbruch zgodził się poświadczyć za pana w Nowym Jorku – zaczął Brauner. – To pana najlepszy przyjaciel i miał załatwić panu i pańskiej rodzinie wszystkie potrzebne papiery, nieprawdaż?

Emanuel nie odpowiedział, w głowie kłębiły mu się straszne myśli.

– Nieprawdaż? – w głosie Braunera pojawił się nieprzyjemny ton.

– Tak.

– Wildenbruch nie żądał żadnej opłaty – ciągnął Brauner. – Ale na pewno oliwienie

trybów maszyny systemu i smarowanie pomocnych dłoni musiało go nieźle kosztować. A pan zgodził się pokryć te wydatki, prawda?

Po raz pierwszy Emanuel poczuł strach, prawdziwe przerażenie, które ścisnęło mu serce. Zdał sobie sprawę, że ten nieskazitelny, elegancki mężczyzna może stanowić dla niego, Hedi i dzieci prawdziwe zagrożenie. Więcej – teraz był tego pewien.

Brauner pochylił się do przodu.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, Emanuelu Rothenburg – powiedział – bo to twoja ostatnia szansa. Słyszysz?

– Tak – odpowiedział prawie bezgłośnie Emanuel.

– Ci sami ludzie, którzy umożliwią mi bezpieczne wysłanie twoich zbiorów do Nowego Jorku, mogą z równą łatwością sprawić, że ty, twoja żona i dzieci już nigdy nie wyjedziecie z Niemiec.

Twarz Emanuela była teraz niemal przezroczysta, serce kołatało mu w piersi.

– Nie wierzysz mi, Rothenburg? – w głosie Braunera nie było już uprzejmości. – A myślę, że powinieneś.

– Tak – Emanuel skinął wolno głową. – Teraz ci wierzę.

– Dobrze – odparł Brauner. – Bardzo dobrze. – Ponownie rozsiadł się wygodniej. – Myślę, że teraz możemy napić się kawy. Czy twoja żona może nam zaparzyć świeżej?

– Tak. – Emanuel ostrożnie podniósł się z fotela, czując, jakby nagle przybyło mu dziesięć lat. – Poproszę ją o to.

– Dziękuję – powiedział Brauner. – A potem, jeśli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy rozpocząć poważne negocjacje. Naturalnie, jeśli się zgodzisz.

Stojąc w drzwiach, ciągle oszołomiony, Emanuel spojrzał na gościa.

– Tak – powiedział. – Zgadzam się.

„Negocjacje” trwały do późnej nocy. Papa oprowadzał Braunera po piwnicach domu zamienionych w archiwa, po pokojach przekształconych w sale muzealne, w których w odpowiedniej temperaturze i wilgotności przechowywano wartościowe płótna i wiekowe papiery kolekcji Rothenburgów. Opowiadał później mamie, że obserwował Braunera, grymas jego ust, błysk w ciemnych oczach, gdy przeglądał prace, i że zobaczył w jego twarzy prawdziwą pasję, wręcz fizyczną żądzę. Zobaczył, że mężczyzna ten nie pragnie jego obrazów jedynie dla ich

materialnej wartości, ale przede wszystkim dla nich samych – dla ich piękna i dla dumy, którą przynoszą ich posiadaczowi. Ojciec rozumiał, że pragnienia Braunera były tak silne, że sprawiały, iż dostawał wszystko, czego chciał.

O ósmej wieczorem wszyscy zasiedliśmy do kolacji przygotowanej na życzenie Braunera. Brauner usiadł pomiędzy mamą a Lili. Wówczas nie w pełni zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji, ale teraz potrafię zrozumieć, jak czuł się wtedy mój ojciec. Rozumiem także, co czuł, gdy stojąc na drabinie w piwnicy, zdejmował ze ściany obrazy Gauguina i szkice Muncha, troskliwie je pakował, a potem z rozdartym sercem, stojąc w drzwiach, obserwował, jak Georg Brauner wsiada do mercedesa, który czekał na niego przez tyle godzin.

Przy tym ojciec wiedział, że Brauner jeszcze wróci, zdawał sobie sprawę, że oto został omotany pajęczyną szantażu. Nie wiedział tylko jak – i czy w ogóle – się to skończy.

Rozdział 5

Annie

Wiosną osiemdziesiątego siódmego roku każde z przyjaciół żyło własnym życiem w trzech różnych krajach. Oliwia – niezamężna i wolna jak ptak – zawsze chciała dużo podróżować i cieszyć się życiem, dlatego po ukończeniu studiów na Sorbonie została tłumaczem. Zamieszkała w Szwajcarii, w Genewie, gdzie założyła agencję tłumaczeń i za jej pośrednictwem współpracowała z wieloma pisarzami, dziennikarzami, wytwórniami filmowymi i stacjami telewizyjnymi. Jamie – prostoduszny, wrażliwy i otwarty Jamie – osiedlił się w Bostonie, zaledwie sześćdziesiąt mil od posiadłości rodzinnej Ariasów, w Rhode Island. Robił to, co umiał i rozumiał najlepiej: pracował w reklamie i wraz z żoną Carrie Beaumont Arias, bynajmniej nie dobroduszną ani też wrażliwą, prowadził własną agencję reklamową. A Annie wraz z mężem, starszym od niej o piętnaście lat angielskim bankierem Edwardem Thomasem i trójką dzieci, prowadziła beztroskie życie, typowe dla angielskiej warstwy średniej, w pięknym domu na wsi, w Oksfordshire.

Wołanie o pomoc nadeszło od Annie rano, dwie po dziesiątej czasu europejskiego, w chwili gdy Oliwia właśnie wychodziła na spotkanie w Gilles-Breque Pharmaceuticals, firmie, dla której wielokrotnie robiła tłumaczenia. W Anglii była dopiero dziewiąta, toteż kiedy Oliwia odebrała telefon i usłyszała w słuchawce głos Annie, była nieco zdziwiona. Annie, mając mnóstwo pracy przy trójce dzieci, była zwykle zbyt zajęta, by dzwonić w ciągu dnia.

– Liwi? – W głosie Annie słychać było wyraźne napięcie.

– Cześć Annie. Co słychać? – zapytała Oliwia, upychając jednocześnie przeróżne papiery do leżącej na biurku teczki.

– Nic – odparła Annie. – Wszystko... – dodała po chwili.

– Powiedz, o co chodzi?

– Nie mogę. Nie przez telefon.

– Ale chwilowo możemy porozmawiać tylko w ten sposób, Annie. – Oliwia przerwała pakowanie teczki i usiadła za biurkiem. – Czy coś się stało? Wszystko w porządku? Co z

dziećmi?

– W porządku. Dzieci czują się dobrze. – Annie zawahała się. – Przynajmniej na razie.

– Co masz na myśli? – Oliwia rzuciła okiem na zegarek. – Annie, przecież dzwonisz, żeby mi o czymś powiedzieć, prawda?

– Tak.

Oliwia odczekała trzy sekundy. Nigdy nie grzeszyła cierpliwością, więc i teraz nie wytrzymała przedłużającej się ciszy.

– Annie, do jasnej cholery, wyduś to z siebie!

– Potrzebuję cię, Liwi – powiedziała prawie bezgłośnie Annie. – Wiem, że pewnie nie masz czasu, ale pomyślałam o przysiędze, którą złożyliśmy w siedemdziesiątym szóstym, i...

Oliwia poczuła nagły powiew chłodu. Jeśli Annie po tylu latach przypomniała sobie o pakcie, to musiała być w prawdziwych tarapatach.

– Pamiętasz, Liwi?

– Oczywiście, że pamiętam.

Pamiętała, jakby to było wczoraj – ich troje w pokoju hotelowym niedaleko Dukesfield Fell. Pili koniak i zastanawiali się nad tym, jak sobie poradzą w pojedynkę rozrzucony po świecie. „Jeśli którekolwiek z nas wpakuje się w poważne kłopoty i będzie potrzebować pomocy, pozostała dwójka rzuci wszystko i przybędzie mu z odsieczą”.

– Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Przepraszam.

– Nie wygłupiaj się. Przecież o to chodziło w naszym pakcie – przypomniała Oliwia. Gorączkowo zastanawiała się, co zrobić. Nie musiała zaglądać do terminarza, żeby wiedzieć, że nie ma czasu. Jeśli Annie będzie chciała, aby natychmiast do niej przylecieć, trzeba będzie znaleźć zastępstwo wszystkim klientom, wobec których miała zobowiązania. Ale z drugiej strony, zawiązując pakt, wszyscy wiedzieli, że spełnienie jego postanowień nie zawsze będzie łatwe. – „Bez względu na okoliczności” – tak przyrzekali.

– A co z Jamiem – spytała. – Dzwoniłaś do niego?

– Jeszcze nie. Myślałam, że może ty...

– Naturalnie. Zadzwoń do niego, jeśli chcesz.

– To wszystko moja wina – oświadczyła Annie bliska łez. – Jestem do niczego. Jestem takim okropnym tchórzem.

– O czym ty mówisz, Annie? – Oliwia nie wierzyła własnym uszom. – Jesteś wspaniała.

Masz cudowne życie, dobrze radzisz sobie z dziećmi...

– Wcale nie jestem wspaniała, Liwi.

Nagle Oliwia zdała sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Kobieta, z którą rozmawiała, nie była tą pewną siebie i odpowiedzialną Annie, którą znała. To nie było już tylko roztargnienie czy przygnębienie, głos Annie brzmiał niczym z zaświatów.

– Jestem zdruzgotana – mówiła Annie. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak potworny bałagan zrobiłam w swoim życiu!

Oliwia przestała zerkać na zegarek, zapomniała już nawet o umówionym spotkaniu.

– Czy chodzi o Edwarda? Czy z twoim małżeństwem dzieje się coś złego?

– Niezupełnie. Na razie jeszcze nie.

To samo odpowiedziała na pytanie o dzieci. Oliwii coraz mniej podobała się ta rozmowa.

– Dobrze – oznajmiła stanowczo. – Chcesz, żebym przyjechała, tak? Nie wiem, czy uda mi się przylecieć już dzisiaj. Spróbuję, ale...

– Nie – przerwała ostro Annie. – Nie możesz przyjechać!

– To o co ci w końcu chodzi, Annie? Czy chcesz, żebyśmy spotkały się w Londynie? A może wolisz przyjechać do mnie? Byłoby świetnie – dodała szybko Oliwia. – Nie byłaś u mnie od wieków! – urwała. – Annie, kochanie, to nie ma sensu, musisz mi powiedzieć, o co chodzi. Jeśli mam ci pomóc, muszę wiedzieć coś więcej. Cokolwiek!

– Boję się powiedzieć.

– To idiotyzm!

– Boję się, bo kiedy ci powiem, już nigdy nie będziesz traktować mnie jak kiedyś. Ani ty, ani Jamie. – Annie znowu była bliska łez. – Tak bardzo nienawidzę samej siebie, Liwi, i czuję, że kiedy ci powiem, ty też mnie znienawidzisz!

– Annie, cokolwiek by to było, nie ma takiej rzeczy, która sprawiłaby, że cię znienawidzę.

– Może tak, a może nie.

Niepokój Oliwii rósł z każdą chwilą.

– Annie, powiedz mi natychmiast. No już! Jak u dentysty, szybko i po bólu!

Annie milczała.

– Annie!

– Jestem narkomanką – wydusiła w końcu Annie.

Oliwia poczuła, jakby ktoś uderzył ją obuchem w głowę. Słuchała w milczeniu.

– Valium – mówiła Annie dalej. – Diazepam. Lekarze nazywają to uzależnieniem, ale to coś o wiele gorszego – urwała. – Liwi, jestem uzależniona od środków uspokajających i jeśli szybko czegoś nie zrobię, jeśli mi nie pomożesz, myślę, że one mnie zabiją.

Oliwia skończyła właśnie rozmowę z Jamiem, który oczywiście zgodził się pomóc Annie, i teraz siedziała, rozmyślając nad tym, co usłyszała od przyjaciółki. Zrozumiała, że bezkrytycznie uwierzyła w obraz życia w Anglii, jaki Annie Aldrich Thomas przedstawiła swoim przyjaciołom. Zgodnie z jej wersją wszystko wyglądało po prostu idealnie.

Była uwielbianą żoną Edwarda Thomasa, matką trójki dzieci – pięcioletniej Sophie, czteroletniego Williama i trzyletniej Lizy – właścicielką psa myśliwskiego Belli, dwóch kotów Lea i Bootsa, a także stadniny koni. Annie już dawno przyzwyczała się do sielskiego życia na angielskiej prowincji, co nie sprawiło jej trudności, zważywszy, że mieszkała w pięknym Stone Bridge w Oksfordshire, w szesnastowiecznym domu z dachem pokrytym strzechą, sufitami dzielonymi belkami dębowymi i wspaniałym, rozległym ogrodem. Oczywiście z pochodzenia była Amerykanką, ale już szkolne lata spędziła częściowo w Anglii. Poza tym od samego początku starała się ze wszystkich sił przystosować do angielskiego stylu życia. Nigdy nie zachowywała się wyniośle, była silna, odważna i cierpliwa, co w połączeniu z umiarkowaną pokorą sprawiało, iż sąsiedzi chętnie proponowali jej pomoc, a wraz z upływem czasu ich stosunki przeradzały się w przyjaźń. Edward, piętnaście lat starszy od żony, nie widział poza nią świata. Urzekła go jej arystokratyczna uroda i wyważony charakter. Podziwiał sposób, w jaki radziła sobie z prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci, a przede wszystkim to, że tak łatwo dostosowała się do jego świata.

Oliwia i Jamie śledzili nowe życie Annie głównie z daleka, poprzez listy, które regularnie od niej otrzymywali, ale od czasu do czasu przyjeżdżali także do Anglii; kilkakrotnie zatrzymywali się w prześlicznym apartamencie dla gości w Branbury Farm House. I chociaż Oliwia zawsze uważała, że ma całkiem niezłą intuicję, teraz uzmysłowiła sobie, że, podobnie jak Jamie, niczego złego nie zauważyła, że w tym przypadku intuicja całkowicie ją zawiodła, a ona całkowicie zawiodła Annie.

To wypadek – jedno z trzech drobnych niepowodzeń, które zaczęły się rok wcześniej, jesienią osiemdziesiątego szóstego – sprawił, że Annie zaczęła sobie uświadamiać, że być może ma problemy ze sobą. Najpierw w drugim tygodniu września zapomniała powiedzieć Edwardowi o dniach otwartych w przedszkolu czteroletniej Sophie, w związku z czym Edward nie przyjechał, a ona musiała wytłumaczyć nauczycielom i rodzicom, dlaczego jej mąż nie był obecny, a przede wszystkim znieść wyraz z trudem maskowanego rozczarowania na twarzach ojca i córki. Następnie, zaledwie dwa tygodnie później, kiedy pociągiem o ósmej jedenastej miała pojechać do Londynu, aby towarzyszyć Edwardowi podczas ważnego spotkania prawników połączonego z lunchem – zasnęła, spóźniła się na pociąg i gdy w końcu dotarła na miejsce spotkania, było już dawno po zebraniu, a lunch trwał w najlepsze.

A potem był ten wypadek.

Już od samego rana wszystko układało się źle. Annie obudziła się z typowymi objawami zespołu napięcia przedmiesiączkowego – okropną migreną, bolącymi piersiami, uczuciem przygnębienia i rozdrażnienia. Wzięła dwumiligramową tabletkę valium, jak zawsze w tych trudnych dniach. Potem wzięła prysznic, umalowała się i ubrała, co poprawiło jej nieco humor. Jednak przy śniadaniu najpierw Sophie, potem William, a w końcu i mała Liza zaczęli zachowywać się niegrzecznie. Zwykle tak było, że wszystko zaczynało się od najstarszego dziecka, aby niczym lawina ogarniać młodsze.

– Sophie, idź po swój sweter. – Annie wstała i zaczęła zbierać ze stołu naczynia.

Sophie potrząsnęła jasną kędzierzawą główką, spuściła oczy i nadal bawiła się resztkami tosta na talerzu.

– Sophie, przestań i zrób to, o co prosiłam! – Annie poczuła narastający ucisk w żołądku.

– Nie chcę.

– Nie wygłupiaj się, kochanie.

– Nie chcę iść dzisiaj do przedszkola, mamusiu.

Annie przerwała wycieranie wielkiego sosnowego stołu.

– Dlaczego? – spytała nagle zaniepokojona, jak zawsze, gdy ktoś z rodziny chorował. – Źle się czujesz, kochanie?

– Tak – odpowiedziała Sophie.

Annie podeszła do dziewczynki i położyła jej rękę na czole.

– Nie masz temperatury. Czy coś cię boli?

– Czuję się chora.

– Chora?

– Chora i zmęczona – przytaknęła Sophie i okropnie wykrzywiła buzię. Ostatnio uwielbiała naśladować miny dorosłych, które podglądała u rodziców.

– Sophie, jesteś niegrzeczną dziewczynką – powiedziała wesoło Annie. – Wiesz, że nie wolno kłamać, zwłaszcza jeśli idzie o choroby.

Sophie rzuciła kawałkiem tosta w Williama.

– Hej! – krzyknął czterolatek i odrzucił grzanekę, trafiając siostrę w policzek.

– William, przestań! – powiedziała Annie, podnosząc tosta i wycierając ubrudzoną masłem buzię Sophie. Sophie wierciła się, próbując odepchnąć jej rękę. – Ty także, moja panno!
– dodała.

Liza siedząca dotychczas spokojnie w wysokim krześle rozplakała się, a Sophie zaczęła krzyczeć. Annie zignorowała ich zachowanie i nadal porządkowała stół. Ucisk w żołądku, który zniknął na chwilę, gdy zaniepokoiła się o zdrowie córki, teraz powrócił. Edward cały ten tydzień miał spędzić w Londynie, a Marie-Louise, szwajcarska dziewczyna, która pomagała jej przy dzieciach, miała dzisiaj wolne i pojechała do Oksfordu. Annie wiedziała z doświadczenia, że wszystkie te okoliczności zapowiadają wyjątkowo paskudny dzień. Pomyślała, że aby nie stracić kontroli nad sytuacją, powinna wziąć jeszcze jakąś tabletkę. Annie wierzyła w leczenie zapobiegawcze. Jej matka, Grace Aldrich, zawsze jej powtarzała, że regularne zażywanie witaminy C zapobiega przeziębieniom. A z własnego doświadczenia wiedziała, że diazepam doskonale zapobiega atakom paniki.

Sophie i William razem z małą Lizą czekali na dole, Annie zaś poszła na pierwsze piętro do łazienki. Z szafki z lustrzanymi drzwiczkami wyjęła małą plastikową fiolkę, wytrząsnęła z niej białą tabletkę i połknęła ją. („Mogą powodować senność. Jeśli następnego dnia będziesz śpiąca, nie siadaj za kierownicę”).

Czasami myślała o tym ostrzeżeniu, jednak Peter Cary – stary lekarz rodzinny Edwarda – powiedział jej, że w razie potrzeby może wziąć dodatkową tabletkę, a przecież wiedział, że taka potrzeba może zdarzyć się w dzień, a poza tym na opakowaniu wyraźnie było napisane „stosować w razie potrzeby” – nic o zażywaniu tylko na noc. Przede wszystkim zaś nigdy nie była po nich śpiąca; łagodziły ucisk w żołądku i pomagały jej radzić sobie z codziennymi

obowiązkami.

Bezpiecznie dowiozła Sophie do przedszkola, a Williama do żłobka i właśnie jechała do supermarketu Tryon zrobić zakupy, kiedy to się wydarzyło. Na skrzyżowaniu przed rangę roverem Annie zatrzymał się stary morris minor, przygotowany do skrętu w Stone Bridge Road. Droga była wolna, ale morris nadal stał w miejscu z włączonym prawym kierunkowskazem.

– Jedź, mamusiu – powiedziała Liza siedząca na tylnym siedzeniu w foteliku samochodowym.

– Jeszcze nie mogę, Lizo – odparła Annie, zadowolona, że wzięła dodatkową dawkę valium. Dzięki temu nie denerwowała się i prowadziła zupełnie spokojnie.

– Mamo! Chcę siusiu! – oznajmiła Liza. Zawsze używała tego argumentu, jeśli chciała zmusić Annie do działania.

Morris minor powoli ruszył, ale natychmiast przyhamował.

– Mamo, jeeedź! – krzyknęła Liza, a w jej głosie pojawiła się prawdziwa desperacja.

– Spokojnie, kochanie.

Annie zdjęła nogę z hamulca i delikatnie wcisnęła pedał gazu, przygotowując się do wyminięcia morrissa. Chciała dojechać do Tryona, zanim Liza spełni swoją groźbę i naprawdę zsika się w majtki. Ruch samochodów z lewej strony został przyblokowany przez furgonetkę pocztową, której kierowca opróżniał właśnie skrzynkę pocztową przy piekarni Dolins. Zaczęła skręcać w prawo, wykonując niemalże idealny, podręcznikowy manewr...

– Siku!! – zapiszczała Liza.

Annie rzuciła szybkie spojrzenie w lusterko wsteczne – chciała sprawdzić, czy buzia Lizy przybrała odcień jaskrawej czerwieni, jak zawsze, gdy nadchodziła katastrofa. Prawy przedni błotnik rangę rovera wbił się z hukiem w bok załadowanej mlekiem ciężarówki United Dairies, która zniecka pojawiła się tuż obok.

– O mój Boże! – powiedziała Annie.

Liza krzyknęła histerycznie.

– O mój Boże! – powtórzyła Annie. Zaciągnęła hamulec ręczny i obejrzała się za siebie. – Lizo, czy wszystko w porządku? – Gwałtownym ruchem odpięła pas i szybko obróciła się do tyłu. – Kochanie, powiedz coś!

Policzki Lizy były szkarłatnoczerwone.

– Zrobiłam siusiu – oznajmiła z obrzydzeniem.

Po ustaleniu szczegółów z kierowcą ciężarówki, Annie pojechała do domu, rezygnując z zakupów. Przede wszystkim musiała umyć i przebrać Lizę i zadzwonić do Edwarda z ponurymi wieściami. Nie, nie będzie zły, dzięki Bogu Edward nie przejmował się głupstwami – najważniejsze było dla niego zdrowie i bezpieczeństwo żony i dzieci. Ale Annie była świadoma, że jeśli od razu nie powie mu o wszystkim, będzie miała przez cały dzień okropne wyrzuty sumienia. Jeśli poczeka do wieczora, aż Edward sam zadzwoni, może zapomnieć mu o tym powiedzieć, a kiedy wróci na weekend z Londynu i zobaczy zgniecenie, może pomyśleć, że Annie celowo zataiła to przed nim.

Na litość boską! – pomyślała Annie, skręcając na szeroki podjazd przed domem. Edward nie jest taki. W ogóle nie przyjdzie mu do głowy, że mogłabym coś przed nim ukrywać! Ale przecież mógłby tak pomyśleć, gdybym nie powiedziała mu o wszystkim od razu, gdybym zapomniała o wypadku, skonstatowała, wyjmując z fotelika przemoczoną, zapłakaną córeczkę. Właśnie tak sobie pomyśli, jeśli wróci do domu i zobaczy wgnieciony błotnik.

– Czy nic wam się nie stało? – Tylko to chciał wiedzieć Edward, gdy zadzwoniła do jego biura w City.

– Nie, Edwardzie. Ani jednego zadrapania, nawet siniaka.

– A co z kierowcą ciężarówki?

– Też nic mu się nie stało i nawet miło mnie potraktował.

– A dlaczegoż by miał cię potraktować inaczej?

– Ale samochód jest trochę poobijany – wyznała ze skrucą Annie – a bok ciężarówki nieźle wgięty.

– To tylko metal, kochanie – pocieszył ją Edward. – Nie ma się czym martwić.

Annie poczuła się znacznie lepiej. Jakże wspaniale było usłyszeć ciepły, kojący głos Edwarda. Ale ucisk w żołądku wkrótce powrócił, gdy uświadomiła sobie, że cały wypadek mógł się skończyć o wiele gorzej. Zbliżała się pora lunchu, będzie musiała pojechać po Williama, a nie była pewna, czy da sobie radę. Nadal czuła się nie najlepiej. Myślała, że druga tabletką wyciszy ją i uspokoi rozstrojone nerwy, ale najwyraźniej tabletką nie zadziałała, więc zanim wsiądzie do samochodu, będzie musiała wziąć jeszcze jedną.

Tej nocy Liza, wciąż zaniepokojona całym wydarzeniem, obudziła się z krzykiem. Annie, wyrwana z niespokojnego snu przeraźliwym piskiem, pobiegła do pokoju córki. Z nieskładnych wyjaśnień trzylatki udało się jej zrozumieć, że małej śniło się, iż jechali samochodem, a mama zrobiła bum i wszyscy umarli – mamusia, tatuś, Sophie, William i nawet Liza.

W tym momencie Annie uznała, że musi pójść do lekarza, aby wypisał jej receptę na większą dawkę środków uspokajających. Jakby nie było, ponosiła odpowiedzialność za swoje dzieci, a gdyby nie pozwoliła się wyprowadzić z równowagi Lizie, na pewno nie uderzyłaby w tę ciężarówkę. Potrzebowała tych tabletek, żeby zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, prowadzić samochód pewnie i spokojnie.

Potrzebowała ich, żeby normalnie funkcjonować – tak, jak ją uczono: żeby zachowywać pozory, spełniać oczekiwania Edwarda, być dobrą żoną i matką – opiekuńczą, zrównoważoną matką – taką, jaką była dla niej jej własna matka.

Rozdział 6

Pierwszą tabletkę na uspokojenie połknęła w dniu pogrzebu Franklina i Grace. Kuzynka, Susan Aldrich, wręczyła Annie kilka małych białych tabletek i powiedziała, że przyniosą jej ulgę. „Uwierz mi” – powiedziała Susan. Annie posłusznie połknęła jedną i stwierdziła, że kuzynka mówiła prawdę, ból pozostał, ale tabletkę znacznie go złagodziła. Od czasu sierpniowego nabożeństwa wzięła jeszcze kilka pastylek, ale potem odstawiła lekarstwo na kilka miesięcy. Następnie, w San Francisco, przedłużająca się bezsenność zmusiła ją do odwiedzenia lekarza, który bez zbędnych zabiegów przepisał jej pewną dawkę dwumiligramowego valium.

– Po to, żeby się pani odprężyła – wyjaśnił.

– Środki uspokajające? – spytała z niedowierzaniem Annie.

– Są lepsze niż leki nasenne – odparł lekarz. – A na pewno lepsze niż bezsenność. – Uśmiechnął się, a widząc na jej twarzy zaniepokojenie, dodał: – Niech się pani nie martwi. Valium ma tylko pomóc uregulować pani tryb życia i zapewnić dobry sen.

Tabletki spełniły swoje zadanie. Annie nie chciała ich nadużywać, toteż po kilku dniach, gdy wszystko wróciło do normy, schowała prawie pełną fiolkę w najdalszy kąt szuflady toaletki. Kilka miesięcy później bezsenność powróciła, a parę tabletek valium znowu załatwiło sprawę. I to wszystko. Bezpieczny, zapisany przez lekarza lek – nie gorszy od witamin czy antybiotyków, zastosowany w konkretnym przypadku, a później zapomniany.

Za dar od Boga Annie uznała to, że w jej życiu pojawił się atrakcyjny, światowy i starszy od niej Edward, mężczyzna podobny do jej ojca Franklina Aldricha. Z inteligentnymi szarymi oczyma, wspaniałym ciałem i przyprószonymi siwizną włosami, spełniał jej wszystkie oczekiwania. Nie miał żadnych złych cech, żadnych ukrytych wad czy większych słabości, z wyjątkiem zamiłowania do polowań na dzikie ptactwo, do którego Annie odnosiła się ze wstrętem. Był miłym, porządnym człowiekiem, wspaniałym mężem i ojcem, toteż małżeńskie życie Annie Aldrich Thomas układało się jak po różach – dokładnie tak, jak Edward jej to obiecywał, prosząc o rękę.

A jednak, mimo niemal pełnego szczęścia, w życiu Annie były pewne sprawy, które mąciły jej spokój: utrata rodziców, korzeni i opoki, z której wyrosła; ciągłe przeprowadzki, los

rzucający ją z miejsca na miejsce, zanim wreszcie przyszła stabilizacja w małżeństwie i dom, w którym miała mieszkać, zestarzeć się i dożyć kresu swoich dni. I ciągłe stresy – zarówno niepewność, związana z życiem w obcym kraju, jak i silna potrzeba ukrywania swoich rozterek zarówno przed rodziną, jak i sąsiadami i przyjaciółmi. Annie nieźle radziła sobie z przyswojeniem obowiązującego w Anglii stylu życia – nauczyła się zasad gry w krykieta, palanta i rugby, wyspecjalizowała w gotowaniu ulubionej leguminy Williama i przygotowywaniu puddingu yorkshire, który Edward jadał w niedziele. Ale były jeszcze drobne, lecz znaczące niuanse, subtelne różnice w sposobie bycia, zachowania i myślenia Anglików i jej, które sprawiały, że Annie, chociaż tego nie okazywała, bała się okropnie, aby nie popełnić jakiejś gafy.

Zarówno Edward, jak i jego znajomi uważali, że Annie jest idealną żoną i matką, a Oliwia często podkreślała, jak bardzo podziwia jej zorganizowanie i perfekcjonizm. Ale sama Annie, obserwując krewnych, sąsiadów i żony trzech braci Edwarda mieszkających w tym samym hrabstwie, stwierdzała z rozpaczą, że nigdy im nie dorówna. Niejednokrotnie czuła się niczym amerykański wróbel zagubiony w lesie pełnym angielskich ptaków. Chociaż jej piórka wyglądały normalnie, była po prostu jednym z wielu identycznych wróbli, jednak w głębi duszy wiedziała, że nigdy nie będzie taka jak inni i zamiast cieszyć się ze swojej oryginalności, okropnie się nią gryzła.

Nie mogła nawet myśleć o podzieleniu się swoimi rozterkami z mężem. Annie wyrosła wśród ludzi, którzy zawsze dawali sobie radę sami, nigdy nie okazywali swoich słabości, nosili maski odpowiednie do sytuacji, a Annie tak dobrze wczuła się w swoją rolę, że częstokroć zatracala różnicę między grą a prawdziwym życiem. Ale oczywiście wysiłki związane z dostosowaniem się do obowiązujących reguł musiały być czymś wspierane – większość ludzi, będąc w podobnej sytuacji, ratowałyby się kieliszkiem wina czy martini, lecz Annie, która w żadnym wypadku nie chciała pić w obecności dzieci, wybrała drugą możliwość – małą fiolkę z valium.

Na długo przed wypadkiem zaczęło się z nią dzieć coś dziwnego. Annie zawsze miała bardzo dobrą pamięć, ale od pewnego czasu zauważyła, że o wielu rzeczach zapomina. Zaczęła więc sporządzać notatki, które następnie umieszczała w dobrze widocznych miejscach: na lodówce, na lustrach, za szybą samochodu. Mimo to nadal zapominała – o spotkaniach, o zobowiązaniach, a nawet o najbardziej prozaicznych czynnościach. Edward powiedział jej

kiedyś, że wśród mieszkańców wioski miała opinię osoby bardzo dobrze zorganizowanej, ale wbrew temu stwierdzeniu zdarzyło się jej zapomnieć na przykład o tym, że przysła jej kolej na układanie kwiatów w kościele. Innym razem pomyliła termin wizyty Sophie u dentysty. Pewnego dnia, będąc na zakupach z Williamem i Lizą, spędziła sporo czasu, biegając po Stone Bridge Road w poszukiwaniu samochodu. William próbował jej coś powiedzieć, ale była zbyt zdenerwowana, aby go wysłuchać – w końcu okazało się, że samochód stał bezpiecznie na parkingu, tam gdzie go zostawiła. Te małe wypadki nikogo nie niepokoiły – prawdę mówiąc, mało kto w ogóle je zauważał, jednak Annie zdawała sobie z nich sprawę i za każdym razem, gdy coś poszło nie tak, brała następną tabletkę valium. Tłumaczyła sobie, że jej obowiązkiem jest bycie szczęśliwą, zrównoważoną i dobrze zorganizowaną żoną i matką – dla dobra jej samej, a przede wszystkim rodziny. Cudowne życie, jakie przypadło jej w udziale, było zbyt cenne, aby warto było ryzykować jego utratę. Przecież nie było nic złego w pomaganiu sobie tabletkami, zapisanymi przez doktora Cary'ego. W siedemdziesiątym szóstym roku zaczęła od jednej dwumiligramowej tabletki dziennie i chociaż teraz dawka ta wzrastała czasami trzykrotnie, to nadal nie było powodów do obaw. Na opakowaniu lekarstwa wyraźnie było napisane, że można brać do trzech tabletek dziennie, więc Annie wiedziała, że nie ma żadnego zagrożenia.

Wypadek z range roverem i koszmarny sen Lizy sprawiły, że na początku października osiemdziesiątego szóstego roku zgłosiła się do Petera Cary'ego z prośbą o zapisanie pięciomiligramowych tabletek valium.

– Wolałbym tego nie robić – oświadczył lekarz.

Annie siedziała na miękkim krześle z poduszką wypchaną końskim włosiem, tym samym, na którym siedziała już wielokrotnie w przeszłości – w przytulnym, nieco przegrzanym, staroświeckim gabinecie lekarza. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Dlaczego nie? – spytała.

Peter Cary podrapał się w zamyśleniu w posiwiałą głowę i spojrzał Annie prosto w oczy, spostrzegając, że jest dzisiaj wyjątkowo niespokojna i zdenerwowana. Annie wiedziała, że z pełnym zaufaniem może powierzyć temu rumianemu mężczyźnie leczenie wszelkich przypadków zaziębień i chorób dzieci, jednak z poważniejszymi problemami zdrowotnymi wolałaby zwrócić się do swojego prywatnego lekarza w Londynie – Andrew Millera. Ale skoro już tu przysła... Przecież to całkiem naturalne, że prosi o odrobinę większą dawkę tego, co

doktor Cary przepisywał jej od lat. Dlaczego więc patrzy na nią dziwnie, tym nowym, uważnym, zaniepokojonym spojrzeniem?

– Annie, dlaczego sądzisz, że potrzebujesz większej dawki valium?

Annie poczuła narastające oburzenie.

– Pomyślałam... – Urwała, czując się jak na przesłuchaniu, jakby powiedziała coś głupiego, udzieliła złej odpowiedzi na podchwytliwe pytanie, w związku z czym grozi jej wyrok skazujący – żadnych tabletek!

– Ile tabletek dziennie bierzesz?

– To zależy – odparta Annie.

– Jedną? Dwie?

– Dwie, czasami – powiedziała.

– Trzy?

– Czasami.

– Jak często?

Annie wiedziała, że coraz bardziej się pogrąża. Gdyby powiedziała Peterowi Cary'emu całą prawdę, że uważa, iż potrzebuje silniejszych tabletek, bo boi się, że bez nich nie będzie dobrą, opiekuńczą matką, nalegałby, aby powiedzieć o wszystkim Edwardowi, a ostatnią rzeczą, której pragnęła, było to, by Edward dowiedział się, że bierze środki uspokajające.

Postanowiła, że nie powie mu prawdy.

– Bardzo rzadko – odpowiedziała. – Zwykle biorę jedną, najwyżej dwie, ale czasami muszę wziąć jedną na noc, a potem i tak budzę się po paru godzinach i biorę następną, pomyślałam więc, że gdybym zamiast tego wzięła jedną tabletkę pięciomiligramową, spałabym spokojnie przez całą noc. Ale to chyba nie jest dobry pomysł – zakończyła.

– To prawda – zgodził się doktor uprzejmie.

– Może więc zostanemy przy starej dawce – zasugerowała.

Peter Cary pochylił się nad biurkiem i spytał:

– Annie, czy chcesz mi jeszcze o czymś powiedzieć?

– Nie – odrzekła beztrosko. – Nie mam żadnych problemów. Przecież mnie znasz, zawsze byłam trochę nerwowa.

– I naprawdę uważasz, że nie ma innej przyczyny?

– Jestem tego pewna.

Trzy dni później, będąc w Londynie, Annie odwiedziła Andrew Millera. Tym razem była lepiej przygotowana do rozmowy.

– Boję się latać samolotem – oświadczyła lekarzowi. – Naprawdę się tego boję. A ponieważ w najbliższym czasie muszę odbyć kilka dalekich podróży, tylko w ten sposób mogę je przeżyć.

– Czy diazepam pani pomaga? – spytał doktor Miller.

– Bardzo. – Annie uśmiechnęła się. Andrew Miller był całkowitym przeciwieństwem doktora Cary'ego, przystojny, młody – dawała mu jakieś czterdzieści lat – i równie schludny jak gabinet, w którym urzędował.

Skinął głową.

– Mogę przepisać pani parę dwumiligramowych tabletek – powiedział, sięgając po bloczek z receptami.

– Myślę, że będą za słabe – odparła szybko Annie. – Naprawdę boję się latania, i nie chcę dostać ataku paniki na pokładzie samolotu – dodała. – Wie pan, że moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej.

Doktor wziął te wyjaśnienia za dobrą monetę.

– Chce więc pani tabletki pięciomiligramowe – stwierdził.

– Byłabym znacznie spokojniejsza mając je – przytaknęła Annie.

– Pani Thomas, czy nie ma pani żadnego lekarza bliżej domu?

Annie z trudem zachowała spokój.

– Nie jestem z niego w pełni zadowolona – stwierdziła. – A poza tym wiedziałam, że będę w Londynie, a pan tak troskliwie zajął się mną, gdy miałam problemy z żołądkiem...

Andrew Miller uśmiechnął się.

– Cieszę się, że mogłem pani pomóc – powiedział i ponownie sięgnął po bloczek. – Czy dziesięć tabletek wystarczy?

– Być może czeka mnie więcej lotów. – Annie postanowiła grać swoją rolę do końca. – Może lepiej piętnaście? Nie chciałabym znowu zawracać panu głowy.

– Dobrze. Zapiszę pani dwadzieścia. – Zaczął wypisywać receptę. – Ale sugeruję, aby nie zażywała pani od razu całej tabletki, ale przełamała ją na pół. Proszę wziąć jedną połówkę na pół godziny przed odlotem i sprawdzić, czy pomaga. Być może druga połowa nie będzie potrzebna.

– To brzmi rozsądnie – zgodziła się Annie.

Na początku wystarczała jej sama świadomość, że je ma. Poczula się nawet na tyle silna, aby schować je do szuflady toaletki. Tam przeleżały bezpiecznie przez trzy tygodnie, aż do końca października, kiedy to Edward poprosił ją o zorganizowanie w domu przyjęcia. Tak rzadko prosił ją o cokolwiek, że natychmiast się zgodziła, ale wkrótce okazało się, że planowanie szczegółów imprezy ją przerasta. Zaczęła się bać, że wszystko pomiesza. W przeddzień przyjęcia łykała już tabletki garściami, a i tak pomyliła się przy rozsadzaniu gości, a wieczorem nie zauważyła, że główne danie kolacji jest niedogotowane. Spojrzała na Edwarda, który właśnie próbował potrawy, i zobaczyła na jego twarzy konsternację. Oczywiście, jak na dżentelmena przystało, natychmiast się opanował, ale uczucie niesmaku pozostało.

Pod koniec następnego tygodnia Annie brała jednorazowo dziesięć miligramów leku.

Przylatuję na trzy dni do Londynu ze szwajcarskim scenarzystą – powiedziała Oliwia w rozmowie telefonicznej z Annie kilka tygodni później. – Poza tym mam spotkanie w siedzibie Fundacji Artura Segala, ale myślę, że w piątek po południu będę miała trochę czasu. Spotkajmy się u Harrodsa. Możemy wybrać się na zakupy i zjeść razem lunch.

– Nie jestem pewna – zawahała się Annie.

– Annie, proszę, strasznie chciałabym się z tobą zobaczyć.

Gdyby nie była tak roztrzęsiona i miała więcej czasu, na pewno znalazłaby jakąś wiarygodną wymówkę, ale słysząc ciepły, pełen energii głos Oliwii, która praktycznie nie pozostawiała jej wyboru, Annie poddała się bez protestów.

– O której godzinie?

– Może o wpół do pierwszej?

– W porządku – odrzekła Annie.

Była przerażona perspektywą tego spotkania.

W zasadzie, oprócz krótkiego napadu paniki, który ogarnął Annie w tłumie ludzi przy wejściu do Harrodsa, do momentu zajęcia miejsc przy stoliku w restauracji urządzonej w stylu georgiańskim wszystko było w porządku. Jednak coś w nagłej zmianie klimatu, w staroświeckim wystroju długiej, ciągnącej się bez końca sali sprawiło, że Annie prawie natychmiast ogarnęło przedziwne, niewytłumaczalne poczucie wyobcowania. Poczula się oderwana od rzeczywistości,

otaczających ją ludzi i przedmiotów. Głowę miała ciężką, ciało także jej ciążyło, jakby było z ołowiu. Rzuciła szybkie spojrzenie na Oliwię, sprawdzając, czy przyjaciółka cokolwiek zauważyła, ale ta, dzięki Bogu, pochłonięta była studiowaniem menu. Annie zastanawiała się, czy uda jej się niepostrzeżenie sięgnąć do torebki i wyciągnąć fiolkę z lekarstwem...

– Chyba zdecyduję się na przystawki – oznajmiła Oliwia. – A ty?

Annie stwierdziła nagle, że nie jest w stanie się ruszyć. Może paraliż poraził także jej struny głosowe? A jeśli otworzy usta i nie będzie w stanie wykrztusić słowa... ?

– Annie? – Oliwia odłożyła kartę z menu. – Czy wszystko w porządku?

Annie czuła narastającą panikę. Chciała krzyknąć, uciekać, ale spróbowała opanować się. Wbiła paznokcie w udo mając nadzieję, że skoro poczuła ból, skoro mimo wszystko nie straciła mowy, zdoła również jakoś uciec z tego miejsca, aby Oliwia nie zorientowała się, o co chodzi.

– Annie? – Zaciekawienie w głosie Oliwii ustąpiło miejsca zaniepokojeniu. – Co się dzieje?

– Nie czuję się zbyt dobrze. – Są! Słowa, prawdziwe słowa! Wbiła paznokcie w drugą nogę. – Naprawdę strasznie mi przykro, Liwi, ale chyba będę musiała wyjść.

– Masz mdłości? – Oliwia natychmiast przejęła inicjatywę. – Poczekaj, już zbieram te pakunki...

– Nasze drinki – zauważyła Annie. – Musimy zapłacić.

– Racja. – Oliwia rozejrzała się w poszukiwaniu kelnera. – Zajmę się tym. Ty idź do łazienki i poczekaj tam na mnie.

Annie wstała z wahaniem, nie będąc pewna, czy jej ołowiane nogi uniosą ją. Na szczęście tak się stało. Poczowała lekką ulgę, przelotnie pomyślała, że może, mimo wszystko, uda jej się wysiedzieć do końca lunchu. „Nie” – odpowiedziała sobie sama. „Uciekaj, dopóki jeszcze możesz”.

– Czy wiesz, gdzie jest łazienka? – spytała.

Oliwia uśmiechnęła się do niej ciepło, uspokajająco.

– Nie bój się. Znajdę cię.

Annie usiadła w toalecie i ukryła twarz w dłoniach, popłakując. Dobrze wiedziała, czego jej potrzeba. Chciała – musiała – powiedzieć o wszystkim Oliwii. Liwi będzie zszokowana, pewnie uzna ją za wyjątkowo słabą i głupią, ale przynajmniej będzie wiedziała, co zrobić, zajmie

się nią i pomoże w rozwiązaniu problemów. Tyle że na pewno będzie chciała zabrać ją do domu i powiedzieć o wszystkim Edwardowi, a tego Annie by nie zniosła.

I tak zamiast wyznać Oliwii prawdę, Annie wyjęła z torebki kolejną tabletkę i połknęła ją na miejscu – bez popijania, w ciasnej kabinie. Gdy usłyszała głos wołającej ją Oliwii, odpowiedziała, że już wszystko w porządku, wytarła oczy i sprawdziła swój wygląd w małym lusterku puderniczki. Nawet jeśli Oliwia zauważy, że płakała, to przecież zupełnie naturalne, że gdy człowiek jest chory, czuje się przybity.

– Myślę, że czymś się zaraziłam – powiedziała, stojąc przy umywalce. – Sophie nie czuła się ostatnio najlepiej.

– Niepotrzebnie się tłumaczysz – powiedziała Oliwia.

– Tak mi przykro, Liwi.

Oliwia położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie bądź głupią gąską. Nic na to nie poradzisz, że jesteś chora.

– Nie – odpowiedziała mocno zawstydzona Annie. – Chyba nie.

Oliwia objęła ją ramieniem i przytuliła.

– Czy jesteś w stanie wyjść na ulicę? – spytała.

– Mam nadzieję.

– Wyprowadzę cię. Oprzyj się na mnie.

Kiedy wyszły ze sklepu na świeże powietrze, Annie od razu poczuła się lepiej, prawie normalnie. Przy krawężniku stał długi rząd czarnych taksówek.

– Już wszystko w porządku – powiedziała. – Wracaj do sklepu. Miałaś przecież zrobić zakupy.

– Zawiozę cię na stację – upierała się Oliwia.

– Nie. Nie ma takiej potrzeby.

– Może i nie, ale i tak cię odwiozę.

Całą drogę na dworzec Paddington Annie milczała. Wiedziała, że Oliwia przypisze jej małomówność złemu samopoczuciu lub osłabieniu, jednak w głowie miała zamęt. Powinna jej wszystko wyznać. Ale co z Edwardem? Teraz był idealny moment, aby przyznać się do wszystkiego. Ale co z dziećmi?

Nie powiedziała nic.

Po powrocie Oliwii do Szwajcarii Annie zaczęła na serio rozważać możliwość powiedzenia Edwardowi o środkach uspokajających. Oczywiście nie chciała robić z tego problemu, po prostu zamierzała napomknąć o stresach, które spowodowały, że zaczęła brać valium. Im więcej o tym myślała, tym rozsądniejszy wydawał jej się ten zamysł. Edward jej nie potępi. Nie mówiła mu nic do tej pory, bo nie chciała go martwić, ale z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jeśli nadal będzie tak postępować, przysporzy Edwardowi o wiele gorszych zmartwień. Teraz wiedziała już, że uzależniła się od valium. No, może nie uzależniła, ale dostrzegała, że o ile w przeszłości mogła bez większych oporów odstawić tabletki, teraz nawet sama myśl o tym była nie do zniesienia.

Uznała, że najlepiej będzie poruszyć ten temat w nadchodzący weekend. Spędzą go tylko we dwoje w londyńskim apartamencie. Wybierali się na urodzinową kolację do Savoya: nic strasznego, przy odrobinie szczęścia i zwykłej pomocy pigułek, nie będzie miała żadnych problemów, a w niedzielny poranek wyzna Edwardowi prawdę.

Gdyby nie Ludwik Brandt, jubilat, którego urodziny obchodzili, plan Annie na pewno by się powiódł. Jednak kilka słów, wypowiedzianych przez niego w zwykłej, towarzyskiej pogawędce, zniszczyło wszystko.

– Prawdę mówiąc, jestem cholernie zmęczony – odpowiedział na uwagę Babs Standish, że wygląda znakomicie. – Od kilku tygodni mam problemy ze snem – dodał, pociągając wielki łyk szampana châteaurois. – Chyba poproszę jakiegoś lekarzynie o tabletki na sen.

– Ja osobiście zdałabym się na „lecnicze” właściwości czerwonego wina – stwierdziła Babs.

– Wszystko lepsze od pigułek – skonstatował Edward.

Annie siedząca po lewej stronie Ludwika zamarła z przerażenia.

– Dlaczego? – zaoponował Charles Standish. – Te pigułki na nadciśnienie, które dał mi lekarz, uratowały mi życie.

– To co innego – odparł Edward. – Mówię o narkotykach, pigułkach na sen, środkach uspokajających i innych truciznach.

Annie pomyślała o zawartości swojej torebki, o małym porcelanowym pudełeczku, w którym spoczywało valium, o komforcie, jaki dawała jej sama myśl o leku.

– Ale przecież pomagają tym, którzy ich potrzebują – oświadczyła, zwracając się do męża.

– Ludzie, którzy potrzebują takich rzeczy – odparł Edward z ostrością w głosie, która ją zdumiała – są albo głupi, albo słabi. – Opanował się nieco i dodał – Uważam... wierzę, że jestem człowiekiem tolerancyjnym, ale pogardzam ludźmi, którzy nie radzą sobie z życiem bez pomocy takich leków.

Później, gdy wrócili do mieszkania, Annie poszła do gabinetu, gdzie jej mąż siedział przy biurku, walcząc z dokumentami.

– Pomyślałam, że zechcesz napić się czegoś przed snem – powiedziała, wręczając mu kieliszek koniaku.

– Dziękuję, kochanie – odrzekł, biorąc kieliszek. – A ty? Nie napijesz się czegoś?

– Nie. Przecież wiesz... – Urwała. – Czy mogę posiedzieć chwilę przy tobie?

– Oczywiście – odpowiedział, delektując się koniakiem. – To był wspaniały wieczór, prawda?

– Cudowny – przyznała Annie, siadając na kanapie. Pytanie, które chciała, ale i obawiała się zadać, paliło ją w język.

– Edwardzie?

– Tak, kochanie?

Zaczęła ostrożnie:

– Chyba się dzisiaj zdenerwowałeś...

– Naprawdę? Kiedy?

– Kiedy Ludo mówił o tabletkach nasennych.

– A, tak – przyznał.

Annie odczekała chwilę, ale ponieważ nie dodał nic więcej, spytała:

– Dlaczego?

– Dlaczego mnie to zdenerwowało?

– Tak – odparła. Spojrzawszy na niego, zauważyła dziwny, ponury błysk w jego oczach. – Jeśli nie chcesz, nie musimy o tym rozmawiać – dodała pospiesznie. – Po prostu zwykle trudno wyprowadzić cię z równowagi.

– I to cię zaniepokoiło?

– Tak, trochę – przyznała Annie.

Edward pociągnął duży łyk koniaku i odstawił kieliszek na biurko obite suknem.

– Chyba nigdy do tej pory nie poruszałem tego tematu, prawda? To znaczy, w rozmowie z tobą.

– Masz na myśli tabletki nasenne? – spytała ostrożnie Annie. – Nie było żadnego powodu, żeby o tym mówić.

– Nie mówię tylko o środkach nasennych – ciągnął Edward, nie patrząc na nią. – W restauracji miałem na myśli także inne specyfiki: środki przeciwbólowe, tabletki uspokajające, leki, które cię oglupiają, ale pozwalają normalnie funkcjonować, pozwalają przetrwać.

Annie pochyliła się do przodu z rękoma złożonymi na kolanach. Jej serce biło jak szalone.

– Edwardzie, opisujesz to tak, jakbyś mówił o sobie.

– Niezupełnie – odrzekł. – Nie mówię o sobie.

Jej dłonie nagle zwilgotniały. On wie – pomyślała z przerażeniem. O Boże! On wie.

– Mam na myśli moją matkę – dodał bardzo cicho.

To był jedyny mroczny sekret w jego życiu, jedyna ważna rzecz, o której jej nie powiedział. Nie było to kłamstwo, po prostu nie powiedział jej całej prawdy. Sophia Thomas rzeczywiście zmarła na raka kości, tyle że Edward nie powiedział Annie, że jego matka była również morfinistką. Narkotyki zniszczył nie tylko ją, zrujnował życie jego ojcu i zniszczył dzieciństwo jego samego i jego braci.

– Widzieliśmy ją w euforii, gdy dostała to, czego chciała, i widzieliśmy, jak próbuje przestać, a jestem pewien, że naprawdę próbowała – opowiadał Annie głosem pełnym bólu. – Trzęsa się i zlewała potem, miała takie okropne bóle z powodu narkotykowego głodu, wcale nie związane z rakiem. Te przyszły później, a wtedy nie wiadomo już było, które są które, to zresztą nie miało znaczenia. Matka była w agonii, nawet nie wyobrażasz sobie, ile razy i na ile sposobów umierała.

– Och, Edwardzie – powiedziała Annie prawie bezgłośnie. – Tak mi przykro. Tak okropnie mi przykro!

– Niepotrzebnie – odparł. – Teraz to już nie ma znaczenia. – Uśmiechnął się, widząc jej zatroskaną twarz. – Teraz mam ciebie i dzieci. Moi bracia także założyli porządne, dobre rodziny i jestem naprawdę bardzo szczęśliwym człowiekiem. – Urwał. – Teraz już wiesz, dlaczego tak nienawidzę prochów.

– Tak – odparła Annie. – Wiem.

Doskonale rozumiała, co czuje, co myśli. I równie dobrze wiedziała, że wszelkie nadzieje na wyznanie mu prawdy zniknęły bezpowrotnie. Zrozumiała, że w tym jednym przypadku nigdy nie będzie mogła liczyć na jego pomoc.

A co najgorsze, po tej nocy w Londynie w jej głowie zagnieździła się nowa, przerażająca myśl. Edward powiedział jej, że prochy zniszczyły jego dzieciństwo i teraz Annie bała się – więcej, była przerażona – że jeśli Edward pozna prawdę o jej uzależnieniu, zniszczy to również jego dorosłe życie, a być może także życie ich dzieci.

Więc zamiast powiedzieć mężowi prawdę, ukrywała ją dalej.

I zamiast szukać pomocy, łykała valium.

Zdołała jakoś przeżyć Boże Narodzenie i Nowy Rok. Przedświąteczna gorączka i zaabsorbowanie codziennymi sprawami w połączeniu z dostateczną dawką tabletek pozwoliły jej to przetrwać. Ale po okresie wyteżonej pracy, rzeczywistość powróciła z nową siłą. Edward znów spędzał całe tygodnie w Londynie, Marie-Louise pojechała z wizytą do rodziny w Szwajcarii, a Sophie, William i Liza mieli jeszcze ferie i ciągle szukali nowych wrażeń, aby zabić nudę. Najgorsze było to, że ile tabletek valium nie wzięłyby w tych dniach, zawsze było to za mało. Stale była roztrzęsiona, serce waliło jej jak oszalałe lub odwrotnie, wydawało się jej, że w ogóle nie bije, często zlewał ją pot. Nie mogła skupić myśli, nadal pisała swoje karteczki, wykazy obowiązków, ale zapominała do nich zaglądać, zapominała nawet, że w ogóle je napisała. Stale zawodziła ludzi, a przede wszystkim dzieci. Ręce i nogi dziwnie jej ciążyły, niekiedy miała problemy z mówieniem, a przedmioty wypadały jej z rąk.

– Przepraszam – powiedziała jej pewnego ranka Jane Reece-Smith, matka jednego z kolegów Williama (tego właśnie dnia Annie miała odebrać obu chłopców z przedszkola). – Dzisiaj chciałabym odebrać Michaela sama.

– Och – odparła Annie niewyraźnie. – Przecież mogę zabrać Michaela razem z Williamem.

– Na pewno – zgodziła się pani Reece-Smith. – Ale wolałabym zrobić to osobiście.

Łatwo zauważalny chłód w głosie kobiety wyrwał Annie z porannego odrętwienia.

– O co chodzi? – spytała.

Pani Reece-Smith spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała:

– Prawdę mówiąc, pani Thomas, nie wygląda pani najlepiej.

– Czuję się dobrze – zaproponowała Annie.

– Nie sędzę – ciągnęła twardo pani Reece-Smith. – Proszę się nie obrażać, pani Thomas, ale wygląda pani trochę niewyraźnie, jakby niepewnie. Czy źle się pani czuje? – spytała.

– Nie. – Baczne spojrzenie kobiety wyprowadzało Annie z równowagi. – To znaczy... tak – myślę, że się czymś zaraziłam.

– Pewnie to zwykła grypa – zasugerowała pani Reece-Smith.

– Pewnie tak.

Na tym rozmowa się skończyła, ale Annie wiedziała już, że jej niedyspozycje zostały dostrzeżone przez innych. A jeśli Jane Reece-Smith uznała, że Annie może stanowić zagrożenie dla jej syna – bo taki był sens tego, co powiedziała – to pewnie się nie myliła.

W ciągu następnych kilku godzin Annie zadzwoniła do wszystkich matek, z którymi dzieliła obowiązek odbierania dzieci ze szkoły, i poprosiła, aby wykreśliły ją z harmonogramu.

– Ostatnio cierpię na okropne migreny – wyjaśniała wszystkim. – Nie chcę więc narażać naszych dzieci na niebezpieczeństwo.

Żadna z matek nie protestowała. Wszystkie były bardzo miłe i uprzejme, ale Annie wiedziała, że gdyby sama nie zrezygnowała, lada dzień zmuszono by ją do tego. Zrozumiała, że ma coraz mniej czasu. Lekarstwo, które do tej pory było jej sprzymierzeńcem, obróciło się przeciwko niej, rujnując jej życie. Tak jak morfina zniszczyła życie matki Edwarda.

Musiała z tym skończyć, zanim ktoś powie Edwardowi, zanim Sophie i William usłyszą w przedszkolu jakieś plotki. Zanim stanie się coś złego, dopóki nie jest za późno.

Podjęła decyzję o zerwaniu z nałogiem, bez względu na to, jak trudne by to było. Opracowała plan działania. Pani Reece-Smith podsunęła jej pomysł z grypą, który Annie postanowiła wykorzystać jako wymówkę dla znajomych i sąsiadów – nic wielkiego, łagodny przypadek. Nie, nie potrzebowała niczyjej pomocy. Potrzebowała kilku dni spokoju. Oliwii i Jamiemu powiedziała, że wyjeżdża i prosiła, żeby nie dzwonili. Dzieci wysłała na cały tydzień do znajomych. Wolą, żeby nikt jej nie widywał, na wypadek gdyby zaczęła chodzić po ścianach,

rozłożyła się na dobre czy popadła w delirium.

Przez pierwsze dni nie było tak źle. Z wyjątkiem uczucia oczekiwania, że coś się wydarzy i obawy, że nie wytrzyma i sięgnie po tabletki – zamknęła je pod kluczem, ale nie mogła się zdobyć na ich wyrzucenie – czuła się całkiem nieźle. Była nawet z siebie dumna. Widzisz – tłumaczyła sobie – wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Mogę je odstawić. Nie jestem uzależniona.

I wtedy się zaczęło.

To był koszmar. Prawdziwy horror, o wiele gorszy niż to sobie wyobrażała. Czuła fizyczny ból, jakby naprawdę była ciężko chora. Dostawała drgawek, kręciło się jej w głowie, miała wrażenie, że podłoga wiruje jej pod stopami. Ale najgorsza była rozpacz, tak dojmująca, tak intensywna, że chciała już tylko umrzeć, no i świadomość, że przerwać ten stan mogą tylko tabletki. Nie mogła nigdzie znaleźć klucza od szafki, w której je zamknęła, nawet nie pamiętała, że to zrobiła. Później, kiedy zaczęła wracać do siebie, zobaczyła, że wyrwała nie tylko zamek w szafce, ale i drzwiczki.

Szanowana, miła, rozważna, złotowłosa, błękitnooka, drobna Annie Aldrich Thomas wyrwała szklane drzwiczki z zawiasów gołymi rękami, tłukąc je przy tym i paskudnie raniąc sobie palce.

Myślała, że oszaleje. Od pewnego czasu zapewniła sobie stałą dostawę tabletek valium. Zamawiała je telefonicznie u obu lekarzy – Petera Cary'ego w Stone Bridge albo Andrew Millera w Londynie – lub też prosiła o wypisywanie recept. Ale nagle ten system zaczął zawodzić. Obaj lekarze z coraz większą niechęcią odnosili się do jej próśb. Sugerowali, że powinna zwrócić się o pomoc do psychiatry. A potem, zaledwie w dwa tygodnie po nieudanej, sekretnej próbie zerwania z nałogiem, Peter Cary zapowiedział, że przestanie jej wypisywać recepty na valium, jeśli Annie nie zgodzi się na wizytę u psychiatry lub nie pozwoli mu porozmawiać z Edwardem. Andrew Miller natomiast stwierdził, że zamierza znacząco zmniejszyć dawkę lekarstwa.

- Chcę zobaczyć, jak pani to zniesie – powiedział spokojnie.
- Nie zniosę tego – oświadczyła Annie z desperacją.
- Ale sam diazepam już pani nie wystarczy.

– Musi – upierała się Annie.

– Dlaczego nie chce pani porozmawiać ze specjalistą, pani Thomas?

– Wie pan dlaczego.

Andrew Miller ciągnął cierpliwie:

– A ja kolejny raz powtarzani pani, że psychiatra tak samo jak i ja nie powie niczego mężowi bez pani zgody. Obu nas obowiązuje tajemnica lekarska.

– Tak, wiem.

– Więc dlaczego nie chce pani przynajmniej spróbować?

Annie popatrzyła na niego z niechęcią. Przecież już mu to tłumaczyła!

– Bo to oznaczałoby konieczność okłamania Edwarda, a ja nigdy tego nie robiłam i nie zrobię i teraz – wyjaśniła raz jeszcze.

– Nie powiedziała mu pani jednak, że tu przychodzi, prawda?

– Ale przecież robię to rzadko – tłumaczyła. – To tylko tabletki – dodała. Chciała, żeby zrozumiał, żeby wiedział, co czuje. – Tak jak aspiryna czy antybiotyki. A wizyta u specjalisty to co innego.

– Diazepam to nie aspiryna, pani Thomas. Pani rzadko mnie odwiedza tylko dlatego, że kontaktuje się telefonicznie z moją asystentką i dostaje pani kolejne recepty. – Doktor Miller potrząsnął głową. – Ja także nie zachowałem się odpowiedzialnie, pozwalając, żeby ciągnęło się to tak długo.

Tym razem jeszcze jej się upiekło. Lekarz, widząc w jakim jest stanie, na jej wyraźną prośbę przepisał jej kolejną dawkę pięciomiligramowych tabletek, ale w mniejszym opakowaniu. Jasno dał jej do zrozumienia, że gdy je zużyje, powinna stawić się u niego osobiście, a poza tym zagroził, że jeśli nadal będzie ignorować jego zalecenia, zrezygnuje z leczenia jej.

Tego popołudnia wybrała się na zakupy. Poszła do sklepu Fortnum & Mason po ulubioną musztardę Edwarda, a później do Hatchardsa kupić mężowi najnowszą powieść Jeffreya Archerà i kilka książek dzieciom. Stamtąd udała się na Piccadilly Circus, aby zrealizować receptę u Bootsa. Do tej pory udało jej się opanować strach, który wzbudziło w niej ostrzeżenie doktora Millera, ale gdy wręczała sprzedawcy receptę wypisaną znajomym, niewyraźnym pismem, opanowała ją nowa fala paniki. A co będzie, jeśli to już ostatni raz? Co, jeśli lekarz przestanie wypisywać jej recepty? Wiedziała, że nie ma co liczyć na Petera Cary'ego, tak więc będzie

musiała znaleźć następnego lekarza. Oczywiście było ich wielu w całym Londynie, a nawet w Oksfordzie, ale nie sądziła, by udało jej się tak po prostu wejść do gabinetu obcego lekarza i bez słowa wyjaśnienia zdobyć potrzebną receptę. Nie ma szans. No i co zrobi, gdy skończą jej się tabletki?

Gdy wyszła ze sklepu, cała się trzęsła. Zastanawiała się, czy jej stan jest widoczny dla innych, choć z drugiej strony wcale się tym nie przejmowała. Myślała tylko o tym, skąd zdobędzie następną kartkę papieru z wypisaną gwarancją względnego spokoju, pozornej normalności, zachowania zdrowych zmysłów.

Mężczyzna pojawił się nagle. Stał tuż przy niej prawie jej dotykając. Ciemne włosy kontrastowały z przeraźliwie bladą, gładko ogoloną twarzą. Chociaż było już prawie ciemno, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne.

– Czy mogę pani pomóc? – spytał.

Annie zatrzymała się ze zdziwieniem.

– Nie – potrząsnęła głową. – Dziękuję. – Odsunęła się, szukając wzrokiem taksówki.

Mężczyzna przysunął się do niej.

– Nie wygląda pani zbyt dobrze.

Annie próbowała go zignorować. Zdecydowanym krokiem podeszła do krawężnika i zaczęła rozglądać się za taksówką.

– Powiedziałem, że nie wygląda pani zbyt dobrze – powtórzył mężczyzna.

Kątem oka przyjrzała się intruzowi, po czym szybko odwróciła głowę, spoglądając w głąb ulicy. Była zszokowana. Teraz wiedziała już z całą pewnością, że jej wewnętrzne rozterki są widoczne dla całego świata. Poczula nieodpartą potrzebę sięgnięcia do torebki i wyjęcia z niej małej papierowej torebki z lekarstwem. Stwierdziła, że jeśli ma dostać się na dworzec i wrócić do domu, musi natychmiast połknąć tabletkę.

– Mogę pani pomóc – powiedział mężczyzna prosto do jej ucha.

Annie obróciła się i zaczęła iść w przeciwnym kierunku. Drżenie przeszło w drgawki, czuła, że zaraz zwymiotuje. Popołudnie było chłodne i wilgotne, ale czuła, jak na czole i górnej wardze pojawiają się kropelki potu. Odsunęła się od krawężnika, bojąc się, że spadnie z niego wprost pod koła przejeżdżających pojazdów. Zaczęła iść tuż koło budynków, mając nadzieję, że jeśli poczuje zawroty głowy, ściany dadzą jej oparcie.

– Wiem, czego pani potrzebuje – kontynuował nieznajomy.

– Proszę zostawić mnie w spokoju – wycedziła Annie przez zaciśnięte zęby.

– Mam wszystko, czego pani potrzebuje – powiedział, idąc tuż za nią. – Żadnych recept, lekarzy, pytań.

– Proszę zostawić mnie w spokoju – powtórzyła z wściekłością. Strach i złość chwilowo przywróciły jej równowagę, adrenalina pozwoliła zachować zdrowe zmysły. – Proszę mnie zostawić albo zwołam policję!

Mężczyzna uśmiechnął się i powiedział:

– Po co zaraz wołać policję? Ja tylko chcę pani pomóc. Potrzebuje pani pomocy. Widzę to.

Annie zatrzymała się gwałtownie przed wejściem do pizzerii.

– Proszę – powiedziała błagalnie, a oczy zaszyły jej łzami. – Proszę zostawić mnie w spokoju.

– W porządku – odparł ugodowo. – Jeśli tego pani chce.

– Tak – odpowiedziała. Ogarnął ją nieprzyjemny zapach cebuli, sera i podłego gatunku mięsa. Znowu poczuła, że za chwilę zemdleje.

Intruz ponownie uśmiechnął się.

– Ostatnia szansa – powiedział. – Jest pani pewna?

– Jestem pewna – odparła płaczącym głosem.

Skinął głową.

– Rozumiem.

Annie poczuła za sobą chłód szklanej witryny pizzerii. Dwie torby od Hatchardsa zaczęły jej nagle ciążyć. Jakies pięćdziesiąt jardów przed sobą zobaczyła taksówkę z napisem „wolny” i zastanawiała się, czy, jeśli pobiegnie, zdąży ją złapać.

– Będę w pobliżu, jeśli zmieni pani zdanie – dodał na zakończenie mężczyzna i oddalił się.

Annie przymknęła na chwilę oczy. Kiedy ponownie je otworzyła, zobaczyła, że taksówka utknęła w korku i nadal stoi w tym samym miejscu. Z drugiej strony zbliżał się do niej jakiś mężczyzna w granatowym płaszczu, z aktówką i parasolem w ręku. Porządny człowiek – pomyślała Annie. – Żaden narkoman.

I wtedy przypomniała sobie o domu, o Banbury Farm House z dachem pokrytym strzechą, takim solidnym i bezpiecznym. Pomyślała o Edwardzie i dzieciach.

Otworzyła usta.

– Taksówka! – krzyknęła histerycznie. Przechodnie przystawali w zdumieniu, patrząc, jak oszalała przepycha się w kierunku jezdni. Dopadła taksówki jednocześnie z mężczyzną z parasolem. Zobaczyła, jak ten chwyta za klamkę i rzuciła się przed niego. Poczowała, jak torba z książkami uderza go w łydkę, zobaczyła wyraz zdziwienia i bólu na jego twarzy, ale nie czuła wstydu czy skrępowania, tylko czystą desperację.

Nacisnęła klamkę, wrzuciła do środka torby, wskoczyła w ślad za nimi i szybko zamknęła drzwiczki.

– Dworzec Paddington – rzuciła bez tchu i opadła ciężko na siedzenie. Wiedziała, że później przyjdzie czas na wstyd.

Valium starczyło jej na miesiąc. Potem zadzwoniła do gabinetu doktora Millera, próbując przekonać jego asystentkę, aby przedłużyła jej receptę. Lekarz jednak albo ostrzegł pracownicę, albo umieścił odpowiednią adnotację w karcie i Annie nie miała innego wyjścia, jak umówić się na kolejną wizytę. Dwa dni później siedziała z wilgotnymi dłońmi w jego gabinecie, pełna złych przeczuć.

– Nie dostanie pani już żadnej recepty – oznajmił zgodnie z wcześniejszym ostrzeżeniem Andrew Miller. – Przynajmniej dopóki nie zgodzi się pani na wizytę u psychiatry.

Annie spojrzała na niego i zrozumiała, że nie żartuje.

– Dobrze – powiedziała. – Zgadzam się.

– Świetnie – odparł lekarz, otwierając czarny skórzany notes z adresami. – W takim razie zadzwonię do lekarki i umówię panią na wizytę.

– A nie mogę zrobić tego sama? – spytała Annie.

– Nie. Muszę jej wszystko wyjaśnić.

– Nie ufa mi pan?

Miller popatrzył na nią uważnie.

– W tych okolicznościach... raczej nie.

– Dobrze – zgodziła się Annie. – Proszę dzwonić.

– Na kiedy mam panią umówić?

– Nie mam przy sobie kalendarzyka.

– To szkoda – odparł lekarz.

– Naprawdę. Nie mam. – Annie schyliła się po torebkę stojącą na podłodze. – Proszę, niech pan sam sprawdzi – powiedziała, otwierając ją i kładąc na biurku. – Proszę zobaczyć. Nie zabrałam go ze sobą.

Andrew Miller uśmiechnął się uprzejmie.

– Wierzę pani, pani Thomas. Ale to nie zmieni mojej decyzji. Bez wizyty u psychiatry nie wypiszę pani żadnej recepty.

Annie dała za wygraną.

– Jutro – powiedziała.

– W porządku. – Lekarz skinął głową i sięgnął po telefon. – Nie sądzę jednak, żeby była wolna już jutro. – Spojrzał na napiętą twarz Annie i jej oczy pełne determinacji. – Spróbuję – dodał.

Mimo najszczerzych chęci, nie udało mu się to jednak. Po wyjściu z gabinetu Annie nie była pewna, czy cieszyć się czy żałować, że lekarka mogła przyjąć ją dopiero za trzy dni. Miała jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny na zastanowienie. Jeszcze trzy dni, żeby przygotować się na to spotkanie, zastanowić nad tym, na ile szczerze może opowiedzieć o swoich problemach psychiatrze i wymyślić jakieś rozsądne kłamstwo, którym mogłaby uraczyć Edwarda, gdyby ją o coś pytał. Musiała także zadecydować, czy w ogóle stawi się na tę wizytę, a jeśli tak, jakie będą jej konsekwencje. Czy dostanie to, na czym najbardziej jej zależy – swoje bezcenne pigułki? A może zostanie poddana torturom o wiele gorszym niż te, które przeżywała przy próbie odstawienia lekarstwa w styczniu?

Później, wiele godzin później, nie wiedziała, w jaki sposób dostała się na Piccadilly Circus – wzięła taksówkę, przyjechała autobusem, a może przyszła na piechotę? Nie mogła sobie także przypomnieć, jaka myśl pchnęła ją do podjęcia ostatecznej, nieodwołalnej decyzji – tego szaleństwa, które powstało z gmatwaniny nieskładnych, chaotycznych myśli.

Jednak kiedy znalazła się już w zgiełku ulicy, w tłumie ludzi, dokładnie wiedziała, po co tu przyszła. Szukała mężczyzny. Tego, którego spotkała ostatnio lub innego – podobnego. Handlarza narkotyków.

– Będę w pobliżu – powiedział. – Gdyby zmieniła pani zdanie.

Annie czekała przy wejściu do Bootsa ponad godzinę. Od czasu do czasu z lekkim skrepowaniem zerknęła na zegarek, starając się sprawiać wrażenie, że na kogoś czeka. Takie

zachowanie, a także elegancki płaszcz i perfekcyjny naturalny makijaż miały nadać jej szacowny wygląd, tak aby mijający ją ludzie – a przynajmniej większość z nich – nie dostrzegli ukrytej pod tą maską desperacji.

– Czy mogę pani pomóc?

Annie spojrzała na mężczyznę. To nie ten sam, co ostatnio – pomyślała. Ten był młodszy, z krótko przystryżonymi jasnymi włosami, małą bródką i zielonymi, przenikliwymi oczami, których nie skrywały okulary przeciwsłoneczne. Przeszedł ją dreszcz. Poczula, jak sztywnieją jej sutki, a włosy na karku podnoszą się.

Mężczyzna wpatrywał się w nią uważnie.

– Spytałem, czy mogę pani pomóc? – powtórzył.

Nagle Annie opanował całkowity spokój. Kilka lat temu płynęła z Edwardem do Nowego Jorku na statku „Queen Elisabeth II”. Po drodze napotkali gwałtowną burzę, ale zdołali jej uciec. W jednej chwili otaczały ich rozszalałe fale, a w następnej znaleźli się na spokojnych, lustrzanych wodach. Podobnie czuła się teraz.

– Tak – odpowiedziała.

Przeszli przez Leicester Square i skręcili za rogiem w najbliższą alejkę. Annie powiedziała mężczyźnie, czego potrzebuje, a on odpowiedział, że będzie ją to kosztować pięćdziesiąt funtów. Przy sobie miała tylko czterdzieści siedem funtów i bilet powrotny do Oksfordu; obliczyła szybko, że musi zostawić sobie co najmniej dwanaście funtów na dojazd na dworzec i przejazd z Oksfordu do Stone Bridge. Za trzydzieści pięć funtów mogła otrzymać tylko połowę tego, co dostałaby za pięćdziesiąt. Na tym polega ta gra – powiedział jej handlarz.

– Takie są zasady rynku – dodał bez złości.

Annie nie protestowała.

Dwa razy zwymiotowała – najpierw w toalecie w pociągu, potem w swojej własnej łazience. Później długo stała pod prysznicem; teraz rozumiała, co muszą czuć ofiary gwałtu. Po połknięciu pierwszej z dopiero co kupionych tabletek ogarnęło ją nagle przerażenie, że być może są zatrute i zaszkodzą jej lub nawet spowodują śmierć. Ale pigułka zadziałała jak zwykle, ogłupiła ją, ukołysała rozkołataną nerwy, dała poczucie bezpieczeństwa, a po chwili Annie była już prawie szczęśliwa, zwłaszcza gdy uświadomiła sobie, że nie musi iść do żadnego psychiatry, może odwołać wizytę i bez oporów zgodzić się na zredukowanie dawki przepisywanej jej przez

obu lekarzy. Andrew Miller i Peter Cary na pewno będą zadowoleni, myśląc, że zastosowała się do ich wskazówek, a Edward w ogóle o niczym się nie dowie.

Ona zaś może mieć tyle valium, ile zechce.

Rozdział 7

Edward uznał, że jest chora.

– Martwię się o ciebie – powiedział pewnego szczególnego marcowego popołudnia. Szczególnego dlatego, że był w domu. Siedzieli w kuchni przy wielkim sosnowym stole, jedząc zupę jarzynową, przygotowaną przez Marie-Louise, i ser. – Wyglądasz na bardzo zmęczoną, kochanie.

– Jestem trochę zmęczona – przyznała Annie. Dzisiaj, po raz pierwszy od dłuższego czasu, spędzała z Edwardem prawie cały dzień i konieczność zachowania przed nim pozorów była prawie nie do zniesienia.

– Być może zaraziłaś się czymś?

– Nie. Nie sędzę.

– Naprawdę wcale nie wyglądasz dobrze. – Edward pochylił się nad stołem i przyjrzał uważniej jej bladej twarzy i podkrążonym oczom. – Prawdę mówiąc, wyglądasz na straszliwie zmęczoną. Może powinnaś wybrać się do Petera Cary'ego?

– Nie jestem chora, Edwardzie.

– Wizyta u lekarza nie zaszkodzi.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła ostro Annie. – Proszę, nie patrz na mnie w ten sposób.

– W porządku – powiedział Edward ze zdziwieniem. – Dlaczego się denerwujesz? – Nadal nie przekonany odchylił się z powrotem na krzesło. – Zwykle nie przejmujesz się takimi drobiazgami.

– Chyba nie – przyznała cicho Annie. – Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać, kochanie.

– Nieprawda – zaproponowała Annie. – Muszę. – Poczula gwałtowną potrzebę płaczu – oczyszczającego, uwalniającego złe emocje. Ale w jej głowie, niczym latarnia morska ostrzegająca przed niebezpieczeństwem, tkwiło wspomnienie opowieści Edwarda o uzależnieniu jego matki i destrukcyjnym wpływie, jakie wywarło ono na jego życie. Nie może otworzyć się przed Edwardem. Ani teraz, ani nigdy.

– Annie, najdroższa – powiedział Edward, delikatnie biorąc ją za rękę. – O co chodzi?

– O nic – odparła nadal spięta. – Tak jak powiedziałam, to tylko przemęczenie.

– Dlatego sugerowałem, żebyś poszła do lekarza. – Widząc wyraz jej twarzy, szybko cofnął rękę. – W porządku. Wiem, że nie chcesz, chociaż nie bardzo rozumiem dlaczego. Myślałem, że wszyscy Amerykanie uwielbiają wizyty kontrolne.

– Od lat nie jestem już Amerykanką. – Annie zmusiła się do uśmiechu. – Już zapomniałam, jak to jest. Teraz jestem zatwardziałą Angielką.

– A może mały urlop? – ostrożnie zaczął Edward.

Groźba tego, że Edward wybierze się na rozmowę do Petera Cary'ego chwilowo została oddalona i Annie poczuła prawdziwą ulgę.

– Byłoby cudownie – powiedziała. Przez głowę przemknęła jej myśl o ucieczce od tego wszystkiego. To mogłoby jej pomóc. Błękitne niebo, białe plaże, żadnych obowiązków, tylko ona i Edward.

– Świetnie – odparł zadowolony. – Gdzie chciałabyś pojechać?

– Nie wiem – powiedziała, a w myśli dodała „gdziekolwiek”. – A ty?

– Nie mogę pojechać z tobą, kochanie – oznajmił Edward ze smutkiem. – Wierz mi, chciałbym, ale nie mogę się stąd wyrwać, przynajmniej przez najbliższych kilka miesięcy.

Wizja rajy rozwiała się.

– W takim razie ja też nie mogę jechać.

– Oczywiście, że możesz – zaprotestował Edward, biorąc dokładkę sera. – Myślę, że taki wyjazd znakomicie ci zrobi.

Annie odłożyła sztucce i wstała.

– Edwardzie, jeśli nie możemy jechać razem – oznajmiła chłodno – to ja w ogóle nie chcę jechać!

– Czy nie możesz potowarzyszyć mi podczas lunchu? – spytał łagodnie Edward.

– Nie. Mam kilka rzeczy do zrobienia, zanim Marie-Louise wróci z Lizą z przedszkola.

– Jakich rzeczy?

Annie poczuła się przyparta do ściany.

– Różnych – odparła zaczepnym tonem. Myślała tylko o tym, aby pójść na górę do łazienki i wziąć tabletkę. Wzięła ze stołu talerz, a leżący na nim widelec spadł z brzękiem na wyłożoną kafelkami podłogę.

– Cholera! – zaklęła ze złością i schyliła się, by go podnieść.

– Spokojnie, kochanie – powiedział zdumiony Edward.

– Będę spokojna – odrzekła Annie – jeśli ty zostawisz mnie w spokoju.

– Zostawiam cię samą na całe tygodnie, więc równie dobrze mogę zrobić to i teraz – rzekł urażony.

– I dobrze! – odparła, stojąc przy zlewie, wpatrzona w niedojedzoną sałatkę serową, pozostawioną na talerzu. Czuła się chora i zawstydzona. Najchętniej rozplakałaby się, zaczęła krzyczeć lub poszła spać. Albo wzięła dwie pigułki.

Edward wstał bez słowa, umył swój talerz i postawił na suszarce. Spojrzał na nią i lekko dotknął jej ramienia, ale nie obróciła się, stała nieruchomo ze spuszczoną głową.

– W takim razie opuszczam cię – powiedział spokojnie. – Pójdę na górę popracować.

Annie w milczeniu skinęła głową.

– Jesteś pewna, że wszystko jest w porządku? – spytał raz jeszcze.

– Mhm – wymruczała niewyraźnie. Wiedziała, że jeśli otworzy usta, nie opanuje lawiny słów, które popłyną.

– Zobaczymy się później.

– Dobrze.

Gdy Marie-Louise wróciła z Lizą do domu, Annie spała mocno w swojej sypialni, a Edward, który przykrył ją delikatnie kołdrą, ostrzegł je, żeby zachowywały się cicho. Jest wyczerpana – wyjaśnił, a Marie-Louise nie powiedziała nic, chociaż od dawna wiedziała, że Annie przesadza ze środkami uspokajającymi. Jednak w czasie świąt w Szwajcarii rodzice przypomnieli jej, że dopóki dzieci mają właściwą opiekę, nie ma prawa poruszać tej sprawy. Ale nawet Marie-Louise nie wiedziała, że Annie zasnęła tak mocno, ponieważ po lunchu wzięła pięciomiligramową tabletkę valium. Dawka ta każdego zwałaby z nóg, zwłaszcza że Annie jeszcze rano wzięła dziesięć miligramów leku, nie mówiąc już o dziesięciu miligramach, które zaaplikowała sobie zeszłego wieczoru.

Następnego ranka, w poniedziałek, Annie pojechała razem z Edwardem do Londynu, twierdząc, że musi zrobić zakupy. Obudziła się ociężała, bolała ją głowa. Dopiero lodowaty prysznic zdołał ją nieco otrzeźwić, a i tak marzyła tylko o tym, aby wrócić do łóżka i pogрузić się we śnie. Ale musiała zmobilizować się do wyjścia. Kończył jej się zapas valium, a ponieważ

przez cały zeszły tydzień Edward był w domu, dopiero teraz mogła pojechać na Piccadilly Circus. Wyjazd ten był konieczny.

– Moglibyśmy zjeść razem lunch – powiedział Edward, wysadzając ją przed sklepem Harveya Nicholasa. – Wrócę do domu dopiero w piątek.

– Och, Edwardzie, strasznie mi przykro, ale nie mogę – skłamała Annie. Grała na zwłokę. Zabierając torebkę, parasol i torbę ze swetrem, który, jak powiedziała Edwardowi, musiała wymienić, myślała intensywnie nad jakąś wymówką. – Naprawdę chciałabym, ale mam tyle rzeczy do załatwienia. – Była zbyt zdekoncentrowana, żeby znaleźć lepsze usprawiedliwienie. – Zadzwoń do ciebie później, dobrze?

– Całe przedpołudnie będę na zebraniu – powiedział. Słyszając dźwięk klaksonu, spojrzął w lusterko wsteczne. – Kochanie, blokujemy ruch. Muszę jechać. – Przesłał jej pocałunek i poczekał, aż wysiądzie z samochodu.

– Kocham cię – rzuciła na pożegnanie Annie.

Edward uśmiechnął się i odjechał, a ona zastanawiała się, dlaczego to powiedziała. Często powtarzała dzieciom, że je kocha – gdy całowała je na dobranoc lub gdy wyjeżdżała, nawet na kilka godzin. Ale z Edwardem było inaczej – zwracali się do siebie czule tylko w najbardziej intymnych momentach, kiedy kochali się czy rozmawiali o ważnych problemach. Ale kiedy robiliśmy którąkolwiek z tych rzeczy? – pomyślała Annie, przepychając się przez tłum wysokich, szczupłych, pewnych siebie kobiet. Musiała pójść do sklepu, nawet jeśli nie zamierzała robić żadnych zakupów. Tak czy owak, musi wymienić ten sweter – inaczej trzeba będzie wyjaśnić Edwardowi, dlaczego tego nie zrobiła.

Na Piccadilly Circus dotarła tuż przed dwunastą. Zajęła swoje miejsce przed Bootsem, jak zwykle wykonała kilka drobnych gestów, które miały zamaskować jej pełne napięcia oczekiwanie – przestępowała z nogi na nogę, przycisnęła do boku torebkę, dla ochrony przed kieszonkowcami, i co jakiś czas demonstracyjnie patrzyła na zegarek, tak aby postronny obserwator miał wrażenie, że czeka na kogoś, kto najwyraźniej się spóźnia.

W końcu pojawiła się wyczekiwana osoba. Tym razem była to młoda kobieta, u której już dwukrotnie kupowała swoje lekarstwo. Annie uświadamiała sobie, że przemawia przez nią czysta hipokryzja i jest to całkowicie bezsensowne, lecz kiedy pierwszy raz zaczęła ją kobieta, była wstrząśnięta i zde gustowana. Do tej pory trwała w przekonaniu, że dostawca narkotyków musi

być mężczyzną. To naiwność, stwierdziła. Kobieta dobrze wiedziała, czego Annie chce, a ona znała cenę. Chodziło tylko o to, aby pieniądze i czarnorynkowy diazepam zmieniły właścicieli.

Stały w uliczce między Piccadilly Circus a Leicester Square. Annie otwierała właśnie torebkę, żeby wyjąć przygotowaną sumę pieniędzy, gdy raptem dziewczyna obejrzała się za siebie i wyraz jej twarzy zmienił się z obojętnego w bezwzględny.

– Jeśli mnie wsypiesz, paniusiu – powiedziała cicho, ale bezlitośnie – zginiesz.

Odwróciła się na pięcie i pomknęła w kierunku Leicester Square, potracając po drodze dwóch mężczyzn stojących na rogu. A Annie, zupełnie dezorientowana, stała bez ruchu – nie wiedziała, o co chodzi. Jeden z mężczyzn podążył za uciekającą dziewczyną, tymczasem drugi podszedł do Annie.

– Proszę pani – powiedział.

Annie natychmiast zorientowała się, że był policjantem.

– Chciałbym zamienić z panią słowo.

Annie spostrzegła, jak mężczyzna wkłada rękę do kieszeni, aby wyjąć z niej legitymację, ale nie zrobiła nic; stała bez ruchu, patrząc na jego rękę, na plakietkę ze zdjęciem i przypiętą odznakę. Była całkowicie otepiała – ostatnio prawie zawsze taka była, ale teraz było inaczej, znacznie gorzej. Następne wydarzenia – rozmowa z policjantem, powrót drugiego policjanta bez dziewczyny, prośba o udanie się na komisariat i udzielenie odpowiedzi na kilka pytań, a nawet groźba dostawczym narkotyków, która wciąż brzmiała jej w uszach – wydawały się całkowicie nierealne. W zamroczonym umyśle Annie kotłowała się tylko jedna ponura myśl.

Edward – który ciągle ją kocha – dowie się całej prawdy o niej. Biedny, naiwny Edward.

Natychmiast po przyjeździe na komisariat rozszlochała się. Z jej oczu płynęły łzy szczerzej skruchy, jednak zaraz z niezwykłą jasnością uświadomiła sobie, że płacz może zadziałać na jej korzyść. Funkcjonariusz, który miał ją przesłuchiwać, odnosił się do niej uprzejmie i miło, wydawało się nawet, że jej współczuje. Im bardziej była roztrzęsiona, z im większą trudnością przychodziło jej odpowiadać na najprostsze pytania, tym bardziej jasne stawało się, że tak naprawdę policji nie chodziło wcale o nią. Była po prostu jeszcze jedną żalosalną kobietą, która miała więcej pieniędzy niż rozumu i która próbowała w nielegalny sposób zdobyć to, co nazywali trzeciorzędnyimi prochami. To nie to samo, co heroina, kokaina czy nawet marihuana i nawet Annie, zamroczona przez valium i przerażona, zorientowała się, że nie ona jest dla nich ważna,

ale kobieta, która usiłowała sprzedać jej tabletki. I wtedy dobrze wychowana, wykształcona, szczerza aż do bólu Annie Aldrich Thomas posunęła się do kłamstwa – zełgała policjantowi prosto w twarz. Oświadczyła, że to był pierwszy raz, że nigdy wcześniej tego nie robiła. I chociaż nie była pewna, czy jej uwierzą, zastanawiała się nawet, czy nie widzieli jej już wcześniej, mimo to trzymała się sztywno swojej niezbyt wiarygodnej opowieści. Płakała, błagała oficera, aby nie mówił nic mężowi, coraz mocniej czując, że być może – tylko być może – uda jej się z tego wywinąć.

Powinna poczuć ulgę. Powinna być najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Przecież dostała tylko nieoficjalne ostrzeżenie. Ale kiedy usiadła w przedziale pierwszej klasy pociągu do Oksfordu – nadal roztrzęsiona, z zaczerwienionymi oczami – myślała tylko o tym, że wraca do Banbury Farm House bez fiołki z tabletkami. Wszystkie rozterki związane z Edwardem i jej małżeństwem zostały zepchnięte na dalszy plan. Liczyło się tylko jedno – straszna, obezwładniająca świadomość: zostanie bez valium.

Zostanie bez valium, Peter Cary nie wypisze jej nowej recepty, a ona nie zniży się do błagania go, do wymyślania nowych kłamstw. Nie może także wrócić do Londynu porozmawiać z Andrew Millerem, a już tym bardziej pójść na Piccadilly Circus, gdzie prędzej dostanie nożem w plecy niż fiołkę z czarnorynkowym valium. Annie ciągle pamiętała, jak straszna była próba odstawienia tabletek i wiedziała, że nie będzie w stanie zrobić tego jeszcze raz. Nie, kiedy Marie-Louise i dzieci są w domu.

Skończą jej się tabletki.

A tego nie zniesie.

Przypomniała sobie o tym, stojąc o czwartej nad ranem w sypialni małej Lizy, wpatrzona bezmyślnie w córeczkę. Tej nocy w ogóle nie spała. Wzięła tylko połowę zwykłej dawki, zdając sobie sprawę, że dopóki nie zdobędzie następnej recepty, cenny jest każdy miligram leku. Mimo to Annie była stosunkowo spokojna – nie na tyle, aby zasnąć, ale przynajmniej udało się jej osłabić, przytłumić nieco zwykłą panikę.

Wróciły do niej słowa, wypowiedziane jedenaście lat temu w pokoju hotelowym, niedaleko wzgórz, na którym zginęli jej – ich – rodzice.

„Za wzajemne wsparcie” – powiedział wtedy Jamie, a ona dodała: „Bez względu na okoliczności”. A Oliwia, najsilniejsza z nich, wypła jednym haustem koniak i zakończyła: „Na dobre i złe”.

Zeszłego lata na Dukesfield Fell i później, w Riverdale Hall, przypominali sobie wzajemnie o tym pakcie, ale przede wszystkim mówili o dobrych rzeczach: o własnych osiągnięciach, o stałej, nieprzerwanej przyjaźni, która przetrwała mimo rozdzielenia. Wtedy Annie już od dawna brała valium, ale spotkanie miało miejsce jeszcze przed wypadkiem samochodowym na Stone Bridge Road, zanim zdecydowała o zwiększeniu dawki środków na uspokojenie.

W nocy siedemnastego marca osiemdziesiątego siódmego roku Annie, patrząc na złotą główkę swojej małej córeczki, na jej piękne ciemne rzęsy, na delikatne policzki, wsłuchując się w jej regularny, spokojny oddech, podjęła kolejną decyzję.

– Tylko to mi zostało – powiedziała Annie cichutko, a po jej policzku stoczyła się łza mieszcząca w sobie cały wstyd, żal, miłość i litość, i spadła na miękki kocyk, którym okryta była Liza. – Myślę... wiem... kochanie, że to moja ostatnia szansa.

Pochyliła się i ostrożnie, delikatnie pocałowała córeczkę w główkę. Potem, tak samo cicho wśliznęła się do pokojów Sophie i Williama i tak samo ich ucałowała, nie budząc żadnego.

A później wróciła do własnej sypialni. Ze stolika zdjęła biały telefon, położyła się na pościelonym łóżku, kładąc go koło siebie i utkwiała wzrok w elektronicznym budziku stojącym na stoliku nocnym.

Nie spała. Czekala bez ruchu. Nie podniosła się słysząc, jak Marie-Louise budzi dzieci, daje im śniadanie i wyprawia do szkoły. Edward prosił, aby na razie dziewczyna sama zajmowała się domem, pozwalając Annie odpocząć. Zwykle Annie lubiła sama budzić dzieci, pomagać im ubierać się, a potem zasiąść wraz z nimi do śniadania. Ale tego ranka została w swoim pokoju, wpatrując się w zegar.

Czekała, aż wskazówka minie godzinę dziewiątą.

Wtedy zadzwoniła do Oliwii.

Rozdział 8

– Zatem – odezwała się Oliwia, kiedy Annie powiedziała im w końcu o wszystkim – jak się do tego zabierzemy?

Właśnie wybiła dziesiąta wieczorem i troje przyjaciół siedziało w salonie Oliwii: Annie, jak zawsze niezwykle elegancka, w dwuczęściowym, granatowym kaszmirowym kostiumie, siedziała w głębokim fotelu wyczerpana i zmęczona; Jamie, w dżinsach, tenisówkach i starej koszulce z emblematem Harvardu, rozparł się wygodnie na kanapie – wydawał się całkowicie rozluźniony, tylko głęboka bruzda między ciemnymi oczami i zaciśnięte usta zdradzały, że jest zaniepokojony. Oliwia, najbardziej zdeterminowana i zdecydowana, siedziała po turecku na dywanie, ubrana w swój ulubiony stary kostium od Normy Kamali.

Annie przyjechała do Genewy trzy dni temu.

– Jedno jest pewne – stwierdził Jamie. – Nie można tego zrobić w jedną noc.

– Musimy – zaprotestowała Annie. – Oczywiście nie w jedną noc, ale na pewno szybko. Nie mam dużo czasu – dodała, a widząc ich zakłopotane spojrzenia, wyjaśniła: – Jeśli Edward ma o niczym nie wiedzieć, muszę szybko wracać do domu.

– A czy naprawdę byłoby tak źle, gdyby się dowiedział? – spytała Oliwia.

– Tak.

Znajdowali się w dużym, luksusowym apartamencie przy rue de Marche. Oliwia wybrała go, przeprowadzając się do Genewy, przede wszystkim ze względu na lokalizację – w samym sercu miasta. Jak na razie, życie w Szwajcarii bardzo jej się podobało. W domu miała zapewnione wszystkie wygody i luksusy życia w bogatym, wielonarodowościowym mieście. Z drugiej strony w zasięgu ręki miała Jezioro Genewskie, stoki narciarskie w Gstaad, a w pobliżu Francję i Włochy.

Od rozpaczliwego telefonu Annie minęły trzy dni, niezbędne do przeorganizowania planów i przełożenia umówionych spotkań. Oliwia nie miała z tym większych problemów – przy dużej liczbie agencji translatorskich w Genewie, szybko znalazła zastępstwa dla swoich klientów. Jamie musiał się trochę nagimnastykować, aby namówić swoją żonę Carrie do przejęcia jego obowiązków, zarówno służbowych, jak i towarzyskich. Annie, mimo dręczącego ją poczucia winy, musiała znowu okłamać Edwarda. Zbyła go wymówką, którą wspólnie opracowali jeszcze

przed jej wyjazdem. Oznajmiła mężowi, że Oliwia ma poważne problemy osobiste i potrzebuje pomocy. Edward, jak zwykle uczynny i prostoduszny, natychmiast zaproponował, że podczas jej nieobecności zajmie się domem – tak więc Annie mogła wyruszyć do Genewy z walizką w jednej ręce, a torebką pełną valium w drugiej.

Annie rozpoczęła swoją opowieść już pierwszego dnia – gdy zaczęła, słowa popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Dusił ją w sobie przez tyle lat! Teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakowało, jak strasznie chciała z kimś porozmawiać – potrzeba wyznania wszystkiego była tak silna, że często, gdy nikogo nie było w domu, rozmawiała z Bella albo z kotami.

– Koty jednak szybko tracą zainteresowanie tym, co się do nich mówi – skonstatowała, siedząc wraz z przyjaciółmi w spowitym w poświatę zachodzącego słońca przytulnym, nieco zaniedbanym salonie Oliwii. – Mimo to „rozmowa” z Bella sprawiała, że czułam się lepiej. Kładła się u moich stóp i słuchała, a ja drapałam ją po brzuszku. A kiedy płakałam, kładła mi łepkę na kolanach.

– Dobrze jest rozmawiać ze zwierzętami – stwierdziła Oliwia. – Aczkolwiek siłą rzeczy taka rozmowa jest nieco jednostronna.

– Lepsze to niż nic – zauważył Jamie. – Lub nikt – dodał.

– Ale Annie nie była sama – powiedziała Oliwia.

Od razu, na wstępie, ustalili dwie zasady gry. W obrębie tego domu, w tych bezpiecznych ścianach, obowiązywała ich absolutna szczerłość. Annie miała powiedzieć im wszystko, choćby nie wiem jak długo to trwało i jak paskudne by nie było. Oliwia i Jamie mogli w dowolny sposób reagować na jej opowieść. I wreszcie, nieważne jakimi metodami, musieli znaleźć rozwiązanie problemu Annie. Jeśli nawet chwilowe oczyszczenie i wyznanie prawdy sprawiło, że poczuła się lepiej, to nie było powrotu do tego życia, które wiodła wcześniej. Skoro zaszła już tak daleko, żadne z przyjaciół nie mogło pozwolić, aby teraz się wycofała.

– Dlaczego byłoby to takie straszne, gdyby Edward dowiedział się o wszystkim? – Oliwia spojrzała na Annie z rozpaloną twarzą, intensywnie wpatrując się w nią błyszczącymi, zielonymi oczami. – Jakiej reakcji się spodziewasz?

Annie zarumieniła się.

– Mógłby tego nie znieść – odparła.

– Nie podobałoby mu się to – stwierdziła Oliwia, podnosząc się na kolana. – Byłby pewnie okropnie zasmucony, a może i wściekły. Ale myślę, że przede wszystkim martwiłby się o ciebie. Chciałby, abyś wyzdrowiała, abyś znowu była szczęśliwa.

– Być może – zgodziła się Annie. – Jeśli chodziłoby tylko o niego i o mnie... być może tak. Ale przecież jestem także matką jego dzieci.

– Jesteś wspaniałą matką – wtrącił Jamie.

– Jestem narkomanką. Jestem uzależniona od prochów.

– Nieprawda – zaprotestował Jamie. – Jesteś uzależniona od środków uspokajających. To lekarze uzależnili cię od nich, powinni byli przewidzieć, że to się tak skończy.

– Straciłam kontrolę – powiedziała Annie.

– Ale nigdy nie skrzywdziłaś dzieci – zauważył Jamie.

– Ale mogłam!

– W jaki sposób? – spytał Jamie. – Z tego, co nam mówiłaś, wynika, że przedsięwzięłaś wiele środków zapobiegawczych, zwłaszcza od chwili, gdy zrozumiałaś, że możesz stanowić zagrożenie dla własnych dzieci.

– Jednak zajmowałam się nimi, będąc pod wpływem leków.

– To prawda – przyznała Oliwia. – Ale teraz chcesz z tym skończyć. Bo chcesz, prawda, Annie?

– Tak.

– Jak bardzo?

– Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Oliwia nadal przypierała ją do muru.

– A co z odwykiem? Ostatnio nie wytrzymałaś. Czy jesteś pewna, że tym razem sobie poradzisz?

– Nie, pewnie nie – powiedziała Annie cicho. – Ale może przy waszej pomocy mam większą szansę.

Jamie wstał i podszedł do okna. Odsunął zasłonę i spojrzał w ciemną deszczową noc. Było zupełnie cicho, jedynie z oddali słychać było przytłumiony pisk opon samochodów ślizgających się na mokrych jezdniach.

– Musimy zwrócić się o pomoc do profesjonalistów – stwierdził. – Nie zdołamy zrobić tego sami.

Annie spojrzała z przerażeniem.

– O jaką pomoc ci chodzi?

– A jak myślisz? – zapytała Oliwia. – Potrzebujemy lekarza.

– Lekarz powie, że powinnam odzwyczajać się powoli, stopniowo – powiedziała Annie. – Wyśle mnie do domu i każe pójść do lekarza w Anglii. Zaproponuje, abym skorzystała z pomocy rodziny, to właśnie powie.

– A ty tego nie chcesz? – dokończyła Oliwia.

– Nie, nie chcę – przytaknęła Annie. – Nie zaryzykuję takiego rozwiązania.

Następnego dnia, czwartego od przyjazdu Annie, Oliwia udała się z wizytą do swojej lekarki. Doktor Diana Brünli była z pochodzenia Angielką, ale po wyjściu za mąż za szwajcarskiego dermatologa zamieszkała w Genewie. Oliwia tylko raz była u niej w gabinecie jako pacjentka, ale potem spotkały się na seminarium, w którym Oliwia brała udział jako tłumacz na zlecenie Gilles-Breque Pharmaceuticals. Obie kobiety siedziały razem podczas posiłków i zaprzyjaźniły się wówczas na tyle, że od tamtej pory spotykały się towarzysko przynajmniej raz w miesiącu.

– Jeśli twoja przyjaciółka upiera się, aby zrobić to szybko – powiedziała Oliwii Diana Brünli w swoim sterylnie czystym, urządzonej w niebiesko-białej tonacji gabinecie przy rue de Lausanne – w takim razie musi się to odbyć w szpitalu albo klinice.

– Myślę, że Annie nie zechce pójść do szpitala – stwierdziła Oliwia. – Wiem, że to bez sensu, ale ona uważa, że robiąc to, straciłaby zaufanie swojego męża. Oczywiście, zdaje sobie sprawę, że cały czas okłamywała Edwarda, ale według niej to nie to samo. Uważa, że nie może pójść do szpitala, nie informując go o tym.

– I pewnie w ogóle nie bierze pod uwagę wyznania mężowi całej prawdy?

– To wykluczone.

– Mówiłaś, że jej mąż jest porządnym człowiekiem, prawda? – spytała doktor Brünli.

– Z tego, co wiem, Edward jest prostoduszny i trochę misiowaty – stwierdziła Oliwia, po czym dodała z wahaniem: – Ale z drugiej strony, przez tyle lat myślałam, że Annie jest bardzo szczęśliwa, więc w rzeczywistości Edward może okazać się prawdziwym sadystą.

– Nie sądzę, żeby tak było.

– Prawdę mówiąc, ja też.

– Co nie zmienia faktu – ciągnęła Diana – że twoja przyjaciółka jest gotowa zrobić wszystko, byle tylko jej mąż nie dowiedział się o jej uzależnieniu.

– A tym bardziej o próbie zerwania z tym nałogiem – dodała Oliwia, potrząsając głową. – Myślę, że Annie wydaje się, że przy naszej pomocy może pójść na całość, zaaplikować sobie szybki odwyk, a potem, jak gdyby nigdy nic, wrócić do domu i podjąć normalne życie. Zrugałam ją, chociaż Jamie stwierdził, że zachowałam się okropnie nietaktownie, a i ja stwierdzam, że być może potraktowałam ją zbyt ostro. W każdym razie powiedziałam Annie, że to nie to samo co pokątna skrobanka, że w jej przypadku jest o wiele gorzej.

– To prawda – przyznała lekarka. – Na pewno nie będzie to proste. Nawet jeśli Annie z powodzeniem przetrwa wszystkie najgorsze objawy związane z gwałtownym odstawieniem valium, to sprawa się na tym nie skończy. Nie w przypadku tak długotrwałego uzależnienia. Odwyk może trwać miesiącami. Annie jeszcze przez bardzo długi czas będzie czuła się nie najlepiej. Być może już nigdy nie będzie czuła się tak dobrze, jakby chciała. Stale będzie potrzebować pomocy.

– Co więc proponujesz? – spytała Oliwia. – Nie wiem, do kogo innego mogłabym się z tym zwrócić, Dianio.

– Do specjalisty – odparła doktor Brünli. – Do specjalisty, który powie ci to samo, co ja, że Annie ma tylko dwie możliwości do wyboru. Albo wróci do domu, powie o wszystkim mężowi i przy jego pomocy rozpocznie długofalowe, kontrolowane odstawianie leków, albo zaryzykuje szybki, ale ciężki odwyk w klinice. – Lekarka uśmiechnęła się z przymusem. – Chyba nie muszę ci mówić, którą możliwość zalecam.

Oliwia przez chwilę milczała.

– Czy można to zrobić w domu? W moim mieszkaniu? – spytała w końcu.

– Gwałtowne odstawienie prochów? – lekarka pokręciła głową. – To byłoby bardzo ryzykowne.

– Dlaczego? Czy zagrożone byłoby zdrowie Annie, a może jej psychika?

– Trudno powiedzieć. Wszystko może się zdarzyć. Annie może mieć konwulsje – nie zdarza się to często, ale jednak się zdarza, a w takim przypadku bez specjalistycznej opieki mogłoby się to skończyć tragicznie. Twoja przyjaciółka może próbować popełnić samobójstwo...

– Ale przecież nie będzie sama.

– To nie ma znaczenia, Oliwio. W kuchni na pewno masz wiele ostrych przedmiotów. W twoim mieszkaniu są okna, z których można wyskoczyć. – Doktor Brünli urwała, widząc przerażone spojrzenie Oliwii. – Nie twierdzę, że tak będzie, ale nie można też tego wykluczyć. Annie może nawet zaatakować któreś z was; jednym z objawów głodu jest agresja.

– Annie nigdy nie była agresywna – zaoponowała Oliwia.

Diana Brünli uśmiechnęła się łagodnie.

– Ale Annie w stanie głodu narkotycznego będzie zupełnie inną osobą.

Po powrocie do domu Oliwia streściła Annie i Jamiemu rozmowę z lekarką.

– Nie chcę iść do szpitala – powiedziała stanowczo Annie. Wiedzieli, że tak właśnie zareaguje na tę propozycję.

– Ale jeśli chcesz to zrobić szybko – tłumaczyła Oliwia – to nie masz innego wyjścia.

– Nie. – Twarz Annie była prawie biała, a dłonie mokre od potu. – Nie mogę tego zrobić. Musiałabym podać dane Edwarda, jako najbliższego krewnego, a szpital pewnie zechciałby skontaktować się z nim.

– Nie zrobią tego, jeśli nie wyrazisz zgody – powiedział Jamie.

– Nie wiadomo. – Annie gwałtownie potrząsnęła głową. – Chcę to zrobić tutaj – powiedziała. – Przy was. Wiem, że to bardzo trudna do spełnienia prośba, ale właśnie dlatego zadzwoniłam do was. – W jej głosie słychać było narastającą histerię. – Gdybym chciała iść do szpitala, równie dobrze mogłam zrobić to w Anglii. Jeśli Edward dowie się, że uciekłam od niego, pojechałam do Szwajcarii i okłamałam go, to będzie koniec. Stracę i jego, i dzieci. Wiem, że tak będzie. – Przerwała, a oczy zaszyły jej łzami. – W takim razie wolę już wrócić do domu i ciągnąć to dalej.

– Wolisz nadal okłamywać męża i zaćpać się na śmierć? – spytała ostro Oliwia.

– Tak – odrzekła Annie.

– Myślałem, że chcesz z tym skończyć – zdziwił się Jamie. – Że pragniesz tego najbardziej na świecie.

– Bo chcę!

– W takim razie idź do kliniki – stwierdziła Oliwia.

– Nie mogę – odparła Annie.

Wzięła tabletkę i poszła się położyć. Jamie i Oliwia usiedli w kuchni, tak aby Annie nie usłyszała, o czym rozmawiają, i głowili się nad problemem.

– Jest tylko jedno rozwiązanie – powiedziała w końcu Oliwia.

– Jakie? – spytał Jamie.

– Zrobimy to tutaj.

– Ale twoja przyjaciółka mówiła, że to może być niebezpieczne.

– Nie, jeśli podejmiemy odpowiednie środki – stwierdziła Oliwia. – Jeśli odpowiednio przygotujemy mieszkanie, jeśli znajdziemy lekarza...

– Uważasz, że doktor Brünli nie pójdzie na to? – zapytał Jamie.

– Nie wiem. Może się zgodzi, może nazwie nas szaleńcami, a może po prostu nie będzie miała czasu. Ale może uda jej się znaleźć specjalistę, który nam pomoże.

– Krótko mówiąc – zakończył Jamie – jeśli Annie nie pójdzie do szpitala, my stworzymy szpital tutaj.

– Dokładnie tak – odparła Oliwia.

– Och, tak – wykrzyknęła Annie, kiedy obudziła się i usłyszała, co wymyślili Oliwia i Jamie. – Och, tak – dziękuję, Liwi, to cudownie!

– Nie wiemy, czy to się uda – ostrzegła ją Oliwia.

– Ale spróbujecie, prawda? – spytała Annie, siadając na łóżku.

– Spróbujemy – uspokoił ją Jamie.

– Ile mamy czasu, Annie? – spytała Oliwia. – To znaczy, kiedy Edward zacznie się niepokoić?

Annie opuściła nogi na podłogę i odrzekła:

– Cały następny tydzień. Może trochę dłużej. – W jej oczach pojawiła się nowa nadzieja.

– O Boże, myślicie, że wykorzystamy tę szansę?

– Nie wiem – odparła szczerze Oliwia.

– Siedem dni to trochę za mało – zauważył Jamie. – Być może cały tydzień zajmą nam przygotowania. O ile w ogóle da się je przeprowadzić.

– Na pewno się uda – zapewniła Annie. – Oboje wiemy, że Liwi jest wspaniałą organizatorką.

– Nie powiedziałałabym – zaprotestowała Oliwia. – To, że od czasu do czasu udaje mi się zorganizować nasze spotkanie, nie znaczy, że będę potrafiła w kilka dni utworzyć prowizoryczny szpital we własnym domu.

– Ale przecież każde z nas mieszka w innym kraju – przekonywała Annie. Nadal nie opuszczał jej optymizm. – A ludzie, którzy teraz będą nam potrzebni, mieszkają w jednym mieście.

– Czyż to nie brzmi uroczo? – stwierdziła ironicznie Oliwia.

– Annie ma rację – powiedział Jamie. – Myślę, że sobie poradzisz. Jeśli komuś ma się to udać, to właśnie tobie.

– Ja i moje pomysły... – westchnęła Oliwia.

Było trochę pracy, ale udało się, głównie dzięki pomocy doktor Diany Brünli, która pomogła im wynająć lekarza i dwie pielęgniarki z kliniki specjalizującej się w rehabilitacji pacjentów uzależnionych od leków. Ponieważ leczenie miało przebiegać w prywatnym mieszkaniu, obie kobiety: Annie, jako pacjentka, i Oliwia, jako właścicielka domu, musiały podpisać dokumenty, zwalniające szpital od wszelkiej odpowiedzialności.

– To będzie kosztować majątek, prawda? – spytała Annie w wieczór poprzedzający przybycie doktora Gianni Dresslera i jego zespołu. Jamie przygotowywał w kuchni kolację. Siedział tam już od kilku godzin, od telefonicznej kłótni z Carrie, która zadzwoniła, aby dowiedzieć się, co zatrzymuje go tak długo w Genewie. Jamie nie znosił kłótni, zwłaszcza z Carrie. Gotowanie było jego sposobem na odreagowanie stresu. Podobnie postępował w Bostonie, regularnie znikał w kuchni po każdej sprzeczce z żoną. Sprzeczki te ostatnio powtarzały się coraz częściej.

– Wszystkie opłaty zostaną uregulowane – odpowiedziała Oliwia.

– Sama zamierzam zapłacić za wszystko – stwierdziła Annie. – Nawet o tym nie myśl, Liwi.

– Nie będziesz za nic płacić – odparła Oliwia. – Przynajmniej dopóki nie zdecydujesz się powiedzieć o wszystkim Edwardowi. Potraktuj to jako prezent ode mnie i Jamiego. Wiesz, że nas na to stać.

– Nie o to chodzi. – Annie siedziała w fotelu w swoim pokoju, mnąc w rękach papierową chusteczkę i drąc ją na strzępy. W ten sposób jednego popołudnia zniszczyła ich całe pudełko.

– Nie martw się o rachunek, Annie – odparła sucho Oliwia. Siedziała na brzegu łóżka. – Masz teraz na głowie znacznie ważniejsze rzeczy, czyż nie tak?

Na twarzy Annie pojawił się nieznaczny, zaprawiony goryczą uśmiech.

– Wiesz czego teraz potrzebuję, prawda?

– Gdybyś była mną – Oliwia odpowiedziała z uśmiechem – pewnie byłaby to podwójna szkocka. Ale ponieważ chodzi o ciebie, myślę, że potrzebujesz valium. – Diana Brünli dała jej receptę na tabletki, które miały uspokoić Annie do czasu rozpoczęcia odwyku. – Czy chcesz wody?

– Nie powinnam brać valium. – Na twarzy Annie malowało się trudne do ukrycia wahanie.

Oliwia zdenerwowała się.

– Gdybyś od jutra rzuciła palenie czy picie, nikt nie miałby ci za złe jeszcze jednego zaciągnięcia się papierosem czy kieliszka alkoholu.

– Byłoby wspaniale, gdybym jeszcze dzisiaj mogła się porządnie wyspać.

Oliwia wstała.

– Kiedy zadzwonisz do Edwarda?

– Później. – Twarz Annie spłonęła ciemnym rumieńcem. – Kolejne kłamstwa – dodała.

– Wszystko w dobrej wierze. – Oliwia zrezygnowała chwilowo z przekonywania Annie, że powinna powiedzieć o wszystkim Edwardowi. Jak stwierdzili z Jamiem, może, gdy najgorsze już minie, będą mogli przemówić przyjaciółce do rozsądku. Teraz nie miało to sensu. Stojąc w drzwiach, obróciła się i spytała:

– Czy Edward nadal jest przekonany, że ty i Jamie opiekujecie się mną?

– Tak – odrzekła cichutko Annie. – Przepraszam.

– Nie ma za co, Annie – powiedziała Oliwia. – Jeśli to ma ci pomóc, to nie ma sprawy, to jest teraz najważniejsze.

– Na pewno pomoże – odparła Annie, niszcząc ostatnią chusteczkę. – Musi.

Oliwia otworzyła drzwi.

– Myślę – powiedziała – że wszystko zależy od ciebie.

Doktor Dressler, młody i przystojny, ale arogancki lekarz z czarnymi kręconymi włosami i fiołkowymi oczyma oraz jego dwie pielęgniarki przejęły całkowicie dowodzenie. W charakterze

Oliwii nie leżało posłuszne wykonywanie cudzych poleceń. Denerwowało ją zwłaszcza to, że obcy mężczyzna każe jej przestawiać jej własne meble, chować i zamykać każde lekarstwo czy syrop, każdą butelkę wina. Trzeba było także usunąć wszystkie niebezpieczne i ostre przedmioty, a nawet okulary. Ponadto lekarz zażądał, aby kupić inne rzeczy zamieszczone na sporządzonej przez niego liście i biada, jeśli kupiono nie to, co trzeba. Dzięki Bogu, był z nią Jamie, a Jamie znał Oliwię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, kiedy zaczyna się złościć. Tego ranka już dwukrotnie zapobiegł awanturze, w odpowiednim momencie zmuszając ją do wyjścia. Oliwia była mu wdzięczna za tę pomoc, gdyż za żadne skarby nie chciała kłócić się z Giannim Dresslerem, który miał pomóc Annie wykorzystać ostatnią szansę, jaką miała.

– To wygląda, jak przygotowania do wojny – powiedział Jamie do Oliwii z lekką obawą w głosie, przyglądając się, jak zamyka i blokuje okna. Oliwia odparła sucho, że gdyby chodziło tylko o wojnę, z pewnością by ją przegrali. Dressler potwierdził to, co Diana Brünli powiedziała na temat możliwej reakcji Annie na gwałtowne odstawienie diazepamu i zarządził, aby schować wszystkie sztuce, każdą parę nożyczek, każdy młotek i śrubokręt – a nawet igły, które Oliwia trzymała w rzadko używanym pudełku na przybory krawieckie.

Gdy wszystkie przygotowania zostały zakończone, doktor Dressler zarządził zebranie w jadalni. Podobnie jak wszystko, co robił, również ta narada została dokładnie zaplanowana. Oliwia uważała, że spotkanie to ma wiele wspólnego z międzyzakładowym zebraniem racjonalizatorskim.

– Dobrze – zaczął. Mówił bez akcentu, posługiwał się amerykańską wersją angielskiego, którą doskonalił, studiując medycynę na Harvardzie. – Skoro wszyscy bierzemy w tym udział, chcę wam przybliżyć to, co może dziać się z Annie w nadchodzącym tygodniu.

– Myślę, że doktor Brünli już nam wyjaśniła, czego możemy się spodziewać – wtrąciła Oliwia.

– Proszę. – Dressler przeszył Oliwię spojrzeniem pełnym dezaprobaty. – Czy byłaby pani tak uprzejma i pozwoliła mi dokończyć?

– Przepraszam – odparła Oliwia, starając się, aby w jej głosie zabrzmiała nuta skruchy. – Chciałam tylko zaoszczędzić nam wszystkim czasu. Przecież wie pan, że mamy go niewiele.

– Przygotowania – odparł Gianni Dressler nieco łagodniej – są w takich sprawach najważniejsze. Im więcej Annie będzie wiedziała o objawach, których może doświadczyć, tym większą ma szansę na w miarę łagodne ich przejście.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze Dressler – wtrącił Jamie – ale czy nie istnieje prawdopodobieństwo, że Annie zasugeruje się pańską opowieścią i będzie przechodzić to gorzej, wiedząc, co może się jej przydarzyć?

– Być może – zgodził się Dressler. – Jednakże, jak uczy nas doświadczenie, ignorancja na pewno nie będzie pomocna. – Zwrócił się teraz w stronę Annie i całą uwagę skupił na niej.

– Wybacz nam – powiedział z niezwykłą galanterią. – Mówimy o tobie w osobie trzeciej, jak o kimś nieobecnym.

– Nic nie szkodzi – odparła spokojnie Annie. – Naprawdę wcale mi to nie przeszkadza. Słuchanie, jak inni mówią o moich problemach, przynosi mi pewną ulgę. – Jej twarz była blada, ale policzki trochę się zaróżowiły. – Tak długo musiałam milczeć.

– A co myślisz o mojej propozycji poinformowania cię o wszystkim, co być może cię spotka?

– Chcę wiedzieć – odparła szybko Annie. – Wszystko. Proszę. – Rzuciła okiem na Oliwię i Jamiego i ponownie spojrzała na lekarza. – Proszę mi powiedzieć. Muszę wiedzieć wszystko, co pomoże mi przez to przejść.

Oliwia ze zdziwieniem zauważyła, że uśmiech, którym Gianni Dressler obdarzył Annie, był bardzo szczerzy, prawie przyjacielski, zupełnie odmienny od wyniosłości, z jaką lekarz traktował wszystkich pozostałych.

– Dobrze – powiedział. – Annie, posłuchaj mnie, pod żadnym pozorem nie wolno ci obawiać się wszystkich symptomów, o których powiem. Jest wysoce nieprawdopodobne, żebyś doświadczyła ich wszystkich. Naturalnie, na podstawie twoich przeżyć związanych z poprzednią próbą odstawienia valium wiemy już mniej więcej, czego możemy się spodziewać...

– Ma pan na myśli to, że włamałam się gołymi rękoma do szafki, w której schowałam tabletki? – Annie próbowała uśmiechnąć się, ale za bardzo drżały jej usta.

– Tym razem – oświadczył doktor Dressler – nie będzie żadnych tabletek, do których mogłabyś się dostać. Adrenalina może spowodować gwałtowny, niespotykany wzrost siły – wyjaśnił i pochylił się na krześle. – Annie, pomyśl o tym, co środki uspokajające zrobiły z twoim organizmem. Brałaś je, aby osłabić niepokój, strach, zrelaksować się, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Potrzebne ci były, abyś mogła zasnąć, przetrwać trudne momenty. Wszystkie funkcje twojego organizmu zostały spowolnione: tętno, procesy myślowe, ruchy, oddech. Tabletki otepiają cię, uspokajając sprawiają, że masz niski poziom adrenaliny we krwi.

– A kiedy przestaniesz je brać – wtrąciła Oliwia i natychmiast urwała, zorientowawszy się, że znowu przerwała lekarzowi. – Przepraszam – powiedziała.

– W porządku, Oliwio – powiedział Dressler znacznie uprzejmiej niż poprzednio. – Pewnie chciałaś powiedzieć, że gdy przestaje się brać środki na uspokojenie, wszystko zostaje rozregulowane, i tak właśnie się dzieje. – Znowu zwrócił się bezpośrednio do Annie: – W twoim przypadku wielkim problemem jest to, że chcesz zbyt szybko uwolnić się od wpływu lekarstwa. To między innymi oznacza, że natychmiast zaczniesz szybciej oddychać, twoje tętno wzrośnie, organizm zacznie pracować szybciej, a twoje zmysły nie będą już wyciszone. Niestety, w związku z tym doświadczysz prawdziwego strachu, prawdziwych emocji i prawdziwego bólu. Poziom adrenaliny gwałtownie podniesie się i prawdopodobnie będzie ci się wydawało, że tracisz zmysły.

– A czy tak naprawdę będzie? – spytała Annie cicho.

– Nie! – Dressler potrząsnął głową. – Absolutnie, kategorycznie nie!

Lekarz po kolei opisał wszystkie możliwe objawy głodu. Obserwował wyraz twarzy Annie, gdy zaczynając od najłagodniejszych symptomów – takich jak mdłości, objawy grypowe, palpacje i bóle w klatce piersiowej – przechodził do coraz poważniejszych. Mówił o halucynacjach, atakach agresji, myślach samobójczych i konwulsjach.

Kiedy skończył, w pokoju zapanowała cisza. Twarz Annie była niewiele bledsza od twarzy Jamiego i Oliwii.

– Czy macie jakieś pytania? – spytał Dressler.

Nikt nie odpowiedział.

– Żadnych wątpliwości?

– Ja mam jedno pytanie – powiedziała Oliwia.

– Proszę pytać – zachęcił ją lekarz.

– Dlaczego, do diabła, lekarstwo, które czyni tyle szkody, może być przepisywane niczym jakaś cholerna aspiryna?

Dressler skrzywił się nieznacznie.

– Oliwio, niestety nie mamy czasu, aby zagłębiać się w szczegóły, ale jeśli kiedyś będziesz miała kilka wolnych godzin, chętnie ci wszystko wytłumaczę. Mówiąc w skrócie, jeśli stosuje się go właściwie i na krótko, diazepam jest naprawdę pożytecznym, bezpiecznym lekiem.

– I gdybym wyrzuciła tę pierwszą fiolkę – powiedziała Annie z namysłem – a nie chowała jej w szufladzie, nic by mi się nie stało.

– Być może – zgodził się Dressler. – Chociaż, zamiast leków, mogłabyś truć się czymś innym. Na przykład alkoholem. A przy okazji, zanim zapomnę, muszę powiedzieć ci jeszcze jedną, najważniejszą rzecz. – Urwał, nie spuszczać oka z Annie. – Niezależnie od tego, co się wydarzy w nadchodzących dniach, i niezależnie od tego, na ile uda nam się wyprowadzić cię z pierwszego, traumatycznego etapu, musisz pamiętać, że zrywanie z nałogiem, który ciągnął się tak długo, będzie trwało równie długo.

– Doktor Brünli mówiła Oliwii, że to może trwać kilka miesięcy – powiedziała Annie.

– Nie może, ale na pewno będzie – stwierdził bezlitośnie Dressler. – Wiesz, Annie, że nie jestem zwolennikiem takiej metody uwalniania się od nałogu, ale przekonano mnie, że tak będzie dla ciebie najlepiej i chcę za wszelką cenę, żeby nam się udało. Gdybym nie wierzył, że nam się powiedzie, w ogóle by mnie tu nie było. – Przerwał, zastanawiając się przez chwilę. – Ale żeby nam się udało, żebyś mogła znowu normalnie żyć, musisz uzbroić się w cierpliwość i znaleźć w sobie siłę, nie tylko teraz, ale i później.

– I to jest prawdziwy problem, prawda? – stwierdziła Annie, a w jej niebieskich oczach pojawił się strach. – Nie jestem silna. Nigdy nie byłam. Gdybym była silna, nie wpakowałabym się w takie bagno.

– To nieprawda, Annie – zaprotestowała Oliwia.

– Ależ tak.

– Nie – upierała się Oliwia, a potem, spoglądając na Dresslera, spytała: – Czy mogę?

– Proszę bardzo. – Doktor rozparł się wygodnie na krześle.

– Myślę – zaczęła Oliwia ostrożnie – a wiesz, Annie, że to prawda, bo sama nam o tym mówiłaś, myślę, że twoim prawdziwym problemem nie jest brak siły, ale to, że wymagasz od siebie zbyt wiele. Jesteś równie silna, a może nawet silniejsza, niż Jamie i ja. Różnica polega na tym, że my akceptujemy swoje wady, godzimy się z tym, że popełniamy błędy, że są pewne rzeczy, których nie znosimy lub nie umiemy robić, że...

– Ale ty umiesz prawie wszystko, Liwi – wtrąciła Annie.

– Ja? – Oliwia uśmiechnęła się ponuro. – Nie żartuj sobie ze mnie! Ważne jest to, że chociaż nie lubię przegrywać – zresztą kto to lubi? – to potrafię przyznać się do porażki, a nawet śmiać z niepowodzeń, podczas gdy ty zamartwiasz się drobiazgami, nie pozwalasz sobie na

najmniejszą pomyłkę, nie potrafisz nabrać do siebie dystansu. – Potrząsnęła z rozpaczą głową. – Na miłość boską, Annie! Uznałaś na przykład pomylenie miejsc przy stole za kataklizm, a przecież wszyscy wiemy, że Edward w ogóle nie zwraca na takie rzeczy uwagi, a nawet jeśli, to za bardzo cię kocha, żeby się tym przejmować.

Dressler ponownie zwrócił się do Annie.

– Czy zgadzasz się z tym, co powiedziała Oliwia?

– Chyba tak. – Annie nieśmiało skinęła głową.

– A czy wierzysz w to, że jesteś równie silna jak ona i Jamie?

– Nie. Nie do końca.

– Ja wierzę – powiedział spokojnie Jamie.

– I ja też. – Gianni Dressler znowu uśmiechnął się ujmująco do Annie. – Nie twierdzę, że kłamstwa, którymi latami karmiłaś swoją rodzinę, były mądre czy rozsądne. Ale, Annie, bardzo długo byłaś chora, a mimo to udało ci się zwieść wszystkich i radziłaś sobie całkiem nieźle. Udało ci się również utrzymać chorobę w tajemnicy przed mężem. Wszystko to osiągnęłaś dzięki dużej determinacji i pewnego rodzaju sile.

– Teraz musisz tylko – Oliwia przechyliła się nad stołem i wzięła Annie za rękę – okiełznać tę siłę i desperację, wykorzystać ją do walki z uzależnieniem.

– Możesz to zrobić – dodał Jamie. – Wiem, że potrafisz, Annie.

Annie znowu była bliska łez.

– Mam nadzieję, że potrafię – wyszeptała.

– Sama nadzieja nie wystarczy – powiedziała Oliwia, ściskając jej dłoń. – To twoja wielka szansa, a ja nie zamierzam pozwolić, żebyś ją zmarnowała.

Gianni Dressler podniósł się z krzesła.

– Twoi przyjaciele powiedzieli już wszystko. Zaczynamy?

– Od czego zaczniemy? – spytał Jamie, spojrzawszy na lekarza.

– Od oczekiwania – odrzekł Dressler.

Rozdział 9

Podobnie jak przy pierwszej próbie, przez pierwsze czterdzieści osiem godzin nie działało się nic. Jedynie uczucie obawy, które ogarnęło Annie, udzieliło się pozostałym.

– Diazepam jest nadal w twoim organizmie – wyjaśnił Annie doktor Dressler. – Przez bardzo długi czas przyjmowałaś ogromne dawki leku, dlatego ciągle jeszcze jesteś pod jego działaniem. Musimy poczekać, aż zostanie usunięty z twojego organizmu i wtedy zaczniesz odczuwać pierwsze objawy głodu.

– Może takie objawy w ogóle się nie pojawią? – zasugerował Jamie.

– Pojawią się. – Dressler rozwiał wszelkie złudzenia.

– Wieczny optymista – zakpiła Oliwia.

– Pani jest tłumaczem, a ja lekarzem – odparł stanowczo Dressler.

Do tej pory Annie dzwoniła do Edwarda każdego wieczora – pytała o niego i dzieci, a także uspokajała męża, że u niej wszystko w porządku. Edward, jak zawsze taktowny, próbował ostrożnie pytać o problemy Oliwii, ale Annie zawsze odpowiadała wymijająco, sprawiając wrażenie, że mówi w obecności przyjaciółki i nie może poruszać tego tematu. Zawsze, gdy Edward okazywał zainteresowanie sprawą, Annie czerwieniła się ze wstydu i poczucia winy, a kiedy odkładała słuchawkę, trzęsły jej się ręce, a dłonie lepiły od potu.

– Jestem taką okropną kłamczucha – powiedziała do Jamiego po jednej z takich rozmów.

– Jestem po prostu oszustką!

– Ale tylko dlatego, że nie chcesz go zranić. – Jamie próbował podnieść ją na duchu. – To się nie liczy, to tylko niewinne kłamstwo.

– Tak jak ja, wcale w to nie wierzysz – zarzuciła mu Annie.

– Ależ nie, wierzę – odparł Jamie, ale oboje wiedzieli, że on także kłamie.

– Myślę, że powinniśmy już zacząć korzystać tylko z automatycznej sekretarki – powiedział Dressler do Oliwii trzeciego dnia. – Jak tylko Annie zacznie odczuwać pierwsze objawy odstawienia valium, nie będzie w stanie rozmawiać normalnie ze swoim mężem.

– Dobrze – zgodziła się Oliwia drżącym głosem i poszła włączyć urządzenie. Wcześniej uzgodnili, że kiedy nadejdzie odpowiedni czas, Jamie będzie odbierał wszystkie telefony, również od Edwarda, wyjaśniając mu, że jego żona chwilowo jest nieobecna lub że zajmuje się właśnie Oliwią.

Tego samego dnia przed lunchem Annie zrobiła się niespokojna – narzekała na ból głowy, chodziła tam i z powrotem po pokoju, ciągle chciała otwierać okna, twierdząc, że brakuje jej powietrza. Poza tym często musiała chodzić do łazienki, przy czym czuła się mocno skrupowana, ale i oburzona faktem, że drzwi do toalety pozbawiono zamknięcia. Z jednej strony pragnęła samotności i prywatności, z drugiej tęskniła za towarzystwem i wsparciem ze strony innych.

Ponieważ nie skontaktowała się z Edwardem, ten zadzwonił o dziewiątej wieczorem. Wszyscy słyszeli jego spokojny, głęboki głos, nagrywający wiadomość na sekretarkę. Natychmiast po kliknięciu oznaczającym koniec rozmowy Annie dostała pierwszego prawdziwego ataku paniki. Drżała na całym ciele, głośno szczykała zębami – trwało to tak długo, że Oliwia i Jamie zaczęli się obawiać, że atak nigdy się nie skończy.

– Czy nie może jej pan jakoś pomóc? – Jamie zwrócił się do lekarza.

– To minie – odparł Dressler.

– Ale ona jest taka udęczona – wyszeptał Jamie.

– On nic nie może zrobić – powiedziała nieśmiało Oliwia. Wzięła Jamiego za rękę i wyprowadziła z pokoju, zostawiając Annie z Dresslerem i pielęgniarkami.

Przez kolejną dobę mieli co robić. Objawy głodu nasiliły się, często Annie doświadczała kilku jednocześnie, wyniszczały ją fizycznie i emocjonalnie niczym tornado. Oliwia stwierdziła, że ona i Jamie muszą czuć się podobnie jak ktoś, kto widzi, jak bliską mu osobę napada banda zbirów, a ona nie może się bronić. Annie oddychała ciężko, miała trudności z wysławianiem się. Prawie cały czas spędzała w toalecie – najpierw czuła ciągły przymus oddawania moczu, potem dołączyły się objawy rozstroju żołądka. Kręciła się bez celu po mieszkaniu i była coraz bardziej sfrustrowana i wściekła. Waliła pięściami w ściany, z całej siły kopnęła drzwi garderoby, odłamując kawałek deski i raniąc się boleśnie. Nie była w stanie usiedzieć bez ruchu nawet przez chwilę potrzebną dla opatrzenia stopy. W nagłym ataku rozpaczycy rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w pościeli, cicho łkając. Ponieważ żadna z pielęgniarek nie kwapiła się z pomocą, do akcji wkroczyli Jamie i Oliwia, i ignorując ostrzeżenia Dresslera, usiedli koło Annie. Oliwia wzięła ją za rękę, a Jamie mocno objął, ale Annie wydawała się zupełnie nie dostrzegać ich obecności i

mimo wysiłków nie byli w stanie jej pomóc. Sądził jednak, wierzył, że ona mimo całej rozpacz i smutku odczuje miłość, którą ją otoczyli.

– My poczuliśmy się trochę lepiej – stwierdziła po wyjściu z sypialni Oliwia – ale jej to wcale nie pomogło.

– Być może na dłuższą metę właśnie o to chodzi – zauważył cicho Jamie. – Być może właśnie najbardziej potrzeba jej miłości.

– Annie nigdy nie narzekała na jej brak – zaprotestowała Oliwia. – A mimo to żadne uczucie nie powstrzymało jej przed doprowadzeniem się do obecnego stanu.

– Wiem – odparł z rozpaczą Jamie. – Wiem to aż za dobrze.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to Carrie, która lodowatym, ostrym tonem oznajmiła, że dzwoni, ponieważ nie ma żadnych wiadomości od Jamiego i chciałaby wiedzieć, kiedy jej mąż raczy łaskawie wrócić do domu. Dodała również, że jeśli jego przyjaciółki – ostatnie słowo wysyczała z sarkazmem – nie mają nic przeciwko temu, to może znalazłby kilka minut, żeby zadzwonić do jej biura.

– Może powinieneś od razu się odezwać? – zasugerowała Oliwia, widząc, jak te słowa zraniły Jamiego.

Jamie potrząsnął przecząco głową.

– Ona jest w nastroju do kłótni – odparł. – A ja nie mam siły.

– Wygląda na to, że wam się nie układa – stwierdziła Oliwia stanowczym tonem.

– Nie jest łatwo – przyznał.

– A czy kiedykolwiek było?

– Nie. – Jamie zmusił się do uśmiechu. – Ale nadal ją kocham.

– W takim razie Carrie musi być szczęśliwą kobietą – powiedziała Oliwia.

– Nie jestem pewien, czy ona tak myśli.

– W takim razie musi być także głupia.

Tej nocy Annie spała bardzo niespokojnie, kilkakrotnie budziła się, uwalniając się ze szponów niezidentyfikowanej, czarnej poczwary, która dręczyła ją we śnie. Na przemian trzęsła się z zimna i prosiła o dodatkowe koce po to, aby za chwilę, zalewając się potem, rwać na sobie koszulę nocną i rzucać się do okien. Oliwia i Jamie siedzieli przy niej na zmianę z pielęgniarkami. Doktor Dressler spał na sofie w pokoju gościnnym.

Kilka minut po piątej nad ranem Annie wstała z łóżka z zamiarem pójścia do łazienki. Nagle wydało jej się, że wałą się na nią ściany, że drży podłoga i z głośnym krzykiem upadła. Oliwia przy pomocy pielęgniarki zdołała położyć ją z powrotem do łóżka. Annie zaczęła łkać, a Oliwia stwierdziła ze współczuciem, że przyjaciółka zmoczyła łóżko. Dzięki Bogu, pielęgniarki to nie zdziwiło i ze spokojem zabrała się do zmiany pościeli i przebierania Annie. Oliwia mogła naturalnie zrobić to sama, ale wiedziała, że Annie nie zniosłaby takiego upokorzenia.

– Wydaje się, że dzisiaj jest spokojniejsza – powiedział Jamie do Ruth, jednej z pielęgniarek. Była to młoda Szwajcarka o jasnych włosach i niebieskich oczach, i trochę przypominała Jamiemu Annie z dawnych lat. – A może to tylko moje pobożne życzenie? – dodał z zaniepokojeniem.

– Wiem, że chciałby pan, żeby tak było – odparła delikatnie Ruth. – I, przynajmniej na razie, Annie rzeczywiście czuje się lepiej.

– Ale to jeszcze nie koniec, prawda?

– Tak – przyznała dziewczyna. – Przykro mi – dodała. – Martina, moja zmienniczka, powiedziała mi, że pańska przyjaciółka miała ciężką noc.

– To prawda – odrzekł Jamie. – Nie było dobrze.

– Annie ma wspaniałych przyjaciół – zauważyła Ruth i uśmiechnęła się.

– Dziękuję – powiedział Jamie.

Dwadzieścia minut później Annie weszła do kuchni, zastając tam Oliwię, która właśnie piła kawę.

– Cześć – powiedziała Oliwia, spoglądając na nią.

Annie nie odpowiedziała. Jej twarz, stale blada, teraz przybrała barwę kredy. Nawet usta straciły swój zwykły kolor. Annie wpatrywała się w Oliwię, ale wydawało się, że w ogóle jej nie widzi.

– Annie, co się dzieje? – Oliwia odstawiła filiżankę z kawą i wstała. Poruszała się bardzo ostrożnie, czując, że gwałtowny ruch czy gest mógłby spłoszyć Annie.

– Annie, o co chodzi? – powtórzyła.

Annie podeszła do zlewu, położyła na nim prawą dłoń i dotknęła jego powierzchni palcem wskazującym. Potem cofnęła dłoń i z wielką uwagą wpatrywała się w palec.

– Annie? – Oliwia nie była pewna, co robić. Gianni Dressler rozmawiał przez telefon w

sympialni, nie miała też pojęcia, gdzie są pielęgniarki. Myślała, że któraś z nich siedzi przy Annie.

– Czuję, jakby to nie należało do mnie. – Annie odezwała się w końcu cichym, przestraszonym głosem.

– Co?

– To. – Annie wyciągnęła dłoń przed siebie. – I to – dodała, dotykając własnego policzka.
– To nie jestem ja.

– Chcesz powiedzieć, że straciłaś czucie? – dopytywała się ostrożnie Oliwia. Nie chciała, żeby jej strach udzielił się przyjaciółce. – Annie, co masz na myśli?

– Nie wiem – odparła Annie, patrząc przed siebie. – Nie wiem – powtórzyła. Rozejrzała się po kuchni i utkwiała wzrok w ścianie. – Siedziałam u siebie i myślę, że na chwilę przysnęłam. Kiedy się obudziłam, stało się coś dziwnego. Przestałam być sobą. Ta istota siedząca we mnie to nie jestem ja.

– W porządku – odparła Oliwia. – Już dobrze, Annie. – Ostrożnie przysunęła się do przyjaciółki i wzięła ją za rękę. Żadnej reakcji. – Wiem, co to jest i ty też powinnaś wiedzieć. – Delikatnie popchnęła ją w kierunku stołu i posadziła na krześle. Annie nie stawiała żadnego oporu. – Pamiętasz, Annie, jak Dressler mówił nam o różnych rzeczach, które mogą się zdarzyć?

Annie skinęła głową.

– Wspomniał o czymś, co nazywa się utratą osobowości, myślę, że właśnie to dzieje się teraz ze mną.

Oliwia odetchnęła z ulgą. Przypomniała sobie, jak doktor powiedział: „To dzieje się bardzo często, gdy gwałtownie wzrasta uczucie strachu. Ale mija i zanika, gdy pacjent przestaje się bać”.

– Zniknę – powiedziała beznamiętnie Annie. Nadal potwornie się bała. – Czuję się tak, jakbym miała zniknąć, odejść bez śladu.

– Nie, Annie – odparła stanowczo Oliwia. – Na pewno nie. – Spojrzała na drzwi, zastanawiając się, czy nie poprosić o pomoc, ale stwierdziła, że to zwiększyłoby jeszcze panikę Annie. Nagle w głowie zaświtał jej pewien pomysł.

– Daj mi rękę – powiedziała. Annie nie poruszyła się, więc Oliwia sama wzięła w dłoń jej rękę. – Czy czujesz mój dotyk?

Annie nieznacznie wzruszyła ramionami.

Oliwia uszczypnęła ją w wewnętrzną stronę dłoni.

– Czy coś poczułaś?

Annie zawahała się.

– Chyba tak.

Oliwia puściła jej rękę i nagle, bez żadnego uprzedzenia, uszczypnęła Annie mocno w policzek.

– Auu! – krzyknęła Annie.

Oliwia uśmiechnęła się szeroko.

– Widzisz? – powiedziała. – Nadal tu jesteś.

– Myślałam, że zwariuję. – Annie opowiadała nieco później Dresslerowi. – Wcześniej też mi się to przytrafiało, ale nigdy nie było tak straszne. – Spojrzała na Oliwię. – Dawno temu, gdy jadłyśmy razem lunch u Harrodsa, miałam atak paniki, który przypominał trochę to, co przytrafiło mi się dzisiaj. Pamiętasz? Powiedziałam ci wtedy, że jestem chora.

– Oczywiście, że pamiętam – odrzekła Oliwia. – Szkoda tylko, że nie wiedziałam wtedy, o co naprawdę chodziło.

– To normalny efekt wychodzenia z uzależnienia – wyjaśnił Annie Dressler. – Rzeczywiście, jak ci mówiłem, jest to nieprzyjemne, ale musisz pamiętać, że w obecnej sytuacji to całkowicie normalny objaw i na pewno nie zwariujesz.

– Może nie powinnam jej szczypać? – tłumaczyła się Oliwia.

– A dlaczego nie? – zdziwił się wesoło lekarz. – To wcale nie bolało, a na pewno pomogło twojej przyjaciółce, prawda? – I dodał z uśmiechem: – Aczkolwiek nie powinnaś z tym przesadzać.

Zadzwonił telefon, ale Oliwia, przyzwyczajona do automatycznej sekretarki, nie zareagowała.

– To Edward – oznajmiła Annie, chociaż, siedząc w kuchni, nie mogła słyszeć głosu dzwoniącego.

– Niekoniecznie – stwierdziła Oliwia. – Może to ktoś do mnie.

– To Edward – powtórzyła Annie.

– Tak czy owak, zadzwoni ponownie dopiero wieczorem, prawda? – spytała Oliwia.

Annie wstała.

– Chcę z nim porozmawiać – oświadczyła.

– Jeśli to Edward, to pewnie już się rozłączył – zauważył Dressler.

– Chcę porozmawiać z Edwardem – upierała się Annie rozpaczliwym tonem. – Chcę się zobaczyć z moim mężem.

– Czy jesteś tego pewna? – spytał spokojnie lekarz. – Jeśli tak, nie mam nic przeciwko temu.

Annie opadła z powrotem na krzesło.

– Tęsknię za nim – powiedziała. – I za dziećmi.

– Wiem – odrzekła Oliwia.

Annie znowu wstała.

– Zadzwoń do niego.

– Chcesz do niego zadzwonić? – spytała ze zdziwieniem Oliwia.

Annie spojrzała na nią zimno i powtórzyła zdecydowanie:

– Muszę porozmawiać z mężem. Dlaczego nie chcecie mi na to pozwolić?

– Pozwalamy. – Oliwia niepewnie spojrzała na Dresslera, który ledwo zauważalnie skinął głową. Oliwia nie była pewna, czy ten gest oznacza zgodę.

– Oczywiście, że pozwalamy ci, Annie, porozmawiać z Edwardem. To ty nie chciałaś się z nim kontaktować.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła Annie lodowatym tonem. – Wiem, że muszę z nim porozmawiać. – Wstała i zaczęła chodzić po kuchni.

– Annie? – Oliwia wstała i spojrzała na Dresslera, szukając u niego pomocy.

– Niech idzie – powiedział lekarz.

– A jeśli naprawdę do niego zadzwoni? Annie nie jest sobą, prawda? To jeden z objawów głodu. Jeśli do niego zadzwoni, cały nasz wysiłek pójdzie na marne.

– To z pewnością kolejny etap wychodzenia z nałogu – przytaknął Dressler. – Ale uważam, że najlepsze, co może zrobić dla siebie, dla męża i dla całej rodziny, to zadzwonić do niego.

Oliwia usiadła.

– Jak zwykle, ma pan rację.

Annie nie zadzwoniła do Edwarda. W pół drogi do telefonu dostała kolejnych zawrotów głowy. Miała wrażenie, że się dusi i było jej tak niedobrze, że Jamie i Ruth musieli pomóc jej w dotarciu do łazienki. Zanim doszła do siebie, ochota na rozmowę z mężem przeszła jej całkowicie. Była przerażona samą myślą o tym, że chciała do niego dzwonić.

– Proszę – błagała, chwytając Oliwię za rękę. – Proszę, nie pozwól mi dzwonić do niego. Nie wolno mi z nim rozmawiać. Możesz mnie nawet zamknąć, ale nie pozwól, żebym podeszła do telefonu.

– W porządku – uspokajała ją Oliwia. – Nie pozwolimy ci dzwonić, skoro tego nie chcesz. Nie martw się o Edwarda, z nim i z dziećmi wszystko jest w porządku. Pamiętasz? Jamie rozmawiał z nim wczoraj wieczorem.

– Nic mu nie powiedział, prawda? – W oczach Annie czaił się zwierzęcy strach. – O Boże! On nie może powiedzieć o niczym Edwardowi!

– Jamie to wie. Nie powiedział twojemu mężowi nic, czego nie ustaliliśmy. Annie, przestań się martwić o Edwarda. Nic mu nie będzie.

– Po prostu tak bardzo go kocham – powiedziała Annie.

– Wiem – odparła Oliwia.

O trzeciej rano Annie obudziła się z płytkiego, niespokojnego snu i zobaczyła, że na poduszce, tuż przy jej twarzy, leży zwinięty w kłębek wielki, błyszczący, ciemnobrązowy wąż. Wrzasnęła tak głośno, że postawiła wszystkich na nogi, nie tylko Jamiego i pielęgniarkę, którzy czuwali przy jej łóżku, ale także Oliwię i Dresslera, którzy przybiegli z salonu.

– Zabierzcie to! – błagała żałośnie, siedząc skulona pod oknem i zakrywając oczy. – O Boże! Proszę, zabierzcie to!

Jamie usiadł koło niej na dywanie i próbował objąć ją ramieniem, ale Annie krzyknęła i odepchnęła jego rękę jak oparzona.

– Annie, kochanie, o co chodzi? Co zobaczyłaś?

– Węża! – Twarz nadal ukrywała w dłoniach. – Na poduszce. Zabierzcie go, proszę!

– Już go nie ma, Annie – odparł głośno i wyraźnie Dressler. Był opanowany, ale na jego twarzy malował się niepokój.

– Annie, odsłoń oczy i popatrz. – Poczekał chwilę i powtórzył: – Annie, odsłoń oczy!

Po raz pierwszy usłyszeli, że lekarz mówi podniesionym głosem, ale to pomogło. Annie odsłoniła twarz i ujrzeli jej wielkie jak spodki oczy, którymi, niczym małe, przerażone dziecko, wpatrywała się z niedowierzaniem w łóżko. Widziała wyraźnie, że niczego tam nie ma.

– Gdzie on jest? – wyszeptała.

– Tam nie było żadnego węża – odrzekł Dressler.

– Był. – Annie oddychała szybko i chrapliwie. – Leżał tuż przy mnie, na poduszce.

Dressler podszedł do Annie, ruchem głowy nakazując Jamiemu, aby się odsunął.

– Tam nie ma żadnego węża, Annie – powtórzył. – On nie był prawdziwy. To tylko halucynacja. – Usiadł koło niej na podłodze, niczym stary przyjaciel. – Pamiętasz? Mówiłem ci, że możesz mieć halucynacje.

Annie spojrzała na lekarza z uwagą.

– Ale on wyglądał jak żywy – powiedziała.

– Na pewno masz rację. – Lekarz uśmiechnął się do niej. – Niektórzy ludzie widzą pająki, inni potwory. A większość widzi po prostu dziwne twarze unoszące się nad łóżkiem. Czy chcesz o tym porozmawiać?

Annie potrząsnęła głową i wzdrygnęła się.

– Może w takim razie masz ochotę na szklanekę ciepłego mleka?

Annie jeszcze raz rzuciła okiem na łóżko. Zdawało się, że w końcu przychodzi do siebie. Zauważyła, że w pokoju są jeszcze inni, spojrzała w bladą, skupioną twarz Oliwii i spytała:

– Czy on naprawdę sobie poszedł, Liwi? – Jej głos brzmiał dziecinnie, jakby szukała potwierdzenia u kogoś bliskiego, kogo zna lepiej niż lekarza.

Oliwia podeszła do łóżka i wzięła z niego dwie białe poduszki. Pokazała je Annie, obracając na wszystkie strony, a potem odrzuciła kołdrę, żeby pokazać jej, że pod nią są tylko śnieżnobiałe prześcieradła.

– W porządku? – spytała. – Tu niczego nie ma.

Annie pokiwała wolno głową.

– W porządku.

Dressler wstał i chciał jej pomóc podnieść się z podłogi. Annie zachwiała się. Nogi miała jak z waty, żołądek podchodził jej do gardła. Uczucie ulgi, że wąż nie był prawdziwy, powoli mijało, a na jego miejsce pojawił się straszny wstyd.

– Pozbądź się tego – ostrzegł ją Dressler.

– Czego? – spytała Annie.

– Uczucia zmieszania i zawstydzienia – odparł.

Annie popatrzyła na niego.

– A jak powinnam się czuć? – zapytała.

– Bądź z siebie dumna – odparł krótko.

– Dumna? – Annie popatrzyła na Dresslera z niedowierzaniem.

– Ten wąż to jeden z objawów głodu. A ty jesteś na głodzie, bo przestałaś brać lekarstwo, bo miałaś siłę, aby z tym skończyć. Czy to nie wystarczający powód, żebyś czuła się dumna?

Annie zastanawiała się, czy może być dumna z siebie, przez mniej więcej dziesięć sekund. Potem pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

– I co dalej? – spytała Oliwia Dresslera, gdy w końcu udało się przekonać Annie, aby wróciła do łóżka i spróbowała się zdrzemnąć.

– Nie potrafię powiedzieć – przyznał lekarz.

– Kolejne węże? – Oliwia z roztargnieniem przejechała ręką po gęstych, ciemnych włosach.

– Może tak, a może nie.

– Czy najgorsze już minęło?

– Bardzo w to wątpię.

Oliwia próbowała przypomnieć sobie listę symptomów, które Dressler opisywał sześć, a może siedem dni temu. Stwierdziła, że Annie zniosła już więcej, niż przewidywał lekarz. Jednocześnie jednak uświadomiła sobie, że być może Annie będzie musiała przeżyć o wiele więcej.

– Doktorze, proszę mi jeszcze raz powtórzyć – rzuciła. – Annie nie musi przejść przez wszystko, co pan opisał, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Dressler wyglądał na znużonego. – Myślę, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, powinnaś mówić mi po imieniu.

– Dobrze – odparła Oliwia. – Wyglądasz na zmęczonego, Gianni.

– Ty też.

– Czy myślisz, że moglibyśmy pozwolić sobie teraz na chwilę drzemki?

Dressler rzucił okiem na zegarek.

– Czemu nie. Annie jest bezpieczna, są przy niej Jamie i Martina. Twój przyjaciel także powinien odpocząć – dodał.

– Ten wypadek z wężem naprawdę wystraszył Jamiego – stwierdziła Oliwia i dodała z uśmiechem: – Wiesz, on nie znosi węży. Myślę, że po tym wydarzeniu stał się jeszcze bardziej opiekuńczy wobec Annie. Dlatego chciał przy niej zostać.

– Jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi, prawda? – zauważył Dressler. – Jamie jest naprawdę inteligentny i gadatliwy, a z drugiej strony wie, kiedy siedzieć cicho. Jest wspaniałym pocieszycielem. – Przerwał i spojrzał na nią spod oka. – Czy coś was łączy? – spytał.

– Mnie i Jamiego? – Oliwia była bardzo zdziwiona. – Oczywiście, że nie.

Dressler wzruszył ramionami.

– Dlaczego to takie oczywiste? Oboje jesteście bardzo atrakcyjni, a przy tym wygląda na to, że jesteście ze sobą bardzo związani.

– Po pierwsze, Jamie jest żonaty.

– Ale chyba nie jest specjalnie szczęśliwy w tym małżeństwie? – skonstatował Dressler.

– Czasami pewnie nie – zgodziła się Oliwia. – Mimo to nadal kocha Carrie.

Naturalnie Dressler miał częściowo rację. Oliwia jeszcze w szkole uważała, że Jamie jest atrakcyjnym mężczyzną, ale od lat nie myślała o nim w ten sposób. Potem Jamie zakochał się w Carrie, Oliwia zaś nigdy nie narzekała na brak męskiego towarzystwa. Ale nawet gdyby Jamie się nie ożenił i nadal był wolny, już dawno uznała, że bliskość, jaką daje im ich szczególna przyjaźń, nie jest warta podejmowania ryzyka innego rodzaju kontaktu.

– Czy myślisz, że dobrze robimy, pomagając Annie? – spytała Dresslera, powracając myślami do obecnej sytuacji. Ponownie ogarnęły ją wątpliwości, a do głosu doszło jeszcze okropne zmęczenie. – To znaczy pamiętam, że i ty, i Diana mówiliście, że to powinno odbywać się w inny sposób...

– Ta metoda jest paskudna – przyznał Dressler otwarcie. – Ale nie mieliśmy wyboru.

– Naprawdę przeraża mnie to, że... – Oliwia urwała w pół słowa.

– Tak?

Oliwia spojrzała na Gianniego.

– Co się stanie, gdy Edward dowie się o wszystkim? Wiem, że kiedyś się tego dowie. Oni są tak blisko ze sobą. Przynajmniej zawsze tak myślałam, Annie twierdzi, że tak jest nadal.

– Boisz się, że on jej nie wybaczy? – zapytał Dressler.

– Pewnie, że tak. – Oliwia potrząsnęła głową. – Gdyby tu chodziło o mnie, gdyby to było moje małżeństwo i gdybym dowiedziała się, że mój partner nie miał do mnie zaufania, że nie wierzył mi na tyle, aby powiedzieć o czymś tak istotnym... cóż, myślę, że bym mu tego nie wybaczyła. A raczej, może bym wybaczyła, ale na pewno nie zapomniała.

– Ale ty nie jesteś mężem Annie – przypomniał Dressler.

Oliwia spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– A co ty byś zrobił, gdyby to było twoje małżeństwo? – spytała.

– Nie jestem żonaty – odparł.

– Ale gdybyś był.

– Nie wiem. – Dressler zastanowił się przez chwilę. – Wiem więcej o tym problemie niż większość mężczyzn, więc teoretycznie powinienem mieć więcej zrozumienia. Ale jeśli mam być z tobą szczerzy, to myślę, że gdybym uważał swój związek za udany, to z trudnością przyszedłoby mi pogodzić się z takim faktem.

– Jesteś lekarzem – podsumowała Oliwia z ciężkim sercem. – A Edward tylko mężczyzną.

– I na dodatek Anglikiem – dodał Dressler.

Siódmej doby Annie nie widziała już żadnych węży i nie odczuwała także żadnych zaburzeń psychicznych. Pojawił się natomiast okropny ból szczęki. Gianni Dressler wyjaśnił, że jest to dosyć często spotykany nerwoból, który czasami przybiera tak ciężką postać, że pacjenci błagają dentystę, aby wyrwał im wszystkie zęby. Powiedział Annie, że jeśli ból stanie się nie do zniesienia, da jej coś na jego ukojenie. Annie jednak nie zgodziła się – po pierwsze, skoro zaszła już tak daleko, nie chciała truć swojego organizmu innymi lekami, a przede wszystkim dlatego, że ból był czymś realnym, nie wymyślonym, czymś, na czym mogła się skupić, co motywowało ją do dalszej walki.

– To pierwszy objaw, przy którym nie mogę mieć nadziei, że zniknie, jeśli tylko wezmę valium – wyjaśniła Annie, delikatnie dotykając lewej części twarzy. Najmniejszy ruch potęgował ból szczęki. – Wiem, bo mi pan to powiedział, że jego przyczyną jest odstawienie tabletek, ale trudno mi w to uwierzyć. Chyba plotę bzdury, prawda?

– Nie. To, co mówisz, ma sens – odrzekł Dressler. – To zdrowa, dobra reakcja, Annie. Jeszcze jeden powód, dla którego powinnaś czuć się z siebie dumna.

Annie spróbowała się uśmiechnąć, ale natychmiast skrzywiła się z bólu.

– Jak długo to zazwyczaj trwa? – zapytała. – Nie chcę, żebyście myśleli, że jestem aż tak dzielna albo uznali, że jestem masochistką.

– Na szczęście ból nie powinien trwać długo.

– Cóż, spodziewałam się dokładniejszej odpowiedzi – stwierdziła Annie żałośnie.

Pewnie woleliby, żeby ból nie ustępował, ale zamiast tego już o wpół do dziesiątej tego samego wieczora Annie miała konwulsje. Wszyscy byli w salonie – Annie siedziała z podkurczonymi nogami na sofie, między Jamiem a Ruth. Dressler zajął fotel tuż koło Annie, a Oliwia usiadła na dywanie, oglądając wiadomości CNN. Annie przyłożyła do policzka torebkę z lodem i nerwoból chwilowo zniknął, ale w zamian pojawiły się dreszcze. Ponieważ Annie było zimno, Ruth okryła ją kocem. Po raz pierwszy od rozpoczęcia kuracji w pokoju zapanował względny spokój. Wszyscy go odczuli i nawet Dressler pozwolił sobie na chwilę optymizmu.

– Jest mi strasznie gorąco – oznajmiła nagle Annie i odrzuciła koc.

Ruth zaczęła wstawać, ale Dressler nakazał jej gestem, aby została na miejscu.

– Czy wszystko w porządku, Annie? – spytał spokojnym głosem, nie ruszając się z fotela.

– Nie. – Jej głos był niespokojny, jak u chorego dziecka.

– Co się dzieje? – zapytała ostrożnie Oliwia, starając się, aby jej głos, mimo nagłego przypływu strachu, nie zdradzał zaniepokojenia.

– Może chcesz wody? – zasugerował Jamie.

Wszystko wydarzyło się tak nagle. Annie wydała krótki, ostry krzyk i stoczyła się na podłogę, wijąc się i rzucając. Jamie i Oliwia zerwali się na równe nogi, ale Dressler i Ruth już wcześniej byli przy Annie.

– W porządku – rzucił Dressler. – Nie panikujcie.

– Ona nie oddycha. – Jamie spojrzał na klatkę piersiową Annie i stwierdził, że się nie porusza. – Doktorze, ona nie oddycha!

Oliwia chciała rzucić się Annie na pomoc, ale Dressler odsunął ją.

– Zostaw – powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Nic jej nie będzie.

– Zrób coś! – krzyknęła Oliwia z przerażeniem. – Jej usta! Czy nie trzeba trzymać jej języka? – Dressler zignorował ją. – Na litość Boską, Gianni! Dlaczego nie reagujesz?

Konwulsje ustały. Ciało Annie nagle rozluźniło się, a Jamie i Oliwia ujrzeni, jak na jej nocnej koszuli pojawia się duża plama moczu.

– O, Boże! – westchnęła cicho Oliwia, a Jamie odwrócił głowę.

Dressler oznajmił, że już po wszystkim. Annie czuła się lekko otumaniona i zdezorientowana, ale poza lekkim bólem głowy nic jej nie dolegało. Niestety, po niecałych trzech godzinach atak konwulsji powtórzył się. Trwał równie krótko i nie wyrządził organizmowi Annie większych szkód, ale tym razem, gdy Dressler wyszedł z pokoju, Oliwia i Jamie zauważyli, że jest bardzo zaniepokojony.

– Martwię się o nią – powiedział.

– Dlaczego? Czy coś się stało? – zapytała Oliwia.

– Dwa ataki w tak krótkim czasie. Nie podoba mi się to.

– Ale przecież ostrzegałeś, że Annie może mieć konwulsje – przypomniał zaniepokojony Jamie. – Co cię tak martwi?

– To prawda, mówiłem, że jednym z objawów gwałtownego odstawienia diazepamu mogą być konwulsje – przyznał Dressler. – A w przypadku Annie nie trwały one długo. – Urwał i po chwili dodał: – Podjąłem decyzję o umieszczeniu Annie w klinice.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała Oliwia. – Ona tego nie chce.

W fiołkowych oczach Dresslera pojawiło się zdecydowanie i determinacja.

– Jeśli następny napad konwulsji będzie dłuższy – powiedział – a Annie nie otrzyma natychmiastowej pomocy, to skutki mogą być groźne.

– Cholera – zaklął Jamie i spojrzał na Oliwię.

Oliwia pomyślała o Annie i o tym, czego przyjaciółka obawiała się najbardziej: że Edward dowie się o wszystkim, że straci jego zaufanie i miłość. Ze utraci jego i dzieci. A potem spojrzała na Dresslera i ponownie usłyszała ostatnie słowa lekarza: „Skutki mogą być groźne”.

Nie mamy wyboru, pomyślała, a głośno powiedziała:

– Więc na co czekamy?

Rozdział 10

Edward przyjechał następnego dnia wieczorem.

Nikt go nie zawiadamiał. Przyjęcie Annie do kliniki Dresslera odbyło się bez żadnych przeszkód. Uszanowano jej decyzję o nieinformowaniu Edwarda. Ale w tym całym zamieszaniu Jamie, do którego należało odbieranie rozmów i utrzymywanie Edwarda w nieświadomości, zapomniał zadzwonić do Anglii. Edward odezwał się ponownie tuż przed dziesiątą rano. Na nieszczęście Oliwia, w końcu odprężona po bezpiecznym umieszczeniu Annie w szpitalu, i szczęśliwa, że wreszcie ma swoje mieszkanie tylko dla siebie, zapomniała o włączonej automatycznej sekretarce i osobiście odebrała telefon.

– Oliwia? – W głosie Edwarda słychać było zdziwienie.

– Tak. – Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, z kim rozmawia. Odruchowo zakryła ręką usta i zmrużyła oczy, zła na samą siebie, że zachowała się tak bezmyślnie.

– Oliwio, mówi Edward Thomas.

– Cześć, Edwardzie – odpowiedziała Oliwia. Wiedziała, że jej głos brzmi nienaturalnie. – Co u ciebie słychać?

– Wszystko w porządku. Ale ważniejsze jest, jak ty się czujesz.

– Świetnie – O, Boże, pomyślała. Przecież to ona miała mieć problemy. To dla niej Annie przyjechała do Genewy. Nie mogła zebrać myśli. – Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze – dodała pośpiesznie.

– No, właśnie. Annie wspomniała mi o tym.

Oliwia czekała w napięciu na następne, nieuchronne pytanie.

– Czy jest tam Annie? – spytał Edward.

– Nie, Edwardzie – odpowiedziała, dodając w myśli: „Cholera!” – W tej chwili jej nie ma.

– Ale ja już od dawna nie mogę jej zastać.

– To prawda – odparła, stwierdzając, że jej zazwyczaj błyskotliwy refleks zawiódł ją tym razem. To musi być poczucie winy, pomyślała. Nigdy nie umiała dobrze kłamać.

– Prawdę mówiąc, zawsze udaje mi się porozmawiać tylko z Jamesem Ariasem.

Oliwia wiedziała, że Edward coś podejrzewa.

– Bo zazwyczaj tylko Jamie zostawał w mieszkaniu – wyjaśniła. – Wiesz, z powodu tych moich problemów.

– Więc Annie była z tobą, tak?

– Tak, oczywiście. Ona jest wspaniała.

– Annie jest do ciebie bardzo przywiązana, Oliwio – powiedział Edward. – Mam nadzieję, że znalazła też chwilę, aby odpocząć. Przed wyjazdem była bardzo przemęczona.

– Tak, wiem. – W końcu jakiś punkt zaczepienia, pomyślała Oliwia. – I właśnie dlatego teraz jej nie ma – dodała szybko. – Zrobiła sobie wychodne.

– To dobrze. Pewnie poszła na zakupy?

– Chyba tak. Na pewno kupuje prezenty dla ciebie i dzieci. A przy okazji, co z nimi?

– Są wspaniałe – odparł zdawkowo Edward, i zaraz dodał: – Miło mi słyszeć, że czujesz się już dobrze, Oliwio. Z tego, co mówiła Annie, wynikało, że byłeś w poważnej depresji.

– To prawda. – Oliwia pomyślała o Annie. Nie miała pojęcia, jak długo przyjaciółka zostanie w szpitalu i czy na tym wszystko się skończy, czy też Annie będzie musiała kontynuować terapię w jej mieszkaniu z Dresslerem i pielęgniarkami. – Ciągle jeszcze nie czuję się najlepiej – oznajmiła na wszelki wypadek.

– W każdym razie – powiedział Edward, wracając do głównego tematu rozmowy – poproś Annie, żeby zadzwoniła do mnie, jak tylko wróci, dobrze? Jestem teraz w Londynie.

– Tak, powiem jej to – odrzekła Oliwia.

– Powiedz jej też, że za nią tęsknię – ciągnął Edward. – To znaczy rozumiem, że to musi trochę potrwać, ale bardzo mi jej brakuje. Dzieci też za nią tęsknią, szczególnie Liza.

– Przekażę jej – obiecała Oliwia, czując, jak robi jej się niedobrze.

– Dziękuję, Oliwio – powiedział. Po chwili dodał: – Proszę, dopilnuj, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze?

– Oczywiście, powiem jej, jak tylko wróci.

– Miło było usłyszeć twój głos. Mam nadzieję, że wkrótce uporasz się ze swoimi problemami.

– Dziękuję, Edwardzie.

Oliwia odłożyła słuchawkę. Psiakrew! – pomyślała. Jasna cholera! Edward już coś podejrzewał. Jeśli nie skontaktuje się z Annie w ciągu najbliższych godzin, będzie wiedział, że coś tu nie gra. Boże, czuła się tak podle nie tylko dlatego, że okłamała Edwarda, ale także

dlatego, że zrobiła to nieumiejętnie. A przede wszystkim było jej wstyd, że tak okropnie zawiodła Annie.

Spojrzała na telefon, myśląc o miłym, troskliwym, wrażliwym, mądrym mężczyźnie, z którym właśnie rozmawiała. Gdybym to była ja – stwierdziła – wiedziałabym, co zrobić.

Przyjechał, gdy dwie kolejno nagrane na sekretarkę wiadomości nie wywołały żadnej reakcji – ani ze strony jego żony, ani jej przyjaciół. Przeczucie kazało mu zarezerwować bilet na najbliższy lot do Szwajcarii i przesłać kolejną wiadomość. Mocnym, czystym głosem oznajmił każdemu, kto będzie słuchał tej informacji, że przylatuje do Genewy jeszcze tego samego dnia wieczorem. Kierowało nim nie tylko złe przeczucie, ale i nagły, niewytłumaczalny strach. Był pewien tylko jednego, że coś złego musiało dzieć się z Annie. Może była chora? A może wdała się w jakiś romans? Może chciała go opuścić i teraz, wraz z przyjaciółmi i jakimś szwajcarskim prawnikiem, przygotowywała pozew rozwodowy. Pewnie po prostu znudziło jej się małżeństwo z nim. Tak naprawdę Edward wcale w to nie wierzył. Mimo napięcia, które ostatnio coraz częściej gościło na twarzy jego żony, i mimo całego jej zmęczenia, które zauważyły już i jego szwagierki, a także niektórzy sąsiedzi i przyjaciele, nadal widział w oczach Annie miłość do niego. Nie tylko do Sophie, Williama i małej Lizy, ale także do niego, tego był pewien. No, prawie pewien. Był przekonany, że prawdziwe jest jego pierwsze i najgorsze podejrzenie: Annie, jego ukochana Annie, była chora.

– Jak mogłaś? – spytał Oliwię na lotnisku, gdy w ostrożnych słowach poinformowała go, że Annie jest w szpitalu, ale nie ma żadnego zagrożenia. – Jak mogłaś nie powiedzieć mi, że moja żona jest chora?!

Szedł szybko w kierunku wyjścia, zrozpaczony, ale zdecydowany, że nic ani nikt nie może mu przeszkodzić w natychmiastowym spotkaniu z Annie.

– Edwardzie, proszę, wysłuchaj mnie. – Oliwia dogoniła go i próbowała złapać za rękę, ale mężczyzna odepchnął ją. – Edwardzie, jest jeszcze wiele rzeczy, o których nie wiesz; musisz o nich usłyszeć, zanim się z nią zobaczysz.

– Wiele rzeczy? – Stał jak wryty, a w jego oczach pojawił się na nowo strach. – Jakich rzeczy?

– Czy możemy gdzieś usiąść? Napijesz się kawy?

– Kawy? – Edward zaśmiał się nieprzyjemnie. – Jeśli myślisz, że będę trwonił czas na picie kawy, gdy moja żona leży w szpitalu, to musisz być szalona. – Ruszył w kierunku wyjścia, ale po chwili zatrzymał się, złapał Oliwię za ramię i spytał:

– Jak poważnie jest chora? – Jego szare oczy przewiercały ją na wylot. – Nie okłamuj mnie, Oliwio. Muszę znać całą prawdę.

– Dobrze – odparła cicho Oliwia. – Ale musimy gdzieś spokojnie usiąść i wtedy powiem ci wszystko. Tego nie da się wyjaśnić po drodze do kliniki – Urwała. – Edwardzie, przysięgam ci na wszystko, co jest mi drogie, że Annie nie jest w niebezpieczeństwie, a przynajmniej nie takim, jak myślisz. – Dostrzegła zdumienie i zaniepokojenie malujące się na jego twarzy. – Chodź – powiedziała delikatnie. – Wszystko ci opowiem.

– O, Boże – powiedział, kiedy skończyła. – O, mój Boże!

Oliwia siedziała w milczeniu na plastikowym krześle i w przyćmionym świetle baru obserwowała jego zrozpaczoną twarz. W trakcie jej opowieści Edward zamówił szklaneczkę whisky, a teraz wyglądało na to, że przydałaby mu się następna. Jednak Oliwia postanowiła nie odzywać się więcej – powiedziała już dosyć.

– Nie wiem, co powiedzieć – zaczął powoli. Przez moment popatrzył na nią i Oliwia zauważyła, że w jego oczach pojawiły się łzy. Szybko odwrócił wzrok.

– Jeśli to coś zmieni... – Przerwał, odchrząknął, mocno zamrugał powiekami i zaczął raz jeszcze: – Jeśli to coś zmieni, to chciałbym, żebyś wiedziała, że nie obwiniam ciebie ani Jamiego. Rozumiem... myślę, że rozumiem, że uważaliście, iż robicie to wszystko dla dobra Annie.

– Nie – zaprzeczyła Oliwia. – Wcale nie myśleliśmy, że jest to dobre rozwiązanie. Po prostu, po rozważeniu wszystkich możliwości, doszliśmy do wniosku, że Annie zgodzi się tylko na takie rozwiązanie. Wszystkie inne były jeszcze gorsze, jeszcze niebezpieczniejsze.

– Na przykład poinformowanie mnie o wszystkim, prawda? – zauważył gorzkim tonem Edward.

– Nie, Edwardzie. Tego w ogóle nie braliśmy pod uwagę. A przynajmniej Annie nie chciała o tym nawet słyszeć.

– Bo myślała, że mnie straci?

– Tak.

– Jak mogła tak pomyśleć? – Potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Jak mogła pomyśleć, że mógłbym ją zostawić?

– Nie wiem – odparła Oliwia. – Ale niestety tak pomyślała. – Zawahała się. – Myślę...

Edward spojrzał na nią bacznie.

– Tak?

– Nic.

– Oliwio, o czym pomyślałaś? Powiedz mi, proszę.

Oliwia wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Myślę, że miało to coś wspólnego z twoją matką.

Razem pojechali do kliniki. Edward najpierw spotkał się z Giannim Dresslerem, rozmawiał z nim kilka minut, po czym skierował się do pokoju Annie. Jamie siedział na krześle pomiędzy łóżkiem a oknem. Kiedy Edward wszedł do pomieszczenia, wstał i automatycznie wyciągnął dłoń do powitania, ale szybko schował ją za siebie, ponieważ mężczyzna tylko skinął mu lekko głową i minął go bez słowa.

Oliwia zatrzymała się w otwartych drzwiach, spojrzała na Jamiego i dała mu do zrozumienia, żeby wyszedł na korytarz. Przelotnie spojrzała na Annie i zobaczyła, że jej twarz jest trupio blada z przerażenia, a błękitne oczy wyglądały jak oczy skazańca świadomego swego losu.

Jamie posłusznie wyszedł, zamknąwszy dokładnie drzwi. Na korytarzu czekał na nich Dressler.

– To najlepsze wyjście – stwierdził. – Oboje wiecie, że mam rację, prawda?

– Nie widziałeś jej twarzy, gdy go ujrzała – powiedziała Oliwia.

– Mimo to tak jest lepiej – upierał się Dressler. – Uwierzcie mi.

– Myślę, że Annie domyślała się, o co chodzi – wtrącił Jamie. – Siedziałem z nią ponad dwie godziny i ani razu nie spytała, gdzie jest Oliwia. Nie dopytywała się też o Edwarda i w ogóle nie spała, nawet nie zmrużyła oka. Byłem pewien, że ktoś jej powiedział, że przyjeżdża Edward. Ale potem, kiedy zobaczyłem wyraz jej twarzy, gdy wszedł...

– Annie ukrywała swoją tajemnicę przed mężem prawie od początku ich małżeństwa – przypomniał Dressler. – A teraz jej sekret został ujawniony. Ten dzień jawił jej się tylko w najgorszych koszmarach. – Przerwał i uśmiechnął się ciepło. – Bez względu na zakończenie tej

historii, wiedziecie, moi drodzy, że tak być musiało. To dla Annie jedyna szansa na normalne życie.

– Chyba oboje o tym wiedzieliśmy – przyznała Oliwia.

– Ale to marna pociecha dla Annie – dodał Jamie.

– Jak się czujesz? – spytał Edward Annie. Siedział na łóżku i trzymał jej chłodną dłoń w swoich rękach.

– Nie tak źle – odparła Annie prawie bezgłośnie.

– Doktor Dressler powiedział mi, że wyjdiesz z tego.

– Mnie mówi to samo.

– To dobry człowiek, prawda?

– Tak – przyznała Annie, głośno przetykając ślinę. – Nie możesz go o nic obwiniać. On chciał cię o wszystkim poinformować. To ja mu nie pozwoliłam. Tak samo jak Oliwii i Jamiemu.

– Wiem – zapewnił Edward i dodał: – Nie winię żadnego z was.

– Tylko mnie – stwierdziła Annie.

– Tylko siebie – sprostował Edward.

Annie poczerwieniała ze wzburzenia.

– Nie, Edwardzie. W żadnym przypadku nie wolno ci winić siebie za cokolwiek.

– Jestem twoim mężem – stwierdził beznamiętnie mężczyzna. – Jesteśmy od sześciu lat małżeństwem. Mamy troje dzieci. A mimo to nie potrafiłaś podzielić się ze mną swoim cierpieniem. Uważam, że mam mnóstwo powodów, aby czuć się winnym.

– Nie! – Annie wyrwała dłoń z jego uścisku i szybko schowała ją pod kołdrę, widząc, jak bardzo drży. – Proszę, Edwardzie, nie rób mi tego. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Nie robić czego? – Edward był naprawdę zdumiony. – o czym ty mówisz?

– Nie próbuj brać na siebie moich win.

– Ale ty nie masz powodu, żeby się obwiniać.

– Edwardzie, proszę... – Jej oczy napęłniły się łzami. – Pozwól mi...

– Na co mam ci pozwolić, kochanie? – spytał. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– Chcę... – Głos Annie załamał się. Zduśiła łkanie i drżącymi ustami powiedziała: – Tak długo czekałam na tę chwilę. Potrzebowałam tego.

– Czego, Annie?

– Chciałam, żebyś mnie oskarżył, Edwardzie. Chcę usłyszeć, jak mnie obwiniasz. To ja jestem winna – ja. To wszystko przeze mnie. Sama jestem sobie winna. To moja słabość sprawiła, że dziś tu jestem. Moja żalosna słabość i moje oszustwa. – Zebrała się w sobie i ciągnęła dalej: – Załóżmy, że przez te wszystkie lata ukrywałam nie to, że sięgam po fiołki z tabletkami, ale to, że mam kochanka. Przypuśćmy, że w końcu zebrałam się na odwagę i dla dobra własnego małżeństwa zdecydowałam się go rzucić...

– Ależ tu w ogóle nie ma porównania!

– Edwardzie, proszę, pozwól mi dokończyć – prosiła Annie. – To wcale nie jest taka duża różnica. Nie, jednak jest różnica, bo przecież nigdy nie miałam nikogo, oprócz ciebie. Nigdy nie pragnęłam i nie zapragnę innego mężczyzny. Mimo to spróbuj wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

– Dobrze.

Annie zacisnęła zęby, aby opanować kolejny atak nudności.

– Wyobraź sobie, że przyjechałam tu, aby Oliwia i Jamie pomogli mi pozbyć się kochanka. Pójdźmy nawet dalej: przypuśćmy, że bardzo to przeżywałam, próbowałam popełnić samobójstwo, a ty przyjechałeś i znalazłeś mnie w tym szpitalu. – Urwała. – Czy nadal uważałbyś, że to ty jesteś wszystkiemu winien?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Edward potrząsnął głową. – Ale Annie, kochanie, nie możesz, naprawdę nie możesz porównywać romansu ze zbyt częstym sięganiem po tabletki uspokajające.

– Ja nie biorę zbyt wielu tabletek, Edwardzie – oznajmiła brutalnie Annie. – Jestem od nich uzależniona.

– Valium to nie heroina, Annie.

– Kupowałam lekarstwo na ulicy, od handlarzy narkotyków – ciągnęła. – Nawet mnie za to aresztowano. – Zobaczyła przerażenie w jego oczach i pospiesznie dodała: – Nie zostałam oskarżona, policji nie chodziło o mnie. Ale mimo to...

Oboje zamilkli. Annie utkwiała wzrok w białej szpitalnej kołdrze. Edward gapił się bezmyślnie w ścianę, zatopiony we własnych myślach.

– Czy mogę cię o coś spytać? – powiedział w końcu.

– Oczywiście. Pytaj, o co chcesz.

– Czy to, że powiedziałem ci o swojej matce, coś zmieniło? Chciałaś mi powiedzieć o

tabletkach, prawda? A ja opowiedziałem ci wtedy o uzależnieniu mojej matki.

Annie nie mogła spojrzeć mu w oczy.

– Może bym ci o wszystkim powiedziała. Zamierzałam nawet to zrobić.

– A ja cię spłoszyłem – dokończył cicho Edward. – O, mój Boże!

Wstał i podszedł do okna. Zasłony były zaciągnięte, odsunął je i spojrzał w ciemność za oknem. Własne myśli i słowa Annie przepełniały go, dręczyły umysł, wydawało mu się, że zaraz się załamie. Zawsze opanowany, teraz nagle poczuł, że chce płakać, krzyczeć.

– Edwardzie?

Usłyszał jej słaby, przepełniony desperacją i obawą głos, ale nie odwrócił się.

– Edwardzie, co się stało? – Strach ponownie zagościł w jej duszy. – Co ja takiego powiedziałam?

– Nic. – Spojrzał na nią i zmusił się do odpowiedzi. – Nic takiego, Annie.

– Ależ tak. – Annie patrzyła na niego z ciekawością i przerażeniem. – Czymś cię zdenerwowałam. Pewnie rozmową o twojej matce. Naturalnie, że nie chcesz o niej rozmawiać, inaczej zrobiłbyś to wiele lat temu. Przykro mi, Edwardzie. Po prostu chciałam ci wszystko wytłumaczyć. Chociaż spróbować...

– Wiem. – Edward znowu usiadł na łóżku. – Ale teraz jesteś już bardzo zmęczona, widzę to i słyszę. Powinnaś odpoczywać. Lekarz prosił, żeby cię nie przemęczać, tymczasem ja to zrobiłem.

– Nie – zaprotestowała Annie. – To znaczy tak, jestem zmęczona, ale to nie ma znaczenia.

– Łzy znowu pojawiły się w jej oczach. – Tak bardzo za tobą tęskniłam. Myślałam, że muszę to zrobić sama. Musisz mi uwierzyć! Nie miałam wyboru.

– Wierzę ci – powiedział, wstając z łóżka. – Annie, powinnaś się teraz przespać.

– Tak. – Strach nie ustępował. – Gdzie będziesz?

– W hotelu Des Bergues.

– Ale przyjdiesz jutro, prawda?

– Oczywiście, że tak. – Schylił się, żeby ją pocałować, najpierw w policzek, potem w usta. – Spróbuj się nie denerwować, kochanie. Jutro razem porozmawiamy z doktorem Dresslerem. Na pewno wyjaśni nam, co mamy robić, żeby wyleczyć cię do końca.

– To może trochę potrwać – ostrzegła Annie.

– Wiem – przytaknął Edward. – Ale przecież mamy czas.

Annie oparła się na poduszkach, bezskutecznie próbując zmusić się do uśmiechu.

– Przepraszam, Edwardzie – powiedziała szeptem. – Przepraszam za wszystko.

– Ja też – odrzekł.

Po wyjściu Edwarda do pokoju wśliznęła się Oliwia. Jamie zaproponował Edwardowi, że odprowadzi go do hotelu, ale ten grzecznie podziękował i nieco sztywno odparł, że doskonale poradzi sobie sam. Wobec tego, na prośbę Oliwii, Jamie wrócił do jej apartamentu, aby przygotować coś do jedzenia. Oliwia nie czuła się dziś na siłach, aby zjeść kolację w restauracji.

Annie jeszcze nie spała i chociaż opowiadała Oliwii, że Edward zachował się wspaniale, to ta zauważyła, że przyjaciółka czymś się gryzie.

– Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, co cię martwi.

– Och Liwi, nie ma nic do powiedzenia. To wszystko to tylko moja wyobraźnia, nic się nie wydarzyło.

– Tak czy inaczej, opowiedz mi – upierała się Oliwia.

Annie głośno westchnęła.

– Rozmawialiśmy o tym lub raczej próbowaliśmy, a potem...

– Co potem?

– Rozmawialiśmy o jego matce.

– I?

– I przez chwilę wydawało się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Ale on nagle wstał, podszedł do okna i zamknął się w sobie. Wyglądało to tak, jakby nie mógł już więcej znieść nie tylko wspomnień o matce i zmarnowanym dzieciństwie, ale wszystkiego!

– Pewnie był podenerwowany – zasugerowała Oliwia.

Annie uśmiechnęła się z przymusem.

– Twierdził, że powinniśmy skończyć rozmowę, bo ja jestem zbyt zmęczona.

– Miał rację. Wyglądasz na taką.

– I chyba jestem.

– A wracając do Edwarda, na pewno miał ciężki dzień. – Oliwia spojrzała w przerażone oczy Annie. – Och, Annie, kochana, nie zdręczaj się. – Oliwia naprawdę szczerze żałowała przyjaciółki. – Edward ma rację, twierdząc, że jesteś przemęczona. Nadal walczysz z uzależnieniem, a poza tym musiałaś stawić czoło temu, czego obawiałaś się najbardziej. Teraz

potrzeba ci snu, ale prawdziwego snu, a nie leżenia w bezruchu z otwartymi oczami.

– Oliwia ma rację – przytaknął Gianni Dressler, wchodząc do pokoju.

– Myślę, że nie będę w stanie zasnąć – stwierdziła Annie.

– W takim razie sądzę, że możemy ci pomóc – oznajmił Dressler.

– Myślałam, że koniec z prochami – zdziwiła się Oliwia.

– Nie chcę znowu się w to pakować – powiedziała Annie ze strachem.

– Ja na pewno ci na to nie pozwolę – uspokoił ją lekarz.

– Niemniej jednak musisz porządnie wypocząć – oświadczyła Oliwia, podnosząc się z łóżka.

– Zostaw to mnie – powiedział lekarz, po czym zwrócił się do Annie: – A ty musisz uwierzyć, że nie zrobię ci krzywdy, dobrze?

– Tak – odparła łagodnie Annie. – Dziękuję.

– Oliwio? – Dressler odwrócił się. – Wybacz mi – powiedział z uśmiechem – ale czy mogłabyś sobie już pójść?

Oliwia odwzajemniła uśmiech.

– Właśnie miałam taki zamiar.

– Więc?

Oliwia przesłała Annie pocałunek i otworzyła drzwi.

– Zadzwoń do nas rano, gdy się obudzisz – powiedziała.

– Idź już – ponaglał ją Dressler.

– Już sobie idę.

Oliwia nastawiła budzik na siódmą trzydzieści i zadzwoniła do Edwarda do hotelu, aby zaprosić go przed pójściem do szpitala na śniadanie. Spotkali się w restauracji Pavillon i zamówili rogaliki z kawą.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Oliwio? – zapytał Edward.

– Zastanawiałam się, czy jest coś jeszcze, o czym mogłabym ci powiedzieć, a co pomogłoby ci w opiece nad Annie – zaczęła Oliwia, starając się zachowywać bardzo taktownie. Zdawała sobie sprawę, że ona i Jamie przekroczyli granice przyjaźni, usurpując sobie prawo do przejęcia roli Edwarda. – Mam na myśli coś, co mogło ujawnić się w zeszłym tygodniu, a o czym powinieneś wiedzieć.

– Coś oprócz faktu, że moja żona próbowała wyjść z ciężkiego uzależnienia od leków, tak? – oświadczył Edward lekko ironicznym tonem, w którym pobrzmiewała jednak stanowczość.

Oliwia odstawiła filiżankę, popatrzyła na niego i powiedziała otwarcie:

– Edwardzie, już cię przepraszaliśmy, a nie sądzę, żeby wałkowanie wszystkiego od nowa pomogło Annie, tobie, czy waszej rodzinie. Mieliśmy rację czy nie, wiesz dlaczego tak postąpiliśmy.

– Tak – przyznał Edward łagodniej. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Oliwia zawahała się przez chwilę, ale postanowiła kontynuować rozmowę. – Zeszłego wieczoru po twoim wyjściu wpadłam na chwilę do Annie. Wyglądało na to, że sam koniec waszej rozmowy naprawdę ją przygnębił.

– Oliwio – Edward pochylił się nad stołem – bardzo dobrze wiem, o co ci chodzi, naprawdę wiem, ale są pewne rzeczy...

– Tak – wtrąciła Oliwia. – Wiem. To nie moja sprawa. Annie nie powiedziała mi zbyt wiele. Wierz mi, Edwardzie, ona jest zbyt dyskretna, żeby mi opowiadać szczegóły. Ale kiedy mówiła o waszym spotkaniu, powiedziała, że w pewnym momencie zamknąłeś się w sobie. I to stwierdzenie mnie zaniepokoiło.

– Przykro mi, że się tym zmartwiłaś...

– Och, Edwardzie, nie bądź taki przesadnie oficjalny. – Oliwia postanowiła mówić bez ogródek. – Moje zaniepokojenie nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu pomyślałam, że powinieneś wiedzieć, że to zmartwiło Annie. Była naprawdę smutna. A wszystko, co teraz zasmuca Annie, ma duże znaczenie. Z drugiej strony – dodała szybko – nie należy zakładać, że Annie w ogóle nie wolno się smucić. W końcu takie jest życie.

– Wiem, co masz na myśli – odparł ugodowo Edward. – Chcesz powiedzieć, że rzeczy, które ją denerwują, niepokoją, problemy, które napotyka, trzeba rozwiązywać, a nie uciekać od nich.

– Tak, właśnie o to mi chodzi – przytaknęła Oliwia.

– A temat, wokół którego krążysz... – mówiąc to, uśmiechnął się lekko. – Szczerze mówiąc, zwykle wygarniasz całą prawdę prosto z mostu, więc to do ciebie niepodobne, żeby...

– Tak, wiem – odparła Oliwia, odwzajemniając uśmiech.

– Więc wydaje mi się, że cała nasza rozmowa obraca się wokół tematu mojej matki.

Oliwia nie odpowiedziała.

Oczy Edwarda znowu pociemniały, ale ciągnął dalej:

– Oliwio – powiedział cicho – całe moje dorosłe życie próbowałem poradzić sobie z tym problemem, właśnie tak, jak zrobiłem to wczoraj. Zamykałem się w sobie. – Przerwał. – Wczoraj, z różnych względów, byłem wstrząśnięty i przypuszczam, że w pewnym momencie nie byłem w stanie przyjąć już niczego więcej. – Znowu zamilkł. – Przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę poruszał tematu mojej matki. Mówienie o tym niczego nie zmieni. I dotrzymałem przyrzeczenia, prawda? O całej historii chciałem zapomnieć, chociaż obecnie panuje przekonanie, że tak nie powinno się postępować. Postanowiłem, że wyrzucę ze swojej pamięci te wszystkie okropne wspomnienia. Tylko w ten sposób mogłem normalnie żyć i myślę, że to mi się udało.

– Tak – zgodziła się Oliwia. – To ci się naprawdę udało. Odniosłeś sukces. Masz wspaniałą rodzinę.

– I głęboko nieszczęśliwą, uzależnioną od leków żonę.

– To prawda – przyznała cicho Oliwia.

– Krótko mówiąc, to, co było dobre dla mnie, wcale nie było takie dobre dla Annie – stwierdził Edward. Sięgnął po dzbanek z kawą i napełnił obie filiżanki. – A to, że ukrywałem mroczną stronę mojego życia sprawiło, że Annie bała się powiedzieć mi o swoich kłopotach.

– Częściowo pewnie tak – przyznała Oliwia. – Ale nie wierzę, że tylko z tego powodu Annie nie powiedziała ci o swoim uzależnieniu.

– Tego nie wiem – powiedział Edward. – Obawiam się, że jednak tak. – Wziął głęboki oddech i dodał: – Chciałbym cię o coś spytać. Chociaż ty pewnie też nie będziesz umiała mi na to odpowiedzieć.

– Strzelaj – odparła Oliwia.

– Jak to się stało, że nie zauważyłem, iż z Annie dzieje się coś złego? Dlaczego, na Boga, nie widziałem, że moja żona cierpi?

Oliwia spojrzała na niego. Zobaczyła jego umęczone oczy i nagle poczuła dla niego litość. Z drugiej strony wiedziała, że aby odpowiedzieć na to pytanie i aby Annie miała szansę naprawienia wszystkiego, musi być z nim szczerą aż do bólu i powiedzieć mu prawdę.

– Nikt cię za to nie wini, Edwardzie – zaczęła. – A już na pewno nie Annie...

– Ale... ? – Edward skrzywił się nieznacznie. – Na pewno jest jakieś ale.

Oliwia skinęła głową.

– Tak, jest coś, co musisz sobie uświadomić. Zawsze przyjmowałeś za pewnik, że Annie ze wszystkim doskonale sobie radzi. Widziałeś to, co ona chciała, żebyś widział, a myślę, że także to, co sam chciałeś zobaczyć. Zresztą tak samo postępowałam i ja, i Jamie.

– Ale wy nie mieszkaliście z nią pod jednym dachem – zauważył Edward posepnie.

– To prawda, ale Annie jest dobrą aktorką. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy, lecz teraz już to wiem. A poza tym jest bardzo odważna, chociaż sama uważa się za tchórza i kłamczuchę.

– Więc co mam teraz robić, żeby wszystko naprawić?

– Musisz przestać oceniać Annie tylko na podstawie pozorów, które stwarza. Musisz wziąć wielki młot i rozbić skorupę, którą się otoczyła, musisz dostać się do jej wnętrza, zobaczyć prawdziwą Annie.

– Nie wiem – odparł Edward – czy będę umiał. Nie potrafię zrobić tego tak brutalnie.

– Wiem, że to nie jest łatwe – zgodziła się Oliwia. – Ale jeśli się postarasz, z pewnością znajdziesz inny, delikatniejszy sposób dotarcia do niej. Nie oszukujmy się, Edwardzie. Jeśli chcesz pomóc jej, wam wszystkim, wydobyć się z tego chaosu, musicie razem stawić czoło temu, co się wydarzyło. Musicie trzymać się razem.

Annie spędziła w szpitalu jeszcze tydzień. Edward odwiedzał ją codziennie i, zgodnie z zaleceniem Gianniego Dresslera, brał razem z nią udział w sesjach terapeutycznych.

Annie wyglądała już o wiele lepiej. Przyjęła do wiadomości, że walka z uzależnieniem musi potrwać jeszcze kilka miesięcy i że być może już nigdy nie będzie czuć się tak dobrze, jakby chciała. Ale w zamian za to w końcu odzyska władzę nad sobą, nad swoim ciałem i umysłem. Będzie potrzebowała pomocy, będzie musiała nauczyć się prosić o tę pomoc. A przede wszystkim będzie musiała znaleźć sobie zajęcie, poczuć się użyteczną i aktywną i mieć cierpliwość dla samej siebie. Na jej życie powinny składać się w rozsądnych proporcjach ćwiczenia, praca, optymizm i miłość.

– Co teraz powinniśmy zrobić, ja i Jamie? – spytała Oliwia Dresslera, siedząc z nim w Au Fin Bec, popularnej i milej restauracji.

Zaplanowali, że w przeddzień wyjazdu Jamiego zjedzą we trójkę kolację, ale Jamie w ostatniej chwili wycofał się, twierdząc, że ma jakieś pilne sprawy do załatwienia.

- W związku z Annie, tak? – upewnił się Dressler.
- Naturalnie.
- Nie róbcie nic. – odrzekł Dressler.
- Ale oni już pojutrze wracają do domu.
- Sądysz, że nie powinni wracać?
- Oczywiście, że powinni – rzuciła niecierpliwie Oliwia. – Ale Jamie i ja boimy się, że Annie wraca do Anglii, gdzie zaczęły się jej wszystkie kłopoty, a nas przy niej nie będzie.
- Przecież nie zostawiacie jej bez opieki. Ma Edwarda i dzieci.
- Wiesz, o co mi chodzi, Gianni.
- Tak, wiem. – Patrzył na nią ciepło. – Musicie ich zostawić samym sobie, Oliwio. Oczywiście, nie oznacza to zerwania kontaktów. Niech Annie wie, że jesteście z nią, tak jak zawsze.
- Ale ostatnio dopiero po sześciu latach poprosiła nas o pomoc.
- To było przedtem. Teraz jest inaczej – tłumaczył Gianni. – Wiem, że to jest dla was obojga trudne. Nie chcecie zostawiać Annie teraz, gdy jest taka podatna na zranienie.
- A więc przyznajesz, że ciągle jest słaba.
- I przez dłuższy czas, a może nawet zawsze, będzie słaba. Ale Annie nie jest głupia. Najgorszy był dla niej mroczny sekret, który musiała ukrywać, dołek, w który się zakopała. Teraz powoli wychodzi z tego dołka. Myślę, że jeśli kiedykolwiek miałyby ochotę znowu wpaść do niego, nie zrobi tego, nie ostrzegając całego świata głośnym krzykiem – stwierdził lekarz i uśmiechnął się. – Annie wie, że zawsze może zadzwonić do ciebie czy Jamiego. Ale teraz musicie pozwolić jej samodzielnie uporać się z następnym etapem terapii.

- No i co? – Annie pierwsza zadała to pytanie, gdy następnego wieczora spotkali się w mieszkaniu Oliwii. Byli tylko we troje, Edward zrozumiał, że ten wieczór chcieli spędzić bez niego. – Jak udała się kolacja z Giannim?
- Dobrze – odparła krótko Oliwia.
- Co to znaczy dobrze?
- No, nieźle.
- Denerwujesz Annie. – Jamie upomniał Oliwię. – Nie wolno jej denerwować, zapomniałaś o tym?

– Gianni wcale tego nie powiedział – zauważyła Oliwia. – Zalecił jej „powrót do normalności”. A ja przecież zawsze was denerwowałam.

– Trudno temu zaprzeczyć – przyznał Jamie.

– Opowiedz o wczorajszym wieczorze – nalegała Annie.

– Było miło – przyznała Oliwia. – Nawet całkiem przyjemnie.

– Liwi, nie wykpisz się tak łatwo – oświadczyła Annie. – Muszę znać szczegóły, romans jest dobry dla mojej duszy, tak przynajmniej twierdzi mój nieziemsko przystojny lekarz.

Wiedziała, że plecie bez sensu, ale euforia związana z wyjściem ze szpitala i tym, że czuła się prawie dobrze, nie będzie przecież trwać bez końca, więc przynajmniej dzisiaj mogła sobie na to pozwolić.

– No to zafunduj sobie jakiś romans – zasugerowała jej Oliwia.

– Jestem starą mężatką – przypomniała jej Annie.

– No to romansuj z własnym mężem!

– Ona niczego nam nie powie, prawda? – Annie spojrzała na Jamiego.

– Na to wygląda.

– Czy wiesz, że oni mają się ku sobie?

Jamie pominął to milczeniem.

– Wystarczy – zakończyła Oliwia i ponownie napełniła kieliszki winem.

– Oliwio Segal. – Annie nie dawała za wygraną. – Ten mężczyzna jest marzeniem każdej normalnej kobiety!

– Jest arogancki – stwierdziła Oliwia. – Jest przystojnym, wziętym lekarzem, a przy tym w jego żyłach płynie szwajcarska i włoska krew. Jestem zdumiona, że zechciał przekroczyć próg mojego domu.

– I tu masz rację – zauważył złośliwie Jamie. – Dwojgu ludziom o tak wybujałych ambicjach byłoby naprawdę ciasno w jednym mieszkaniu, zwłaszcza tak małym jak twoje.

– Więc przyznajesz, że jest przystojny? – nalegała Annie.

– Nie jestem ślepa – odparła sucho Oliwia, ignorując uwagę Jamiego.

– I chcesz mieć z nim romans?

– Wszystko jest możliwe.

Zapadła długa i nieprzyjemna cisza.

– Boję się – oświadczyła nagle Annie.

– Czego? Powrotu do domu? – spytała ostrożnie Oliwia.

– Tak. – Annie potrząsnęła ze złością głową. – Naprawdę strasznie chcę wrócić, chyba zwariuję, jeśli nie zobaczę wkrótce Sophie, Williama i Lizy. – Przerwała. – Ale to tam wszystko się zaczęło, prawda?

– To nie do końca prawda – zaproponował Jamie. – Myślę, że tak naprawdę wszystko zaczęło się jedenaście lat temu w dniu, w którym rozbił się helikopter.

– Jamie ma rację, Annie – przytaknęła Oliwia.

– Ale prawdziwe problemy zaczęły się w Stone Bridge – upierała się Annie. – I one nadal tam są, czekają na mnie: dom, który trzeba prowadzić, dzieci, którymi trzeba się zajmować i ludzie, do których powinnam się dostosować.

– Ale jedna ważna rzecz się zmieniła, Annie – powiedziała Oliwia. – A w zasadzie dwie rzeczy, i to najważniejsze.

– Masz na myśli to, że Edward wie o wszystkim? – spytała Annie.

– Tak – odpowiedziała Oliwia. – Teraz możesz dzielić się z nim swoimi zmartwieniami. Nie musisz już radzić sobie ze wszystkim sama.

Annie uśmiechała się.

– Tak bardzo będę za wami tęsknić – powiedziała cicho i poczuła, jak zbiera się jej na płacz.

– Nam także będzie ciebie brakować – przyznał Jamie i wziął ją za rękę.

– Będziemy często dzwonić – dodała Oliwia. – Pewnie będziesz się wściekać, że tak często sprawdzamy, co u ciebie.

– Ależ dzwońcie! – zaprotestowała Annie. – I przyjeżdżajcie, kiedy tylko zechcecie.

– Przyjechałbym już teraz – powiedział Jamie. – Gdybym był pewien, że to ci pomoże.

– Oboje chcielibyśmy jechać z tobą – dodała Oliwia – ale Gianni mówi, że następny etap musicie przerobić sami. Wy, to znaczy ty i Edward, a nie tylko ty.

– Wiem – zgodziła się Annie. – A wy i tak zrobiliście dla mnie tak wiele, więcej niż na to zasługiwałam.

– Zawiedliśmy cię, Annie – powiedział Jamie.

– Nigdy mnie nie zawiedliście – odparła gwałtownie Annie.

– Powinniśmy byli poznać, że coś jest nie tak – upierał się Jamie.

– Edward to samo myśli o sobie – powiedziała Annie. – Ale ja wiem, że się myli. Wszyscy nie macie racji. Oszukiwałam was... – Podniesieniem ręki stłumiła protesty przyjaciół. – Nazywajcie to jak chcecie – grą, ukrywaniem się pod maską pozorów. Ale skoro częścią powrotu do normalności ma być przyjęcie do świadomości całej prawdy o sobie, to pozwólcie mi na uczciwe przyznanie się do winy. – Urwała, a po chwili dodała. – Kłamałam. Oszukiwałam samą siebie i wszystkich, którym zależało na mnie. I o mały włos, a zasłabym za daleko.

– Na szczęście do tego nie doszło – powiedziała Oliwia.

– Na szczęście miałam was dwoje – sprostowała Annie.

Większą część następnego dnia Oliwia spędziła na lotnisku: najpierw wraz z Jamiem odprowadzili Annie i Edwarda, którzy samolotem British Airways odlatywali do Londynu, a potem Jamie odlatywał do Bostonu.

– Pozdrów ode mnie Carrie – powiedziała Oliwia, po czym dodała złośliwie: – O ile jej to nie zdenerwuje.

– Carrie nie nienawidzi cię, Oliwio – odparł z naciskiem Jamie.

– Ale na pewno nie jestem jej ulubienicą.

– Ona jest o ciebie zazdrosna.

– Wiem – przyznała Oliwia. – Tyle że nigdy nie rozumiałam dlaczego.

– Na pewno ma swoje powody.

– Przecież doskonale wie, że nigdy nie łączyło nas nic, oprócz przyjaźni, prawda? – Oliwia spojrzała na Jamiego. Miał ładne, ciemne oczy i gładkie włosy. – Chociaż, z drugiej strony, gdybym była na jej miejscu, pewnie też byłabym zazdrosna o niezamężną kobietę, która jest w tak bliskiej przyjaźni z moim mężem.

– Nie sądzę – stwierdził Jamie.

Bez pośpiechu zbliżali się do kontroli paszportowej. Chcieli wykorzystać każdą minutę, która została im do pożegnania.

– Uważaj na siebie – powiedziała Oliwia, kiedy dotarli na miejsce.

– Ty też.

– I bądź szczęśliwy. Nie pozwól, aby Carrie psuła ci humor.

– Ona tego nie robi – zaprotestował Jamie. – Szkoda, że nie możecie się dogadać.

– Tu nie chodzi tylko o mnie, prawda? Carrie jeszcze bardziej nie lubi Annie.

– To nie fair. – Jamie nie próbował jej krytykować, po prostu był szczery. Wkraczali na stare terytorium. Wałkowali już ten temat wielokrotnie i pewnie jeszcze nie raz do niego powrócą. – Carrie od początku widziała, że jej nie akceptujecie.

– Chyba masz rację – przyznała Oliwia. – Przepraszam, Jamie. Naprawdę chciałabym polubić twoją żonę, ale nie potrafię.

– Wiem. – Jamie podniósł torbę podróżną, zawahał się przez chwilę i z powrotem odstawił ją na ziemię. – Jeśli zaczniesz spotykać się z Dresslerem – powiedział – uważaj na siebie, dobrze?

– Będę uważać – odpowiedziała lekko. – Wiesz, jak podchodzę do tych spraw: łatwo przyszło, łatwo poszło.

– Pewnie – powiedział Jamie, biorąc ją za rękę. – To tylko twoja maska, Oliwio. Wszyscy je nosimy, nie tylko Annie.

– Nie martw się o mnie – powiedziała Oliwia.

– Nic na to nie poradzę. Zawsze martwiłem się o ciebie.

– Wiem. Ja też martwiłam się o ciebie.

Objęli się. Oliwia poczuła emanującą z niego siłę i dobrze znajomy zapach wody kolońskiej. Pomyślała o tym, jak wiele Jamie dla niej znaczy, jak ważna była, jest i będzie przyjaźń jego i Annie.

– Kocham cię – powiedział cicho Jamie, prosto do jej ucha.

– Ja ciebie też – odparła Oliwia.

I poszedł. Po drodze zatrzymał się jeszcze na chwilę, aby pomachać jej na pożegnanie i przesłać pocałunek, a potem już go nie było. Gdy zrozumiała, że Jamie już nie wróci, ruszyła w kierunku wyjścia, do garażu, w którym zaparkowała samochód. Wspominając słowa, które powiedzieli sobie na pożegnanie, słowa, którymi żegnali się przez te wszystkie lata, miała dziwne uczucie, że tym razem zabrzmiały one dla niej trochę inaczej – wiedziała i akceptowała to, że dla Jamiego była to zwykła formułka, bez większego znaczenia.

Stwierdziła jednak, że mówiąc „kocham cię”, być może naprawdę to miała na myśli. Nie była i nie chciała być tego pewna. Takie uczucie byłoby złe, więcej – niedopuszczalne, całkowicie i absolutnie niemożliwe.

Jednak nie wypowiedziała tych słów jako przyjaciółka.

Rozdział 11

Pudełko Oliwii

Do połowy tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku pięćdziesiąt pięć tysięcy Żydów uciekło z Austrii i Niemiec do Ameryki, wśród uciekinierów nie było jednak nikogo z naszej rodziny. Mój ojciec, który jeszcze niedawno był przekonany, że jego pozycja, bogactwo i kontakty pomogą mu w razie pilnej potrzeby zorganizować szybką ucieczkę dla całej rodziny, teraz wiedział, że nie będzie to wcale łatwe. Nigdy nie zobaczył dokumentów emigracyjnych, które Max Wildenbruch obiecywał załatwić, a przygotowania do naszego wyjazdu, które mieli prowadzić jego prawnicy, były ciągle odkładane i w niewytłumaczalny sposób utrudniane. Po jednym z telefonów do Nowego Jorku papa stwierdził, że przyjaciel wydaje się być dziwnie zaniepokojony i skonsternowany. Wildenbruch w podobny sposób pomagał Ferdzie Steinerowi z Norymbergi i teraz jego rodzina siedziała bezpiecznie w apartamencie przy Siedemdziesiątej Trzeciej na Manhattanie. Wszyscy wiedzą, że naziści wręcz zachęcają Żydów, żeby wynosili się z Niemiec, więc skąd te utrudnienia?

Rodzice i ja doskonale wiedzieliśmy w czym rzecz, chociaż nie dzieliliśmy się naszymi obawami z Liii i Trudę. W miarę upływu czasu faszystowski terror stawał się coraz bardziej dziki i bezlitosny, a szantaż Braunera przybierał na sile i systematyczności. O ile przedtem mama i papa traktowali go jak zwykłego, nieco wygodnego kolekcjonera, teraz wiedzieli, że Brauner jest po prostu bezwzględny złodziejem. Z morderczą skutecznością plądrował nasze piwnice i niczym sęp obrał do kości ukochaną kolekcję symbolistów papy. To, co na początku wydawało się być raczej jednostronną umową handlową, której realizacja miała umożliwić nam opuszczenie Niemiec z zachowaniem przynajmniej resztek godności i majątku, teraz stało się grą o znacznie wyższą stawkę. W pierwszych tygodniach Brauner obiecał, że jeśli papa zgodzi się na współpracę, ten użyje wszystkich swoich wpływów, abyśmy mogli pozostać w domu, nie napastowani przez nazistów. Kilka miesięcy później Brauner stwierdził, że postara się załatwić nam wyjazd do Ameryki, oczywiście, o ile papa bez sprzeciwów podzieli się z nim swoją kolekcją. Ale to minęło. Brauner przestał się kamuflować, już nie kusił nas obietnicą pomocy, teraz po prostu groził. Stale przypominał ojcu, że ma wielu ustosunkowanych przyjaciół i

wystarczy jedno słowo, jeden donos oskarżający papę o cokolwiek – czy to niedozwolone kontakty z Niemcami, czy udział w jakimś fikcyjnym spisku, a natychmiast zabiorą papę do Dachau, obozu koncentracyjnego założonego koło Monachium, a najprawdopodobniej od razu skazą na śmierć.

Tak było przez trzy lata. Od pierwszego spotkania jesienią trzydziestego piątego roku Brauner złożył nam jeszcze jedenaście wizyt, zawsze znienacka, bez uprzedzenia. Podejrzewaliśmy, że Baden-Baden nie jest jedynym miejscem, w którym składa te wizyty. Prawdopodobnie objeżdżał w ten sposób całe Niemcy, niczym koszmarny żniwiarz zbierał artystyczne plony do swojej życiowej kolekcji.

We wrześniu trzydziestego ósmego roku w naszej piwnicy pozostało już tylko kilka prac Hodlera, Redona i Ibelsa. Ojciec dowiedział się od Maksa Wildenbrucha, że ze 130 obrazów, które opuściły w tym czasie nasz dom, do Nowego Jorku dotarło tylko dziewięć: sześć w pierwszym roku trwania umowy i trzy w kolejnym, kiedy papa trzymał się jeszcze kurczowo nadziei, że Brauner chociaż częściowo dotrzyma danego słowa.

– Co będzie, gdy w piwnicy nie zostanie już nic? – spytał Anton Emanuela pewnego wrześniowego wieczoru, gdy przechadzali się po ogrodzie.

– Nie wiem – odparł cicho Emanuel.

Stwierdził, że nie będzie więcej oszukiwać syna. Anton miał już siedemnaście lat i z pewnością był o wiele bardziej dojrzały, niż wskazywałby na to jego młody wiek. Nie było sensu kłamać, skoro chłopiec, równie dobrze jak jego rodzice, zdawał sobie sprawę z rosnącego niebezpieczeństwa, które groziło Żydom w Niemczech, a od marca tego roku także w Austrii.

– Przypuszczam, że Brauner wróci tam, skąd przyszedł, i więcej się tu nie pokaże – powiedział cicho Anton.

– Tak i ja myślę – zgodził się Emanuel.

– Ale co się stanie, gdy przyjdą zabrać dom i zobaczą, że kolekcja zniknęła?

– Może nie zabiorą domu – zaproponował Emanuel.

– Zabiorą, papo. Wiem, że tak będzie. Nie przestrzega się już żadnych praw. Wszyscy wiedzą, że to tylko kwestia czasu, zanim nas stąd wyrzucą.

– Być może.

Szli przez chwilę w milczeniu pogrążeni we własnych myślach. Myśleli o tym, co

przytrafiło się w jedną straszną noc anszlusu austriackim Żydom: stracili wszystkie prawa, byli upokarzani i prześladowani fizycznie. Myśleli o spaleniu głównej monachijskiej synagogi w czerwcu i innej, w Norymberdze, w sierpniu, o aresztowaniach, które zaczęły się tego lata i nadal trwały, obejmując swoim zasięgiem całe Niemcy. O plotkach, które szerzyły się powoli, ale zataczały coraz szersze kręgi, o strasznym losie, który podobno spotykał aresztowanych.

– A gdy nas wyrzucą – Anton uporcezywie wracał do dręczącego go tematu – co się z nami stanie, papo? Co będzie, gdy otworzą piwnice? Wszyscy wiedzą o twojej kolekcji, nie możemy udawać, że nigdy jej nie było. – Przerwał. – Co się stanie, jeśli odkryją, że ograbiliśmy ich, spiskując za ich plecami z Braunerem?

Emanuel poklepał syna po ramieniu.

– Nie powinienes martwić się tak o rzeczy, które być może nigdy się nie wydarzą – powiedział serdecznie. – Nie mamy na to żadnego wpływu.

– Ale papo, on nam tyle razy groził.

– Tylko dlatego, żebyśmy go słuchali – skonstatował beztrósco Emanuel, chociaż w sercu czuł ciężar niepewności. – Gdy dostanie wszystkie obrazy, przestanie nas potrzebować. Po prostu da nam spokój.

Spacerowali, wdychając słodki zapach trawy, którą ogrodnik skosił tego popołudnia.

– Z pewnością – dodał po chwili Anton – zdaje sobie sprawę, że jesteśmy świadkami.

– Świadkami?

– To przestępca, prawda? – rzekł Anton. – Cudzoziemiec, który potajemnie wywozi z kraju dzieła sztuki. A my wiemy, co zrobił.

– Myślę, że nie musimy się o to martwić – stwierdził oschle Emanuel. – Brauner ma wysoko postawionych przyjaciół. Wielokrotnie nam o tym przypominał, pamiętasz?

– Mama twierdzi, że ci przyjaciele to po prostu kilku nazistowskich oficjeli, których przekupił tu, w Baden-Baden.

– A ja twierdzę, że nie powinniśmy się przejmować tym, co robił – upierał się Emanuel. – Teraz, gdy z nami skończył, wkrótce nadejdą nasze dokumenty.

Anton przystanął i spojrzał na ojca.

– Naprawdę w to wierzysz, papo?

Emanuel, nie zatrzymując się, odparł:

– Muszę w to wierzyć.

Tak naprawdę papa wcale w to nie wierzył. Wiedział równie dobrze jak mama i ja, że jego mała, beztraska oaza piękna i spokoju odeszła na zawsze. Desperacko próbował wykorzystać swoją szybko kurczącą się sieć kontaktów i znaleźć jakąś – jakąkolwiek – drogę ucieczki, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla żony i dzieci. Myślę jednak, że w głębi duszy nie wierzył już, że mu się to uda.

Człowiek, którego znaliśmy jako Georga Braunera, najpierw dał nam nadzieję, potem pozbawił złudzeń, a na końcu zdradził. Żyliśmy na jego łasce przez trzy lata, aby przekonać się, że już na długo wcześniej, zanim przestaliśmy być dla niego użyteczni, z pełną świadomością planował zostawienie nas na łasce losu. Aczkolwiek, jeśli moje obawy były słuszne i jeśli Brauner rzeczywiście stwierdzi, że jesteśmy dla niego niebezpiecznymi świadkami, nietrudno było przewidzieć, co zrobi.

Każdego tygodnia Dachau i inne nowo powstałe obozy koncentracyjne zapępniały się więźniami. Podobnie jak wiele innych rodzin, które zbyt długo zwlekały z wyjazdem, czekaliśmy teraz jak jagnięta na rzeź. Obecnie, gdy wszystkie drogi ucieczki były już odcięte, wiedzieliśmy, że znaleźliśmy się w pułapce. Rodzice i ja staraliśmy się udawać przed dziewczynkami; nawet w nocy, kiedy już spały, rzadko mówiliśmy głośno o naszych obawach. Mama i papa starali się oszczędzić mi najgorszego, nie chcieli, żebym wiedział, jak są bezsilni.

Jednak myślę, jestem pewien, że byli równie przerażeni jak ja.

Rozdział 12

Jamie

– To szaleństwo – stwierdziła Annie, gdy Oliwia nakreśliła jej plan zemsty na Carrie Beaumont Arias. – To znaczy, uważam, że pomysł jest świetny, ale to zupełne szaleństwo, które mnie w dodatku przeraża.

– Dlaczego?

– Bo tak się nie postępuje.

– Plan jest idealny – stwierdziła Oliwia.

– No tak... Ale to niemoralne.

– Annie, czy myślisz, że mamy do czynienia z osobą moralną? Tylko w ten sposób możemy ją załatwić. Musimy uderzyć tam, gdzie ją najbardziej zaboli.

– Ty naprawdę nienawidzisz Carrie, prawda Liwi?

Oliwia zastanawiała się przez chwilę.

– Nie, nie mogę powiedzieć, że jej nienawidzę. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek tak naprawdę, całym sercem kogoś nienawidziła. Ale z pewnością nią pogardzam.

– Tego planu nigdy nam się nie uda zrealizować – stwierdziła Annie.

– Gdybym sądziła, że nam się nie uda – odparła Oliwia – nie wciągałabym cię w to.

Był styczeń dziewięćdziesiątego roku. Siedziały przy stole w kuchni Annie, w Banbury Farm House. Minęły już ponad trzy lata od dnia, w którym Annie wzięła ostatnią tabletkę valium i często stwierdzała, że jest teraz kimś zupełnie innym, jakby cały ten koszmar w ogóle nie miał miejsca. Jeśli miała być szczerą, właśnie dlatego tak bardzo podobał się jej plan Oliwii. Jeszcze rok temu Liwi zapewne uznałaby, że Annie jest zbyt słaba lub delikatna, żeby wziąć udział w takiej sprawie. Teraz, pomyślała Annie, dzięki temu, że tak się zmieniła, mogły siedzieć w jej kuchni i zastanawiać się, w jaki sposób pomóc Jamiemu.

– Ale czy jesteś pewna, że postępujemy dobrze, nie mówiąc o niczym Jamiemu? – spytała Annie Oliwię. – Mimo wszystko, chcemy zrobić to dla niego. Czy nie ma prawa o tym wiedzieć?

– Nie. – Oliwia stanowczo potrząsnęła głową. – Po pierwsze, znając Jamiego, nigdy by się na to nie zgodził. – Oliwia rzuciła okiem na notatki, które sporządziła, a w jej zielonych oczach pojawił się błysk na myśl o tym, co się wydarzy. – A poza tym, uda nam się tylko wtedy, jeśli Jamie nie będzie o niczym wiedział.

Oliwia czasami zastanawiała się, co by powiedzieli o jej życiu rodzice, gdyby żyli na tyle długo, żeby zobaczyć, jak radzi sobie w dorosłym świecie. Miała nadzieję, że byliby z niej dumni, chociaż z drugiej strony nie miała wątpliwości, że byliby także lekko rozczarowani, widząc, jak jest do nich niepodobna. Jej ojciec, Artur Segal, urodził się w trzydziestym trzecim roku w żydowskiej rodzinie mieszkającej w Berlinie. Kiedy miał zaledwie rok, wraz z rodzicami wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Segalowie, wzorem brata matki Artura, mieszkającego na Manhattanie, zamierzali wieść w Ameryce spokojne i dostatnie życie. Już jako dorosły człowiek, Artur stał się szanowanym marszandem i filantropem. Posiadał również własną kolekcję dzieł sztuki, w dużej mierze złożoną z obrazów otrzymanych od starego Maksa Wildenbrucha z Nowego Jorku, poczynając od wspaniałych prac francuskich impresjonistów, a kończąc na sporym zbiorze prac młodych, dobrze zapowiadających się artystów. Jego kolekcja, którą wielu podziwiała, a wielu także mu jej zazdrościło, rzadko gościła w domu samego właściciela. Artur chętnie wypożyczał swoje obrazy różnym galeriom i muzeom, twierdząc, że sztukę tworzy się po to, aby cieszyła oczy i była oglądana, a nie po to, aby ukrywać ją w domowych skarbcach. To stwierdzenie odnosiło się zresztą do wszystkich aspektów jego życia. Uważał, że należy dzielić się wszystkim z innymi i dlatego przez całe życie z oddaniem poświęcał się działalności charytatywnej, niejednokrotnie wspierając poważnymi sumami różne organizacje i fundusze.

Artur zawsze twierdził, że wszystko, co robi dla innych, robi przede wszystkim po to, aby dorównać swojej żonie Emily, która była siłą napędową jego życia. Emily Segal, kardiochirurg dziecięcy, była dumą swojego męża, prawdziwie bezinteresowną osobą, szczerze kochającą swoją rodzinę i szanującą dziedzictwo żydowskich przodków. Wszyscy jednak wiedzieli, że na pierwszym miejscu stawiała zawsze pracę. Kiedy jakieś dziecko było chore i potrzebowało jej pomocy, było to dla niej najważniejsze – ważniejsze od urodzin, szabasowych kolacji, a nawet świąt religijnych. Chociaż natura obdarzyła ją urodą i świetną figurą, nie przywiązywała do tego większego znaczenia. Nie miała czasu ani cierpliwości, aby, podobnie jak żony krewnych jej

męża, całe dni spędzać na zakupach czy w salonach piękności. Poza tym, jak zwykła mawiać, eleganckie stroje i wymyślne fryzury nie były jej potrzebne, gdyż i tak większość życia spędzała w szpitalach, ubrana w biały fartuch i sterylny czepek dokładnie skrywający włosy.

W przeciwieństwie do Oliwii, która od najwcześniejszych lat jeździła na nartach, a w ostatnich latach próbowała najdziwniejszych sportów, poczynając od nurkowania, poprzez piesze wędrówki i latanie na lotni, a kończąc na wyprawie konnej przez Wielki Kanion, ani Artur, ani Emily nie przepadali za wysiłkiem fizycznym. Kiedy Emily mogła pozwolić sobie na urlop, co nie zdarzało się często, wyjeżdżali zwykle na krótkie wakacje do Francji, Izraela czy Włoch, gdzie oddawali się beztroskiemu lenistwu, przerywanemu jedynie krótkimi kąpielami w morzu i spacerami. Byli sobą bardzo zafascynowani, aczkolwiek żadne z nich nie stawiało seksu na pierwszym miejscu. Było to dwoje wartościowych, mądrych ludzi, którym powiodło się w życiu i którzy bardzo cenili tradycyjne wartości. Emily, pochodząca z lekarskiej rodziny, była w młodości gorącą orędowniczką ruchu wyzwolenia kobiet, jednak równie gorąco chciała założyć rodzinę i mieć dzieci. Ze względu na niewłaściwą budowę macicy, musiała jednak poprzestać na jednej córce.

Oliwia czasami stwierdzała, że musiały odezwać się w niej geny jakiejś antenatki. Przypuszczała, że zapewne w rodzinie Artura musiała kiedyś istnieć jakaś szalona, nieokiełzana żydowska dziewczyna, a może Rosjanka, która zawsze chadzała własnymi drogami, zawsze miała własne zdanie. W porównaniu z innymi kobietami, Oliwia nie wyróżniała się specjalną śmiałością czy zuchwałością, jednak na pewno była znacznie bardziej żądna przygód niż jej rodzice. W rzadkich chwilach, gdy dopadało ją poczucie winy, stwierdzała, że prowadząc tak aktywne i pełne wrażeń życie, chce w pewien sposób nadrobić to, że nie jest godną spadkobierczynią Segalów, że jej życie nie jest nieskazitelne. Starła się ze wszystkich sił dorównać ideałowi, próbowała okiełzać swój trudny charakter, starała się być miła i uprzejma, zdawała sobie sprawę, że ma wiele zalet, jednak, gdy porównywała się ze swoimi rodzicami, często czuła się do niczego. Oliwia zastanawiała się wiele razy, czy gdyby Artur i Emily żyli, jej życie nie potoczyłoby się inaczej i dochodziła do wniosku, że pewnie tak by było. Rodzice wiedzieli, że jesienią siedemdziesiątego szóstego roku miała rozpocząć studia na Sorbonie i nie protestowali, jednak Oliwia podejrzewała, że chcieliby również, aby po ich ukończeniu dalej się rozwijała. Ponieważ jednak stało się inaczej, musiała zadowolić się tym, co miała. A miała dobre wykształcenie, ciekawą pracę, a poza tym umiała cieszyć się życiem bardziej niż większość

ludzi, których znała.

Romans z Giannim Dresslerem, który zaczął się tuż po wyjeździe Annie i Jamiego wiosną osiemdziesiątego siódmego roku i trwał w najlepsze całe lato, zakończył się jesienią tego samego roku. Od tego czasu w życiu Oliwii pojawiło się jeszcze wielu mężczyzn. Życie w pojedynkę nie leżało w jej naturze. Nie, żeby miała coś przeciwko samotności. Naprawdę cieszyła się niezależnością, lubiła być sama, ceniła przyjaźń, która łączyła ją z wieloma kobietami, jednak, jak zauważyła kiedyś Annie, w obecności interesujących, atrakcyjnych mężczyzn w jej zielonych oczach pojawiał się przedziwny błysk.

– Wiem, że nie robisz tego specjalnie – stwierdziła Annie. – Ale widziałam, jak to na nich działa. Przyciągasz ich nieodparcie, a potem nie są już w stanie wyzwolić się spod twojego uroku.

– Na Boga, Annie – odrzekła Oliwia. – Robisz ze mnie jakiegoś wampa!

– Wcale nie – zaprotestowała Annie. – Jednak masz w oczach ten błysk.

– No dobrze – zgodziła się Oliwia ze śmiechem. – Ale co w nich takiego jest?

Annie pomyślała przez chwilę.

– Obietnica – odparła. – Obietnica zabawy, przygody, szczęścia.

Później, zastanawiając się nad tym, Oliwia doszła do wniosku, że stwierdzenie to całkiem jej odpowiada, a na pewno nie jest niepoehlebne.

Od czasu przystojnego lekarza o fiołkowych oczach w jej życiu pojawiło się wielu mężczyzn. Wszyscy byli interesujący, inteligentni i na swój sposób atrakcyjni. Jednak tylko Gianni uświadomił Oliwii istnienie czegoś, co próbowała zignorować, a co, jeśli miała być szczerą, pozostawało ukryte gdzieś w najgłębszych zakamarkach jej podświadomości.

– Oczywiście, zdajesz sobie sprawę – powiedział pewnego wieczoru, kiedy wspólnie doszli do wniosku choć nie bez żalu, że czas zakończyć ich znajomość – że bez względu na to, co mówisz, jesteś zakochana w Ariasie.

– Nie żartuj – odparła Oliwia. – Jamie jest moim najlepszym przyjacielem. Przecież ci to mówiłam.

– Przyjaźń nie wyklucza miłości – zauważył Gianni.

– W tym wypadku wyklucza – stwierdziła stanowczo Oliwia. – Podobnie jak małżeństwo.

– Z kobietą, której nie lubisz.

– A co to ma za znaczenie?

Gianni uśmiechnął się.

– Ciekawe, dlaczego jej nie lubisz.

– To nie twój cholerny interes – stwierdziła z poirytowaniem Oliwia. – A to, że nigdy cię nie kochałam...

– Jak i ja ciebie – zauważył uprzejmie Gianni.

– ... nie znaczy wcale, że kocham kogo innego – dokończyła, potrząsając głową. – Naprawdę, Gianni, sądziłam, że jesteś lepszy niż te szowinistyczne męskie kreatury.

– Nie sądzę – odrzekł, uśmiechając się złośliwie. – Jak mężczyzna, w którego żyłach płynie szwajcarska i włoska krew, i który jest na dodatek lekarzem, może nie być szowinistą?

– To prawda – zgodziła się Oliwia nieco łagodniejszym głosem. – Pewnie nie masz na to wpływu.

– Podobnie, jak ty nic nie możesz poradzić na to, że zakochałaś się w Jamie – zauważył Gianni. – Zapominasz, że wielokrotnie widziałem was razem.

– Widziałeś tylko dwoje przyjaciół. Bliskich przyjaciół.

– Pozwól, że powtórzę swoje pytanie: od kiedy to przyjaźń stoi na przeszkodzie miłości?

Oliwia westchnęła.

– Ale z ciebie kawał sukinsyna – powiedziała bez złości, widząc, że stara się ją sprowokować.

– Skoro tak twierdzisz... – zgodził się Gianni. – Dlaczego jednak nie lubisz żony Jamiego? – spytał po chwili.

– Już ci to mówiłam – odparła Oliwia. – Nie twój interes.

Rzeczywiście, Oliwia od pierwszego spotkania instynktownie znenawidziła Caroline Beaumont, a prawdę mówiąc, ona i Annie odnosiły się do niej nieufnie, jeszcze zanim ją poznały. Jednakże Oliwia szybko zrozumiała, że Jamie był naprawdę szczęśliwy z Carrie, przynajmniej na początku małżeństwa.

Bez względu na to, co życie miało mu do zaoferowania, Jamie Arias zawsze pozostawał tym samym czarującym, delikatnym mężczyzną, zarówno w życiu prywatnym, jak i

zawodowym. Nawet w świecie reklamy, w którym pracował i w którym przewijało się wielu bezwzględnych, pozbawionych skrupułów typków, Jamiego, oprócz niewątpliwego talentu, wyróżniała staroświecka kurtuazja i wrodzona uprzejmość.

Jamie niezmiennie trwał w przekonaniu, że jego zmarły ojciec, Carlos Arias, uważał za pewne, iż Jamie, podobnie jak jego starszy brat Peter i kuzyn Michael, niejako automatycznie dołączy do rodzinnej firmy. Gdyby Carlos żył, Jamie, który go uwielbiał, zapewne rzeczywiście by tak zrobił. Ponieważ jednak było inaczej, Jamie przygotowywał się na chwilę prawdy, która miała nastąpić, gdy oznajmi Michaelowi, zarządzającemu Arias Shipping, że nie zamierza podjąć pracy w firmie. Obyło się jednak bez awantury. Kuzyn, który sprawował władzę nad firmą z biur w Nowym Jorku, skąd blisko było, zwłaszcza prywatnym odrzutowcem, do posiadłości rodzinnej w Newport, dał mu wolną rękę. Stwierdził tylko, że zawsze uważał, iż największym marzeniem Carlosa było, by jego synowie byli szczęśliwi.

– Jeśli jednak wolisz plebejski blichtr świata reklamy – stwierdził Michael z przekąsem – i cenisz go wyżej niż splendor i chwałę swojej rodzinnej firmy, choć ani Peter, ani ja nie mamy pojęcia dlaczego tak się dzieje, to jest to twój wybór.

Michael dodał jeszcze, że tak czy inaczej Jamie zachowuje swój udział w rodzinnej fortunie i niezależnie od tego, co będzie robił, jest niezaprzeczalnie bogatym człowiekiem. Skoro i tak jest bogaty, równie dobrze może wybrać życie, które uczyni go szczęśliwym, stwierdził na koniec Michael Arias.

Jamie wybrał reklamę. Trzeba przyznać, że biorąc pod uwagę jego przymioty, był idealnym kandydatem do tej pracy. Miał kreatywny, błyskotliwy umysł, zawsze pchał go do przodu głód wiedzy, chęć poznania wszystkich dziedzin życia i żarliwa, niemalże dziecięca fascynacja życiem i pracą innych ludzi. Był ciekaw, czym się zajmują, co lubią, co ich interesuje. Kiedyś powiedział Oliwii, że chociaż otrzymał dobre wykształcenie, prawdziwą wiedzę chłonał z telewizji. To małe magiczne pudełko, w które wpatrywał się latami oglądając wszystko – od wiadomości i filmów dokumentalnych przez filmy fabularne aż do kreskówki i programów dla dzieci – nauczyło go więcej niż nauczyciele i profesorowie.

– Mogę na przykład oglądać „Dallas” – tłumaczył Oliwii – i chociaż wiem, że oglądam szmirę klasy E, wystarczy mi urywek rozmowy między J. R. i jakimś baronem naftowym, i to jest to! W następnej chwili już jestem przy komputerze i przeszukuję bazy danych lub grzebię w

informatorach – opery mydlane są naprawdę nieocenionym źródłem wiedzy.

Wystarczyło, żeby jednego dnia usłyszał o jakiejś obiecującej kampanii handlowej, a już nazajutrz wiedział o nowym produkcie więcej niż ktokolwiek inny – jak go stworzono, dlaczego i dla kogo był przeznaczony. Zaraz potem do głosu dochodził jego prawdziwy talent, naturalny dar pisania ostrych, błyskotliwych, ciętych, dowcipnych, a przede wszystkim zapadających w pamięć tekstów reklamowych. Po ukończeniu Harvardu w osiemdziesiątym roku, przez osiemnaście miesięcy pracował jako copywriter [Osoba zajmująca się wymyślaniem sloganów reklamowych] w firmie Ogilvy & Mather i, jak często wspominał, były to niezapomniane miesiące. Potem na dwa lata pogrzyżył się we frustrującej pracy dla Leo Burnetta, najpierw jako pracownik działu zleceń, potem jego kierownik. Aż w końcu niejaki Norman J. Kane dał Jamiemu szansę, za którą będzie mu do końca życia wdzięczny; uczynił go dyrektorem artystycznym małej, ale ambitnej agencji reklamowej Kane'a. Kane, gburowaty, szorstki w obejściu mężczyzna w średnim wieku, nowojorczyk urodzony w Brooklynie, od początku, jeszcze zanim Jamie zdobył dla agencji pierwszą nagrodę Clio, nazywał go swoim genialnym księciem. Kane tłumaczył z dumą znajomym, że Arias nie ma nic przeciwko takiemu przydomkowi, bo jest dżentelmenem w pełnym tego słowa znaczeniu. I chociaż Jamie tłumaczył, że jest Amerykaninem i stanowczo zaprzeczał, jakoby jego rodzina wywodziła się z hiszpańskiej arystokracji, Kane nie przyjmował tego do wiadomości i twierdził, że potrafi rozpoznać w nim klasę, za którą stoi wielowiekowa tradycja.

– Tyle razy tłumaczyłem mu, że to nieprawda – mówił Jamie, rozmawiając pewnego dnia z Annie przez telefon – ale on nie chce zmienić zdania, więc dałem sobie z tym spokój.

– Może w porównaniu z nim rzeczywiście jesteś arystokratą – zasugerowała Annie.

– Jeśli chodzi o mnie – odparł Jamie – jest to zupełnie bez znaczenia.

Jedną z cech, którą Norman J. Kane lubił w Jamiem Ariasie najbardziej, była jego nieograniczona łatwość szybkiego uczenia się i niepohamowany głód wiedzy. Kane szalał z radości, gdy jego ukochana agencja zdobyła nagrodę Clio za kampanię reklamową pokarmu dla psów, przygotowaną przez Jamiego. Ale jeszcze bardziej uradowały go doniesienia producentów reklamowanego produktu, którzy twierdzili, że po kampanii ich krzywe sprzedaży stale pną się w górę. Jamie zdawał sobie sprawę, że nagrody takie jak Clio czy Andy, chociaż są niewątpliwym powodem do dumy, niekoniecznie oznaczają długotrwały sukces dla klienta, zespołu

przygotowującego kampanię, czy agencji. Pogodził się z tym, że żmudna, ciężka praca nad przygotowaniem możliwie najlepszych i najbardziej wyczerpujących kampanii, bez oglądania się na przyszłe korzyści, jest równie ważna, co entuzjastyczna radość z nagłego, genialnego pomysłu.

Właśnie pracując dla Kane'a, pod koniec osiemdziesiątego czwartego roku Jamie poznał Caroline Beaumont. Jego szef zorganizował przyjęcie, na którym chciał się bliżej przyjrzeć dziewczynie, planując jej pozyskanie dla swojej agencji. Ze strony Jamiego było to zauroczenie od pierwszego wejrzenia. Carrie Beaumont miała te cechy, których jemu brakowało: była twarda, niesamowicie ambitna i zbyt skupiona na własnej karierze, aby korzystać z radości życia. Ale była też najcudowniejszą z kobiet, jaką Jamie kiedykolwiek spotkał, toteż niemalże natychmiast rzucił jej się do stóp przytłoczony błyskiem jej zimnych, niebieskich oczu, urokiem bladej, aksamitnej skóry i niską, lekko chropowatą barwą głosu.

Mam fantastyczne szczęście – pisał w jednym z listów do Oliwii – bo wydaje się, że Carrie też się we mnie zakochała.

A co ma tu do rzeczy szczęście? – pisała w odpowiedzi Oliwia. – Nietrudno się w tobie zakochać, zważywszy, że jesteś jedną z najlepszych partii na Manhattanie.

To akurat nie ma znaczenia. – Jamie zwierzał się jej radośnie w kolejnym liście. – Jeśli ktoś jest tu dobrą partią, to właśnie Carrie. Beaumontowie są równie bogaci co Ariasowie, a Carrie jest o wiele bystrzejsza niż ja, bardziej inteligentna i praktyczna, na pewno znacznie atrakcyjniejsza, a poza tym jest prawdziwym geniuszem reklamy.

Carrie, pięć lat starsza od Jamiego, nie tylko zbyła śmiechem ofertę Normana Kane'a, ale, co więcej, pociągnęła za sobą nowego narzeczonego, wrywając go z opiekuńczych ramion Kane'a. Miała pewne plany. Od jakiegoś czasu mieszkała w Nowym Jorku, zbierając doświadczenia, nawiązując korzystne znajomości i czekając na chwilę, w której dostanie to, czego pragnęła najbardziej. A tym, co chciała zdobyć, była mała, ale prężnie działająca agencja w jej rodzinnym mieście – Bostonie.

– Wiem, drogi Jamesie, że wolałbyś zostać w Nowym Jorku – oznajmiła Jamiemu, uprzedzając jego protesty – ale przecież twoja rodzina mieszka w Nowej Anglii, więc z pewnością rozumiesz, że Boston jest jedynym miastem, w którym czuję się naprawdę dobrze i w

którym mogę mieszkać – stwierdziła, i biorąc krótki, przećwiczony na lekcjach aerobiku oddech, ciągnęła dalej: – Wiem, że gdy próbuję zdobyć to, czego pragnę, zachowuję się jak zepsuta dziwka i z góry za to przepraszam. Ale zrozum, Jamesie, po raz pierwszy w życiu naprawdę wiem, czego chcę. – Wielkimi niebieskimi oczami spojrzała przeciągle na nadal wstrząśniętą, ale wyraźnie zadowoloną twarz Jamiego. – Chcę, żebyś był moim partnerem. W interesach, w małżeństwie i w życiu.

Jamie nie protestował.

– Myślę, że ona naprawdę go kocha – stwierdziła Annie, rozmawiając przez telefon z Oliwią wczesną wiosną następnego roku.

– A czemuż by nie – odparła kwaśno Oliwia. – Tak jak tłumaczyłam Jamiemu: jest przystojny, mądry i bez względu na to, co twierdzi, bogatszy od niej. Zaczynam myśleć, że jest całkowicie pod jej wpływem.

– Dlaczego jej nie lubisz? – spytała Annie i natychmiast poprawiła się. – Dlaczego obie jej nie lubimy, skoro nawet jej nie poznałyśmy?

– Raz z nią rozmawiałam – powiedziała Oliwia. – Akurat dzwoniłam do Jamiego, a ponieważ ona była u niego, zasugerowałam, żeby poprosił ją do telefonu. Chciałam się z nią przywitać.

– I co?

– Była chłodna. Oczywiście, mówiła wszystko, co powinno się mówić przy takiej okazji – że nie może się doczekać spotkania ze mną i jak to James... Wiesz, że mówi do niego James? Na litość Boską...

– Ale to przecież nie przestępstwo, prawda? – rzuciła łagodnie Annie.

– Oczywiście, że nie, ale to brzmiało, jakby mówiła o kimś obcym, a nie o naszym Jamiem. Mniejsza z tym, w każdym razie mówiła, jak to James opowiadał jej o nas i że musimy być wspianymi przyjaciółkami...

– Czy wyczułaś, że nie mówi tego szczerze?

– Łgała jak z nut!

– Mimo to – zaczęła ostrożnie Annie – chyba powinnyśmy wstrzymać się z ostatecznym osądem, dopóki nie spotkamy się z Carrie osobiście, być może zyska przy bliższym poznaniu.

– Wątpię – stwierdziła Oliwia.

Annie uśmiechnęła się do słuchawki.

– Ale ty i tak jej nie lubisz, prawda?

– Była zimna, Annie. Zbyt zimna. Jamie Arias nie jest zimnym człowiekiem.

– No tak – zgodziła się Annie. – Z pewnością nie jest.

Oliwia i Annie poleciały razem z Londynu do Bostonu w pierwszych dniach czerwca, na tydzień przed ich ślubem. Jamie odebrał je z lotniska Logan. Wyglądał na zdrowego, zrelaksowanego i niezaprzeczalnie szczęśliwego.

– Muszę przyznać – oznajmiła Oliwia natychmiast po wyjściu z samolotu – że nigdy nie widziałam cię w lepszej formie.

– Ty też wyglądasz świetnie – powiedział Jamie, przytulając ją i obejmując także Annie, do której odezwał się: – A ty wyglądasz po prostu cudownie. Najwyraźniej macierzyństwo ci służy.

– Tak myślisz? – odparła, krzywiąc się, Annie. – A mnie się wydaje, że robię się gruba i zmęczona.

– Nawet jeśli, to wcale tego po tobie nie widać – stwierdził, i biorąc ich walizki, poprowadził je w kierunku wyjścia.

Oliwia rozejrzała się dokoła.

– No to gdzie ona jest?

– Carrie nie mogła przyjść – rzekł Jamie. – Bardzo przeprasza, ale do ślubu zostało już niewiele czasu i jest bardzo zajęta.

– No pewnie – przytaknęła Annie. – Wcale nie oczekiwałam, że przyjdzie.

– Kiedy ją poznamy? – dopytywała się Oliwia.

– Dziś wieczorem – odpowiedział Jamie. – Oczywiście, o ile nie jesteście zbyt zmęczone podróżą.

– Nie jesteśmy – stwierdziła zdecydowanie Oliwia. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– Nie przepuściłabym takiej okazji – dodała Annie.

– Gdzie zjemy kolację? – spytała Oliwia.

– Obawiam się, że spotkamy się tylko na drinku w restauracji hotelu Ritz-Carlton – odrzekł Jamie przeprasającym tonem. – Musimy iść dzisiaj z Carrie na kolację z potencjalnym klientem.

– A czy znajdziecie czas na drinka? – zapytała Oliwia, nie kryjąc ironii.

– Daj spokój, Liwi – wtrąciła się Annie. – Pamiętam, że przed swoim ślubem też nie mogłam z niczym zdążyć.

– Naprawdę przepraszam – powiedział Jamie. – W imieniu swoim i Carrie.

– Tak, na pewno jest jej bardzo przykro – rzuciła Oliwia.

– Nie może się doczekać, kiedy was pozna.

O ile Oliwia i Annie zdążyły uprzedzić się do Carrie jeszcze przed jej poznaniem, to kiedy spotkały się z nią twarzą w twarz, zapały do niej wyraźną niechęcią. Rzeczywiście była piękna, czarująca, gościnna i, jak we wcześniejszej rozmowie z Oliwią, mówiła to, co należało, ale Oliwia wyczuwała, że żywi niemal fizyczną odrazę do niej i Annie.

– Jest o nas zazdrosna – oznajmiła Oliwia, kiedy później siedziały z Annie w Durgin Park i czekały niecierpliwie na porcje pieczonego homara.

– Nie bądź głupia.

– Może i jestem głupia, ale daję głowę, że mam rację.

– Chyba nie sądzisz, że jest o nas zazdrosna jako o rywalki. – Annie uśmiechnęła się na myśl o takiej nedorzeczności. – Na pewno nie jest zazdrosna o mnie.

– A dlaczego nie? – zdziwiła się Oliwia. – Wyglądasz fantastycznie.

– Ale jestem mężatką i mam troje dzieci.

– Mimo to jesteś piękna, a Jamie cię uwielbia. – Urwała. – Naprawdę, Annie. Carrie jest wściekła, że przyjechałyśmy. Mówię ci, zazdrości nam tego, że jesteśmy z Jamiem tak blisko.

Annie umoczyła usta w szampanie.

– Być może – powiedziała z namysłem. – Na jej miejscu też bym taka była.

– Wątpię.

– Nie, mówię serio – upierała się Annie. – Pamiętam, że zanim wyszłam za Edwarda, miał kilka prawdziwych przyjaciółek. Spotykał się z nimi na lunchu, czasami na kolacji, ale kiedy się zaręczyliśmy, te znajomości rozluźniły się, a po naszym ślubie kompletnie ustały.

– Dlaczego? Z twojego powodu?

Annie potrząsnęła głową.

– Nie. Nigdy tego nie komentowałam. Ale myślę, że przeszkadzałoby mi, gdyby Edward nie zerwał tych przyjaźni.

– Choć to były tylko koleżanki? – spytała ze zdumieniem Oliwia.

– Obawiam się, że tak – przyznała Annie ze smutkiem. – Wiem, że w dzisiejszych czasach takie przyjaźnie nie są niczym niezwykłym i myślę, że nie powinno mnie to martwić, ale mimo to tak właśnie uważałam. – Przerwała. – Więc jeśli Carrie jest zazdrosna, potrafię ją zrozumieć, szczególnie jeśli chodzi o ciebie.

– Ponieważ jestem niezamężna?

– Tak, a poza tym jesteś piękna i mądra i całkowicie inna niż ona. Jest poza tym przeszłość, którą dzieliłaś z Jamiem, a której Carrie nie może wykreślić z jego życia.

– Chyba masz rację – przyznała Oliwia.

– Więc może powinniśmy zostawić ją w spokoju?

– To znaczy dostosować się do niej, tak?

– Może.

– Pójście Carrie na rękę – stwierdziła Oliwia – oznaczałoby, że powinniśmy wyjechać.

Chcesz wracać do domu, Annie?

– Nie.

– Ja też nie chcę. – Oliwia zobaczyła kelnera zbliżającego się do nich z kolacją i podniosła kieliszek z chardonnay. – Wypijmy za naszego kochanego Jamiego – powiedziała ciepło. – Niech Carrie uczyni go tak szczęśliwym, jak na to zasługuje.

Początki małżeństwa były wcale udane, więcej – wspinała, zważywszy, że kochali się, a i w łóżku było im ze sobą dobrze, a nawet fantastycznie, kiedy Carrie pozwalała sobie pójść na całość. Oboje zaangażowali się całym sercem w urządzenie nowego domu, eleganckiej rezydencji na Beacon Hill, którą Carrie znalazła, gdy Jamie był jeszcze w Nowym Jorku. Poza tym rzucili się w wir pracy zawodowej i rozkręcanie nowego interesu: firmy Beaumont-Arias Advertising przy Newbury Street. A co najważniejsze, wtedy jeszcze szanowali się wzajemnie. Kiedy stracili szacunek dla siebie, szybko wkroczyli na drogę prowadzącą do piekła, jaką miało stać się ich małżeństwo.

Problem leżał w tym, że o ile Jamie jeszcze przed ślubem poznał największą wadę Carrie, jaką była chęć sprawowania kontroli nad wszystkim – sobą, interesami, otaczającymi ją ludźmi, a zwłaszcza nad obiecującym mężem, i uznał, że kocha ją wystarczająco, aby przejść nad tym do porządku dziennego, o tyle Carrie, która z równą łatwością zaakceptowała wady Jamiego,

postawiła sobie za punkt honoru pozbycie się ich. Uważała, że szybko i skutecznie poradzi sobie z wadami męża. Ale łagodność Jamiego, która miała uczynić go posłusznym partnerem, była o wiele głębiej zakorzeniona niż Carrie początkowo przypuszczała. Jamie był rzeczywiście człowiekiem o gołębim sercu, ale z pewnością nie był potulny. Był skromny, lecz doceniał własne osiągnięcia i znał swoją wartość. Nie można by posadzić go o egocentryzm, ale lubił siebie i gdy zobaczył, że Carrie chce go zmieniać, ta sama siła woli, która pozwoliła mu wyrwać się z objęć Ariasów, teraz objawiła się w postaci łagodnego, ale stanowczego oporu.

A Carrie wymagała, aby wszystko szło po jej myśli.

– Jamesie, kochanie, nie możesz włożyć tego krawata – oznajmiła mu pewnego wieczora, w drugim roku ich małżeństwa, gdy szykowali się do wyjścia na obiad wydawany przez jej rodzinę.

– A co ci się w nim nie podoba? – rzucił, przeglądając się w lustrze wiszącym nad kominkiem w sypialni. Krawat był bardzo elegancki: z granatowego włoskiego jedwabiu, ozdobiony wściekle różowymi kropkami. – Kupiłem go dziś po południu.

– Czyżby? – Carrie wpatrywała się w odbicie swojej twarzy w lustrze, kończąc makijaż ostatnimi muśnięciami sypkiego pudru. Wiedziała, że ma lekkiego bzika na punkcie własnej urody. Uroda, którą otrzymała w darze od natury, była w równym stopniu błogosławieństwem, co przekleństwem. Bez cienia złośliwości stwierdzała, że zwykła kobieta ma mniejsze wymagania co do własnego wyglądu i nikt zresztą tego od niej nie oczekuje. Kobieta piękna musiała stale korygować wszelkie niedociągnięcia, bo każdy od razu je zauważał. Dlatego Carrie, mimo natłoku obowiązków i oczywistego pracoholizmu, zawsze znajdowała czas na zajęcia związane z pielęgnowaniem urody i zmuszała innych do tego samego. Nadal pamiętała dzień, w którym Jamie ujrzał ją po raz pierwszy i zakochał się w niej, i nie miała złudzeń, że ani on, ani żaden inny mężczyzna, który się w niej kochał (a było ich niemało), nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby wyglądała pospolicie. Naturalnie, teraz Jamie należał już do niej i wiedziała, że nie przejąłby się, pewnie nawet by nie zauważył, gdyby jej włosy straciły trochę blasku lub, nie daj Boże, na twarzy pojawiła się jakaś zmarszczka. Jednak wymagania, jakie stawiała sobie Carrie, jeśli chodzi o własny wygląd, były równie wysokie i rygorystyczne, jak te dotyczące innych dziedzin jej życia.

– Gdzie go kupiłeś? – wróciła do sprawy krawata, skraplając odrobiną Chanel N°5 nadgarstki i miejsce za uszami. Również przy wyborze perfum Carrie kierowała się ścisłymi

regułami. Nie miała nic przeciwko bardziej nowoczesnym zapachom, jak Chanel N°19, czy jakieś perfumy Givenchy'ego, a ostatecznie, w odpowiednim towarzystwie, nawet perfumy Giorgio, ale na spotkanie z rodzicami czy innymi bostończykami z krwi i kości odpowiednie wydawały się tylko klasyczne zapachy, jak Hubigant czy właśnie Chanel N°5.

– W sklepiku na rogu – odparł Jamie, udając, że nie wie, o co jej chodzi.

– W którym? – naciskała Carrie, wstając sprzed lustra. – Jeśli mi powiesz, będę mogła tam pójść i wymienić go.

– A niby dlaczego?

– Bo jest okropny – odparła, uśmiechając się słodko. – Wiesz, że czasami twój gust pozostawia wiele do życzenia.

Jamie spojrział jeszcze raz w lustro.

– Mnie się podoba.

Carrie fuknęła ze złością.

– No cóż, skoro tak ci się podoba...

Wiedział, że specjalnie zawiesiła głos, licząc na to, że się złamie, że przyzna jej rację i, aby zrobić jej przyjemność, zrezygnuje z włożenia krawata. Zdawał sobie również sprawę, że jeszcze pół roku temu właśnie tak by się zachował, ale teraz chodziło o zasady i chociaż tak naprawdę było mu dokładnie wszystko jedno, co ma na sobie, nie zareagował i nie zdjął krawata.

Carrie wymagała, żeby wszystko szło po jej myśli: w agencji Beaumont-Arias, w domu i podczas wspólnych podróży. Jamie, starając się bagatelizować tego typu dążenia, często jej tłumaczył, że małżeństwo nie oznacza rezygnacji z własnych upodobań. Chciał, żeby zrozumiała, że różnice gustów czy charakterów dodatkowo wzbogacają ich związek, że odmienne podejście do wielu spraw jest zupełnie naturalne, a nawet zdrowe – dzięki temu ich małżeństwo nigdy nie stanie się nudne, a oni zachowają zdrowy rozsądek. Ale w miarę upływu czasu, Carrie coraz intensywniej parła do przejęcia całkowitej dominacji w ich związku – chciała decydować o wszystkim, co Jamie robił, nosił czy kupował, panować niepodzielnie w domu i poza nim, a gdy ten sprzeciwiał się choćby jednym słowem, Carrie dawała wyraz swemu niezadowoleniu tupiąc nogą, i zaczynało się piekło. Oczywiście, nie przy ludziach. Publiczny wizerunek Carrie Beaumont-Arias przedstawiał kobietę pogodną i zadowoloną z życia, która miała szczęście osiągnąć sukces zawodowy i zdobyć najlepszego na świecie męża i partnera. Dla przyjaciół, znajomych i otoczenia stanowili idylliczną parę, stworzoną w rajcu i tamże pozostającą. Ale gdy

byli sami, wizerunek ten tracił urok. Carrie była tyranką, obsesyjnie dążącą do perfekcji, nawet nie manipulanką – była obłąkana na punkcie władzy. A gdy po roku małżeństwa zobaczyła wyraźnie, że Jamie stale wymyka się spod jej kontroli, zaczęła robić z nim to, co z innymi ludźmi, którzy wchodzili jej w drogę, a których nie mogła sobie szybko i skutecznie podporządkować – zaczęła go niszczyć.

– Oczywiście wiesz, że zrobiłeś dziś z siebie wariata? – oznajmiła Jamiemu pewnego wiosennego wieczoru osiemdziesiątego szóstego roku.

Właśnie usiedli z kieliszkami wypełnionymi wytrawnym martini w elegancko umeblowanym, urządzonej w kremowej tonacji salonie w ich bostońskim domu. Jamie zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, rozpiął górny guzik koszuli i zastanawiał się czy nie zdjąć także butów.

– Dlaczego? – spytał uprzejmie.

– Naturalnie, chodzi mi o prezentację.

– To znaczy, w którym momencie?

– Przez cały czas, poczynając od wstępnych uprzejmości – powiedziała Carrie.

– Ach. – Jamie pociągnął łyk martini. – Więc wprowadzeniu nie masz nic do zarzucenia? Carrie odstawiła kieliszek na mały stolik koło fotela.

– Ty po prostu niczego nie chcesz się nauczyć, prawda, Jamesie? Naprawdę nic nie chcesz wiedzieć.

– Nie bardzo rozumiem, Carrie.

Jamie wiedział tylko, że jest zmęczony. Zeszłej nocy nie spał zbyt dobrze, no a potem jeszcze ta rozmowa z Ralstonem w sprawie kampanii reklamowej nowego jasnego piwa. Od początku wszystko szło niedobrze. Fred Ralston zaczął spotkanie od stwierdzenia, że kampania promocyjna firmy Ralston Beer nigdy mu się nie podobała i jeśli ciągle jeszcze odnotowują wzrost sprzedaży, to tylko dzięki walorom samego piwa i ma gdzieś całą robotę agencji Beaumont-Arias. Carrie i Jamie pokornie przyjęli całą wściekłość Ralstona i, jak stwierdził Jamie, zrobili dobrą robotę, obłaskawiając wielkiego Freda, tak żeby Maggie Carmichael i Dawid Baum, ich czołowy zespół copywriterów, mogli w miarę spokojnie przystąpić do projektowania nowej kampanii. Chwilowo Ralston był dla nich stracony, ale Jamie był dobrej myśli. Przede wszystkim jednak nie był w nastroju do wysłuchiwanie jadowitych uwag Carrie.

– Jestem bardzo zmęczony – powiedział.

– Sądziś, że ja nie?

– Na pewno jesteś także zmęczona.

Carrie wróciła do tematu prezentacji u Ralstona.

– Mówiąc, że zrobiłeś dziś z siebie wariata, miałam na myśli idiotyczny sposób, w jaki chciałeś zarekomendować Bauma i Carmichael Fredowi Ralstonowi.

– A co chciałaś, żebyś zrobił? – Jamie pociągnął głębszy łyk.

– Naturalnie – stwierdziła Carrie – powinieneś rzucić mu ich na pożarcie. Na litość boską, James! Przecież on wyraźnie żądał ich głów. – Powiedział, że nie ma do nich zaufania.

– Raczej do naszych kampanii – poprawił ją Jamie – a nie do Maggie i Dawida. Tak czy inaczej, dobrze wiesz, że awanturował się tylko dlatego, że po prostu lubi wyprowadzać ludzi z równowagi.

– Ralston chciał – ciągnęła sucho Carrie, ignorując Jamiego – żebyśmy sami zabrali się za tę kampanię. Przecież on doskonale wie, że to my jesteśmy nadal najlepszym zespołem w Beaumont-Arias.

– Nie sądzę, żeby chodziło mu właśnie o to – zaproponował Jamie, nie przerywając jedzenia. – A biorąc pod uwagę wspaniałą robotę, jaką wykonali dzisiaj Maggie i Dawid...

– Baum i Carmichael zachowali się dzisiaj poprawnie – upierała się Carrie – i tylko tyle. Nie wiem jak ty, zważywszy twoje dziwne podejście do tej sprawy, ale ja mogłabym przedstawić Fredowi Ralstonowi te same pomysły i uznałby, że są genialne, a nie ledwie przeciętne.

– Wiesz, Carrie, że nie mógłbym tego zrobić – rzekł Jamie. – Takie postępowanie jest niemoralne, bezlitosne i raczej krótkowzroczne.

– Czy oskarżasz mnie o brak moralności, Jamesie? – W oczach Carrie pojawił się nagle chłodny błysk. – Dlatego, że potrafię lepiej odgadnąć potrzeby klienta i widzę, że jakiś zespół jest do niczego?

– Carmichael i Baum nie są do niczego, Carrie. Ty po prostu stwierdziłaś, choć nie bardzo wiem dlaczego, że już nie lubisz Maggie.

– Jesteś ostatnią osobą, która mogłaby mi to zarzucić. Wiesz równie dobrze jak ja, że to właśnie ty dążysz do tego, aby i w życiu, i w interesach otaczać się wyłącznie ludźmi, których lubisz.

– Którym ufam – sprostował delikatnie Jamie. – Niekoniecznie muszę ich lubić. – Popatrzyli sobie przez moment w oczy.

– Co masz na myśli? Chcesz powiedzieć, że mnie nie lubisz, tak?

– Niespecjalnie. A zwłaszcza w chwilach takich jak dzisiaj.

– Nie wiem, czy mnie w ogóle obchodzi, czy mnie lubisz, czy nie – odparła cicho Carrie.

– O wiele bardziej martwi mnie to, że już cię nie szanuję. – Przerwała. – A co gorsza, zauważyłam, że ten problem nie dotyczy tylko mnie.

– Ach, Carrie – zachnął się Jamie.

– Co to miało znaczyć?

– A co ty chcesz zrobić? Wszczęć kolejną kłótnię?

– Kłótnie nie mają sensu, jeśli nie ma się nadziei na radość związaną z pojednaniem. A dzisiaj nie mam na to ochoty.

– Więc tu chodzi o zwykłą złośliwość – stwierdził ze smutkiem Jamie.

– Jeśli tak to odbierasz... Ja wolę nazwać to szczerością. Kilka gorzkich prawd w zaciszu domowym. – Przerwała. – Przepraszam, jeśli cię ranie.

– W zasadzie nie – odpowiedział cicho Jamie. – Bo, prawdę mówiąc, nie wierzę, że to jest szczerość.

– A szkoda – stwierdziła Carrie. – Przecież na tym właśnie polega twój problem, że nie przyjmujesz do wiadomości tego, co myślą o tobie inni.

Przez dłuższy czas Jamie próbował obrócić wszystko w żart. Był człowiekiem skromnym, ale znał swoją wartość, w związku z czym próbował pokazać Carrie, że uważa jej oskarżenia za śmieszne, a potem, gdy stawała się coraz bardziej agresywna, chciał, żeby wiedziała, że jej słowa ranią go i podsycają gniew. Ale Carrie była mistrzynią złośliwości, uszczypliwości i sarkazmu. Gdy chciała, potrafiła działać subtelnie, niszcząc przeciwnika wyrafinowanymi, lecz trafiającymi w sedno, złośliwymi uwagami. Umiała również, niczym wściekła furia, znaleźć odpowiedni nerw i drażnić go, dopóki ofiara – nowa sekretarka, księgowy czy copywriter, jak Maggie Carmichael – nie zwijała się z bólu. W przypadku Jamiego jej największym wyzwaniem było odszukanie takiego nerwu. Gdy chciała mu dokuczyć, krytykowała go za wszystko, drwiła z jego sprawności w łóżku, wykpiwała jego decyzje, sposób ubierania się, jego delikatność i kreatywność. Lecz żadna z zatrutych strzał nie trafiała celu. Jamie nadal odnosił sukcesy w pracy, był lubiany i, co

drażniło Carrie najbardziej, był po prostu świetny we wszystkim, co lubił robić. Jej mąż naprawdę lubił to, co robił, i lubił siebie, nie miał żadnych mrocznych tajemnic czy ukrytych wątpliwości. Jego pogodę ducha mąciły tylko dwie zadawnione sprawy: poczucie, że w jakiś sposób sprawił zawód swojemu zmarłemu ojcu, ponieważ zrezygnował z pracy w rodzinnej firmie na rzecz reklamy, i ponieważ, mimo że od dawna podchodził do spraw wiary z beztrząsą, nie ożenił się z katoliczką.

Największą bronią Carrie była miłość. Bo Jamie nadal ją kochał. Gdy Carrie zaczęła go niszczyć, uważał, że mógłby przebić się przez twardą skorupę, którą się otoczyła, i dotrzeć do jej prawdziwego, łagodnego wnętrza. Był pewien, że gdyby tylko udało mu się przedrzeć przez stalową maskę, odkryłby prawdziwą Carrie – łagodniejszą, lepszą. Ale potem zorientował się, że próbuje grać kartami Carrie, że chce ją zmieniać i stwierdził, że takie działanie nie ma sensu. W chwilach szczerości Jamie tłumaczył sobie, że jeśli kocha Carrie, musi kochać także jej wady, nawet jeśli było to takie trudne.

A było coraz gorzej. Późną wiosną osiemdziesiątego siódmego roku, wkrótce po tym, jak Jamie wrócił z Genewy, gdzie wspólnie z Oliwią pomagali Annie wyjść z koszmaru uzależnienia, Carrie zaszła w ciążę i nalegała na aborcję. Po raz pierwszy od dawna odsłoniła wrażliwszą część swej duszy i błagała Jamiego, aby spróbował ją zrozumieć. Tłumaczyła mu, że jest jeszcze za wcześnie na dziecko, że teraz najważniejsze jest dla niej budowanie pozycji zawodowej. I mimo zadziwiająco głęboko zakorzonego katolickiego poczucia winy, Jamie prawie ją rozumiał. Podejrzewał, co prawda, że jej decyzja w dużej mierze wynika ze strachu, że będzie gruba, niedoskonała i straci kontrolę nad własnym ciałem, ale to też mógł zrozumieć. Mimo wszystko chodziło o jej ciało i miała prawo sama podjąć decyzję, a poza tym oboje byli młodzi i mieli jeszcze czas na dzieci. Pół roku później Carrie ponownie zaszła w ciążę i znowu ją usunęła. Ale tym razem całą winą obarczyła Jamiego.

– Jesteś nieodpowiedzialnym, samolubnym, gruboskórnym głupkiem – wykrzyczała mu w szpitalu, po czym opadła na poduszkę wysokiego szpitalnego łóżka i zaczęła gorzko płakać. Jamie szczerze jej żałował, ponieważ mimo tego, co mówiła, mimo wszelkich argumentów, które przemawiały za podjęciem takiej decyzji, wierzył, że Carrie oplakuje stratę dziecka.

Ale potem, niecałe dwa miesiące później, Carrie, nie informując go o niczym, poddała się sterylizacji. Jamie dowiedział się o wszystkim, dopiero kiedy Carrie zadzwoniła do niego z kliniki, po przebudzeniu się z narkozy.

Zanim poszedł do szpitala odczekał dwie godziny, próbując uspokoić się i zrozumieć ją.

– Jak mogłaś to zrobić? – spytał cicho, prawie przyjaźnie, chociaż w tym momencie zdał sobie sprawę, że szczerze jej nienawidzi. – Wy tłumacz mi, proszę, jeśli potrafisz.

Carrie była blada, ale spokojna.

– Oczywiście, że potrafię – odrzekła.

Czekał cierpliwie.

– W takim razie słucham.

– Czy jesteś pewien, że zdołasz znieść prawdę?

– Tak – odparł.

– Dobrze – zaczęła, patrząc mu prosto w oczy. – Prawda jest taka, że nie mogłabym urodzić twojego dziecka, James. – Przerwała. – Gdybyś mnie tak nie rozczarował, jako mąż i partner, być może zwalczyłabym strach i wytrzymała trudy porodu.

Jamie bez słowa wstał z krzesła i wyszedł z pokoju. Wsiadł do windy, zjechał na dół, wyszedł na ulicę, złapał taksówkę i pojechał do domu na Beacon Hill. Tam spakował walizkę i pojechał do hotelu Méridien, mieszczącego się w dawnym budynku Banku Federalnego przy Franklin Street.

Mieszkał tam dwa dni. Wiedząc, że Carrie jeszcze kilka dni nie będzie w pełni sprawna, chodził do biura jak zwykle. Po raz pierwszy w życiu czuł się rozpaczliwie samotny. Strasznie chciał porozmawiać z Oliwią, ale zawsze, gdy sięgał po słuchawkę telefonu, coś – podejrzewał, że duma – powstrzymywało go.

Carrie zadzwoniła nazajutrz wczesnym rankiem i poprosiła, żeby wrócił do domu.

– To nie jest dobry pomysł – stwierdził Jamie.

– Proszę. – Jej głos brzmiał obco i dziwnie łagodnie. – Wróć...

– Nie mogę.

– Potrzebuję cię.

– Do czego?

– Potrzebuję swojego męża – odpowiedziała bez ogródek,

Jamie obrzucił wzrokiem pusty pokój hotelowy.

- Chciałem mieć dzieci – powiedział.
- Wiem – odrzekła, a w jej głosie słychać było prawdziwy żal. – Ja też.
- To dlaczego? – Jamie potrząsnął bezsilnie głową. – Na litość boską, Carrie, dlaczego to zrobiłaś? Żeby mi dokuczyć? Ukarąć? Dlaczego? Muszę to wiedzieć.
- Nie, nie musisz – rzekła Carrie.
- Muszę – powtórzył. – Jeśli ma nas coś jeszcze łączyć, muszę zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś.
- Oczywiście – powiedziała. – Zawsze to – samo. Wyrozumiały, pobłażliwy Jamie.
- Nigdy mnie tak nie nazywałaś – powiedział szorstko.
- Nie.
- To dlaczego zrobiłaś to teraz? I dlaczego w twoich ustach to imię zabrzmiało jak wyzwisko?
- Bo poślubiłam mężczyznę o nazwisku James Arias, a nie chłopca Jamiego – odparła Carrie – przyjaciela Oliwii i Annie.

Tego samego wieczoru przyszła do hotelu i poprosiła Jamiego, aby zjadł z nią kolację. Poszli do Juliana, francuskiej restauracji mieszczącej się w tym samym hotelu, w dużej sali, która za czasów Banku Federalnego była salą konferencyjną. Siedzieli w wysokich krzesłach i ku niezadowoleniu kelnerów nie wykazywali większego zainteresowania przyniesionymi potrawami.

Jamie spytał Carrie, jak się czuje. Carrie odpowiedziała, że dobrze, a Jamie musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie była tak piękna, delikatna i spokojna. Przez cały wieczór była cicha i jakby nieobecna, ale Jamie wiedział, że tym razem nie jest to zaplanowana i wyreżyserowana oschłość, lecz uczucie osamotnienia, spowodowane depresją i być może, strachem. Nigdy wcześniej nie widział Carrie przestraszonej.

Pod koniec kolacji Carrie poprosiła o lampkę winiaku.

- Zrobię teraz coś – zaczęła, gdy kelner przyniósł zamówiony koniak – czego jeszcze nigdy nie robiłam. – Przerwała. – Będę cię błagać.
- Nie – zaprotestował Jamie.
- Nie mam wyboru – odrzekła Carrie. – Chcę cię błagać, żebyś wrócił do mnie.
- Dlaczego? Po co?

– Ponieważ cię potrzebuję. Jestem samotna i czuję, że cię tracę. Pewnie zasłużyłam na to. Wiem, jaka jestem podła, pewnie nadal będę, ale...

Jamie prawie się uśmiechnął, doceniając jej szczerość.

– ... ale potrzebuję cię, James. Chociaż sama jestem tym zdumiona, muszę wyznać, że naprawdę cię potrzebuję.

Jamie znowu pomyślał o swoim ojcu. Carlos nigdy nie miał kryzysu wiary, w której wychował go jego ojciec, i z trudem przyszłoby mu pogodzić się z aborcją, nie mówiąc już o sterylizacji. A mimo to Jamie był pewien, że Carlos nawet w takiej sytuacji starałby się dotrzymać przysięgi małżeńskiej, a myśl o rozwodzie w ogóle nie przyszłaby mu do głowy.

Ale Jamie i Peter byli inni. To Michael, ich niezwykle podobny do swojego ojca Juana Luisa Ariasa kuzyn, był tym, który podołał wyzwaniu rzuconemu przez przodków, został głową rodziny i szefem Arias Shipping, i który, mimo rozczarowań związanych z brakiem dzieci, pozostał wiernym, oddanym swojej wierze katolikiem. Jeśli Jamie pozostanie z Carrie, nie postąpi tak ze względu na swoją wiarę. Raczej zrobi to z poczucia winy i dlatego, że nie chce kolejny raz zawieść swojego ojca.

Spojrzał w niebieskie oczy żony, które tyle razy w przeszłości spoglądały na niego z takim chłodem i pogardą, a w których teraz pojawił się nagle, jakby wydarty z najgłębszych zakątków duszy, strach. Westchnął głęboko, bo wiedział już, że wróci do Carrie. Mimo tego, co Carrie mu uczyniła, wróci do niej, bo w tej krótkiej chwili znowu ujrzał w niej dawną Carrie, którą nadal kochał.

Wróci do niej, mimo że wiedział, był pewien, że najdalej za kilka dni Carrie wróci do formy i znowu będzie oschła, złośliwa i trudna do zniesienia. Wróci, bo zobaczył, że Carrie, gdzieś tam głęboko ukrywa zwykły ludzki strach: boi się porzucenia, utraty urody, starości, a może nawet, choć Jamie raczej w to wątpił, boi się, że go straci.

I w tej chwili poczuł dla niej prawdziwą litość.

Rozdział 13

W marcu osiemdziesiątego ósmego roku, przed planowaną przeprowadzką z Genewy do Strasburga, Oliwia przyjechała z krótką wizytą do Bostonu. Jej niespokojna natura rzuciła ją tym razem do Alzacji i tego atrakcyjnego starego miasta, które ostatnio kipiało życiem wielonarodowościowego tłumu, przez co stanowiło idealne miejsce dla agencji tłumaczeń. Po przyjeździe do Bostonu od razu zauważyła, że Jamie się zmienił. Wyglądał na zmęczonego. Nie, to nie depresja, stwierdziła Oliwia, ale gdzieś zniknęła jego radość i zadowolenie z życia, które zawsze go charakteryzowały.

Nietrudno było dopatrzeć się przyczyny tych zmian. Carrie coraz częściej docinała Jamiemu publicznie, aczkolwiek przy ludziach jej złośliwości kryła udawana pobłażliwość i łagodne strofowanie. Jednak w obecności Oliwii, kobiety, której Carrie nigdy nie lubiła, zresztą z wzajemnością, kobiety, dla której w razie potrzeby Jamie rzuciłby wszystko i ruszył na pomoc, Carrie nie siliła się na maskowanie swojego zachowania. Uznała, że im ona gorzej będzie odnosić się do Jamiego w obecności jego starej przyjaciółki, tym gorzej ta będzie się czuła w ich towarzystwie i tym szybciej wyniesie się z Bostonu.

– Dlaczego to znosisz? – spytała Oliwia, gdy pewnego dnia spotkali się na lunchu w barze sushi przy Berkeley Street. – Przecież nie jesteś ślepy, sam mówiłeś, że nie znosisz, gdy Carrie się tak zachowuje. Dlaczego, do diabła, nie rzucisz jej?

Jamie przełknął łyk sake i uśmiechnął się z przymusem.

– Dla ciebie to takie proste, prawda? Zawsze taka byłaś.

– Bo to jest proste – odparła. – Tu nie chodzi o jakieś głęboko zakorzenione katolickie poczucie winy, prawda?

– Nie – zgodził się i ponownie uśmiechnął. – Przynajmniej nie tylko o to.

– Carrie cię nie kocha, Jamie – oznajmiła Oliwia bez ogródek. – Gdyby było inaczej, nie traktowałaby cię w ten sposób. Ona wykorzystuje twój talent, twoje dobre serce, twój majątek. Nie ma co ukrywać, że nadal jesteś wyjątkowo atrakcyjnym i potrzebnym jej mężem.

– Carrie jest równie utalentowana jak ja, a może nawet bardziej – stwierdził Jamie ze spokojem. – I wcale nie potrzebuje moich pieniędzy.

– Bo ma wystarczająco dużo własnych? – skończyła zjadliwie Oliwia. – Każdy wie, że co dwie fortuny, to nie jedna. – Od sześciu dni słuchała złośliwości Carrie i widziała próby upokorzenia Jamiego. Rozmowę zaczęła dyplomatycznie i ostrożnie, ale teraz widziała, że aby dotrzeć do Jamiego, musi mówić bez ogródek.

– Ona cię rani, Jamie. Niszczy cię, czy ty tego nie widzisz? Na pewno to widzisz, nie jesteś niemądry, a przynajmniej do tej pory taki nie byłeś.

– I nadal nie jestem – odparł Jamie.

– To dlaczego jej nie zostawisz? – Oliwia popatrzyła mu prosto w oczy i ujrzała w nich tak wielkie cierpienie, że mało się nie rozplakała z litości. Nagle zapragnęła chwycić Carrie za smukłą szyję i... – Czy nie rozumiesz, że bez niej będzie ci o wiele lepiej? – spytała łagodniejszym tonem. – Zaslługujesz na coś lepszego.

– Być może – zgodził się Jamie.

Na stoliku przed nimi stały talerze pełne sushi i gorąca sake. Posiłek wyglądał bardzo apetycznie, ale żadne z nich go nie tknęło.

– Nie jestem jeszcze gotowy, żeby porzucić Carrie – powiedział Jamie chwilę później. – Wiem, że tego nie rozumiesz. Na moim miejscu pewnie byś odeszła...

– Gdybym była związana z człowiekiem, który otwiera usta tylko po to, żeby mnie skrytykować, nie wahałabym się ani chwili.

– Nie zawsze tak jest.

– To znaczy, że Carrie czasami zachowuje się prawie po ludzku? – Oliwia nie kryła ironii.

– Jestem pod wrażeniem. Zgłośmy ją więc do nagrody Człowieka Roku!

– Przestań, Oliwio.

Zdumiała ją stanowczość jego głosu.

– Carrie naprawdę nie zawsze zachowuje się tak, jak w ostatnich dniach. Chcesz, to wierz, nie chcesz, to nie wierz.

– Oczywiście, że ci wierzę.

– W takim razie, proszę – powiedział Jamie z uśmiechem – przestań mi przerywać za każdym razem, gdy próbuję ci wytłumaczyć, jak to wygląda z mojego punktu widzenia. – Zamilkł na chwilę. – Z mojego, nie z twojego.

– Dobrze. Masz rację – zgodziła się Oliwia.

– Pewnie tego nie zrozumiesz, ale ja przywiązuję dużą wagę do małżeństwa, i nie tylko dlatego, że wychowałem się w katolickiej rodzinie, ale dlatego, że moi rodzice tak uważali.

– Twoi rodzice byli dobrymi katolikami, a ich małżeństwo było udane.

– Oliwio, przestań – rzucił prosząco Jamie.

– Przepraszam.

– W zasadzie masz rację. Rzeczywiście, moi rodzice byli religijni, a ich małżeństwo nie było złe, jednak ojciec mówił mi, że też mieli problemy. Mogli rozstać się nie przeprowadzając oficjalnego rozwodu, ale żadne z nich nie brało tego w ogóle pod uwagę.

– Bo pewnie mimo wszystko kochali się – stwierdziła Oliwia po chwili.

– A my z Carrie już się nie Kochamy – dodał cicho Jamie. – Nie zaprzeczam temu. Tak jak powiedziałaś, nie jestem niemądry. Ale ciągle mi na niej zależy, nadal się o nią martwię i czasem myślę, chociaż pewnie uznasz, że to bzdura, iż ona mnie nadal potrzebuje.

Oliwia patrzyła na niego w milczeniu.

– Prawdę mówiąc – zaczęła ostrożnie – mogę uwierzyć, że Carrie nadal cię potrzebuje – urwała. – Ale z drugiej strony mam nadzieję, chociaż wiem, że to, co powiem, zrani cię, a wiesz, że nigdy nie chciałabym cię skrzywdzić...

– Wiem o tym.

– Tak więc, mam nadzieję, że przyjdzie taki czas, kiedy bez wyrzutów sumienia stwierdzisz, że to ty już jej nie potrzebujesz.

Wszystko zawaliło się jesienią. Do tej pory, mimo dzielących ich różnic, jako mąż i żona pozostawali sobie wierni: Jamie nigdy nawet nie pomyślał o zdradzie, a Carrie, no cóż... Do tej pory nie zdradzała Jamiego, ponieważ jawna niewierność popsułaby jej wizerunek w oczach opinii publicznej, a poza tym w tym świecie pełnym AIDS, chorób wenerycznych i Bóg raczy wiedzieć jakich jeszcze obrzydliwych przypadłości, Jamie był, mimo wszystko, w miarę bezpiecznym partnerem.

Ale potem Carrie znalazła sobie kogoś. Kogoś, kto był nawet lepszy niż James Arias – bogatszy, starszy, bardziej światowy, silniejszy, bardziej atrakcyjny i przede wszystkim tak jak ona bezwzględny. Ironia losu sprawiła, że to właśnie Jamie ich połączył. To Jamie przyprowadził tego mężczyznę do ich domu, wierząc, że może mu zaufać jak nikomu innemu, także jeśli chodzi o własną żonę. Tyle że Jamie nie wziął pod uwagę umiejętności Carrie, jej siły przekonywania i

uwodzenia, tej samej, która opętała go zaledwie kilka lat wcześniej. I teraz musiał ustąpić miejsca Peterowi Ariasowi – swojemu starszemu bratu – który po niedawnym rozstaniu z żoną Daisy z niejakim zakłopotaniem, ale równie wielką mocą co jego młodszy brat w osiemdziesiątym czwartym roku, zakochał się w Carrie.

Michael Arias przyjechał do Bostonu zobaczyć się z Jamiem. Miał czterdzieści pięć lat i był przystojnym, eleganckim mężczyzną. Z pewnością brakowało mu łagodności wuja, ale udowodnił, że jest równie mądrym, rozsądnym i dobrym szefem firmy i głową rodziny.

– Czy ona tu jest? – spytał Michael po przyjeździe do domu Jamiego w pewien niedzielny poranek pod koniec października.

– Niestety, tutaj jej nie ma.

Jamie zaprowadził kuzyna do biblioteki. Zawsze bardzo lubił to miejsce, a teraz, kiedy Carrie rzadko tu przychodziła, lubił bibliotekę jeszcze bardziej. Tutaj mógł prawie zapomnieć o żonie, ponieważ ten pokój nie był przesycony tym nieuchwytnym zapachem Carrie, którym przesiąknięty był cały dom.

– Gdzie ona jest? – spytał Michael, siadając w skórzanym fotelu.

Jamie westchnął.

Ponieważ Peter pracował z Michaelem w biurach Arias Shipping w Nowym Jorku, a Carrie, mimo rozkładu małżeństwa, nadal całym sercem poświęcała się agencji Beaumont-Arias, kochankowie nie mogli spotykać się w ciągu tygodnia, a rzadkie wspólne weekendy spędzali w Bostonie lub na Manhattanie.

– Na pewno nie ma jej w domu. Przypuszczam, że jest z moim bratem.

Ostatnio Jamie stanowczo za dużo myślał o tej sprawie. Oczyma wyobraźni widział swoją żonę i brata leżących nago w jedwabnej pościeli – tej, którą Carrie tak lubiła. Peter przysięgał Jamiemu, że nigdy nie kochali się z Carrie w domu przy Beacon Hill. „Na litość Boską, chyba nie myślisz, że mógłbym to zrobić”, stwierdził z oburzeniem, ale Jamie nie zareagował na ten zarzut. Traktował Petera dokładnie tak, jak ten na to zasługiwał. Był on dla niego zdrajcą, intruzem, którego najchętniej stłukłby na kwaśne jabłko. Jamie zawsze był łagodnym mężczyzną, teraz jednak nie pozostało w nim nic z dawnej łagodności.

– Rozmawiałem oczywiście z Peterem – oświadczył Michael. – Nie bardzo jednak potrafiłem powiedzieć mu, co o tym myślę – ciągnął.

Jamie złapał się na tym, że patrząc w twarz kuzyna, próbuje znaleźć w niej jakiś ślad poparcia.

– A co ty o tym myślisz?

Oczy Michaela o niemal takiej samej aksamitnej barwie jak oczy Jamiego, stały się prawie czarne.

– Jestem wściekły – odparł powoli. – Zszokowany. – Urwał. – Rozczarowany, jak nigdy dotąd.

Jamie poczuł się wyraźnie uspokojony.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co? – spytał ze zdziwieniem Michael. – Przecież nie zrobiłem nic, żeby temu zapobiec.

– A czy wiedziałeś, co się dzieje?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale być może powinienem był się domyślić.

Jamie nagle przeniósł się w myślach ku czasom dzieciństwa, beztroskim latom spędzonym we wspaniałej rezydencji Ariasów, położonej na klifowym wybrzeżu Newport. Przypomniał sobie pewien letni dzień, niedługo po śmierci ojca Michaela – Juana Luisa Ariasa. Miał wtedy jakieś cztery lata. Cała rodzina zebrała się w ogrodzie. Carlos siedział na białym trzcinowym krześle koło Barbary Arias, swojej żony, matki Jamiego i Petera. Jamie pamiętał jej śliczną, bladą twarz i ciemne włosy, wtedy jeszcze błyszczące, których blask miał wkrótce zgasić nowotwór: choroba, która w kilka lat później zabrała ją mężowi i dzieciom. Jamie przypomniał sobie, jak Peter, mający wówczas dziesięć lat, uczył go gry w piłkę. Wyraźnie pamiętał moment, kiedy wielka piłka uderzyła go prosto w brzuch, gdy się przewrócił i zaczął płakać. I pamiętał także Michaela, swego dorosłego kuzyna, który miał wówczas osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Pamiętał, jak Michael podniósł go wtedy, sprawdził, czy nic mu się nie stało i cierpliwie uspokajał. Słyszał głos Michaela upominającego Petera: „Pedro, na litość boską, uważaj, co robisz”. Kiedy byli mali, Carlos nazywał ich w domu z hiszpańska – Miguel, Pedro i Jaime – a oni, chociaż jak wszyscy młodzi ludzie nie lubili wyróżniać się poza domem, cieszyli się z poczucia wyjątkowości, nadanego im przez te „domowe” imiona.

– Jamie? – głos Michaela wyrwał go z zamyślenia. – Czy wszystko w porządku?

Jamie uśmiechnął się.

– Tak. Po prostu pograżyłem się we wspomnieniach.

– O Carrie?

– Nie. – Jamie potrząsnął głową. – O nas. O rodzinie. – Spojrzał na kuzyna. – Zawsze się mną opiekowałeś.

– Byłeś bardzo młody – stwierdził Michael, próbując zbagatelizować temat.

– Zawsze byłeś dla mnie jak brat – ciągnął Jamie, uśmiechając się na myśl o kolejnym wspomnieniu. – Wiesz, Oliwia powiedziała mi kiedyś, że gdy jesteśmy we trzech, przypominamy jej członków mafii.

Michael uniósł brew.

– Naprawdę?

– Oliwia zawsze miała bardzo żywą wyobraźnię.

– Ach, tak? Nie znam jej zbyt dobrze.

– Chyba nie – zgodził się Jamie, a po chwili dodał: – Ona jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Bliższą niż Annie?

– Czasami tak – powiedział Jamie. – Annie jest dla mnie jak młodsza siostra.

– A Oliwia? – zapytał Michael.

Jamie znowu uśmiechnął się.

– Oliwia to co innego.

Michael został na lunchu, przygotowanym osobiście przez Jamiego, gdyż kucharka miała wychodne. Nie było to jednak zbyt udane spotkanie. Dopóki wspominali dawne czasy, rozmowa toczyła się gładko, atmosfera była pogodna i ciepła, ale gdy rozmawiali o teraźniejszości, wyraźnie widać było różnice między kuzynami. Oprócz pochodzenia i wspólnej przeszłości, niewiele ich łączyło, zwłaszcza teraz, gdy najmniejsza wzmianka o Peterze była dla Jamiego niczym posypywanie ran solą. Po kawie Michael spytał Jamiego, czy nie poleciałby z nim do Newport, gdzie Michael wraz z żoną Louise spędzali weekend. Jamie odmówił, tłumacząc się, że ma dużo papierkowej roboty związanej z agencją. Nie była to do końca prawda i Jamie czuł, że Michael też o tym wie, choć nie dał niczego po sobie poznać.

– Spróbuję jeszcze raz porozmawiać z Peterem – obiecał Michael przy wyjściu. – Ale nie sądzę, żeby to na wiele się zdało – dodał, stojąc w drzwiach. – Czy gdyby Carrie zerwała z Peterem, przyjąłbyś ją z powrotem?

– Nie – odparł stanowczo Jamie. – Nigdy.

– W porządku. – Michael wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Jamiego. – Wiesz, mały kuzynie, że jestem z tobą?

Jamie skinął głową.

– Tak. I doceniam to. To mi bardzo pomaga.

– Wiesz także – ciągnął z lekkim wahaniem Michael – że to nie znaczy, iż odwrócę się od Petera. Może powinienem przyjąć bardziej stanowczą postawę, czy to ze względów religijnych, czy moralnych, ale nie potrafię. – Wpatrywał się z nadzieją w twarz Jamiego. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Rozumiem.

– Nie jest mi łatwo – powiedział Michael. – Codziennie spotykam Petera w biurze. Wiem, co ci zrobił, i co robi nadal. – Jego oczy pociemniały z gniewu. – Jestem na niego wściekły. Próbuję sobie wyobrazić, co w takiej sytuacji zrobiłby twój lub mój ojciec.

– Cieszę się, że nie doczekali tej chwili – stwierdził Jamie.

– To już coś – odparł Michael. – Chociaż w twojej sytuacji, to niewiele.

– Tak – zgodził się Jamie. – To niewiele.

Kiedy Carrie zrozumiała, że Jamie nie zamierza prosić ją o zerwanie z Peterem, a tym bardziej błagać, żeby wróciła, zaczęła z lubością obrzucać go błotem. Na każdym kroku wytykała Jamiemu, że jest gorszy od swojego brata, raniła go swoją niewiernością, czekała na dogodną chwilę, aby zniszczyć go raz na zawsze.

– Chcę rozwodu – oznajmiła pewnego dnia w listopadzie, tuż po tym, jak ostatni pracownik opuścił salę konferencyjną, w której właśnie zakończyło się kolejne zebranie. – I chcę go na moich warunkach – dodała.

– Nie sądzę, żeby w twojej sytuacji można było stawiać jakieś warunki – zauważył Jamie.

– Och, czyżby?

– A jak to sobie wyobrażasz? – spytał zmęczonym głosem Jamie. Poskładał już foldery i właśnie zbierał się do wyjścia.

– Zanim skończy się dzień – zaczęła powoli, wygładzając niewidoczne zmarszczki na nowej różowej spódnicy od Versace (dzięki dwudniowemu wysiłkowi i poceniu się w jej ulubionym ośrodku rekreacyjnym, który Peter żartobliwie nazywał „farmą grubasów” – co

zresztą było powodem ich pierwszej prawdziwej kłótni – czuła się piękna i szczupła) – wszyscy rozumieją, że z moralnego punktu widzenia, miałam prawo odejść do innego mężczyzny.

Jamie spojrzał na nią.

– Jakim sposobem doszłaś do takiego wniosku?

– Zwyczajnie – odrzekła. – Jak tylko wszyscy dowiedzą się, dlaczego porzuciłam męża, zrezygnowałam z tego małżeństwa...

– A właściwie dlaczego to zrobiłaś, Carrie? – Jamie ze zdziwieniem stwierdził, że jest spokojny jak znużona pielęgniarka uspokajająca zdenerwowanego pacjenta. Lada moment Carrie wytknie mu, że znowu zachowuje się protekcyjnie.

Może rzeczywiście potrafił zdobyć się na pobłażliwość.

– To wszystko przez ten twój obrzydliwy mały romansik – powiedziała Carrie.

– Mój romansik? – spytał ze zdumieniem, przerywając składanie papierów.

Uśmiechnęła się do niego.

– Patrząc na to z boku, może wcale i nie taki mały.

– A z kim miałbym mieć ten romans?

– Naturalnie z twoimi dwiema przyjaciółkami.

Jamie zamarł.

– Myślisz, że o niczym nie wiedziałam? – spytała Carrie, patrząc na niego szeroko otwartymi błękitnymi oczami.

Przez dłuższą chwilę Jamie przyglądał się jej w milczeniu, a potem nagle wybuchnął śmiechem. Opadł na krzesło, odchylił głowę i śmiał się z całego serca. W końcu uspokoił się, przysunął do stołu i spojrzał prosto w oczy Carrie.

– Musisz być szalona – stwierdził spokojnie.

– Czyżby? – Carrie wstała, przeszła na drugi koniec stołu i zaczęła zbierać swoje dokumenty. – Nie sądzę, Jamesie – powiedziała. – Myślę, że najwyższy czas, abyś zrozumiał, że mówię serio. I jeśli będziesz próbował zmieniać moje warunki, jeśli w najmniejszym stopniu sprzeciwisz się moim żądaniom, nie tylko unurzam cię w tym bagnie po uszy, ale obrzucę błotem także te twoje ukochane przyjaciółeczki.

Jamie bez słowa patrzył, jak Carrie obraca się na pięcie i wychodzi z sali, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Jej słowa dźwięczały mu w uszach. Nigdy nie słyszał nic równie absurdalnego i tak bardzo nieprawdziwego. Nic równie odrażającego, zwłaszcza jeśli chodzi o

Annie. Byłby w stanie wyobrazić sobie, że ktoś może być zazdrosny o tak wspaniałą i na dodatek niezamężną kobietę, jaką jest Oliwia, chociaż nigdy nic między nimi nie było, nawet wtedy, gdy będąc jeszcze w szkole uważał Oliwię za najbardziej atrakcyjną dziewczynę na świecie. Ale Annie – każda inna, tylko nie ona! Jamie doskonale wiedział, że oskarżenie rzucone przez Carrie nie ma nic wspólnego z zazdrością, że zrobiła to tylko po to, żeby zatruć mu duszę. I nagle poczuł, jak narasta w nim wściekłość – o wiele większa i bardziej bezwzględna niż gniew, którego doświadczył, gdy dowiedział się o zdradzie Carrie.

– Jak śmiała?! – wyszeptał, nie zauważając, że mówi do siebie. – Jak mogła?! – Zaciśnął pięści tak mocno, że poranił dłonie aż do krwi, mimo krótko obciętych paznokci. Nadal wzbierała w nim wściekłość, ogarniała go i zżerała do cna. Uznał jednak, że lepiej, aby nikt nie widział wściekłości skierowanej ku mężczyźnie i kobiecie, których w tej chwili szczerze, całym sercem, całą duszą nienawidził.

W końcu gniew minął. Nie wiedział, jak długo pozostawał na miejscu, jak długo walczył i opierał się furii, która go ogarnęła.

– Okay – powiedział spokojnie. – Weź się w garść.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Wściekłość powoli odchodziła, ustępując miejsca głębokiej pogardzie i ogromnemu smutkowi. Carrie chciała odebrać mu najlepszą, najczystsza rzecz, jaką posiadał – przyjaźń z Oliwią i Annie. Zniszczyć ją, splugawić, zatruć.

Nie pozwoli jej na to, nie może pozwolić. Nawet teraz, siedząc nadal przy długim stole w sali konferencyjnej, ciągle zaślepiony wściekłością, jednej rzeczy był pewien: bez względu na własne uczucia, żądę zemsty i chęć mordy, najważniejsze to uchronić przed podobnymi uczuciami Oliwię i Annie. Teraz, gdy się uspokoił, zastanawiał się, czy Carrie rzeczywiście dotrzyma swoich gróźb, wiedząc, że takie działanie mogłoby zaszkodzić także jej samej. Być może również Peter nie pozwoli jej posunąć się zbyt daleko. Niemniej jednak Jamie nie mógł mieć pewności, nie mógł zagwarantować, że Carrie, zaślepiona podłością, nie spróbuje wprowadzić swoich pogroźek w życie i nie zniszczy małżeństwa Annie i kariery zawodowej Oliwii.

A tego nie mógł ryzykować. Oliwia zapewne była wystarczająco silna, aby wytrzymać wszystko, co knuła Carrie, ale Annie ciągle jeszcze była bardzo wrażliwa na zranienie, ciągle wymagała opieki, a i Edward przeszedł tak wiele, że Jamie nie zamierzał narażać ich z takim trudem zdobytego szczęścia.

Dzięki Bogu – pomyślał w przypiływie lepszego nastroju – że nie mają dzieci, które Carrie mogłaby wykorzystać przeciwko niemu. W końcu zdołał się opanować na tyle, aby zebrać dokumenty i wyjść z sali konferencyjnej. W drzwiach głośno westchnął. Nawet gdyby musiał oddać Carrie większość tego, co posiadał, to przecież to tylko pieniądze. Jamie zaś zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że w życiu jest jeszcze wiele innych, znacznie ważniejszych rzeczy.

W ciągu następnych trzech miesięcy, gdy ich prawnicy zacięcie walczyli o uzyskanie jak najkorzystniejszych warunków rozwodu, Jamie zaledwie raz spotkał się z Peterem. Natknęli się na siebie przypadkiem w styczniu osiemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to złośliwy los sprawił, że tego samego dnia i o tej samej godzinie wybrali się do działu z kolejkami elektrycznymi sklepu F. A. O. Schwarz w Nowym Jorku.

Jamie kupował kolejkę, którą zamierzał podarować Williamowi Thomasowi, sześciolletniemu synowi Annie. Petera zauważył dopiero wtedy, gdy, po wręczeniu sprzedawczyni karty kredytowej American Express, czekał na zapakowanie prezentu. Jego brat stał przy półce z niemieckimi zabawkami elektrycznymi, ale nie patrzył na jaskrawo zieloną lokomotywę stojącą tuż przed nim, patrzył prosto na Jamiego i widać było wyraźnie, że zastanawia się, czy zdoła niepostrzeżenie zniknąć, zanim brat go zobaczy.

Jamie nieznacznie skinął głową i wtedy Peter ruszył w jego kierunku. Na jego twarzy malowało się napięcie, usta miał mocno zaciśnięte.

– Cześć, Jamie.

– Peter.

Nie widzieli się od czasu awantur, które wybuchały między nimi, krótko po tym, jak Carrie poinformowała Jamiego o romansie. Teraz w Jamiem nie było już gniewu i wściekłości, a jedynie poirytowanie wywołane przeciągającym się procesem rozwodowym i narastające znużenie, związane z codziennym oglądaniem w pracy wiarołomnej żony. Jamie nigdy nie przypuszczał, że Carrie i jej cięty język mogą wydać mu się nużące, ale zauważył, że Carrie prawie zupełnie zrezygnowała z dręczenia go. Wytworzył wokół siebie strefę ochronną, jakby niewiarygodnie grubą drugą skórę, która pozwalała mu – przetrwać spotkania robocze, zebrania związane z kampaniami reklamowymi, prezentacje reklamowe, obiady i kolacje z klientami – wszystkie te sytuacje, w których, dla dobra Beaumont-Arias i jego pracowników, on i Carrie musieli występować razem, działać jak dawniej wspólnie.

– Cóż za nieprawdopodobne miejsce na spotkanie – zagaił Peter.

– To prawda – zgodził się Jamie.

– Szukałem prezentu urodzinowego dla Andy'ego.

Peter i jego była żona Daisy mieli dwóch synów – Andrew i Paula. James wiedział z plotek, że Daisy Arias była tak oburzona zachowaniem Petera, że zastanawiała się nad ograniczeniem jego prawa do odwiedzania dzieci.

– Ja już kupiłem prezent – odparł Jamie.

– To kolejka, którą kupiłeś, nie jest dla Andy'ego?

– Nie.

– Pytam, bo sam myślałem, żeby mu ją kupić.

– Nie – powtórzył Jamie. – Nie dla Andy'ego.

W tym momencie wróciła sprzedawczyni i oddała Jamiemu kartę kredytową.

– Czy kod pocztowy jest prawidłowy, sir?

– To angielski kod – wyjaśnił Jamie, rzucając okiem na adres odbiorcy wpisany na rachunku. – Wszystko w porządku.

– Czy mogę jeszcze raz sprawdzić nazwisko, sir? – spytała kobieta, uśmiechając się przepraszająco. – Mój długopis przestał pisać i chyba coś źle zapisałam. – Przechyliła się przez ladę. – To jest William... ?

– William Thomas – powiedział Jamie.

– A tak, Thomas – uśmiechnęła się znowu. – Dziękuję, sir.

– To syn twojej przyjaciółki Annie, prawda? – spytał Peter.

Jamie spojrzał na niego.

– Tak.

– Szczęściarz z niego – stwierdził Peter. – Ma takiego „dobrego wujka” – dodał z ledwie wyczuwalną ironią. – Czy mówi do ciebie „wujku”?

– Nie – odparł krótko Jamie. Poczul, że wściekłość podchodzi mu do gardła. Spojrzał z niesmakiem na brata i powiedział:

– Do widzenia, Peter.

Peter z miną człowieka dobrze poinformowanego ponownie ironicznie się uśmiechnął.

– Do zobaczenia – powiedział.

– Mam nadzieję, że to nigdy nie nastąpi – rzucił Jamie.

Rozdział 14

Znacznie bardziej niż finansowe spory irytował Jamiego fakt, że Carrie naciskała, aby nie tylko pozostał jej partnerem w interesach – co miało zapewnić agencji Beaumont-Arias utrzymanie klientów, których przyciągnęły talenty Jamiego – ale, co gorsza, żeby był partnerem pozbawionym mocy decydowania w ważniejszych sprawach. Carrie wcale nie próbowała ignorować skandalu, który mogła spowodować jej „zabawa w odbijanego”. Przeciwnie, najwyraźniej zamierzała wykorzystać go na swoją korzyść, ostentacyjnie obnosząc się ze swoim romanssem.

– Peter i ja próbowaliśmy walczyć z uczuciem – opowiadała znajomym niby to w wielkiej tajemnicy, w zaufaniu. – Po prostu pobraliśmy się z Jamesem zbyt szybko, zrozumiałam to prawie od razu. Bardzo się staraliśmy utrzymać nasz związek, ale w końcu daliśmy sobie spokój. Mimo to pozostajemy w dobrych stosunkach, wszystko odbyło się w sposób kulturalny. Inaczej nie moglibyśmy nadal ze sobą pracować.

W marcu Jamie wyprowadził się z domu przy Beacon Hill i zamieszkał w kondominium w Rowes Wharf, w posiadłości z widokiem na ocean. Kupił także białą zagłówkę – Carrie nienawidziła łodzi – nazwał ją „Joie de Vivre” [Radość Życia] i próbował cieszyć się odzyskaną wolnością. Dobrze było znowu być sobą, cudownie było nie słuchać zjadliwych uwag żony – przynajmniej przed i po pracy – mimo to jednak Jamie nie był szczęśliwy. Uważał, że poniósł klęskę na wszystkich frontach. Przed związkiem z Carrie był bardzo pewny siebie, poczucie spełnienia mąciła tylko myśl o zmarłym ojcu. Teraz, nie mając jeszcze trzydziestu jeden lat, zdołał już przegrać swoje małżeństwo, stracić brata, utracić kontrolę nad własną firmą i na dodatek wpędzić w kłopoty dwie najukochańsze przyjaciółki. Pewnie, Oliwia i Annie obwiniałyby za to wszystko Carrie, nie jego, ale Jamie wiedział, że źródłem porażki są jego dwie wielkie wady: był słaby i był cholernym głupcem. Przez całe lata trwania ich małżeństwa prowokował Carrie, sprawiając wrażenie, że jest na tyle silny, iż zniesie wiele, że nie przestanie jej kochać. A jednak poddał się i stracił wszystko, co miało dla niego jakąkolwiek wartość; zostały mu już tylko Oliwia i Annie, a Bóg świadkiem, że Carrie chciała zabrać mu i to.

W maju przyjechały z wizytą Oliwia i Annie, choć Annie wpadła tylko na kilka dni. Z włosami ostrzyżonymi na pazia wyglądała wspaniale. Była pełna dumy i entuzjazmu dla nowego przedsięwzięcia, w które ostatnio się zaangażowała.

– Zająłam się masażem relaksacyjnym – opowiadała Jamieemu i Oliwii. – Wiem, że niektórzy twierdzą, iż to kolejna modna bzdura, ale to była jedna z metod leczenia, które stosowałam zaraz po odstawieniu środków uspokajających i która naprawdę mi pomogła. A poza tym prowadzone są poważne badania nad wykorzystaniem tej metody w ramach programu walki z bólem.

– Tak, czytałem coś na ten temat – wtrącił Jamie. – Wydaje się, że jest to całkiem sensowne.

– W każdym razie – ciągnęła Annie – sporo pracuję nad tym w domu, a w tygodniu, gdy Edward jest w Londynie a Marie-Louise zajmuje się dziećmi, chodzę nawet na wieczorowy kurs. – Zarumieniła się z podekscytowania. – Powiedziano mi, że jestem uzdolniona w tym kierunku, a kilka sąsiadek już mi oświadczyło, że gdy się tego nauczę, chciałyby oddać się w moje ręce. Wspaniale jest czuć się potrzebną także poza domem...

– Słyszałeś? – powiedziała Oliwia do Jamieego. – Powiedziała, „gdy się nauczę”, nie „jeśli” czy „być może”. Ona w ogóle nie zakłada, że może jej się nie udać albo że sąsiadki w ostatniej chwili zrezygnują.

– Dobrze, kpijcie sobie ze mnie – odparła Annie ze śmiechem.

– Ja nie kpię – sprostowała Oliwia – tylko się z tobą drocę.

– Myślę, że to cudowne – dodał Jamie, biorąc Annie za rękę. – Edward musi być z ciebie bardzo dumny.

– Sama jestem z siebie dumna – rzekła cicho Annie.

– I tak być powinno – zakończyła Oliwia.

Po czterech dniach Annie wróciła do domu, a Oliwia zdecydowała się zostać jeszcze przez dziesięć. Jamie był jej za to wdzięczny, bo chociaż odzyskiwał już powoli dawną werwę, to jednak czuł, że czasem znów ogarniają go wątpliwości.

– Mam ci parę rzeczy do powiedzenia – oznajmiła Oliwia po śniadaniu, w dniu, w którym Annie odleciała do Londynu. – Co prawda, Annie nie była pewna, czy powinnam ci o tym mówić, ale i tak powiem. Zgoda?

– Brzmi to trochę złowieszczo – zauważył Jamie.

Siedzieli naprzeciwko siebie na miękkich skórzanych sofach, którymi Jamie umeblował przeszkloną werandę przylegającą do salonu. Na niskim stoliku między sofami stało nie dokończone śniadanie: sok, rogaliki i świeżo zaparzona kawa. Weranda wystawała nieco poza ściany budynku, nad krawędź urwiska, co sprawiało wrażenie, jakby była zawieszona bezpośrednio nad wodą. Ocean błyszczał zalany porannym słońcem i mimo wczesnej pory na nabrzeżu panował ożywiony ruch. Pływało wiele żaglówek, promów turystycznych i statków regularnych linii pasażerskich, nad wszystkim zaś krążyły stada mew.

– Po pierwsze, zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nie jesteś nieudacznikiem. – Oliwia wypila ostatni łyk kawy i odstawiła filiżankę. – Jeśli jeszcze kiedyś usłyszę, że znowu zaczynasz myśleć w ten sposób, przyjadę tu natychmiast i wybiję ci to z głowy. Rozumiesz?

– O, tak – odparł z uśmiechem, stwierdzając, że jej nowa krótsza fryzura czyni ją jeszcze bardziej kobietą.

– Wydaje mi się – ciągnęła spokojniej Oliwia – że Carrie nieźle namieszała ci w głowie, myląc przyzwoitość ze słabością. – Spojrzała na Jamiego. – Czy ty nie rozumiesz, że to właśnie przyzwoitość, delikatność i dobroć są twoją magiczną siłą? To dlatego i ja, i Annie tak bardzo cię kochamy. Są oczywiście i inne powody, ale jestem przekonana, że te właśnie cechy pomogły ci w osiągnięciu zawodowego sukcesu.

– I co mi z tego? – zauważył ponuro.

– Och, daj spokój – powiedziała Oliwia z poirytowaniem. – Znowu zaczynasz. To, że zakochałeś się w jędzy, jaką jest Carrie, to zwykły przypadek, który mógł przydarzyć się każdemu. A wyplątanie się z tego małżeństwa będzie najlepszą rzeczą, jaka mogła cię spotkać, bez względu na związane z tym koszty.

– Gdyby chodziło tylko o pieniądze... – zaczął.

– Mówisz o swojej firmie? – domyśliła się Oliwia.

Obie z Annie próbowały dowiedzieć się, dlaczego zgodził się na tak niesprawiedliwe warunki podziału majątku agencji Beaumont-Arias, ale Jamie uparcie odmawiał odpowiedzi, więc zrezygnowały z dalszych pytań.

– Nadal nie rozumiem – ciągnęła – o co tu chodzi. To jedyna sprawa związana z twoim rozwodem, w której zachowujesz się idiotycznie. Musisz być szalony, żeby dobrowolnie przyczyniać się do sukcesu Carrie i Petera.

– Peter nie ma z tym nic wspólnego – zaprotestował Jamie.

– A jakże – stwierdziła ostro Oliwia. – Nadal sypia z twoją żoną, prawda? Ciągłe chcą się pobrać, czyż nie?

– Tak.

– Więc jak długo zamierzasz jeszcze płacić rachunki Carrie? – Oliwia w podnieceniu gestykulowała rękami. – I nie przypominaj mi, że ona nie potrzebuje twoich pieniędzy. Oboje wiemy, że nigdy ich nie potrzebowała. Twierdziłeś także, że twojego talentu również nie potrzebuje, a mimo to korzystała i z pieniędzy, i z twoich pomysłów.

– Skończyłaś? – spytał uprzejmie Jamie.

– Chwilowo tak.

– To dobrze – stwierdził. – Czy ty naprawdę sądzisz, że ja nie jestem tego świadom?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– A czy myślisz, że podoba mi się sposób załatwiania spraw w Beaumont-Arias?

– Nie sądzę – przyznała Oliwia. – W takim razie, dlaczego godzisz się na wszystko?

– Mam swoje powody – odparł Jamie.

– Których nie chcesz mi podać.

– To prawda. – Jamie za żadne skarby świata nie mógł powiedzieć Oliwii o groźbach Carrie. Nie chciał, żeby Oliwia czuła się odsunięta czy niepotrzebna, ale wiedział, że nie ma wyboru. Jeśli Oliwia poznałaby prawdę, z pewnością rozpętałaby gigantyczną awanturę, której konsekwencje mogłyby przejść wszelkie oczekiwania. Najbardziej ucierpiałaby na tym Annie, a Jamie nie mógł do tego dopuścić.

– Czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie? – zapytała Oliwia.

– I tak je zadasz.

– Czy masz jakiś pomysł, jak się z tego wyplątać?

– W przyszłości tak – odrzekł Jamie. – Ale muszę jeszcze rozważyć wszystkie za i przeciw.

– Na przykład utratę swoich klientów? – rzuciła Oliwia.

– To nie jest jeszcze najgorsze – stwierdził Jamie. – Jeśli odejdę z Beaumont-Arias, mogę zostać zmuszony do ich porzucenia, pozostawienia na pastwę Carrie. Uważam, że jest to moralnie niedopuszczalne.

– Jeśli rzeczywiście tak by się zdarzyło – powiedziała Oliwia z namysłem – to należałoby

znaleźć jakiś kompromis, aby nikt na tym nie stracił.

– Łatwo powiedzieć – zauważył Jamie.

– I łatwo zrobić – dokończyła Oliwia. – O ile bardzo tego chcesz. – Przerwała. – Jesteś wspaniałym, genialnym człowiekiem, Jamie. Czy nie powinieneś w końcu zacząć robić użytek z własnych talentów? Nawet jeśli miałbyś nauczyć się, jak być trochę samolubnym i trochę przebiegłym, czy nie warto zapłacić takiej ceny, aby zyskać wolność?

– I odzyskać szacunek do samego siebie, tak? – upewnił się cicho Jamie.

– Przecież nie było żadnego powodu, żebyś go tracił – odrzekła Oliwia. – Uwierz w to, Jamie, nawet jeśli nie wierzysz w nic innego.

Jej obecność dobrze na niego wpływała, szczególnie jej siła, witalność i umiejętność odnajdywania radości w każdej sytuacji. Oliwia z chęcią dzieliła się z innymi swoją energią i zadowoleniem z życia. To prawda, przyznawała w chwilach zadumy, że życie w pojedynkę może być czasami smutne. Ale, z drugiej strony, miała wielu przyjaciół, a w jej życiu pojawili się dwaj interesujący mężczyźni: kanadyjski prawnik i nauczyciel muzyki z Francji. Oczywiście nie były to związki mające przyszłość, ale można było bardzo miło spędzić czas: bawić się i wspólnie delektować wyśmienitą alzacką kuchnią.

– I tego właśnie potrzebujesz – oznajmiła Jamiemu pewnego wieczoru, siódmego dnia jej pobytu w Bostonie.

– Dobrze mi jest tak, jak jest – zaproponował.

– Wcale nie. Zresztą jestem tu po to, aby przypomnieć ci, zanim będzie za późno i zanim zgorzkniejesz do końca, że można się bawić, żyć pełnią życia.

Jamie był niezdecydowany.

– Nie wiem, czy tego chcę.

– To weź kilka dni wolnego i sprawdź to – upierała się Oliwia. – Mamy jeszcze tydzień i możemy miło go spędzić.

– Nie mogę – odparł. – Naprawdę, bardzo bym chciał, ale to niemożliwe. – Spojrzał na Oliwię i zobaczył na jej twarzy wyraz dezaprobaty. – Nie ze względu na Carrie, i nie z powodu, o którym myślisz. Nie dlatego, że jej by się to nie podobało, przeciwnie, nie mogę teraz wyjechać z miasta, bo jej nie ufam i nie wiem, co mogłaby zrobić.

– Dobrze – zgodziła się Oliwia. – Masz rację – dodała z uśmiechem. – W takim razie poszukajmy sposobu, aby znaleźć w twoim napiętym planie zajęć parę godzin wolnego czasu.

– Poszukajmy.

Oliwia sprawiła, że następny tydzień był niezapomniany. Zrezygnowała z kupna przewodników, a zamiast tego ruszyła na Harvard Square. Po rozmowach z napotkanymi studentami i wykładowcami i wyciągnięciu od nich informacji na temat interesujących miejsc w Bostonie, sporządziła plan przywracania Jamiego do życia. Wypełniła mu dni i noce niezliczonymi, bezwzględnie egzekwowanymi zajęciami. Mniej zdeterminowana osoba dawno by zrezygnowała, widząc, jak bardzo Jamie zaangażowany jest w pracę w Beaumont-Arias, ale Oliwia, wzięwszy od sekretarki Jamiego terminarz z tygodniowym planem jego spotkań, zdołała upchnąć w nim wszystkie zaplanowane zajęcia. W praktyce oznaczało to porywanie Jamiego z biura przy Newbury Street kilka razy dziennie.

Przez kilka dni robiła z niego turystę, oprowadzając po knajpkach i tawernach. Byli w The Bell in Hand – najstarszej tawernie w kraju, u Clarke'a i w Black Rose – typowym irlandzkim pubie. Często zabierała go na lunch oraz kolacje do Salty Dog, Union Oyster House, Locke-Ober i restauracji w hotelu Ritz-Carlton. Bywali na wieczorach jazzowych u Saffiego i w barze Regatta and Ryles i na tańcach u Spita i w ogromnej, hałaśliwej sali Metro. W ciągu dnia, dzięki umiejętnemu łączeniu uczestnictwa w zebraniach, koktajlach i spotkaniach w interesach (na szczęście w tych dniach Jamie nie musiał uczestniczyć w żadnych oficjalnych kolacjach), Oliwia mogła wyciągać go na przejażdżkę łodzią po stawie w parku miejskim czy na piknik do Common. Długo będą pamiętali wyraz twarzy Carrie w chwili, gdy zobaczyła Oliwię z olbrzymim koszem piknikowym wypełnionym produktami od homara na zimno po wiśnie w czekoladzie od Bailey'a.

– Zdajesz sobie sprawę, że mnie przemęczasz? – zauważył Jamie w dniu pikniku, po tym, jak ledwo zdążył z powrotem do biura na zaplanowaną prezentację. – Ty wrócisz sobie do Strasburga, a ja tu padnę ze zmęczenia.

– Nie sędzę – – odparła Oliwia, karmiąc go wiśniami w czekoladzie. – Z tym jest podobnie jak z wyciąganiem kogoś siłą na lekcje aerobiku. Na początku mocno się opiera, aż pewnego dnia stwierdza, że mu się to podoba i dalej radzi sobie sam.

– Aż padnie trupem!

– Aż uzmysłowi sobie, że życie staje się bogatsze, ciekawsze i po prostu lepsze, gdy czerpie się z niego pełnymi garściami.

Zabrała go do zoo w Franklin Park, zaciągnęła do New England Aquarium. Słono zapłaciła za bilety na mecz Boston Celtics w Boston Garden i przy pomocy drobnego przekupstwa przekonała dozorcę, żeby wpuścił ich z torbą pełną hot dogów po zamknięciu do Fenway Park. Zmusiła go do porannego joggingu na Esplanade nad rzeką, a nawet kilkakrotnie przekonała do krótkiego rejsu jego uwielbianą, śnieżnobiałą „Joie de Vivre”.

Oliwia musiała wracać do Strasburga w najbliższy poniedziałek.

– Dzwonił Michael – powiedział Jamie w piątek wieczorem w drodze do restauracji. – Louise zaprasza nas na niedzielny obiad w Newport. Przyjedzie też Daisy z chłopcami. Michael mówił, że jeśli pogoda dopisze, zamierzają urządzić barbecue.

– Rozumiem, że nie będzie Petera? – upewniła się Oliwia.

– Na pewno nie.

– Może być fajnie.

– Jesteś pewna? Podróż tam zajmie co najmniej godzinę, tyle samo obiad, no i jeszcze powrót – droczył się z nią Jamie. – A to tylko zwykły rodzinny obiad.

– Nie sądzę, żebyśmy robili coś ciekawszego, zostając tutaj – stwierdziła Oliwia bez ogródek.

– Wszystko, tylko nie jogging – dodał Jamie ze śmiechem.

Do tej pory Oliwia była tylko raz w posiadłości przy Ocean Drive. Z zewnątrz dom bardzo się jej podobał. Był wzniesiony na małym wzgórzu, z widokiem na ocean, biały, elegancki, w hiszpańskim stylu, z dachem krytym dachówką i małymi werandami. Wnętrze budynku wydało się jej jednak zbyt duże i, jak na jej gust, nieco zbyt eleganckie. Domy, w których mieszkała w dzieciństwie, najpierw na Riverside Drive, potem na Park Avenue, były eleganckie, a i domowi Aldrichów w San Francisco niczego nie brakowało. Ale posiadłość Ariasów miała już królewski charakter, zanim Michael i Louise dobudowali nowe skrzydło, a poza tym wiedziała, że Jamie nie lubi takich zmian i wolałby, żeby dom jego ojca i wuja pozostał niezmieniony.

Oliwia musiała jednak przyznać, że chociaż sam dom był stanowczo zbyt majestatyczny, to kolekcja obrazów, zdobiąca ściany jego pokoi, była fascynująca, imponująca i cudowna. W drodze do apartamentów Jamiego zdołała zauważyć Bonnarda, dwa dzieła Picassa, portret autorstwa Delgada oraz wielkie, melancholijne płótno Puvis de Chavannesa na klatce schodowej, nie mówiąc już o obrazie Salvadora Dali, wiszącym w małej garderobie, sąsiadującej z łazienką wyłożoną marmurem. Przyszedł jej na myśl ojciec i to, jak bardzo podobałoby mu się to miejsce, przepełnione najświetniejszymi pracami malarskimi. Przypomniała sobie, jak Artur powiedział jej kiedyś, że piękne dzieła sztuki, i te sławne, i te zupełnie nieznane, są naznaczone pamięcią miejsc, w których kiedyś przebywały, mają w sobie cząstkę życia wszystkich właścicieli, emanują atmosferą innych czasów, a nawet innych światów. Oliwia czuła to w tej chwili, będąc w miejscu, które było częścią dziedzictwa Jamiego, chociaż on sam twierdził, że do niego nie pasuje. Mimo to, patrząc na piękny, mały obraz Bonnarda i niesamowite płótno Salvadora Dali, pomyślała o ojcu i wuju Jamiego, którzy latami zbierali tę kolekcję i ogarnęło ją dziwne uczucie bliskości, więzi z nimi.

– Czy ktoś chce się z nami wybrać na wycieczkę rowerową? – spytała Oliwia kilka godzin później, kiedy odpoczywali po obiedzie. Ogrody, w których siedzieli, rozpościerały się na dużym obszarze wokół domu. Cały teren porastały dęby i wiązy, wierzby, leszczyny i jodły, o tej porze roku, w ciepłe i słoneczne wiosenne popołudnie, rozświetlone jeszcze dodatkowo wielokolorowymi plamami kwitnących rododendronów.

Jamie westchnął.

– Wiedziałem, że ta sielanka nie potrwa długo.

– Dla mnie to zbyt forsowne – odparła Louise Arias. – Zwłaszcza po tak obfitym posiłku.

– To gotowanie bardzo mnie zmęczyło – stwierdził Michael.

– Pierwszy raz od roku zrobił coś więcej niż włączenie ekspresu do kawy – wyjaśniła Louise, spoglądając z pobłażaniem na męża.

– A ty, Daisy? – zapytała Oliwia.

– Nie jeździłam na rowerze, od kiedy skończyłam czternaście lat – oświadczyła Daisy Arias. – A poza tym, to powoduje nadmierne umięśnienie łydek.

– Zawsze byłam dumna ze swoich mięśni – odparła Oliwia, uśmiechając się słodko. – A zwłaszcza z tych na udach.

Siedzieli półkolem na białych wiklinowych krzesłach ustawionych na trawniku, który Jamie nazywał drugą odnogą ogrodu. Jak na maj, było wyjątkowo ciepło, a lekki zefirek przyjemnie orzeźwiał powietrze. Michael włożył kapelusz z szerokim rondem i okulary przeciwsłoneczne. Przypominał Oliwii tajemniczego szpiega ze starych filmów. Wcześniej, gdy przygotowywał posiłek na dużym kamiennym palenisku, wyglądał jak typowy amerykański mąż i ojciec, a Oliwia musiała przyznać, że jeszcze nigdy nie jadła tak smacznych steków, pieczonych żeberek i hamburgerów. Jego żona Louise, o kasztanowych włosach i brązowych oczach, nosiła wąskie kremowe spodnie z cienkiej wełny i idealnie dopasowany do nich sweter. Początkowo zachowywała się nieco wyniośle. Jednak po kilku kieliszkach chablis odprężyła się i dostosowała do spokojnego nastroju niedzielnego popołudnia. Była jeszcze Daisy, żona Petera, ładna, ciepła blondynka. Wydawało się, że już się pogodziła ze zdradą męża i była zadowolona, że jej synowie mogą utrzymywać kontakty z wujem i kuzynami, nadal jednak czuła się trochę niezręcznie w towarzystwie Ariasów, zwłaszcza teraz, wzięwszy pod uwagę to, co jej mąż uczynił Jamiemu.

– Nie powinienem był tutaj przyjeżdżać – zwierzył się Oliwii, gdy, oczekując na lunch, przez chwilę zostali sami. – Myślę, że biedna Daisy jest bardzo zakłopotana.

– Dlaczego? Przecież nie ponosi winy za to, co zrobił jej mąż – stwierdziła i po chwili dodała: – O ile, oczywiście, nie ma nadziei, że w tej sytuacji ty i ona...

– Na litość boską, Oliwio! – Jamie był wyraźnie zmieszany.

– Nie byłoby w tym nic niezwykłego – ciągnęła Oliwia. – Dwie skrzywdzone strony... No, wiesz, chęć odegrania się, wspólne poczucie krzywdy...

– Oliwio, przestań.

– Jesteś znacznie przystojniejszy niż Peter, no i młodszy. – Przyjrzała mu się z aprobatą. Miał na sobie błękitne dżinsy, sportowe buty i cienki sweter; w nagłym przypływie uczucia stwierdziła, że wygląda jak ciemnowłosy Gatsby.

– Nie sądzę, aby chciała zamienić jednego brata na drugiego.

– Carrie tak zrobiła – zauważyła Oliwia i wyszła.

– Chłopcy są chyba jeszcze za mali na rowery – oznajmiła Oliwia. Lunch dobiegł końca, węgle na palenisku ugaszono wodą. Spojrzała w kierunku synów Daisy i Petera, którzy kopali piłkę w cieniu czerwonego buku.

– Paul umie jeździć na rowerze – powiedziała Daisy.

- Gdzie chcecie się wybrać? – Michael zwrócił się do Oliwii.
 - Myślę, że na Cliff Walk – odrzekła Oliwia.
 - Paul nie może tam jechać – wtrąciła szybko Daisy. – To jest ścieżka spacerowa, Oliwio, i ciężko jest tam przejechać rowerem.
 - W niektórych miejscach jest bardzo wyboista – dodała Louise. – I stroma.
 - Będziemy uważać – zapewniła ją Oliwia.
 - Naprawdę chcesz jechać, prawda? – stwierdził Jamie, wzdychając.
 - O, tak – odparła. – Tak dawno nie widziałam oceanu.
 - W zeszłym tygodniu trzykrotnie pływaliście żaglówką – przypomniał jej Jamie.
 - To mi nie wystarcza, chcę więcej.
- Jamie rozsiadł się wygodnie.
- Wiesz, że po raz pierwszy od siedmiu dni mogę przez chwilę odpocząć? – zapytał.
 - A czy ty wiesz, że to mój ostatni dzień w Stanach? – odpowiedziała Oliwia. – Jak to dobrze, że mogę jednocześnie cieszyć się tobą i po raz ostatni rzucić okiem na ocean.
 - Widzisz, co ja z nią mam? – Jamie zwrócił się do kuzyna. Oliwia spojrzała na Michaela.
 - Czy Jamie nigdy ci nie mówił, jaka ze mnie samolubna jędza?
 - Niezupełnie. – Michael uśmiechnął się do niej.
 - Czy chcesz z nami jechać? – spytała.
 - Raczej zrezygnuję z przejażdżki – stwierdził Michael. – Ale dziękuję za zaproszenie.

To było cudowne popołudnie. Rowery, które Jamie znalazł dla nich w jednej z ogrodowych szop, były stare i zardzewiałe. Jeździło się na nich o wiele trudniej niż na lekkich nowoczesnych modelach, których Oliwia używała w ostatnich latach. Przez pierwsze piętnaście minut Jamie narzekał na bolące nogi i brak odpoczynku, twierdził, że z przyjemnością wróciłby do domu. Ale potem urok surowej przyrody i ożywcze działanie świeżego powietrza zrobiły swoje, a spontaniczne wybuchy śmiechu, którymi Oliwia kwitowała każdą próbę ominięcia wyrw i dziur, działały zaraźliwie. Poza tym, skoro Oliwia i tak nie zwracała najmniejszej uwagi na jego utyskiwania, kilka siniaków i zadrapań nie mogło zepsuć im całej wycieczki. Zresztą co chwila zatrzymywali się, aby spojrzeć na ocean i pięknie położone, słynne posiadłości rodziny Vanderbiltów i Astorów, a przede wszystkim na Rosecliff, ulubiony dom Jamiego, przez wielu uważany za najbardziej romantyczną posiadłość w całym Newport.

– Przy tym twoja posiadłość wygląda jak domek dla lalek – stwierdziła Oliwia, patrząc na czterdziestopokojowy pałac i zastanawiając się, jak można prowadzić normalne życie, mieszkając w takim gmaszysku.

Przeniosła wzrok na Jamiego, siedzącego okrakiem na starym rowerze, z jedną nogą opartą na ziemi. Zauważyła, że jego włosy potargał nieco wiatr i nagle pomyślała, że wygląda wspaniale. Natychmiast skarciła samą siebie; nigdy nie myślała o nim w ten sposób.

– Peter i Carrie chcą się wprowadzić do zachodniego skrzydła – oznajmił nagle Jamie. – Michael powiedział mi o tym podczas posiłku. Jest tym okropnie zakłopotany, Louise też, ale wszyscy wiemy, że ten dom w równym stopniu należy do Petera, co do mnie czy Michaela, nic więc nie możemy na to poradzić.

Oliwia przez chwilę milczała, po czym odezwała się cicho:

– Do diabła z nimi.

– Chyba masz rację – odpowiedział.

Popatrzyła na niego spod oka.

– Nie mów mi, że im wybaczyłeś.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył w milczeniu na Rosecliff, aż w końcu odwrócił głowę i spojrzał na nią.

– Nie – odparł. – Ale zaczynam się przyzwyczajać.

– W porządku – stwierdziła Oliwia. – To chyba dobrze.

– Lepsze to niż nic.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, czując nagły przypływ uczuć.

– Ścigajmy się – powiedziała nagle.

– Nie możemy – zaprotestował Jamie. – Droga jest zbyt wyboista.

– Czyżbyś stchórzył?

W ułamku sekundy przed oczami Jamiego pojawił się obraz żony i brata.

– Zakładamy się, kto wygra? – spytał.

– Ostatni na Breakers stawia kolację – rzuciła Oliwia.

– Zgoda – odparł Jamie, prostując koła roweru.

– Ruszamy na trzy – oznajmiła Oliwia. – Ty liczysz.

Jamie uśmiechnął się.

– Jeden...

Tręcili się łokciami.

– Dwa...

Szarżowała, kiedy to się stało. Od początku wiedzieli, że ściganie się na tych starych powykrecanych rowerach jest bezsensowne, a mimo to naciskali pedały z całych sił, i choć w niewielkim stopniu wpływało to na szybkość jazdy, zabawę mieli świetną. Oliwia za wszelką cenę chciała, aby Jamie zapomniał o Peterze i Carrie, a ona sama o Jamiem. Skoro nie mogą się porządnie pościgać, to trzeba wymyślić coś innego – można trochę poszarżować. Zatrzymała się więc w miejscu i po chwili zaczęła wspinać na rowerze w górę nad urwisko. Jamie krzyczał, żeby nie robiła z siebie idiotki, że to niebezpieczne, ale Oliwia, jak zwykle, wiedziała lepiej. Dopóki jechała prosto pod górę, zbocze wydawało jej się całkiem szerokie. Pedałowała z całych sił, a Jamie, trzymając się ścieżki, próbował ją dogonić.

Spadła na drugą stronę, kilkaset jardów od Breakers.

Jamie widział, co się stało, a przynajmniej tak mu się wydawało. Oliwia skręciła gwałtownie w lewo, próbowała wyprostować rower, ale wyglądało, jakby jej prawa stopa utknęła między kamieniami. Nie potrafił dokładnie powiedzieć, co się wydarzyło, usłyszał tylko urwany krzyk, potem dziwny, straszny odgłos, a potem Oliwia wolno przechyliła się na prawo i wraz z rowerem zniknęła.

Widział to, ale nie chciał wierzyć; nie mógł wierzyć. Usłyszał jej krzyk i rzucił się na pomoc. Wydawało się, że wszystko dzieje się bardzo powoli, ale w rzeczywistości trwało to tylko kilka sekund. Rzucił swój rower na ziemię. Usłyszał wołanie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to jego własny krzyk.

– Oliwio!

W wyobraźni widział, jak podchodzi do krawędzi zbocza i widzi ją tam, zakrwawioną i nieprzytomną, z połamanyimi kośćmi albo...

Zbliżył się do brzegu urwiska i zmusił do spojrzenia w dół. Znajdowała się zaledwie osiem czy dziewięć stóp niżej, na wygładzonej deszczem skalnej półce. Leżała nieruchomo, twarzą do dołu, z jedną nogą zgiętą w kolanie i przyciągniętą do ciała. Prawą rękę miała wyciągniętą nad głową, rower leżał na niej. Nie ruszała się.

Jamie poczuł, że serce zamiera mu w piersi.

– Oliwio – wychrypiał. Odchrząknął i spróbował raz jeszcze: – Oliwio!

Nadal leżała bez ruchu. Z tej odległości nie mógł zobaczyć jej twarzy.

– Oliwio!

– Czy – raczysz – tu – zejść – do – cholery?!

Jej głos brzmiał zupełnie normalnie, a nawet spokojnie. Każde słowo wymawiała z naciskiem.

Jamie gapił się na nią bezmyślnie, serce waliło mu głośno.

– Dobrze się czujesz?

Wiatr znowu przywiał ku niemu jej głos. Znajome, niskie brzmienie, które powitał z niewypowiedzianą ulgą – niczym deszcz na pustyni, czy mannę z nieba.

– Nie, Jamie – odrzekła Oliwia. – Nie czuję się dobrze. Żyję i chyba niczego sobie nie zламаłam, ale z pewnością nie czuję się dobrze.

Uśmiechnął się.

– To dobrze.

– Więc zejdiesz tu, czy poczekamy, aż zardzewieję, jak ten stary rower?

Jamie, wspierając się na przebiegającej tuż obok rurze odwadniającej, powoli schodził w dół. Musiał bardzo uważać, chociaż chciał do niej dotrzeć jak najszybciej. W końcu stanął obok Oliwii.

– Czy mogę zdjąć rower? – spytał, bojąc się, że mógłby sprawić jej tym ból.

– Nie ma potrzeby. Naprawdę uwielbiam leżeć sobie z rowerem na plecach – oznajmiła.

– Twoja prawa tenisówka zaplątała się w szprychy – wyjaśnił jej.

– Czyżby? – odparła.

Zaczął rozplątywać sznurówkę, ale po chwili przerwał.

– Dlaczego przestałeś? – spytała.

– Chcesz, żebym ci pomógł, prawda?

– Tak, Jamie.

– A pamiętasz, czym pomysłem była ta wycieczka?

– Moim, Jamie.

– A kto chciał się ścigać?

– Ja.

– A czy przypominasz sobie, kto chciał być mądrzejszy i wspiąć się na zbocze, chociaż ktoś inny uważał, że to idiotyczny pomysł?

Minęło kilka minut. Gdzieś na ścieżce nad nimi spacerowali ludzie. Nad ich głowami krążyły z głośnym krzykiem mewy.

– Jamie?

– Tak, Oliwio?

– Czy mógłbyś mi pomóc? – spytała słodkim, łagodnym głosem. – Naprawdę chciałabym sprawdzić, czy utrzymam się na nogach.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że nic ci nie jest. – Znowu się zaniepokoił. Szybko rozwiązał do końca sznurówkę i wyplątał tenisówkę. – Gdzie cię boli? – Podniósł rower i odstawił go na bok.

Oliwia powoli usiadła. Zgięła obie ręce, potem kolejno lewą i prawą nogę. Ostrożnie pokręciła głową.

– Nigdzie – uśmiechnęła się do Jamiego. – Jesteś niezłe przestraszony.

– Byłem – sprostował, siadając koło niej. – Masz brudną twarz.

– Wytrzymaj ją, proszę – powiedziała.

Tak naprawdę nie bardzo wiedział, jak to się stało. Czuł się dziwnie – jakby z boku patrzył na całą sytuację, jakby nie chodziło o niego, ale kogoś innego. Tak jak prosiła, zbliżył się do niej z dużą białą chusteczką w dłoni, aby wytrzeć jej twarz, i wtedy zauważył, że na lewym policzku ma zadrapanie. Zobaczył, że krwawi, i nagle poczuł, jak coś, schowane dotąd głęboko w jego duszy, porusza się, wraca do życia. Coś, o istnieniu czego nie wiedział, a przynajmniej nie chciał się do tego przyznać. I zamiast wytrzeć jej policzki i powiedzieć, że krwawi, zamiast pomóc jej podnieść się z ziemi i wrócić na ścieżkę, pocałował ją. Nie w policzek, czoło czy włosy, jak do tej pory, ale w usta. Prosto w szerokie, miękkie, zdumione usta.

– Jamie – powiedziała tylko i oddała pocałunek.

To było niezwykle. Ich usta przyciągnęła do siebie jakaś niezwykła siła – musiały się zetknąć, połączyć w pocałunku i trwać w nim bez końca. Jamie czuł, że gdyby nie mógł całować tych dobrze znanych, kochanych ust, przestałby oddychać, nie mógłby dłużej żyć. Ale tak naprawdę to ktoś inny całował Oliwię – on nie mógłby tego zrobić, to w ogóle nie mogłoby się zdarzyć. A mimo to całowali się, a on czuł, jak zapada się coraz głębiej, w jakieś bezdenne, cudowne miejsce. W pewnej chwili usłyszał jęk, ale nie wiedział, czy to on, czy ona. Wtedy przerwał pocałunek i odsunął się od niej.

Oliwia, która czuła się, jakby uderzył w nią piorun, prawdziwy grom z jasnego nieba, siedziała w milczeniu, patrząc mu prosto w oczy.

Czekała, że coś powie, ale on milczał. I nagle zrozumiała, że nie trzeba nic mówić, że Jamie czuje dokładnie to samo, co ona.

– Jamie – przemówiła w końcu drżącym głosem.

– Tak?

– Wracajmy do domu.

W drodze do domu prawie nie rozmawiali. Po powrocie, siedząc pod przepięknym obrazem Gauguina, wyjaśnili, co się stało. Cierpliwie wysłuchali lamentów Louise, a Oliwia pozwoliła jej i Daisy opatrzeć swoją ranę, ale odmówiła wzięcia kąpieli i pozostania na noc. Przebrała się w pożyczone dzinsy i kwiecistą jedwabną bluzkę, zupełnie zresztą nie w jej stylu. Razem z Jamiem wyperswadowali Michaelowi wezwanie lekarza, jak również odstawienie ich do Bostonu prywatnym odrzutowcem lub helikopterem. Szybko się pożegnali i odjechali samochodem Jamiego do Bostonu, do mieszkania na Rowes Wharf.

Jechali w milczeniu. Oboje wiedzieli, że to jeszcze nie koniec. I choć Jamie czuł, że to Oliwia, jak dawniej Carrie, przejmuje kontrolę nad ich związkiem, wcale mu to nie przeszkadzało. To było coś zupełnie innego. Z Oliwią był bezpieczny. Była zwariowana, czasami naprawdę szalona, ale jej zależało na nim, tak samo jak jemu na niej. Dlatego pozwolił jej zapanować nad sobą, chciał, aby ponownie opanowało go to samo uczucie co przy niedawnym pocałunku, by był jakby nieobecny, oddalony, a jednocześnie niesamowicie podniecony, gotów zrobić wszystko, o co go poprosi.

Oliwia dokładnie wiedziała, co robi – byłaby kłamczucha, gdyby próbowała temu zaprzeczyć, chociaż w pewien sposób czuła się równie bezbronna wobec nowej sytuacji, co Jamie. W głowie uporczywie kołatała jej jedna myśl, ostrzeżenie, że to, co robi, jest niemądre – nie niebezpieczne, bo przecież chodziło o Jamiego, dobrze jej znanego, kochanego Jamiego, który nigdy jej nie zrani. Jednocześnie wiedziała, że jeśli natychmiast się nie wycofa, oboje mogą cierpieć, a mimo to pozwalała wypadkom toczyć się dalej. Zachęciła Jamiego do otwarcia butelki cru, którą postawiła na lodówce trzy dni temu (oboje byli wielbicielami szampana i mogli go pić w nieograniczonych ilościach). Jeden kieliszek doskonale spełniał swoją rolę, niczym środek znieczulający, aplikowany przed bolesnym zabiegiem. A potem poszła prosto do łazienki,

przylegającej do jego sypialni, odkręciła kurki z wodą i wlała do wanny połowę butelki płynu do kąpieli Guerlaina. Przez krótką chwilę zastanawiała się, skąd Jamie, który zawsze wołał od kąpieli krótki prysznic, w ogóle miał takie kosmetyki, kto mógł go nimi obdarować. Poczwała nagle i idiotyczne uczucie zazdrości, ale zanim zdołała się nad nim głębiej zastanowić, wanna była pełna. Zakręciła kran i poszła do pokoju.

– Chodź – powiedziała. Szybkim haustem opróżniła kieliszek, zmusiła Jamiego do tego samego i ponownie napełniła kieliszki.

– Dokąd? – spytał zdumiony.

– Po prostu chodź. – Wiedziała, że musi działać szybko, zanim odwaga uleci z niej niczym bąbelki z szampana.

Jamie ujrzał wannę pełną wody, obrócił się i z przerażeniem, ale i niewypowiedzianą radością, zobaczył, że Oliwia rozpina bluzkę i zdejmuje dzinsy. Miała na sobie bladoniebieski biustonosz ozdobiony angielskim haftem i takie same figi. Jej ciało było silne, ale szczupłe i gładkie, i Jamie stwierdził w myślach, że ma najpiękniejszy pępek na świecie.

– Czy to ty spadłaś z urwiska, czy ja? – spytał. Nie był pewien, czy przyczyną dziwnego uczucia, które pulsowało mu w głowie, był wypity szampan czy widok Oliwii.

– Chyba oboje – odparła urywanym głosem.

– Tak. – Tylko tyle był w stanie wykrztusić z siebie.

– Chodź – powtórzyła. – Zanim się rozmyślimy.

– A zatem podjęliśmy już decyzję? – spytał łagodnie.

– O, tak – stwierdziła Oliwia z uśmiechem. – Muszę się wykapać. Pamiętasz, doradzała mi to cała twoja rodzina, więc zamierzam skorzystać z tej rady. – Spojrzała mu w oczy. – Ty też musisz się wykapać – dodała.

– Z pewnością – zgodził się i na wpół zdrtwiałymi palcami zaczął rozpinać pasek.

– Nie marnujmy wody – oznajmiła, po czym zdjęła bieliznę i nie patrząc na niego, weszła do wanny. Zanurzyła się w pachnącej pianie, głośno westchnęła i zamknęła oczy.

Jeszcze zanim jej dotknął, był twardy jak skała.

– Czy nie masz nic przeciwko zamoczeniu dywaników? – spytała, leżąc bez ruchu z zamkniętymi oczami.

– Nie – odrzekł ochryple. – Absolutnie.

– To dobrze.

Wanna nie była duża. Usiadł naprzeciw niej, opierając się plecami o zimną stal kurków. Nie poruszyła się, aby zrobić mu miejsce, ale teraz jej oczy były szeroko otwarte i wpatrywały się w niego uważnie. Oboje mieli długie nogi, ale, o ile ona mogła się spokojnie wyciągnąć, Jamie musiał zgiąć nogi w kolanach. Jego łydki znalazły się na wysokości jej piersi, jaśniejszych od reszty ciała, z ciemnobrzoskwiniowymi, sztywno sterczącymi sutkami. Jamie był bliski ataku serca.

– Co teraz? – spytał.

– Najpierw – odparła Oliwia – napijmy się jeszcze szampana.

– A potem?

– Potem, myślę, że się umyjemy.

– Czy mam cię umyć? – spytał niepewnie.

– Cóż, miałam właśnie taką nadzieję – odpowiedziała szybko, po czym dodała: – Jeśli chcesz.

– Tak – powiedział i sięgnął po mydło. Był zadowolony, że zamiast dove, którego zwykle używał, tym razem rozpakował sandałowe mydło roger & gallet. – Od czego mam zacząć?

– Czasami – powiedziała Oliwia – zaczynam od stóp, a czasami od ramion i szyi.

Jej stopy były zdumiewająco gładkie.

– Jak na kogoś tak wysportowanego – zaczął Jamie, przyglądając się jej lewej stopie i z trudem powstrzymując się od chęci połaskotania jej – nie jesteś mocno zbudowana.

Po raz pierwszy od wielu godzin przyszła mu na myśl Carrie, która w czasie trwania ich małżeństwa chodziła regularnie na siłownię i której ciało, chociaż niezaprzeczalnie wspaniałe, było – jak czasami stwierdzał, od razu ganiąc się za te szowinistyczne myśli – nieco zbyt twarde, zbyt nieprzystępne. Zupełne przeciwieństwo Oliwii – pomyślał, namydlając jej stopę – same miękkości, za wyjątkiem sutków.

– Czy to jest część terapii? – spytał ją nagle. – To znaczy, nie mam nic przeciwko temu, jeszcze nie zwariowałem, ale chciałbym wiedzieć.

– Ciii – powiedziała. – Nic nie mów i nie myśl o tym – dodała z uśmiechem. – Spadliśmy z urwiska, pamiętasz? Po takim wypadku przydarzają się różne rzeczy.

Wtedy ją pocałował. Mydło wypadło mu z dłoni, ale wcale nie zamierzał go szukać. Ich ciała przywarły do siebie, poczuł jej piersi na swoim torsie i – jeśli w ogóle było to możliwe –

poczuł jeszcze większe podniecenie. Dotknął dłonią jej lewej piersi i zobaczył, że wstrząsają nią dreszcze. Drugą rękę zanurzył w pianie i delikatnie rozsunął jej uda, uwięzione w ciasnej wannie między jego nogami. Pod palcami poczuł miękkość jej włosów łonowych, spojrzął w dół i rozdmuchał na boki pianę. Zobaczył małą ciemną chmurkę poruszaną lekko falującą wodą niczym włosy syreny. Ostrożnie poruszył palcami, wsunął je głębiej i usłyszał jej jęk.

– Czy mogę powiedzieć, że nie wierzę, że to się dzieje naprawdę? – wyszeptał.

– Możesz – odrzekła. – Ale nie przestawaj.

– Nie zamierzam – powiedział i przerwał. – Jesteś pewna, że tego chcesz? To znaczy, jeśli zmienisz zdanie, w każdej chwili możemy przestać.

– Zwariowałaś? – spytała ochryple i prawą rękę zanurzyła w wodzie.

Jamie jęknął z rozkoszy.

I wtedy zniknęły wszelkie bariery. Nic nie miało znaczenia, byli tylko oni – spragnieni siebie. Przywarli do siebie ciałami, ich usta stopiły się w jedno, kaskady wody przelewały się przez krawędzie wanny. Chcieli dotykać się, uczyć własnych ciał, poczuć wzajemną bliskość. Nieważne – myślała Oliwia – czy ta nieprzeparta, niesamowita chęć posiadania tego mężczyzny, *żądza* poczucia go w sobie, zespolenia się z nim wynika ze zwykłego pożądania, czy z prawdziwej miłości. Teraz nie miało to znaczenia. Wiedziała tylko, że jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa, tak niewiarygodnie spełniona.

Wanna stała się dla nich za mała. Wyszli z niej, przewracając butelkę z szampanem, chwycili ręczniki i próbowali się wytrzeć. Ale najmniejszy dotyk tylko rozpałał ich namiętności, więc na wpół mokrzy opadli na podłogę. Oliwia jeszcze nigdy nie czuła się tak pozbawiona wszelkich zahamowań, bezwstydną. Wyciągnęła ręce nad głowę, rozchyliła nogi i ujrzała, że Jamie się waha, zobaczyła w jego oczach niepewność.

– Biorę pigułki – powiedziała.

– Dzięki Bogu – odparł z ulgą.

Wszedł w nią powoli, starając się powstrzymać narastające podniecenie. Był wspaniałym szczupłym mężczyzną o pięknych dłoniach. O, Boże, były piękne – takie czułe, wrażliwe, dotykały ją wszędzie. I jego usta na jej ciele, i on poruszający się harmonijnie, a ona wraz z nim. I to rozpalone miejsce w jej wnętrzu – poczuła, że zaraz eksploduje...

– O, Boże – wyszeptała. – Och, Jamie...

I stało się.

Dłuższą chwilę łkali, tuląc się do siebie, leżąc na stosie ręczników, na środku podłogi.

– Dlaczego płaczesz? – spytał Jamie, delikatnie całując jej zapłakane oczy.

– A ty? – odpowiedziała pytaniem, całując go po policzkach.

– Chyba dlatego – odparł powoli, tuląc ją mocno do siebie – że dzisiaj spadliśmy z urwiska, a jutro musimy wracać na ziemię, do rzeczywistości.

– Ja nie – powiedziała. – Ja chcę latać.

– Ach, tak – odrzekł i przytulił ją jeszcze mocniej.

I teraz oboje wiedzieli już, dlaczego płaczą.

Kiedy Jamie obudził się nazajutrz, zobaczył, że Oliwia, już ubrana i spakowana, czeka na niego w salonie.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – spytał, spojrzawszy na zegarek. – Przecież wiesz, że mam cię odwieźć na lotnisko. – Podeszedł do niej i nachylił się, aby ją pocałować. Pozwoliła mu na to, ale nie uczyniła żadnego ruchu, żeby odwzajemnić pocałunek.

– Wolalabym, żebyś tego nie robił – powiedziała. – To znaczy, żebyś nie odwoził mnie na lotnisko. Właśnie miałam cię obudzić, aby się pożegnać. – Podniosła wzrok i zobaczyła zmieszanie malujące się na jego twarzy, poczucie winy i smutek w oczach. – Nie patrz tak na mnie, Jamie.

– To znaczy jak? – Usiadł koło niej na sofie. Nagle odczuł bolesną świadomość własnej nagości pod płaszczem kąpielowym. Mocniej zacisnął pasek. Czuł się bardzo nieszczęśliwy.

– I nie chcę, żebyś się tak czuł – dodała Oliwia.

– To znaczy jak?

– Czujesz się winny, prawda?

– Dlaczego miałbym czuć się winny?

– Nie mam pojęcia, ale tak jest. – Urwała. – Myślisz, że zrobiliśmy to pod wpływem chwili, i tak było, ale ja właśnie taka jestem, prawda? Działam, nie myśląc o konsekwencjach, podobnie było z tym idiotycznym wyścigiem.

– Wspaniałym wyścigiem – sprostował Jamie.

– No tak. Racja.

– No więc... ?

– Ty nie jesteś impulsywny, prawda, Jamie? Przynajmniej nigdy nie byłeś, w przeciwieństwie do mnie. Więc teraz zaczynasz się dręczyć, martwić o moje uczucia. Oboje wiemy, że nie pogodziłeś się jeszcze z utratą Carrie i pewnie wymyśliłeś sobie, że mnie wykorzystales dla własnych celów.

– To ty zaczęłaś – przypomniał jej Jamie.

– Tak, w pewnym sensie. I to ja kazałam ci otworzyć szampana i wejść do wanny – ciągnęła Oliwia z uśmiechem. – Tak więc, sam widzisz, że nie ma żadnego powodu, abyś nadawał ostatniej nocy inne znaczenie niż miała w rzeczywistości.

– No dobrze, to dlaczego to zrobiliśmy?

– Z przyjaźni – odparła.

– Aha – skonstatował, wyraźnie nieprzekonany.

– Tak było, Jamie. Z przyjaźni i prawdziwej miłości, ale z takiej, jaka zawsze nas łączyła, a reszta to tylko...

– Tak? Reszta to co? – wtrącił.

– Impulsywna reakcja na wytworzone napięcie – wyjaśniła. – Cudowna reakcja i nie zamierzam zaprzeczać, że czujemy do siebie fizyczny pociąg, ale...

– Ale?

– Ale to zdarzyło się raz i nie może się więcej powtórzyć. – Oliwia znowu spojrzała mu prosto w oczy i natychmiast odwróciła wzrok. – Wiesz, że mam rację. Oboje to wiemy, Jamie.

Jamie potrząsnął głową.

– Nie. Ja tak nie uważam. Myślałem...

– Co myślałeś? Że to będzie początek czegoś? – Oliwia wstała, podeszła do okna i spojrzała na ocean. – Nic się między nami nie zmieniło. Jesteśmy tym, kim byliśmy do tej pory. Najlepszymi przyjaciółmi. Ostatnio przeszedłeś piekło. Spędziliśmy razem wspaniały tydzień, a ja zmuszałam cię do robienia rzeczy, których zwykle nie robisz, i pewnie nie chciałbyś robić.

Jamie wstał i także podeszedł do okna. Stał w pewnej odległości od Oliwii, nie ośmielając się podejść bliżej.

– Mam nadzieję, że nie sugerujesz, że nie chciałem się z tobą kochać.

Znowu się uśmiechnęła.

– Nie. Nie o tym mówiłam.

– To już coś – stwierdził, spoglądając na wybrzeże za oknem.

– Było cudownie – powtórzyła Oliwia. – To było coś wspaniałego. Jestem pewna, że nigdy nie zapomnę tej nocy. – Przerwała i wzięła głęboki oddech. – Ale uważam, że nie powinniśmy już więcej o tym rozmawiać. Wiem, że nie będziemy, i niech tak zostanie.

Jamie odwrócił się do niej.

– Więc jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, tak? A ta noc nigdy nie miała miejsca?

Odpowiedz!

– Tego nie powiedziałam.

– Ale to właśnie miałaś na myśli. – Zauważył w swoim głosie nutę goryczy i zniechęcenia. – Przecież wiedział, dlaczego ona to robi, wiedział, że Oliwia robi to dla jego dobra, że chce uwolnić go z matni, w którą wpadłby i która sprawiłaby mu jeszcze więcej bólu.

– Chyba tak – zgodziła się Oliwia. – W pewnym sensie.

Jamie zdobył się na uśmiech.

– Masz rację. – W końcu zdołał jej dotknąć, ostrożnym, wyważonym ruchem położył jej rękę na ramieniu. Niebezpieczeństwo minęło, nastrój intymności zniknął. – Tak będzie lepiej.

– Zastanawiam się – rzuciła Oliwia z lekkością, której wcale nie czuła – co powiedziałaaby Annie, gdyby dowiedziała się o wszystkim.

– Uważasz, że nie powinniśmy jej o tym mówić?

– Chyba nie.

Jamie przypomniał sobie o groźbach Carrie i jej perfidnych uwagach: „Twój obrzydliwy mały romansik z tymi twoimi przyjaciółkami”. I jej ohydne groźby: „Obrzucę błotem te twoje przyjaciółeczki”.

– Tak, masz rację – powiedział głośno.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Chyba powinniśmy już jechać – powiedział Jamie. – Spóźnisz się na samolot.

– Mówiłam – odparła – że nie ma potrzeby, żebyś mnie odwoził.

– Zawsze to robię.

– Ale nie tym razem. Nie zniosłabym pożegnania na lotnisku.

– Ja też – przytaknął Jamie.

Zadzwoił po taksówkę, włożył dzinsy i podkoszulek i zniósł jej walizki do holu, a portier

włożył je do bagażnika. Objęli się, tak jak za dawnych czasów, jak dwoje starych, najlepszych przyjaciół, a potem wyszli na ulicę. Atlantic Avenue kipiała życiem, samochody przejeżdżały tam i z powrotem, było gwarno i jasno. Oliwia zawsze dziwiła się, jak jeden budynek może mieć dwa tak różne oblicza. Z jednej strony brzydka, wielkowiejska fasada, a z drugiej spokój i piękno oceanu.

– Zadzwoń, jak tylko przyjadę do domu – rzuciła.

– Oczywiście – odparł. – Dzwon o każdej porze.

Wsiadła do taksówki.

– Jeszcze jedno.

– Tak? – spytał, podchodząc do krawężnika.

– Mówię to na wypadek, gdyby Carrie próbowała kwestionować twoje umiejętności w łóżku, a znając Carrie, założę się, że to robiła. No więc zapewniam cię, że ta kobieta jest nie tylko idiotką, ale i kłamczucha.

Przynajmniej – pomyślała, gdy taksówka ruszyła – w końcu się uśmiechnął.

Rozdział 15

W sierpniu Jamie ogłosił otwarcie nowej agencji reklamowej – JAA. Carrie, która poślubiła Petera, starała się mu przeszkadzać na każdym kroku, a jej nowy mąż udawał, że tego nie widzi, co tylko jeszcze bardziej ją rozwścieczało. Jednak, mimo różnych przeciwności, Jamie zdołał zrealizować swoje plany w całości.

– Zostawiłem wszystko – opowiadał Oliwii przez telefon. – Wszystkich klientów i współpracowników. Nadal zajmuję się moimi starymi zleceniami pod szyldem Beaumont-Arias i nadal jestem tam cichym wspólnikiem. Ale doprowadziłem do tego, że Carrie dała mi wolną rękę, jeśli chodzi o prowadzenie własnego biznesu.

– Dobre określenie – zgodziła się sarkastycznie Oliwia. – Bo wygląda na to, że próbujesz działać, mając jedną rękę przywiązaną do pleców.

– Niezupelnie – odparł Jamie. – To prawda, musiałem z wielu rzeczy zrezygnować, Carrie ma większość asów w kieszeni, ale jeśli chodzi o nowe przedsięwzięcia, to mamy równy start. Będziemy ze sobą konkurować i muszę się przekonać, czy dam sobie radę. Szczerze mówiąc, od lat nie czułem się taki wolny i tak pełen energii.

W ciągu trzech miesięcy po Bostonie rozeszła się wieść, że nowa agencja Jamiego Ariasa robi najlepsze, najbardziej oryginalne i konkurencyjne cenowo kampanie reklamowe w całym mieście. Duże umiejętności Jamiego, jego zaangażowanie i prawdziwie chłopięcy zapał do pracy, naturalny wdzięk w kontaktach z klientami, a przede wszystkim niezaprzeczalny talent do kreowania wizerunków firm, układania haseł reklamowych i przygotowywania kampanii zostały docenione. Jamie, niczym nurek błędzący w mulistej wodzie, zdołał przebić się przez ciemność i przedostać do światła. Kości zostały rzucone i Carrie nic nie mogła na to poradzić.

Gdy Maggie Carmichael i Dawid Baum, ulubiona para copywriterów Jamiego, stanęli w progu biura JAA na Boyston Street, tylko umowa o niezatrudnianiu pracowników z konkurencyjnej firmy zawarta z Carrie powstrzymała Jamiego przed powitaniem ich z otwartymi ramionami.

– To nie jest nieuczciwe – zauważyła Maggie, gdy siedzieli w kawiarni koło biura, popijając cappuccino. – Wiesz przecież, że opuściliśmy Beaumont-Arias pięć miesięcy temu i przenieśliśmy się do agencji Steinfeld-Nicholson w Nowym Jorku...

– Gdzie byliśmy strasznie nieszczęśliwi – wtrącił Dawid – i tęskniliśmy do domu.

– Ale oboje wiedzieliśmy, że to nie Boston jest naszym domem – ciągnęła Maggie. – I nie pomyśl sobie, że mówię to, żeby ci się podlizać...

– Na pewno nie – przytaknął Dawid.

– ... ale naszym domem jest każda agencja, którą ty prowadzisz, Jamie.

– Mimo szacunku dla Carrie Beaumont Arias Arias...

– Czy jak tam może nazywać się kobieta, która kolejno poślubia dwóch braci – dodała złośliwie Maggie.

– Tak czy inaczej, ona nie ma prawa dyktować nam, gdzie mamy pracować – zakończył Dawid.

Jamie wypił łyk cappuccino i spostrzegł, że patrzą na niego wyczekująco.

– Więc? – spytała Maggie.

– Więc? – powtórzył jak echo Dawid.

Jamie odstawił filiżankę.

– Więc muszę porozmawiać ze swoim prawnikiem.

– Jakby powiedział bogobojny Żyd, to nie jest koszerne – stwierdził Bob Jacobson, prawnik Jamiego.

– Ale czy złamię postanowienie kontraktu? – spytał Jamie.

– Szczerze mówiąc – nie.

– Ale?

– Ale dobrze by było, gdybyśmy wzięli pod uwagę rzeczywistą intencję zawarcia tego kontraktu.

– Główną przyczyną było powstrzymanie mnie od przejmowania pracowników Beaumont-Arias...

– Dotyczy to także zatrudniania tych, których Carrie zwolni – zauważył Jacobson.

– Baum i Carmichael odeszli pięć miesięcy temu. Wyjechali do Nowego Jorku, do pracy w innej agencji. Teraz wrócili i chcą pracować dla JAA. – Jamie przerwał. – Czy mogę ich

zatrudnić?

- Sam sprowadzasz na siebie kłopoty – stwierdził prawnik.
- Przyzwyczailem się już do tego – odparł Jamie.
- W takim razie bierz ich.

Przez ponad miesiąc nie było żadnej reakcji ze strony Carrie, gdy nagle 23 grudnia w „Boston Daily News” ukazała się krótka notatka, a w kolejnym wydaniu „Advertising Life” obszerny artykuł, w którym Carrie znowu pokazała pazury.

Niejaki Silas Gilbert, niepozorny mężczyzna, który, jak Jamie z trudem sobie przypomniał, pracował w dziale zamówień Beaumont-Arias, udzielił gazecie wywiadu, w którym opowiadał o tym, jak strasznie musiała cierpieć przez te wszystkie lata pani Arias. Zwierzał się, że widział, jak Caroline – którą szczerze podziwiał i szanował – z anielskim spokojem znosiła udrękę koszmarnego małżeństwa, i mimo rozczarowań i uczucia, jakie żywiła do swojego szwagra, pozostawała lojalna i wierna swojemu mężowi.

Opowieść Gilberta w „Boston Daily News” opatrzone ogromnym żółtym nagłówkiem. W miarę czytania artykułu na twarzy Jamiego malowało się coraz większe niedowierzanie i wściekłość:

Pewnego dnia w biurze usłyszałem fragment ich rozmowy. Rozmawiali w sali konferencyjnej, gdzie właśnie zakończyło się jakieś duże spotkanie – powiedziałem „rozmawiali”, ale tak naprawdę to kłócili się na tyle głośno, że słyszać ich było w całym biurze.

Pani Arias oznajmiła mężowi, że gdy wszyscy dowiedzą się prawdy, to nikt nie będzie jej winić za odejście do innego mężczyzny, przynajmniej z moralnego punktu widzenia. Pamiętam, że użyła słowa „moralny”. Spytała pana Ariasa, czy sądził, że nie wie o jego małym ohydny romansie z tymi jego przyjaciółkami. Nie wierzyłem własnym uszom, ale mówię panu, nie mogłem po prostu udawać, że tego nie słyszę. To znaczy wiem, że nie powinno się podsłuchiwać, ale to, co usłyszałem, było tak okropne... każdy by słuchał dalej, no nie?

A ta kobieta tak wiele wycierpiała. Wiedziała, że jej mąż kręci z dwoma innymi kobietami, podobno jedna z nich jest mężatką i ma dzieci, a przy tym mówią, że jest narkomanką. Uważam, że pani Arias ma rację. Trudno dziwić się, że w takiej sytuacji porzuciła męża i odeszła z innym mężczyzną.

– Jak mogłaś? – Jamie spytał Carrie dwa dni po tym, jak wydanie „Advertising Life” pojawiło się na jego biurku. Próbował skontaktować się z nią od chwili, gdy zobaczył tę notatkę w „Boston Daily News”, ale była nieosiągalna aż do dzisiejszego poranka, kiedy to wkroczył prosto do jej biura, nie dając Markowi Reissowi, jej młodemu asystentowi, szansy na uprzedzenie Carrie.

– O czym mówisz, Jamesie? – Carrie siedziała spokojnie za biurkiem. Błat biurka był dokładnie wypolerowany i prawie zupełnie pusty. Tylko z boku stało zdjęcie ślubne Carrie i Petera, a na środku leżała teczka z papierami. – I wolałabym, żebyś nie wpadał do mojego biura bez uprzedzenia.

Jamie rzucił jej na biurko egzemplarz „Advertising Life”.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś dziwką, Carrie, ale nigdy nie przypuszczałem, że możesz posunąć się tak daleko.

Podniosła cienko wyskubaną brew.

– Czymże cię tak zdenerwowałam, Jamesie? Powiedz mi, proszę.

– Ile zapłaciłaś Gilbertowi? Widziałem przed chwilą, jak wychodził z twojego biura. Czy był bezrobotny? Ile czasu zajęło ci znalezienie odpowiedniego człowieka do tej roboty? Ile mu zapłaciłaś?

– Może powinienes usiąść? – zaproponowała uprzejmie Carrie. – Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

– Nigdy więcej nie zamierzam przebywać w twoim towarzystwie – oznajmił Jamie chłodno. – Chyba że na sali sądowej.

– Czy to groźba?

– A czy naprawdę wierzyłaś, że pozwolę ci szkalować moją przyjaciółkę?

Carrie potrząsnęła głową, a jej szeroko otwarte, niebieskie oczy patrzyły z udawaną niewinnością.

– Jamesie, Jamesie, o której przyjaciółce mówisz? – Spojrzała na „Advertising Life”. – Chyba nie myślisz o tym wywiadzie z Silasem Gilbertem? Cóż ja mam z tym wspólnego? – Wzięła głęboki oddech i dodała: – I którą z twoich przyjaciółek obraził ten artykuł? Powiedz. Z przyjemnością się dowiem, podobnie jak inni.

Jamie patrzył na nią z nieukrywanym wstrętem.

– Powiedz, Carrie, dobrze sypiasz?

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała. – Oczywiście, jeśli twój brat pozwoli mi na to – dodała z uśmiechem. – A przy okazji, co słyhać u Oliwii i Annie? Wiesz, brakuje mi twoich opowieści o nich.

– I dlatego wymyślasz je sama, tak? – spytał Jamie.

– Nie – odparła Carrie. – Nie ma potrzeby wymyślania czegokolwiek, skoro prawda jest o wiele ciekawsza.

– Więc przyznajesz, że miałaś na myśli Annie? – spytał Jamie.

– Ja? Mówisz chyba o Silasie Gilbertcie. – Przerwała. – A chciałbyś, żebym się do tego przyznała, Jamesie? Chciałbyś, żeby pan Gilbert podał w następnym artykule nazwiska twoich przyjaciółek?

– Zrób to, a będziesz żałować tego kroku do końca życia.

– Spróbuj tylko mi zaszkodzić – rzuciła Carrie – a zobaczysz, do czego jestem zdolna.

– Chcę ją oskarżyć o zniesławienie – oznajmił Jamie Bobowi Jacobsonowi. – I chcę, żeby sąd zakazał jej wypowiadać się na ten temat.

– Nie sądzę, żeby ci się to udało – stwierdził prawnik. – Mówiłeś mi, że rozmowa między tobą a Carrie, którą przytoczył Gilbert, rzeczywiście miała miejsce. A reszta, jak sam przyznał, to plotki.

– Ale ani on, ani nikt inny nie mógł słyszeć tego, o czym rozmawialiśmy w sali konferencyjnej – zaprotestował Jamie. – Tam są specjalnie wytłumiane ściany, drzwi są grube, a poza tym były zamknięte i żadne z nas nie krzychało. Mówię ci, to Carrie kazała mu to wszystko powiedzieć.

– Nie przeczę – zgodził się Jacobson – ale trudno będzie to udowodnić, a poza tym twoje oskarżenia są bezzasadne. Prawo mówi, Jamie, że nie możesz pozwać o zniesławienie kogoś, kto mówi prawdę. Przypominam ci, że rozmowa, którą on cytuję, jest prawdziwa.

– To nie Gilberta chcę pozwać – odparł Jamie zrezygnowanym głosem. – Oboje wiemy, że Carrie zapłaciła mu, żeby opowiedział tę historię.

– Nigdy tego nie udowodnimy, a nawet jeśli by nam się to udało, nie mamy podstaw do wniesienia oskarżenia.

Jamie potrząsnął głową.

– Więc ona ma prawo nazywać moją przyjaciółkę – podkreślam, przyjaciółkę – narkomanką i nie poniesie za to konsekwencji?

– Nie padły żadne nazwiska, Jamie – powiedział łagodnie Jacobson. – I dziękuj za to Bogu.

– Mam jeszcze za to dziękować? – powtórzył z goryczą Jamie.

– Z tego, co mi mówiłeś, wynika, że jeśli teraz dasz sobie spokój z oskarżeniami, cała sprawa przyschnie, umrze śmiercią naturalną. A jeśli zaczniesz walczyć z Carrie, konsekwencje tej walki mogą ponieść inni.

Jamie wiedział, że Jacobson ma rację i że nie ma wyboru, musi zacisnąć zęby i siedzieć cicho. Prawnik powiedział wyraźnie: jeśli teraz przestanie rozdmuchiwać tę obrzydliwą, ale w gruncie rzeczy drobną awanturę, najprawdopodobniej europejscy znajomi Annie i Oliwii nigdy nie dowiedzą się o całej sprawie.

Tego wieczoru, kiedy wrócił do domu po spotkaniu z Jacobsonem, długo i intensywnie myślał o Oliwii. Rzadko wspominał to, co zdarzyło się między nimi wiosną. Zdawał sobie sprawę, że ta noc znaczyła dla niej tylko tyle, ile powiedziała, że znaczy. Oliwia zawsze była uczciwa, czasami nawet bywało to bolesne: „Przyjaźń i prawdziwa miłość, ale tylko taka, jaka zawsze nas łączyła”. Pomyślał z odrobiną nadziei, że tego poranka zobaczył w jej oczach coś więcej, ale z drugiej strony była taka stanowcza i między nimi nic się nie zmieniło. Nadal łączyła ich tylko przyjaźń.

Bob Jacobson nie pytał o tożsamość kobiet, o których Silas Gilbert mówił w wywiadzie dla „Boston Daily News”, a Jamie wcale nie miał ochoty ujawniać ich nazwisk. Nie było takiej potrzeby, skoro i tak nic nie można było zrobić. W tej sytuacji mógł mieć jedynie nadzieję, że nikt – a zwłaszcza Annie – na tym nie ucierpi. Przynajmniej, dzięki Bogu, prawie nikt w Bostonie i nikt z jego branży nie wiedział o więzi, która łączyła go z przyjaciółkami.

Nagle zmroziła go straszna myśl: a co będzie, jeśli Carrie dowiedziała się o tym, co zaszło między nim a Oliwią? Jeśli ktoś z rodziny – Louise, Daisy, a może Michael – powiedział jej, że przywiózł Oliwię do domu w Newport? Michael mógł, nie widząc w tym nic złego, napomknąć o sprawie Peterowi. Jamie był w stanie wyobrazić sobie, jak Peter i Carrie spróbują to wykorzystać. Pamiętał nieprzyjemne aluzje Petera rzucone podczas ich spotkania w sklepie i był pewien, że on i Carrie są w stanie nadać tej wizycie dwuznaczny charakter.

Tyle tylko, że nie mieli żadnych podstaw do snucia domysłów. Załóżmy, że Carrie widziała go tego wieczora z Oliwią. Dopóki nie weszli do mieszkania, nic się nie wydarzyło. W mieszkaniu zaś nikt nie mógł ich zobaczyć. Nie było tam żadnych „pluskiew” czy ukrytych kamer, jak w jakimś sensacyjnym filmie. To tylko wytwór wyobraźni zwyczajnego, choć niespecjalnie szczęśliwego Jamiego Ariasa, próbującego robić to, o co w myśli oskarżał swoją byłą żonę i brata, tworzyć fakty, które nie miały miejsca.

Nalał sobie mocnego drinka i przywołał się do porządku. Podeszedł ze szklanką w dłoni do okna, pociągnął z niej łyk i spojrzał na wybrzeże. Było tak, jak powiedział Bob Jacobson: nie mógł zrobić prawie nic. Carrie wrzuciła mały ostry kamyczek do jego ogródka. Jamie mógł jedynie zachować spokój i cierpliwie poczekać, aż zamilknie echo upadającego kamyka.

W związku z pracą, którą wykonywała, niezależnie od aktualnego miejsca zamieszkania, Oliwia czytała wiele amerykańskich gazet i pism branżowych. Ze względu na Jamiego prenumerowała także „Advertising Life”, szukając tam informacji na temat swego przyjaciela i jego agencji JAA. W drugim tygodniu stycznia natknęła się na przedruk wywiadu Silasa Gilberta i przeczytawszy go, mało nie spadła z krzesła z wściekłości. Natychmiast zadzwoniła do Jamiego.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytała go.

– Nic. Naprawdę nic z tym nie mogę zrobić.

– Co? – spytała z niedowierzaniem. – Musisz ją pozwać do sądu, Jamie.

– Nie mogę.

Opowiedział Oliwii o rozmowie z prawnikiem i próbował przekonać, że ma rację. Był taki spokojny, taki zrezygnowany, że Oliwia miała ochotę natychmiast wsiąść do samolotu, polecieć do Bostonu i mocno nim potrząsnąć.

– Musimy coś zrobić – oświadczyła. – Ona nadal ci grozi, Jamie. Nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, jakich kłamstw może użyć, kiedy znowu przyjdzie jej do głowy walczyć z tobą.

– Będę się martwił, gdy do tego dojdzie – stwierdził Jamie.

– Dobrze, ale co z Annie?

– Jak to co? – spytał zaniepokojony. – Chyba nie powiedziałaś jej o tej sprawie?

– Jeszcze nie.

– Oliwio, nie możesz jej o tym powiedzieć.

– Dlaczego? Annie jest teraz wystarczająco silna i znakomicie układa jej się z Edwardem.

– Dlatego właśnie nie chcę niszczyć tej harmonii – upierał się Jamie. – I nie chcę rujnować twojego życia.

– Na litość boską, Jamie! – Zaczynał ją naprawdę denerwować. Nagle uderzyła ją pewna myśl: – Sądysz, że Carrie wie o nas i o tym, co zdarzyło się po powrocie z Newport? Jeśli tak, to możesz przestać się tym martwić, nic mnie nie obchodzi, co Carrie sobie o nas myśli czy mówi.

W słuchawce zapadła cisza.

– O tym Annie też nie może wiedzieć – odparł w końcu Jamie.

– A czy nie sądzisz, że ma prawo wiedzieć?

– Zapewne tak – przytaknął Jamie. – Ale, prawdę mówiąc, nie uważam, żeby to coś zmieniło. Tyle tylko, że Edward może uwierzyć Carrie i rozpętać piekło. To rozsądny człowiek, ale nie zna jej tak dobrze jak ja.

– Nie mogę znieść myśli, że Carrie nie poniesienie żadnej odpowiedzialności za to, co zrobiła – oświadczyła Oliwia.

– Czy wiesz, jak ja się czuję? – zapytał Jamie.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Czyżby?

– Oczywiście – powiedziała Oliwia łagodniejszym tonem.

– Obiecuj, że nie powiesz nic Annie – nalegał Jamie.

Oliwia już podjęła decyzję i wiedziała, że jej nie zmieni.

– Dobrze – powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to szczerze.

– Obiecuj mi to, Oliwio.

– Przysięgam – powiedziała, dodając w myślach: „że jej powiem”.

A potem wykręciła numer telefonu Annie.

– Przyjeżdżam zobaczyć się z tobą – oznajmiła.

– Świetnie – odparła Annie. – Kiedy?

– Jutro.

– Nie możesz poczekać do weekendu? – spytała Annie, mając przed oczami swój kalendarzyk wypełniony spotkaniami, wyjściami z Edwardem, zajęciami dzieci i setką innych zobowiązań.

– Nie – odpowiedziała Oliwia.

– Och, rozumiem.

– Muszę ci coś pokazać – dodała Oliwia wyjaśniającym tonem. – To ważne. – Urwała. – Ale, Annie, jeśli będziesz rozmawiać z Jamiem nie mów mu, że dzwoniłam. Jeśli mimo to dowie się, że przyjeżdżam do Anglii, powiedz mu, że zapewne wybieram się do fundacji mojego ojca. Zresztą powiedz mu, co chcesz, tylko nie mów o naszej rozmowie.

Tak jak Oliwia podejrzewała, Annie była zbulwersowana. Wieczorem następnego dnia siedziały przy kuchennym stole w Banbury Farm House, zasłanym wycinkami z „Advertising Life” i „Boston Daily News”. Edward był w Londynie, Sophie, William i Liza leżeli już w łóżkach, a Marie-Louise wyszła ze swoim narzeczonym, miejscowym hodowcą bydła. Koty, Leo i Boots, spały przy kuchni zwinięte w kłębek, a Bella leżała pod stołem, najedzona po uszy pozostała z obiadu pieczoną baraniną.

– Nie wiem, co na to wszystko powie Edward – stwierdziła Annie.

– Musisz mu o tym mówić?

– O, tak – odparta Annie stanowczo. – Teraz nie mam już przed nim żadnych tajemnic. Nie warto.

– Masz rację – przyznała Oliwia, przypominając sobie te straszne, bolesne noce i dni w Genewie, a potem pomyślała o swoim sekrecie, o nocy spędzonej z Jamiem. Czasami żałowała, że nie opowiedziała o wszystkim Annie, byłoby jej łatwiej. Ale teraz jest już za późno.

– Przynajmniej nie wymieniono naszych nazwisk – zauważyła Annie.

– A co to za różnica?

– Dla mnie duża – stwierdziła Annie.

– No tak. Ale ty to co innego.

Annie raz jeszcze rzuciła okiem na wycinki i zdjęcie Jamiego i Carrie.

– Ona naprawdę jest niebezpieczna, prawda?

– Tak, i to bardzo.

– Czy wiesz, dlaczego to zrobiła?

– Najwyraźniej ona i Jamie mieli miesiąc temu jakieś kłopoty, coś związanego z agencjami. Jamie mówił, że spodziewał się jakiejś reakcji ze strony Carrie i właśnie zaczynał zapominać o całej sprawie, kiedy to się stało. Oczywiście nie posiada się ze wściekłości –

zwłaszcza ze względu na ciebie, ale uważa, że nic nie może zrobić. Carrie rzeczywiście oskarżyła go kiedyś o romans z nami i nikt nie może udowodnić, że ta kreatura Gilbert nie podsłuchał tej rozmowy.

Annie słuchała z szeroko otwartymi oczami.

– Ale jakim cudem Carrie mogła wymyślić sobie coś takiego? Posądzać właśnie nas? Nie mówię o tej aluzji do mojego uzależnienia, co samo w sobie jest już wystarczająco wstrętne... – Policzki poczerwieniały jej z gniewu. Co innego omawianie swoich problemów w grupie terapeutycznej, do której należała, a co innego takie bezpośrednie oskarżenie.

– Wiem – powiedziała łagodnie Oliwia. – Wiem.

– Uważam, że to jest nie do pomyślenia – ciągnęła Annie.

– Absolutnie – zgodziła się Oliwia.

– Jamie jest dla mnie jak brat i Carrie o tym wie.

– Carrie ma zatruty umysł. – Oliwia wygładziła dłońmi leżące wycinki. – Trzeba ją powstrzymać.

Annie spojrzała na nią z niepokojem.

– Myślisz, że to jeszcze nie koniec?

– Nawet jeśli tak, nie zamierzam pozwolić, aby jej się upiekło. – Oliwia urwała. – Wiesz przecież, że cały czas szantażowała Jamiego tym oskarżeniem. To dlatego zgodził się na jej warunki rozwodowe.

– Powiedział ci to?

– Niezupełnie. Nie musiał. Gdy tylko wymknęło mu się, że ten robak Gilbert podsłuchał, jak Jamie rozmawiał o nas z Carrie, wiedziałam, że Carrie musiała mu tym grozić od dłuższego czasu.

– Ale te groźby w ogóle nie mają pokrycia w rzeczywistości – powtórzyła Annie z udawką w głosie.

– Znasz Jamiego – odparła Oliwia. – Nigdy nie pozwoliłby na skrzywdzenie nas. Przede wszystkim bał się, że ściągnie kłopoty na ciebie i Edwarda.

– Masz rację, rzeczywiście.

Annie wyraźnie poruszona wstała i podeszła do zlewu. Odkręciła kurek z zimną wodą, która poleciała z taką siłą, że odbiła się od leżącej w zlewie łyżki i opryskała Annie. Ta mechanicznie zakręciła wodę, zapominając, po co w ogóle ją odkręcała.

– Mój Boże, Liwi – powiedziała. – I co my teraz z tym zrobimy?

– Naprawimy wszystko – odrzekła Oliwia z satysfakcją w głosie.

– Naprawimy? – Annie wróciła do stołu i usiadła. – Nie wiem, jak miałybyśmy to zrobić.

– Ale zgadzasz się, że coś trzeba zrobić?

– Tak. Oczywiście. – Annie czuła narastającą w niej złość i z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że gniew wpływa na nią pobudzająco. – Tak. Oczywiście, że musimy coś zrobić. Tylko co?

Oliwia uśmiechnęła się do niej.

– Prawdę mówiąc, mam pewien pomysł – rzekła. – W samolocie zrobiłam notatki. Jest jeszcze wiele szczegółów do dopracowania, no i będziemy potrzebowały czyjejś pomocy. Ale chyba mam już plan, jak to zrobimy.

Annie odwzajemniła uśmiech i powiedziała:

– Tak właśnie myślałam. W takim razie opowiedz mi o nim.

– Dobrze – odparta Oliwia. – Oto mój pomysł. Wiemy parę rzeczy o Carrie, prawda? Wiemy, że jest egoistką i zapatrzoną w siebie tyranką. Zrobi wszystko dla osiągnięcia sukcesu, a najważniejszy jest dla niej jej wizerunek dla świata i własny wygląd. Wobec tego najmocniej zranimy ją, wyrywając ogromną dziurę w tym wizerunku.

– Mów dalej – wtrąciła Annie zaintrygowana.

– Wiemy także, że ta kobieta jest wyjątkowo przebiegła i wścibska. Dlatego musimy zaplanować naszą małą intrygę bardzo, bardzo dokładnie.

Annie po raz pierwszy zawahała się.

– Rozumiem, że chcemy tylko dać Carrie nauczkę. Że nie chcemy jej zrobić krzywdy.

– Oczywiście, że nie – odparta oschle Oliwia. – Ale musimy zagrać ostro – dodała, patrząc na Annie wyzywająco. – Nie powiesz mi, że Carrie na to nie zasługuje?

– O, tak – odrzekła Annie, myśląc o Jamiem, kochanym, beztroskim, cudownym Jamiem.

– Z pewnością zasługuje.

– To szalony pomysł i nie mam pojęcia, jakim cudem zdołamy wprowadzić go w życie – stwierdziła Annie kilka godzin później.

– Uda nam się – powiedziała Oliwia. – Wiem, że tak będzie. Czeka nas dużo pracy i będę potrzebować twojej pomocy, więc musimy poinformować o wszystkim Edwarda, oczywiście,

jeśli się zgodzisz.

– Sama nie wiem – odparła Annie i potrząsnęła głową. – To znaczy, rozumiem, że to idealny sposób na trafienie w czuły punkt Carrie. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego zdecydowałaś się na tak brutalną zemstę?

– A co tu jest do rozumienia – zachnęła się Oliwia. – Przecież obie wiemy, że Carrie na to zasługuje, prawda?

– Zdecydowanie tak – przytaknęła Annie. – Nie o to mi chodzi, Liwi. – Spojrzała uważnie na przyjaciółkę. – Zawsze byłaś najsilniejsza, najodważniejsza z nas trojga, ale przecież prowadzisz normalne życie, ciężko pracujesz i z równym zaangażowaniem bawisz się, po prostu kochasz życie.

– To prawda – zgodziła się Oliwia.

– Więc jak możesz stawiać wszystko na jedną kartę dla kogoś tak okropnego jak Carrie? Na miłość boską, Liwi, jeśli ona przyłapie cię na gorącym uczynku... – Przerwała. – Jeśli przyłapie nas, rozpęta się prawdziwe piekło.

Oliwia zaprotestowała.

– Myślę, że warto podjąć takie ryzyko. Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie.

– Ale dlaczego? Tego właśnie nie rozumiem – stwierdziła Annie z niedowierzaniem. – Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? Czy Carrie zrobiła ci coś, o czym nie wiem?

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekła szybko Oliwia. – Czy nie uważasz, że wystarczającym usprawiedliwieniem jest to, co uczyniła Jamiemu, i to, co zamierza zrobić nam?

– Tak – odrzekła Annie nadal pełna wątpliwości. Dręczyło ją przekonanie, że Oliwia coś przed nią ukrywa. – Czy zdajesz sobie sprawę, ile pieniędzy trzeba będzie włożyć w realizację tego planu?

– Mam więcej pieniędzy niż mogę wydać – odparła Oliwia niewzruszenie. – Z przyjemnością wydam je na odpłacenie Carrie pięknym za nadobne.

– Ja też – przyznała Annie. – Ale nie o pieniądze się martwię.

– A o co?

Annie znowu potrząsnęła głową.

– To takie bezwzględne.

– Już to mówiłaś.

– Wiem – urwała. – Więc naprawdę nic się za tym nie kryje? Nic, o czym powinnam wiedzieć?

Przed oczami Oliwii stało urwisko w Newport i jak zawsze, gdy o tym myślała, łazienka Jamiego i ich dwoje w wannie.

– Nie – odrzekła w końcu stanowczo.

– Dobrze – stwierdziła Annie.

– Dobrze?

– Tak. Zgadzam się.

– Naprawdę? – Oliwia spojrzała na nią uważnie. – Skoro uważasz, że to zbyt szalone i ryzykowne, a tak rzeczywiście jest...

– Chcę wraz z tobą pomóc Jamieemu – oznajmiła Annie. – To przewiduje nasz pakt. Nie ma dwóch zdań, że trzeba powstrzymać Carrie, a jeśli uda nam się przeprowadzić ten plan, to wygramy z nią raz na zawsze. – Uśmiechnęła się. – Wchodzę w to częściowo dlatego, że cieszy mnie, iż uznałaś, że jestem na tyle silna, że mogę ci pomóc – Przerwała. – Ale przede wszystkim dlatego, że nie mogę pozwolić, abyś pakowała się w to sama, zwłaszcza że uważam, że nie do końca zdajesz sobie sprawę z tego, co zamierzasz zrobić.

– Czy jesteś tego pewna? – spytała Oliwia. – Nie chcę zmuszać cię do robienia czegoś, czego nie chcesz, Annie.

– Jestem pewna – odparła Annie zdecydowanie. – Nadal tylko nie jestem pewna, czy nie powinniśmy powiedzieć o wszystkim Jamieemu. Myślę, że on ma prawo wiedzieć.

– Nie. – Oliwia stanowczo potrząsnęła głową. – Po pierwsze, znając Jamiego, nigdy by się na to nie zgodził. – Oliwia rzuciła okiem na notatki, które zapisała, i w jej zielonych oczach pojawił się błysk na myśl o tym, co się wydarzy. – A poza tym, uda nam się tylko wtedy, jeśli Jamie nie będzie o niczym wiedział.

Annie przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym odezwała się:

– Co możemy powiedzieć Edwardowi?

– Myślałam, że nie chcesz już mieć przed nim żadnych tajemnic?

– To prawda. I widzę, że będziemy musiały chociaż częściowo poinformować go o naszych planach.

– Ale nie powiemy mu wszystkiego – wtrąciła Oliwia.

Annie uśmiechnęła się ponuro.

– Nie. Naturalnie Edward nawet nie będzie próbował zabronić mi zrobienia czegoś, na czym bardzo mi zależy. Ale może próbować odwieść mnie od tego, więc uważam, że nie powinniśmy podawać mu wszystkich szczegółów.

– Zdecydowanie tak – zgodziła się Oliwia. – Jak mówi przysłowie: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”.

– Oczywiście, o ile wszystko się nie wyda – zakończyła Annie.

Rozdział 16

Pierwsza przynęta została zarzucona dwadzieścia cztery dni później. W poniedziałek, 26 lutego, osobisty asystent Carrie wszedł do jej biura z szarą kopertą przeznaczoną do rąk własnych pani Arias. Carrie, która właśnie rozmawiała przez telefon, nakazała gestem głowy, aby zostawił list na bibularzu. Otworzyła go czterdzieści minut później.

Szanowna Pani.

Piszę do Pani na polecenie prezesa pewnej szwajcarskiej korporacji, dobrze znanej w tej branży. Zostałem zobowiązany do skontaktowania się z Panią w sprawie pewnego przełomowego produktu, który wkrótce zostanie udostępniony obywatelom Stanów Zjednoczonych.

Jakkolwiek nie zostałem upoważniony do ujawnienia na tym wczesnym etapie dalszych szczegółów, mogę zapewnić Panią, że wspomniany produkt przyczyni się do znacznej poprawy samopoczucia i zdrowia psychicznego dużej części narodu amerykańskiego, a swoim twórcom i wszystkim, którzy wezmą udział w jego popularyzacji i wprowadzeniu na rynek, przyniesie kolosalne, bezprecedensowe korzyści finansowe.

Jestem przekonany, iż rozumie Pani, że produkt o tak wielkim potencjale wymaga odpowiedniej reklamy i właściwej prezentacji. Krótko mówiąc, Pani Arias, nasz produkt potrzebuje idealnej kampanii reklamowej. Ze względu na konieczność zachowania maksymalnej ostrożności i poufności, na obecnym etapie złożyliśmy naszą propozycję tylko jednej agencji – firmie prowadzonej przez Panią. Wybraliśmy ją z wielu powodów.

Beaumont-Arias jest małą agencją, ale jesteśmy przekonani, że posiada możliwości i doświadczenie niezbędne do sprostania wymaganiom takiej kampanii. Ponadto jej pracownicy legitymują się dużym potencjałem twórczym i talentem we wszystkich interesujących nas aspektach. Z naszych informacji wynika, że aktualnie agencja nie realizuje żadnych zleceń, które mogłyby być przyczyną powstania konfliktu interesów. Pozwoliliśmy sobie również na zebranie pewnych informacji na temat Pani osoby i uznaliśmy, że odpowiada Pani naszym wymaganiom.

Skontaktuję się z Panią ponownie w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jeśli jest Pani zainteresowana naszą propozycją i chciałaby uzyskać więcej informacji na temat samego produktu, proszę o poinformowanie mnie o tym.

Z wyrazami szacunku

G. Schnabel

Carrie przeczytała list dwukrotnie. Rzuciła okiem na nagłówek – G. Schnabel, AG i numer skrytki pocztowej w Bernie. Żadnego adresu, numeru telefonu czy faksu. Odłożyła list na bok i wcisnęła przycisk na interkomie.

– Mark, w jaki sposób dostarczono list? Ten adresowany bezpośrednio do mnie.

– Przez posłańca, pani Arias.

– Z jakiej firmy.

– FedEx, proszę pani.

Wyłączyła interkom i ponownie wzięła list do ręki.

– Bzdura – powiedziała.

Pewnie to nic sensacyjnego. Nawet jeśli jeden z potentatów farmaceutycznych wypuszcza na rynek nowy Prozac, czy coś w tym stylu, to była niemal stuprocentowo pewna, że taki sam list otrzymali właściciele wszystkich agencji reklamowych w kraju.

Drugi list przyszedł w trakcie zebrania. Tym razem podano numer telefonu. Jeśli pani Arias jest naprawdę zainteresowana tym niezwykłym przedsięwzięciem, pan Schnabel oczekuje na telefon między dziewiątą rano a południem czasu wschodnioamerykańskiego.

Carrie zadzwoniła na berneński numer telefonu za pięć dwunasta.

– Proszę z panem Schnablem.

– A kto mówi?

– Carrie Beaumont-Arias. – Carrie dobrze mówiła po francusku, miała natomiast trudności z niemieckim. Z drugiej strony, nie musiała uczyć się tego języka, ponieważ z większością Niemców i Szwajcarów można było porozumieć się po angielsku.

Prawie natychmiast uzyskała połączenie.

– Pani Arias? Tu Gerhard Schnabel. Tak się cieszę, że pani zadzwoniła.

Miał miły głos o śpiewnym brzmieniu, charakterystycznym dla większości mieszkańców kantonów niemieckojęzycznych.

– Pańskie listy zaintrygowały mnie – oświadczyła Carrie. – Trochę to wszystko zbyt tajemnicze, ale zdecydowałam, że zadzwonię.

– Bardzo mnie to cieszy – wtrącił kurtuazyjnie Schnabel.

– Więc co to za produkt? – spytała Carrie, zerkając na nowy zegarek Cartiera, który dostała na gwiazdkę od Petera. Za pół godziny miała umówione spotkanie. – Za kwadrans muszę wyjść, więc mogę poświęcić panu tylko dwie minuty.

– Oczywiście – zgodził się Schnabel. – Pani Arias, jeśli pani agencja jest zainteresowana przygotowaniem małej prezentacji dla moich klientów...

– A kim są pańscy klienci, panie Schnabel?

– Nie jestem upoważniony do udzielenia pani tej informacji, pani Arias.

– A co może mi pan powiedzieć? – spytała Carrie ze zniecierpliwieniem.

– Obawiam się, że niewiele.

– To po co prosił mnie pan o telefon? – Jej poirytowanie rosło.

– Po pierwsze, aby nawiązać bezpośredni kontakt – odrzekł Schnabel – oraz żeby poinformować panią, że dopóki nie podpisze pani oficjalnego dokumentu, zobowiązującego panią do zachowania tajemnicy służbowej, nie będzie żadnych bezpośrednich spotkań, a nawet kontaktów telefonicznych z moimi klientami, nie mówiąc już o ujawnieniu jakichkolwiek szczegółów na temat ich produktu.

– To absurd – rzuciła sucho Carrie. – Jestem bardzo zajęta, a skoro, jak pan twierdzi, pańscy klienci zebrali niezbędne informacje, to wiedzą, że moja agencja zajmowała się już o wiele bardziej delikatnymi i poufnymi zleceniami.

– Pani Arias – powiedział ugodowo Schnabel – zapewniam panią, że moi klienci są tego świadomi, niemniej jednak zdecydowali nie podawać dalszych informacji, dopóki zainteresowana agencja nie podpisze dokumentu o przestrzeganiu tajemnicy.

– Sądziłam, że skontaktowali się tylko z Beaumont-Arias.

– Na razie tak – potwierdził Schnabel i dodał: – Jeśli okaże pani gotowość do przedyskutowania takiego dokumentu ze swoimi prawnikami, nie będą prowadzili rozmów z innymi agencjami.

Carrie postukała w biurko idealnie opiłowanym, pomalowanym na kolor krwistej czerwieni paznokciem.

– Rozumiem, że podpisanie takiego dokumentu nie pociąga za sobą żadnych zobowiązań?

– Oczywiście, że nie, pani Arias – zapewnił ją Schnabel. – To jest po prostu narzędzie, konieczne do rozpoczęcia dalszych negocjacji. Po podpisaniu dokumentu udostępnimy pani wszystkie potrzebne informacje.

Carrie gorączkowo myślała. Coś mówiło jej, że może mimo wszystko to wcale nie jest taka bzdura, a lata doświadczeń nauczyły ją ufać własnym przeczuciom. „Wspomniany produkt przyczyni się do znacznej poprawy samopoczucia i zdrowia psychicznego dużej części narodu amerykańskiego” – te słowa przekonały ją do wykonania jeszcze jednego kroku. Nie mogła zaangażować swoich ludzi w najbardziej błyskotliwą kampanię, jaką kiedykolwiek przygotowywali, nie znając dalszych szczegółów. A gdyby, mimo wszystko, okazało się, że to kolejny niewypał czy jeden z tych bzdurnych preparatów, gwarantujących wieczną młodość, mogła zawsze wycofać się lub pozwać ich do sądu.

– Pani Arias? – spytał ostrożnie Schnabel.

– Przyślijcie mi papiery. Pokażę je moim prawnikom.

– Jutro będą leżeć na pani biurku, pani Arias – powiedział Schnabel.

Carrie rozłączyła się.

Oliwia, Annie i Feliks Pfäniger popatrzyli na siebie z lekkim przestraszonym. Siedzieli w jednopokojowym biurze przy Schanzlistrasse w Bernie, które Oliwia wynajęła na cały miesiąc.

– Kupiła to – powiedziała Oliwia. – Naprawdę to kupiła.

– Mój Boże, Feliksie – dodała Annie. – Byłeś niesamowity.

Pfäniger próbował protestować.

– Jestem aktorem. Nie byłbym wiele wart, gdybym nie umiał przeprowadzić takiej prostej rozmowy telefonicznej.

Oliwia wstała, podeszła do biurka, przy którym siedział, i nachyliła się, żeby go uściskać.

– Muszę zgodzić się z Annie, byłeś wspaniały, Feliksie. – Pocałowała go w jasną, złotowłosą głowę. – Dzięki, Schätzli.

Pfäniger spojrzał na Oliwię z nieukrywanym zachwytem. Poznali się, gdy mieszkała jeszcze w Genewie. Przyjaciółka Oliwii, Diana Brünli, przedstawiła ich sobie na przyjęciu wspólnych znajomych i Feliks od razu zakochał się w niej po uszy. Kilka razy umówili się na kolację, Oliwia odwiedziła go również w Zurychu, gdzie mieszkał, i obejrzała sztukę z jego udziałem wystawianą w Schauspielhaus. Jednak, ku wielkiemu rozczarowaniu Feliksa, nie

odwzajemniała jego uczucia. Mimo to nie zerwali znajomości. Oliwia zawsze starała się nie zrywać kontaktów z mężczyznami, których lubiła i z którymi się spotykała. A ponieważ spotykała się tylko z tymi, których lubiła, przez te wszystkie lata zyskała wielu przyjaciół w różnych zakątkach świata.

– Wiesz, że to dopiero początek? – spytała. – Teraz, kiedy Carrie połknęła haczyk...

– Jeśli podpisze papiery... – zauważyła Annie.

– Podpisze. – Oliwia nabrała pewności siebie. – Nawet ty uznałaś, że są wiarygodne, a przecież jesteś największym spośród nas niedowiarkiem.

– To, co ja uznaję za wiarygodne – stwierdziła Annie – może nie być takie przekonujące dla Carrie lub jej prawników.

– Julius uważa, że wytrzymają próbę – powiedziała Oliwia. Jej kolejny przyjaciel, Julius Staheli, prawnik dużej firmy w Lozannie, przygotował dokument z klauzulą tajności.

Annie rzuciła okiem na zegarek. Było piętnaście po piątej. Gdyby była u siebie w Stone Bridge, właśnie zasiadałaby z dziećmi do podwieczorku i wydawała Marie-Louise dyspozycje dotyczące przygotowania kolacji.

– Czy nie powinniśmy zadzwonić do FedEx i potwierdzić wysyłkę?

– Powinniśmy – zgodziła się Oliwia. – I przypomnij mi o włączeniu automatycznej sekretarki. Tak na wszelki wypadek, gdyby Carrie przyszło do głowy jeszcze raz zadzwonić.

Oliwia uznała, że jak na początkową fazę realizacji planu, całkiem nieźle jej poszło. Umówiła się z Marią di Benetto, znajomą tłumaczką ze Strasburga, że ta przejmie na kilka tygodni jej zlecenia. Udało się jej także skompletować doborowy zespół ekspertów, przyjaciół, którym wmówiła, że biorą udział w bezkrwawym, ale, daj Boże, skutecznym dwudziestowiecznym polowaniu na czarownice. Annie, będąca pod dużym wrażeniem liczby przyjaciół i ekskochanków Oliwii, gotowych do odegrania ról wszelkiego rodzaju specjalistów, nazywała ich „komandem Segal”. Chociaż nadal trochę bała się tego, co może się wydarzyć, kiedy Carrie dowie się o ich intrydze, musiała przyznać, że nigdy dotąd nie bawiła się tak dobrze.

W trzydzieści sześć godzin po tym, jak Carrie podpisała w biurach kancelarii Herbert, Morgan & Bendell klauzulę tajności, Gerhard Schnabel, alias Feliks Pfäniger, zorganizował jej przelot pierwszą klasą do Zurychu.

– Czy musimy wydawać tyle pieniędzy na pierwszą klasę? – spytała Annie. – Chyba wystarczyłaby bussines class?

– Carrie Beaumont-Arias lata tylko pierwszą klasą – stwierdziła stanowczo Oliwia. – Jeśli jej nie docenimy, możemy ją stracić. Poza tym uważam, że to dobra inwestycja.

– Po prostu trudno mi pogodzić się z myślą, że sprawiamy jej przyjemność – westchnęła Annie.

– To tylko środek do osiągnięcia celu, Annie – przypomniała jej Oliwia. – I zwycięstwa.

Na lotnisku Kloten czekał na Carrie czarny mercedes, który zawiózł ją bezpośrednio do hotelu Bellevue Palace w Bernie. Tam, w luksusowym apartamencie, umeblowanym w stylu Ludwika XV, czekała już na nią przyjaciółka Feliksa Pfänigera, aktorka ze Stadtheater, która miała odegrać wyznaczoną jej rolę. Niecałe trzy godziny później Carrie, zaintrygowana i podekscytowana, siedziała z powrotem w limuzynie wiozącej ją do Zurychu.

– Dlaczego spotykamy się tutaj? – spytała Carrie Gerharda Schnabla i Ruth Müller. Ruth, która przedstawiła się jako dyrektor Lumitechnik AG, firmy produkującej lasery, była elegancką kobietą po trzydziestce, ubraną w stonowany, klasyczny kostium.

– Przede wszystkim ze względu na pani wygodę – odparła Müller.

– Ale także ze względów bezpieczeństwa, pani Arias – dodał Schnabel. – Lumitechnik jest filią firmy mającej fabrykę w pobliżu St. Gallen, a ponieważ produkuje się tam także lasery dla przemysłu zbrojeniowego, jej adres jest zastrzeżony i, oczywiście, obowiązuje zakaz zwiedzania zakładów przez osoby postronne.

– Gdy rozpoczniemy lansowanie produktu – ciągnęła Müller – a produkcja ruszy pełną parą, z przyjemnością umożliwimy pani odwiedzenie fabryki.

– Coraz więcej tajemnic – stwierdziła Carrie zmęczonym głosem, w którym dało się słyszeć nutę irytacji.

– Proponuję – zasugerował Schnabel – aby zjadła pani z nami lunch. Tu w hotelu jest restauracja, w której podają wyśmienite mięso z rusztu...

– Poproszę tylko kawę – przerwała oschle Carrie. – I trochę faktów, jeśli łaska – dodała. – Rozumiem, że ten produkt nie jest bronią.

– Wprost przeciwnie – odparła Ruth Müller – jak wkrótce sama się pani o tym przekona.

Carrie usiadła w fotelu, zdecydowanie zbyt wygodnym, jak na jej gust. W trakcie ważnych rozmów handlowych wolą czuć pewną niewygodę. Zbytni komfort osłabiał czujność i sprawiał, że czuła się za bardzo zrelaksowana, aby właściwie ocenić prawdziwe intencje handlowego partnera. Jak do tej pory, czuła się usatysfakcjonowana. Lot pierwszą klasą linii Swissair i czekająca ją noc w Baurau-Lac w Zurychu, hotelu, który nawet na niej robił wrażenie, na pewno nie były czymś nieprzyjemnym. Carrie stwierdziła, że potrzebuje kilkudniowego urlopu. Od lat nie miała wakacji i wcale nie miała na nie ochoty, chociaż Peter gorąco ją do tego zachęcał. Ale zanim wróci do Bostonu i agencji, czekają ją jeszcze dwa dni w Szwajcarii. W rozumieniu Carrie to były właśnie wakacje. Nie miała wprowadzić nic przeciwko temu, ale jeżeli jeszcze czeka ją kilka uników i gry na zwłokę ze strony tych ludzi, to mogą się z nią pożegnać.

„Podekscytowana”, tak, to właściwe słowo – stwierdziła tego samego wieczora. Siedziała w swoim apartamencie w Baur-au-Lac i jadła kolację, złożoną z polędwicy mignon. Ruth Müller wykonała wspianą pracę, przekonała ją do produktu, nie podając żadnych danych na jego temat i pozwalając Carrie samej ocenić przedstawione dowody.

Carrie wiedziała już, że produkt, jeśli spełni pokładane w nim oczekiwania, stanie się rewelacją w chirurgii plastycznej. Dwuwiązkowy laser, przeznaczony do korygowania niedoskonałości urody, wynalazł czeski naukowiec, pracujący obecnie dla Lumitechnika. Laser łączył w sobie moc, precyzję i delikatność, potrzebne do usuwania zmarszczek, ze zdolnością do tak szybkiego gojenia się skóry, że, zależnie od rozległości zabiegu, pacjent odzyskiwał pełnię sił w kilka dni po operacji, a blizny goiły się kilkakrotnie szybciej niż przy stosowaniu dotychczasowych tradycyjnych metod.

– Inne firmy prowadzą obecnie badania nad kilkoma konkurencyjnymi laserami – wyjaśniała Ruth Müller. – Jestem pewna, że pozna je pani bliżej, zbierając informacje na temat tego typu produktów. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że gwarantują one ten sam efekt końcowy – wygładzenie skóry i szybkie gojenie się ran. Jednak, gdy przyjrzy się pani bliżej tym procesom, zauważy pani, że zwykle przy zastosowaniu tych laserów pierwsza poprawa następuje po paru tygodniach, a całkowity powrót do zdrowia zajmuje kolejne kilka miesięcy.

– Ale czy usuwanie zmarszczek metodą laserową nie polega w istocie na wypalaniu uszkodzonej skóry? – Carrie zachowała sceptycyzm. – Trudno mi uwierzyć, że gojenie spalonej tkanki może trwać tak krótko.

– Te lasery działają poprzez odparowanie wody z wierzchnich warstw skóry. Ale istotnie, jeśli chodzi o gojenie, ma pani absolutną rację, pani Arias – powiedziała Müller. – I to właśnie sprawia, że odkrycie Lumitechnika będzie absolutną rewelacją w tej dziedzinie chirurgii. – Przerwała. – Sądzymy, że jeśli ktoś, kto do tej pory decydował się na brutalne zdzieranie skóry, aby odmłodzić twarz, gdy usłyszy o naszym laserze, nigdy więcej nie będzie chciał stosować niczego innego.

– A konkurencyjne metody jeszcze przez parę lat nie będą dostępne dla ogółu – zauważył z zadowoleniem Schnabel.

– To co właściwie takiego nowatorskiego jest w waszym produkcie? – naciskała Carrie. – Czym on różni się od innych?

– Być może słyszała pani – zaczęła Ruth – o laserach stosowanych do leczenia uszkodzeń siatkówki oka. Lasery te całkiem niezłe radzą sobie ze spajaniem małych ranek, czy jak pani woli, ubytków. – Urwała. – My połączyliśmy działanie dwóch różnych laserów: tradycyjnego, który, mówiąc w największym skrócie, usuwa zmarszczkę oraz drugiego – zwanego Heilunglaserem, który powoduje jednoczesne gojenie się rany.

– To tak, jakby – Carrie próbowała wyobrazić sobie ten proces – dentysta jednocześnie borował i plombował ząb, tak?

– Świetna analogia – zgodziła się Müller. – Usuwanie uszkodzonej części zęba, przy jednoczesnym wypełnianiu ubytku.

Schnabel uśmiechnął się do Carrie.

– To, być może, będzie kolejnym zastosowaniem Heilunglasera.

– Oczekuję tantiem za ten pomysł – oznajmiła Carrie.

– Przypuszczam, że ktoś już to opatentował – odparła szybko Ruth.

– Żartowałam – powiedziała Carrie.

Traktują to ze śmiertelną powagą, pomyślała Carrie. Sama nie miała specjalnego poczucia humoru, ale ci z Lumitechnik AG zachowywali się tak, jakby planowali wykorzystanie produktu, który ten czeski naukowiec dla nich wynalazł, co najmniej w chirurgii mózgu. Z drugiej strony, mieli stuprocentową rację, twierdząc, że przy odpowiedniej reklamie i rozpropagowaniu, laser

przyniesie miliardowe zyski i pobije na głowę wszystkie inne produkty tej klasy. Oczywiście, kuracja nie będzie dostępna dla każdego. Produkt na pewno będzie drogi; w jego cenę trzeba wliczyć także koszty zestawu urządzeń pomocniczych i szkolenia dla wszystkich, którzy zechcą go używać. A lekarze i chirurdzy kupią go tylko wtedy, gdy ich pacjenci będą zainteresowani taką terapią.

Kampania marketingowa i reklamowa, jak stwierdziła Ruth Müller, musi zostać opracowana przez absolutnego geniusza reklamy, kogoś, kto zrozumie, jak wiele ostrożności i talentu potrzeba, aby sprzedać produkt, który wielu uzna za zbyt ekskluzywny i zbędny. A jego producenci uważają, że takim geniuszem jest właśnie Carrie. I chociaż Müller przyznała, że – ze względu na nie zakończone procedury związane z uzyskaniem licencji oraz zawłości prawne, nie pozwalające na dalsze stosowanie Heilunglasera przed uruchomieniem linii produkcyjnej – Carrie nie będzie mogła osobiście sprawdzić działania lasera, to całkowicie usatysfakcjonowały ją przedstawione dowody. Pokazano jej udokumentowane świadectwa, zestaw fotografii przed i po zabiegu przeprowadzonym u dwóch kobiet w średnim wieku, prawdziwość tych dokumentów potwierdził notariusz, oraz najbardziej przekonujący dowód – świadectwo akceptacji wydane przez Amerykańską Administrację Żywności i Leków – FDA.

Tej nocy, gdy Carrie kładła się do luksusowego łóżka w Zurychu, Annie, zajmującą równie ekskluzywny apartament w hotelu Schweizerhof w Bernie, opanowały wątpliwości.

– Nie powinnaś tego robić, Liwi.

– Czego? – Oliwia siedziała w szlafroku zwinięta w kłębek na sofie i objadała się czekoladkami Zindta. Przepelniało ją błogie zadowolenie. Wiedziała, że wynajęci aktorzy odegrali w hotelu Bellevue Pałace swoje role perfekcyjnie.

– Wszystkiego. Na przykład rejestrować fikcyjnej firmy.

– Musiałyśmy zarejestrować Lumitechnik, Annie. Wiesz, że Carrie zawsze sprawdza firmy, dla których pracuje. – Opłaty administracyjne i skarbowe pochłonęły niemałą fortunę, a Oliwia stała się właścicielką filii zakładu w Bernie, Genewie i Zurychu, ale liczyła się z tym, że zemsta na Carrie nie będzie tania.

– Przede wszystkim żałuję, że podrobiłaś ten certyfikat FDA.

– Dlaczego? To było dziecinnie proste. – Gianni Dressler był w posiadaniu podobnego świadectwa FDA i Oliwia po prostu zleciła znajomej firmie poligraficznej w Genewie

skopiowanie nagłówka i napisanie tekstu wzorowanego na dokumencie Giannięo.

– To jest fałszerstwo – stwierdziła Annie. Chodziła po pokoju tam i z powrotem, odruchowo przeczesując ręką włosy.

– Zapewniam cię, że nie. – Oliwia niewzruszenie pochłaniała czekoladki. – A przynajmniej nie do końca, przecież nie podrobiłam cudzego podpisu.

– Czy wiesz może, ile lat dostaje się za fałszerstwo?

– Nie – odparła Oliwia. – A ty?

Po powrocie do Bostonu apetyt Carrie zaczął rosnać, nie tylko z powodów zawodowych, gdyż miała szansę na przygotowanie kampanii swojego życia, ale również na innym, zdecydowanie bardziej osobistym polu. Carrie nie przekroczyła wprawdzie czterdziestki, ale zauważyła ostatnio, że mimo dbałości o urodę i zaciętej walki ze starością, na jej do niedawna nieskazitelnie gładkiej skórze pojawiły się pewne niedoskonałości. Wiedziała, że nikt oprócz niej samej jeszcze ich nie widzi, ale jak długo to potrwa? Tak czy inaczej miała już prawie niezauważalne zmarszczki i nieznaczne obwisłości, sygnalizujące nadchodzącą katastrofę, a w konsekwencji prowadzące do utraty niezziemskiej urody, która rzuciła na kolana najpierw Jamesa, a potem Petera Ariasa.

Pokusa, aby wyjechać, zostawić biuro i nowego męża, a po kilku dniach wrócić z odmłodzoną twarzą i pewnością, że wszystko jest znowu pod kontrolą, była zbyt silna, aby ją zignorować. Carrie wiedziała, że jeśli dobrze to rozegra, zyska unikalną szansę poddania się terapii, zanim ktokolwiek w Ameryce będzie wiedział o takiej możliwości. W ten sposób nikt nie będzie nawet podejrzewać, że poddała się zabiegowi.

Zadzwońiła do Ruth Müller z Lumitechnika i zostawiła jej pilną wiadomość. Müller odpowiedziała w przeciągu godziny.

– Czym mogę pani służyć, pani Arias?

– Proszę zorganizować mi konsultację.

– Oczywiście – odparła Ruth. – A czego pani oczekuje?

– Nie rozumie pani – rzekła Carrie. – Chcę umówić się na konsultację i poddać zabiegowi.

– Pani? – Müller nie ukrywała swojego zdziwienia. – O jaki zabieg chodzi?

– Taki sam, jaki udostępnicie waszym klientom po wprowadzeniu produktu na rynek – wyjaśniła Carrie. – Mam kilka zmarszczek, nic wielkiego, ale to doskonała okazja, aby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, sama pozbędę się zmarszczek i zyskam dowód na to, że Heilunglaser naprawdę działa.

– Myślałam, że przedstawione przez nas dowody były wystarczająco przekonujące – stwierdziła Müller.

– Wtedy tak – zgodziła się Carrie.

Ruth zastanawiała się przez chwilę.

– Obawiam się, pani Arias, że nawet jeśli istniałaby prawna możliwość – choć doskonale pani wie, że jej nie ma – praktycznego zastosowania lasera przed oficjalnym uruchomieniem produkcji, to i tak testowanie go na sobie nie byłoby ani etyczne, ani mądre.

– Przeciwnie – oznajmiła Carrie – to jest całkowicie etyczne i często stosuje się taką praktykę. Gdy agencja dostaje zlecenie wykreowania na przykład nowego rodzaju ciastek, to każdy, kto jest zaangażowany w przygotowywanie kampanii reklamowej ma obowiązek zjedzenia jak największej ilości tego wypieku.

– To nie jest ciastko – powiedziała poważnie Müller.

– To racja – przytaknęła Carrie. – Przede wszystkim wasz produkt jest jakieś dwadzieścia pięć tysięcy razy droższy niż paczka ciastek. – Przerwała. – Skoro jestem gotowa jeszcze raz przylecieć do Szwajcarii, zaufać waszemu produktowi i zapłacić za to każdą, podkreślam, każdą cenę, to jeśli wy nawet nie spróbujecie pokonać trudności związanych z licencją, uznam, że sami nie wierzycie w ten wasz produkt.

Ruth Müller milczała dłuższą chwilę.

– Oczywiście, przedstawię pani propozycję moim kolegom – odezwała się w końcu lekko poruszona.

– Nie wątpię – powiedziała Carrie. – Rozumiem, że zgłosiła się pani do mnie, pani Müller, ponieważ pani wie, że jestem najlepsza, a to z kolei oznacza, że musiała pani bardzo dokładnie sprawdzić mnie i moją agencję.

– Zgadza się – odparła Müller.

– W takim razie – ciągnęła Carrie lodowatym głosem – musiała pani dowiedzieć się także, że jeśli czegoś bardzo chcę, dostaję to. W przeciwnym razie sporo osób odchodzi z kwitkiem. Wiem, że wyrażam się zbyt obcesowo i z góry za to przepraszam, ale jestem pewna, że rozumie

pani, o co mi chodzi.

– Chyba tak.

– Więc kiedy będzie pani rozmawiała ze swoimi kolegami z Lumitechnika, proszę ich ostrzec, że jeśli nie umożliwią mi skorzystania z konsultacji, nie tylko zrezygnuję z organizowania im kampanii reklamowej, ale także dopilnuję – jej głos przybrał ostrzejszy ton – aby, nie naruszając przy tym warunków naszej umowy, żadna agencja reklamowa w Stanach nie wpuściła was nawet za próg.

– Jasna cholera – powiedziała Oliwia w biurze na Schänzlistrasse.

W pomieszczeniu zainstalowano dwie dodatkowe linie telefoniczne: jedna udawała ogólny telefon Lumitechnika, a druga była bezpośrednim połączeniem z Ruth Müller. Oliwia zatrudniła jeszcze jedną aktorkę, która miała grać podwójną rolę – operatorki centrali i sekretarki Ruth.

– Jesteśmy skończone – stwierdziła Annie, która na kilka dni wyjechała do domu, aby zobaczyć, jak radzą sobie Edward i dzieci, ale na swoje nieszczęście zdążyła wrócić do Berna akurat wtedy, gdy zaczęły się kłopoty.

– Nieprawda – zaproponowała Oliwia.

– Nie bądź głupia. – Annie gwałtownie pobladła. – Musimy zrezygnować.

– Wcale nie. Nie możemy się teraz wycofać.

Aktorka grająca rolę Ruth Müller, ubrana w niebieskie dżinsy i obszerny powyciągany na łokciach sweter, wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że ta kobieta chce ubić jakiś interes.

– Carrie zawsze chce ubić jakiś interes – wyjaśniła Annie. – Liwi, musimy wiedzieć, kiedy zrezygnować. Sprawa wymyka nam się z rąk.

– Zgadzam się z tobą.

– I dzięki Bogu.

– To znaczy zgadzam się, że musimy wiedzieć, kiedy zrezygnować, ale ten czas jeszcze nie nadszedł. Carrie nie ma pojęcia, że cała ta sprawa nie jest czysta, więc nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– Ale skoro nie możemy przystać na jej warunki – zauważyła Annie – to prędzej czy później wszystko się wyda.

– A kto powiedział, że nie możemy?

Annie i Ruth Müller spojrzały na Oliwię ze zdumieniem.

– Zwariowałaś – stwierdziła kategorycznie Annie.

– Niekoniecznie – odparła Oliwia.

Oliwia musiała przyznać, że nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że ta diabelnie inteligentna i przebiegła kobieta uwierzy w ich „wynalazek” na tyle, aby domagać się wypróbowania go na sobie.

– Wiesz – zwróciła się do Annie podczas kolacji w Vieux Moulin – już to samo prawie mi wystarcza, żeby szczerze żałować Carrie.

– Z pewnością to także wystarczy, żebyś poczuła okropne wyrzuty sumienia – dodała Annie, odruchowo mieszając łyżką zupę.

– Annie Thomas, jesteś okropnym mięczakiem!

– Ty też nie jesteś specjalnie twarda – zauważyła Annie.

– Wręcz przeciwnie – odparła z całym przekonaniem Oliwia. – Wtedy, gdy ktoś rani osobę, którą kocham, jestem. – Spojrzała wymownie na Annie. – Carrie niszczyła Jamiego przez lata. Jak gdyby tego było mało, teraz zabrała się również za nas. Obie wiemy, że na tym nie poprzestanie. Gdy tylko Jamie zrobi coś, co jej nie będzie odpowiadać, Carrie znowu wykorzysta swoją chorą wyobraźnię i zacznie snuć insynuacje na temat naszego rzekomego *ménage à trois*. [trójkąt małżeński]. Ucierpi na tym nie tylko Jamie, ale również ty, Edward, a może nawet dzieci.

– Nie sądzę, żeby posunęła się aż tak daleko.

– A dlaczegoż by nie? – rzekła Oliwia opryskliwym tonem. – Annie, ona rzuciła Jamiego dla jego własnego brata! I wcale się tego nie wstydzi. Która kobieta zrobiłaby coś takiego?

Annie nie odpowiedziała.

– Wiesz, że nie możemy tak po prostu wycofać się – ciągnęła Oliwia. – Jeśli zrobimy to i jeśli Carrie dowie się, kto stoi za Lumitechnikiem, zanim do końca zrealizujemy nasz plan, życie Jamiego stanie się nie do zniesienia.

– A my pójdziemy do więzienia – dodała Annie.

– Musimy dać jej nauczkę – upierała się Oliwia. – Zgoda, wygląda na to, że sytuacja nieco się komplikuje i być może będzie trochę trudniej niż zakładałam...

– Trochę – powtórzyła ironicznie Annie.

– Ale poradzimy sobie.

– Jak, na miłość boską?

– Podobnie jak przy spotkaniu w Bellevue, posłużymy się aktorami.

– Jezu! – Annie, która bardzo rzadko sięgała po alkohol, chwyciła teraz kieliszek Oliwii i jednym łykiem opróżniła go do połowy.

– Jak już powiedziałaś – kontynuowała Oliwia – wszystko polega na tym, aby wiedzieć, kiedy się wycofać. Oczywiście, są pewne granice, których przekroczyć nie możemy.

– To znaczy, nie zamierzasz pokazać Carrie lasera? – spytała sarkastycznie Annie.

– Niezupełnie – powiedziała Oliwia z namysłem.

– Niezupełnie?! – Annie ponownie sięgnęła po kieliszek Oliwii.

– Opanuj się – prosiła Oliwia. – Muszę sobie to wszystko przemyśleć. Muszę znaleźć rozwiązanie, które będzie idealnym wyjściem z sytuacji i pozwoli nam doprowadzić tę sprawę do końca.

– I nie pójdziemy do więzienia?

– Na pewno nie.

– Czytałam gdzieś, że szwajcarskie więzienia nie cieszą się dobrą opinią.

– Annie, nie pójdziemy do więzienia.

– Pójdziemy, jeśli Carrie dowie się, co zrobiłyśmy.

– Nie, Annie. Zapewniam cię, że nie.

– Układasz to wszystko w miarę rozwoju sytuacji, prawda, Liwi?

Oliwia spojrzała na Annie i zorientowała się, że panika w jej oczach nie jest udawana.

– Chcesz wracać do domu, Annie? Chcesz się z tego wycofać?

– Nie. Tak. Nie wiem.

– Zrozumiem, jeśli zechcesz się wycofać.

– Ale ty i tak będziesz to ciągnąć?

– Tak.

Annie westchnęła głośno.

– W takim razie chyba jestem równie szalona jak i ty.

Oliwia padała ze zmęczenia. W miarę jak ugoda pomiędzy Lumitechnikiem a Carrie nabierała realnych kształtów, komputer i drukarka, które przyjaciółki zainstalowały w swoim apartamencie w hotelu Schweizerhof, coraz bardziej nagrzewały się, a rachunki telefoniczne i opłaty dla firmy kurierskiej FedEx rosły. Oliwia triumfowała. Z tego, co mówił im Jamie, wynikało, że Carrie i kompromis to jak piekło i niebo, a więc już to samo było ich małym zwycięstwem. Ruth Müller udało się przeforsować wersję, w której Carrie miała niezwłocznie uzyskać żadaną konsultację. Natomiast Lumitechnik wyraża obawę, że jeśli Carrie będzie miała wyłączność na poddanie się terapii za pomocą Heilunglasera, zanim produkt ten zostanie oficjalnie wprowadzony do produkcji, to zarówno firma, jak i pani Arias narażą się na oskarżenia o korupcję.

– Jednakże firma podpisze zobowiązanie – tłumaczył Schnabel Carrie – zgodnie z którym będzie pani pierwszą obywatelką amerykańską, która zostanie poddana nowej terapii. Ponadto Lumitechnik chce pokryć koszty wykonania zabiegu w kraju wskazanym przez panią.

– Nie przypominam sobie, abym prosiła o darmowe leczenie – zauważyła Carrie opryskliwie.

– Oczywiście, że nie, pani Arias – odparł szybko Schnabel. – Lumitechnik chce w ten sposób podkreślić, że pragnie zadbać o pani interesy. Zostałem także upoważniony do poinformowania pani, że może pani poczynić przygotowania do podróży i uprzedzić współpracowników o swojej kilkudniowej nieobecności. Zabieg zostanie wykonany w wybranym przez panią mieście w USA. Oczywiście, nie musimy dodawać, że gwarantujemy pełną dyskrecję.

– Ale tak czy inaczej muszę poczekać na rozpoczęcie oficjalnej promocji i uruchomienie produkcji, tak?

– Obawiam się, że ma pani rację.

– A jeśli stwierdzę, że to mi nie odpowiada?

– Wówczas, nie bez żalu – oznajmił Schnabel kurtuazyjnie – firma będzie musiała zrezygnować z pani usług i zaangażować inną agencję.

Carrie zadzwoniła bezpośrednio do Ruth godzinę później.

– Mogę przyjechać na konsultację do Szwajcarii w najbliższy weekend – oznajmiła. – Mam nadzieję, że to państwu odpowiada.

– Znakomicie – odparła Müller. – Proszę poinformować nas, w jaki sposób chce pani dostać się do Szwajcarii, a my wszystko zorganizujemy.

– Pierwszym porannym samolotem linii Swissair do Zurychu – powiedziała Carrie. – Chcę tego samego dnia wrócić do Bostonu, więc wolałabym rejs z Kloten.

– Nie ma żadnych przeszkód – zgodziła się Ruth. – Lotnisko znajduje się jakieś pięć, sześć mil na południe od centrum, a konsultacja nie powinna trwać dłużej niż dwie godziny.

– Oczekuję, że prześlecie mi bilety na samolot – zakończyła Carrie.

– Jesteś nadzwyczajna – powiedziała Annie do Oliwii. Chodziły po pokoju małego, eleganckiego domku w Neufeld, na przedmieściach Berna, który przystosowano dla potrzeb konsultacji. Dom należał do kuzynki Diany Brünli, która każdego roku spędzała sześć miesięcy w Kanadzie i zgodziła się użyczyć domu na jeden dzień w „dobrej sprawie”, jak określiła to Diana.

– Dlaczego nadzwyczajna? – spytała Oliwia z roztargnieniem, przesuwając ręką po biurku z blatem obitym skórą i po stalowym wózku. Sprawdziała, czy niczego nie brakuje i czy aranżacja wnętrza wygląda wiarygodnie.

– To wszystko – wyjaśniła Annie, kręcąc z niedowierzaniem głową – to wszystko wygląda tak autentycznie!

– Mam nadzieję.

– Nie sądziłam, że ci się uda.

– Nam – poprawiła ją Oliwia. – A poza tym nie mów hop, póki nie przeskoczysz. To jeszcze nie koniec.

– Musisz mi o tym przypominać? – Chwilowa pewność siebie Annie zniknęła.

– Aha – mruknęła Oliwia, nie przerywając lustrowania pomieszczenia.

– A co z nim?

– Z kim?

– Z aktorem, nowym przyjacielem Feliksa.

– Masz na myśli profesora Pfistera? – Oliwia spojrzała na przyjaciółkę i uśmiechnęła się.

„Profesor” siedział w kuchni i po raz dwudziesty powtarzał z Feliksem i aktorką, która miała grać rolę jego asystentki, kwestie do wygłoszenia i odpowiednie gesty. Był mężczyzną w średnim wieku, aktorem z rodzaju tych, którym powierzano zwykle role prawników, sędziów, lekarzy i polityków. Feliks wyjaśnił Oliwii, że jego przyjaciel wielokrotnie grał w filmach telewizyjnych, w związku z czym nie ma manieri typowej dla aktorów teatralnych, nie istnieje

więc obawa, że może przerysować powierzoną mu rolę łagodnego, wyrozumiałego chirurga plastycznego. Poza tym przeszedł kilkugodzinne szkolenie pod okiem prawdziwego lekarza z Genewy, przyjaciela Gianniego Dresslera, któremu powiedziano, że aktor przygotowuje się do nowej filmowej roli.

– Poradzi sobie – powiedziała Oliwia.

– Ale nie mamy stuprocentowej pewności – zauważyła Annie.

– Nic nie jest pewne na sto procent – przyznała Oliwia. – Ale powiedziałam mu, żeby zachowywał się naturalnie. Znajomy Gianniego twierdzi, że nie są potrzebne żadne udziwnienia, należy kierować się własnym zdrowym rozsądkiem.

Annie spojrzała na zegar stojący na półce nad kominkiem.

– Dwie godziny – oznajmiła zdenerwowana. – Będzie tu za dwie godziny.

– Jesteśmy przygotowani na jej powitanie – rzekła Oliwia.

– Feliks ma wyjechać po nią na lotnisko.

– Wyjedzie.

– Ale nadal jest tutaj. Siedzi w kuchni.

– Annie, droga na lotnisko nie zajmuje dwóch godzin!

– Ale musi jeszcze wrócić, przebrać się. Profesor też musi się przebrać, i asystentka, i...

– Annie – wtrąciła Oliwia.

– Tak? O co chodzi?

– Przestań!

Carrie była pod wrażeniem profesora Pfistera – jego łagodnego spojrzenia, delikatnych dłoni, a przede wszystkim profesjonalizmu i sposobu, w jaki badał ją i zadawał pytania.

– Po pierwsze, muszę dowiedzieć się – oznajmił Pfister w chwilę po tym, jak znalazła się w jego gabinecie – dlaczego sądzi pani, że potrzebuje operacji plastycznej?

– Mam kilka zmarszczek – odparła Carrie. – Są bardzo nieznaczne, ale będą się powiększać i pomyślałam, że jeśli odpowiednio wcześnie zareaguję...

– Musi zdawać sobie pani sprawę, że nie znikną na zawsze – zauważył profesor. – Heilunglaser usunie zmarszczki, które ma pani teraz, ale nie może zapobiec tworzeniu się nowych. Oczywiście zregenerujemy skórę, ale to nadal będzie pani własna skóra.

– Z tego, co mówią ludzie z Lumitechnika – rzekła Carrie – wynika, że zabieg powinien pomóc na długo. Pamiętam, że obiecywano, iż efekty utrzymają się przez kilka lat.

– I tak zapewne będzie. Ale przypominam pani, że poprawa uzyskana po zastosowaniu naszej metody nie będzie wieczna. – Potrząsnął siwą głową. – Muszę stwierdzić, że nie widzę na pani twarzy żadnych zmarszczek, a nawet nierówności skóry – dodał z szerokim, pobłażliwym uśmiechem. – Jest pani, zresztą pewnie sama pani to wie, bardzo piękną kobietą.

– Która chce taką pozostać – dokończyła Carrie, odwzajemniając uśmiech.

– W porządku. Przyjrzyjmy się bliżej. – Skinął na asystentkę, która do tej pory czekała w kącie pokoju. – Proszę pomóc pani Arias usunąć makijaż.

Po dokładnym zbadaniu twarzy Carrie przy jasnym świetle i za pomocą szkła powiększającego, profesor przyznał, że laser Lumitechnika z pewnością poradzi sobie z tymi drobnymi oznakami starzenia się, które tak ją niepokoiły. Pracując metodycznie wraz ze swoją cichą, profesjonalną asystentką, zdjął dwa odciski twarzy Carrie w zimnym wosku. Wykonał także – przy różnym oświetleniu i pod różnymi kątami – kilkanaście zdjęć, prosząc Carrie, aby kolejno zmieniała wyraz twarzy – uśmiechała się, zmarszczyła, mówiła, śmiała lub siedziała bez ruchu. Potem zadawał pytania, setki pytań, wielu z nich nie mogła sobie później przypomnieć. Carrie wiedziała, że będzie musiała udzielić odpowiedzi na pytania ściśle związane z jej zdrowiem, dotyczące na przykład historii przebytych chorób, ogólnej wrażliwości, alergii i problemów zdrowotnych, ale profesor pytał również o rzeczy związane z jej życiem osobistym.

– Czy mąż uważa panią za atrakcyjną? – spytał Pfister, dowiedziawszy się, że Carrie powtórnie wyszła za mąż.

– On twierdzi, że tak.

– A czy zauważyła pani, żeby oglądał się za innymi kobietami, zwłaszcza młodszymi od pani?

Carrie zachnęła się.

– A jakie to ma znaczenie?

– Duże, jeśli chodzi o pani stan emocjonalny.

– Nie widzę żadnego związku między moim stanem emocjonalnym a tą terapią.

– Pacjent, który przeżywa rozterki uczuciowe czy jest zestresowany, potrzebuje więcej czasu na odzyskanie sił po zabiegu, pani Arias – wyjaśnił Pfister. – Poza tym każdy lekarz musi znać potrzeby swojego pacjenta i zyskać pewność, że jego oczekiwania są uzasadnione.

– Nie oczekuję, że zmieni mnie pan w nastolatkę – stwierdziła oschle Carrie.

– A któż chciałby mieć znowu kilkanaście lat, pani Arias?

Carrie odpowiedziała śmiechem.

Po powrocie do domu Carrie z pełnym zaangażowaniem zabrała się do pracy, przekonana, że nikt w Bostonie, Nowym Jorku czy nawet w Kalifornii nie jest lepiej niż ona przygotowany do wymyślenia idealnej formy sprzedaży tego produktu dziesiątkom milionów pięknych, brzydkich i przeciętnych Amerykanów. Zwłaszcza że większość z nich z trudem mogła pozwolić sobie na tak kosztowny zakup.

– Oczekujemy, że w ciągu miesiąca przygotuje pani odpowiednią prezentację – powiedziała jej Ruth Müller.

Carrie rozważyła wszystkie możliwości. Mogła przekazać zlecenie swoim dwóm najlepszym zespołom; wyłączyć ich na dziesięć dni z wszelkich innych prac, zmusić do rywalizacji i sprawić, żeby stanęli na głowie i wygrali. Mogła również wybrać tylko jeden zespół i zwalić na niego całą robotę. Ale istniała jeszcze trzecia możliwość: mogła zrobić to, w czym kiedyś była najlepsza, wziąć się samodzielnie do pracy, przynajmniej w fazie opracowywania koncepcji.

– Po co angażować dwie osoby do pracy, którą może wykonać jedna? – powiedziała kiedyś Jamesowi, gdy zachwycał się swoimi ulubieńcami – Baumem i Carmichael.

– Co dwie głowy, to nie jedna – odparł spokojnie.

Tkwiło w niej śmieszne, irytujące przekonanie, że jedyną osobą, z którą chciałaby pracować nad tym zleceniem, dzielić związane z nim podniecenie i patrzeć, jak pobudza ono jego genialny umysł, był jej były mąż, ale, oczywiście, James i JAA za żadne skarby nie mogą dowiedzieć się, że otrzymała takie zlecenie. Całym światem jej nowego męża były statki, wielkie, żelazne wieloryby, które, pływając po morzach i oceanach, przynosiły rodzinie Ariasów wielomilionowe zyski. Jednakże Carrie wiedziała, że nawet to nie wyzwala w Peterze żadnych emocji. On widział tylko cyfry, nieskończone ciągi cyfr. Carrie stwierdziła, że osobą, która z prawdziwą pasją i zaangażowaniem traktuje rodzinną firmę, jest Michael Arias. Czasami

dochodziła do wniosku, że być może dwukrotnie popełniła błąd, wybierając niewłaściwych Ariasów i zastanawiała się, czy gdyby Michael nie traktował tak rygorystycznie przysięgi małżeńskiej, nie mogłaby wybrać jego zamiast Petera.

Ostatecznie nie zaufała nikomu. Zamknęła się w swoim biurze w Beaumont-Arias, zleciła Markowi Reissowi, aby wszystkie rozmowy, z wyjątkiem telefonów z Lumitechnika czy od Gerharda Schnabla, przełączał do jej zastępczyni Mitzi Palgrave, i zabrała się do pracy. W ramach przygotowywanej prezentacji miała wymyślić nazwę handlową dla Heilunglasera, ale to nie stanowiło problemu, bo już po pierwszej wizycie w Bernie Carrie wiedziała, że tylko jedna nazwa oddaje wszystkie zalety produktu. „Beztraskie lata” – ta nazwa była idealna i łatwo wpadająca w ucho. Teraz trzeba było tylko przygotować odpowiednią kampanię. Przez następne dziesięć dni Carrie pracowała bez wytchnienia, nigdy jeszcze żadne zlecenie nie pochłonęło ją do tego stopnia. Niezbędne badania i analizy rynku sędowała na Mitzi Palgrave, ale nie udzieliła jej żadnych informacji na temat produktu. Bardziej szczegółowe prace wykonywała sama i nikomu, nawet, a może przede wszystkim, Peterowi nie powiedziała o planowanej operacji plastycznej. Poleciała zainstalować w swoim biurze osobną prywatną linię faksową. Pilnowała, aby każdy list, każda notatka przeznaczone dla Lumitechnika opuszczały jej biuro w zaklejonych kopertach i nalegała, aby wszystkie informacje przesyłane jej ze Szwajcarii były opatrzone dopiskiem „do rąk własnych”.

Zachowywała się jak w transie. Spała niewiele, jadła tyle, żeby utrzymać się na nogach, spotykała się tylko z tymi klientami, z którymi musiała i prawie całkowicie zrezygnowała z udziału w zebraniach. Pracowała codziennie do późnej nocy. Otworzyła się na wszelkie pomysły, nawet te szalone, głupie i bezużyteczne, bowiem na ich bazie mogły wyrosnąć nowe, genialne idee.

Produkt, który miała rozpropagować, był wynalazkiem naukowym, przeznaczonym do użytku medycznego, ale Carrie wiedziała, że tak naprawdę jest to kosmetyk. Jednak, w przeciwieństwie do „cudownych” kombinacji kremów wygładzających zmarszczki i nawilżających skórę, ta kuracja naprawdę działała. I chociaż kosztowała niemałą fortunę, zbrodnią byłoby ukrywać przed innymi jej istnienie. Zadaniem Carrie było zareklamować ją na

tylko przekonująco i skutecznie, aby każdy chciał sprawdzić na własnej skórze działanie lasera.

Do agencji JAA przy Boyston Street również dotarły pewne pogłoski i Jamie zorientował się, że Carrie pracuje nad czymś wyjątkowym. Ku niezadowoleniu jego byłej żony, ludzie z Beaumont-Arias nadal chętnie z nim rozmawiali, chociaż zawsze oglądali się przy tym nerwowo przez ramię. Wiedzieli, że Carrie ma obsesję na punkcie Jamiego i że najmniejsze oznaki okazywanej mu sympatii mogą spowodować jej wściekłość. Mimo tego do uszu Jamiego dochodziły od czasu do czasu jakieś wieści, z których zorientował się, że ostatnio Carrie spędza całe dni zamknięta w swoim biurze, a Beaumont-Arias została zostawiona samej sobie i praktycznie pozbawiona kierownictwa. Musiał przyznać, że był ciekaw, co tak bardzo absorbuje Carrie. Nie chodziło tylko o to, że być może JAA została pozbawiona jakiegoś ważnego zlecenia, chodziło przede wszystkim o to, że skoro Carrie była tak bardzo zajęta, być może nie będzie miała czasu na mieszanie się w jego życie.

W tym czasie Jamie tylko raz spotkał się z Carrie oko w oko, wtedy, kiedy musieli w kancelarii jej prawników podpisać jakieś papiery związane z ugodą rozwodową.

- Słyszałem, że pracujesz nad czymś wielkim – zagadnął ją Jamie po wyjściu z kancelarii.
- Lepiej powiedz, ogromnym – sprostowała Carrie. – Nieskończenie bardziej ekscytującym niż wszystko, co kiedykolwiek robiłeś.
- Cieszę się – odrzekł Jamie – ze względu na agencję.
- Nadal myślisz o niej jak o swojej, prawda, Jamesie?
- Nadal ma moje nazwisko.
- Tak, to jedyny irytujący aspekt mojego małżeństwa z Peterem – stwierdziła Carrie ze złośliwym uśmiechem. – Ciągle noszę nazwisko Arias.
- Nie można mieć wszystkiego – zauważył Jamie ze znużeniem.
- Ja mam już prawie wszystko – odpowiedziała Carrie.

Wydawało się, że wszyscy znajomi Jamiego właśnie teraz wyjechali, byli zajęci czy nieuchwytni. W ostatnich tygodniach kilkakrotnie dzwonił do Oliwii, ale najwyraźniej wyjechała z miasta i nikt z jej współpracowników nie wiedział dokąd. W krótkim przypiływie idiotycznej, absurdalnej zazdrości zastanawiał się, z kim mogła wyjechać. Zadzwoił także do Annie, myśląc, że może Oliwia jest u niej, ale Annie także wyjechała. Jamiemu strasznie brakowało obu przyjaciółek, kogoś po drugiej stronie słuchawki, komu mógłby o wszystkim opowiedzieć.

Carrie dopracowała swój pomysł w ciągu niecałych dziesięciu dni. Był prosty i być może brakowało mu oryginalności, którą Carrie chciała nadać tej kampanii, ale mimo wszystko wiedziała, że kampania jest przygotowana perfekcyjnie, porusza sedno zagadnienia, a przede wszystkim osiągnie podstawowy cel – będzie skuteczna.

Od strony artystycznej było jeszcze sporo do zrobienia. Należało poprawić dobór i tematykę fotografii, ale sama koncepcja była idealna: trzy zdjęcia – na pierwszym beztraska niewinna twarz małej dziewczynki, na drugim nastolatka tryskająca młodością, trzecie zdjęcie natomiast przedstawiało sylwetkę starszej kobiety z twarzą ukrytą w cieniu, bez żadnych oznak starzenia się. Jej wyglądu można się było tylko domyślać. I napis:

*Możesz wrócić do przeszłości
(i nikt oprócz twojego lekarza nie musi o tym wiedzieć)*

BEZTROSKE LATA

Przywołała Mitzi Palgrave i Joego Moritzio, dyrektora artystycznego firmy, i pod groźbą wystawienia im wilczego biletu, gdyby zdradzili jej zamiary, wtajemniczyła ich w cały projekt, pokazała swoją propozycję, nazwę i reklamowy slogan, i zapędziła do pracy.

Dwa tygodnie później, na trzy dni przed ostatecznym terminem, wszystko było gotowe, a Carrie, wyposażona w idealnie skomponowany plan kampanii i najlepsze logo, jakie Moritzio kiedykolwiek stworzył dla Beaumont-Arias, poleciała do Szwajcarii. Tym razem zamieszkała w apartamencie w hotelu Dolder Grand w Zurychu, gdzie w obecności Ruth Müller, Schnabla i kamery przedstawiła swój pomysł.

– Nagrywamy to wszystko, aby móc przedstawić pani propozycję innym dyrektorom firmy – wyjaśniła Müller.

– Kiedy mogę spodziewać się waszej decyzji? – spytała Carrie.

– W ciągu tygodnia – odrzekła Ruth.

– Cudowne – stwierdziła Annie po obejrzeniu kasety. – Boże, wybac mi, ale uważam, że to fantastyczna kampania.

– No cóż, z pewnością pozwala bardziej optymistycznie spojrzeć na starość – powiedziała Oliwia.

– Przekonała mnie – dodał Feliks Pfäniger, bezmyślnie wodząc palcem po kurzych

łapkach wokół oczu. – Gdyby „Bez troskie lata” naprawdę istniały, byłbym pierwszym klientem, który kupiłby ten produkt.

– Drugim, pierwszym jest Carrie – sprostowała Oliwia.

– Biedna Carrie – westchnęła Annie.

– Annie, nie zaczynaj – rzuciła Oliwia.

– I co teraz? – spytał Feliks.

– Teraz poinformujesz ją, że firma Lumitechnik jest zachwycona jej projektem i może przygotowywać kampanię – odrzekła Oliwia.

– A potem? – dopytywał się Feliks. – Naprawdę pozwolisz jej stworzyć całą kampanię?

– Niestety, nie możemy ciągnąć tego za długo – stwierdziła Oliwia. – Nie dlatego, że żał mi Carrie, ale dlatego, że musimy ograniczyć wydatki. Same koszty ogłoszeń w mediach wyniosą setki tysięcy dolarów, a w przypadku całej kampanii możemy mówić nawet o milionach.

– Więc kiedy się wycofamy? – zapytała Annie.

– Zrobimy jeszcze jeden krok – odparła Oliwia. – Jeszcze tylko jeden krok.

Feliks, ponownie wcielając się w rolę Schnabla, zadzwonił do Carrie kilka dni później.

– Pani Arias, proszę przyjąć moje gratulacje.

Carrie poczuła dobrze znany dreszcz podniecenia, który towarzyszył jej zawsze, gdy odnosiła sukces.

– Dziękuję, panie Schnabel – powiedziała stonowanym głosem. – Beaumont-Arias z przyjemnością przedstawi światu „Bez troskie lata”.

– Nazwa jest idealna – wtrącił Feliks. – Ruth Müller uważa, że to mistrzowskie pociągnięcie.

– Jest jeszcze wiele do zrobienia – zauważyła Carrie, przechodząc do sedna sprawy.

– Zaczniemy – odrzekł Feliks – od kolejnej prezentacji, tym razem dla profesjonalistów: lekarzy, chirurgów i dyrektorów szpitali, którzy, po tym jak w czerwcu ich klienci i pacjenci poznają produkt, będą zamawiać nasz sprzęt.

– Czy wasza firma jest pewna, że to dobre posunięcie? – spytała Carrie ze zdziwieniem. – Cały pomysł miał polegać na zwróceniu uwagi potencjalnych pacjentów; lekarze są każdego miesiąca bombardowani setkami ofert firm farmaceutycznych i medycznych, które obiecują im nowe cuda. Kierowanie oferty do tak cynicznego audytorium może być ryzykowne.

– Czyżby pani sama nie wierzyła w sukces „Beztroskich lat”, pani Arias? – spytał chłodno Feliks.

– Ależ nie, panie Schnabel – zaprotestowała Carrie. – Inaczej nie zgodziłabym się na wypróbowanie lasera na własnej twarzy. – Przerwała. – Wynajdywanie słabych punktów produktu, który mam reklamować, należy do moich obowiązków.

– Doskonale to rozumiem – odparł Feliks pojednawczym tonem. – I oczywiście przekażę pani uwagi dalej. Ale ludzie z Lumitechnika są przekonani, że takie posunięcie w najgorszym wypadku ujawni słabe punkty kampanii. – Zawiesił głos. – A jeśli, co wydaje nam się bardziej prawdopodobne, prezentacja odniesie sukces i lekarze zaakceptują nasz produkt, znacznie łatwiej będzie nam przejść procedury zamawiania, produkcji i dostaw.

– I gdy klienci wyrażą chęć skorzystania z nowej terapii, „Beztroskie lata” będą czekać w gabinetach lekarzy – dodała domyślnie Carrie.

– Właśnie tak.

Starannie przygotowywała się do prezentacji. Większość ustaleń, które zwykle cedowała na profesjonalne firmy zajmujące się organizowaniem konferencji, tym razem przeprowadziła sama. Ruth Müller poinformowała Carrie, że w prezentacji, zaplanowanej na trzeciego maja w Bostonie, weźmie udział zespół ekspertów Lumitechnika. Dyskusja panelowa, w trakcie której będą odpowiadać na pytania zgromadzonych lekarzy, miała stanowić główną część prezentacji. Przyjazd przedstawicieli Lumitechnika zorganizuje Schnabel, natomiast zorganizowanie reszty pozostawało w rękach Carrie.

Na miejsce konferencji Carrie wybrała oczywiście hotel Ritz-Carlton, uważając, że taka prezentacja musi mieć odpowiednio ekskluzywną oprawę. Zleciła Mitzi Palgrave przygotowanie listy gości, którymi miały być najważniejsze osoby w kraju – najlepsi i najbardziej wpływowi lekarze i chirurdzy. Poleciała jej również wystosować zaproszenia do dziennikarzy, także z pism branżowych, z informacją, że na prezentacji zostanie ujawnione najbardziej przełomowe odkrycie w chirurgii plastycznej od czasów wprowadzenia przeszczepów skóry.

– Carrie powiedziała Feliksowi, że konferencja będzie czymś w rodzaju elitarniej popijawy – oznajmiła Oliwia w rozmowie telefonicznej z Annie.

Annie wróciła chwilowo do Stone Bridge – do domu, męża i dzieci. Chciała przez tydzień czy dwa побыć w normalnym świecie, nadrobić zaległości w nauce, a przede wszystkim odpocząć od szaleństwa, które rosło w miarę zbliżania się do wielkiego finału. Przerazała ją myśl o tym, co może nastąpić, gdy przyjdzie, jak nazywała to Oliwia, dzień zapłaty. Miała koszmarne sny. Śniło jej się, że Carrie wtrąca je do więzienia. Oczyma wyobraźni widziała już siebie i Oliwię na ławie oskarżonych, wielki proces na oczach całego świata i wreszcie zesłanie do jakiegoś zakładu karnego. W głębi duszy stwierdzała, że nawet jeśli Carrie zareaguje bardzo ostro, z pewnością na to zasłużyły. I chociaż Carrie była jędzą, to ich intryga z pewnością zasługiwała na potępienie. Z przerażeniem myślała o tym, jak łatwo jej i Oliwii przyszło zrobić coś tak karygodnego.

– Prezentacja ma się odbyć późnym popołudniem – ciągnęła Oliwia. – O piątej goście zostaną przywitani szampanem, a sama prezentacja zacznie się o szóstej. Po niej przedstawiciele Lumitechnika będą odpowiadać na pytania zaproszonych gości.

– Tyle tylko, że goście nie będzie – stwierdziła Annie, czując, jak żołądek podchodzi jej ze strachu do gardła.

– Tak. Tylko ty i ja.

– Poniekąd.

– Już ci mówiłam, że jeśli nie chcesz, nie musisz przyjeżdżać.

– Wiesz, że nie chcę – odrzekła Annie. – Ale będę tam.

– Co wie Edward? – spytała Oliwia.

Edward był aniołem. Ze stoicką cierpliwością znosił wielodniowe nieobecności Annie i nie zadawał prawie żadnych pytań.

– Nie wszystko, co wiedzieć powinien.

– Czujesz się okropnie winna, prawda? – zauważyła Oliwia ze współczuciem.

– Okropnie – przytaknęła Annie. – Ale mimo to przyjadę.

Oliwię, choć niechętnie się do tego przyznawała, także dręczyły wyrzuty sumienia i poczucie wstydu. Jej również wyobraźnia podsuwała koszmarne obrazy. Nie brała wprawdzie pod uwagę możliwości osadzenia ich w więzieniu, bo nadal była przekonana, że zrecznie przeprowadzona sprawa z Carrie nie wywoła żadnych konsekwencji prawnych. Natomiast w snach dręczyła ją koszmarna wizja, w której Carrie, poznawszy prawdę, strzela sobie w głowę z

pistoletu albo rzuca się z okna. W ciągu dnia Oliwia tłumaczyła sobie, że jest mało prawdopodobne, aby wyzuta z wszelkich uczuć Carrie zrobiła coś tak impulsywnego. Jeśli ktoś miał zarobić kulę w łeb, to nie ona, ale Oliwia. To było zdecydowanie bardziej w stylu Carrie. W przyływie wisielczego humoru Oliwia stwierdziła nawet, że musiałaby przyznać wówczas, iż ta kobieta ma jednak klasę.

Niestety, z całą wyrazistością zdawała sobie sprawę, że Annie ma rację – posunęły się za daleko. Zrozumiała to już wtedy, gdy Carrie ujawniła własną słabość i wrażliwość, prosząc o zorganizowanie terapii dla siebie samej – Oliwia wówczas zaczęła zastanawiać się na serio, czy się nie wycofać. Wiedziała jednak, że nie jest to możliwe, że zaczynając grę z kimś tak niebezpiecznym jak Carrie, trzeba doprowadzić ją do końca.

Oliwia wymyśliła całą tę intrygę, uważając, że Carrie może otrzymać prawdziwie bolesną naukę tylko od kogoś obdarzonego dużą wyobraźnią i wystarczająco zdeterminowanego. Teraz jednak ogarnęło ją dręczące przecucie, że gdzieś po drodze pomysłowość ta zaczyna przeradzać się w sadyzm. Zawsze wiedziała, że w jej charakterze leży pewna zawziętość, ale teraz obawiała się, że staje się okrutna. Cała ta mistyfikacja z Lumitechnikiem zaszła o wiele dalej niż Oliwia mogła przypuszczać na początku. Stała się na tyle skomplikowana, fascynująca i wciągająca, że Oliwia sama zaczynała w nią wierzyć. Carrie z łatwością dała się nabrać.

Jamie powiedział kiedyś, że Oliwia jest najbardziej uczciwą osobą, jaką zna. Teraz zastanawiała się, co by powiedział, gdyby zobaczył, co zrobiła i do czego wciągnęła również Annie.

Wolałaby chyba tego nie wiedzieć.

Rozdział 17

Carrie miała nadzieję, że tego wieczoru Peter będzie z nią w Ritz-Carlton, ale niestety wyjechał z Michaelem do Aten w sprawach Arias Shipping. Przesłał jej do apartamentu, który wynajęła na tę noc, dwa tuziny czerwonych róż i bilecik z życzeniami szczęścia, ale nie zmieniało to faktu, że Carrie została sama. Nie miała nic przeciwko temu, gdyż zawsze uważała się za osobę całkowicie niezależną, ale pomyślała, że byłoby miło mieć w chwilach triumfu u swego boku męża. Tyle że Peter nie był człowiekiem tego typu, nie przejmował się jej potrzebami tak jak James. James oczywiście też miał swoje wady, przede wszystkim był okropnie uparty, ale bez wątpienia był miłym, oddanym i wrażliwym partnerem, i jeśli ktokolwiek na świecie mógłby zrozumieć tremę i podniecenie, które odczuwała, przygotowując się do najważniejszej prezentacji w swojej karierze, to mógł to być tylko James.

Schnabel poinformował Mitzi Palgrave, że czterech ekspertów z Lumitechnika przyleci wraz z Ruth Müller z Londynu, a ich samolot wyląduje w Bostonie kilka minut przed czwartą. Carrie wynajęła dwie limuzyny, które miały przywieźć gości z lotniska Logan do hotelu.

Gdy firma wynajmująca samochody skontaktowała się z Beaumont-Arias około wpół do piątej i przekazała informację, że oczekiwani goście nie przylecieli, Mark Reiss natychmiast zadzwonił do Carrie.

– Próbowałem sprawdzić w Swissair, czy czasem nie spóźnili się na samolot – poinformował ją. – Ale trudno się z nimi dogadać. Może zadzwonię do Lumitechnika?

– Sama to zrobię – odparła Carrie. – Przekaż kierowcom, żeby nadal czekali na Logan i sprawdzali każdy lot z Europy. Może zmienili zdanie i nie lecą z Londynu, ale z Zurychu, Genewy lub innego miasta.

Wykręciła numer Lumitechnika, ale nikt nie podnosił słuchawki. Co prawda w Szwajcarii było teraz wpół do dziesiątej wieczorem, ale w przeszłości Carrie często dzwoniła do Ruth Müller późnym wieczorem, a poza tym firma miała dyżurujących telefonistów, którzy nawet w nocy przyjmowali telefony. Zadzwoniła do Schnabla – tam również nikt nie przyjął telefonu.

Ogarnęło ją złe przeczucie. Zadzwoniła do biura, do Marka Reissa.

– Czy coś już wiadomo?

– Na razie nic, pani Arias.

Carrie spojrzała na zegarek. Była za piętnaście piąta. Goście zapewne zaczęli już zbierać się w holu i powinna do nich zejść.

– Mark, dopilnuj, żeby kierowcy zostali na lotnisku, a jeśli będziesz miał jakieś nowe wiadomości, zadzwoń do recepcji i niech mnie poproszą do telefonu.

Odłożyła słuchawkę i wzięła kilka głębokich oddechów. Jeszcze jest czas, tłumaczyła sobie. Prezentacja ma rozpocząć się dopiero za godzinę. Tyle że, do cholery, cały pokaz koncentrował się wokół tych bubków z Lumitechnika. Wiedziała, że poradzi sobie ze swoją częścią prezentacji „Beztróskich lat”, ale w żaden sposób nie potrafi odpowiedzieć na czysto techniczne pytania prawie dwustu lekarzy i chirurgów.

– Nie panikuj – powiedziała głośno do siebie. – Nie ma żadnych powodów do paniki.

Znowu chwyciła słuchawkę i ponownie wykręciła numer Lumitechnika. Nagle pod wpływem chwilowego impulsu zmieniła zdanie i zadzwoniła pod numer podany na pieczęcie firmy. Podobnie jak w przypadku Schnabla, jedyną odpowiedzią był przeciągły sygnał, oznaczający, że po drugiej stronie nie ma nikogo. Połączyła się z telefonistką hotelową.

– Proszę natychmiast sprawdzić dwa numery telefoniczne w Szwajcarii, chyba są uszkodzone. Powtarzam – natychmiast. To bardzo pilne.

– Oczywiście, pani Arias.

– Proszę zadzwonić do mnie, gdy pani to sprawdzi.

Telefonistka oddzwoniła po dłuższej chwili, która dla Carrie wydała się wiecznością.

– Wygląda na to, pani Arias, że obie linie zostały odłączone.

– Niemożliwe – stwierdziła Carrie. – To są główne telefony firmy, z którą kontaktowałam się jeszcze wczoraj. To jakaś pomyłka.

– Obawiam się, że nie, proszę pani – odparła telefonistka. – Osoba, z którą rozmawiałam, wyraziła się jasno: obie linie zostały zlikwidowane.

– Czy ta osoba mówiła po angielsku? – Carrie rozpaczliwie chwyciła się resztek nadziei. – Może odpowiedziała pani, że linia jest uszkodzona, może pani jej nie zrozumiała?

– Mówiła bardzo dobrze po angielsku, pani Arias – stwierdziła kobieta, po czym dodała: – Czy mam ponownie sprawdzić te telefony?

– Oczywiście.

Carrie rzuciła słuchawkę na widelki i znów spojrzała na zegarek. Dwie po piątej. Nie miała wyboru – musiała zejść na dół. Modliła się, żeby okazało się, iż nieobecność ludzi z Lumitechnika i awaria telefonu to tylko paskudny zbieg okoliczności. A może jednak kierowcy limuzyn znaleźli już ekspertów i właśnie w tej chwili wsiadają do samochodów i jadą do hotelu.

Piętnaście minut później wszystko było jasne. Lumitechnik nie odezwał się ani słowem, a Mark Reiss potwierdził, że najwyraźniej zarówno szwajcarska firma, jak i G. Schnabel AG po prostu zniknęły z powierzchni ziemi. Dwustu lekarzy, chirurgów i dyrektorów szpitali właśnie wysączyło ostatnie krople szampana i zajmowało miejsca w oczekiwaniu na główne wydarzenie wieczoru, a Carrie, która ze spopieliała twarzą, trzęsąc się z upokorzenia i wściekłości, uciekła do swojego apartamentu, nie miała już żadnych złudzeń – nastąpiła katastrofa.

Czegoś takiego nie przewidziała w najkoszmarniejszych snach. Stała się ofiarą dokładnie zaplanowanej, mistrzowskiej mistyfikacji. Ona – Caroline Beaumont-Arias – która do tej pory uważała się za najsprytniejszą, najbardziej bezwzględną i najsilniejszą kobietę w tej branży, została wyprowadzona w pole, potraktowana jak naiwniaczka, którą, jak pokazały fakty, rzeczywiście była.

Czuła, że mogłaby teraz kogoś zabić. Chciała umrzeć.

Ale nie wiedziała, kto za tym stoi. Nie mogła umrzeć, przynajmniej nie w tej chwili, gdyż na dole czekali goście. Musiała ratować swój wizerunek i zachować twarz. Do dzisiaj Carrie była przekonana, że potrafi sobie poradzić z każdą kryzysową sytuacją i wyjść cało z każdej opresji, ale ten przypadek, ta koszmarna zdrada była tak wstrząsająca, tak fizycznie i psychicznie bolesna, że Carrie nie potrafiła zmusić się, aby wyjść na podium i stawić czoło zebranyemu ludziom.

– Musisz im coś powiedzieć – oznajmiła Carrie Mitzi Palgrave przez telefon.

– Co? – w głosie Mitzi brzmiała panika. – Co mam im powiedzieć, pani Arias?

– Do jasnej cholery, powiedz im, co chcesz, Mitzi. – Carrie czuła, że nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. – Powiedz im, że w samolot, którym lecieli eksperci, uderzył piorun, że w Szwajcarii było trzęsienie ziemi, albo że ktoś ukradł laser i wyrznął w pień wszystkich ekspertów. Powiedz im, co chcesz!

– Myślę, że najlepiej będzie, jak powiem im coś zbliżonego do prawdy – oświadczyła Mitzi. Wiedziała, że musi stanąć na wysokości zadania, bo najwyraźniej jej twarda szefowa,

przynajmniej chwilowo, wypadła z gry. – Powiem po prostu, że jakaś pilna sprawa zatrzymała fachowców w Szwajcarii. – Przerwała. – Wyjaśnię, że to chwilowe kłopoty, ale niestety prezentacja nie może się odbyć i zostaje przełożona na inny dzień.

– Świetnie – odparła Carrie, nadal roztrzęsiona. – Dziękuję, Mitzi.

Mitzi zawahała się.

– Czy wszystko w porządku, pani Arias? Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić? Może zadzwonię po kogoś?

– Nie trzeba. Po prostu pozbądź się tych ludzi.

Po tym, jak zwymiotowała, przez długi czas siedziała na podłodze w łazience. Czowała się wyczerpana i wykończona, ale jej umysł pracował sprawnie – próbowała ustalić wszystkich swoich wrogów i nieprzyjaciół. Na pierwszym miejscu był James, ale szybko wykluczyła tę możliwość. James nigdy, przenigdy nie wymyśliłby czegoś takiego, nigdy, nawet jej, nie uczyniłby czegoś tak podłego. Oczywiście w trakcie swojej drogi na szczyty zawodowej kariery narobiła sobie wielu wrogów, jak każdy, kto bez skrupułów dąży do sukcesu.

Ktokolwiek za tym stoi – pomyślała Carrie z goryczą, płucząc usta i mechanicznie poprawiając makijaż – musi mnie śmiertelnie nienawidzić, skoro zgotował mi takie piekło. Spojrzała w lustro i zobaczyła spoglądające na nią oczy, w których malowała się wściekłość i upokorzenie. Gwałtownie potrząsnęła głową. Tak wiele oczekiwań wiązała z tą kampanią, a teraz nie będzie żadnych fanfar, nie ma żadnych „Beztróskich lat”, produktu, który chciała rozślawić, żadnego wynagrodzenia, żadnej kampanii, żadnego zlecenia. No i oczywiście nie ma żadnej magicznej kuracji, która uczyniłaby ją jeszcze piękniejszą.

Przeszła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Żadne słowa nie mogły opisać tego, jak się teraz czuła. Zmarnowała mnóstwo czasu i pieniędzy, zaniedbała innych ważnych klientów. Ale najgorsze było to, że jeżeli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, jeśli nie znajdzie skutecznego sposobu na uciszenie Palgrave, Reissa i Moritzio (w głębi duszy dziękowała Bogu, że w całą sprawę wtajemniczyła tylko tę trójkę), zostanie wyśmiana nie tylko w Bostonie, ale w całym świecie reklamy. Straci szacunek i dobrą opinię u tych, na których zależało jej najbardziej. Zaczęła głośno szlochać. Z oczu popłynęły jej łzy wściekłości, złości i wstydu. Leżała na tym ogromnym łóżku i ryczała jak małe dziecko.

Nagle usłyszała dziwny odgłos, ktoś pukał do drzwi apartamentu.

– Odejść!

Pukanie powtórzyło się.

– Idź sobie!!

Odgłos przybierał na sile. Carrie leżała jeszcze chwilę, nie reagując na stukanie, ale ponieważ nie ustawało, zdecydowała się otworzyć. To mogła być Palgrave lub ktoś jeszcze ważniejszy.

– Chwileczkę – zawołała. Szybko wstała z łóżka, pobiegła do łazienki i spryskała twarz wodą. Dziękując w myślach wynalazcy wodoodpornego tuszu do rzęs, wzięła głęboki oddech, podeszła do drzwi...

I stanęła oko w oko z prawdą.

Na progu apartamentu stały Oliwia i Annie.

– To wy?! – powiedziała z niezadowoleniem.

– Możemy wejść? – spytała spokojnie Oliwia.

Przez dłuższą chwilę Carrie wpatrywała się w twarz Oliwii, w jej nieruchome zielone oczy, po czym przeniosła spojrzenie na Annie. W jej twarzy zobaczyła zrozumienie i litość.

– Proszę bardzo – odrzekła.

Weszły do salonu.

– Usiądźcie – powiedziała Carrie.

Annie spojrzała na nią i spytała:

– Czy dobrze się czujesz?

– A czemuż by nie?

Usiadły, Annie ostrożnie na brzegu sofy, Oliwia w jednym z foteli, kładąc na podłodze aktówkę z cielecej skóry. Oliwia podniosła wzrok na Carrie i zobaczyła, że pod makijażem jej twarz jest szara i zaczerwieniona od płaczu. Ponownie poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu.

– Muszę się czegoś napić – oznajmiła Carrie.

Powoli, starając się sprawiać wrażenie osoby opanowanej, podeszła do barku, naląła sobie wódki z tonikiem, usiadła w najbliższym stojącym fotelu i pociągnęła spory łyk ze szklaneczki.

– A teraz – zaczęła – podajcie mi jakiś powód, dla którego nie miałabym natychmiast zadzwonić po policję!

– Sądzę – odparła Oliwia, starając się przezwyciężyć ogarniające ją poczucie winy – że jest taki powód.

Carrie spojrzała na teczkę. Łatwo mogła sobie wyobrazić, co się w niej znajdowało. Gdyby była na miejscu Oliwii, zrobiłaby dokładnie to samo. Kopie jej listów do Lumitechnika i Schnabla, nagrane rozmowy telefoniczne, kasety ze sfilmowaną prezentacją, a pewnie i innymi spotkaniami, a przede wszystkim fotografie i odciski woskowe jej nieumalowanej twarzy, zrobione w trakcie „konsultacji” u profesora Pfistera. Wspomnienie skrepowania, które jej wówczas towarzyszyło, powróciło ze zdwojoną siłą i pchnęło ją do działania.

– Rozumiem – zwróciła się do Oliwii, nie spuszczać oka z aktówki – że te materiały mają zmienić cię z aferzystki w szantażystkę.

– Nie ujmowałabym tego w ten sposób – odparła Oliwia.

– A ja tak – stwierdziła Carrie, nalewając sobie kolejnego drinka. – Co chcecie zrobić z dowodami mojej naiwności?

– To zależy – odrzekła Oliwia.

– Od czego?

Annie siedząca na sofie wzdrygnęła się nerwowo.

– Annie, kochanie, wyglądasz na zestresowaną – stwierdziła Carrie. – Może weźmiesz valium?

Annie zaczynała pozbywać się poczucia winy.

– Nie, dziękuję – odparła.

– Czyżbyś przerzuciła się na coś silniejszego?

– Stwierdziłam, że zemsta – oznajmiła Annie, zdumiona własną bezczelnością – jest najlepszym lekarstwem.

– O tak – rzekła Carrie. – Z pewnością.

Oliwia przeszła do sedna sprawy.

– Od ciebie zależy, co zrobimy z, jak to nazywasz, dowodami. Możemy wykorzystać je na wiele sposobów, a wszystkie odniosą podobny skutek.

– Wystawią mnie na pośmiewisko – powiedziała cierpko Carrie. – Zakładam, że to właśnie chcieliście osiągnąć.

– Niekoniecznie. Jeśli zgodzisz się na nasze warunki, z przyjemnością zapomnimy o całej sprawie. Wtedy będziesz już tylko musiała martwić się o spłacenie swojego udziału w kosztach, które poniosłyśmy, no i oczywiście o to, w jaki sposób wytłumaczysz się przed światem z niedotrzymania zobowiązań.

– Mój udział? – spytała Carrie z niedowierzaniem. – Czy macie pojęcie, ile będzie mnie kosztować tylko dzisiejszy wieczór?

– Przypuszczam, że mniej niż wydałyśmy my – odparła Oliwia. – Zorganizowanie Lumitechnika, podróże pierwszą klasą, pokoje w Baurau-Lac i Dolder Grand, masz naprawdę dobry gust, Carrie – dodała z uśmiechem. – Oczywiście wiedziałyśmy, że nie zadowolisz się byle czym.

Carrie dopiła drinka, wstała i ciągle trzęsąc się z wściekłości podeszła do barku po następnego.

– Kim byli ci wszyscy ludzie: Müller, Schnabel, lekarz, asystentka?

– To przyjaciele – odparła Oliwia.

– Masz interesujących przyjaciół – zauważyła Carrie, siadając w fotelu. – Jesteś bardzo milcząca – zwróciła się do Annie. – Może opowiesz mi o tych waszych warunkach?

– Z przyjemnością – odparła Annie, czując, jak ogarnia ją dziwny spokój. Zaczynała wierzyć, że być może Oliwia miała rację i opuszczą hotel bez kajdanek na rękach. Wzięła głęboki oddech i zaczęła: – Po pierwsze, żądamy odwołania wszystkich kalumnii oraz przeprosin dla Jamiego za pomówienia, które pojawiły się w wywiadzie z Silasem Gilbertem...

– I to nie może być notatka drobnym drukiem wciśnięta na piętnastej stronie „Boston Daily News” czy gdzieś na końcu „Advertising Life” – wtrąciła Oliwia. – Przeprosiny mają być jednoznaczne, wyraźnie sformułowane i umieszczone w widocznym miejscu.

– Ponadto – ciągnęła Annie, nabierając pewności siebie – masz sporządzić nową umowę z Jamiem, oczywiście zawartą w obecności prawników i potwierdzoną przez notariusza, w której umieścisz klauzulę zezwalającą mu na przejęcie przez niego wszystkich starych klientów niezwłocznie i bez żadnych konsekwencji.

– Chyba – dodała Oliwia – że któryś z nich będzie wolał zostać z tobą.

– Cóż za wspaniałomyślność! – zauważyła Carrie.

– Poza tym – kontynuowała Annie – przekażesz JAA pięćdziesiąt procent kwoty, którą agencja Beaumont-Arias zarobiła na współpracy z tymi klientami od czasu waszego rozvodu.

Carrie patrzyła na nie w milczeniu; na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

– Czy to wszystko? – spytała w końcu.

– Prawie – powiedziała Oliwia.

– Tak też myślałam.

– Przysięgniesz, że już nigdy nie zrobisz i nie powiesz niczego, co mogłoby zaszkodzić dobremu imieniu Annie.

– A co z tobą? – zapytała Carrie.

Oliwia uśmiechnęła się i rzekła:

– Próbuj, jeśli chcesz.

– Co jeszcze?

– Ostatnia sprawa – powiedziała Oliwia. – Zagwarantujesz nam na piśmie – oficjalnym dokumencie sporządzonym przez prawników i podpisanym w obecności świadków – że nigdy nie podejmiesz żadnych działań odwetowych w związku z naszą małą szaradą.

Spojrzenie Carrie było lodowato zimne.

– Więc tak to nazywasz? Nie afera, fałszerstwo czy szantaż?

Z Annie uleciał cały spokój.

– Wolę określenie szarada – odparła Oliwia.

Carrie pociągnęła głęboki łyk ze szklaneczki i odstawiła ją na stół.

– Nigdy nie lubiłam gier towarzyskich – oświadczyła.

Czas płynął. Trzy kobiety siedziały w milczeniu pogrążone we własnych myślach.

Nagle Carrie odezwała się:

– Czy James brał w tym udział?

– Jamie nic nie wie – odpowiedziała Oliwia.

– Tak myślałam – stwierdziła Carrie. – To nie w jego stylu.

Znów zapadło milczenie, które przerwał dźwięk telefonu. Carrie rzuciła kilka słów do słuchawki i wysłuchała krótkiego raportu Mitzi – wszystko przebiegło pomyślnie, a goście nie buntowali się specjalnie przeciw zmianie planów, głównie dzięki dużym ilościom szampana, wypitego przed prezentacją. Carrie prosiła o poinformowanie centrali, aby na razie nie łączyła do niej żadnych rozmów i odłożyła słuchawkę.

– Więc – odezwała się w końcu Oliwia. – Co robimy, Carrie? Decydujesz się na współpracę z nami czy mamy przekazać cały ten bałagan innym?

Carrie usiadła głębiej w fotelu i spojrzała na obie kobiety.

– Gdybyś nie zrobiła ze mnie takiej idiotki – powiedziała – mogłabym cię prawie... prawie szanować za to, co zrobiłaś.

– Nikt nie musi o niczym wiedzieć – wtrąciła Annie.

– Niektórzy już wiedzą.

– Nie, wcale nie – zaproponowała Oliwia. – Wiedzą, że coś poszło nie tak, ale nie wiedzą dlaczego. Nawet ludzie, którzy wraz z tobą przygotowywali kampanię, nie muszą o niczym wiedzieć. Powiedz im, że Lumitechnik zbankrutował i że zamierzasz pozwać firmę do sądu. Wyjaśnij im, że wszystkim zajęli się już twoi prawnicy.

Minęła kolejna minuta.

– Czy jesteś hazardzistką, Oliwio? – spytała Carrie.

– Może.

– Postawienie na jedną szalę własnej kariery i dobrego imienia to jedno – powiedziała Carrie – ale musiałaś sobie zdawać sprawę, że gdybym odmówiła grania waszymi kartami, Annie miałyby o wiele więcej do stracenia.

Annie siedziała bez ruchu.

– Potrafię sama zadbać o swoje interesy, Carrie.

– Jesteś odważną kobietą, Annie. Muszę przyznać, że jestem tym zdziwiona.

– Ja też – powiedziała Annie.

– Oliwia oczywiście wiedziała, że podejmuje dobrze skalkulowane ryzyko – ciągnęła Carrie. – Zaryzykowała, zakładając, że będę wołała przystać na wasze żądania, niż wnieść oskarżenie i tym samym wystawiać się na pośmiewisko.

– Czy się myliłam? – spytała Oliwia.

Annie wstrzymała oddech.

Carrie milczała przez chwilę, po czym odparła:

– Nie. Nie myliłaś się.

Odprowadziła je do drzwi.

– Czy nie dałoby się wynegocjować pewnej ugody, jeśli chodzi o przeprosiny? – spytała.

– Może, na przykład, wystarczyłoby oświadczenie podpisane przez pana Gilberta?

– Czemu nie? – zgodziła się Oliwia.

– O ile będzie wiarygodne i szczere – dodała Annie.

Carrie otworzyła drzwi.

– James ma szczęście – powiedziała.

– Dziękuję, Carrie – odparła Oliwia.

Annie zawahała się w drzwiach.

– To była – powiedziała łagodnie – wspaniała kampania.

W kącikach ust Carrie pojawił się nieznaczny, chłodny uśmiech.

– To był niezwykle produkt – odrzekła.

Jeszcze w tym samym tygodniu w obu gazetach pojawiło się oświadczenie Silasa Gilberta. Bob Jacobson poinformował Jamiego, że Carrie pragnie zmienić na jego korzyść warunki umowy rozwodowej.

Dwa dni później Jamie zadzwonił do Oliwii do Strasburga.

– Co zrobiłaś?

– Słucham? – Oliwia siedziała w biurze i z niepokojem czekała na dalsze pytania.

– Nie ma co udawać, Oliwio. Carrie powiedziała mi, że ty i Annie jesteście odpowiedzialne za jej nagłą zmianę.

– Jaką zmianę?

– Oliwio, przestań! Nie ma sensu udawać. – Carrie powiedziała mi wszystko.

– A co dokładnie ci powiedziała? – Oliwia zdjęła słuchawkę telefonu bezprzewodowego z podstawki i zaczęła kręcić się na krześle obrotowym. Zawsze tak robiła, gdy miała wyjątkowo dobry humor. Teraz mogła już powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. W najgorszym wypadku Jamie wsiądzie na swojego ulubionego konika i zarzuci ją pretensjami, że nie potrzebował jej pomocy, że nie powinna się wtrącać i dlaczego, na miłość boską, wciągała w to Annie.

– Tak naprawdę to nie powiedziała mi nic konkretnego – przyznał Jamie. – Stwierdziła tylko, że jeśli chcę poznać przyczyny jej odmiany, powinienem spytać o to ciebie.

– Pytaj więc – odparła wesoło Oliwia. Okręciła się na krześle dwa razy w prawo.

– No właśnie pytam.

– To nie znaczy, że ci odpowiem. – Teraz dwa obroty w lewo.

– Czy chcesz, żebym zapytał Annie?

– Spróbuj. – Oliwia zatrzymała krzesło, czując, że zaczyna jej się kręcić w głowie.

Uzgodniły z Annie, że będzie lepiej, jeśli Jamie nigdy nie dowie się całej prawdy o tym, co zrobiły.

– Oliwio, to nie fair. Nie prosiłem cię, żebyś się wtrącała.

Oliwia uśmiechnęła się do siebie.

– Znasz mnie.

– A jeśli chodzi o Annie, obiecałaś, że nie powiesz jej o tym wywiadzie.

– Ale w myśli dodałam, że powiem.

– Oliwio, to przestaje być śmieszne.

– Powiedz mi jedną rzecz, Jamie. Czy teraz jest lepiej, czy gorzej niż przedtem?

– Lepiej, do diabła, ale nie o to chodzi!

– A o co? – spytała łagodnie Oliwia.

Jamie myślał przez chwilę, po czym zapytał:

– Czy powiesz mi, jak to zrobiliście?

– Nie – odrzekła Oliwia. – Nigdy. Ani ja, ani Annie. Edward wie tylko, że coś przygotowywałyśmy, ale nie zna żadnych szczegółów.

– Oliwio!

– Och, Jamie, przestań! – Dobry humor częściowo ją opuścił. – Przyznaję, że zaryzykowałam kilka rzeczy, których nie powinnam robić – nie tylko ze względu na siebie, ale i innych, i wcale nie jestem z tego dumna. Ale, dzięki Bogu, nikt nie doznał żadnej krzywdy, ucierpiała tylko duma Carrie, i chociaż pewnie w to nie uwierzysz, też nie czuję się z tego powodu najlepiej. – Mocniej chwyciła słuchawkę. – Ale nie powiem ci nic więcej, Jamie. Najważniejsze, że się udało, więc proszę, nie pytaj, jak tego dokonaliśmy.

Jamie dłuższą chwilę milczał.

– Powiedz mi tylko jeszcze jedno – powiedział.

– Dobrze, jeśli będę mogła.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Wiesz dlaczego – odrzekła Oliwia.

– Tak czy inaczej proszę, żebyś mi powiedziała, Oliwio.

Teraz Oliwia zamilkła. Przez jej głowę przemknęła setka myśli, tęsknot i nadziei, wszystkie zmierzały do jednego celu, przypominały niezapomniane godziny w Newport i Bostonie. Może Jamie jednak nie zapomniał, nie wyrzucił tego z pamięci. Być może czekał, że coś powie, da mu jakiś znak.

Nie – powiedziała sobie. – Nie teraz. Być może nigdy.

– Oliwio? – głos Jamiego przywołał ją do rzeczywistości. – Powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś.

– Wiesz, dlaczego to zrobiliśmy – odparła Oliwia. – Ty, ja i Annie. Nasz pakt.

– Czy to jedyny powód?

Wydało jej się, że słyszy w jego głosie błaganie, ale nie była, nie mogła być pewna.

– Oczywiście, że nie – powiedziała cicho. – Wiesz, że cię kochamy, Jamie.

Rozdział 18

Pudełko Oliwii

Szóstego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku pewien młody Żyd z Hanoweru, nazwiskiem Hirsch Grynszpan, studiujący w Paryżu, pod wpływem informacji o nieludzkim traktowaniu jego rodziny przez nazistów udał się do ambasady niemieckiej w Paryżu i zastrzelił jednego z jej pracowników – Ernsta von Ratha.

Dwa dni później, ósmego listopada, Georg Brauner złożył w naszym domu ostatnią, jak się później okazało, wizytę. Z kilku obrazów, które zostały jeszcze w piwnicy, wybrał dwa: Hodlera i Redona. Przy poprzednich wizytach Brauner załatwiał to, co nazywał „interesami” w tak beztroski sposób, że moja matka prawie gotowała się z wściekłości, próbując zdławić przepełniającą ją nienawiść. Zawsze schodził z papą do piwnicy i wybierał to, co mu się podobało; nigdy nie chciał skorzystać z mojej pomocy, tłumacząc, że jeśli chodzi o tak cenne obrazy, to może zaufać tylko mojemu ojcu. Potem odsuwał się kilka kroków i patrzył, jak papa przynosi drabinę i z niemałym trudem zdejmuje obrazy z półek, na których – wraz z pozostałymi stu trzydziestoma już skradzionymi przez Braunera – były pieczołowicie przechowywane. Przyglądał się, jak ojciec starannie zawija je w papier i przygotowuje do wywiezienia.

Jednak tym razem Brauner najwyraźniej spieszył się, ponieważ pozwolił, abym pomagał ojcu. Zagonił nas do piwnicy, stale popędzał, krzyczał, żebyśmy się pospieszyli, a jednocześnie uważali, aby nie uszkodzić żadnego z obrazów. Moja matka stała u szczytu schodów piwnicznych z zaciśniętymi pięściami, słuchając pokrzykiwań Braunera i naszych ciężkich oddechów, gdy staraliśmy się jak najszybciej spełnić jego żądania. Myślę, że wiedzieliśmy już wtedy, że sprawa z Braunerem zbliża się ku końcowi. I chociaż nasze serca radowały się na myśl, że już go nigdy nie zobaczymy, to radość tę w dużym stopniu tłumiała świadomość, że nasze kłopoty dopiero się zaczęły.

– Jeszcze jedno, zanim wyjdę – oświadczył Brauner, gdy znaleźliśmy się na górze.

– Naturalnie – odparł Emanuel, z trudem łapiąc oddech. Hedi, która bardzo obawiała się o jego zdrowie, chciała mu pomóc, gdy z wyraźnym zmęczeniem wchodził na schody piwnicy z

Redonem w rękach, a za nim Anton niosący obraz Hodlera. Emanuel jednak był zbyt dumny i uparty – i nie pozwolił sobie pomóc.

– Przejdźmy do salonu, jeśli łaska – powiedział Brauner.

Hedi, wyprostowana, z głową uniesioną wysoko, zdecydowana nie okazywać strachu, poprowadziła ich do pokoju, w którym Brauner tyle razy wypijał pożegnalnego drinka. Zawsze uprzejmy, jakby rzeczywiście wierzył, że jego obecność sprawia gospodarzom niekłamaną przyjemność.

– Może sznapsa? – spytał Emanuel zmęczonym głosem.

– Nie – odparł Brauner. Anton, uderzająco podobny do matki, równie jak ona wysoki i szczupły, wszedł do salonu, zamykając za sobą drzwi. – Nie będzie już żadnych sznapsów.

Czekali w milczeniu. Brauner, który zwykle rozsiadał się wygodnie, zakładał nogę na nogę i bez pośpiechu wypijał drinka, tym razem stał. Jak zwykle ubrany był w elegancko skrojony garnitur, na nogach miał ręcznie robione, wypolerowane do połysku buty, ale nie było wątpliwości, że jego swoboda gdzieś zniknęła.

– Dzisiaj po raz ostatni jestem w waszym domu – oznajmił. Mówił cicho, jakby obawiał się, że ktoś może podsłuchiwać ich rozmowę. – Ale zanim was opuszczę, mam do przekazania ważne wiadomości. Przynajmniej jeśli chodzi o was. – Przerwał. – Oczywiście słyszeliście o strzelaninie w Paryżu?

– Tak – odrzekł Emanuel, czując wyraźny ucisk w żołądku.

– Dowiedziałem się od jednego z moich informatorów – ciągnął Brauner ściszonego głosem – że lada dzień w całych Niemczech rozpoczną się represje wobec Żydów.

– Tu w Baden-Baden też? – zapytał szybko Anton.

– Tak. Tu też – odparł Brauner, przyglądając im się uważnie zimnymi, ciemnymi oczami. – Udało mi się uzyskać zapewnienie, że dopóki będziecie tutaj, w tym domu, pan i pańska rodzina, możecie czuć się bezpiecznie.

Zapadła krótka cisza. Emanuel gwałtownie pobladł.

– A dokąd moglibyśmy pójść, panie Brauner? – spytała sucho Hedi. – Nadal nie mamy naszych dokumentów.

Brauner skinął nieznacznie głową w jej kierunku i rzekł:

– Wasze papiery, pani Rothenburg, przybędą już wkrótce.

– Jest pan tego pewien? – zapytał Anton.

– Niestety – dodała Hedi – słyszeliśmy to już wiele razy.

– Ale teraz sytuacja uległa zmianie – odpowiedział jej Brauner – ponieważ zakończyliśmy realizację naszej umowy.

– Czyżby? – spytał Anton.

– A jakże – odparł Brauner. – Parafrazując popularne powiedzenie: ujrzeliśmy dno skarbonki. – Przerwał, po czym dodał łagodniej: – Wiem, że czujecie się nieco rozczarowani, ale czasy są trudne i każdy musi dbać o własne interesy. Jestem pewien, że to rozumiecie.

Nikt nie odpowiedział.

– Teraz nadszedł czas – ciągnął Brauner – abym dotrzymał mojej części umowy i zamierzam to właśnie zrobić. Więcej się już nie spotkamy, ale wasze papiery zostaną wam dostarczone, i to już niedługo.

– To bardzo dobre wieści – odparł nieco odprężony Emanuel.

– O ile są prawdziwe – zauważył Anton.

– Anton, proszę – powiedział Emanuel.

– Rozumiem sceptycyzm pańskiego syna – rzekł Brauner. – Ale zapewniam was, że wszystko, co wam powiedziałem, jest prawdą.

– A represje? – spytał z niepokojem Emanuel.

– Tak jak powiedziałem, zaczną się lada chwila – odrzekł Brauner, podchodząc do drzwi.

– Proszę posłuchać mojej rady, panie Rothenburg. Proszę zostać wraz z rodziną w domu, dopóki to się nie skończy, a nic wam się nie stanie. – Urwał. – Być może przyjdą do was, może będą pewne trudności, jakieś drobne zniszczenia, ale obiecano mi, że wszystko to będzie robione tylko na pokaz, was oszczędzą.

– Czy może nam pan to zagwarantować? – spytała Hedi.

– Przekazuję wam tylko to, co mi powiedziano, pani Rothenburg – stwierdził Brauner. – Nie mam żadnych powodów, żeby wątpić w te zapewnienia.

Mama jednak miała poważne wątpliwości. Po wyjściu Braunera oświadczyła nam, że tak jak i przedtem, nie wierzy, aby wręczono nam nasze wize i inne niezbędne dokumenty. Równie mocno wątpiła w gwarancje bezpieczeństwa przekazane nam przez Braunera. Papa próbował się z nią spierać; według niego Brauner był szczery. Przypominając z naciskiem, że od kiedy piwnice są puste sytuacja uległa zmianie, dawał wyraźnie do zrozumienia, że do tej pory

blokował ich wyjazd ze względu na to, iż byli mu potrzebni. A dlaczego nie miałyby tego przyznać – pytała mama ironicznie – skoro i tak nie możemy mu nic zrobić? Jeśli chodzi o nią, to nie wierzyła ani jednemu słowu złodzieja.

– Co wobec tego mam zrobić? – spytał ją ojciec.

– Nie można nic zrobić – odparła apatycznie. – Musimy zostać, tak jak nam powiedział, i musimy czekać, a potem...

– Co potem? – zapytał papa.

– Potem poznamy prawdę – odparła.

A ja nie dodałem nic.

Czekaliśmy cały dzień i noc i kolejny długi dzień. Tego dnia wypadały urodziny Leo Landau i chciałem pójść do sąsiadów, aby złożyć mu życzenia, ale papa mi zabronił. Czułem się niespokojny i bezsilny. Liii stała się kłótniwa, a Trudę stale wybuchwała płaczem. Mama próbowała przekonać ojca, że wszyscy moglibyśmy pójść na chwilę do sąsiadów, ale papa był niewzruszony. Instrukcje Braunera były jasne i skoro nie mieliśmy innego wyjścia, należało siedzieć w domu. I nawet jeśli przecucie podpowiadało mamie, że jeżeli w okolicy zaczną się kłopoty, to lepiej byłoby rozdzielić rodzinę, nie miała ani siły, ani ochoty spierać się z ojcem.

Teraz już wiem, że wraz z nadejściem nocy dziewiątego listopada, która przeszła do historii jako „kryształowa noc” – *Kristallnacht*, przez domy Żydów w całych Niemczech przeszła bezprecedensowa fala okrucieństwa i zniszczenia. Jednak dla naszej rodziny ta noc zaczęła się spokojnie, w niezwyklej ciszy, a nasz dom, tak jak obiecał Brauner, zostawiono w spokoju.

Krótko przed jedenastą wieczorem, kiedy nasza gospodyni Maria poszła już do siebie, Liii i Trudę spały w swoich pokojach, a i mama przygotowywała się do snu, spojrzałem na ojca i spytałem:

– Położymy się, papo? Spróbujemy zasnąć?

Ciągle pamiętam jego wymuszony uśmiech.

– Możemy spróbować – odrzekł.

Tak jak i zeszłej nocy, po wyjściu Braunera, wzięliśmy oba psy i udaliśmy się na ostatni patrol. Obeszliśmy cały dom, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, czy drzwi i okna zostały dokładnie zamknięte, a zasłony zasunięte.

Na dworze, przed i za domem, było cicho i spokojnie.

Wszyscy położyliśmy się spać.

Emanuel śnił, że stoi przy boku swojego ojca, ubranego w szal modlitewny i jarmułkę. Nawet we śnie wiedział, że jest to święto Jom Kippur. Wokół nich było wielu ortodoksyjnych Żydów, którzy zatraceni w modlitwie kiwali się w przód i w tył. Ojciec jednak stał nieruchomo, patrzył na Emanuela, swojego syna, z roziskrzonymi oczami i twarzą przepelnioną dumą.

– Wkrótce będziesz mógł wyjechać – powiedział bardzo cicho, tak że nikt oprócz Emanuela nie mógł go usłyszeć. – Ty, Hedi i dzieci – możecie już do nas przyjść.

– Ale nie mamy wymaganych dokumentów – zaprotestował Emanuel.

Ojciec uśmiechnął się do niego.

– Nie potrzebujesz papierów – odparł i objął syna silnym ramieniem. – Twoja matka będzie taka szczęśliwa, że znów się z tobą spotka. Taka szczęśliwa.

Obudził go zimny ucisk przy prawej skroni.

Otworzył oczy. Leżał na boku tuż przy Hedi. Czuł emanujące od niej ciepło; lewą ręką obejmowała go. Przez ułamek sekundy pomyślał, że to uczucie chłodu było częścią snu, ale natychmiast uświadomił sobie, że nadal je czuje.

Zimna stal.

Emanuel mrugnął ze zdziwienia oczami. Usłyszał za sobą jakiś ruch. I wtedy zrozumiał, że to pistolet.

Zaczął się modlić.

Proszę, Boże, nie pozwól jej się obudzić. Mężczyzna wyrzekł tylko dwa słowa.

– Giń, Żydzie!

Emanuel zobaczył, jak Hedi zatrzepotała powiekami, poczuł, że się poruszyła. Szybko objął ją ramieniem.

Boże, Stwórco Wszechświata, proszę, ocal nasze dzieci.

Nic nie słyszałem. Żadnego odgłosu – a przecież psy musiały szczekać, zanim je uciszono. Żadnych strzałów. Żadnych dźwięków, gdy rozlewali benzynę, ani trzasku zapalanych zapalek.

Tak jak Trudę i Liii spałem, gdy mordowano naszych rodziców i podpalano dom. Gretel Landau, matka Leo, obudziła się koło pierwszej w nocy i podeszła do okna. Widząc łunę nad naszym domem obudziła swojego męża, Samuela, który szybko narzucił na siebie szlafrok i wybiegł boso z domu. Przebiegł przez trawnik, minął furtkę łączącą nasze ogrody. Obudził mnie jego głos, gdy wykrzykiwał w kółko nasze imiona. Dusząc się od dymu podbiegłem do drzwi sypialni, ale tam zatrzymały mnie płomienie. Rzuciłem się do okna. Przerażony i oszalały ze strachu patrzyłem, jak Landau szuka drabiny, przystawia ją do okna i pomaga mi zejść.

Następnego dnia, dziesiątego listopada, ulicami Baden-Baden przepędzono setki Żydów. Zaciągnięto ich do synagogi, gdzie kazano głośno czytać fragmenty „Mein Kampf”. Wśród zgromadzonych nie było ani Samuela Landau, ani mnie, bo w tym czasie jechaliśmy już do nowo utworzonego obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Widziałem, jak ogień pochłania nasz dom, trawi ciała moich rodziców i sióstr oraz żalosne resztki niegdyś wspaniałej kolekcji mego ojca. Jestem pewien, że po tej nocy nie przeprowadzono żadnego dochodzenia, żadnej sekcji zwłok.

Znalazłem ten mały notes pierwszego dnia mojego pobytu w obozie. Wszedłem na niego; był tak zagrzebany w błotnistej ziemi, że niemal go przeoczyłem. Tutaj papier jest cenniejszy od złota. Spisałem naszą historię najlepiej jak umiałem i dobrze ukryłem. Mam nadzieję, że zanim nadejdzie koniec, zdołam ją przekazać komuś silniejszemu ode mnie.

Chciałbym, aby ktoś spoza tego miejsca poznał prawdę.

Bo cóż oprócz nadziei nam zostało?

Rozdział 19

Oliwia

Oliwia była jedyną osobą ze wszystkich znanych Annie i Jamiemu, która lubiła przeprowadzki. Większość ludzi twierdziła zgodnie, że przeprowadzki to piekło, może nie aż takie, jak wynikałoby to ze statystyk, w których przeprowadzki zajmowały poczesne miejsce, wśród tak stresogennych sytuacji jak utrata bliskiej osoby czy rozwód, ale na pewno były czymś, co należało znieść z zaciśniętymi zębami i co pochłaniało sporą część oszczędności.

Oliwia uważała, że przeprowadzki są wspaniałe. Twierdziła, że każda zmiana domu – oprócz wyprowadzki z domu rodziców w siedemdziesiątym szóstym roku – jest dla niej cudowną wyprawą w nieznaną świat.

– To świetna przygoda – opowiadała Jamiemu i Annie podczas ich ostatniej wizyty w Strasburgu, w sierpniu dziewięćdziesiątego czwartego roku, kiedy przygotowywała się do kolejnej przeprowadzki, tym razem do Brukseli. – To wynajdywanie nowego mieszkania i urządzenie go, to zawieranie nowych znajomości i odkrywanie sklepów, w których sprzedają dobre jedzenie, czy ciekawych restauracji...

– I zastanawianie się, w jakim języku zapytać przechodnia o drogę – dopowiedział Jamie, skrobiąc ziemniaki w kuchni. Wszyscy troje byli w podkoszulkach, dżinsach i fartuchach. Przez ostatnie sześć dni jadali na mieście, więc tego wieczora zdecydowali się zostać w domu, ugotować *pot au feu* i pomóc Oliwii w pakowaniu się.

– Tym razem po francusku albo flamandzku – odparła Oliwia. Podniosła pokrywkę wielkiego garnka i wdychała aromat mieszanki wołowiny, wieprzowiny, kurczaka i ziół.

– Flamandzki jest bardzo podobny do niderlandzkiego, prawda? – spytała Annie.

– Mniej więcej – odrzekła Oliwia. – A Bruksela jest miastem dwujęzycznym; każda ulica ma dwie nazwy: francuską i flamandzką. – Zaczerpnęła łyżką trochę rosółu i podsunęła ją Jamiemu. – Spróbuj, proszę.

Jamie spróbował.

– Wyśmienite. Kiedy będzie gotowe?

– Gdy ugotujesz ziemniaki.

- Nie zniosłabym tego – oznajmiła Annie.
- Czego? – spytała Oliwia.
- Przeprowadzki do innego kraju.
- Przecież już to robiłaś i przeżyłaś – zauważyła Oliwia.
- Ale nie było to łatwe – odparła Annie.
- A gdyby Edward chciał się przeprowadzić? – zapytała Oliwia – Czy zrobiłabyś to jeszcze raz?
 - Nie sądzę, aby Edward chciał kiedykolwiek opuścić Anglię – wtrącił Jamie, zapalając gaz pod garnkiem z ziemniakami.
 - I dzięki Bogu – stwierdziła Annie.
 - A ty, Jamie? Czy chciałbyś się znowu przeprowadzić? – zapytała Oliwia.
 - Mógłbym – odpowiedział Jamie – gdybym miał powód.
 - Na przykład kobieta – rzekła Annie. – Pojechałeś za Carrie do Bostonu.
 - Ale to nie było dla mnie zupełnie obce terytorium – zaproponował Jamie. – Przecież niedaleko znajduje się mój dom rodzinny.
 - To śmieszne – stwierdziła Oliwia, siadając za stołem – ale nigdy nie uważałam posiadłości w Newport za twój dom.
 - Jednak to jest mój dom rodzinny – powiedział Jamie.
 - Wiem – zgodziła się Oliwia. – A mimo to nie uważam go za taki.

Jedną z rzeczy, które Oliwia lubiła najbardziej, jeśli idzie o przeprowadzki, była sposobność pogrzebania w, jak to nazywała, kufrze rodzinnym. Była to największa z eleganckich waliz z ciemnozielonej skóry, które Artur Segal kupił u Swaine'a Adeneya i Briggsa na Piccadilly, niedługo po przeprowadzce do Londynu. Przygotowując się do zlikwidowania domu w Hampstead, Oliwia wykorzystała ją do umieszczenia w niej rzeczy rodziców. Przeprowadzka była doskonałą okazją do poszperania w starych rzeczach, pozbycia się niepotrzebnych śmieci i bezsensownych pamiątek, które przechowywała, sama dobrze nie wiedząc dlaczego. Były tam stare zapisy meczów, programy teatralne i katalogi sklepów z gwiazdkowymi prezentami.

Siedząc przy kuchennym stole i objadając się *pot au feu*, Oliwia opowiadała przyjaciółom, że przy każdej przeprowadzce miała nadzieję znaleźć w starym kufrze coś nowego. Gdy przeprowadzała się z Nowego Jorku do Genewy, znalazła stary dyktafon Artura, a w nim

niezauważoną wcześniej kasetę. Oliwia nadal pamiętała podekscytowanie i radość, gdy okazało się, że magnetofon nadal działa i może odtworzyć nagrany na taśmie głos swojego ojca, dyktującego sekretarce jakieś polecenia.

– A gdy wyjeżdżałam z Genewy, znowu coś odkryłam – powiedziała, nalewając wszystkim wina. – Stary aparat fotograficzny mamy często wpadał mi w oko, ale z powodu, którego do dzisiaj nie rozumiem, nigdy nie sprawdziłam, czy w środku jest film. Może dlatego, że mama zawsze była taka zajęta i nigdy nie widziałam, żeby robiła zdjęcia. No więc w środku była jednak klisza i to mnie strasznie zasmuciło, bo myślałam, że nie da się już jej wywołać...

– Pewnie, że nie – wtrącił Jamie. – Po tylu latach?

– Ależ nie – zaprotestowała Annie. – Liwi pokazała mi te zdjęcia zaraz po wywołaniu, prawda?

– Cudowne, szczęśliwe fotografie – powiedziała Oliwia. – Pokażę ci je później, Jamie. Mama i tata podczas wspólnego wyjazdu, chyba do Francji, ale nie jestem pewna, bo na zdjęciach widać tylko krajobrazy, żadnych znaków drogowych czy innych wskazówek.

– To co znajdziemy tym razem? – spytał Jamie.

Oliwia potrząsnęła głową.

– Żeby się zbytnio nie rozczarować, muszę przygotować się na to, że nie ma już nic nowego do odkrycia. – Wstała i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. – Ale to nic. Już samo przeglądanie dobrze znanych rzeczy jest świetną zabawą.

Wspólnie wyciągnęli kufer na środek pokoju i zaczęli sprawdzać jego zawartość. W środku znajdowały się sentymentalne pamiątki rodzinne: świadectwa, zrolowane dyplomy, nieporęczna krótkofalówka – Oliwia pamiętała, jak Artur włączał ją późno w nocy, aby wysłuchać wiadomości z odległych stron świata – kalendarzyki, masa listów z podziękowaniami dla Artura od organizacji charytatywnych z całego świata, fotografie – całe stosy czarnobiałych i kolorowych zdjęć, których nigdy nie wklejono do albumów, no i listy miłosne jej rodziców, które Oliwia po ich znalezieniu w siedemdziesiątym szóstym roku przewięzała wstążeczką i przyrzekła sobie w duchu, że nikt już nigdy ich nie przeczyta.

– Co jest w środku? – spytała Annie.

Oliwia spojrzała na starą aktówkę ze świńskiej skóry z wyłamanym zamkiem i nagle przed oczami stanął jej obraz samej siebie, siedzącej na podłodze w gabinecie ojca w Hampstead

i dłubiącej w tym zamku ostrzem małego kuchennego noża. Przypomniała sobie także, co znalazła w tej teczce. Dziwna, tajemniczo sformułowana, krótka notatka od Carlosa Ariasa do Artura, napisana na krótko przed ich tragiczną śmiercią. „Niepokój i przerażenie” – użył właśnie takich słów. Oliwia przypomniała sobie treść notatki, pamiętała, że była napisana odręcznie i że po jej przeczytaniu czuła się nieco rozdrażniona i dziwnie zaniepokojona. Pamiętała również, że pokazała ją Annie i spytała, czy nie powinna powiedzieć o tym dziwnym liściku Jamiemu. Annie jej to wtedy odradziła i Oliwia schowała notatkę z powrotem do aktówki.

– Liwi? – Annie spojrzała na nią pytająco.

– O co chodzi? – zaciekawił się Jamie.

Oliwia wzięła od Annie teczkę i otworzyła ją.

– Po prostu pomyślałam o czymś, co tu znalazłam – odparła, zaglądając do środka.

Notatka tam była, złożona tak, jak zostawiła ją wiele lat temu.

Oliwia rozłożyła kartkę i jeszcze raz przeczytała list:

Drogi Arturze!

Z prawdziwym niepokojem i przerażeniem stwierdziłem, że Twoje podejrzenia nie są, jak myślałem, bezpodstawne. Musimy spotkać się jak najszybciej.

Carlos Arias

– Zapomniałam o tym – zwróciła się do Jamiego. – Znalazłam to przy porządkowaniu domu w Londynie, a później schowałam i wyrzuciłam z pamięci. – Podała mu kartkę. – Wtedy nie wiedziałam, o co tu chodzi. Opowiedziałam Annie o tej notatce, a ona stwierdziła, że nie warto ci tym zawracać głowy, więc ją schowałam.

Annie pochyliła się do przodu, spojrzała na notatkę i przypomniała sobie:

– To może dotyczyć wszystkiego – powiedziała. – Może chodzi tu o coś zupełnie trywialnego.

– Te słowa nie brzmią trywialnie – zauważyła Oliwia. – Wtedy też wydawało mi się, że muszą znaczyć coś ważnego, Jamie. Przepraszam. Chyba powinnam ci to wtedy pokazać.

– Nie sądzę, żeby ten list mówił mi wówczas więcej niż dzisiaj – stwierdził Jamie. – Annie miała chyba rację, mógłbym się tylko zdenerwować.

– Najbardziej zdziwiło mnie to, że nie pamiętam, aby nasi ojcowie byli ze sobą tak blisko – ciągnęła Oliwia. – To znaczy, spotykali się od czasu do czasu na różnych imprezach

charytatywnych i zebraniach szkolnych, ale nie wiedziałam, że łączy ich coś więcej. A wy?

– Chyba nie – odparł z namysłem Jamie. – Może prowadzili jakieś wspólne interesy?

– Jakie interesy? – zdziwiła się Annie. – Niewiele łączy sztukę i przemysł transportowy.

Jamie zawahał się.

– No... nie wiem.

– Spytaj Michaela – zasugerowała Oliwia.

– Po co? – odparł Jamie.

– On może coś wiedzieć o wspólnych interesach naszych ojców.

– Sprzed osiemnastu lat?!

– Uważam, że powinniście dać sobie z tym spokój – powiedziała ciepło Annie.

– Dlaczego? – spytała Oliwia ze zdumieniem.

– Bo i tak niczego nie odkryjecie – tłumaczyła Annie. – To jest najwyraźniej jakiś prywatny liścik. Wtedy – i teraz też – miałam wrażenie, że ojciec Jamiego jest czymś na serio zaniepokojony. – Urwała. – A cokolwiek by to było, i tak ani on, ani twój ojciec nie zdążyli wiele zrobić. Więc po co do tego wracać?

– Z ciekawości – powiedziała Oliwia.

– Stanowczo jesteś zbyt ciekawska, Liwi – stwierdziła Annie.

– Wiem, wiem, a to pierwszy stopień do piekła – dodała Oliwia.

– „Człowiek żyje po to, aby zaspokoić swoją ciekawość”, mówi przysłowie żydowskie – zauważył Jamie z szerokim uśmiechem.

– Od kiedy to cytujesz żydowskie przysłowia? – zdziwiła się Annie.

– Wymknęło mi się – odparł zmieszany.

– Jakaś nowa żydowska przyjaciółka? – spytała Annie.

– Nie w tym miesiącu – powiedział Jamie.

Oliwia słuchała w milczeniu.

We wrześniu Oliwia wprowadziła się do hotelu Amigo, luksusowego gmachu z lat pięćdziesiątych, wybudowanego na miejscu starego więzienia brukselskiego. – Zdecydowała, że będzie to jej baza na czas poszukiwania domu i miejsca na biuro. W dniu jej przyjazdu do Belgii zadzwonił Jamie.

– Co słychać?

– To co zwykle na tym etapie – odparła Oliwia, siedząc na podłodze w otoczeniu walizek.
– Właśnie w dniu takim jak dzisiejszy odkrywam zwykle, że najważniejsze rzeczy zapakowałam do pudeł, które wysłałam do przechowalni. Jak na razie, mam wszystkie garnki i ani jednej sztuki bielizny.

– Całe szczęście, że jest lato – zauważył Jamie.

– A poza tym mam świetną wymówkę, żeby pójść na zakupy.

– A wracając do pudeł – przypomniał sobie Jamie – w zeszłym tygodniu spytałem Michaela o ten liścik mojego ojca. Nie miał pojęcia, o co mogło mu chodzić.

– Czy Michael wiedział coś o wspólnych interesach naszych ojców? – spytała Oliwia.

– Nie. Jemu także wydało się dziwne, że ojciec napisał coś takiego. Pytał, czy nie znalazłaś więcej podobnych listów. Powiedziałem, że z tego, co wiem, to nie.

– To prawda – powiedziała Oliwia. – Ale z drugiej strony, nigdy nie szukałam.

– Tak właśnie myślałem.

– Mam całą szafkę wypchaną papierami rodziców. Jeśli chcesz, mogę je przejrzeć pod tym kątem.

– Nie widzę sensu – oznajmił Jamie. – Tak jak powiedziała Annie, to wszystko zdarzyło się wiele lat temu.

– W takim razie zajmę się uzupełnianiem swojej garderoby – stwierdziła Oliwia. – Mam straszną ochotę pójść na zakupy.

– Oliwio? – spytał Jamie.

– Tak?

– Przestań gadać o bieliźnie.

– A co masz przeciwko bieliźnie, Jamie?

– Nic. Absolutnie nic.

– Więc dlaczego nie możemy o tym rozmawiać?

– Oliwio? – powiedział znowu Jamie.

– Co?

– Idź na zakupy!

To niewiarygodne – stwierdziła Oliwia, odłożywszy słuchawkę – jak po tylu latach najmniejsze, najdrobniejsze podejrzenie, że Jamie, być może, mimo wszystko, pamięta – a może nawet wspomina – to, co zdarzyło się tej jednej nocy w Bostonie, rozpała ją po koniuszki nerwów. To nie tylko niewiarygodne – zdecydowała, nadal siedząc na podłodze – ale gorzej: smutne i żałosne.

Jeśli, oczywiście, Jamie rzeczywiście pamiętał. I jeżeli, oczywiście, nadal czuje do niej coś więcej niż przyjaźń.

Ale jeśli tak było, to znaczy, że są cholernymi głupcami, niewiarygodnymi idiotami, zostawiając to tak wpół drogi.

– Mogę zrobić tylko jedno – powiedziała Oliwia głośno, podnosząc się z podłogi. – Tak jak radził Jamie, pójść na zakupy!

Trzy tygodnie później poznała Bernarda Martensa. W pewne szare, zimne, październikowe popołudnie wstąpiła do sklepu z antykami Martensa, znajdującego się tuż za rogiem rue des Sablons. Częściowo powodowała nią chęć bliższego przyjrzenia się skarbowi zgromadzonym w sklepie, a poza tym chciała gdzieś schronić się przed deszczem. W pół godziny później zakochała się w srebrnym georgiańskim imbryku do herbaty, a Bernard – właściciel sklepu – zakochał się po uszy w Oliwii. Był pięćdziesięciosiedmioletnim wdowcem, miał dorosłe dzieci i pięcioro wnucząt. Mieszkał samotnie w luksusowym domu za miastem, koło Foret de Soignes, gdzie jego jedynym towarzystwem była służba. Bernard był najstarszym mężczyzną, z jakim Oliwia kiedykolwiek się związała, ale świetnie się trzymał. Był nie tylko atrakcyjny, ale także wspaniały jako partner: niezwykle inteligentny, obdarzony świetnym poczuciem humoru. Oliwia stwierdziła więc, że już nigdy więcej nie będzie tak bardzo szczęśliwa, nawet z młodszym partnerem.

No, może z wyjątkiem Jamiego. Nie miała jednak zamiaru, nie chciała zakochać się w swoim najlepszym przyjacielu. Wiedziała, że dobrze zrobiła, mówiąc – po wspólnej nocy w Bostonie – tylko o przyjaźni, o tym, że nie łączy ich nic ponadto. Ale prawda była taka, teraz była tego w pełni świadoma, że kłamała. Ani jedno zdanie, które wtedy powiedziała, nie było prawdziwe. Była pewna, że tylko to mogła powiedzieć Jamiemu, który wówczas dopiero co zaczynał oddychać pełną piersią po piekle, które zgotowała mu Carrie.

– Co słyhać u Carrie? – pytała go od czasu do czasu.

Starala się, aby jej pytania brzmiały całkowicie niewinnie, ale chciała dowiedzieć się, czy Carrie dotrzymuje przyrzeczeń, które złożyła ponad cztery lata temu, kiedy to wraz z Annie przyparły ją do muru.

– Rzadko ją widuję – odpowiadał zwykle Jamie, ku zadowoleniu Oliwii.

A potem, także niby to przypadkiem, pytała o inne kobiety. Jamie rzucał jakieś imię, czasami dodawał kilka bliższych szczegółów. Nigdy jednak nie zaangażował się w żaden poważny związek. Oliwia ze wstydem przyznawała, że po każdej takiej rozmowie czuje niewyobrażalną ulgę, nie powinna być z tego powodu szczęśliwa. Jamie zasługiwał przecież na to, aby spotkać jakąś wspaniałą, lojalną i wrażliwą kobietę, która by go szanowała i była mu wierna. Kogoś takiego, jak Annie, na pewno nie jak Oliwia.

To Bernard Martens znalazł Oliwii mieszkanie przy rue Charles Hanssens, tuż za rogiem rue Ernest Allard i o rzut kamieniem od jego sklepu. To była naprawdę okazja – świeżo wyremontowane, pięknie umeblowane mieszkanie na parterze wąskiej starej kamienicy, należącej do bogatego handlarza diamentami z Antwerpii, która stała w ekskluzywnej, starej, artystycznej dzielnicy Sablon. Trzy mieszkania na piętrze miały śliczne, małe balkoniki, ale Oliwia wolała mieszkanie na parterze, do którego należało małe, zaciszne podwórze na tyłach domu, otoczone białym murem. W krótkim czasie stało się ono jej dumą i ulubionym hobby: na wybrukowanej kostką ziemi poustawiała gliniane donice z różnokolorowymi kwiatami, które kupowała namiętnie w Grand Place i La Palmeraie na rue Ernest Allard.

– I znalazłam biuro na place du Grand Sablon – opowiadała Annie przez telefon w połowie listopada. – Nie wierzę własnemu szczęściu. Co prawda to tylko jeden pokój i jest naprawdę małe, więc muszę trzymać porządek...

– To niemożliwe – stwierdziła Annie.

– Wiem, wiem. – Oliwia odziedziczyła po Arturze niezwykłą umiejętność robienia bałaganu w każdym pomieszczeniu, do którego weszła. – Ale tym razem nie mam wyjścia, tu po prostu nie ma miejsca na bałagan!

– Więc możesz chodzić do pracy na piechotę.

– To tylko kilka minut drogi, Annie. Poza tym tu jest ślicznie, to chyba najpiękniejsza część miasta.

– A sklep Bernarda jest pewnie tuż obok?

– Tak, ale on rzadko się tam pojawia.

W głosie Annie słychać było śmiech.

– To musi być miły człowiek, prawda, Liwi?

– O, tak – odparła Oliwia. – Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele, jak wiesz, w swoim życiu spotkałam mnóstwo miłych mężczyzn.

– Czy jesteś szczęśliwa, Oliwio? – spytał Bernard pewnego grudniowego wieczoru pod koniec kolacji, którą jedli w La Maison du Cygne, jednej z jego ulubionych restauracji. – Czy życie w Brukseli cię zadowala?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Była po wyśmienitej kolacji z szampanem, a za oknem rozciągał się jeden z najpiękniejszych placów Europy, teraz wspaniale oświetlony.

– Nie widzisz, że jestem szczęśliwa, Bernardzie? W Brukseli jest mi naprawdę dobrze.

– Tak, ale czy to ci wystarcza?

Teraz pojęła, o co mu chodzi.

– Na razie, czy na zawsze? – spytała.

– To ty mi odpowiedz.

– Rzadko myślę o przyszłości – powiedziała Oliwia.

– A mogłabyś pomyśleć o niej teraz?

Oliwia przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Wyglądał wspaniale: wypiełgnowane lekko siwe włosy, wesołe, ciepłe niebieskie oczy i proste, stanowcze usta. Był dla niej bardzo dobry, taki uprzejmy, wrażliwy i hojny. Zasługiwał na szczerłość.

– Myślę – zaczęła – że na razie to mi wystarcza. – Urwała. – *Ca va?*

Widać było, że jest rozczarowany tą odpowiedzią. Uśmiechnął się do niej ciepło, ale w jego oczach widać było smutek.

– *Pas bien* – odparł. – *Mais ca va. [Nie za bardzo. Ale zgoda]*

Był mądrym mężczyzną. Czuł, że Oliwia naprawdę bardzo go lubiła, ale nie kochała. Mimo to nie chciał ograniczać jej swobody i przywiązywać do siebie zbyt mocno, wiedział bowiem, że to najprostszy sposób, aby ją stracić. I chociaż był świadom, że któregoś dnia Oliwia

Segal go opuści, robił wszystko, co w swojej mocy, aby opóźnić ten przykry moment.

Dlatego, między innymi, pomógł jej w znalezieniu mieszkania. Martens oczywiście wolałby, żeby Oliwia zamieszkała z nim, w jego domu, ale pomijając fakt, że ich znajomość nie osiągnęła jeszcze takiego etapu, Bernard był za rozsądny, aby jej to proponować. Wiedział, że Oliwia potrzebuje prywatności, własnego miejsca, a przede wszystkim niezależności. Mieszkanie, które obecnie zajmowała, było najlepsze i najbardziej wygodne ze wszystkich, w których mieszkała od czasu wyjazdu z Londynu. Bernard Martens był zdecydowany otoczyć ją miłością i oddaniem, ale wiedział, kiedy się wycofać i pozwolić jej na swobodę. Oliwii to bardzo odpowiadało, czuła, że dzięki temu ich związek jest zdrowy i harmonijny.

– I dlatego – opowiadała Annie podczas którejś z „sesji” telefonicznych – tak wspólnie czujemy się, będąc razem.

– Muszę przyznać – stwierdziła Annie – że do tej pory żaden mężczyzna nie dał ci takiego poczucia stabilizacji.

– Stabilizacja? – Oliwii zdecydowanie nie podobało się to określenie. – Nie sądzę, żeby to było właściwe słowo.

– Może zatem ustatkowanie? – zasugerowała Annie.

– Też nie. Oboje jesteśmy zbyt zajęci, żeby mówić o jakiejś stabilizacji.

– Zawsze byłaś zajęta, Liwi – zauważyła Annie. – Zawsze najaktywniejsza z nas trojga. Wydaje mi się po prostu, że z Bernardem jest inaczej. Robicie różne rzeczy: chodzicie na koncerty, do opery, na przedstawienia baletowe czy wernisaże; takie rzeczy robią ludzie, którzy są ustatkowani, znaleźli stabilizację.

– Czyli, krótko mówiąc, ludzie dojrzały, tak? – stwierdziła Oliwia z niezadowoleniem.

– No... tak – zgodziła się Annie. – A czy to takie okropne?

– Dla trzydziestokilkuletniej kobiety?

– No... tak – powtórzyła Annie.

– Chyba nie – przyznała z wahaniem Oliwia.

Życie w Brukseli bardzo jej odpowiadało, przynajmniej chwilowo. Oliwia, która zawsze była duchem niespokojnym, nigdy na serio nie rozpatrywała możliwości osiedlenia się w tym mieście na stałe. Teraz jednak coraz częściej myślała o stabilizacji. Podobnie jak w Genewie i Strasburgu, w Brukseli również było wiele agencji zajmujących się tłumaczeniami. Oliwia

koncentrowała się na pracach zleczanych przez artystów, pisarzy, ludzi filmu i telewizji, agencja Segal nie narzekała więc na brak pracy. Nie bez znaczenia było to, że Oliwia dosyć elastycznie podchodziła do kwestii wynagrodzeń, dostosowując je do możliwości klientów. Często pracowała za znacznie niższą stawkę tylko dlatego, że po prostu lubiła i szanowała któregoś ze swoich utalentowanych, ale biedniejszych klientów.

Dzięki Bernardowi Oliwia poznała wszystkie zakątki miasta. Gdy miała odpowiedni nastrój, odwiedzała szykowne i bardzo drogie butikie na Avenue Louise, ale zwykle nie oddalała się poza dzielnicę Sablon. Kochała przebierać w różnościach sprzedawanych na niedzielnych straganach ustawianych przed kościołem na Grand Sablon i bardzo lubiła wędrować brukowanymi uliczkami w pobliżu domu w poszukiwaniu interesujących sklepów z antykami i galerii sztuki. W słoneczne zimowe dni często kupowała słodycze w Confiserie Wittamer i zjadała je, siadając na ławce koło stawu ze złotymi rybkami, w sercu pięknego ogrodu z pomnikami przy place du Petit Sablon, w pobliżu rozbrzmiewającej dźwiękiem dzwonów Notre Dame du Sablon. Z utęsknieniem czekała na cieplejsze dni i otwarcie ogródków kawiarnianych, gdzie przy małych stolikach można było spędzać całe godziny, czytając książki lub obserwując przechodzących turystów. Na razie, w szare, deszczowe dni, cieszyła się chwilami spędzonymi w kawiarniach czy braseriach, albo przy jednym z tych długich stołów szwedzkich w Le Pain Quotidien, gdzie serwowali belgijską specjalność: ciemny chleb z serem brie i orzeszkami ziemnymi.

Rok dziewięćdziesiąty piąty zaczął się wyjątkowo pomyślnie. Oliwia spędziła z Bernardem i dwiema znajomymi parami trzy tygodnie w luksusowym domku w Gstaad, cudowne chwile zabawy i odpoczynku z przyjaciółmi. Mimo to z przyjemnością, prawie z ulgą wróciła do domu, stwierdziła bowiem, że te wakacje były trochę zbyt wygodne i chwilami czuła się, jakby była żoną Bernarda. W tydzień po powrocie do Brukseli kupiła małe niebieskie renault – po trosze dlatego, że mając samochód, mogła pojechać tam, gdzie miała ochotę i zwiedzać mniej znane regiony kraju. Ale głównym motywem, co uczciwie przyznawała, była chęć uniezależnienia się od Bernarda, zwłaszcza wtedy, gdy zapraszał ją do swojego domu. Przez luty i marzec ciężko pracowała dla ekipy australijskiej telewizji – nie tylko tłumacząc teksty, ale również pomagając we wszystkich sprawach związanych z ich pobytem w Brukseli. Na początku kwietnia pojechała do Anglii na uroczystości związane z pięćdziesiątymi urodzinami Edwarda

Thomasa, a stamtąd wraz z Jamiem wyjechała do Bostonu. Spędzili razem pięć cudownych dni: żeglowali na „Joie de Vivre” i włóczyli się po mieście. Jamie chciał, żeby zatrzymała się u niego, ale od pamiętnej nocy w osiemdziesiątym dziewiątym roku Oliwia wolała mieszkać w pobliskim hotelu, mimo iż była prawie pewna, że o ile ona nie zapomniała i nigdy nie zapomni tego, co się wtedy wydarzyło, Jamie z pewnością już dawno puścił to w niepamięć.

Bernard przyleciał do Nowego Jorku, aby spotkać się z Oliwią. Spędzili razem kilka dni robiąc zakupy i odwiedzając aukcje antyków. Oliwia stoczyła z nim niejedną bitwę, starając się przekonać go, żeby nie wydawał na nią całego majątku. Oczywiście była zadowolona z prezentów, którymi od czasu do czasu ją obdarowywał – oboje lubili się zaskakiwać i żadne nie narzekało na brak pieniędzy – ale musiała wyznaczyć tym zakupom jakieś rozsądne granice. W przeciwnym wypadku Bernard mógłby przesadzić z zakupami u Harry'ego Winstona czy Tiffany'ego, Oliwia zaś uważała, że nie powinna przyjmować zbyt drogich prezentów, skoro nie zamierza związać się z nim na stałe.

Dwudziestego drugiego kwietnia wrócili do Brukseli. Oliwia, która przed wyjazdem zostawiła samochód na parkingu lotniska Zaventem, podrzuciła Bernarda do domu i sama wróciła do mieszkania przy rue Charles Hanssens.

Wchodząc do mieszkania, poczuła na twarzy chłodny powiew. Powoli, wyraźnie zaniepokojona, schyliła się, podniosła walizki stojące na progu i wstawiła je do środka. Przez chwilę nasłuchiwała, czy z mieszkania nie dochodzą jakieś dziwne, nieznanne odgłosy, po czym, nie słysząc niczego niepokojącego, zamknęła drzwi wejściowe.

– Halo? – zawołała niepewnie cichym głosem. Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby ktoś odpowiedział.

Cisza.

Podmuchu wiatru trudno było nie zauważyć. Gdzieś było otwarte okno. Oliwia była pewna, że przed wyjazdem wszystkie dokładnie zamknęła. Robiła mnóstwo nierozsądnych rzeczy – była nieporządna, impulsywna, czasami zachowywała się zupełnie nieobliczalnie – ale jeśli chodziło o zabezpieczanie domu, nie tylko przed wyjazdem za granicę, ale także przy codziennym wychodzeniu do pracy, działała bardzo metodycznie.

– Jasna cholera! – powiedziała cicho.

Wiedziała, że powinna teraz pójść do sąsiadów po pomoc, ale prawie ich nie знаła. Jej kontakty z mieszkańcami sąsiednich budynków ograniczały się do krótkiego skinięcia głową, gdy mijali się na ulicy, a dwa wyższe piętra jej domu nie zostały jeszcze wynajęte.

Poczuła, jak jej krótkie włosy muska kolejny powiew wiatru, dochodzący od kuchni i pokoju z oknem na ogród.

Drzwi do ogrodu – pomyślała z przerażeniem.

Przeszła w głąb mieszkania. Drzwi od salonu były uchylone. Wzięła głęboki oddech, otworzyła je na oścież i weszła do środka.

– Jasna cholera! – powtórzyła.

Cały pokój został wywrócony do góry nogami. Lampy, stoliki i krzesła leżały połamane na dywanie, niczym ofiary wypadków drogowych. Książki, niektóre z oberwanymi grzbietami, były rozrzucone po całym pokoju. Jej ukochany mahoniowy wiktoriański sekretarzyk przewrócono na bok, szuflady leżały kilka stóp dalej, a ich zawartość została rozsypana. Elegancka mahoniowa serwantka, która stanowiła część wyposażenia mieszkania, miała wyłamane drzwiczki, a ozdoby stojące na półkach kompletnie zniszczono. Nie jest jeszcze tak źle – stwierdziła Oliwia, patrząc na to pobojowisko. Nawet teraz wściekła, zdenerwowana i przerażona zdobyła się na odrobinę optymizmu. Mogło być gorzej, pomyślała. Mogli przyjść z siekierą albo obsikać ściany.

– W całym mieszkaniu jest potworny bałagan – powiedziała Bernardowi, gdy zadzwonił trzy godziny później. Policja nadal u niej była, zbierając odciski palców.

– Doszliśmy do wniosku, że włamanie musiało nastąpić jakiś tydzień temu. Złodzieje weszli przez drzwi od ogrodu, gdyż dywan leżący koło drzwi jest mokry. Ostatni raz padało właśnie tydzień temu.

– Ale tobie nic się nie stało, prawda? – zapytał Bernard z niepokojem. – Powinnaś była od razu do mnie zadzwonić.

– Nic mi nie możesz pomóc, Bernardzie – odparła. – Jestem wściekła, ale pogodziłam się z sytuacją. Przypuszczam, że taka jest cena mieszkania w dużym mieście, zwłaszcza jeśli, tak jak ja, chce się mieszkać w domu z ogródkiem.

– Może powinnaś się przeprowadzić gdzie indziej?

– Na przykład do ciebie, tak? – Oliwia uśmiechnęła się.

– A czemu nie? – odrzekł Bernard.

– Myślę, że na razie wystarczą mocniejsze zamki w moim mieszkaniu – stwierdziła Oliwia.

– Może jednak mógłbym przyjść i pomóc ci – pogodnie przyjął odmowę.

– Nie na wiele mi się teraz przydasz, Bernardzie. Policja chce, żebym sporządziła wykaz wszystkich rzeczy, które zginęły, czekam na telefon z towarzystwa ubezpieczeniowego, poza tym mają przyjść szklarze i ślusarz, więc mam co robić.

– A może, skoro nie chcesz pomocy, przyjadę, aby być z tobą? – zasugerował Bernard.

– Tu jest pełno ludzi, Bernardzie. – Przerwała. – Jutro – powiedziała po chwili. – Jutro przyjmę wszelką pomoc, jaką zechcesz mi zaoferować.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj – odparła ponuro – przypuszczam, że się załamie.

– Czy wiesz już, co zginęło?

– Przede wszystkim srebrny imbryk do herbaty. Pamiętasz go?

– Tak, to on nas połączył – przypomniał ciepło Bernard. – Na pewno go nie zapomnę.

– I moja srebrna menora – dodała. – I jadeitowy konik mojej matki.

– Ten z dynastii Ming? Tak mi przykro, Oliwio. Wiem, jak bardzo go lubiłaś.

Po raz pierwszy od włamania Oliwia poczuła prawdziwy gniew, w oczach stanęły jej łzy.

– Wiesz, ona nigdy nie przywiązywała dużej wagi do przedmiotów, ale tę statuetkę naprawdę kochała. Pamiętam, jak dotykała jej lekko koniuszkami palców i mówiła, że gdy to robi, czuje więź z przeszłością.

– Rozumiem to doskonale.

Zamilkł na chwilę.

– Nie będziesz się denerwować, że zostajesz sama na noc, *cherie*?

– Nie sądzę, Bernardzie – odparła Oliwia, po czym spytała: – Ale jeśli tak by było, czy mogę do ciebie zadzwonić?

– Zawsze. Naprawdę, kiedy tylko zechcesz. Zawsze ci pomogę, Oliwio.

– Wiem.

Sprzątanie po włamaniu wydawało się nie mieć końca. Złodzieje przewrócili do góry nogami każdą szufladę i szafę, stoliki i biurko. Cała podłoga w gabinecie zasłana była papierami z trzech szafek z aktami. Wysypano także zawartość aktówki Oliwii i torebki, którą zostawiła, wybierając się do Anglii i Stanów, przeszukano nawet lodówkę. Jeden z policjantów stwierdził, iż włamywacze najwyraźniej szukali pieniędzy.

– W lodówce? – spytała ze zdumieniem.

– Nie ma pani pojęcia – odparł policjant – gdzie ludzie potrafią trzymać pieniądze.

– Jednak w większości przypadków – dodał jego kolega – rabusiów po prostu bawi dewastowanie domów swoich ofiar.

– Ja też nie mam nic przeciwko robieniu bałaganu – stwierdziła Oliwia z krzywym uśmiechem. – Ale nie mogę powiedzieć, żeby mnie to bawiło.

Złodzieje wiedzieli, po co przychodzą: w większości zabrali przedmioty łatwe do wyniesienia, jak imbryk do kawy czy statuetkę z jadeitu, a także trzy figurki tancerek z posrebrzanego brązu w stylu art deco, francuski zegar kominkowy z końca osiemnastego wieku, parę poduszek pokrytych flamandzką tkaniną. Zabrali także wiktoriańską ramkę z litego srebra, w którą Oliwia oprawiła ulubione zdjęcie swoich rodziców – dzięki Bogu, zdjęcie było prawie nienaruszone, jedynie lekko naddarte w jednym rogu. Artur i Emily, objęci i uśmiechnięci. Ta fotografia stała się dla Oliwii symbolem, przypomnieniem, że tak naprawdę nie zginęło nic, czego nie dałoby się odkupić, nikt nie został skrzywdzony, więc po prostu należało zacisnąć zęby i zapomnieć o sprawie.

Trzy dni później włamano się do biura Oliwii przy place du Grand Sablon. Tym razem złodzieje polowali na sprzęt biurowy: wynieśli komputer, faks i kserokopiarkę. I znowu najbardziej irytujące było to, że zostawili po sobie okropny bałagan. Oliwia straciła sporo czasu, opanowując powstały chaos i zamieszanie, przepaszając klientów i przekładając terminy realizacji zleceń. Zanim mogła rozpocząć normalną pracę, musiała kupić nowy sprzęt i odtworzyć zaginione dane.

– To chyba zaraźliwe – stwierdził Jamie, dzwoniąc do niej kilka dni później. – Właśnie miałem włamanie do mieszkania, podobnie jak troje innych mieszkańców mojego bloku.

– Co zabrali? – spytała Oliwia.

– To, co zwykle: telewizor, wideo, wieżę. Nic, czego bardzo bym żałował. W zeszłym miesiącu włamano się też do domu Petera i Carrie na Beacon Hill i sędzę, że oni stracili dużo więcej.

– Kto ci o tym powiedział? Michael?

– Prawdę mówiąc... Carrie. – Słysząc było, że Jamie uśmiecha się, mówiąc te słowa. – Spotkałem ją w zeszłym tygodniu na przyjęciu. Zachowywała się całkiem przyzwoicie. To znaczy, już od dawna nasze wzajemne stosunki jakoś się ułożyły, ale powiedziałbym, że na tym przyjęciu Carrie odnosiła się do mnie prawie ciepło. – Urwał. – Może jest trochę prawdy w powiedzeniu, że czas leczy rany?

– A może Carrie po prostu znalazła u kogoś innego rany, które może posypywać solą?

Jakiś czas temu Jamie poinformował Oliwię, że związek Carrie z drugim Ariasem chyli się ku upadkowi. Tym razem jednak kuzyn Michael, którego uczucia religijne już dość ucierpiały na niefortunnych wybrykach kuzynów, postawił sprawę jasno: albo Peter naprawi małżeńskie stosunki, albo będzie miał z nim do czynienia.

– Czy masz jakieś wieści z frontu? – spytała Oliwia.

– Z tego, co wiem, wszystko po staremu – odparł Jamie.

– Czy mieszkają jeszcze razem?

– W zasadzie tak.

Oliwia wyczuła w jego głosie niechęć.

– Jamie, tylko mi nie mów, że jeszcze ci na niej zależy.

Jamie zaśmiał się.

– Ani trochę. Dlaczego pytasz?

– Bo mam wrażenie, że czujesz się raczej podle, rozmawiając o ich problemach, a nie sędzę, żebyś żałował Petera.

– I nie żałuję. Ale to, że moje małżeństwo rozpadło się, nie oznacza, że mam życzyć im tego samego.

– Boże, Jamie – powiedziała Oliwia z niedowierzaniem. – Gdybym była na twoim miejscu, skakałabym pod sufit z radości, że jest jeszcze na tym świecie jakaś sprawiedliwość. Zaslugują na to, żeby byli nieszczęśliwi, i zasługują na samych siebie.

– Nie powiem, że bym się z tym nie zgadzał – przytaknął ochoczo Jamie.

– To już coś.

W pewne niedzielne popołudnie dwa tygodnie później Oliwia postanowiła zostać w domu i zaprowadzić porządek w dokumentach. Nieporządek to jedno, ale potworny chaos, jaki zostawili po sobie intruzi, to coś zupełnie innego. Natychmiast po włamaniu zabrała się do sprzątanía, ale ponieważ w tym czasie miała bardzo dużo pracy, mieszkanie nadal nie było do końca uporządkowane.

Nie znosiła sortowania papierów. Robiła wszystko, aby opóźnić chwilę, w której będzie musiała się za to zabrać, umyła nawet kuwetę kota. W kilka dni po włamaniu Bernard przyniósł jej małą Cleo – wspaniałą, niepokorną, nieokiełzaną kotkę o szylkretowym umaszczeniu.

– Wolałbym dać ci psa – oznajmił. – Najlepiej dużego, żebyś czuła się bezpiecznie, ale wiem, że to niemożliwe.

– To prawda – zgodziła się. – Tak dużo czasu spędzam poza domem, że byłoby nie fair zostawiać go samego na całe dni.

– Natomiast mała Kleopatra – powiedział, wręczając jej koszyk z żałośnie miauczącym kociątkiem – sama się sobą zajmie podczas twojej nieobecności.

Oliwia wiedziała, że wielu mężczyzn po odmowie, jakiej udzieliła Bernardowi po włamaniu, przez dłuższy czas dąsałoby się, ale Bernard, zamiast się obrazić, starał się złagodzić przykrości, których doznała w związku z włamaniem. Nie tylko miał sklep pełen cudownych antyków, ale także mnóstwo użytecznych kontaktów. A Oliwia z przyjemnością skorzystała z nowej wymówki, która pozwoliła jej godzinami przesiadywać w sklepach i galeriach i odkupować rzeczy, które straciła. Jednak nic, co kupiła ona czy Bernard, nie sprawiło jej takiej radości jak Cleo. Zgodnie z jego przewidywaniami, kotka bardzo szybko przyzwyczała się do długich nieobecności Oliwii. Z wystudiowaną obojętnością przechodziła obok koszyka i zabawek, które kupił dla niej Bernard, natomiast z upodobaniem ostrzyła pazurki na perskich dywanach i fotelach. Spała wyłącznie w łóżku Oliwii, a kiedy nie było jej w domu – najchętniej kładła się na poduszce.

– Wcale mi nie pomagasz, Cleo – oznajmiła Oliwia kotce, gdy ta rozpędzona wpadła do gabinetu i wylądowała na stosie listów poukładanych alfabetycznie. – To mi naprawdę wcale nie pomaga.

Kotka pobiegła dalej, ponownie zmiatając przy tym stertę papierów.

Oliwia jęknęła.

– Tort czekoladowy – stwierdziła. – Potrzebuję tortu.

Poprzedniego popołudnia kupiła sporą porcję tortu u Wittamera i teraz usiadła wygodnie na sofie w salonie, zamierzając delektować się jego smakiem.

Ledwo zdążyła przełknąć pierwszy kęs, gdy Cleo wskoczyła jej na kolana.

– Nie ma mowy – powiedziała Oliwia.

Kotka wpatrywała się w ciasto.

– Koty nie jedzą tortów – wyjaśniła jej Oliwia.

Kotka nie spuszczała wzroku z talerzyka.

Podzieliły się po połowie: Oliwia zjadła ciasto, a Cleo, głośno mruczając, zadowolona się kremem. Telefon zadzwonił w momencie, gdy właśnie zakończyły ucztę. Dzwonił Bernard.

– Nudzę się – oznajmił. – Skończyłaś już porządki?

– Dopiero je zaczęłam.

– Może gdzieś pójdziemy?

– Nie mogę – odparła Oliwia. – Naprawdę chciałabym, ale nie mogę.

– Może wieczorem?

– Może. Jeśli zdążę z moją pracą.

– Mogę przyjść i pomóc ci.

– Mam już chętnego, który pomógł mi więcej, niż było trzeba – odrzekła Oliwią. – To twój kot.

– To nie jest mój kot – sprostował Bernard.

– Kiedy źle się zachowuje, to jest twój!

– Zupełnie jak z dziećmi – zauważył Bernard.

– Tego akurat nie wiem – powiedziała Oliwia i odłożyła słuchawkę.

Telefon zadzwonił znowu.

– Co robisz? – spytał Jamie bez zbędnych wstępów.

– Próbuję posegregować i posprzątać papiery.

– O Boże!

– No właśnie.

– Powiedziałbym, że szkoda, że nie mogę ci pomóc, ale nie chcę kłamać.

– Racja – zgodziła się Oliwia.

- Więc nie masz teraz czasu, aby ze mną porozmawiać? – spytał.
- Chciałabym – odparła Oliwia. – Ale nie mogę. – Pomyślała o bałaganie w aktach.
- Zadzwoń do mnie, kiedy skończysz – powiedział Jamie.
- Jeśli skończę!

Oliwia wróciła do gabinetu. Dokładnie zamknęła za sobą drzwi, z powrotem rozłożyła papiery na podłodze i nagle, bez żadnego powodu, pomyślała o notatce Carlosa Ariasa. Teraz dotarło do niej, że od czasu włamania nigdzie nie widziała starej teczki ze świńskiej skóry.

Poszła do pokoju gościnnego i zaczęła grzebać w szafach. Znalazła ją; leżała na dnie jednej z szaf. Pewnie tam ją zostawiłam, pomyślała Oliwia. Wyjęła aktówkę i otworzyła ją, szybko przejrzała zamknięte w niej papiery, ale pomiędzy nimi nie było liściku Carlosa.

Poczuła nieprzyjemne zaskoczenie. Była pewna, że po dyskusji z Annie i Jamiem na temat notatki, schowała ją z powrotem do teczki. Była równie głęboko przekonana, że od tamtego czasu już jej nie wyjmowała. Usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać – możliwe, że teczka i jej zawartość znajdowały się między innymi rzeczami rozrzuconymi przez złodziei – miała tak dużo do sprzątnięcia, że mogła nie zauważyć, iż w teczce brakuje listu. A to oznaczało, że mógł się teraz znajdować wszędzie, w każdym miejscu w mieszkaniu.

Oliwia wiedziała, że notatka Carlosa nie jest ważna i powinna dać sobie spokój z szukaniem jej i wrócić do pilniejszej pracy, ale zawsze, gdy coś zaprzętało jej umysł, nie mogła się od tego uwolnić dopóki nie wyjaśniła sprawy. Kiedy zdarzało jej się coś zgubić, szukała tego niczym pies zakopanej kości, tak długo, aż znalazła.

Wróciła do gabinetu. Otworzyła jedną z szafek z aktami i spojrzała na dział oznaczony literami A-D. Był tam jeden list od sekretarki Carlosa Ariasa, wysłany w związku z jakąś uroczystością szkolną, ale notatki nie było. Odłożyła teczkę, zamknęła szafkę i przeszła do sypialni – na łóżku, jak zwykle, spała Cleo. W nogach łóżka stała skrzynia, w której większość ludzi trzyma koce. Oliwia przechowywała w niej wszystkie pamiętki i masę listów od Annie i Jamiego.

Spojrzała z roztargnieniem na skrzynię.

– Dlaczego? – spytała kotkę. – Dlaczego to jest takie ważne?

Cleo była pogrążona w głębokim śnie.

Oliwia zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Bernarda i poprosić, żeby przyjechał i zabrał ją stąd, jednak przeważyła chęć znalezienia listu.

Zaczęła szukać. Po pewnym czasie ze wszystkich stron zaczęły zalewać ją listy od przyjaciół. Znalazła list od Annie, pisany z Anglii na jakiś rok przed tym, jak przyjaciółka przyznała się do uzależnienia od leków, i inny, znacznie starszy, wysłany z San Francisco jesienią po śmierci rodziców. I jeszcze jeden z wakacji, na długo przed wypadkiem. Annie z tego listu była zupełnie inna niż dzisiejsza – nie tylko dlatego, że była znacznie młodsza, ale przede wszystkim, jak stwierdziła Oliwia, dlatego, że wtedy jeszcze żyła w bezpiecznym, normalnym świecie, który zapewniała jej obecność rodziców. Teraz, czytając między wierszami tamtych i obecnych listów, Oliwia uświadomiła sobie, że tragedia, która ich spotkała, dotknęła Annie Aldrich znacznie mocniej niż ją czy Jamiego. Chociaż z drugiej strony – stwierdziła pogrążona w zadumie, obserwując Cleo, która obudziła się i siedząc na narzucie, zaczęła toaletę – być może Jamie nie trwałby tak długo w związku z Carrie i nie cierpiał tyle, gdyby tak wcześniej nie stracił ojca. Gdyby Carlos żył, Jamie nie musiałby iść przez życie ciągle zamartwiając się, czy postępuje zgodnie z wolą ojca. Gdyby Carlos nie zginął, mogliby od razu wyjaśnić wszelkie wątpliwości i dogadać się jak ojciec z synem.

Wróciła do poszukiwań. Kotka podeszła do krawędzi łóżka. Zanim zeskoczyła na skrzynię, dłuższą chwilę oceniała dzielącą ją odległość. Oliwia przerwała pracę i zaczęła się z nią bawić. Wyrzucała koperty do góry i przyglądała się, jak Cleo próbuje je złapać lub uderzyć łapą. Po chwili wróciła do przeglądania zawartości skrzyni, ale nie znalazła szukanej notatki.

– Skoro to nie jest ważne – stwierdził Bernard, gdy siedzieli przy kolacji – to dlaczego tak bardzo chcesz to znaleźć?

– Nie wiem – odrzekła Oliwia.

Bernard czekał cierpliwie.

– Może to intuicja? – zasugerował. Bardzo dużą wagę przykładął do kobiecej intuicji.

– Może – zgodziła się Oliwia. – Od początku ten list mnie zaintrygował. Myślę, że było w jego treści coś niepokojącego. A może po prostu był on symbolem niedokończonych spraw. – Przerwała. – Ale teraz najbardziej gryzie mnie to, że oprócz tej notatki nie zginęły żadne inne rzeczy, które byłyby równie bezwartościowe.

– Skąd wiesz? – zapytał Bernard. – Nie możesz być tego pewna.

Oliwia uśmiechnęła się do niego.

– Pijesz do mojego bałaganiarstwa, tak?

– Uwielbiam twoje bałaganiarstwo, Oliwio – odparł. – To część ciebie.

– Naturalnie, masz rację. – Przerwała jak zwykle, gdy Bernard czynił jakieś aluzje co do swojej miłości do niej. – Oczywiście nie mogę mieć pewności, co dokładnie zginęło, ale wiem na pewno, że wszystko, czego szukałam, rachunki bankowe, stare książeczki czekowe, akty urodzenia, listy, znajdowałam.

– Wszystko oprócz tej notatki.

– Tak. – Oliwia skinęła głową. – Tak, wiem. Powinam dać sobie spokój, zapomnieć o tym. Jednak zamiast tego znowu czuję się tak, jak dziewiętnaście lat temu, kiedy pierwszy raz znalazłam ten list. Jego treść nie daje mi spokoju i jestem strasznie ciekawa, co Carlos mógł mieć na myśli, pisząc te słowa.

– Jak rozumiem, siedziba fundacji twojego ojca mieści się w Londynie, prawda? – spytał Bernard. Miał na myśli Fundację Artura Segala, która przejęła opiekę nad kolekcją dzieł sztuki jej ojca, a także zajmowała się jego ulubionymi fundacjami charytatywnymi. – Może oni przechowują jego prywatną korespondencję? Przecież mogli wymieniać z Ariasem wiele listów.

– Nie pomyślałam o fundacji – przyznała Oliwia.

– Jest jakaś szansa, prawda?

Oliwia wolno skinęła głową.

– Ale to chyba lekka przesada, zawracać głowę tym ludziom w Londynie.

– To prawda – zgodził się Bernard.

– Powinam dać sobie spokój, prawda?

– Może – powiedział Bernard. – A może nie.

– Naprawdę bardzo mi pomogłeś.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy, Oliwio.

– Dam sobie z tym spokój – oświadczyła.

– Jak chcesz – odparł.

Zanim zadzwoniła, poczekała do siódmej rano następnego dnia. Zeszłej nocy kładła się spać z mocnym postanowieniem, że tego nie zrobi, że zapomni o notatce, że pozbędzie się tej głupiej, denerwującej obsesji, która kazała jej bez końca zastanawiać się, dlaczego ze wszystkich możliwych dokumentów zginął tylko ten mało znaczący kawałek papieru, a przede wszystkim, dlaczego tak ją to zainteresowało. Oliwia rzadko coś gubiła. Odkładała rzeczy w różne dziwne miejsca, ale rzadko je gubiła. O ile bowiem nie potrafiła utrzymać porządku, to nadrabiała to świetną pamięcią i instynktem. Na przykład, jeśli z roztargnienia schowała rachunek do szuflady toaletki, zamiast położyć go na biurku, wystarczyło, aby prześledziła w myśli wszystkie czynności, które wykonała w tym czasie, a już po chwili wiedziała, gdzie go szukać. A jeśli chodzi o list Carlosa Ariasa – właśnie to nie dawało jej spokoju. Pamiętała, że ostatni raz widziała go w Strasburgu, podczas wizyty Jamiego i Annie. Wiedziała, że schowała go z powrotem do teczki; równie dobrze pamiętała, że ponieważ bałagan pozostawiony przez włamywaczy jeszcze powiększył zwykły nieporządek panujący w jej rzeczach, do sprzątania zabrała się bardzo metodycznie. Gdyby więc notatka znajdowała się gdzieś w mieszkaniu, była pewna, że musiałaby ją znaleźć i pamiętać, gdzie ją schowała.

Mimo to zeszłego wieczora była zdecydowana nie dzwonić do Fundacji Artura Segala. Chociaż zastanawiała się, czy nie ignoruje czasem prawdziwego dramatu, intuicja, którą tak cenił Bernard, podpowiadała jej, że zmierza raczej w kierunku melodramatu, a tego nie znosiła. Toteż zasnęła z mocnym postanowieniem, że nie będzie się w to pakować. Jednak rankiem, kiedy się obudziła, pierwszą myślą, która wpadła jej do głowy, był list Carlosa. Płatał się po jej głowie, gdy piła kawę i przez całą drogę do biura. Kiedy usiadła za biurkiem i zabrała się do pracy, zapomniała o sprawie na całe dwie godziny.

Ale potem obsesyjna myśl wróciła.

Poprosiła do telefonu Jerry'ego Rosenkrantza, nowojorczyka i jednego z najstarszych dyrektorów fundacji, człowieka, który osobiście znał Artura, a którego Oliwia również kilkakrotnie spotkała. Sekretarka odpowiedziała, że Rosenkrantz jest w Izraelu, ale zaproponowała swoją pomoc. Oliwia spytała, czy istnieje możliwość dotarcia do teczek z osobistą korespondencją jej ojca.

– O Boże! – powiedziała sekretarka.

– Chyba proszę o rzecz niemożliwą, prawda? – spytała Oliwia.

– Nie. Wcale nie. Normalnie nie byłoby problemu – odparła kobieta. – Ale po włamaniu panuje tu straszny bałagan.

Oliwia wyprostowała się na krześle. Poczowała dziwne mrowienie w karku.

– Mieliście włamanie? W fundacji?

– O Boże, tak – odrzekła sekretarka. – Kilka tygodni temu, nie wyobraża sobie pani, jaki rozgardiasz tu panuje, papiery są dosłownie wszędzie!

– Co ukradli? – dopytywała się Oliwia.

– Przede wszystkim sprzęt biurowy – wie pani, komputery i takie tam.

– Wiem – odpowiedziała Oliwia. – Mnie przytrafiło się to samo, też parę tygodni temu.

– W takim razie wie pani doskonale, co mam na myśli: prawdziwy chaos. Nie rozumiem, dlaczego to zrobili, po co wyrzucali zawartość wszystkich szafek. Przecież mogli po prostu odłączyć komputery i zabrać je.

– To samo zrobili u mnie – powiedziała Oliwia współczującym tonem. – Policja twierdzi, że robią to dla zabawy.

– Cudownie – stwierdziła sekretarka. – No, ale dlatego właśnie nie mogę pani pomóc. Obecnie nie sposób znaleźć czegokolwiek w starych teczkach pana Segala.

Oliwia znowu poczuła nieprzyjemne mrowienie w karku.

– Czy tecki też przeszukali?

– O tak. Z pewnością.

– Czy z tych akt coś zginęło?

– Nie mam pojęcia – odparła kobieta. – Nie sądzę, ale powtarzam pani, że nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić. Tutaj mógłby coś wyjaśnić tylko...

– Mój ojciec – dokończyła Oliwia.

– No właśnie. Przykro mi.

Oliwia odłożyła słuchawkę. Jej dom, potem biuro, mieszkanie Jamiego, a teraz fundacja. Ten zbieg okoliczności robi się coraz bardziej podejrzany.

Ponownie podniosła słuchawkę i wykręciła numer Banbury Farm House. Czowała ogromną potrzebę porozmawiania z Annie, ale gospodyni Thomasów, Sally Breecher – sympatyczna młoda kobieta, która zajęła miejsce Marie-Louise, gdy ta poślubiła swojego farmera – poinformowała ją, że Annie nie ma w domu.

- Czy wszystko w porządku? – spytała Oliwia.
- Tak. W jak najlepszym – odparła Sally bez wahania.
- Żadnych kłopotów? Od jakiegoś czasu nie miałam kontaktu z Annie.
- Odpukać, nie – powiedziała Sally. – Przynajmniej od czasu włamania.

Oliwia poczuła nagły skok ciśnienia.

- Mielście włamanie?

– Niestety, tak – odparła Sally. – Włamywacze zrobili potworny bałagan, ale zabrali niewiele – nic wartościowego czy pamiątkowego. Nikomu nic się nie stało, a to najważniejsze, prawda?

- Naturalnie – przytaknęła Oliwia.
- Powiem Annie, że pani dzwoniła. Na pewno się do pani odezwie.
- Jeśli będzie miała czas – zakończyła Oliwia.

Po zastanowieniu się stwierdziła, iż dobrze się stało, że nie zastała Annie. Prawdopodobnie nie zdołałaby ukryć swojej reakcji na wiadomość o włamaniu i musiałaby opowiedzieć Annie o wszystkim, co się wydarzyło, a na to nie była jeszcze przygotowana. Annie czuła się już dobrze, nawet wyśmienicie, ale Oliwia przypuszczała, że dzieje się coś dziwnego, a być może niedobrego i nie chciała, żeby Annie się o tym teraz dowiedziała. Tylko co się działo? O co chodziło?

Całe przedpołudnie spędziła na tłumaczeniu scenariusza, nie wyszła nawet na lunch, przegryzła tylko kanapkę, nie przerywając pracy. Cieszyła się, że mimo kłopotów nie straciła swoich umiejętności, że może całkowicie poświęcić się tłumaczeniu, skupić całą uwagę na doborze właściwych słów, oddaniu klimatu tekstu. O siódmej wróciła do domu, nakarmiła Cleo, przebrała się w jedną z wyjściowych czarnych sukienek i pojechała na place de Brouckere. Czekał ją obiad w hotelu Metropole, gdzie miała być tłumaczką pewnego producenta filmowego z Teksasu. Ten jednak nie zwracał większej uwagi na to, co mówiła, kontemplując w zamian przez cały wieczór jej długie nogi w jedwabnych pończochach.

Do domu wróciła po pierwszej w nocy. Na automatycznej sekretarce świeciła się lampka; były trzy wiadomości. Dzwonił Bernard, prosząc, żeby się odezwała, nawet jeśli wróci bardzo późno. Druga wiadomość była od Annie – żałowała, że nie zastała Oliwii i obiecała zadzwonić jeszcze raz nazajutrz. Dzwonił także Jamie – nie miał nic ważnego do przekazania, chciał się tylko dowiedzieć, co słychać.

– Cześć, Cleo – powiedziała Oliwia. – Nie wstawaj.

Nalała sobie soku i włączyła telewizor. Przez kilka minut oglądała informacje Sky News, ale szybko się znudziła i wyłączyła odbiornik.

Była jednak zbyt zmęczona, żeby zasnąć – najpierw musiała uporządkować dręczące ją myśli.

Zebrała do kupy wszystkie fakty. Nie było tego dużo. Pięć włamań w przeciągu kilkunastu dni. Jej mieszkanie, biuro, mieszkanie Jamiego, siedziba Fundacji Artura Segala i dom Annie.

Przypomniała sobie, że Jamie mówił, iż w ostatnim czasie w Bostonie było mnóstwo włamań, więc naiwnością było zakładanie, że kradzież w jego mieszkaniu nie była przypadkowa, że wszystkie te włamanie nie były po prostu zwykłym zbiegiem okoliczności.

– Sama w to nie wierzę, prawda? – zwróciła się do Cleo, która nadal pogrążona była we śnie; jej koci brzusek poruszał się miarowo w rytm oddechu.

Oliwia dopiła sok i postawiła szklanekę na kolanie.

Jeśli to nie był przypadek, to znaczy, że ktoś obserwował całą trójkę: ją, Jamiego i Annie. Ale kto? Od razu przyszła jej na myśl Carrie – z tego, co wiedziała, tylko była żona Jamiego mogła mieć wrogie zamiary wobec każdego z nich.

Potrząsnęła głową.

– Niemożliwe, Cleo. – Brak motywu, a poza tym Jamie mówił, że dom Carrie i Petera również padł ofiarą rabusiów, jak wiele innych w Bostonie. A może oni także zostali zaobserwowani, dokooptowani do trójki przyjaciół? Nie, nie było w tym żadnego sensu; Jamie mówił przecież, że włamanie do ich domu miało miejsce miesiąc wcześniej.

W takim razie, jaki sens miało twierdzenie, że ją, Jamiego i Annie coś łączy w tej sprawie? Oliwia odstawiła szklanekę na podłogę, wstała i podeszła do okna. Odsunęła lekko jedną zasłonę i wyjrzała na ulicę.

Jeśli wszyscy troje byli nieświadomie w coś zamieszani – a do diabła, cóż by to mogło być – tą przyczyną musiała być albo ich niezwykła, przyjaźń albo ich rodzice. A co mieli ze sobą wspólnego ich rodzice? Prawdę mówiąc, niewiele – poza tym, że wszyscy byli Amerykanami mieszkającymi w Londynie, a ich dzieci chodziły do tej samej szkoły. Nic więcej, z wyjątkiem kilku szkolnych uroczystości, przypadkowych przyjęć i kilku charytatywnych imprez organizowanych przez Artura. No i ten jeden niepokojący list od Carlosa Ariasa, który teraz

przepadł.

I oczywiście ich ostatni fatalny lot helikopterem. Oliwia, przejęta nagłym ostrym dreszczem, wypuściła zasłonę z rąk.

– Nie bądź głupia! – powiedziała głośno.

To niemożliwe. To był wypadek. Wszyscy tak mówili. Przeprowadzono dokładne dochodzenie, wykluczono winę pilota. Po prostu techniczna usterka.

– Nie wariuj! – powtórzyła i poszła spać.

Rozdział 20

– Co się dzieje, Oliwio? – zapytał Bernard kilka dni później, gdy siedzieli w restauracji L'Ecailler, jedząc smażonego skarpa i langustę. – Nic.

– Nie jesteś sobą.

– Przykro mi.

– Nie musisz przeproszać – powiedział Bernard łagodnie. – Po prostu chciałbym, żebyś dzieliła się ze mną swoimi problemami.

– A kto mówi, że mam problemy?

– Twoje oczy, twoje usta, twoje zachowanie.

Oliwia uśmiechnęła się.

– Wobec tego, co moje zachowanie mówi ci o moich problemach?

– Najwyraźniej masz jakiś sekret.

– No cóż, w takim razie niewłaściwie odczytałeś moje zachowanie – stwierdziła wesoło Oliwia.

– Czyżbyś nie miała problemów?

– Żadnych – odrzekła stanowczo. – Moja ryba smakuje wyśmienicie i jem ją w towarzystwie cudownego, aczkolwiek nieco podejrzliwego mężczyzny – dodała. Spojrzała na Bernarda i zobaczyła, że naprawdę martwi się o nią. – Przepraszam – powtórzyła. – Wiem, że ostatnio wyglądam na trochę nieobecna, ale to tylko zmęczenie.

– Bardzo rzadko czujesz się zmęczona, Oliwo – zauważył Bernard.

Splonęła rumieńcem.

– Każdy może czuć się zmęczony, nawet ja.

– I tylko o to chodzi? O znużenie?

– Tak.

– I twoje zachowanie nie ma nic wspólnego z zaginionym listem?

– Nie – odparła. – Zupełnie nic. Postanowiłam, że w ogóle zapomnę o jego istnieniu.

– Więc nie dzwoniłaś do fundacji swojego ojca?

– Nie – odpowiedziała Oliwia.

W nocy długo ją to męczyło. Po raz pierwszy okłamała Bernarda i nawet nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego to zrobiła. Oliwia była dumna ze swojej uczciwości; czasem czyniła sobie nawet wyrzuty, że jest zbyt szczerą, zbyt prawdomówną. Oczywiście potrafiła kłamać, najlepszym tego przykładem było wymyślenie „Beztroskich lat”, ale mimo to zawsze uważała, że tak naprawdę nikt nie może zarzucić jej zakłamania.

– Więc dlaczego? – zwróciła się do Cleo, która leżała zwinięta w kłębek na dywaniku blisko jej stóp. – Dlaczego powiedziałam Bernardowi, że nie dzwoniłam do Londynu? I dlaczego nie powiedziałam mu o pozostałych włamaniach? Dlaczego nie chcę go w to wtajemniczać?

I natychmiast sama sobie odpowiedziała: ponieważ nie powiedziała o tym Jamiemu i Annie, nie mogłaby zwierzać się komuś obcemu.

Obcy. Ogarnęło ją uczucie wstydu. Wiedziała, że z ich związkiem coś jest nie w porządku, skoro po tylu miesiącach i tylu wspólnie spędzonych chwilach, nadal myśli o swoim kochanku, jak o obcym.

– I pewnie dlatego śpię sama z kotem – powiedziała głośno, po czym szybko dodała: – Nie bierz tego do siebie, Cleo.

Dwa dni później, nie mogąc zasnąć, zadzwoniła do Jamiego.

– Czy coś się stało? – spytał

– A dlaczego miałoby się coś stać?

– Bo w Brukseli jest teraz czwarta rano.

– Nie mogłam spać.

– Ty zawsze możesz spać – stwierdził Jamie.

– Wcale nie.

– Ależ tak. Sama mi to mówiłaś.

– Ale dzisiaj nie mogę zasnąć.

– I dlatego dzwonisz do mnie.

– Masz coś przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. – Przerwał. – Czy coś się stało?

Oliwia usiadła na łóżku i chwyciła mocniej słuchawkę.

– Martwię się o pewną sprawę, Jamie.

– Co? – W jego głosie słychać było niepokój. – O co chodzi? Jesteś chora?

– Nie. Nie w tym rzecz.

– Więc, co się dzieje?

Opowiedziała mu o włamaniach i zaginięciu listu jego ojca.

– Nie zabrałeś go ze sobą przy wyjeździe ze Strasburga, prawda?

– Nie. Nie zabrałem.

– Tak myślałam.

– Ale mówiłaś, że jesteś pewna, że schowałeś go na miejsce – przypomniał Jamie.

– Bo tak było. Po prostu pomyślałam sobie... że nie jestem nieomylna. – Przerwała. – No i co ty o tym myślisz? Czy ja przesadzam?

– Tak mi się wydaje.

– Więc uważasz, że jest to po prostu niesamowity zbieg okoliczności? – spytała Oliwia.

Jamie pomyślał i odparł:

– Jestem pewien, że jeśli sprawdziłabyś inne domy w swoim sąsiedztwie, a także w okolicy domu Annie, to okazałoby się, że co najmniej jedna piąta, jeśli nie jedna trzecia z nich została obrabowana w ostatnich miesiącach. W dzisiejszych czasach włamania są na porządku dziennym, powiem więcej: bycie okradzionym należy niemal do dobrego tonu.

– Nie mów mi, że jest to przypadek: – trójka przyjaciół mieszkających w trzech różnych krajach zostaje okradzona w tym samym czasie.

– Nie, to nie jest przypadek – przyznał Jamie. – To zbieg okoliczności.

– A co z listem?

– Jak to „co” z listem?

– To też przypadek? – spytała Oliwia ironicznie.

– Nie widzę najmniejszego związku z włamaniami – stwierdził Jamie. – To po prostu kawałek papieru, którego nie możesz znaleźć.

– I to wszystko?

– Tak. Tak uważam.

– Okay – powiedziała Oliwia.

– Ty naprawdę się tym przejmujesz – zauważył ze zdziwieniem Jamie. Oliwia rzadko się czegoś bała i nigdy nie była tak wstrząśnięta, jak teraz.

– Tak.

– Czy poczujesz się lepiej, jeśli poproszę Michaela, żeby przeszukał papiery mojego ojca i sprawdził, czy nie ma tam kopii tego listu? Myślę, że jego dokumenty znajdują się w biurach w Nowym Jorku.

– A czy Michael zechce tracić na to czas?

– Nie sędzę, żeby robił to osobiście – powiedział Jamie. – Myślę... Po prostu można założyć, że jeśli mój ojciec pisał do twojego, być może w jego teczkach jest kopia tego listu.

– Ale notatka była napisana odręcznie – przypomniała Oliwia. – Pewnie nie zrobił kopii.

– Tak czy inaczej, w aktach mogą znajdować się jakieś listy od twojego taty. Warto sprawdzić, może cię to uspokoi.

– Chyba tak.

Michael Arias zadzwonił do Jamiego tydzień później.

– Moja sekretarka osobiście przejrzała akta.

– I co?

– Zupełnie nic. Powiedziała mi, że sprawdziła wszystkie tecki i jedyne informacje związane z ojcem Oliwii, które znalazła, to kilka listów pisanych w związku z kwestiami charytatywnymi Segala lub waszą starą szkołą.

– Nic bardziej osobistego?

– Nic. – Przerwał. – Nie wiesz przypadkiem, dlaczego Oliwia tak się zapaliła do tej sprawy?

Jamie opowiedział mu o włamaniach.

– Ale co one mają wspólnego z listem twojego ojca?

– Z tego, co wiem, nic. Ale Oliwia ma jakąś obsesję na tym punkcie.

– Zawsze odnosiłem wrażenie, że ona nie jest osobą, która łatwo daje się ponieść wyobraźni.

– Bo nie jest – przytaknął Jamie.

– Może to włamanie do jej mieszkania tak ją rozstroiło?

– Oliwia nie jest histeryczką – zaproponował Jamie.

– No tak – powiedział Michael. – Powiedz jej, że uważam, iż za bardzo się w to angażuje.

Uważam, że ta sprawa jest zupełnie bez znaczenia.

– Michael twierdzi, że przesadzasz, że ta sprawa jest zupełnie bez znaczenia. – Jamie powtórzył Oliwii słowa kuzyna.

– A ty się z nim zgadzasz, prawda?

– Myślę – zaczął Jamie – że to do ciebie niepodobne. Nigdy nie robiłaś takich rzeczy, przynajmniej tego nie zauważyłem. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak. Mniej więcej tak – odparła Oliwia.

– No więc właśnie o to mi chodzi – powiedział Jamie.

– Chyba masz rację.

– Ale ciągle nie jesteś przekonana.

– Nie. – Urwała. – Zapewne nie spytałeś Michaela, czy mieli włamanie w Arias Shipping?

– Przeciwnie, spytałem, ale odpowiedź brzmi – nie. Żadnych włamań ani w siedzibie głównej, ani w Newport. – Zawiesił głos. – Chyba więc naprawdę przesadzasz.

– Pewnie tak – zgodziła się Oliwia.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Jamie. – Może przylecę do Belgii i spędzę z tobą parę dni?

– Byłoby cudownie – odrzekła Oliwia. – Ale nie chcę, żebyś przyjeżdżał, ponieważ uważasz, że coś jest ze mną nie tak.

– Wcale tak nie myślę, Oliwio.

– To dobrze – odparła. – W takim razie przylatuj, kiedy chcesz.

– Na razie przez kilka najbliższych tygodni nie mogę. Mam mnóstwo pracy.

– To świetnie.

– Pewnie.

– A jak radzi sobie agencja Carrie?

– Nieźle.

– A między wami wszystko w porządku?

– Tak, od bardzo dawna.

– To dobrze – stwierdziła Oliwia.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał ponownie Jamie.

– Wspaniale – odpowiedziała.

Do rozważenia pozostała jeszcze tylko jedna możliwość. Jeśli było chociaż trochę prawdy

w przypuszczeniu, że rodzice całej trójki są w jakiś sposób powiązani z tą sprawą, to po sprawdzeniu starych dokumentów Carlosa Ariasa i skontaktowaniu się z Fundacją Artura Segala można było zrobić tylko jedno: sprawdzić archiwa Franklina Aldricha.

Aldrichowie pochodzili z Kalifornii. Działająca nadal firma prawnicza Franklina miała biura w trzech miastach: w Londynie, San Francisco i siedzibę główną w Nowym Jorku. Oliwia wykonała kilka telefonów i udało jej się odszukać Richarda Tysona, jednego z partnerów Franklina, człowieka, który pomógł Annie przenieść po wypadku papiery ojca z domu do biur w Londynie.

Od razu przeszła do sedna sprawy. Powiedziała Tysonowi, że wie, iż Franklin Aldrich, mieszkając w Anglii, zajmował się niektórymi prawnymi sprawami jej ojca, ale nie jest pewna, czy pracował również dla Carlosa Ariasa.

Tyson dobrze pamiętał Artura Segala i wiedział, że Oliwia jest bliską przyjaciółką Annie, toteż odniósł się do niej uprzejmie, ale z dystansem.

– Wiem – powiedział – prawie na pewno, że pan Arias nigdy nie był klientem pana Aldricha. Osobiście nie przypominam sobie, aby obu panów łączyła jakaś szczególna zażyłość czy wspólne interesy. Ale jeśli chodzi o prywatne dokumenty pana Aldricha, to wiele lat temu przeniesiono je do archiwum w naszej filii w Nowym Jorku.

– Rozumiem – powiedziała Oliwia.

– Jestem przekonany, iż nie muszę pani przypominać, panno Segal, że to są, jak mówiłem, prywatne dokumenty i dostęp do nich ma tylko rodzina pana Aldricha. – Przerwał. – Jeśli córka pana Aldricha zechce uzyskać dostęp do archiwów swego ojca, to oczywiście zostanie jej to umożliwione.

– Dobrze, przekażę jej tę informację – stwierdziła Oliwia, wiedząc doskonale, że wcale tego nie zrobi.

Po zakończeniu rozmowy wiedziała już, że to koniec. Sprawdziła wszystkie możliwe miejsca. Jamie i Michael prawdopodobnie mieli rację. Przejmowała się sprawą, która była zupełnie bez znaczenia. Nadszedł czas, aby powściągnąć zbyt bogatą wyobraźnię i zapomnieć o tym liście.

Najwyraźniej przypadki chodzą po ludziach.

Tydzień później, w piątek drugiego czerwca, Bernard zabrał Oliwię na koncert do

Królewskiego Konserwatorium, a potem na kolację do Vincenta. Jak zawsze przeszli przez kuchnię i podziwiając freski ułożone z kolorowych kafli, zajęli miejsca przy stoliku. Oliwia zamówiła befsztyk, a Bernard rybę, ale gdy kelner przyniósł zamówione dania, Oliwia zauważyła, że jej towarzysz, zamiast zabrać się do jedzenia, w zamyśleniu dłubie widelcem w talerzu.

– Jesteś chory? – zagadnęła zaniepokojona.

– Nie – odparł. – Czuję się dobrze.

– To o co chodzi?

Bernard uśmiechnął się.

– Co jest śmiesznego w tym pytaniu?

– Odwrócenie ról – wyjaśnił. – Przez ostatnie kilka tygodni to ja stale dopytywałem się, czy dobrze się czujesz.

– Tak – powiedziała. – Wiem. Przepraszam.

Bernard odłożył na bok sztucce.

– Chyba nie jestem głodny.

– Przecież ty zawsze jesteś głodny – zdziwiła się Oliwia. Jej niepokój wzrósł.

– Nie wtedy, gdy jestem smutny.

Oliwia czekała w milczeniu na dalsze słowa.

– Wyjeżdżam na jakiś czas – oznajmił. – Na Daleki Wschód.

– Kiedy?

– Wkrótce. Za tydzień lub dwa.

– Brzmi to ekscytująco. – Oliwia także straciła apetyt. – A dokąd właściwie się wybierasz?

– Do Tokio, Taipei, Hongkongu, może również do Bangkoku.

Oliwia ożywiła się.

– To cudownie! Nie mówiłeś, że planujesz taką wyprawę. Jedziesz kupować, sprzedawać, a może i to, i to?

– Myślę, że i kupować, i sprzedawać. Ale przede wszystkim chcę się rozejrzeć. – Urwał. – Myśląc o tym wyjeździe miałem nadzieję, że pojedziesz ze mną, że zechcesz dzielić ze mną te wspaniałe chwile. – Spojrzał na nią przeciągle. Jego niebieskie oczy zdawały się szukać w jej twarzy twierdzącej odpowiedzi. – Miałem też nadzieję na inne rzeczy, wiesz o tym, prawda?

– Tak – odparła cicho.

– Bardzo się starałem nie przekraczać granic, które ustaliłaś – ciągnął. – Grać w tym, jak to nazywasz, „związku”, rolę, którą mi wyznaczyłaś.

– Wiem – odparła. Wiedziała już, do czego zmierza Bernard i zebrała w sobie wszystkie siły, aby jakoś przez to przejść.

– Myślałem, że to mi odpowiada, ale teraz wiem, że się oszukiwałem – powiedział, przełykając sancerre. – Tłumaczyłem sobie, że jestem szczęściarzem, bo w moim życiu pojawiła się taka młoda, piękna, żywiołowa kobieta. Kobieta, która bardzo mnie wzbogaciła, a jednocześnie nigdy nie próbowała mnie zniewolić. Dziewczyna, którą zadowalało bycie moją kochanką i przyjaciółką, bez żadnych zobowiązań. – Ponownie zanurzył usta w kieliszku. – Zawsze, gdy łapałem się na tym, że chcę więcej, że chciałbym, abyśmy zamieszkali razem, pobrali się, natychmiast oddalałem takie myśli. Nie, Bernardzie – mówiłem sobie. Nie bądź głupcem. Każdy mężczyzna oddałby wszystko, żeby mieć taką kobietę, a jednocześnie zachować niezależność.

– Ale ty nie chcesz tej niezależności – wtrąciła Oliwia.

– Nie. Nie chciałem i nie chcę. – Przerwał. – A mimo to sędzę, wierzę, że mógłbym nadal tak żyć, zaakceptować różnice, które nas dzielą. Gdybyś tylko chciała trochę bardziej otworzyć swoje serce, zaangażować się.

– Naprawdę mi na tobie zależy, Bernardzie.

– Wiem – przytaknął. – Ale nie na tyle, żeby dzielić się ze mną swoimi problemami.

– Och – powiedziała Oliwia. Nie przychodziła jej do głowy żadna inna odpowiedź.

– Ostatnio byłaś taka oderwana od rzeczywistości. A ja nie miałem o to pretensji, a przynajmniej prawie nie miałem...

– Zachowywałeś się wspaniale.

– Wcale nie. Czekałem, nawet nie wiesz jak bardzo. Czekałem na to, że przyjdiesz do mnie, zaufasz mi, zdasz się na moją pomoc. Że mnie wykorzystasz.

– Ale nie miałam z czego ci się zwierzać – broniła się Oliwia. – To nie było nic ważnego, rzeczywistego.

– Jednak ta sprawa była na tyle rzeczywista, że całkowicie cię pochłonięła.

– Tak. To prawda.

– I na tyle ważna, że podzieliłaś się nią z Jamiem i Annie.

Oliwia poczuła, jak na jej policzki wypływa rumieniec.

– Nie rozmawiałam z Annie na ten temat.

– Ale z Jamiem tak?

– Owszem. – Czuję, że musi się wytłumaczyć. – Jednak on uważał, że to nic ważnego i na tym wszystko się skończyło. – Przerwała. – Bernardzie, naprawdę to nie było na tyle ważne, aby o tym mówić.

– Oliwio. – Bernard nachylił się nad stołem i wziął ją za rękę. – Jesteś uczciwa, tak?

– Myślę, że tak.

– W takim razie, dla dobra nas obojga, bądź teraz szczerą.

– W porządku.

– Wiem, że mnie lubisz. – Od razu przeszedł do sedna sprawy, nie dając jej dojść do słowa. – Ale ja cię kocham. A miłość oznacza dla mnie to, że chcę, potrzebuję dzielić z tobą moje życie, moje wątpliwości, wady, ale także wielkie obawy czy kłopoty. *Tu comprends?* [Rozumiesz?]

– Oczywiście.

– A jeśli nasz związek ma się rozwijać w kierunku, jaki wybierzemy, jaki ty wybierzesz, to niezbędne jest, abyś podzielała ten punkt widzenia. To, co mówiłem o dzieleniu się... – Urwał.

– Czy ty to potrafisz, Oliwio?

Zanim odpowiedziała, zamyśliła się.

– Nie wiem – odrzekła.

Bernard skinął głową.

– *Voilà* – powiedział. Cofnął rękę znajdującą się w jej dłoni i chwycił nóżkę kieliszka. W jego oczach malował się głęboki smutek.

– Co teraz zrobisz? – spytała ostrożnie Oliwia.

– To, co uważam za słuszne – odparł z namysłem. – Pojadę na Daleki Wschód sam. Czy zgadzasz się ze mną?

– Chyba tak – odpowiedziała. – Z wielkim żalem.

– Wiem – powiedział Bernard.

– Jak długo cię nie będzie?

– Miesiąc, może trochę dłużej. Moi pracownicy dają sobie świetnie radę beze mnie. Może

nawet lepiej, niż gdy jestem na miejscu.

– A potem? – spytała.

– Potem – rzekł Bernard cichym głosem – wrócę do Brukseli, do mojego pustego, zbyt wielkiego domu, do mojej pracy i przyjaciół. Do zwykłego życia.

– Czy... ? – Oliwia zwilżyła wargi odrobiną czerwonego wina i zaczęła raz jeszcze: – Czy będziesz chciał zaliczyć mnie do grona swoich przyjaciół?

– Po pewnym czasie tak – odparł Bernard. – Jeśli będziesz tego chciała.

– Cenię twoją przyjaźń bardziej, niż mogę wyrazić to słowami.

Bernard uśmiechnął się słabo.

– Masz bardzo wielu przyjaciół, Oliwio.

Mijały kolejne tygodnie. Bernard wyjechał do Tokio, a Annie i Jamie przyjechali na długi weekend. Oliwia przeziębila się i zaraziła grypą sporą grupę tancerzy z Toronto, dla których pracowała. Cleo stawała się dorosłą kotką, przedkładając nad gumową mysz żywą szarą myszkę, która jakimś sposobem przedostała się z piwnic do mieszkania Oliwii. Oliwia nigdy nie widziała w swoim domu żadnych piwnic, ale zakładała, że jakieś być muszą. W holu wyłożonym drewnianą boazerią znajdowały się ciężkie drzwi zamknięte na klucz. Agent, który pokazywał jej i Bernardowi mieszkanie, nie umiał im powiedzieć niczego na temat przeznaczenia tych drzwi. Twierdził, że wspomniana piwnica, do której ponoć prowadziły te drzwi, nie wchodzi w skład wynajmowanego mieszkania, więc najemca nie powinien się nią interesować.

– Dobry kociak. – Oliwia pochwaliła Cleo, która siedziała nad swoją zdobyczą i głośno pomrukiwała.

Wyszła już z przeziębienia i zabrała się do realizacji następnego zlecenia: miała pomagać walijskiemu autorowi kryminałów o nazwisku Ian Jones w zbieraniu informacji do kolejnych powieści, których akcje działy się w Brukseli i Antwerpii. Jones był żywiołowym, inteligentnym i wesołym mężczyzną w średnim wieku. Niestety, pił zbyt wiele belgijskiego piwa i bez żadnego skrępowania oddawał się swojej najnowszej pasji, jaką były próby zaciągnięcia Oliwii do łóżka. Oliwia, która miała niezłą wprawę w zręcznym odprawianiu natrętnych adoratorów, spędziła większość czasu, uchylając się przed zionącymi piwem pocałunkami Jonesa i unikając jego nachalnych uścisków. Jednocześnie próbowała pracować, tłumacząc dla niego artykuły ze starych wydań „Le Soir” i pomagając w wyszukiwaniu potrzebnych książek w sklepach sieci

FNAC i innych księgarniach. Reasumując, z prawdziwą ulgą pomachała na do widzenia swojemu klientowi, gdy ten wracał do Cardiff.

Brakowało jej Bernarda. Tęskniła za jego towarzystwem, wspólnymi rozmowami i kolacjami we dwoje, ale, jeśli miałyby odpowiedzieć na pytanie, czy bez niego czuje się osamotniona, to szczerą odpowiedź brzmiałaby – nie. W jej życiu istniała jednak pewna pustka, którą wypełniał Bernard. Przypomniała sobie, że dokładnie tak samo Annie określiła ich związek kilka miesięcy temu. Mimo wszystko istniała pustka, którą Bernard wypełnił po powrocie ze swojej podróży. Miała nadzieję, że zgodzi się na ograniczenie ich znajomości tylko do przyjaźni. Będą się spotykać od czasu do czasu, pójdą wspólnie na otwarcie jakiejś galerii, czy na lunch. Będą cenić swoją przyjaźń, ale nie będą angażować się w nic więcej.

Nadszedł lipiec, robiło się coraz cieplej. Bernard po powrocie do domu nie zerwał kontaktów z Oliwią, ale spotykali się bardzo rzadko. Wraz z nadejściem lata życie w Brukseli wyraźnie zwolniło tempo, na okres wakacyjny zamknięto wiele biur, restauracji i sklepów. Oliwia, która początkowo obawiała się, że, podobnie jak w Paryżu, aż do końca sierpnia miasto będzie praktycznie wymarłe, stwierdziła z zadowoleniem, że lubi tę senną, powolną, wakacyjną atmosferę. Jej terminarz był gęsto zapisany zleceniami na nadchodzącą jesień. Teraz jednak Oliwia postanowiła pomyśleć o własnych wakacjach i rozpoczęła przeglądanie folderów, przewodników i map. Może wybrać coś niebanalnego, pomyślała. Coś zdecydowanie mało wygodnego – jak spływ górską rzeką czy safari w Afryce. A może coś oryginalnego i fascynującego, na przykład wyjazd do Rosji, Chin czy Indii, które od dawna pragnęła zobaczyć.

Kiedy dziewiętnastego lipca wróciła po pracy do domu i odczytała zarejestrowaną na sekretarce wiadomość z prośbą o telefon do Jerry'ego Rosenkrantza z Fundacji Artura Segala, prawie nie pamiętała już o liście i włamaniach.

Zadzwoiła z biura następnego dnia rano.

– Oliwia? Co słychać? – Rosenkrantz zawsze mówił tak, jakby brakowało mu oddechu. Wypalał dwie paczki papierosów dziennie, i każde przeziębienie natychmiast kończyło się bronchitem. Jednak nie można go było namówić do porzucenia zgubnego nałogu.

– Wszystko w porządku. A u ciebie?

– Nieźle. Nie narzekam – powiedział, a po chwili dorzucił: – Słyszałem, że dzwoniłaś do

mnie kilka tygodni temu, gdy byłem w Izraelu. Sekretarka powiedziała mi, że czegoś szukałaś w starych dokumentach swojego ojca.

– Tak – odparła Oliwia. – Ale dopiero co mieliście włamanie...

– I straszliwy bałagan – dokończył za nią Rosenkrantz. – Teraz już doszliśmy ze wszystkim do ładu, zresztą między innymi dlatego chciałem się z tobą skontaktować.

– To miło z twojej strony...

– Ale przede wszystkim chciałem cię poinformować, że znaleźliśmy coś, co może cię zainteresować. Wygląda na to, że twój ojciec na krótko przed śmiercią wynajął w Londynie schowek. Ponieważ zrobił to za pośrednictwem fundacji, więc kiedy przyszło do realizacji postanowień spadkowych, ta sprawa została pominięta. – Chwycił go nagły atak kaszlu. Odchrząknął i ciągnął dalej: – Wygląda na to, że przez cały ten czas opłata za wynajem schowka była automatycznie ściągana z konta fundacji, ale nikomu nie przyszło na myśl, żeby mnie o to zapytać.

– Minęło prawie dwadzieścia lat, Jerry! – stwierdziła Oliwia z niedowierzaniem.

– Mnie to mówisz? – Znowu zakaszłał. – Problem w tym, że nikt w fundacji nie ma klucza do tego schowka. Zastanawiałem się, czy wiedziałaś o jego istnieniu, a może nawet znalazłaś w rzeczach swojego ojca jakieś klucze, których nie mogłaś do niczego dopasować.

– Nie wiem – odparła Oliwia i pomyślała o wielkiej skórzanej walizie stojącej w pokoju gościnnym. Klucze. Widziała tam jakieś. – Posłuchaj, Jerry, nie wiedziałam nic o tym schowku...

– Tak właśnie myślałem.

– ... ale na pewno poszukam u siebie tego klucza.

– Myślisz, że uda ci się go znaleźć?

– Mam tysiące rzeczy po swoich rodzicach, a to niezła wymówka, żeby znowu w nich pogrzebać.

– Mówisz zupełnie jak twój ojciec – zauważył ciepło Rosenkrantz. – Pamiętam, że zawsze chomikował mnóstwo niepotrzebnych rzeczy.

– Jaki ojciec, taka córka – podsumowała Oliwia.

Wracając do domu, kupiła paczkę makaronu i słoiczek gotowego sosu, a także karton

puszek z jedynym rodzajem pokarmu dla kotów, jaki Cleo chciała tknąć i paczkę mrożonych frytek. Cleo, jak wszystkie koty, uwielbiała świeże ryby, ale także, ku zdumieniu Oliwii, jej mała kotka była fanatyczną wielbicielek frytek.

– Cześć, Cleo – zawołała, wchodząc do mieszkania.

Nie było żadnej odpowiedzi.

– Chodź, przywitaj się ze mną, bo inaczej kupię sobie psa – zagroziła Oliwia.

Mały szary kłębuszek leżał zwinięty na stole w kuchni koło patery na owoce. Oliwia delikatnie zepchnęła kotkę na podłogę i dała jej klapsa, po czym, chcąc jej wynagrodzić karę, usiłowała się z nią pobawić, ale obrażona zniknęła w korytarzu.

– Wrócisz – oznajmiła Oliwia. – Wystarczy, że poczujesz frytki.

Oliwia nakarmiła Cleo i zabrała się do przygotowywania własnej kolacji. Ugotowała makaron, podgrzała sos z małży i otworzywszy butelkę wina, zasiadła do jedzenia, studiując „Le Soir”.

Zdawała sobie sprawę, że stara się odwlec chwilę, w której będzie musiała w końcu wyciągnąć na środek pokoju stary kufer i poszukać klucza. Zawsze postępowała w ten sposób, gdy nie była pewna, czy to, co zamierza zrobić, jest słuszne. Wiedziała, że jeśli nie znajdzie klucza, będzie zawiedziona, ale znacznie bardziej męczyła ją myśl, że jeśli jednak klucz znajdzie, z całą mocą powrócą wszystkie wątpliwości i obawy. Towarzyszyło temu na dodatek to dziwne uczucie, związane z ewentualną zawartością skrytki; uczucie równie bezsensowne, jak wszystkie inne, które opanowały ją od chwili, gdy zaczęły się te dziwne zbiegi okoliczności. Oliwia zastanawiała się, czy nie jest to czasem strach. Nie była jednak pewna – tak rzadko bała się czegokolwiek. Należała do ludzi, którzy są obdarzeni rzadkim darem unikania wszelkich zwykłych, codziennych lęków, które tak często dręczą każdego z nas. Wiele ludzi zamartwia się z różnych powodów. Często nie potrafią zapanować nad stale dręczącymi ich pytaniami w rodzaju: „A co będzie, jeśli... ?” – „A co będzie, jeśli zostawiłam odkręcony gaz i cały dom wyleci w powietrze?”, „A jeżeli na tydzień przed wyjazdem na urlop zachoruję?”, „A co się stanie, jeśli pojedę do Nowego Jorku i mnie napadną?” lub „A co będzie, jeśli pojedę do San Francisco i akurat będzie trzęsienie ziemi?”.

Oliwia doskonale pamiętała problemy, którymi dręczyła się Annie, a które były

całkowicie bezpodstawnymi, hipotetycznymi obawami o reakcję Edwarda, gdy odkryje, że jego żona nie jest idealna. Pamiętała również udrękę Jamiego, który zamartwiał się, a może nadal to robi jak oceniliby go Carlos, gdyby żył. Nieobce było Oliwii uczucie strachu związanego z realnym zagrożeniem. Wiele razy czuła dreszcz emocji, gdy zjeżdżała w dół po niebezpiecznym stoku, wisiała na linie, zbliżała się ryzykownie blisko do skalnej ściany, czy wpadała w poślizg po zbyt ostro przejechanym zakręcie. Ale nigdy nie dręczyły jej nieuzasadnione, nielogiczne obawy. Uważała, że na świecie jest zbyt dużo prawdziwych zagrożeń, których naprawdę należało się obawiać: wojny, choroby, prawdziwe, nie urojone, głód czy katastrofy.

I dlatego nie mogła zrozumieć i zaakceptować myśli, które obecnie ją prześladowały. Przeczucia, że jeśli znajdzie klucz, pojedzie do Londynu i otworzy schowek swojego ojca, to będzie tego gorzko żałować.

Pęk kluczy nadal był tam, gdzie go ostatnio widziała, w zielonej skórzanej walizie. Cztery klucze na wytartym srebrnym kółku. Trzy całkiem zwyczajne: jeden typowy angielski klucz do drzwi wejściowych, jeden mniejszy, pewnie do zamka jakiegoś sekretarzyka i kolejny, podobny do klucza zamykającego kłódkę. No i czwarty – srebrny, wąski i płaski kluczyk z wygrawerowanym numerem.

Znowu to dziwne uczucie, jak uderzenie małą, twardą pięścią w żołądek, podniecenie pomieszane ze strachem.

Oliwia wzięła głęboki oddech, odczepiła kluczyk z kółka, pozostałe włożyła do kufra, zamknęła wieko i wstała.

– Wygląda na to, że jadę do Londynu – powiedziała głośno.

Pojechała pięć dni później, we wtorek dwudziestego piątego lipca. Wybrała poranny pociąg Eurostart, którym najszybciej można było dojechać do centrum Londynu. Samochód zostawiła na parkingu w podziemiach budynku SNCB. Poszła na dworzec, szybko przeszła przez punkt odprawy celnej i wsiadła do pociągu. Jej jedynym bagażem była duża torba na ramię od Hermesa, którą Bernard podarował jej na Boże Narodzenie. Do środka włożyła paszport, karty kredytowe, kilkanaście funtów w banknotach, małą buteleczkę perfum First i najnowszą powieść Johna Grishama. Była dziwnie spokojna i wyciszona, zmierzając przez piękne pofałdowane równiny Belgii w kierunku Anglii.

Przynajmniej – pomyślała, podnosząc wzrok znad książki – nie muszę odwiedzać Annie i

tłumaczyć się przed nią z tego, co robię. Trzy dni temu Annie i Edward wyjechali do Nowego Jorku i mieli wrócić najwcześniej za dwa tygodnie. Oliwia nie pamiętała, kiedy ostatni raz zdarzyło jej się być w Anglii i nie odwiedzić Annie.

– Czy coś się stało? – spytała ją Annie w ubiegłym tygodniu.

– Nie – odpowiedziała wtedy Oliwia, choć wiedziała, że może zwierzyć się przyjaciółce ze wszystkiego. Annie zawsze była bardzo dyskretna, nigdy nie próbowała wtrącać się w nie swoje sprawy. Podobnie jak Jamie, zawsze pomagała Oliwii, tyle że w przeciwieństwie do Oliwii nigdy nie wychodziła pierwsza z propozycją pomocy, ale zawsze czekała, aż ją o to poproszą, a wtedy gotowa było zrobić wszystko.

– Czy na pewno wszystko jest w porządku? – dopytywała się Annie. To prawda, że nie była wścibska, ale tym razem intuicja podpowiadała jej, że Oliwia coś przed nią ukrywa.

Muszę jej powiedzieć, pomyślała Oliwia w chwili, gdy ogłoszono, że pociąg wjeżdża do tunelu pod kanałem La Manche. Niektórzy pasażerowie podeszli do okien i patrzyli, jak snop światła widoczny u wlotu w oszalałym tempie zmniejsza się, aby w końcu zniknąć w ciemności tunelu. O ile, oczywiście, jest o czym opowiadać.

Z Jerry Rosenkrantzem, który powiedział jej, że jako dyrektor fundacji musi podpisać zezwolenie na udostępnienie Oliwii zawartości skrytki, spotkała się tuż po jedenastej przed wejściem do Britannia Safe Deposit, przy Leadenhall Street w City. Nie widziała Jerry'ego wiele lat. Gdy go teraz spotkała, stwierdziła, że bardzo się postarzał. Nadal był jak zawsze nienagannie ubrany, ale jego włosy były zupełnie białe. Oliwia była tym lekko wstrząśnięta. Jednocześnie jego widok uświadomił jej, nie bez wzruszenia, że Artur, gdyby żył, wyglądałby podobnie.

– Mogę zapalić? – zapytał Jerry, gdy czekali w holu, aż urzędnik przyniesie niezbędne dokumenty do podpisania.

– Gdybym była palaczem – stwierdziła Oliwia, która od dawna już nie czuła się spokojna – też miałabym ochotę na papierosa.

– Dlaczego? – Jerry spojrział na nią ze zdziwieniem.

Oliwia zmieszała się.

– Po prostu zastanawiam się, co znajdę w tej skrytce.

– Na twoim miejscu nie obiecywałbym sobie zbyt wiele – zauważył Jerry. – Pewnie są

tam tylko jakieś zatechłe dokumenty. A może w ogóle nic. Bywa, że ludzie wynajmują schowki na wszelki wypadek, a potem wcale z nich nie korzystają.

– Tak. Wiem – odparła Oliwia, starając się opanować emocje.

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście, Jerry.

Do pomieszczenia, w którym znajdował się schowek, weszła sama. Podążając za mężczyzną w mundurze, minęła olbrzymie ciężkie drzwi i znalazła się w przestronnym pomieszczeniu, w którego ściany na całej wysokości wbudowano różnej wielkości stalowe sejfy. Schowek jej ojca był bardzo duży, o wiele większy niż sobie to wyobrażała. Miał rozmiary małej walizki.

– Proszę włożyć swój kluczyk do zamka po lewej stronie – poinstruował ją mężczyzna – a ja włożę klucz uniwersalny do drugiego zamka. – Jednocześnie przekręcili klucze i szare drzwiczki stanęły otworem.

W środku znajdowało się dość dużych rozmiarów pudełko, zrobione z grubej kremowej tektury. Jego pokrywa była przyklejona szarą taśmą klejącą.

– Czy chce pani skorzystać z jednego z naszych pomieszczeń? – spytał strażnik.

– Tak, proszę.

Mężczyzna ruszył przodem, niosąc ostrożnie pudełko. Zaprowadził Oliwię do małego pomieszczenia, nie większego niż kabina telefoniczna. Jego jedyne umeblowanie stanowił mały drewniany stolik i plastikowe krzesło. Mężczyzna położył pudełko na stole i podszedł do drzwi.

– Drzwi będą zamknięte na klucz, proszę pani. Kiedy pani skończy, proszę nacisnąć dzwonek.

– Dobrze – odparła Oliwia. – Dziękuję.

Mężczyzna wyszedł.

Oliwia spojrzała na wieko pudełka. Ani na nim, ani na bokach nie było żadnego napisu, żadnej informacji na temat jego zawartości.

Usiadła na plastikowym krześle. Było niewygodne, a w pomieszczeniu unosił się lekki

zapach pleśni. Splotła ręce na kolanach i wpatrywała się w pudełko. Nawet nie otwierając go, wiedziała, że to jest to: zrozumiała, że znalazła to, czego, nie do końca świadomie, szukała od trzech miesięcy, od chwili włamania do jej mieszkania.

Strach powrócił. Dziwny, przerażający dreszcz.

– Dobrze, tato – powiedziała cicho, niemalże bezgłośnie. – Zaczynamy.

Pochyliła się do przodu i zdarła starą, na wpół przegniłą taśmę.

A potem otworzyła pudełko.

Rozdział 21

Pudełko Oliwii

W pudełku znajdowała się duża, szara wypchana koperta i dwie paczuszki owinięte papierem pakowym i przewiązane sznurkiem. Kiedy Oliwia otworzyła pierwszą paczkę, okazało się, że zawiera kopie różnych listów i notatek: korespondencji prowadzonej między jej ojcem i Carlosem Ariasem oraz trzecim mężczyzną o nazwisku Paul Walter Osterman. W drugim pakunku były dokumenty, papiery poświadczone notarialnie i fotografie: kilka starych czarnobiałych zdjęć przedstawiających mężczyznę, kobietę i trójkę dzieci; nieznamiona rodzina, wszyscy przystojni, dobrze ubrani i szczęśliwi. Były także dwie fotografie jakiegoś ciemnowłosego i ciemnokookiego eleganckiego mężczyzny, który wyglądał niepokojąco znajomo, chociaż Oliwia była pewna, że nigdy w życiu go nie spotkała.

Każda z fotografii przedstawiających nieznaną rodzinę była podpisana niebieskim atramentem; wszystkie podpisy były identyczne: *Rodzina Rothenburgów: Emanuel, Hedi, Anton, Liii i Trudę*. Na odwrocie zdjęcia przedstawiającego drugiego mężczyznę również widniał odręczny podpis: *Georg Brauner, znany także jako Juan Luis Arias*.

Oliwia wzdrygnęła się, ponownie poczuła przeraźliwy chłód, który prawie ją sparaliżował. To było to. Ostateczny dowód na to, że szalone przeczucia i dziwne wydarzenia, które doprowadziły ją do tego miejsca, nie były ani zbiegiem okoliczności, ani objawami paranoi. Do tej chwili nie wiedziała, czego może się spodziewać. Zakładała, że odkryje jakąś zadawnioną mroczną tajemnicę. Może jakieś wyjaśnienie. Ale teraz wiedziała już na pewno, że jej odkrycie jest fatalne dla Jamiego. To, z czym przyszło jej się zmierzyć, bez wątpienia uderzy w Jamiego, zrani jego duszę, a już sama myśl o skrzywdzeniu Jamiego była dla niej nie do zniesienia.

Pomyślała, że powinna natychmiast przerwać badanie tej sprawy, schować papiery z powrotem do pudełka i nigdy więcej do nich nie wracać. Ale na stole nadal leżała szara koperta zaklejona przez jej ojca. Oliwia wiedziała, że nie może jej tak zostawić.

Otworzyła kopertę. W środku znajdował się list napisany na maszynie i mały, okropnie poplamiony, pożółkły ze starości notes. Jego okładki były wystrzępione i mocno wytarte. Pierwsze strony notesu były zapisane odręcznym, schludnym pismem, jednak widać było, że ktoś

zapisywał je w dużym pośpiechu. Im bliżej końca notesu, tym pismo stawało się coraz mniej wyraźne i chwilami prawie niewidoczne. Autor najwyraźniej zaczął pisać bladym atramentem, potem zmienił go na ołówek, by ostatecznie ponownie powrócić do pióra. List adresowany do Artura Segala został napisany przez Paula Ostermana z Filadelfii w stanie Pensylwania, trzynastego kwietnia siedemdziesiątego szóstego roku. Był podzielony na dwie części; dołączono do niego instrukcję, z której wynikało, że najpierw należy przeczytać pierwszą część, potem zapiski w notesie, a na końcu wrócić do drugiej części listu.

Oliwia zaczęła czytać.

Na pewno będzie się pan zastanawiać, mój drogi, pechowy panie Segal, dlaczego właśnie pan został wybrany przeze mnie do zapoznania się z historią Antona Rothenburga. To mroczna, ohydna i smutna opowieść, która na dodatek nie ma nic wspólnego z panem, przynajmniej nie bezpośrednio. Mimo to, z wielu powodów, wybrałem właśnie pana. Częściowo ze względu na ogólnie znane pańskie uwielbienie dla sztuki, a także pana wkład w pomoc dla Centrum Wiesenthala w Wiedniu. Przyczyną mojego wyboru było również to, że prowadził pan interesy z Maksem Wildenbruchem z Nowego Jorku. Ale najważniejszym powodem jest pańska znajomość z Carlosem Miguelem Ariasem.

Od 1952 roku samotnie niosłem na swoich barkach brzemień tej historii i przez ostatnie ćwierćwiecze zebrałem sporo dowodów w tej sprawie. To wiele, ale nie wszystko. Wierzę całym sercem, że historia rodziny Rothenburgów z Baden-Baden nie może pozostać zapomniana, bez względu na okoliczności musi pozostać żywa w naszej pamięci. Teraz jestem bardzo chory i moje życie dobiega kresu, więc tak jak Anton wiele lat temu, chcę przekazać to brzemień, które dźwigałem, mojemu następcy.

Ma pan pecha, panie Segal, albowiem moim następcą będzie właśnie pan.

Zgodnie z instrukcją Oliwia otworzyła teraz notes. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo czytała zapisaną w nim opowieść. Wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu, kiedy pochłonęła ją historia Emanuela i Hedi Rothenburgów oraz trojga ich dzieci – historia, która rozpoczęła się w trzydziestym drugim roku, kiedy to mężczyzna podający się za Georga Braunera po raz pierwszy przekroczył próg ich domu, a zakończyła w „kryształową noc” dziewiątego listopada trzydziestego ósmego roku zamordowaniem wszystkich Rothenburgów, za wyjątkiem Antona.

Zamknęła notes i przez chwilę siedziała nieruchomo. Potem zmusiła się do wciśnięcia dzwonka przyzywającego strażnika. Poprosiła go o przekazanie Jerry'emu Rosenkrantzowi, aby na nią nie czekał. Teraz zabrała się za drugą część list Paula Ostermana.

To prawda. Nikt z rodziny nie przeżył, a Anton Rothenburg umarł dwa miesiące później w Buchenwaldzie. Ale, tak jak przyrzekł, zdążył przed śmiercią przekazać notes innemu więźniowi obozu. Człowiek ten przeżył holocaust i wręczył mi ten notes jesienią 1952 roku, pewnej długiej, pijanej nocy w barze hotelowym w Amsterdamie.

Byliśmy dwojgiem nieznanymi, samotnie podróżujących biznesmenów, których łączyła miłość do sztuki i żydowskie korzenie. Tak jak napisałem na początku tego listu, słyszałem – wszyscy słyszeliśmy – wiele przerażających opowieści z tych koszmarnych lat, a mimo to ta szczególna opowieść wywarła tak szalony, niesamowity wpływ na mój umysł i duszę. Od samego początku wiedziałem, że nie zapomnę jej do końca moich dni.

Tamtej nocy w Amsterdamie ogarnęło mnie dzikie pragnienie odszukania Georga Braunera i równie silne pragnienie, aby sprawiedliwości stało się zadość. To pierwsze nie było takie trudne do wykonania. Brauner był przekonany, że prowokując zamordowanie Rothenburgów, głównych świadków jego zbrodni w Baden-Baden, niszczy wszystkie dowody swoich działań. W faszystowskich Niemczech 1938 roku nikt przecież nie przejmował się śmiercią kilku Żydów.

Jednak znacznie trudniej jest ukryć zniknięcie sławnych obrazów znanych malarzy. Naziści oficjalnie potwierdzili i zapisali w aktach, że kolekcja symbolistów spłonęła całkowicie w domu jej właściciela w „kryształową noc”. A Georg Brauner był człowiekiem przekonanym o własnej wielkości. Skradziona kolekcja napawała go wielką dumą i w tym jednym punkcie był podobny do swojej ofiary.

Z tego, czego się dowiedziałem, wynikało, że wystarczy jedynie trochę poczekać, a przynajmniej jeden z tych obrazów wypłynie na światło dzienne. Wynająłem ludzi, którzy mieli mieć na oku wszystkie największe ośrodki handlu dziełami sztuki na świecie. (Nie było to wcale takie trudne, a na pewno nie uciążliwe dla kogoś takiego, jak ja i moi przyjaciele. Wszyscy byliśmy prawdziwymi miłośnikami sztuki, toteż z przyjemnością przeglądaliśmy katalogi muzeów, galerii i domów aukcyjnych, czekając cierpliwie na dzień, w którym w jednych z nich pojawi się jakiś obraz z listy Rothenburga).

Raz, w 1956 roku, wydawało mi się, że trafiłem na właściwy trop. Dostałem wówczas wiadomość, że jeden z obrazów Emanuela pędzla Holdera został przekazany jako darowizna dla muzeum Kunsthaus w Zurychu. Niestety, okazało się, że był to jeden z dziewięciu obrazów, które Georg Brauner rzeczywiście przekazał Maksowi Wildenbruchowi do Nowego Jorku. Był to obraz, który Wildenbruch sprzedał po wojnie panu, panie Segal.

Przez kolejne pięć lat nie dowiedziałem się niczego – żadnego śladu, żadnej pogłoski. A potem natknąłem się na artykuł w „Herald Tribune”. Pisano, że obraz Paula Gauguina, od dawien dawna przechowywany w rękach prywatnych, został wypożyczony Muséum of Fine Arts w Bostonie. Jeszcze zanim przeczytałem, o jaki obraz chodzi, był to „La Rêveuse” – „Marzyciel”, miałem przecucie, więcej, niemal pewność, że oto w końcu trafiłem na jakiś ślad.

W niecały tydzień później poleciałem do Bostonu. Prosto z lotniska pobiegłem do muzeum, gnany obsesyjną potrzebą, a może także głupim i egoistycznym przekonaniem, że w jakiś sposób dotrzymam słowa, spełnię ostatnie życzenie Emanuela Rothenburga, jeśli stanę przed tym obrazem, jego obrazem. Podejrzewałem, że to zaledwie początek, że plakietka umieszczona koło obrazu będzie zawierać jedynie enigmatyczną informację, że obraz został wypożyczony od anonimowego kolekcjonera. Jednak na małej błyszczącej tabliczce podano informacje, których potrzebowałem.

Paul Gauguin – „La Rêveuse”

Obraz wypożyczony z prywatnej kolekcji Juana Luisa Ariasa

Obraz był wspaniały, pełen niewysłowionego piękna. Stojąc przed nim zrozumiałem, że człowiek może zdobyć się na wiele, aby zyskać takie dzieło sztuki. Mimo to, dzięki Bogu, żadna, nawet najmniejsza częśćka mej duszy, najmroczniejsza strona umysłu nie mogła pogodzić się z tym, że ktoś mógł być zdolny do zniszczenia nie jednej osoby, ale całej rodziny, aby je zyskać.

W małym zamkniętym pokoiku w podziemiach Britannia Safe Deposit Oliwia odchyliła się na oparcie twardego plastikowego krzesła i zamknęła oczy. Myślała o obrazie, o małym portrecie Gauguina. Miała go znowu przed oczami, tak jak wtedy, gdy widziała go w posiadłości Ariasów w Newport – tej dziwnej pamiętnej wiosny osiemdziesiątego dziewiątego, kiedy po upadku z urwiska Jamie wprowadził ją do pokoju. Pamiętała, jak wpatrywała się w „La Rêveuse”, podczas gdy Louise i Daisy krzątały się wokół niej i pamiętała myśl, która przemknęła

jej wówczas przez głowę – nawet wtedy, opętana nagłym, szalonym pragnieniem, nie, pożądaniem Jamiego, pomyślała, że Artur byłby zachwycony tym obrazem.

A teraz ponownie pograżyła się w myślach o obrazie, przede wszystkim dlatego, żeby nie myśleć o Jamiem.

Czytaj dalej, nakazała sobie powrót do rzeczywistości. Musisz przeczytać to do końca. A im szybciej skończysz, tym szybciej wstaniesz z krzesła, zamkniesz za sobą drzwi tego pomieszczenia i wyjdiesz na słońce, na świeże powietrze.

Otworzyła oczy, pochyliła się nad stołem i powróciła do czytania listu.

Zostałem w Bostonie dłużej. Staralem się zebrać jak najwięcej informacji o rodzinie Ariasów z Newport w Rhode Island. Nie było to zbyt trudne, zważywszy, że członkowie tej rodziny byli wymienieni zarówno w „Who's Who”, jak i w innych tego typu informatorach.

Juan Luis Arias i jego młodszy brat Carlos Miguel byli drugim pokoleniem Ariasów z Bilbao, które mieszkało w Stanach Zjednoczonych. Juan Luis senior opuścił Hiszpanię w niespokojnych czasach anarchii, która ogarnęła jego ojczyznę po pierwszej wojnie światowej. Ariasowie byli starą rodziną armatorów i konstruktorów statków. Byli majętni i dumni, co zawdzięczali zarówno swoim przodkom, jak i znacznym osiągnięciom obecnych pokoleń. Juan Luis Arias senior, człowiek o wielkim sercu, który w przedziwny sposób łączył uczciwość i ogromne ambicje, postawił za punkt honoru zapewnienie sobie i rodzinie możliwie najlepszego startu w nowej ojczyźnie, którą pokochał od zaraz. Pomimo wielu przeciwności, zdołał kupić posiadłość w Newport. Tam zmuszony był wykorzystywać cały swój urok i dobre wychowanie, aby uzyskać akceptację przez Vanderbiltów czy Astorów, za którymi stały wielopokoleniowe fortuny.

Na tym etapie moich poszukiwań rozważałem możliwość zatrudnienia prywatnego detektywa, który zebrałby dla mnie informacje na temat Juana Luisa Ariasa juniora, a zwłaszcza jego kolekcji obrazów. Po namyśle jednak zrezygnowałem z tego pomysłu, korzystając w zamian z usług miejscowej informatorki. Fakty, które uzyskałem, były niezbyt liczne, ale wystarczająco jasne – przynajmniej dla mnie – aby mogły stanowić dowód jego winy. Jak wielu jemu podobnych, aroganckich i zarozumiałych ludzi, Arias – wdowiec z jednym synem – nie mógł zdobyć się na ukrycie swoich trofeów na zawsze. Tak wiele ryzykował i tak bezwzględnie wydierał swoje skarby ofiarom, że przypuszczalnie nie mógł się powstrzymać, aby nie pochwalić się nimi przed światem. Do sześćdziesiątego roku nigdzie nie pojawiła się najmniejsza

informacja o kolekcji Juana Luisa Ariasa, ale potem coraz częściej pogłoski na temat tego niezwykłego zbioru zaczęły przeciekać do rozmaitych gazet, katalogów i pism specjalistycznych. Co prawda moja informatorka nie natrafiła nigdzie na pełny, udokumentowany wykaz obrazów wchodzących w skład tej kolekcji, ale udało się jej uzyskać pewne informacje na temat dwudziestu siedmiu obrazów symbolistów, będących niegdyś w posiadaniu Emanuela Rothenburga.

Na kilka dni wróciłem do domu do Filadelfii. Chciałem przygotować się, zebrać wszystkie siły do konfrontacji z mężczyzną, który – teraz wiedziałem to już z całą pewnością – był Georgem Braunerem. Miałem wiele bezsennych nocy, przewracałem się z boku na bok, trawiła mnie dziwna gorączka, ze zdumieniem odkryłem, że boję się tego spotkania. Byłem biznesmenem, zwykłym przeciętnym amerykańskim Żydem, miałem żonę i jednego syna i byłem właścicielem niewielkiej firmy. Jak więc, na Boga – pytałem sam siebie – miałem stanąć przed niezwykle majątnym i wpływowym człowiekiem i oskarżyć go o kolaborację z faszystami, o kradzież i nakłanianie do morderstwa?

Znów opanowała mnie myśl, która wracała do mnie niejedną raz przez ostatnie osiem lat, że może powinienem przekazać tę sprawę Szymonowi Wiesenthalowi lub innej osobie, zajmującej się ściganiem nazistów? Stwierdziłem jednak, że nawet po tylu latach po prostu nie mogę tego zrobić. Emanuel Rothenburg i jego najbliżsi stali się w jakiś absurdalny, niesamowity sposób moją rodziną, czułem się za nich odpowiedzialny. Dla człowieka takiego jak Wiesenthal, historia Rothenburgów była kolejną historią tragiczną, jedną z wielu podobnych, ale dla mnie była wszystkim. Tragedia Rothenburgów stała się moją obsesją.

Przez następne trzy miesiące wiodłem zwyczajne życie; zajmowałem się firmą, stwarzałem pozory normalności, dla dobra syna i żony, która oczywiście wiedziała, że coś mnie gnębi, ale, dzięki Bogu, nie zauważyła, że ta sprawa tak bardzo mnie pochłonęła.

Kiedy w końcu pojechałem do Bostonu, w niespełna dzień po przyjeździe dowiedziałem się, że zwlekałem zbyt długo. Juan Luis Arias junior zmarł.

Oliwia przerwała na chwilę czytanie listu. Stwierdziła ze zdumieniem, że podczas jego lektury bezwiednie zacisnęła dłoń tak mocno, że wbiła w nią ostro opiłowane paznokcie i zraniła się do krwi.

Wstała, odsuwając krzesło z rozmachem, tak że upadłoby, gdyby go w ostatniej chwili nie

złapała. Oddychała szybko i płytko, serce waliło jej w piersiach jak oszalałe, to drżała z zimna, to znów paliła ją gorączka. Pomyślała ponownie o Jamiem, ale zaraz pozbyła się myśli o nim. Jego miejsce zajął Artur, jej delikatny, kochający piękno, szczodry ojciec. Skoro teraz, po tylu latach, czuła takie przerażenie, gniew, wściekłość i przygnębienie, to jak musiał czuć się Artur, zawsze taki szczęśliwy i wdzięczny losowi, że zdołał ocalić swego ojca przed potwornościami faszyzmu. Jak czuł się jej ojciec, gdy jak grom z jasnego nieba spadło nań to piekło? To brzemie, jak trafnie nazwał je Paul Osterman, to wołanie o sprawiedliwość dawno zmarłej rodziny.

Oliwia przysunęła krzesło, ponownie usiadła przy stole i czytała dalej. Zauważyła, że zbliża się do końca listu; większość kartek leżała już przeczytana, pozostało jej zaledwie kilka stron.

Byłem w kropce. Możliwość dojścia do tego człowieka to jedno, ale co potem? Jedyne informacje, jakimi dysponowałem, to poszlaki i przeczucia. Miałem świadomość, że Arias mógł wejść w posiadanie tych dwudziestu siedmiu obrazów symbolistów całkowicie legalnie, być może kupił je od prawdziwego Georga Braunera. Jakże mogłem zatem naprzykrzać się jego okrytym żalobą bliskim, skoro nie wiedziałem, czy którekolwiek z nich było współwinnym zbrodni? Miałem pewne podejrzenia, ale żadnego bezsprzecznego, udokumentowanego dowodu, a to oznaczało, że muszę w jakiś sposób zdobyć jednoznaczne dowody jego winy.

Przyszło mi czekać o wiele dłużej, niż przypuszczałem. Wróciłem do Filadelfii, mój syn był chory, a żona znerwicowana. Na jej stan emocjonalny bez wątpienia miały wpływ moje częste wyjazdy. Dom był najważniejszy; nie ulegało wątpliwości, że od pamięci i honoru ludzi, których nawet nie znałem, ważniejsze są potrzeby mojej własnej – dzięki Bogu żyjącej i realnej – rodziny. Zanim stan zdrowia mojego syna poprawił się na tyle, że mogłem wrócić do sprawy Rothenburgów, upłynął ponad rok. A wtedy, znowu zbyt późno, zdałem sobie sprawę, że moje małżeństwo przechodzi głęboki kryzys.

Do Georga Braunera mogłem powrócić ze spokojnym sumieniem dopiero w roku 1964. Od śmierci Juana Luisa Ariasa upłynęły trzy lata. Teraz na pewno nie musiałem się już przejmować, że naruszę prywatność rodziny przeżywającej smutek po śmierci krewnego. Poprosiłem znajomego marszanda z Bostonu, aby skontaktował się z Ariasami i poinformował ich, że znalazł kupca na jeden z obrazów z ich kolekcji. Wybrałem pracę Gustawa Moreau, zatytułowaną „Nymphe Dansante”, która znajdowała się na liście Rothenburga, natomiast nie figurowała na liście wystawianych obrazów z kolekcji Ariasa, którą dostarczyła mi moja

informatorka. Zgodnie z moimi instrukcjami, marszand miał się upewnić czy „Nymphe Dansante” znajduje się w posiadaniu rodziny, a następnie spróbować potwierdzić autentyczność obrazu i ustalić jego pochodzenie. Już dawno pogodziłem się z tym, że wszystko, co wiązało się z Braunerem i Rothenburgami, pochłaniało dużo czasu. Niemniej jednak podjęte ryzyko – lub raczej konfrontacja podejrzeń – opłaciło się. Obraz Moreau był w posiadaniu Ariasów, a marszand zapewniał, że wedle jego wiedzy dzieło jest z pewnością autentyczne. Natomiast, niestety, nie uzyskał żadnych informacji na temat jego ostatniego właściciela, nie mówiąc już o poprzednich.

Teraz, gdy wszystkie wątpliwości zostały rozwiane, próbowałem umówić się na spotkanie z Carlosem Miguelem Ariasem, młodszym bratem Juana Luisa, który po śmierci brata został głową rodziny i dyrektorem firmy spedycyjnej. Niestety, nie udało się, ale w zamian zaproponowano mi spotkanie z synem Juana Luisa – Michaeliem. Jak mnie poinformowano, posiadłość w Newport nie była dostępna dla osób postronnych, toteż pewnego majowego poranka spotkaliśmy się w biurach Arias Shipping na Manhattanie. Michael Arias miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale jak na swój wiek był bardzo dojrzałym, elokwentnym i obytym mężczyzną. W niezwykle wyszukanych słowach oznajmił mi, że jego wuj przebywa obecnie w Europie, ale upoważnił go do porozmawiania ze mną na temat obrazu, którego, jak od razu uprzedził, jego rodzina nie zamierza się pozbywać.

Byłem mocno rozczarowany nieobecnością Carlosa Ariasa i czułem się niezręcznie, rozmawiając z synem Juana Luisa, zwłaszcza iż było wysoce nieprawdopodobne, aby ten młody człowiek posiadał interesujące mnie informacje. Wobec tego niezwłocznie przeszedłem do omawiania sprawy, która była pretekstem mojej wizyty, i spytałem o historię obrazu. Michael odparł, że wie jedynie tyle, iż jego zmarły ojciec wraz z wieloma zaprzyjaźnionymi kolekcjonerami kompletował swą kolekcję przez wiele lat. Zapytałem, czy istnieją jakieś zapisy na temat tego gdzie, kiedy i od kogo jego ojciec zakupił inne obrazy – na przykład „La Réveuse” Gauguina, który przez pewien czas był wypożyczony muzeum bostońskiemu. Michael pomyślał przez chwilę, po czym odparł, że jego rodzina zawsze najbardziej cenila same obrazy i niezwykle wysiłki jego ojca, który zgromadził tyle świetnych dzieł sztuki pod jednym dachem. Natomiast nie interesowało ich, czy poprzednim właścicielem, dajmy na to „Nymphe Dansante”, była starsza pani z Marsylii czy muzeum w Gwatemali.

Wtedy zdobyłem się na zadanie pytania, które dręczyło mnie najbardziej. Wiem, że było

niezręczne i raczej głupie, mimo to czułem, że muszę je zadać.

– Przypuszczam, że nie wie pan – zapytałem – gdzie pański ojciec spędzał większość czasu, będąc w latach 1932-1938 w Niemczech ?

Michael Arias zmarszczył brwi i spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– A skąd miałbym to wiedzieć? – rzekł. – Przecież wtedy nawet nie było mnie na świecie.

– Pański wuj pewnie by to wiedział – zauważyłem.

– Być może – zgodził się młody człowiek. Teraz już wyraźnie okazywał mi swoją niechęć.

– Dlaczego to pana tak interesuje?

– Myślę – zacząłem ostrożnie – że pański ojciec mógł prowadzić jakieś interesy z moim starym przyjacielem, który wówczas mieszkał w Niemczech.

– Jak ten człowiek się nazywa?

Wzięłem głęboki oddech i powiedziałem:

– Emanuel Rothenburg.

Arias potrząsnął głową.

– Obawiam się, że to nazwisko nic mi nie mówi.

– On też był kolekcjonerem dzieł sztuki – wyjaśniłem. – Mieszkał w Baden-Baden.

Mężczyzna ponownie potrząsnął przecząco głową.

– Przykro mi – powiedział.

– Może mógłby pan zapytać o to swojego wuja?

– Mógłbym – zgodził się Michael. Umilkł, a po chwili dodał: – Wydaje mi się, że ta sprawa jest dla pana bardzo ważna.

– To prawda – przytaknąłem.

– Najwyraźniej ważniejsza – ciągnął powoli – niż kupno obrazu Moreau.

– Ale przecież twierdził pan – powiedziałem z lekkim wzruszeniem ramion – że pańska rodzina nie zamierza sprzedać tego obrazu.

– Owszem – odparł młodzieniec. – Tak mówilem.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Arias do końca zachowywał się niezwykle uprzejmie i, jak już powiedziałem, był stanowczo za młody, aby wiedzieć cokolwiek o tym, co jego ojciec robił przed wojną. Nie zamierzam sugerować, że wiedział więcej, niż mi powiedział. Jednakże czułem, że w momencie, gdy zaczęliśmy rozmawiać na temat Juana Luisa Ariasa, między nami pojawiła się jakby niewidzialna ściana i z łatwością potrafiłem sobie wyobrazić, jak

ten młody ciemnowłosy człowiek natychmiast po moim wyjściu z biura podnosi słuchawkę telefonu i dzwoni do swojego wuja w Europie, aby opowiedzieć mu o moim wścibskim zachowaniu. Bez względu na to, czy syn Juana Luisa i jego pozostali krewni wiedzieli o przestępstwach, których się dopuścił, oczywiste było, że członkowie tej rodziny stoją za sobą murem, a intruz zadający dociekliwe pytania na temat jednego z nich jest zdecydowanie niepożądany.

Po powrocie do domu, w niecały miesiąc później, przekonałem się dokładnie, jakie są konsekwencje mieszania się w prywatne sprawy Ariasów. Otrzymałem list z kancelarii adwokackiej z Bostonu, w którym ostrzegano mnie, że jeśli spróbuję raz jeszcze niepokoić kogokolwiek z rodziny Ariasów czy wtrącać się w ich prywatne życie, to zostaną pociągnięty do odpowiedzialności prawnej. Było to dla mnie najlepsze potwierdzenie tego, że nie myliłem się co do Georga Braunera, jednak w dalszym ciągu nie miałem żadnych pewnych dowodów.

W następnych latach, zgodnie z ostrzeżeniem, trzymałem się z dala od Ariasów, mimo to udało mi się zebrać wiele pomocnych informacji. W bibliotece żydowskiej w Badeni-Wirtembergii znalazłem fotografie Rothenburgów, a z archiwów „Boston Daily News” wydobyłem fotografię Juana Luisa Ariasa alias Georga Braunera. Udało mi się również zdobyć dokumenty potwierdzające przedwojenne prawa własności Emanuela Rothenburga do wielu obrazów, które aktualnie znajdowały się w prywatnej kolekcji Juana Luisa. Prywatny detektyw, którego wynająłem, odnalazł ludzi, którzy znali obu braci w okresie wojennym; z ich opowieści widać było, jak bardzo obaj Ariasowie różnili się charakterami. Juan Luis był silniejszym z braci, niezmiennie czarującym, ale jednocześnie próżnym i dumnym mężczyzną. Carlosowi też nie brakowało siły charakteru, ale był łagodniejszy i bardziej przystępny – tak jak jego ojciec, Juan Luis senior. Zdołałem także zeznanie pewnej damy z Nowego Jorku, która postanowiła nie ujawniać swojej tożsamości. Kobieta opisała swoje spotkanie z oboma braćmi, które miało miejsce na przyjęciu na Manhattanie w 1936 roku. Podobno Juan Luis wypił wtedy sporo alkoholu, po czym zaczął głośno wyrażać swoją sympatię, więcej, niekłamany podziw dla Adolfa Hitlera. Kobieta dodała również, że Carlos nie ukrywał swojego oburzenia i zawstydzienia wypowiedziami brata.

To wszystko wysyłam panu, panie Segal: fotografie, oświadczenia i informacje o obrazach, które kiedyś należały bez wątpienia do Emanuela Rothenburga, a potem znalazły się w rękach Juana Luisa Ariasa. Wysyłam je panu dlatego, że być może uda się panu uczynić z nich

większy pożytek i osiągnąć to, czego mnie się nie udało. Robię to, mając na uwadze fakt, że zna pan osobiście Carlosa Ariasa i z pewnością zdoła pan znaleźć doświadczenia do człowieka, z którym ja nigdy nie mogłem porozmawiać. W tym miejscu muszę napisać coś, co mam nadzieję chociaż trochę pana uspokoi. Otóż, chociaż rodzina Ariasów skutecznie uniemożliwiała mi poznanie ich prywatnej historii i osobistych spraw, to w moich poszukiwaniach, prowadzonych przez te wszystkie lata, ani razu nie natknąłem się na najmniejszy dowód sugerujący, że Carlos Miguel Arias mógł być zamieszany w przestępstwa popełnione przez jego brata.

Od czasu tego przypadkowego spotkania w 1952 roku nieraz zastanawiałem się, dlaczego los Rothenburgów tak bardzo chwycił mnie za serce, ale do dziś nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie. Być może dlatego, że Emanuel Rothenburg przypomina mi mojego ojca, a być może po prostu dlatego, że niegodziwość, jakiej dopuścił się Georg Brauner czy też Juan Luis Arias, mężczyzna, którego pochodzenie czy wychowanie w żaden sposób nie usprawiedliwia tego, co zrobił, mężczyzna, który mógł po prostu żyć swoim luksusowym życiem, nie mieszając się w sprawy innych i zostawiając Żydów w spokoju, ta niegodziwość wydała mi się niewybaczalna, gorsza niż wszystko, z czym miałem kiedykolwiek do czynienia.

Spytałem nieznajomego z baru w Amsterdamie, dlaczego po wyjściu z Buchenwaldu nie zgłosił się do odpowiednich władz i nie złożył doniesienia na Braunera. Ten odparł, że jego własne przeżycia tak bardzo wyczerpały go fizycznie i psychicznie, był tak przerażony i zmęczony, że nie czuł się na siłach sprostać kolejnej próbie. Jednakże opowieść Antona Rothenburga, umierającego chłopca, którego ostatnim życzeniem było przekazanie prawdy o tragedii jego rodziny, tak głęboko go poruszyła, że czując się zbyt słabym, żeby zająć się nią osobiście, chciał przekazać ją komuś innemu. Wybrał mnie, prosząc, abym, jeśli mam wystarczającą siłę i determinację, przejął od niego to brzemie.

Pamiętam, że tej nocy, kładąc się do łóżka, pomyślałem, że pewnie już nazajutrz ta niezwykle, gwałtowna chęć oddania sprawiedliwości ofiarom, jak sądziłem w dużej mierze podsycona wypitą whisky, zniknie. Ale tak się nie stało. Jest ze mną do dziś.

A teraz, Arturze Segalu, pewnie jest już i w tobie.

Po przeczytaniu listu Ostermana Oliwia siedziała nieruchomo przez dłuższą chwilę. Wpatrywała się w leżące kartki, notes Antona Rothenburga, fotografie Rothenburgów, reprodukcje niektórych z ich ukochanych obrazów pieczołowicie przechowywane przez Ostermana i pozostałe oświadczenia i dokumenty, które mimo determinacji Ostermana, okazały

się niewystarczającym dowodem winy Juana Luisa.

Wzdrygnęła się nerwowo, słysząc pukanie do drzwi.

– Czy wszystko w porządku, proszę pani? – usłyszała uprzejmy głos kierownika.

Spojrzała na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że siedzi w tym pokoiku już ponad trzy godziny.

– Tak. Dziękuję – odpowiedziała.

– Może przyniosę pani coś do picia? Może kawy?

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Nie trzeba.

– W takim razie przepraszam, że przeszkodziłem – rzekł kierownik.

– To ja przepraszam. Siedzę tu tak długo – usprawiedliwiała się Oliwia.

– Nic nie szkodzi. Proszę zostać, jak długo pani zechce.

Oliwia poczekała, aż jego kroki na korytarzu umilkną i zabrała się za pakiet z listami. Tutaj w końcu znalazła kopie wszystkich listów, które jej ojciec wysłał do Carlosa Ariasa pomiędzy kwietniem a czerwcem siedemdziesiątego szóstego roku i odpowiedzi, które od niego otrzymał. W środku znajdowała się również mała kasetka magnetofonowa. Oliwia przypuszczała, że znajduje się na niej zapis rozmowy Artura i ojca Jamiego. Wszystkie listy i notatki Carlosa były utrzymane w tym samym tonie co ten, który znalazła w aktówce ojca, a który zniknął po włamaniu. Tak jak przypuszczał Osterman, Carlos był poza wszelkim podejrzeniem.

Nie miałem pojęcia – pisał w jednym z listów do jej ojca – o istnieniu Georga Braunera. Natomiast wiedziałem, że w latach przedwojennych mój brat często podróżował do Europy, a zwłaszcza do Niemiec, i że z wielu takich wypraw przywoził nowe wspaniałe obrazy do swojej kolekcji. Były wśród nich dzieła symbolistów, które wymieniłeś. Gdy pytałem go, skąd je ma, Juan Luis odpowiadał, że ze względu na atmosferę strachu i niepewności, która panowała wówczas w Europie, wiele dzieł sztuki, które normalnie byłyby niedostępne, teraz wypłynęło na rynek. Juan wyjaśniał mi, że w takich czasach ludzie, a zwłaszcza Żydzi, bardziej niż obrazów potrzebują pieniędzy. Kiedy zauważyłem, że wygląda mi to na czerpanie korzyści z cudzego nieszczęścia, udzielił mi odpowiedzi, która wówczas wydała mi się całkiem szczerą i rzeczową. Juan przyznał mi rację, że być może rzeczywiście wykorzystuje trudną sytuację innych, ale powinienem zrozumieć, że Żydzi woleli sprzedawać swoje skarby ludziom takim jak my, żyjącym

w wolnym kraju, niż pozwolić, aby im je zabrano, nie dając w zamian nic.

Nie rozumiałem postępowania mojego brata i nie zgadzałem się z nim, ale Juan Luis był, jak by nie było, głową rodziny i nie miałem prawa kwestionować jego poczynań. Jak wiesz, szacunek i lojalność zawsze były w mojej rodzinie najważniejsze. Jednak muszę podkreślić, że gdybym choć przez chwilę podejrzewał, jakiej niegodziwości dopuszcza się mój brat, zapewniam cię, że żadna lojalność rodzinna nie powstrzymałaby mnie od działań przeciwko Juanowi.

Drogi Arturze, jestem przerażony i głęboko zawstydzony. Pewnych rzeczy nie można puścić płazem czy zbagatelizować. Z całego serca pragnę, na ile jest to możliwe, naprawić zło, które uczynił mój brat. Jednak mam bolesną świadomość, że żadne zadośćuczynienie nie przywróci życia tej rodzinie.

Tak jak sugerujesz, musimy niezwłocznie się spotkać.

Oliwia zrozumiała w tym momencie, że oto w jej rękach spoczywa ostateczny dowód, którego Paul Osterman szukał przez tyle lat. Wybrał jej ojca z wielu powodów: ze względu na jego umiłowanie sztuki i kontakty z Maksem Wildenbruchem, na obraz Hodlera, który kiedyś należał do Emanuela Rothenburga, a obecnie wisiał w Kunsthaus w Zurychu, na jego chęć pomocy – aczkolwiek dotychczas wyrażaną jedynie finansowo – organizacjom antyfaszystowskim. Ale przede wszystkim dlatego, że Artur Segal miał największe szanse na dotarcie do Carlosa Ariasa.

Ojciec Oliwii zdołał dotrzeć do Carlosa, który, jak wynikało z listów, był zdecydowany odpokutować w jakiś sposób za zbrodnię brata, lecz nie zdołał tego uczynić, bo wkrótce obaj mężczyźni zginęli w katastrofie lotniczej.

Oliwia, zbyt wyczerpana, aby przemyśleć to, czego się dowiedziała, spakowała zawartość pudełka do torby i wyszła z pomieszczenia, przepaszając kierownika urzędu, że pozostawała tam tak długo. Następnie zadzwoniła do Jerry'ego Rosenkrantza i podziękowała mu za pomoc. Wyjaśniła, że w skrytce znajdowały się jedynie prywatne dokumenty i powiedziała, że zaraz wraca do Brukseli, więc nie znajdzie niestety czasu, aby wstąpić do fundacji na drinka.

Wyszła na Leadenhall Street, gdzie od razu ogarnął ją zgiełk wielkiego miast. Przywołała taksówkę i pojechała na dworzec Waterloo. Po drodze zastanawiała się, czy nie odwołać rezerwacji biletu i nie zatrzymać się na noc w hotelu. Jednak to, co przeczytała, wstrząsnęło nią do głębi, a nagły ciężar brzemienia, które, jak sobie uświadomiła, przejęła od swojego ojca, tak

jej ciążył, że nie była w stanie rozsądnie myśleć. Chciała tylko wrócić do domu. Tam znowu będzie sobą i zastanowi się nad następnym krokiem, który powinna zrobić, nad następnym przystankiem w tej przerażającej podróży do przeszłości. Tam znowu będzie rozsądna, normalna.

Odjechała pociągiem Eurostar o piątej po południu. Zamiast obiadu, którego i tak nie byłaby w stanie zjeść, zamówiła kieliszek białego wina. Pomyślała z żalem, że niepotrzebnie zostawiła samochód na Gare du Midi, gdyż teraz wołałaby upić się do nieprzytomności, zapomnieć o notesie Antona Rothenburga i liście Ostermana i wrócić do domu taksówką. Niestety, torba od Hermesa, leżąca na sąsiednim siedzeniu, w bolesny sposób przypominała Oliwii, o ile w ogóle trzeba jej było o tym przypominać, że ma do spełnienia pewien obowiązek wobec jej ojca, Carlosa Ariasa i dawno zmarłego kolekcjonera obrazów i jego rodziny... A także, jak sobie to teraz uświadomiła, chociaż myśl ta była przerażająca, obowiązek wobec Emily – jej matki, Grace i Franklina Aldrichów oraz pilota helikoptera, którego nazwiska, przyznała ze wstydem, nie mogła sobie przypomnieć.

Ostermanowi uniemożliwiono bliższe zbadanie tej sprawy już po pierwszym spotkaniu z Michaeliem Ariasem. Artur wynajął schowek, gdyż uważał, że należy zachować daleko posuniętą ostrożność. A Carlos napisał, że *pewnych rzeczy nie można puścić płazem czy zbagatelizować*. On i Artur musieli poczynić pewne plany, przygotowywać się do podjęcia dalszych działań, których nigdy nie zdołali zrealizować.

Przeszkodziła im śmierć.

Nie zwróciła uwagi na ciemnowłosego mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce i ciemnych okularach, który wszedł do sąsiedniego przedziału, zajął miejsce i pograżył się w lekturze „Daily Express”. Nie zauważyła go także rano w pociągu z Brukseli do Londynu ani później, gdy wyszła z budynku na Leadenhall Street, a on podążył za nią.

I nie zobaczyła go nawet wtedy, gdy wieczorem wysiadła na dworcu w Brukseli i, nadal wstrząśnięta i nieobecna, skierowała się do budynku SNCB i weszła do podziemnego parkingu.

Wszystko rozegrało się tak szybko; zbyt szybko, by mogła zareagować, zrobić cokolwiek, czy nawet cokolwiek zobaczyć. Usłyszała jedynie odgłos silnika gwałtownie przyspieszającego samochodu i kątem oka zobaczyła błysk reflektorów. Oślepiły ją, więc instynktownie podniosła rękę, osłoniła oczy i usłyszała pisk opon.

I paskudny, głuchy odgłos, gdy uderzył ją błotnik samochodu.

A potem nie było już nic.

Rozdział 22

Oliwia

Obudziła się w izbie przyjęć szpitala Saint-Pierre. Personel odnosił się do niej bardzo uprzejmie. Dostała środki przeciwbólowe. Stwierdzono, że dzięki niezwykleму szczęściu miała tylko złamaną lewą rękę, a poza tym, z wyjątkiem kilku drobnych ranek i siniaków, nie dolegało jej nic poważnego.

– Najpierw – oznajmił jej jeden z lekarzy, młody, wyraźnie zmęczony mężczyzna – wsadzimy pani rękę w gips. Dzisiaj zostanie pani w szpitalu na obserwacji i jeśli wszystko będzie w porządku, rano będzie pani mogła pójść do domu.

Oliwia patrzyła na niego zdezorientowana.

– Zostałam potrącona przez samochód, który się nie zatrzymał, prawda?

– Tak, *mademoiselle* – odparł lekarz. – Wkrótce skontaktuje się z panią policja.

– To dobrze – stwierdziła.

Doktor delikatnie dotknął jej ręki i potrząsnął głową.

– *Vraiment, mademoiselle*, miała pani bardzo dużo szczęścia.

Oliwia musiała się z nim zgodzić; teraz nie miała już najmniejszych wątpliwości, że kierowca samochodu chciał ją zabić.

Wiedziała również, zanim ktokolwiek to potwierdził, że torba od Hermesa zniknęła.

– To typowa ucieczka z miejsca wypadku – oświadczyła dwóm oficerom policji, którzy przyszli w czasie, gdy czekała na założenie gipsu.

– Kierowca nie zatrzymał się – przyznał jeden z policjantów. – Pewnie wpadł w panikę.

– Albo wpadła – dodał jego kolega.

– Twierdzi pani, że nie widziała kierowcy?

– Niczego nie widziałam – sprostowała Oliwia. – Tylko reflektory. Nie umiem podać nawet marki samochodu.

– Być może wkrótce ktoś przyzna się do spowodowania tego wypadku – powiedział oficer. – Czasami tak się zdarza.

– Nie tym razem – stwierdziła Oliwia. – To nie był wypadek.

– Dlaczego pani tak sądzi, panno Segal? – spytał ostro policjant.

Przymknęła oczy, po czym odpowiedziała:

– To bardzo długa historia.

– Chyba powinna pani odpocząć, *mademoiselle*.

Oliwia ponownie otworzyła oczy.

– Co zamierzacie zrobić, aby odszukać ten samochód?

– Niewiele możemy zrobić – odparł drugi oficer, wzruszając ramionami. – Bez opisu...

– Na pewno nie zapamiętała pani żadnego szczegółu? – zapytał jego kolega.

– Było ciemno – zaczęła cicho Oliwia. – Wszystko działa się tak szybko. – Urwała. – Nie było żadnych świadków?

– Nikt się nie zgłosił – powiedział policjant. – Przynajmniej na razie.

– Może potem... – dodał drugi.

Odwrócili się w kierunku drzwi.

– Muszę powiedzieć wam o torbie – przypomniała sobie Oliwia.

– Powiedziała nam pani, panno Segal – zauważył cierpliwie oficer. – Powiedziała pani, że torba zniknęła.

– Została ukradziona – sprostowała Oliwia.

– Możliwe – zgodził się policjant. – Być może jakiś przypadkowy złodziejsek skorzystał z nadarzającej się okazji...

– Została ukradziona przez kierowcę – oświadczyła Oliwia. – Albo przez jego współnika.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Powinna pani odpocząć, *mademoiselle* – powtórzył jeden z nich.

– Ale muszę wam to powiedzieć – upierała się. – Muszę to wyjaśnić.

– Nie dzisiaj – odparł uspokajająco.

– *Ecoutez, mademoiselle* – dodał drugi bardziej stanowczo. – Sama nam pani powiedziała, że odbyła pani dzisiaj dwie długie podróże. Przyznała pani, że jest zmęczona, a pewnie także trochę roztargniona. Wracając z Londynu, wypła pani trochę wina...

– Jeden kieliszek – odparła Oliwia. Starła się, aby jej głos brzmiał stanowczo, ale leki i ból zrobiły swoje; czuła się chora, nie potrafiła zdobyć się na stanowczość, najwyraźniej nie była sobą. – Ale to nie był wypadek.

– Być może ma pani rację, panno Segal – powiedział drugi policjant. – Ale, tak czy inaczej, dzisiaj niewiele już zdziałyśmy. Myślę, że powinniśmy pozwolić pani trochę odpocząć.

– Jak mogę odpoczywać – odrzekła Oliwia – kiedy ktoś usiłuje mnie zamordować?

– Odpocznie pani, gdy będą pani składać rękę – wyjaśnił policjant z uśmiechem.

Drugi przyglądał się jej uważnie. Po chwili zapytał:

– Dlaczego jest pani przekonana, że ktoś umyślnie chciał panią potrafić?

– Już wam to mówiłam. To bardzo długa i paskudna historia – odparła zmęczonym głosem. – A także niewiarygodna. Być może na waszym miejscu też bym nie uwierzyła w tę opowieść. Jej początki sięgają czasów przedwojennych, nazistowskich mordów w Niemczech. A jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to ten, kto dzisiaj próbował mnie zabić, zrobił to samo z sześcioma innymi osobami ponad dwadzieścia lat temu.

Natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd. Słuchali tego, o czym mówiła, z pewnym niedowierzaniem, ale słuchali. Jednak w momencie, w którym padły jej słowa: „mordy nazistów” i „sześć innych osób”, chyba straciła ich życzliwość i zaufanie. Była pewna, że uznali, iż jest w szoku po przeżytych wstrząsach albo ma chorą wyobraźnię, czy też po prostu ciężko przechodzi okres. A najprawdopodobniej, o czym świadczył wyraz ich twarzy, stwierdzili, że mają do czynienia z kompletną wariatką.

Noc spędziła w szpitalu. Spała zaledwie dwie godziny. Obudziła się koło czwartej nad ranem. Nadal była mocno osłabiona i roztrzęsiona, ale postanowiła natychmiast porozmawiać z Jamiem. On jej wysłucha, a ona przekona go, żeby jej uwierzył. Ale przede wszystkim musiała mu wyjaśnić, że od chwili, kiedy dowie się prawdy o Juanie Luisie, on także będzie w niebezpieczeństwie. Zmagając się ze świeżo zagipsowaną, zdumiewająco ciężką ręką i tłumacząc telefonistce, że musi natychmiast zadzwonić za granicę, pomyślała przez chwilę, że być może byłoby lepiej, gdyby Jamie o niczym nie wiedział. Ale myśl ta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Musiał wiedzieć. Carlos na pewno chciałby, aby jego syn poznał prawdę. Jamie miał prawo wiedzieć.

Nie było go w domu, po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Oliwia przypomniała sobie nagle, że Jamie mówił jej, że zamierza spędzić kilka dni w domu w Newport, Louise wyprawiała przyjęcie z okazji urodzin Michaela.

Odłożyła słuchawkę i walcząc z sennością próbowała znaleźć notes z adresami, który oczywiście został skradziony wraz z torbą. Musiała więc zadzwonić ponownie i poprosić telefonistkę o połączenie z centralą międzynarodową, aby zamówić rozmowę z abonentem, którego numeru nie знаła.

Połączenie z Ameryką trwało całe wieki, a kiedy w końcu jakaś kobieta – Louise, Daisy albo gospodyni – odebrała telefon, oznajmiła, że Jamie wyszedł.

– Kiedy wróci? – zapytała Oliwia.

– Przepraszam, ale bardzo źle panią słyszę – powiedziała kobieta.

– Kiedy Jamie wróci do domu? – powtórzyła głośniej Oliwia.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła pielęgniarka. Pokiwała z dezaprobatą głową i wymownym gestem przytknęła palec do ust. Oliwia skinęła głową, czekając na odpowiedź, ale jej rozmówczyni odłożyła słuchawkę na bok i najwyraźniej gdzieś sobie poszła. Oliwia poczuła nagłą ochotę, żeby się rozplakać; to było zupełnie do niej niepodobne, ale czuła, że nie może nad sobą zapanować.

– Cześć, Oliwio – usłyszała w słuchawce głos Michaela Ariasa. – Co słyszać?

– Muszę porozmawiać z Jamiem – powiedziała. – To bardzo ważne.

– Jamie wyszedł.

– Wiem, ale chciałabym wiedzieć, kiedy wróci.

– Dobrze się czujesz? Masz dziwny głos.

– Niezbyt – przyznała Oliwia.

– Jesteś chora? Czy coś się stało? Oliwio, mogę ci jakoś pomóc?

Michael zachowywał się ciepło i przyjaźnie, sprawiał wrażenie naprawdę przejętego i Oliwia była o krok od wyznania mu, że jest w szpitalu, ale w ostatniej chwili coś ją od tego powstrzymało. Coś ją przeraziło w jego uprzejmym głosie, w sposobie mówienia.

– Nie, dziękuję – odparła. – Przekaż tylko Jamiemu, że dzwoniłam i poproszę go, żeby jak najszybciej skontaktował się ze mną.

Odkładając słuchawkę uświadomiła sobie, że Jamie nie będzie mógł się z nią skontaktować, przynajmniej nie w ciągu najbliższych godzin, bo przecież nie ma pojęcia, gdzie jej szukać. Próbowała przypomnieć sobie, co takiego powstrzymało ją od podania Michaelowi numeru telefonu do szpitala, ale nie była w stanie zebrać myśli. Środek przeciwbólowy działał, czuła się ociężała, nie mogła się skoncentrować. Była zmęczona; położyła się, powieki zaczęły

jej ciążyć i w chwilę później już spała.

Śnił jej się Michael w kapeluszu z szerokim rondem i okularach przeciwsłonecznych, tych samych, które nosił w Newport w majowe popołudnie, wiele lat temu. We śnie uśmiechał się do niej ciepło, ale nie mogła dostrzec wyrazu jego oczu schowanych za ciemnymi szklami. Podeszedł do niej, zdjął kapelusz i okulary i wtedy zobaczyła, że jego oczy są ciemne jak węgiel i zimne jak stal. Wyciągnął do niej ręce tak, jakby chciał ją objąć. W tej chwili był tak podobny do Jamiego, że Oliwia poczuła niewyobrażalną ulgę i schroniła się w jego zapraszających ramionach. Tyle że nie obejmował jej Jamie, ale Michael; ścisnął ją coraz mocniej i tak silnie, że krzyknęła z bólu. On jednak coraz bardziej zacieśniał uścisk. Potwornie bolała ją złamana ręka, czuła, jak ten uścisk powoduje, że uchodzi z niej całe powietrze. Chciała go kopnąć, ale to było jeszcze bardziej bolesne, ponownie krzyknęła...

– Panno Segal!

Jeszcze raz próbowała kopnąć napastnika.

– Oliwio!

Usłyszała głos, otworzyła oczy i zobaczyła, że nachyla się nad nią pielęgniarzka z małą latarką w ręce.

– *Qu'estce qui se passe?* [Co się stało] – spytała łagodnie.

Oliwia próbowała się podnieść, ale zagipsowana ręka ciągnęła ją w dół. Z powrotem opadła na poduszki, starając się złapać oddech.

– Miała pani zły sen, prawda?

– Tak.

– Potrzebuje pani czegoś? Może przyniosę coś ciepłego do picia?

– Nie. Dziękuję. – Oliwia potrząsnęła przecząco głową. – To był tylko koszmar. Już wszystko w porządku.

– To przez ten środek przeciwbólowy – wyjaśniła pielęgniarzka. – U wielu ludzi wywołuje koszmary.

– Rzeczywiście – zgodziła się Oliwia. – Czy bardzo hałasowałam?

– Tylko trochę.

– Przepraszam.

– *Ne vous en faites pas, [proszę się tym nie przejmować] mademoiselle* – odparła pielęgniarka, głaszcząc uspokajająco jej zdrową rękę. – Proszę spróbować zasnąć.

Wyszła z pokoju, zamykając cicho drzwi. Oliwia leżała w półmroku z szeroko otwartymi oczami. Prawie każdej nocy śniła, często były to sny szalone. Wierzyła, że dochodzi w nich do głosu jej podświadomość, zachęcając do działania i podejmowania właściwych decyzji. Jednak bardzo rzadko śniły jej się koszmary.

A ten nie pozwalał jej zasnąć, dręczył ją nawet po przebudzeniu.

Michael Arias – starszy kuzyn Jamiego. Michael Arias – tak, jak niegdyś Juan Luis, jego ojciec – głowa rodziny.

Oliwia zaledwie kilka razy widziała Michaela, zwykle podczas spotkań rodzinnych, na które zapraszano także ją i Annie. Nagle doszła do wniosku, że Michael jest człowiekiem o wielu twarzach: dumny, bogaty biznesmen, Amerykanin w trzecim pokoleniu, dobry mąż i ojciec, typowy mieszkaniec Newport – uprzejmy, elegancki, niczym angielski szpieg z lat czterdziestych. I wreszcie senior rodu w hiszpańskim stylu, przypominający nieco dona z mafii. A każda z tych twarzy tak różna od tego, kim był Jamie, chociaż łączyły ich przecież bliskie więzy krwi i wspólne wychowanie. Jamie oczywiście nie był bez skazy, ale w jego charakterze nie było nic złowrogiego, podobnie jak u Petera Ariasa, co Oliwia przyznawała niechętnie. Nienawidziła Petera za to, co zrobił swojemu młodszemu bratu. Peter był łajdakiem i pogardzała nim, ale z pewnością się go nie bała.

Znowu pomyślała o liście, który Carlos Arias napisał do jej ojca: *Pewnych rzeczy nie można puścić płazem czy zbagatelizować*. Dotyczyło to z pewnością rozmowy z jego bratankiem, synem Juana Luisa. Czyż było możliwe, że Carlos dopiero wtedy dowiedział się o jego spotkaniu z Paulem Ostermanem w sześćdziesiątym czwartym roku, kiedy Michael miał zaledwie dwadzieścia jeden lat? O spotkaniu, po którym Osterman został skutecznie zniechęcony do dalszych kontaktów z rodziną?

Oliwia ostrożnie usiadła. Znowu ten dreszcz – to pałace, nieznane do niedawna uczucie, które od czasu włamania opanowywało ją coraz częściej. Strach. Strach, który oddalił ostatnie wspomnienia koszmarne snu, pokonał pragnienie, potrzebę odpoczynku.

W latach, kiedy Georg Brauner plądrował kolekcję Emanuela Rothenburga, Michaela nie było jeszcze na świecie. W takim razie bezsensowne było obciążanie go zbrodniami ojca. Ale Carlos pisał o lojalności i szacunku, które dla Hiszpanów były najważniejsze. Pisał także, na krótko przed śmiercią, że żadne poczucie lojalności nie powstrzymałoby go przed podjęciem odpowiednich działań, gdyby miał najmniejsze podejrzenia co do Juana Luisa. Być może lojalność Michaela wobec zmarłego ojca była silniejsza niż rodzinna duma Carlosa – a może po prostu bał się konsekwencji ujawnienia prawdy.

Gdyby świat dowiedział się o zbrodniach Juana Luisa, nie tylko nazwisko Ariasów zostało by na zawsze zszargane, ale przede wszystkim ich wspaniała, a w latach siedemdziesiątych pewnie już bezcenna kolekcja zostałaby rozparcelowana i prawdopodobnie w całości odebrana rodzinie. Utrata pozycji i fortuny – a wszystko dlatego, że ktoś poczuł, iż należy ratować honor rodziny i odkupić zadawnione winy.

Jeśli rozumowanie Oliwii było właściwe, to w sześćdziesiątym czwartym roku Michael Arias zdołał legalnymi środkami utrzymać Paula Ostermana z dala od rodziny. Ale dwanaście lat później, kiedy zobaczył reakcję swojego wuja Carlosa, jego niedowierzanie i gniew, poczucie winy i determinację, z jaką chciał wynagrodzić krzywdy, być może spowodowały, że Michael poczuł się zmuszony do uciszenia go bardziej radykalnymi środkami. Jego i ojca Oliwii, jedyne go człowieka spoza rodziny, który znał prawdę.

Nie zrobiłby tego. Oliwia poczuła, jak wstrząsa nią złowrogi, lodowaty dreszcz. Nie. Nie mógłby tego zrobić własnemu wujowi, nie mówiąc już o piątce pozostałych, niewinnych ludzi.

Pomyślała o swojej matce Emily, której śmierć była wielką stratą dla wszystkich chorych dzieci, o Grace i Franklinie Aldrichach i o tym, jak ich śmierć wpłynęła na Annie. I o Jamiem – o tym, czego doświadczy, jeśli jej przypuszczenia były trafne.

– Nie – powiedziała cicho. – To zbyt okropne, żeby o tym myśleć.

Ale oczywiście nadal myślała, a im bardziej zastanawiała się nad tą sprawą, tym większy strach ją opanowywał. Niezależnie od tego, czy Michael działał powodowany obsesyjną potrzebą ratowania honoru zmarłego ojca czy jedynie chciwością i dumą, skoro zdecydował się na morderstwo dziewiętnaście lat temu, nie cofnie się przed tym i teraz. Człowiek, który doprowadził do zamordowania własnego wuja, który, jak mówił Jamie, był dla Michaela drugim ojcem, na pewno nie będzie miał oporów przed zabiciem kogoś obcego.

Tępy, pulsujący ból ręki nasilał się. Oliwia zastanawiała się, czy nie zadzwonić po pielęgniarkę i poprosić o tabletkę przeciwbólową, ale stwierdziła, że lek znowu podziała nasennie, a nie mogła sobie pozwolić na sen teraz, gdy jeszcze wszystkiego nie przemyślała. Zamierzała, mimo wszystkich za i przeciw, jak najszybciej skontaktować się z Jamiem, aby mu uświadomić, że jego wuj był szantażystą, złodziejem i mordercą, a jego kuzyn był odpowiedzialny za katastrofę helikoptera, w której zginął Carlos i pozostałe osoby.

Muszę sobie to wszystko ułożyć w głowie, zdecydowała, zaciskając zęby z bólu. Bo jeśli się mylę, utracę Jamiego na zawsze.

Jeszcze raz przemyślała całą historię. Po raz pierwszy natknęła się na list od Carlosa w siedemdziesiątym szóstym, kiedy porządkowała dom po śmierci rodziców. Wtedy nie powiedziała o tym, co znalazła, nikomu oprócz Annie, która radziła jej zapomnieć o całej sprawie. Tak też zrobiła. Wróciła do niej dopiero przy okazji przeprowadzki ze Strasburga do Brukseli. Wtedy pokazała list Jamiemu i poprosiła, żeby zagadnął o niego Michaela. Próbowała sobie przypomnieć, jak Michael zareagował na wieść o liście. Nie była pewna – chyba zgodził się, że jego treść brzmi dziwnie i spytał, czy Oliwia nie znalazła więcej podobnych listów.

A potem, po powrocie z Ameryki, odkryła, że ktoś włamał się do jej mieszkania. Wtedy okazało się, że list zniknął. Następnie były kolejne włamania – do jej biura, do mieszkania Jamiego, Fundacji Artura Segala i do domu Annie.

Oliwia pamiętała, że zwierzyła się wówczas Jamiemu ze swoich podejrzeń. Poprosiła, aby raz jeszcze porozmawiał z Michaeliem, a ten powiedział Jamiemu, że sprawdził prywatne archiwum Carlosa. Przypominała sobie dokładnie, co Michael powiedział jej na ten temat kilka dni później: Oliwia albo ma zbyt bujną wyobraźnię, albo włamanie do jej mieszkania tak ją rozstroiło. W każdym razie robi z igły widły.

Jednak od tamtego czasu Oliwia nie miała już żadnego kontaktu z Michaeliem Ariasem, a w rozmowach z Jamiem nie poruszała sprawy listu. Od maja nic się nie zmieniło. W międzyczasie rozpadł się jej związek z Bernardem i zaczęła wracać do codziennego życia. A potem zadzwonił Jerry Rosenkrantz i powiedział jej o schowku.

Nikomui, nawet Jamiemu, nie powiedziała o swoim wyjeździe do Londynu, skąd więc o tym wiedzieli? Może Michael kazał ją śledzić, a może nawet założył w jej mieszkaniu podsłuch? Nie, to absurdalne!

A może wcale nie? Chodziło przecież o człowieka, który, jak przypuszczała, prawdopodobnie zamordował sześć osób.

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka z nocnej zmiany i powiedziała jej, że lekarz polecił podać Oliwii środek przeciwbólowy, jeśli poczuje się gorzej. Oliwia zgodziła się. Wszystko już przemyślała i teraz chciała pozbyć się chociaż na kilka godzin dręczących myśli.

Dzisiejszej nocy nie mogła już zrobić nic więcej. Nie było sensu ponownie dzwonić do Jamiego, w Stanach było już po północy. A poza tym ból ręki i posiniaczonego ciała powrócił ze zdwojoną siłą; znowu dopadły ją mdłości.

Oliwia połknęła pigułkę, którą przyniosła jej pielęgniarka. Ból powoli zastępowała błoga nieświadomość.

Zasnęła.

Rano wypisano ją ze szpitala. Oliwia tak bardzo chciała jak najszybciej wrócić do domu, że skłamała, gdy lekarz zapytał ją, czy ma kogoś, kto się nią zajmie. Ale w chwili, gdy wyszła poza próg szpitala, strach opanował ją ponownie. Wsiadając do taksówki – samochód nadal stał na parkingu, na którym zostawiła go przed wyjazdem do Londynu – szybko obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy nikt jej nie śledzi. Po przyjeździe na miejsce z niemałym trudem zmusiła się do otworzenia drzwi mieszkania. Żałowała, że nie ma przy niej Bernarda, że nie czeka na nią w jej mieszkaniu, albo że ona nie wprowadziła się do jego pięknego, bezpiecznego domu. Jednak natychmiast po wejściu do mieszkania zobaczyła, że nic się nie zmieniło, nikt nie czai się za drzwiami. Poczula złość, że powodowana strachem gotowa była zwrócić się o pomoc do Bernarda.

Nakarmiła Cleo i uspokoiła ją – biedna kotka najwyraźniej nie czuła się najlepiej, pozostawiona na tak długo, bez wody, pożywienia i opiekunki. Potem przeszła do kuchni i przygotowała dzbanek kawy. Z powodu unieruchomionej ręki najprostsza czynność zajmowała jej dwa razy więcej czasu niż zwykle. Oliwia była przekonana, że prędzej zwariuje niż przyzwyczai się do tej niedogodności. Jednak ogólnie była w niezłym humorze – kawa smakowała wspaniale. Tak dobrze było znowu znaleźć się w domu, wśród znajomych sprzętów, i wylegiwać na własnej wygodnej kanapie.

O pierwszej po południu stwierdziła, że nie wytrzyma już dłużej i sięgnęła po telefon. Uświadomiła sobie w tym momencie, że być może jej rozmowy są podsłuchiwane, ale w tym wypadku nie miało to znaczenia. Jamie był przecież w domu Michaela.

– Rezydencja Ariasów. – Telefon odebrała gospodyni.

– Mówi Oliwia Segal, ja już dzwoniłam. – Starła się, aby jej głos brzmiał normalnie, tak jakby nawykła do dzwonienia do ludzi o siódmej rano. – Czy mogę prosić Jamesa Ariasa?

– Chwileczkę, panno Segal – odparła kobieta.

„Chwileczka” zmieniła się w minutę.

– Dzień dobry, Oliwio. To znowu ja – usłyszała głos Michaela.

Wzięła szybki oddech.

– Cześć, Michael. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Czy Jamie już wstał?

– Nie jest znowu tak wcześnie – zauważył Michael kurtuazyjnie. – Jamie wybrał się z Louise na przejażdżkę konną, ona uwielbia wstawać wcześnie.

– Kiedy wrócą?

– Nie mam pojęcia. – Urwał. – Czy na pewno nie mogę ci w niczym pomóc, Oliwio?

– Nie. Dziękuję, Michaelu.

– Dzwonisz z domu? Może powiem Jamiemu, żeby się do ciebie odezwał?

– Tak, proszę, jeśli byłbyś tak uprzejmy – zgodziła się Oliwia.

– Oczywiście, zrobię to.

Próbowała wziąć się w garść. W takich chwilach z pewnością należało zająć się czymś praktycznym, użytecznym. Oliwia zadzwoniła więc do miejscowej pomocy drogowej, ktoś musiał przyprzejechać z parkingu jej samochód. Wzięła dwie tabletki przeciwbólowe, które przepisano jej w szpitalu, i kilka minut po drugiej wyszła z zamiarem zrobienia zakupów.

Powoli, krzywiąc się z bólu, ruszyła w górę rue Ernest Allard, po czym skręciła w rue Watteau. Szła jej całkiem nieźle. W znajomym otoczeniu, na swoim gruncie, była spokojniejsza i powoli wracała do siebie. Kupiła świeży chleb, kawę, jajka, mleko, butelkę wina, pokarm dla Cleo oraz południowe wydanie „Le Soir”, i skierowała się w stronę domu.

W połowie drogi była już pewna, że ktoś ją śledzi. Był to mężczyzna, ciemnowłosa, krępy, w czarnej skórzanej kurtce. Najpierw zauważyła jego odbicie w sklepowej witrynie. Zatrzymała się na chwilę przed wystawą galerii zajmującej się sprzedażą zabytkowych luster.

Mężczyzna również się zatrzymał. Potem ponownie go ujrzała, gdy przystanąła na chwilę, aby dać odpocząć zdrowej ręce, w której niosła torbę z zakupami. Nie mogła przyjrzeć mu się uważnie, nie odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy, ale skręcając w rue Charles Hanssens, zdołała, z bijącym sercem, zauważyć kątem oka, że mężczyzna nosi ciemne okulary i jest gładko ogolony.

Przyspieszyła kroku. W pewnym momencie obejrzała się za siebie i zobaczyła, że mężczyzna stoi na rogu ulicy. Wkładając trzęsącymi się rękoma klucz do zamka, czuła, nie, wiedziała, że jest obserwowana, a co gorsza, intruz wcale się z tym nie krył.

Po wejściu do mieszkania szybko zamknęła drzwi na wszystkie zamki, sprawdziła okna i drzwi do ogrodu, po czym zadzwoniła na policję.

W niecałe dziesięć minut później do mieszkania weszli dwaj oficerowie policji: kobieta i mężczyzna.

– Gdzie jest ten mężczyzna? – spytał policjant.

– Był tuż koło mojego domu – odparła Oliwia. – Stał na rogu rue Ernest Allard.

– Twierdzi pani, że ją śledził? – spytała kobieta.

– Zdecydowanie tak.

Wyszli na zewnątrz i wrócili po pięciu minutach.

– Teraz nikogo tam nie ma – oznajmił oficer.

Rozejrzeli się po mieszkaniu, wyszli do ogrodu, zajrzeli za ogrodzenie, nigdzie ani śladu prześladowcy. Wiedząc, że Oliwia miała wczoraj wypadek, pomogli przygotować jej kawę i usiedli na chwilę w salonie.

– On tam był – upierała się Oliwia nieco uspokojona. – Bez dwóch zdań, śledził mnie.

– Niestety, takie rzeczy się zdarzają – stwierdził policjant. – Niektórych podnieca straszenie nieznajomych kobiet.

– To było coś więcej – rzekła Oliwia. – Próbowałam powiedzieć o tym waszym kolegom zeszłego wieczoru.

– Tak, wiemy – przytaknęła policjantka.

Oliwia spojrzała na nią srogo.

– Stwierdzili pewnie, że jestem wariatką?

– Oczywiście, że nie – zaprotestowała łagodnie kobieta. – Powiedzieli, że była pani bardzo zdenerwowana, co nie może dziwić, zważywszy na to, co się pani przytrafiło.

– Ale i tak uznali pewnie, że wpadłam w panikę z powodu wypadku?

– Rozważamy wszystkie możliwości – wtrącił mężczyzna. – Zawsze tak postępujemy, *mademoiselle*.

– Dlaczego? – zdziwiła się Oliwia. – Przecież nie było żadnych świadków.

– To prawda, mamy pewne trudności – przyznała kobieta szczerze.

– Więc nic nie robicie – stwierdziła Oliwia ze złością.

– Musi być pani naprawdę przerażona – zauważył policjant.

– Jestem. Gdybyście znali mnie choć trochę, wiedzielibyście, że zazwyczaj tak się nie zachowuję. – Oliwia odstawiała filiżankę, czując, że jej prawa dłoń zaczyna drżeć. – Nikt nie chce mi uwierzyć. Chyba nie powinnam was za to winić, to rzeczywiście nieprawdopodobna historia, ale mimo wszystko... przykro mi, ale mam do was żal. To dzieje się naprawdę, w tej chwili, i przytrafia się właśnie mnie...

Przerwała. Ogarnęło ją uczucie rezygnacji – wiedziała, że nie ma sensu tłumaczyć im wszystkiego. Bez dowodów nikt jej nie uwierzy. A wszystkie dowody, wszystko, co mogłoby wyjaśnić całą sytuację, zniknęło wraz ze skradzioną torbą.

– Czy ma pani kogoś, kto mógłby się panią zająć? – spytał oficer.

– Nie. – Oliwia ponownie pomyślała o Bernardzie, ale stwierdziła, że nie może go w to mieszać. – Chyba nie.

– Być może – zasugerowała ostrożnie kobieta – powinna pani przeprowadzić się do hotelu, spędzić tam kilka nocy, dopóki nie poczujesz się pani na tyle silna, aby wrócić do domu.

– Nie mogę – odparta. Spojrzała na ich zaintrygowane twarze, ale wiedziała, że nie może ich za nic winić. – Czekam na rozmowę ze Stanami. Ma dzwonić przyjaciel, to bardzo ważne.

Policjanci spojrzeli po sobie, najwyraźniej podjęli jakąś decyzję.

– Spróbujemy zorganizować jakiś patrol – oświadczył policjant.

– Spróbujecie? – Oliwia bezskutecznie starała się ukryć sceptycyzm.

– Zorganizujemy – sprostował oficer. – Najwidoczniej ma pani powody, żeby się bać, *mademoiselle*, po tym, co wydarzyło się na parkingu.

– Ten mężczyzna tu był – powtórzyła Oliwia.

– Wierzymy pani – powiedziała policjantka.

Jeszcze raz obeszli całe mieszkanie i kamienicę, sprawdzili wszystkie zamki i zapewnili Oliwię, że wyślą patrol samochodowy, aby raz na godzinę przejeżdżał jej ulicą. Jeśli zdarzy się coś nowego, dodali, Oliwia powinna natychmiast skontaktować się z miejscowym komisariatem. Postarają się zapewnić jej bezpieczeństwo, a na razie powinna zadbać o siebie i dużo wypoczywać.

Oliwia podziękowała im za pomoc, zamknęła drzwi na klucz i, zabierając po drodze Cleo, wróciła do salonu. Policja miała jak najlepsze intencje. Nie sądziła, aby chcieli ją okłamywać. Z pewnością podczas rutynowego patrolu co pewien czas zajrzą na jej ulicę i rzucać okiem na dom. Ale była świadoma, że, podobnie jak ich koledzy poprzedniej nocy w szpitalu, także ci nie wierzyli, że ktoś usiłuje ją zabić.

Wiedziała również, że jeśli mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce zechce ją dopaść, będzie miał na to wystarczająco wiele czasu między kolejnymi patrolami.

Reszta popołudnia upłynęła jej leniwie. Próbowwała się czymś zająć: czytała, oglądała telewizję, trochę pracowała i spała. Ale każde zajęcie przerywała po paru minutach; wstawiała, podchodziła do okna i obserwowała ulicę. Dwa razy zauważyła radiowóz, który wolno mijał jej dom, i w tych krótkich momentach czuła się bezpieczna.

Czasami zastanawiała się nad następnymi krokami, które powinna wykonać. Czuła się podle, bolała ją ręka, a na klatce piersiowej i nogach wykwitwały coraz to nowe sińce niczym czarne róże. Szok i strach nadal trzymały ją mocno w swoich szponach. Bez końca roztrząsała znane fakty, próbując dojść prawdy. Jasne było tylko jedno – skoro nie miała już dokumentów Ostermana, a Jamie tkwił niedostępny w, czego była już prawie pewna, siedzibie wroga, mogła zwrócić się tylko do jednej osoby.

Nic w listach Carlosa i Artura nie wskazywało na to, że podzielili się swoim sekretem z Franklinem Aldrichem, jednak mimo to ktoś włamał się do domu Annie, a poza tym jej ojciec był jednym z prawników Artura. Ponadto Richard Tyson, partner Franklina, powiedział Oliwii, że po śmierci Aldricha wszystkie jego dokumenty zostały przesłane do biur w Nowym Jorku.

– Jeśli córka pana Aldricha zechce się z nimi zapoznać – oznajmił jej Tyson oficjalnym tonem – oczywiście umożliwimy jej to.

A teraz właśnie Annie była tam na miejscu, w Nowym Jorku.

Istniała jednak pewna, naprawdę przerażająca, przeszkoda. Jeśli Artur przekazał Franklinowi Aldrichowi kopie notatnika Antona Rothenburga, dokumentów Ostermana i swojej korespondencji z Carlosem i jeśli Annie uda się odnaleźć te papiery, a Michael Arias dowie się o tym, Annie także będzie w niebezpieczeństwie.

Ostateczną decyzję podjęła, gdy znowu zobaczyła tego mężczyznę. Dziesięć po piątej ponownie podeszła do okna i on tam był. Stał dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Oliwia głośno wciągnęła powietrze i instynktownie rzuciła się na podłogę, zatykając usta dłonią. Kiedy w końcu zdołała się opanować i zaryzykować jeszcze jedno spojrzenie, mężczyzny już nie było. Wiedziała, że nie ma sensu dzwonić na policję, intruz znowu rozplynął się bez śladu i nie mogła udowodnić, że tam był. Pomyślała, że mogłaby przygotować, aparat fotograficzny, mieć go pod ręką i gdy mężczyzna powróci, zrobić mu zdjęcie, wreszcie miałyby jakiś dowód dla policji. Niestety, po sprawdzeniu aparatu i przeszukaniu całego mieszkania stwierdziła, że nie ma żadnej kliszy, a do sklepu na pewno nie odważy się wyjść. Znowu się bała, była naprawdę przerażona. Już po włamaniu gotowa była poświęcić niepowtarzalny klimat, wygląd i oświetlenie mieszkania na rzecz solidnych krat w oknach i teraz z całego serca żałowała, że tego nie zrobiła. Jej strach udzielił się nawet małej Cleo. Kotka kręciła się niespokojnie po mieszkaniu i jak pies cały czas trzymała się w pobliżu swojej pani.

Naprawdę mogła zrobić już tylko jedno – zadzwonić do Annie.

Rozdział 23

Usiadła z Cleo na kolanach na środku salonu, na wyblakłym jedwabnym dywaniku modlitewnym, który kupili z Bernardem w styczniu na aukcji. W rękę trzymała czarny telefon komórkowy Ericssona, z którego zamierzała zadzwonić do hotelu St. Regis. W Brukseli było osiem po piątej po południu, w Nowym Jorku tuż po jedenastej przed południem. Edward już pewnie wyszedł w swoich sprawach, a Annie najprawdopodobniej była z nim.

– Poproszę z apartamentem państwa Thomas – powiedziała do słuchawki, wstrzymując oddech.

Trzy długie sygnały.

– Halo?

– Annie? Dzięki Bogu!

– Liwi? Świetnie, że dzwonisz. Właśnie miałam wyjść i spotkać się z Edwardem na lunchu. – Przerwała. – Liwi, co się stało?

Cleo wysunęła pazurki, drapiąc Oliwię do krwi. Oliwia przymknęła na chwilę oczy, po czym otworzywszy je, powiedziała:

– Bardzo dużo, Annie. – Zawiesiła głos. – Naprawdę, żałuję, że muszę ci o tym mówić, ale nie mogę skontaktować się z Jamiem. Tylko tobie mogę zaufać, sama nie dam sobie rady.

– W porządku – odparła Annie zaniepokojona. – Nie jesteś sama.

Oliwia opowiedziała jej wszystko.

Annie usiłowała pogodzić się z potwornością historii przekazanej jej przez Oliwię. Gdyby opowiadał ją ktoś inny, zapewne nie uwierzyłaby w ani jedno słowo. Ale Oliwia była jedną z najuczciwszych osób, jakie Annie знаła, i nigdy nie dawała się ponieść wyobraźni. A poza tym, niełatwo było ją przestraszyć. Prawdę mówiąc, Annie nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała przyjaciółkę przerażoną.

Powiedziała Annie wszystko, starając się mówić spokojnie, składnie i rzeczowo, a potem poprosiła ją o zrobienie dwóch rzeczy. Po pierwsze, Annie miała skontaktować się z Jamiem w Newport i, na ile będzie to możliwe, postarać się, aby nikt nie podsłuchał ich rozmowy. Poza tym miała jak najszybciej i w miarę dyskretnie spróbować dostać się do prywatnych dokumentów swojego ojca.

Annie odłożyła słuchawkę i odruchowo zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Przez chwilę pomyślała, że dobrze byłoby odszukać Edwarda i powiedzieć mu o wszystkim, ale szybko odrzuciła tę myśl. Edward nie pozwoli jej na podjęcie takiego ryzyka, a sam nie może w jej zastępstwie sprawdzić archiwum ojca. Wobec tego, po prostu zostawiła mu wiadomość, że coś jej wypadło, nie może przyjść na lunch, i spotka się z nim później.

Nadal nieco otepiała, dziwnie spokojna, jakby ktoś inny kierował jej poczynaniami, podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do rezydencji Ariasów w Newport. Powiedziano jej, że Jamie wyszedł, więc szybko rozłączyła się, zanim do telefonu zdążył podejść Michael lub ktoś inny.

Usiadła na brzegu wielkiego hotelowego łóżka.

To nie może dziać się naprawdę.

Usiłowała uporządkować myśli dotyczące tej historii, przypominając sobie kolejne fakty. Zbrodnie wuja Jamiego, zamach na życie Oliwii, włamania i katastrofę helikoptera, która, jak się teraz okazało, być może wcale nie była przypadkowa.

Zastanawiała się, co może jej grozić, jeśli się w to zaangażuje. Pomyślała o Sophie, Williamie i Lizie, nie mówiąc już o Edwardzie. Stwierdziła, że podejmowanie takiego ryzyka jest z pewnością okropnie nieodpowiedzialne, a poza tym nie była osobą, która zwykła angażować się w niebezpieczne posunięcia...

Ale potem pomyślała o rodzicach, o tym, jak bardzo jej ich brakowało przez te wszystkie lata. Jeśli Oliwia nie myliła się, to zostali zamordowani. O Boże! Zamordowani!

Skoro więc mogła pomóc, jeśli w dokumentach jej ojca znajdował się dowód, którego szukali, to nie może pozwolić, żeby Oliwia albo Jamie sami stawili czoło tej historii.

Annie z drżeniem wkroczyła – a była kobietą elegancką i delikatną, więc nigdy przedtem nie zdarzało jej się „wkraczać” gdziekolwiek – do biur kancelarii prawnej Aldricha przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy. W torebce miała paszport, na wypadek gdyby w biurach nie było nikogo, kto by ją znał, lub potwierdził jej tożsamość.

– Nazywam się Ann Aldrich Thomas – oznajmiła recepcjonistce – i muszę natychmiast dostać się do prywatnych archiwów mojego ojca. – Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, dodała: – Chciałabym, żeby ktoś zadzwonił do Richarda Tysona w Londynie, który potwierdzi moją tożsamość i umożliwi mi dostęp do tych akt.

Recepcjonistka otworzyła usta, ale zanim zdołała coś powiedzieć, Annie przerwała jej.

– Mówiąc natychmiast – powiedziała szybko – mam na myśli teraz.

Wszystko tam było. Przypuszczenia Oliwii sprawdziły się Franklin miał kopie wszystkich dokumentów. Do godziny czwartej Annie przejrzała dokumenty, które ojciec przechowywał w prywatnych aktach: korespondencję Artura Segala z Carlosem Ariasem i odbitki stron notesu Antona Rothenburga. Była głęboko wstrząśnięta. Nigdy do tej pory nie czuła się tak silnie poruszona i tak bardzo umotywowana do działania.

Obładowana papierami wróciła do wyłożonej drewnem recepcji. Zobaczyła, że czeka tam na nią Eleanor Cohen, współpracowniczka Franklina.

– Przepraszam, że mnie nie było, gdy pani przyszła, pani Thomas.

– Nic nie szkodzi – odparła Annie, uśmiechając się do recepcjonistki. – Zajęto się mną bardzo dobrze.

– Czy znalazła pani wszystko, czego szukała? – zapytała Eleanor.

– Niemal wszystko. – Annie uśmiechnęła się przepaszająco. – Chciałabym skorzystać z kserokopiarki.

– Poproszę, żeby ktoś to pani skopiował.

– Dziękuję, ale wolę zrobić to sama – powiedziała Annie.

Zrobiła dwa komplety kopii, a oryginały zwróciła do archiwum. Następnie poprosiła Eleanor, aby schowała jeden pakiet dokumentów w sejfie firmy, drugi zaś zabrała ze sobą.

– Proszę przekazać go wraz z listem mojemu mężowi, w przypadku jeśli... – zwróciła się do Eleanor.

– W jakim przypadku, pani Thomas? – spytała kobieta.

– Gdybym, co jest wysoce nieprawdopodobne, nagle zniknęła lub gdyby przydarzył mi się jakiś wypadek. – Zobaczyła zmieszanie na twarzy Eleanor i spróbowała się uśmiechnąć. – To tylko środek ostrożności. Obie te ewentualności, jak powiedziałam, są wysoce nieprawdopodobne.

– Mam nadzieję – stwierdziła prawniczka.

– Mogę prosić o jeszcze jedną przysługę? – zapytała Annie z wahaniem.

– Oczywiście.

– Muszę wykonać parę telefonów. Mogę zapłacić kartą kredytową.

- To nie będzie konieczne – odparła Eleanor.
- Jeśli pani tak uważa... – rzekła Annie – ale to będą rozmowy międzynarodowe.

Oliwia chwyciła za telefon. W Brukseli było piętnaście po dwudziestej drugiej.

- Liwi, to ja. Mam wszystko.

Oliwia przymknęła na moment oczy.

- Dzięki ci, Boże. Czytałaś to?

- Większość tak, choć nie miałam wiele czasu.

- Więc nie uważasz, że oszalałam?

- Nigdy tak nie myślałam. – Przerwała. – Liwi, to jest takie ohydne!

- Rozmawiałas z Jamiem?

– Jeszcze nie. Próbowałam dwukrotnie i za każdym razem mówili mi, że wyszedł. Ale myślę, że masz rację, ktoś nie chce dopuścić, żebyśmy się z nim skontaktowały.

- Michael – stwierdziła Oliwia. – Ty też uważasz, że to Michael, prawda?

- Albo Peter.

– To nie w jego stylu, Annie. A poza tym był jeszcze nastolatkiem, kiedy Osterman spotkał się z Michaeliem w sześćdziesiątym czwartym.

- Jamie zawsze mówi, że to Michael jest głową rodziny.

- To Michael. Jestem tego pewna – oznajmiła Oliwia. – I co teraz?

– Mam pewien pomysł – rzekła Annie. – Jest ktoś, kto może nam pomóc przedrzeć się do Jamiego.

- Kto?

- Nie mogę ci teraz nic powiedzieć, Liwi. – Zaraz ucieknie mi samolot.

– Dokąd lecisz? – zaniepokoiła się Oliwia. – Annie, co ty chcesz zrobić? Nie możesz działać na własną rękę!

– I nie zamierzam – odpowiedziała Annie spokojnym tonem. – Zadzwoń później, Liwi, jak tylko będę wiedziała coś więcej.

- Annie, zaczekaj...

Oliwia usłyszała stuk odkładanej słuchawki. Patrzyła bezmyślnie na mały telefon, który nadal trzymała w dłoni.

- Cholera – powiedziała. – Cholera!

W rezydencji Ariasów w Newport trwały ostatnie przygotowania do uroczystości z okazji urodzin Michaela. Louise Arias uwielbiała wydawać przyjęcia. Robiła to z dużym zaangażowaniem i nigdy nie żałowała na to pieniędzy, nawet w czasach studenckich, gdy wynajmowała z koleżankami mały domek w Cambridge. Ale od pierwszej chwili, gdy ujrzała przepiękną, położoną na szczycie urwiska rezydencję swojego męża, wiedziała, że dopóki będzie mieszkać w tym domu, nie zmarnuje żadnej okazji, żeby je urządzać. Z uwagi na jej niezwykle umiejętności, nawet w Newport w środku sezonu towarzyskiego wszyscy z ochotą i przyjemnością przyjmowali zaproszenia na organizowane przez nią spotkania.

Jamie nie był w nastroju do zabawy. Właśnie podpisał umowę z Korda Shoe Corporation, wartą co najmniej dziesięć milionów dolarów rocznie, i niechętnie opuszczał JAA, gdzie Maggie i Dawid mieli lada chwila przedstawić mu najnowsze pomysły dotyczące kampanii reklamowej tej firmy. Poza tym paskudnie się przeziębił i z przyjemnością zaszyłby się teraz we własnym mieszkaniu – popijał gorący grog, oglądał stare filmy, a może nawet poplotkował przez telefon z Oliwią. Oliwia była najlepszym lekarstwem na jego zły humor. Jak nikt potrafiła spowodować, że zniknęły wszelkie problemy. A poza tym obaj z Michaeliem byli wściekli na Petera, który uparł się, aby na dwudniowe uroczystości, które miały odbywać się w ścisłym gronie rodzinnym, przywieźć swoją nową kochankę, Angie Rogos.

– Peter to największy skurwiel, jakiego znam – oświadczyła Daisy pierwszego dnia. Była lekko pijana po lunchu, który zjedli na trawniku za domem. Podczas posiłku Angie, ubrana w długą do kostek, ale prawie zupełnie przezroczystą sukienkę z woalu, tańczyła wokół swojego kochanka, zupełnie ignorując obecność Daisy i ich synów.

– Chyba masz rację – zgodził się Jamie.

– Oczywiście, mnie jest łatwiej niż tobie – ciągnęła Daisy. – Michael i Louise odnoszą się do mnie bardzo uprzejmie, aczkolwiek kiedy Peter ukradł ci Carrie, czułam, że są strasznie skrepowani i ledwie znoszą mój widok. Teraz jednak, gdy Peter zachowuje się coraz paskudniej, zauważyłam, że Louise za członka rodziny uważa bardziej mnie niż jego.

– Dlaczego uważasz, że tobie jest łatwiej niż mnie? – spytał Jamie.

– Bo łatwiej jest pogodzić się z faktem, że ktoś porzucił cię, gdyż się naprawdę zakochał, czyż nie tak? – Przerwała. – A poza tym, teraz, kiedy wiem, że jesteś uroczym człowiekiem, zupełnie niepodobnym do brata, wiem również, że coś ci podpowiada, że powinieneś współczuć

Carrie, ale to nieprawda.

– Wcale tak nie myślę – zaprotestował Jamie.

– Wiesz także, iż ona jest przekonana, że porzucenie ciebie dla Petera było jej największym błędem – zauważyła Daisy i uśmiechnęła się smutno. – Znacznie większym od tego, który popełnił Peter, zostawiając mnie.

– Carrie tak nie myśli.

– Ależ tak. Sama mi to mówiła. No, może niezupełnie tak to wyraziła, ale powiedziała, że ty jesteś lepszy od Petera. – Skrzywiła się. – Aczkolwiek dodała, że nie sprawdziła jeszcze kuzyna Michaela.

– Chciałbym zobaczyć, jak to robi – stwierdził Jamie, myśląc o Louise.

– Louise chciała ją tutaj zaprosić, ale Michael stwierdził, że byłoby to dość kłopotliwe.

– I dzięki Bogu, że tego nie zrobiła – odparł Jamie.

Tak czy inaczej, wcale nie miał ochoty na to przyjęcie.

Annie zostawiła w St. Regis wiadomość dla Edwarda. Napisała, żeby się o nią nie martwił. Potem odleciała z lotniska La Guardia do Bostonu. Tam, aby uniknąć okropnych korków, przesiadła się na prom kursujący wzdłuż wybrzeża. Z przystani wzięła taksówkę, która wkrótce przywiozła ją do celu.

Dwadzieścia dwie minuty po szóstej pukała do przeszklonych drzwi biura Beaumont-Arias przy Newbury Street. W myślach modliła się, aby Carrie Arias jeszcze tam była. Jamie zawsze mówił, że Carrie lubi pracować do późna, twierdząc, że jest w stanie zrobić najwięcej dopiero wtedy, gdy płatna pomoc, jak całkiem otwarcie nazywała swoich pracowników, pójdzie sobie do domu.

Osiem razy ponawiała pukanie, za każdym razem robiła to coraz silniej i głośniej. Właśnie miała zrezygnować, gdy zza rogu korytarza wyłoniła się Carrie, odziana w szykowny kostium od Jean Muir. Annie nie mogła nie zauważyć, że blond włosy Carrie były znacznie jaśniejsze, niż gdy widziała ją ostatni raz.

– Nie umiesz, do cholery, czytać?! – Jej wielkie błękitne oczy rozwarły się szerzej, gdy zobaczyła Annie. – Co ty, do diabła, tu robisz? – Nie uczyniła żadnego ruchu, żeby otworzyć drzwi; po prostu stała tam i mierzyła Annie groźnym wzrokiem.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała Annie.

– A dlaczego miałabym z tobą rozmawiać? – zapytała Carrie.

– Proszę – nalegała Annie. – Otwórz drzwi.

– Już nieczynne – oznajmiła Carrie. – Jeśli chcesz się umówić na spotkanie, skontaktuj się z moją asystentką.

– Carrie, to bardzo ważne – rzekła Annie, podkreślając ostatnie słowo. – To naprawdę pilne. To sprawa życia lub śmierci.

Carrie podeszła odrobinę bliżej drzwi.

– Czyjego życia lub śmierci? – spytała.

Annie myślała nad odpowiedzią na to pytanie przez całą drogę z Nowego Jorku. Doszła do wniosku, że Carrie Arias można przekonać tylko mówiąc całą – nawet niebezpieczną – prawdę.

– Oliwii – powiedziała.

Carrie otworzyła oczy jeszcze szerzej; chciała wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymała. Podeszła blisko szklanych drzwi.

– A którą możliwość powinnam popierać, Annie? Muszę stwierdzić, że zdecydowanie bardziej opowiadam się za śmiercią.

Annie zdobyła się na nieznaczny uśmiech.

– Rozumiem cię. – Przerwała. – Proszę, otwórz – dodała, już bez uśmiechu. – Proszę.

Carrie odwróciła się, podeszła do biurka recepcjonistki, otworzyła szufladę i wyjęła z niej klucz.

– Potrzebujesz mojej pomocy, tak? – spytała głośno, tak żeby Annie mogła ją usłyszeć przez zamknięte drzwi.

– Tak – zgodziła się Annie – ale być może nie takiej, o jakiej myślisz.

Z wyreżyserowaną powolnością Carrie otworzyła drzwi.

W Brukseli, w czwartek, pół godziny po północy, Oliwia leżała z Cleo przy boku w łóżku. Środki przeciwbólowe nieco ją otepliały, ale była zbyt podenerwowana, aby zasnąć, i nie chciała, żeby leki całkowicie zwały ją z nóg.

Zeszłego wieczoru kilkakrotnie widziała patrol policyjny przejeżdżający ulicą; raz nawet policjant zadzwonił do jej drzwi, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wtedy uspokoiła się na dobre, zwłaszcza że mężczyzna w skórzanej kurtce już się nie pojawił. Zaczęła nawet

zastanawiać się, czy mimo wszystko to nie był po prostu zbieg okoliczności. Może mężczyzna rzeczywiście był jakimś zbrojcem, którego podniecało straszenie bezbronych kobiet – a z ręką na temblaku na taką wyglądała. Może rzeczywiście niepotrzebnie panikuję? – pomyślała.

Teraz jej zdenerwowanie wynikało nie tyle z własnego strachu, co z obawy o Annie. Tak czy inaczej, wkrótce będzie musiała zasnąć. Była krańcowo wyczerpana.

– Chyba oszalałaś – stwierdziła kilka minut później Carrie. Siedziały z Annie w jej gabinecie, którego wystrój był dowodem dobrego smaku i elegancji wyniesionej z Beacon Hill. Całą ścianę zajmowała szafka pełna nagród i fotografii.

– Wiedziałam, że tak powiesz – odrzekła Annie spokojnym tonem. – Ale być może zmienisz zdanie, gdy usłyszysz wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Carrie odchyliła się na oparcie krzesła, całkowicie rozluźniona. Doskonale pamiętała ich ostatnie spotkanie. Wiedziała, że nigdy nie zapomni i nie wybaczy im poniżenia i upokorzenia, jakie spotkało ją po klęsce „Beztrioskich lat”. Ale jednocześnie była świadoma, że intrygę tę uknuła Oliwia Segal, a nie Annie Thomas, a teraz wiadomość, że Oliwia jest w tarapatkach i to, że Annie błaga ją o pomoc, brzmiały dla niej jak najśłodsza muzyka.

– Jeśli sądzisz – zwróciła się do Annie – że to, co mi powiesz, przekona mnie do zrobienia czegokolwiek w sprawie Oliwii, to nie tylko jesteś szalona i masz tupet, ale po prostu jesteś beznadziejnie głupia.

Annie siedziała wyprostowana.

– Słyszałam, że rozstaliście się z Peterem.

– Skoro cię to interesuje, to wiedz, że tak. To już prawie pewne. – Jej głos brzmiał teraz jeszcze chłodniej i wyraźni dało się w nim słyszeć bostoński akcent.

– Wcale mnie to nie interesuje – przyznała Annie. – Ale przypuszczam, że będziesz walczyć o swoje podczas rozwodu.

Carrie zmrużyła oczy.

– To naprawdę nie twój interes.

– I rozumiem – ciągnęła Annie, nie zwracając uwagi na komentarz Carrie – że zechcesz oskubać go do czysta. A Bóg mi świadkiem, że na to zasługuje.

– Tak naprawdę, to chcesz powiedzieć, że i ja na to zasługuję, prawda?

– W tej chwili – stwierdziła Annie – to, na co ty zasługujesz, zupełnie mnie nie obchodzi.

– Zdumiewasz mnie – oznajmiła Carrie. – Mówię serio, zdumiewasz mnie. Zawsze uważałam, że jesteś taką szarą myszką, łagodną, głupiotką przyjaciółeczką Jamiego. Nawet wtedy, gdy razem z Oliwią przyszedłś to hotelu Carlton-Ritz i wygłosiłaś swoją mowę, wiedziałem, że nadal trzymasz się spódnicy Oliwii. Co się więc teraz stało, że stałaś się taka odważna?

Annie czuła dziwny spokój.

– Nawet mysz musi czasami zaryczeć lwim głosem – stwierdziła. – Mam broń, którą możesz pokonać Petera, Carrie. Broń, o jakiej nawet nie śniłaś.

– Wystarczą mi te argumenty, które już mam – oświadczyła Carrie z przekonaniem. – Zważywszy, że mój mąż prowadzi się ze swoją kochanką po całej Nowej Anglii i po Manhattanie.

– I dwanaście kochanek nie przebije tego, co ja mogę ci dać, Carrie – powiedziała Annie. – Choćby miał z każdą z nich kupę nieślubnych dzieci, moje argumenty są lepsze.

Po raz pierwszy Carrie okazała zainteresowanie sprawą.

– No to mów – zgodziła się.

Kwadrans po siódmej Jamie miał już na sobie ten cholerny smoking. Louise nalegała, aby wszyscy goście zapraszani na jej przyjęcia nosili stroje wieczorowe. Michael stwierdził nawet, że gdyby jej pozwolono, kazałaby wszystkim mężczyznom nosić białe fraki. Jamie spojrzął na zegarek i pomyślał, że może zdąży jeszcze zadzwonić do Oliwii. Nie rozmawiali ze sobą dobrych parę dni, ponieważ aparat telefoniczny w jego pokoju był uszkodzony, i nagle zatęsknił za jej głosem. Pomyślał, że łatwiej będzie mu przetrwać długi wieczór z rodziną, jeśli przedtem przez kilka minut porozmawia z przyjaciółką.

Zszedł na dół po schodach z pięknie rzeźbioną balustradą, mijając po drodze ponury obraz Puvis de Chavannesa. Michael powiedział mu kiedyś, że jego ojciec, Juan Luis, na rok przed śmiercią osobiście pomagał go wieszać. Dzisiaj Louise ustawiła na stoliku pod obrazem wielką wazę z liliami. Jamie popatrzył na hol i przez moment pomyślał, że dekoracja domu bardziej przypomina przyjęcie weselne niż urodziny dorosłego mężczyzny. Jednocześnie jednak przypomniał sobie, że Louise twierdziła, iż wszystkie przyjęcia, niezależnie od ich *raison d'etre*, [racja bytu] są domeną kobiet. „Kobiety – tłumaczyła mu – lepiej od mężczyzn wiedzą, jak sprawić, aby ludzie poczuli się miło, beztrudnie i swobodnie. Lepszy w tym są chyba jedynie

homoseksualiści, ich przyjęcia są po prostu genialne".

Wszedł do biblioteki z zamiarem skorzystania z telefonu. Usiadł na chwilę, czując, że jego biednej, zmęczonej katarem głowie dobrze zrobi chwila odpoczynku w tym chłodnym, ciemnym miejscu. Przez chwilę delektował się spokojem, po czym podniósł słuchawkę i zaczął wykრęcać numer Oliwii.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Michael.

– Jamie, człowieku! – pokiwał z dezaprobatą głową. – Czy to coś pilnego? Nie możesz poczekać?

Jamie odłożył słuchawkę.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Dzwonisz do biura?

Jamie potrząsnął przecząco głową.

– Do Oliwii.

– Tam u niej jest już chyba dość późno, prawda?

– Nie, często rozmawiamy o tej porze. – Jamie spojrzał na kuzyna. – Mam ci w czymś pomóc?

– Ktoś oprócz mnie powinien spróbować tego szampana – rzekł Michael. – Louise przyniosła mi kieliszek, ale nie jestem pewien, czy dobrze oceniłem jego smak.

– Dzisiaj chyba nie nadają się na kiperę – stwierdził Jamie. – To cholerne przeziębienie kompletnie wyłączyło moje receptory smakowe.

– Nie mam wyboru – stwierdził stanowczo Michael. – Peter zamknął się w swojej sypialni z panną Rogos. Poza tym, szampan jest znakomitym panaceum na wszystkie dolegliwości.

Jamie wstał.

– Myślę, że nie powinien mi zaszkodzić.

Michael otworzył drzwi.

– Czy na pewno możesz odłożyć tę rozmowę na później? Przydałaby mi się teraz twoja pomoc.

Jamie skinął głową.

– Mogę zadzwonić jutro – powiedział.

– Nie wierzę – oświadczyła Carrie jakieś pół godziny później. – Nie wierzę w to.

– A powinnaś – stwierdziła Annie. Wskazała paczkę leżącą przed nią na biurku. – Tu jest wszystko. Wszystkie dowody, jakich mogłabyś żądać.

Nagle poczuła, jak ogarnia ją niezwykle znużenie. Przedstawiła Carrie skróconą wersję tej długiej i przerażającej historii, pokazała jej tylko to, co niezbędne, a mimo to widziała, jakie wrażenie ta opowieść zrobiła na jej rozmówczyni. Twarz Carrie stawała się coraz bledsza.

– Zszokowałam cię – powiedziała.

– Cholera! Pewnie, że tak – rzuciła ostro Carrie. – Za kogo mnie bierzesz? Bóg mi świadkiem, że nie jestem i nigdy nie byłam miękka, ale nawet ja uznaję pewne granice, których nie przekroczę. Morderstwo jest taką granicą. – Potrząsnęła głową. – Jezu, nie mogę w to uwierzyć – Michael? Niewzruszony jak hiszpańska twierdza Michael Arias, filar społeczeństwa, mordercą?

– Zdajesz sobie sprawę – powiedziała Annie powoli – że bez względu na to, czy zdecydujesz się wykorzystać te informacje przeciwko Peterowi, masz olbrzymią przewagę, bo dowiedziałas się o wszystkim, zanim zostało to ujawnione światu. – Przerwała. – Ta sprawa rozwiąże się w ten czy inny sposób, ale w każdym wypadku przynależność do klanu Ariasów przestanie być taką atrakcyjną sprawą.

– Powszechnie wiadomo – zauważyła Carrie – że już skończyłam z Ariasami.

– Nadal jesteś żoną Petera.

– Co dokładnie masz na myśli? – spytała Carrie wolno, nadal próbując uwierzyć w to, co usłyszała od Annie.

– To, że zrobiłabyś dobrze, bardziej stanowczo odcinając się od tej rodziny – wyjaśniła Annie. – Zanim będzie za późno.

– Osobiście uważam, że brzmi to nieco melodramatycznie – rzekła Carrie. – Przecież nikt nie będzie skłonny uwierzyć, że mogłam cokolwiek wiedzieć o całej sprawie. Nie możemy nawet założyć, że wie o niej Peter.

Annie ostrożnie ważyła każde słowo, wiedząc, że siedzi tu tak długo tylko dlatego, że Carrie jest naprawdę poruszona, a znając Carrie, sytuacja mogła się w każdej chwili diametralnie zmienić.

– Załóżmy – ciągnęła – że Peter będzie musiał udowodnić, że o niczym nie wiedział. – Urwała. – Obie wiemy, że w takich przypadkach żony są często obciążane współodpowiedzialnością.

Carrie milczała.

– Oczywiście, Oliwia i ja możemy pomóc ci wyplątać się z tego – mówiła dalej. – Możemy świadczyć za tobą przed sądem. Możemy przekonać wszystkich, a w razie potrzeby nawet zeznać pod przysięgą, że dopiero po rozmowie z nami dowiedziałas się o Rothenburgach i katastrofie helikoptera.

Carrie spojrzała na nią groźnie.

– Chyba już rozumiem, na czym ma polegać moja pomoc w tej sprawie. – Przerwała. – Sugerujesz, że jeśli nie pomogę ci w wyciągnięciu Oliwii z kłopotów, dasz wszystkim do zrozumienia, że wiedziałam o zbrodniach Michaela.

– Tego nie powiedziałam – zaoponowała Annie spokojnym głosem, chociaż w rzeczywistości wcale nie była spokojna.

– Robisz się w tym coraz lepsza, Annie – zauważyła Carrie. – Wygląda na to, że jesteś urodzoną szantażystką.

Annie nie zdołała ukryć rumieńca.

– No to co mam robić?

– Pojedź ze mną do Newport i pomóż mi dostać się do Jamiego. Wiem, że tam jest, ale nie pozwolono mi z nim porozmawiać.

– I myślisz, że ja zdołam ich przekonać, żeby wpuścili cię do domu?

– Tak.

– Kiedy?

– Teraz.

– Teraz? – Carrie spojrzała ze zdumieniem. – Jest po wpół do ósmej.

– Dotrzemy tam przed dziesiątą.

– Nie ma mowy – stwierdziła sucho Carrie. – Mam dziś wieczorem dwa spotkania i nie zamierzam ich odwoływać.

Annie spojrzała na nią i zobaczyła znajomy chłodny błysk w jej oczach. Wiedziała, że ma jeszcze sporo do zrobienia, jeśli chce przekonać Carrie do swego pomysłu.

– Ktoś musi ostrzec Jamiego – powiedziała cicho. – Rozumiem, że Oliwia nic cię nie obchodzi, ale nie wierzę, że pozwolisz, aby Jamie znalazł się w niebezpieczeństwie.

– Nie sądzę, żeby Jamesowi coś groziło – zauważyła Carrie.

– Czyżby? – spytała z naciskiem Annie.

Carrie rzuciła okiem na zegarek od Cartiera i potrząsnęła niecierpliwie głową.

– Nie ma sensu jechać dziś do Newport, zwłaszcza że Louise wydaje przyjęcie dla Michaela.

– Mogłybyśmy wkręcić się na przyjęcie – zasugerowała Annie.

– Nawet ty, Annie, musiałaś słyszeć o tym, że mają ochronę – odparła Carrie. – Takie przyjęcia są ściśle prywatne. Nie masz zaproszenia, nie wchodzisz.

– Przecież nadal jesteś panią Peterową Arias – zauważyła Annie. – Ciągłe jeszcze nazywasz się Caroline Beaumont-Arias. Chcesz mi powiedzieć, że pozwolisz, żeby jakiś ochroniarz zabronił ci wstępu na rodzinne przyjęcie Ariasów?

– Oczywiście, że nie – odrzekła Carrie.

Annie wstrzymała oddech, czekając na jej następne słowa.

– Nie lubię być zastraszana, Annie.

– A ja nie lubię widzieć swoich przyjaciół w niebezpieczeństwie.

– Powiedz mi szczerze – zaczęła Carrie – czy naprawdę wierzysz, że Michael mógłby zrobić krzywdę własnemu kuzynowi?

– Nie wiem – przyznała Annie. – Chciałabym wierzyć, że nie.

– Ale jeśli Michael zlecił zabicie własnego wuja... – Carrie zawiesiła głos.

– Chyba zlecił. – Annie drżała z niepewności.

Carrie siedziała przez chwilę w milczeniu.

– Poczekał na zewnątrz – odezwała się znienacka. – Muszę wykonać kilka telefonów.

Annie zgrnęła z biurka torebkę i pakiet z dokumentami, i wstała.

– Pojedziesz ze mną, Carrie?

Carrie spojrzała na nią.

– Cóż, takiej konfrontacji nie mogę przegapić.

Annie poczuła, że uginają się pod nią nogi.

– Więc jedziesz?

– Tak, o ile teraz wyniesiesz się stąd i pozwolisz mi zadzwonić.

Oliwia odebrała telefon kilka minut po drugiej. Była ledwo żywa ze zmęczenia, a mimo to wydawało się jej, że słyszy w słuchawce głos Annie, która twierdziła, że jedzie z Carrie samochodem do Newport i właśnie rozmawia z jej telefonu komórkowego. Co więcej, Annie była przekonana, że w ten czy inny sposób w ciągu paru godzin wydostaną Jamiego z jaskini wroga. Nakazała Oliwii, aby ta w końcu położyła się spać i odpoczęła choć kilka godzin. Teraz nie musi już o nic się martwić. Nie jest sama, a Annie przyrzekła, że będzie ją informować o wszystkim na bieżąco.

– Powiedziałas Carrie? – wymamrotała Oliwia niewyraźnie.

– Tak – potwierdziła Annie.

Oliwia odłożyła słuchawkę i położyła się z powrotem do łóżka. Uśmiechała się do siebie w ciemnościach, pozwalając, aby sen zawładnął jej ciałem i umysłem. Teraz wiedziała już na pewno, że to sen; niesamowity, kojący sen. A jak szalone mogą być sny, przekonywała się właśnie teraz. Bo przypuszczenie, że Carrie Beaumont-Arias mogłaby ruszyć Annie i Oliwii na pomoc, była z pewnością najdziwniejszą i najmniej prawdopodobną rzeczą, jaka przyszlaby jej do głowy.

Annie i Carrie napotkały pierwszą przeszkodę przy bramie wjazdowej prowadzącej do posiadłości Ariasów. Strażnik poprosił je o pokazanie zaproszeń lub, jeśli ich nie miały, o podanie nazwisk, tak aby mógł sprawdzić, czy figurują na liście zaproszonych gości. W pobliżu kręciło się dwóch uzbrojonych ochroniarzy, którzy sprawiali wrażenie, jakby oczekiwali, że w każdej chwili z bagażnika samochodu Carrie może wyskoczyć Al Capone.

– Nie ma pani na mojej liście – stwierdził strażnik, nachylając się do okna od strony kierowcy. W nagrzanym powietrzu letniej nocy słychać było cichą muzykę dobiegającą od strony domu.

– Wcale nie twierdziłam, że tam będzie figurowało moje nazwisko – odparła Carrie.

– Wpuszczamy tylko za zaproszeniami, proszę pani. Przykro mi.

Carrie skinęła głową w kierunku stróżówki.

– W takim razie proszę zadzwonić do posiadłości i poprosić o zgodę na wpuszczenie nas.

– Nie ma takiej potrzeby, proszę pani. Tak jak mówiłem, obowiązują zaproszenia.

Carrie wychyliła głowę z okna samochodu.

– Kto jest gospodarzem tego przyjęcia?

– Pan Michael Arias z małżonką, proszę pani – powiedział strażnik tonem, w którym brzmiała i uprzejmość, i nuta snobizmu.

– A pamięta pan, jakie nazwisko wymieniłam, gdy się przedstawiłam? – spytała Carrie z ledwie wyczuwalnym sarkazmem.

– Pani Peterowa Arias, proszę pani.

– A wie pan, kim jest Peter Arias?

– Kuzynem pana Michaela Ariasa.

– No właśnie. A ja jestem jego żoną – powiedziała Carrie.

– Tak, proszę pani – odrzekł strażnik z westchnieniem.

– Może więc, mimo wszystko, mógłby pan uczynić dla nas wyjątek?

– Nie sędzę, proszę pani. – Mężczyzna patrzył, jak źrenice Carrie powoli zwięzają się ze wściekłości. – Ale zadzwonię do domu i zapytam.

– Doskonale. Dziękuję – odparła Carrie słodkim głosem.

Niecałe cztery minuty później, w ciągu których Louise dotarła do telefonu i wyraziła zgodę na wpuszczenie niezapowiedzianych gości, obie kobiety jechały szerokim podjazdem w kierunku posiadłości. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Przez moment Annie zastanawiała się, czy to nie Duke Ellington, ale zaraz stwierdziła, że z pewnością nie. Duke Ellington już nie żył, a z tego, co słyszała, Louise prędzej padłaby trupem, niż pozwoliła, aby na jej przyjęciach odtwarzano muzykę z kaset czy płyt.

– Byłaś wspaniała – odezwała się cicho do Carrie. Nadal z trudem mogła uwierzyć, że udało się jej przekonać Carrie do przyjazdu tutaj. A teraz, widząc ją w akcji, przynajmniej chwilowo po swojej stronie, Annie była zszokowana. – Bez ciebie nigdy nie zaszłabym tak daleko – dodała.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Carrie.

– Już za samo to jestem ci wdzięczna.

Carrie wzruszyła ramionami.

– To nic wielkiego, zwłaszcza dla takiej jędzy, jak ja. Ale masz rację. Powinnaś być mi wdzięczna.

– O Boże! – wyszeptała ze ściśniętym gardłem Annie, gdy zajechały przed dom. – Louise!

Pani Michaelowa Arias stała w otwartych drzwiach wejściowych spowita lekką, kremową mgiełką jedwabiu. Jej suknia była prawie zupełnie przezroczysta, skąpana w blasku światła padającego z żyrandoli rozświetlających hol.

– W takim razie – stwierdziła Carrie – zostaw to mnie.

Wysiadła z samochodu, wręczyła kluczyki parkingowemu i ruszyła po kamiennych schodach. Za nią nieśmiało podążała Annie.

– Carrie! Cóż za niespodzianka! – odezwała się Louise, podchodząc do niej. – I Annie Thomas?! Jak cudownie!

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, Louise – rzuciła Annie, witając się. – Byłam właśnie w Bostonie i wstąpiłam do Carrie, która wybierała się na przyjęcie.

– Jamie nic nie mówił, że będziesz w Bostonie – zauważyła Louise.

– On nic nie wiedział.

Za plecami żony pojawił się Michael.

– Mój Boże! – powiedział. – To prawda!

– Wszystkiego najlepszego – zwróciła się do niego Carrie. – Możemy wejść?

– Oczywiście – odparła Louise, odsuwając się z wdziękiem na bok. – Czyż to nie cudowna niespodzianka, Michaelu?

Michael z kamienną twarzą zamknął drzwi. W holu nie widać było żadnych gości, tylko dwie kelnerki, które pospiesznie zniknęły w najbliższych drzwiach. Ale do uszu Annie i Carrie dobiegły zapachy i odgłosy przyjęcia, szum muzyki, przeplatanej rozmowami i śmiechem, aromat potraw, wymieszany z zapachem perfum i dymu papierosowego.

– Niestety, wszyscy zasiedli już do kolacji – stwierdziła Louise.

– Więc, po co przyjechałyście? – spytał Michael obcesowo.

– Michael! – wtrąciła karcąco Louise. – Nie jesteś zbyt gościnnie.

– Właśnie trwa przyjęcie – wyjaśnił Michael. – A one nie są odpowiednio ubrane.

– Mogę się tym zająć – stwierdziła Louise, uśmiechając się do Carrie. – Oczywiście, jeśli nie macie nic przeciwko moim ubraniom.

– Pewnie, że nie – odparła Carrie. – Dziękuję, Louise, ale nie ma takiej potrzeby. Zawsze uważałam, że kostiumy od Jean Muir pasują na każdą okazję.

– Ja też zostanę w swoim ubraniu – dodała Annie. Nie czuła się specjalnie dobrze w popołudniowym kostiumie od Escady, który włożyła rano na spotkanie z Edwardem. Z drugiej strony zdawała sobie sprawy, że jej skrepowanie ma niewiele wspólnego ze strojem. – Przyjechałam tylko zobaczyć się z Jamiem.

– Tak naprawdę – wtrąciła szybko Carrie – to przyjechałyśmy na naradę rodzinną.

– Akurat dzisiaj? – Po raz pierwszy Louise wydawała się być na serio skonsternowana.

– Nie teraz – powiedział stanowczo Michael.

– Oczywiście, że teraz – oznajmiła Carrie.

Louise powiedziała ściszym głosem:

– Jestem pewna, że masz wystarczający powód, by się wściekać na Petera, ale urodziny Michaela z pewnością nie są dobrą chwilą na załatwianie porachunków rodzinnych.

– A czemuż by nie? – zdziwiła się Carrie. – Ale to nie ma nic wspólnego z moim mężem.

– Urwała. – À propos, gdzie jest Peter? Jakies małe têteàtête z kochanką?

– Nie mam pojęcia – stwierdziła Louise wyraźnie podenerwowana. – Przypuszczam, że jest w ogrodzie z innymi, przy kolacji.

– Carrie, jeśli przyjechałaś tu, żeby robić sceny – powiedział Michael – to muszę nalegać, żebyś opuściła mój dom.

– Żadnych scen, Michael – wtrąciła szybko Annie. – Po prostu małe zebranie rodzinne.

– Ty nie należysz do rodziny – zauważył Michael z wyraźną niechęcią w głosie. – Co to ma wspólnego z tobą?

– Wydawało mi się, że przyjechałaś zobaczyć się z Jamiem – rzekła Louise.

– To prawda – zgodziła się Annie. – Czy wiesz, gdzie on teraz jest?

– Jamie jest okropnie przeziębiony – powiedział Michael oschłym tonem. – Chyba kilka minut temu widziałem, jak szedł na górę, aby się położyć.

– Naprawdę, kochanie? – zdziwiła się Louise. – Jestem pewna, że przed chwilą widziałam go w ogrodzie, chyba tańczył.

– Może poszukałabyś go, Louise? – spytała uprzejmie Carrie.

– Wolę zrobić to sama – stwierdziła Annie.

– W takim razie może ściągnąłbyś tu Petera? – zwróciła się Carrie do Michaela. – Naprawdę musimy jak najszybciej porozmawiać.

– Nie ma mowy – odparł ostro Michael.

Louise była coraz bardziej zbita z tropu.

– Carrie, nie możemy wyjść z własnego przyjęcia. Nawet ty musisz to zrozumieć!

– Niekoniecznie – zaproponowała Carrie. – Słyszałam, Louise, jak kiedyś mówiłaś, że jeśli przyjęcie jest dobrze zorganizowane, to potoczy się idealnie własnym torem, bez niczyjej pomocy. – Urwała, nasłuchując odgłosów dochodzących zza domu. – Najwyraźniej wszyscy radzą sobie świetnie i wasza obecność nie jest im wcale potrzebna.

– Dobrze. – Michael nie krył wściekłości. – Dosyć! Musicie opuścić mój dom.

– Nie sądzę – stwierdziła Carrie.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię wyrzucił, Carrie.

– Michael, proszę – zaprotestowała Louise. – Nie róbmy widowiska.

– Nie martw się, Louise – pocieszyła ją Carrie. – On nas nie wyrzuci... chyba że chce, żebyśmy zadzwoniły po policję.

– Och, przestań, Carrie – wybuchnęła Louise. – To wymyka się spod kontroli. Naprawdę, chciałam cię zaprosić na dzisiejsze przyjęcie, ale Michael powiedział, że to spowoduje niezręczną sytuację. Chyba nie chcesz udowodnić, że miał rację?

– Obawiam się, że chcę – rzekła Carrie. – Chociaż nie w taki sposób, jak myślisz.

Annie, która od dłuższej chwili milczała, pozwalając Carrie, zgodnie z jej życzeniem, przejąć pałeczkę, teraz stwierdziła, że powinna się wtrącić.

– Nie pytałeś o Oliwię, Michaelu – powiedziała.

Jego ciemne oczy przybrały twardy wyraz.

– A powinienem?

– Czy coś się jej stało? – spytała Louise zupełnie skonfundowana.

– Nie czuje się zbyt dobrze – odparła Annie. – Zwłaszcza po wypadku.

– O Boże! – rzekła Louise. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Nie. Nie tak, jak mogłoby być – stwierdziła Annie i wzięwszy głęboki oddech, dodała: – Została potrącona przez samochód. – Spojrzała na Michaela. – Czy teraz możemy odbyć tę rozmowę?

– Proponuję, żebyśmy przeszli do biblioteki – rzuciła Carrie.

– A ja – odparł Michael – jeszcze raz sugeruję, żebyście sobie poszły.

Louise potrząsnęła kasztanowymi, perfekcyjnie ułożonymi włosami.

– Na litość boską, kochanie! Porozmawiajmy z nimi i miejmy już to wszystko za sobą. –
Spojrzała na Carrie. – Ile czasu to zajmie? Naprawdę powinnam już wracać do gości.

– To dlaczego nie wrócisz? – zasugerował Michael. – Dam sobie radę bez ciebie.

– Nie, Michael. Nie sędzę – stwierdziła Carrie.

Niespodziewanie Annie wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła ramienia Louise. Starsza kobieta miała chłodną skórę, a Annie w przeblysku świadomości zrozumiała, że Louise jest zupełnie niewinna i nagle zrobiło jej się żal żony Michaela.

– Naprawdę myślę, że powinnaś zostać, Louise – powiedziała.

– Na Boga! Pozwól mi je wyrzucić – powiedział Michael do żony. – Carrie chce nam narobić kłopotów. Zawsze taka była.

– I zawsze się tym chlubiłam – wtrąciła zimno Carrie – A zwłaszcza teraz, wiedząc, co zamierzam zrobić.

– Poszukam Jamiego – oznajmiła Annie.

Jamie tańczył z Daisy. Szampan i atmosfera przyjęcia zrobiły swoje i chwilowo złagodziły najgorsze objawy przeziębienia. Louise udekorowała dom i ogród białymi liliami. Niczym powtarzający się, czysty, piękny motyw, kwiaty pojawiały się wszędzie tam, gdzie zawędrowali goście; przez korytarze, pokoje, łazienki i pawilony ogrodowe ciągnął się łańcuch lili. Niewinne, lecz jednocześnie w przedziwny sposób uwodzicielskie kwiaty otaczały gości, sprawiając, że czuli się, jakby wstąpili do jakiejś egzotycznej krainy, gdzie królowało piękno i przyjemność, a wszystko inne traciło znaczenie.

– Chcę popływać – oznajmiła Daisy.

– Naprawdę? – Jamie spojrzał na nią ze zdumieniem. – Zaryzykujesz zniszczenie pięknej fryzury? To do ciebie niepodobne.

– Chyba trochę się wstawiłam.

– Daisy Arias, od paru ładnych dni jesteś na rauszu!

– To pewnie wpływ towarzystwa.

– Miło mi – odparł Jamie.

– Nie pochlebiaj sobie, Jamie. Nie chodzi mi o ciebie.

– Sądziłem, że lubisz być z rodziną – zauważył. Czasami Daisy bywała uciążliwa, zbyt drobiazgową, ale Jamie stwierdzał, że w miarę upływu czasu coraz bardziej lubi pierwszą żonę Petera.

– Zwykle tak – zgodziła się Daisy. Mocniej uwiesiła się jego ramienia, jakby potrzebowała solidnego wsparcia, żeby nie upaść. – Ale nie tym razem. I to naprawdę nie ma nic wspólnego z Peterem i Angie.

– W takim razie, o co chodzi?

– Michael jest ostatnio w okropnym humorze.

– Naprawdę? – Jamie wcale tego nie zauważył.

– Ty też nie byłeś sobą – ciągnęła Daisy. – Ale to pewnie dlatego, że jesteś chory.

– Przykro mi – odrzekł Jamie.

– To nie twoja wina – wyjaśniła uprzejmie Daisy.

Muzyka umilkła.

– Cześć, Jamie.

Jamie uwolnił się od Daisy i odwrócił.

– Annie! – Jego twarz rozjaśnił uśmiech zdumienia i radości, który natychmiast zniknął, gdy zobaczył wyraz jej oczu. – Annie, co się stało?

Pierwszy raz od chwili, gdy przybyły z Carrie do Newport, Annie poczuła, że uginają się pod nią kolana.

– Och, Jamie! – odparła. – Dzięki Bogu, znalazłam cię!

Kwadrans po czwartej Oliwię obudził brzęk tłuczonego szkła. Natychmiast oprzytomniała i szybkim ruchem włączyła lampkę nocną.

Kotka także nie spała. Stała przy drzwiach ze zjeżoną sierścią i sztywno wyprostowanym ogonem. Zielone tęczówki jej oczu prawie zupełnie zniknęły, ustępując miejsca olbrzymim, czarnym, szeroko rozwartym źrenicom.

– W porządku, Cleo – szepnęła Oliwia.

Znowu usłyszała jakiś hałas.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu i wykręciła numer policji, ale nie było żadnego sygnału. Szybko, trzymając słuchawkę przy uchu, przycisnęła kilkakrotnie widelki. W słuchawce panowała głucha cisza.

– O Boże – powiedziała, a potem przypomniała sobie o telefonie komórkowym. Leżał tam, gdzie go zostawiła po rozmowie z Annie, spokojnie spoczywał na stoliku nocnym. Szybkim ruchem, starając się nie urazić złamanej ręki, sięgnęła po niego. Zobaczyła, że bateria wyczerpała się, a dobrze wiedziała, że zapasowa jest w gabinecie.

– O Boże! – powtórzyła.

I wtedy zgasło światło.

Peter Arias był na wpół pijany. Jamie, który wiedział jedynie, że Oliwia wpadła w jakieś tarapaty, czuł niepokój i zdenerwowanie. Louise z trudem ukrywała wściekłość, zażenowanie i konsternację. Michael siedział z mocno zaciśniętymi ustami i widać było, że przepełnia go gniew. Wszyscy zasiedli w bibliotece na ciemnych krzesłach wyściełanych skórą i czekali.

– Dobrze – oświadczyła Carrie, zamykając drzwi. – Skoro cała banda jest już tutaj, Annie może zaczynać.

– Co ona ma, do cholery, wspólnego z nami?! – zapytał Peter.

– Jeśli przez nas rozumiesz siebie i mnie – odrzekła Carrie – to rzeczywiście nic.

– Annie? – spytał Jamie z pobladłą twarzą. – O co tu chodzi?

Annie wstała. Gdyby ktoś ją spytał, jak czuła się w tej chwili, odpowiedziałaby, że miała wrażenie, że jest obserwatorem, że nie jest sobą, tak jakby opuściła swoje ciało i przyglądała się wszystkiemu z boku. Wiedziała, że gdyby miała przy swoim boku Oliwię, z przyjemnością wtopiłaby się w tło i pozwoliła przyjaciółce przejąć inicjatywę. Ale Liwi tutaj nie było, została w Brukseli ze złamaną ręką, cudem uniknąwszy śmierci, którą chciała sprowadzić na nią jedna ze zgromadzonych tu osób.

– Będę się streszczać – zaczęła. – Co prawda, nie będzie to łatwe, zważywszy, że chcę wam opowiedzieć o nikczemności, która trwa już ponad pięćdziesiąt lat.

Michael wstał.

– Co to za bzdury?

– Siadaj, Michael. – Carrie, siedząca na krześle w pobliżu drzwi, przywołała go do porządku.

– Nie mów mi, co mam robić we własnym domu.

– Proszę, Michael – rzekła Annie. – Usiądź.

Louise chwyciła męża za rękę i pociągnęła na krzesło.

– W porządku, mój drogi. Im szybciej pozwolimy jej mówić, tym szybciej wrócimy na przyjęcie.

– Nie wiem – wtrąciła Annie łagodnym tonem – czy, gdy skończę, będziecie jeszcze chcieli się bawić.

Peter kręcił się niespokojnie na krześle, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję.

– Muszę stwierdzić, że twoje przyjaciółki mają nieco dziwne poczucie czasu – zwrócił się do Jamiego. – Ta jest narkomanką, prawda?

– Była – sprostowała Carrie, z niezwykłą dla niej uczciwością.

– Czy mogę mówić dalej? – spytała Annie.

– Nie – odparł sucho Michael.

– Na Boga, mów! – rzuciła Louise rozpaczliwym głosem i przytrzymała męża.

Annie spojrzała na Jamiego, w jego łagodne, ciemne oczy.

– Żałuję, że muszę ci o tym mówić w tak okropny, beznamienny sposób. Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że to potrafię. – Urwała. – Carrie twierdzi, iż zawsze sądziła, że jestem szarą myszą i trudno mi się z nią nie zgodzić. – Znowu zamilkła. – Ale sądzę, że odkrycie, iż twoi rodzice zostali zamordowani, po to, ażeby ukryć zbrodnie wojenne, jest wystarczająco wstrząsające i taka wiadomość może pobudzić do działania nawet najbardziej bojaźliwą mysz.

– Co? – zapytał Jamie. – Annie, o czym ty mówisz?

– O czym ona mówi? – powtórzył Peter.

– Sądzę, że ma jakieś halucynacje – stwierdził Michael.

– Annie, kochanie, o czym ty mówisz? – zapytała Louise.

– Mówi o twoim mężu – odparła Carrie zamiast Annie. – Mówi, że Michael dziesięćnaście lat temu zaaranżował zabójstwo sześciorga ludzi, wśród nich był jego własny wuj Carlos...

– Dobry Boże! – Michael potrząsnął głową i spojrzał na Annie, jakby zupełnie oszalała.

– Nie bądź taką pieprzoną idiotką, Carrie – oświadczył donośnym głosem Peter.

Brązowe oczy Louise były okrągłe z przerażenia.

– Nigdy, w całym moim życiu, nie słyszałam czegoś tak odrażającego! Takie kłamstwa!

Michael poklepał ją po ramieniu.

– Spokojnie, kochanie. Ta kobieta jest najwyraźniej obłąkana.

– Obawiam się, że nie, Louise – rzekła Annie cicho.

Jamie z poszarzałą twarzą spytał:

– Annie, nie wiem, co tu się dzieje, nie wiem, co ci się stało...

– Z Annie wszystko w porządku – powiedziała Carrie. – Choć, jak zapewne rozumiesz, Jamesie, przyznaję to z bólem. – Podniosła wzrok na Annie. – Mów dalej. Teraz nie ma sensu przerywać.

– Tak – zgodziła się Annie. – Masz rację.

Mówiła szybko i bez zbędnych upiększeń. Opowiedziała zdumionym i poruszonym słuchaczom wszystko to, co, jak była o tym teraz przekonana, Michael wiedział już wcześniej. Wyjawiała fakty, które potwierdzały, że Juan Luis Arias był złodziejem, szantażystą i mordercą. Opowiedziała także o tym, co się stało, gdy Artur Segal powiadomił Carlosa Ariasa o zbrodniach jego brata. I że gdy Carlos zwrócił się do Michaela, swojego ukochanego, uczciwego, jak wierzył, bratanka, i opowiedział mu, czego się dowiedział, i co w związku z tym planował zrobić, ten, wiedziony czy to potrzebą bronięcia honoru zmarłego ojca, czy też zwykłą chciwością, która kazała mu ratować wszystko, co posiadał, zorganizował zamach na jego życie – katastrofę lotniczą.

– I nikt by się o tym nigdy nie dowiedział – powiedziała Annie, kończąc swoją opowieść – gdyby Oliwia nie natknęła się przypadkowo na notatkę, którą Carlos wysłał do jej ojca. – Popatrzyła prosto na Michaela, który siedział wyprostowany i wściekły. – Niedługo po tym, jak Jamie spytał cię o znaczenie tego listu, ktoś włamał się do jej mieszkania i ukradł tę notatkę.

Michael w końcu poruszył się. Wstał i spojrzał na nią oczami pociemniałymi z gniewu.

– I to by było na tyle, pani Thomas. – Stał z zaciśniętymi dłońmi, z rękoma tuż przy boku. – Cierpliwie wysłuchałem twoich bajek na temat nazistów, Żydów i obrazów. Siedziałem spokojnie, gdy oskarżałaś mnie o zamordowanie własnego wuja i pięciorga innych osób.

– Michael... – Louise także wstała i chwyciła go za rękę. – Nie denerwuj się. Masz rację, ta kobieta jest rzeczywiście obłąkana. Pewnie nawet nie wie, co...

– Do jasnej cholery, jest pieprzoną narkomanką! – oświadczył Peter.

Annie nie dała się sprowokować. Ciągnęła dalej, jak gdyby nigdy nic:

– A potem Oliwia odkryła, że były inne włamania. Wtedy zorientowała się, że ktoś próbuje sprawić, aby zniknęły wszystkie dowody, listy...

– Więc teraz jestem także włamywaczem? – wtrącił sucho Michael.

– Nie osobiście. Oczywiście, że nie. – Annie poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Wiedziała, że to już prawie koniec, ale nie miała najmniejszego pojęcia, co się później wydarzy. – Również nie ty sam potrafiłeś Oliwię na Gare du Midi w Brukseli ani też nie ukradłeś jej torebki...

– Na Boga! – wybuchnęła Louise. Nadal mocno ścisnęła dłoń męża. – Annie, czy ty nie masz żadnego wstydu? Czy ten obłąd nigdy się nie skończy?!

– ... torebki – ciągnęła Annie – w której znajdowały się wszystkie dowody, potwierdzające to, o czym wam opowiedziałam.

– Jak rozumiem, te dowody zniknęły – wtrącił Michael. – Cóż za niepomysłny zbieg okoliczności.

– Niezupełnie – oznajmiła Annie. – Zwłaszcza że odkryłam, iż mój ojciec miał kopie wszystkich dokumentów. – Przerwała. – Przyniosłam z sobą jeden komplet tych papierów, Michaelu. – Schyliła się, aby podnieść pakiet, który przywiozła z kancelarii w Nowym Jorku. – Dowód. Ostateczny, niepodważalny dowód. – Znowu urwała. – No i obrazy. Oliwia mówiła mi, że w tym domu jest wiele obrazów, które niegdyś należały do Emanuela Rothenburga.

– Na przykład Gauguin – wtrąciła z ledwie zauważalną złośliwością Carrie. – Ten w twojej garderobie, Louise.

Louise ponownie opadła na krzesło. W pokoju zapanowała idealna cisza, słychać było jedynie dochodzące zza drzwi odgłosy przyjęcia i muzykę.

– To prawda – ciągnęła Carrie. – Wiem, że to trudne do przełknięcia, ale to rzeczywiście prawda.

– Michael – zaczęła Louise słabym głosem. – Powiedz im, że się mylą.

– Oczywiście, że się mylą – rzekł Michael zdecydowanym tonem.

– Nie – odparła Carrie. – Nie mylimy się, nieprawdaż, Michaelu?

Annie ponownie opanowało dziwne wrażenie, jakby przyglądała się całej sytuacji z pewnego oddalenia: Jamie – pochłonięty własnym koszmarem, próbujący pogodzić się z tym, że w jednej chwili utracił swoje korzenie, wszystko, w co wierzył, przerażony w równym stopniu tym, co spotkało Oliwię, jak i tragedią sprzed półwiecza. Louise – wydawało się, że jej idealne ciało rozpadało się pod ciężarem tego, co usłyszała. Siedziała bezwładnie na krześle, wpatrując się w swego męża, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. I Peter z poszarzałą twarzą, równie poruszony co pozostali, który z pewnością żałował, że nie zdążył upić się jeszcze

bardziej.

Michael nadal stał. Annie obrzuciła go szybkim spojrzeniem i przez moment wydało się jej, że za tymi czarnymi oczami jest w stanie zobaczyć cały spalający go gniew i umysł – planujący zemstę.

– Sądzę, że teraz nie możesz już nic zrobić, Michaelu – zaczęła cicho. – Cokolwiek byś zrobił, prawda i tak wyjdzie na jaw.

– Chyba że – dodała Carrie – planujesz zabić wszystkich, którzy ją znają.

– Ale nawet to nie pomoże – ciągnęła Annie, trzymając mocno w rękach paczkę z papierami ojca. – Jest więcej kopii tych dokumentów, a ja, naturalnie, poczyniłam pewne przygotowania na wypadek, gdyby coś mi się przytrafiło.

Wreszcie skończyła i usiadła, czując, że nie jest w stanie ciągnąć tego dalej, że więcej już nic nie powie. Z drżącymi ustami wpatrywała się w paczkę leżącą na kolanach. Stwierdziła, że nie może spojrzeć nikomu w oczy, a przede wszystkim, nie zniesie wyrazu twarzy Jamiego.

Michael spojrział przelotnie na żonę, ale Louise nie widziała go. Siedziała nieruchomo, wpatrzona przed siebie. Przeniósł wzrok na Petera, lecz ten tylko potrząsnął głową w milczeniu. Przesunął spojrzenie w kierunku drzwi, gdzie, niczym wartownik, siedziała Carrie – bez ruchu, idealna w każdym calu.

– Masz ochotę wyjść? – spytała.

W oczach Petera pojawiły się złośliwe iskierki.

– Co, u licha, ty robisz w tym wszystkim? – spytał Carrie.

– Annie uznała, że mogę jej pomóc. – Jego żona uśmiechnęła się spokojnie i zimno. – Wymyśliła sobie, że być może będę chciała wykorzystać to przeciwko tobie. I nie myliła się.

– Jezu! – Peter ponownie potrząsnął głową. – O, Jezu!

Louise zaczęła szlochać, a Jamie machinalnie wyciągnął śnieżnobiałą chusteczkę i podał ją szwagierce.

Otworzyły się drzwi.

– Czy jestem na tyle bliską rodziną – zapytała zjadliwie Daisy Arias – abym została dopuszczona do udziału w tym prywatnym przyjęciu?

– Owszem – odparła Carrie. – Pod warunkiem, że przyniosłaś ze sobą coś mocniejszego.

Oliwia, trzęsąc się ze strachu i zimna, w cienkiej koszulce nocnej, zrozumiała, że musi

uciekać. Nie zamierzała, niczym jagnię na ołtarzu ofiarnym, czekać na rzeź. Musiała przynajmniej spróbować przedostać się do gabinetu po zapasową baterię lub do kuchni po nóż. A najlepiej dotrzeć do drzwi wyjściowych, za którymi czekało wybawienie. Zresztą wszystko jedno gdzie, nie mogła tak po prostu czekać.

Od chwili, gdy usłyszała brzęk szkła, minęło już dobre pół godziny i być może odgłos ten nie pochodził wcale z jej mieszkania, ale z zewnątrz. Może z sąsiedniego domu lub samochodu zaparkowanego na ulicy?

Jednak ktoś wyłączył światło i odciał telefon.

Bardzo wolno otworzyła drzwi pokoju i przystanęła w progu, nasłuchując. Cisza. Nie była pewna, czy to dobrze. Gdyby usłyszała tego sukinsyna, przynajmniej wiedziałaby, gdzie się ukrywa...

Chociaż, z drugiej strony, brak odgłosów mógł świadczyć o tym, że intruz wcale nie przyszedł po nią, ale po coś innego i już sobie poszedł. Tak naprawdę jednak w to nie wierzyła. Jej obolała ręka w gipsie mówiła jej co innego. Mężczyzna w skórzanej kurtce już raz próbował ją zabić, ale nie zdołał tego zrobić. Zapewne kazano mu wrócić i dokończyć roboty.

Coś otarło się o jej łydkę i Oliwia głośno westchnęła. Nie mogła się opanować, mimo iż wiedziała, że to tylko Cleo. Cleo – jej mała kocia straż przednia, która w razie potrzeby zmieniała się w szybką jak błyskawica i bezszelestną kulę pazurów.

Oliwia stała tak bez ruchu jeszcze kilka długich minut, po czym podążyła za kotką.

W połowie korytarza zatrzymała się – musiała podjąć pierwszą decyzję: gabinet na prawo, kuchnia na lewo, drzwi wejściowe na wprost.

Wydawało jej się, że coś słyszy. Wpatrywała się rozszerzonymi ze strachu oczyma w ciemność. Napięta jak struna próbowała zidentyfikować dziwny odgłos.

Oddech? Nie.

Syczenie. Najwyraźniej odgłos ten wydobywał się z gardła Cleo, aczkolwiek Oliwia nigdy przedtem nie słyszała, aby kotka zachowywała się w ten sposób: syk pomieszany z głuchym pomrukiem.

Zbyt późno zrozumiała, że nadchodzi. Poczuła tylko nieznaczące poruszenie powietrza. Czekał w kuchni – przemknęło jej przez głowę. I nagle był tuż przy niej. Silnym, odzianym w skórę ramieniem otoczył jej szyję, a dłoń w rękawiczce zatkała jej usta, zanim zdążyła krzyknąć.

Znowu usłyszała kotkę – dziwny skowyt, potem kopnięcie i głuchy odgłos. Wtedy Oliwia poczuła, że mogłaby zabić swojego prześladowcę. Cała wściekłość na Juana Luisa i Michaela Ariasa, tłumiona przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, teraz eksplodowała. Oliwia zebrała wszystkie siły, obróciła się i najsilniej jak mogła, kopnęła intruza.

– *Pute!*

Uderzył ją dwukrotnie – w twarz i lewą rękę. Przed oczyma pojawiły się jej gwiazdy, ujrzała przerażające, niesamowite światło, ale cały ból skupił się w zranionej ręce. Nigdy przedtem nie czuła tak potwornego bólu.

– Proszę... – powiedziała bezgłośnie. – Proszę... !

– Zamknij się! – rzucił. Mówił po angielsku.

– Proszę, nie zabijaj mnie – powtórzyła.

Nie zabił jej. Chwycił ją mocno za obolałe ramię, aż krzyknęła z bólu.

– Zamknij się – powtórzył i zapalając trzymaną w drugiej ręce latarkę, zaciągnął ją do wyłożonego drewnem holu. Oliwia pomyślała, że chce ją wyciągnąć z domu, uprowadzić, i modliła się, aby patrol policji właśnie w tej chwili pojawił się na jej ulicy. Była mała szansa, ale zawsze...

Wtem oprawca zatrzymał się na środku holu. Nachylił się, pociągając za sobą Oliwię i znowu poczuła ten przejmujący ból.

– Boże! – krzyknęła.

– *Ferme ta gueule!*[Zamknij się!]

Odłożył latarkę na podłogę, a z kieszeni kurtki wyciągnął klucz. Przez łyzy zobaczyła, że otwiera drzwi, za którymi podobno kryły się piwnice. W tym momencie zaczęła żałować, że mimo wszystko nie próbował wyciągnąć jej na zewnątrz. Jednak i tu miała szansę – jeśli zamknie ją w piwnicy, Jamie i Annie prędzej czy później zorientują się, że coś jest nie tak i...

– *Viens.*

Nadal mocno ściskając jej ramię, mężczyzna ruszył przodem. Schodzili w dół po schodach oświetlonych nikłym światłem latarki. Oliwia z trudem trzymała się na nogach. Raptem straciła równowagę i krzyknęła głośno, gdy mężczyzna pociągnął ją za złamaną rękę. Po chwili znaleźli się na dole.

W piwnicy czuć było zapach wilgoci, stęchlizny i czegoś jeszcze. Szczury – pomyślała Oliwia, ale natychmiast przypomniała sobie mysz, którą Cleo złapała kilka miesięcy temu, a z tego, co wiedziała, tam, gdzie są myszy, nie ma szczurów. Stwierdziła, że jest w stanie znieść obecność myszy; zniesie wszystko, byle tylko żyć.

– *Voilà [Nareszcie]* – oznajmił napastnik.

Podniósł latarkę, tak aby oświetlić pomieszczenie.

Oliwia rozejrzała się dokoła. Na środku podłogi stał sejf z litej stali. Teraz był otwarty i widać było, że jest dość obszerny. Oliwia przypomniała sobie drzwi do sejfu w Londynie, w którym znajdowały się dokumenty ukryte przez jej ojca. Przypomniała sobie także, co mówił agent wynajmujący jej mieszkanie – dom należał do handlarza diamentami z Antwerpii i zapewne właśnie w tym schowku trzymał on swoje klejnoty, mieszkając w Brukseli.

Jeszcze raz spojrzała na sejf i zobaczyła, że nie jest pusty. W półmroku próbowała przyjrzeć się dokładniej jego zawartości i stwierdziła, że w skrytce leży para srebrnych georgiańskich świeczników, które kupili z Bernardem zaraz po włamaniu, rozpoznała także śliczne wiktoriańskie pudełko na ciastka, które podarował jej były kochanek.

– *Un p'tit accident [Mały wypadek]* – wyjaśnił mężczyzna. – Chowałaś je do sejfu i ...

Oliwia spojrzała na niego i wtedy zrozumiała.

– Nie – powiedziała potrząsając gwałtownie głową. – Nie mam klucza, nikt w to nie uwierzy.

– Może tak, może nie – odparł. – *Allez. [Idziemy]*

Pchnął ją mocno w plecy, a gdy próbowała złapać równowagę, chwycił za zagipsowaną rękę, pociągnął i, krzycząc z bólu, wrzucił do sejfu.

– Radzę ci zasnąć – powiedział.

Po czym zatrzaskał klapę.

Rozdział 24

O północy nadal siedzieli w bibliotece. Tylko Louise opuściła pomieszczenie, aby, zebrawszy wszystkie siły, wrócić do gości i w miarę bezboleśnie wyprosić ich z przyjęcia.

- Powiem wszystkim – oznajmiła przed wyjściem – że Michael dostał okropnej migreny.
- Nie patrzyła na męża. Zwróciła się natomiast do Petera, który siedział niedbale na fotelu i spoglądał przed siebie szklistymi oczami, w których zmęczenie i szok mieszały się z alkoholem.
- Co mam powiedzieć pannie Rogos, gdyby pytała o ciebie?
 - Powiedz, żeby sobie poszła – odrzekł Peter. – Tak będzie najlepiej, nie sądzisz?
 - Wolabym nie mówić, co o tym wszystkim sądzę – stwierdziła Louise.

Biblioteka była jednym z najmniejszych pomieszczeń w posiadłości Ariasów, jednak okazała się na tyle duża, że sześcioro zgromadzonych w niej ludzi zdołało podzielić się na trzy obozy. Jamie i Annie usadowili się przy mahoniowym biurku, gdzie Annie od dziesięciu minut próbowała bezskutecznie dodzwonić się do Oliwii. Peter siedział w pobliżu półek, na których spoczywały najlepsze dzieła literatury hiszpańskiej gromadzone latami przez Carlosa Ariasa, pomiędzy dwiema byłymi żonami. Daisy, którą szybko upiła Carrie, siedziała nienaturalnie wyprostowana i trzymając w ręku kieliszek z szampanem, lustrowała pomieszczenie z przerażeniem, ale i ekscytacją. Carrie, chwilowo znudzona, ale bynajmniej nie zamierzająca wyjść przed końcem przedstawienia, przeglądała bezmyślnie oprawioną w skórę książkę Ramona Jose Sendera i czekała, aż „zabawa” ponownie nabierze tempa.

Obóz Michaela nie był tak liczny, jak dwa pozostałe. Siedział sam, niezwykle spokojny, a przynajmniej sprawiający takie wrażenie. Przystojny, ubrany w smoking mężczyzna w średnim wieku. Robił wrażenie, jakby wszystko, co się tu zdarzyło, nie dotyczyło jego, ale kogoś zupełnie innego. Do niczego się nie przyznawał, nie okazywał żadnych emocji, gdy oskarżano go o zbrodnię, a mimo to widać było, że z góry skazano go na izolację. Może, pomyślała Daisy, spoglądając na niego, nadal w środku gotuje się ze wściekłości albo spalają go piekielne płomienie poczucia winy, a może po prostu myśli w popłochu nad sposobem wyplątania się z tego potwornego bagna, w które wpadł. Cokolwiek jednak działo się w jego wnętrzu, zewnętrzna fasada pozostawała niewzruszona.

– Nikt nie podnosi słuchawki – oświadczyła Annie Jamiemu tuż po północy. W jej oczach malował się strach.

– Może po prostu śpi – zasugerował Jamie.

Annie gwałtownie potrząsnęła głową.

– Gdy dzwoniłam ostatnio, też była mocno zaspana, a jednak odebrała telefon.

– Może wzięła tabletkę nasenną – wtrąciła Carrie. – One potrafią zwalić z nóg. Ty, Annie, wiesz o tym najlepiej.

– Oliwia nienawidzi takich tabletek – odparła Annie, ignorując złośliwą uwagę Carrie.

– Próbowalas dodzwonić się na numer telefonu komórkowego? – spytał Jamie.

– Nikt nie odpowiada. Włącza się tylko ta cholerna skrzynka głosowa, która rejestruje rozmowy, gdy telefon jest poza zasięgiem.

– Zostawiłaś wiadomość? – zapytała Daisy.

– Tak. Zostawiłam dwie wiadomości – odparła Annie dobitnie.

– Przepraszam – rzekła Daisy. – Głupie pytanie.

– Nie, to ja przepraszam – powiedziała Annie. – To nie twoja wina.

– Naprawdę się o nią martwisz, prawda? – spytał Jamie.

– A ty nie? – rzuciła Annie.

– Tak – zgodził się Jamie. – Oczywiście.

Annie wstała.

– Musiało stać się coś złego. W Brukseli jest teraz szósta rano. Oliwia nie czuła się na tyle dobrze, żeby wstać i wyjść z domu. A poza tym czekała przecież na wiadomość od nas. Jamie, naprawdę musiało stać się coś bardzo złego. Wiem o tym.

– W porządku – odparł, czując, jak udziela mu się strach Annie. – Dobrze, zadzwońmy na posterunek policji w Brukseli.

– Chwileczkę – wtrąciła Carrie, odkładając powieść Sendera. – Chciałabym zadać Michaelowi jedno pytanie.

Michael zdawał się nie słyszeć jej.

– Czy osoba, która próbowała zabić Oliwię, nadal na nią poluje?

Nie poruszył się.

Jamie podniósł się z miejsca.

– Michael?

Michael z wolna podniósł wzrok na kuzyna i po raz pierwszy w jego oczach pojawiła się niepewność.

– Michael? – powtórzył Jamie z niedowierzaniem. – Czy Carrie ma rację?

– A skąd mam to wiedzieć? – odezwał się cicho Michael.

Jamie rzucił się na niego z rykiem i ściągnął z krzesła. Chociaż w przeszłości był już kilka razy naprawdę wściekły, nigdy wcześniej nie doznał uczucia tak gwałtownego i nieposkromionego gniewu. Prawą pięścią uderzył kuzyna w brzuch, lewą w twarz. Usłyszał jęk bólu, ale to mu nie wystarczyło. Zupełnie nie kontrolując własnych poczynań, ze wściekłością chwycił Michaela za gardło i zaczął ścisnąć obiema rękami...

– Jamie! Przestań! – Annie próbowała go odciągnąć, ale jej nie słyszał. Nie myślał logicznie, nie był sobą. – Niech ktoś go powstrzyma, zanim zabije Michaela!

– Peter! – Daisy krzyknęła histerycznie, trzymając kurczowo kieliszek. – Peter, zrób coś, na litość boską!

– Na twoim miejscu pozwoliłabym mu dokończyć dzieła – stwierdziła Carrie ze spokojem.

– Jamie! Nie! – Annie próbowała rozdzielić mężczyzn własnym ciałem. – Jamie, pomyśl o Oliwii, co będzie z nią!

Natychmiast oprzytomniał, rozluźnił uścisk, pozwalając, aby Michael osunął się na podłogę i łapiąc gwałtownie oddech, uderzył z impetem o regał z książkami. Nikt nie pospieszył mu z pomocą, nikt do niego nie podszedł. Annie mocno objęła Jamiego wstrząsanego dreszczami i trzymała go w uścisku.

Peter wstał.

– Co teraz zrobisz? – zapytał twardym głosem. – Co zamierzasz zrobić, żeby to przerwać?

– Nic – wychrypiał Michael. Po raz pierwszy, od kiedy Louise opuściła bibliotekę, wyglądał na naprawdę przerażonego. – Jak mogę powstrzymać coś, o czym niczego nie wiem?

– Ależ na pewno wiesz – zaproponował Peter.

– Nawet gdyby tak było – odrzekł Michael – i tak pewnie nic nie mógłbym zrobić.

– Dlaczego? – zapytał Peter. – Dlaczego?!

– Ponieważ, jeśli wasze przypuszczenia są słuszne – zaczął Michael, uważnie dobierając słowa – to zakładam, że temu mężczyźnie już zapłacono za to, co miał zrobić. A w takim wypadku kontakt z nim jest niemożliwy.

Jamie odsunął się od Annie.

– Jak to niemożliwy? – Wybuch największej wściekłości miał już za sobą, ale w jego oczach nadal gorzała nienawiść. – Musi być jakiś sposób.

Michael ciągle siedział na podłodze oparty o półki. Czarny krawat zwisał mu bezwładnie z szyi, dwa górne guziki koszuli miał rozpięte, a na dolnej wardze i wokół nosa pojawiła się krew.

Powoli pokręcił głową, spoglądając na kuzyna.

– Wątpię w to – stwierdził.

Ostry, wyważony głos Carrie rozładował atmosferę wzburzenia panującą w pomieszczeniu.

– Muszę stwierdzić, Annie – powiedziała – że jeśli sama nie zechcesz zażyć sobie kilku tabletek valium po tym małym przedstawieniu, będę musiała cię do tego zmusić.

Annie wydała z siebie dziwny odgłos – ni to śmiech, ni szloch.

A Jamie podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

W Brukseli właśnie wybiła siódma rano. Kilka stóp nad głową Oliwii, nad piwnicą, mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce skończył to, co miał do zrobienia. Zamknął na klamkę drzwi od piwnicy (nie użył klucza, jako że śmierć kobiety miała wyglądać na przypadkową), a następnie wkręcił z powrotem, uprzednio zdemontowany, bezpiecznik. Podłączył telefon, wstawił szybkę, którą wybił, wchodząc do mieszkania, pościelił łóżko w sypialni i przywrócił całe mieszkanie do normalnego wyglądu. Przez cały ten czas Cleo, nadal obolała po zarobionym kopniaku, siedziała przycupnięta w korytarzu za wieszakiem na ubrania, drżąc ze strachu i odraży.

Oliwia zdołała ustalić, że sejf miał konstrukcję podobną do dawnych lodówek. Nawet jeśli jego drzwi nie były zamknięte na klucz, otwarcie ich od wewnątrz było niemożliwe. W pomieszczeniu panowały egipskie ciemności. Powietrze było chłodne i zatęchłe. Co prawda, Oliwia wymacała palcami zdrowej ręki dwa małe otwory w tylnej ścianie schowka, ale były zbyt małe i zabrudzone, żeby doprowadzić do pomieszczenia wystarczającą ilość świeżego powietrza. Zrozumiała, że jeśli szybko nie zjawi się pomoc, po prostu udusi się w tej klitce. Niejasno przypominała sobie, że podobno istnieje jakiś wzór matematyczny, pozwalający obliczyć, jak długo człowiek przeżyje przy ograniczonej ilości tlenu, ale i tak go nie pamiętała. Wiedziała, że

wołanie o pomoc jest całkowicie bezsensowne – i tak nikt jej nie usłyszy, a z pewnością zmarnotrawi w ten sposób więcej powietrza, niż siedząc i czekając. Tyle że Oliwia nigdy nie potrafiła siedzieć beczynn timer. Musiała się wydostać i działać, coś zrobić. Tak jak wtedy, gdy pojechała do Londynu, otworzyła pudełko i dała początek tej całej historii.

Zastanawiała się, jak też radzi sobie Annie, i czy Jamie poznał już prawdę na temat Michaela i Juana Luisa. Uznała, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa próbowali skontaktować się z nią i miała nadzieję że prędzej czy później zaczną się o nią martwić i wyślą kogoś, aby sprawdził, czy nic się jej nie stało. Zmuszała się, aby nie myśleć o najbardziej prawdopodobnej możliwości: nawet jeśli ktoś przyjdzie do jej mieszkania, nigdy nie wpadnie mu do głowy, aby sprawdzić stare, nie używane drzwi do piwnicy, które na dodatek w ogóle nie należały do wynajmowanej posesji.

Siedząc w ciemnym, zimnym schowku pozwoliła zawładnąć sobą fali silnej, zwierzęcej paniki. A potem, gdy kryzys minął, dzielnie przekonywała samą siebie, że najgorszy strach ma za sobą, że teraz wytrzyma już wszystko i nie oszaleje. Chyba wolałaby raczej umrzeć niż zwariować ze strachu. Lecz jeśli miała być ze sobą szczerą, to musiała przyznać, że co jak co, ale strach na pewno nie zniknął.

A na dodatek nie miała pojęcia, ile czasu jej jeszcze zostało.

Inspektor z brukselskiej policji wyjaśnił Jamiemu, że całą noc patrolowano rue Charles Hanssens i nie zauważono niczego niezwykłego.

– Jeśli podejrzewa pan, że coś mogło się stać – dodał – mogę wysłać tam samochód, żeby jeszcze raz wszystko sprawdzono...

– Ale z ulicy możecie niczego nie zobaczyć! – krzyknął Jamie, bezskutecznie próbując zapanować nad sobą. – Na litość boską! Mówiłem wam, że ktoś próbuje ją zabić i powtarzam, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, spróbuje jeszcze raz, a może już to zrobił!

Rzucił słuchawkę na widełki i w tym samym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Daisy wstała, żeby otworzyć, i w progu stała Louise, wyraźnie pobladła i przybita.

– Przyjęcie wreszcie się skończyło – oznajmiła. – Wszyscy wyszli. Naprawdę, nie jest łatwo taktownie wyprosić ludzi z własnego domu. – Urwała. – Wszyscy tak dobrze się bawili.

– Nikt więc nie zauważył nieobecności naszego solenizanta – skomentowała Carrie. – Mówię ci, Louise, to dlatego, że jesteś taką świetną organizatorką.

Louise spojrzała na Michaela, zauważyła smugi krwi na jego twarzy i koszuli, ale nie skwitowała tego ani jednym słowem.

– Czy zaszło coś nowego? – rzuciła w przestrzeń.

– Owszem. – Peter ponownie wstał z fotela, podszedł do krzesła, na którym siedział teraz Michael, i kopnął go z całej siły nogą obutą w elegancki but od Bennis & Edwardsa. – Ten skurwiel będzie musiał obudzić swojego pieprzonego pilota i kazać mu ruszyć leniwy tyłek na lotnisko Newport State. Trzeba przygotować samolot, który zawiezie tych ludzi do Bostonu, tak aby zdążyli złapać pierwszy samolot do Brukseli.

– Dlaczego? – spytała Louise.

– Bo twój mąż twierdzi, że nie ma sposobu na powstrzymanie człowieka, który zamierza zabić Oliwię.

– W takim razie, rzeczywiście muszą tam polecieć. – Louise padała z nóg, lecz mimo to zdołała odzyskać spokój, a nawet przejąć dowodzenie. – Peter, a może ty zawiadomiłbyś pilota? – Obrzuciła Michaela krótkim, pogardliwym spojrzeniem. – Jak by nie było – dodała – teraz ty tu rządzisz.

Oliwia straciła rachubę czasu. Siedziała przez chwilę w pozycji, będącej nieudolnym naśladowaniem pozycji kwiatu lotosu i próbowała opanować przerażenie, stosując techniki relaksacyjne jogi. Ale prawie natychmiast uświadomiła sobie, że oddycha zbyt głęboko i pewnie zużywa zbyt dużo cennego powietrza, a nie miała na tyle doświadczenia i siły woli, aby zmusić się do płytszego oddychania. Ta myśl spowodowała nowy atak paniki, adrenalina coraz szybciej krążyła w jej żyłach. Podała się temu nastrojowi, waliła w stalowe ściany i dach swojego więzienia, płakała, złorzeczyła, histerycznym głosem wzywała pomocy. A potem nagle uspokoiła się, usiadła na wpół przytomna, wyczerpana bezsensownością swoich prób. Siedziała tak długi czas. Być może, należało zrobić to, co doradzał jej mężczyzna. Zasnąć, poddać się, zdać na los.

Spała kilka minut, a może godzin, a gdy obudziła się, opanowała ją nagle myśl, że coś przegapiła, że, zamiast coś zrobić, siedziała tu, czekając na ratunek lub śmierć.

Świeczniki. Niezdarnie badała ręką podłogę, aż natknęła się na jeden z nich i przyciągnęła z trudem do siebie.

Dwa otworki w tylnej ścianie. Cały czas miała ze sobą odpowiednie narzędzie i nie pomyślała, żeby go użyć. Oliwio, co się z tobą dzieje? – wyrzucała sobie w myślach.

Obmacywała świecznik w ciemnościach, szukając jakichś ostrych krawędzi. Niestety, był zupełnie gładki, owalny, z inkrustacją w kształcie liści. Jediną częścią, która ostatecznie nadawałaby się do tego, co zamierzała zrobić, był szpikulec do osadzania świecy. Więc użyj go, ty głupia kobieto! – nakazała sobie.

Walka była z góry skazana na niepowodzenie. Srebro było zbyt miękkie, a stalowe ściany zbyt grube i twarde. Oliwia stwierdziła, że po nieudanej próbie poszerzenia małych otworów znowu pograża się we łzach. To bez sensu – przecież to jest sejf, pieprzona stalowa pułapka, zbudowana tak, aby nie mogły sforsować jej wytrychy i klucze włamywaczy! Traci tylko bezcenny tlen, a jedyne, co osiągnie, to to, że jeszcze szybciej się udusi.

Policja w Brukseli poinformowała, że nikt nie otworzył oficerom, którzy krótko po ósmej rano dzwoniли do drzwi mieszkania Oliwii. Założyli, że Oliwia, słuchając ich rady, wyprowadziła się najpewniej do hotelu.

– Bernard Martens – oświadczyła Annie, gdy wraz z Jamiem czekali na lotnisku w Newport na pilota, który miał ich odwiedzić odrzutowcem Ariasów do Bostonu. – Bernard nam pomoże.

Annie miała rację. Zadzwonili do niego. Nie musieli wiele mówić. Wystarczyła informacja, że Oliwia jest prawdopodobnie w niebezpieczeństwie. Chociaż Bernard od powrotu z wyprawy na Daleki Wschód ograniczył swoje kontakty z Oliwią do minimum, nadal mu na niej zależało.

– Pojadę tam od razu – powiedział Jamiemu.

– Powiedz to policji – odparł Jamie. – Może uda ci się namówić ich, żeby pomogli ci dostać się do środka.

– To nie będzie konieczne – stwierdził Bernard. – Nadal mam klucz do jej mieszkania.

– To świetnie. – Jamie poczuł niewyobrażalną ulgę. – Dziękuję, Bernardzie.

– Nie ma za co – rzucił Bernard, wkładając kurtkę. – Jeśli będziesz mógł, zadzwoń po przylocie do Bostonu. Mam nadzieję, że będę miał dobre wieści.

– Nie ma jej tam – oznajmił, gdy zadzwonili z Logan o wpół do szóstej miejscowego czasu. – Byłem w środku, sprawdziłem całe mieszkanie i sądzę, że policja ma rację, nie ma tam nic, co wskazywałoby, że stało się coś niedobrego. Prawdę mówiąc – dodał – jeszcze nigdy nie panował tam taki nieskazitelny porządek.

– Może rzeczywiście policja ma rację – zasugerowała Annie, gdy Jamie odwiesił słuchawkę. – Może pojechała do hotelu.

– Może – zgodził się Jamie.

Dopiero siedząc w samolocie do Paryża, dopadło go nagle straszne przypuszczenie.

– Annie?

Annie, która drzemała niespokojnie, otworzyła oczy.

– Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby w domu Oliwii panował nieskazitelny porządek? Tak to określił Bernard.

Annie wyprostowała się na fotelu.

– Nie. Rzeczywiście. Liwi lubi chaos – czy też, kontrolowany chaos.

– A nawet gdyby chciała się czymś zająć i wzięła się do sprzątania...

– Nie zrobiłaby wiele z unieruchomioną ręką – dokończyła Annie.

– Co oznacza... – ciągnął Jamie, przełykając głośno ślinę. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, że jego przypuszczenie może być prawdziwe. – Co oznacza, że jeśli rzeczywiście panował tam taki porządek, o jakim mówił Martens...

– To musiał zrobić go ktoś inny.

Jednocześnie ruszyli w kierunku kabiny pilota i poprosili, aby przy pomocy radia pokładowego połączył ich z policją w Brukseli.

Oliwia leżała w półśnie na podłodze skrytki. Nagle wydało się jej, że słyszy jakiś słaby odgłos, dochodzący gdzieś znad jej głowy. W mgnieniu oka usiadła i, lekko ogłuszona, nasłuchiwała. Znowu to usłyszała.

Czyżby kroki?

Wspięła się na palce i zaczęła głośno wzywać pomocy. Była osłabiona, więc chociaż jej krzyk odbijał się gromkim echem od ścian sejfu, nie był wystarczająco głośny. Jednak nie przestawała, krzyczała bez ustanku, przerywając co jakiś czas w nadziei, że usłyszy odzew. Przyłożyła usta do dziurek w ścianie schowka, po czym przypomniała sobie o świeczniku i

zaczęła z całych sił walić nim w stalową klapę. Przenikliwy, metaliczny odgłos z podwójną siłą wracał do jej uszu niemal ją ogłuszając, a gwałtowne ruchy spowodowały, że na nowo pojawił się ostry ból chorej ręki. Mimo to nie przestawała krzyczeć, ryzykując wyczerpanie ostatnich zapasów sił i tlenu.

Ale Bernard Martens, który krok po kroku przeszukiwał każdy cal mieszkania, nie słyszał nic. Zupełnie nie pomyślał o piwnicy. Podobnie jak Oliwia wiedział przecież, że piwnica nie była używana, a jej drzwi zamknięto na głucho i nikt nie miał klucza.

Dopiero gdy dawno już sobie poszedł, Cleo, zbyt przerażona, by ukazać się komukolwiek, wyszła ze swego ukrycia za wieszakiem w holu i, machając ogonem, wolno podeszła do drzwi piwnicy.

Tam ułożyła się wygodnie i zwinięta w kłębek czekała, aż pojawi się jej pani.

Ta natomiast spała skulona w ciemnościach kilka stóp niżej, czekając na śmierć.

Rozdział 25

Kiedy samolot, którym lecieli z Paryża, wylądował w końcu na lotnisku Zaventem, była prawie ósma wieczorem. Jamie i Annie dawno przestali rozmawiać o tym, co mogło spotkać Oliwię. Ich wyobraźnia, już wystarczająco pobudzona wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin, teraz pracowała intensywnie. Obojga trawiło dziwne, zabobonne przekonanie, że lepiej nie mówić głośno o swoich obawach, aby nie nabrały realnych kształtów.

– Czy nie powinniśmy jeszcze raz zadzwonić na policję? – spytała Annie, łapiąc oddech po szaleńczym biegu. Stali zniecierpliwieni w kolejce do kontroli paszportowej. – A może do Bernarda Martensa?

– Szkoda czasu – rzucił Jamie przez zaciśnięte zęby. – Po prostu chodźmy!

Nie mieli żadnego bagażu do oclenia, toteż bez zwłoki ruszyli w kierunku wyjścia z lotniska. Annie pierwszy raz w życiu widziała Jamiego w takim stanie. Biegł jak szalony, roztrzucając wózki bagażowe, potracając ludzi. Wpadł na postój taksówek i odpychając czekających w kolejce, rzucił kierowcy pierwszego samochodu garść banknotów, każąc mu jechać jak najszybciej do domu Oliwii. Dziki wyraz jego oczu i mocno zaciśnięte szczęki uświadomiły Annie, że Jamie doskonale zdaje sobie sprawę, że mają coraz mniej czasu. Wstrząsnął nią dreszcz przerażenia.

Gdy dotarli na rue Charles Hanssens było już prawie ciemno.

– Jak dostaniemy się do środka? – spytała Annie, stojąc na wybrukowanym chodniku przed domem Oliwii; taksówka, którą przyjechali, zniknęła właśnie za rogiem rue des Minimes. – Wiedziałam, że powinniśmy byli zadzwonić po Bernarda.

– Zbiję szybę w oknie – oznajmił Jamie, zdejmując kurtkę i owijając nią prawą rękę.

– Ty naprawdę uważasz, że Bernard coś przegapił? – spytała Annie, obserwując szeroko otwartymi oczami opustoszałą ulicę. Jamie podszedł prosto do okna salonu i uderzył osłoniętą ręką w szybę. – Jesteś pewien, że ona nadal tam jest, prawda?

– Nie wiem. – Jamie próbował dosięgnąć klamki okna.

– Daj, ja to zrobię, mam chudsza rękę.

– Nie trzeba – powiedział z wysiłkiem. – Już ją chwyciłem. – Okno miało skrzydła przesuwane pionowo, więc nietrudno było je otworzyć. Po chwili był już w środku i otwierał Annie drzwi wejściowe.

– Zapal światło – poleciał i ruszył w kierunku salonu.

– Bernard miał rację – stwierdziła Annie, idąc tuż za nim. – Tu jest idealny porządek.

Wszystko leżało na swoim miejscu, każda poduszka równo ułożona, gazety w jednym miejscu, żadnych brudnych naczyń.

– To nie Oliwia – rzekł Jamie. – Ona nigdy w życiu tak by nie posprzątała.

Annie zatrzymała się nagle.

– Cleo. Czy Bernard wspominał coś o kocie?

– Nie.

Jamie ruszył do sypialni, ale Annie stwierdziła, że nie zmusi się, aby wejść tam z nim. We wszystkich koszarach, które jawiły jej się podczas długiego lotu, właśnie tam, w sypialni, znajdowali Oliwię. Wiedziała, że nie jest to możliwe, Liwi nie mogło tam być, przecież Bernard sprawdził wszystkie pomieszczenia. Mimo to Annie nadal oczyma wyobraźni widziała przyjaciółkę tam właśnie leżącą, przerażoną, raną albo jeszcze gorzej...

– Cleo! – zawołała głośno.

– Żadnych śladów – oznajmił Jamie, wychodząc z sypialni. Annie wzięła głęboki oddech i jeszcze raz zawołała kotkę.

– Może Oliwia wzięła ją ze sobą? – zasugerował Jamie.

– Więc myślisz, że może jednak wyprowadziła się gdzieś? – spytała Annie z nadzieją w głosie.

– Nie. – Jamie potrząsnął bezsilnie głową. – Tak. Boże, chciałbym wiedzieć.

– Sprawdź w kuchni – rzekła Annie.

Kuchnia także była starannie wysprządana, ale w rogu pomieszczenia siedziała kotka, skulona pod stołem, z oczami pociemniałymi ze strachu.

– Tu jest Cleo – krzyknęła Annie do Jamiego.

Kotka zasyczała na nią.

– Kochanie, co się stało? – Annie przykucnęła, aby ją złapać, ale zwierzę wygięło grzbiet, ogon agresywnie podniosło do góry i ponownie syknęło.

Jamie zbliżył się do stołu.

– Uważaj – rzuciła Annie cicho. – Coś ją zdenerwowało. Zawsze była takim przyjacielskim stworzonkiem.

Powoli, ostrożnie wyciągnęła przed siebie rękę. Cleo nieufnie obwąchała dłoń i nerwowo odskoczyła. Jednak Annie nie poruszyła się i czekała cierpliwie, przemawiając łagodnie i uspokajająco do zwierzęcia. Po chwili kotka podniosła się i wyszła spod stołu.

– Dobry kociak – powiedział Jamie cicho.

Cleo otarła się łebkiem o dłoń Annie.

– Może jest po prostu głodna? – skonstatowała Annie.

– Naje się, kiedy znajdziemy Oliwię – stwierdził Jamie.

Kotka ruszyła za Annie, obchodząc Jamiego szerokim łukiem. Ostrożnie wybiegła z kuchni do holu i zatrzymała się przed drzwiami do piwnicy.

Głośno miauknęła.

– W porządku, kochanie – rzuciła Annie, spoglądając na nią. – Wiem, że umierasz z głodu, ale Jamie ma rację, musisz poczekać.

Cleo ponownie zamiauczała i usiadła na tylnych łapach.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Jamie, wychodząc z kuchni.

– Zadzwoń do Bernarda i sprawdź, czy nie ma nowych wiadomości.

Jamie wrócił do salonu.

Cleo wyciągnęła prawą łapę i zaczęła drapać w drzwi do piwnicy.

Annie spojrzała na drzwi.

– Nie ma żadnego wejścia do piwnicy, prawda? – krzyknęła do Jamiego.

– Nie – odkrzyknął. – Oliwia mówiła, że te drzwi są od zawsze zamknięte.

Cleo podniosła się, wygięła w łuk i zaczęła skrobać obiema łapami w drzwi.

– Jamie – krzyknęła Annie cicho ponagląjącym tonem. – Chodź tutaj.

Wrócił do holu, spojrzał na kota i całe napięcie powróciło.

– Spróbuj przekręcić gałkę – powiedział.

Gałka obróciła się swobodnie w dłoni Annie. Pociągnęła mocno, ale bez skutku.

– Zamknięte na klucz – oznajmiła.

Jamie oblizwał wyschnięte wargi i powiedział:

– Pchnij.

Silnie pchnęła drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem. Kotka podskoczyła, syknęła i uciekła do kuchni. Annie poczuła, że serce wali jej w piersi jak szalone.

– O Boże! – powiedziała cicho.

Jamie wysunął się przed nią i zaczął macać ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Znalazł go tuż przy drzwiach i przekreślił. Nic.

– Potrzebujemy latarki – stwierdziła Annie.

– Kuchnia – rzucił Jamie.

Z trzaskiem otwierali wszystkie szafki. Gdy Annie przeszukiwała ostatnią, Cleo uciekła do swojej kryjówki za wieszakiem w holu.

– Mam – powiedziała, kierując światło latarki prosto na Jamiego.

Wybiegli do przedpokoju; na ułamek sekundy zatrzymali się i spojrzeli sobie głęboko w oczy, widząc w nich te same obawy i nadzieje, po czym Jamie włączył latarkę i ruszył po schodach w dół.

– Oliwio!

– Jamie, uważaj – ostrzegła Annie, idąc tuż za nim.

– Oliwio? – zawołał raz jeszcze. Zatrzymał się na dole schodów i obrócił, aby pomóc Annie. Potem wolno omiół całe pomieszczenie snopem światła padającym z latarki. Piwnica była obszerna. Przy ścianach stało pełno pustych stelaży, pewnie kiedyś przechowywano na nich butelki z winem. Przed jednym z nich złożono na stosie kilka drewnianych skrzynek, ale poza tym, oprócz starego sejfu na środku, piwnica była dokładnie wysprządana. Nie było żadnych ukrytych zakątków, które można by przeszukać.

– Tu nic nie ma. – Głos Annie wyrażał uczucia, które ich opanowały: rozczarowanie pomieszane z ulgą.

Jamie rozglądał się przez chwilę po pomieszczeniu, oświetlając to sufit, to ściany i uważnie badając wzrokiem wszystkie kąty piwnicy.

– Nic – przytaknął bezbarwnym głosem.

– Ja naprawdę myślałam... – zaczęła Annie.

– Wiem. Ja też.

Jamie odwrócił się i powiedział:

– Lepiej wracajmy na górę. Zadzwońmy do Bernarda, trzeba też sprawdzić kilka hoteli.

– Może Liwi kontaktowała się z policją?

– Miejmy nadzieję.

Annie ruszyła przodem, ale zaraz się zatrzymała.

– O co chodzi? – spytał Jamie.

– Wydaje mi się, że słyszałam Cleo.

– Głupi kot – rzucił Jamie. – Tam na górze myślałem przez moment, że ona naprawdę coś wie.

Dźwięk powtórzył się, dochodził gdzieś zza ich pleców. Jamie, stojąc na trzecim schodku, obrócił się i skierował snop światła na piwnicę.

– Tam – powiedziała Annie, pokazując palcem. – Pewnie przyszła tu za nami.

Cleo leżała koło starego sejfów i machając ogonem, obwąchiwała zakurzone stalowe drzwiczki.

– O Boże – rzekła Annie. – Ty nie... – Strach ścisnął jej gardło.

Jamie zszedł w milczeniu ze schodów i powoli podszedł do sejfów. Serce prawie przestało mu bić.

Oboje wpatrywali się w sejf. Drzwiczki nie miały żadnego zamka cyfrowego ani klucza, miały tylko klamkę.

– Spróbuj otworzyć, Jamie – powiedziała Annie drżącym głosem.

Stał bez ruchu, jakby jej nie słyszał.

– Jamie, spróbuj.

Potrząsnął głową w rozpacz. Jeśli Oliwia była tam, w środku...

– Spróbuj! – powtórzyła Annie.

Jamie, drżąc z przerażenia, wyciągnął prawą dłoń i pociągnął za klamkę. Obróciła się i głośno szcęknęła. Cleo odskoczyła ze strachu i uciekła.

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna – powtarzał bezgłośnie słowa modlitwy.

– Jamie, otwórz – rzuciła Annie niespodziewanie ostrym tonem.

Pociągnął klamkę i drzwiczki stanęły otworem.

Oliwia leżała na podłodze zwinięta w kłębek. Prawą rękę podłożyła sobie pod głowę, a lewą, nadal spoczywającą na brudnym temblaku, zasłoniła twarz. Miała na sobie jedynie lekką koszulę nocną bez rękawów, spod której wystawały gołe stopy. Nie ruszała się.

Z miejsca, w którym stali Jamie i Annie, wydawało się, że również nie oddycha.

Patrzyli bez słowa.

Jamie oddał Annie latarkę i sięgnął do środka sejf. Delikatnie objął Oliwię i poczuł, że jej ciało jest zimne i bez życia. Gdy wyniósł ją ze schowka, zrozumiał nagle, co mają na myśli ci, którzy mówią o złamanym sercu.

Annie oświetliła twarz Oliwii i przyłożyła palce do jej szyi.

– Połóż ją na podłodze – powiedziała oschle.

Jamie mocniej objął Oliwię i przysunął twarz do jej włosów. Gdzieś w głębi serca czuł narastający ból, ale na razie tłumił go gniew, potęgujący się z każdą chwilą.

– Połóż ją, Jamie – powtórzyła Annie ostrzej. – Szybko.

Spojrzał na nią bezmyślnie.

– Jamie, na litość boską, zrób to!

Delikatnie ułożył Oliwię na podłodze. Annie odsunęła go zdecydowanie. W ostatnich dniach poznawał coraz to nowe oblicza przyjaciółki. Teraz była silna, zdecydowana, pewna siebie. Zobaczył, że bada puls Oliwii...

– Żyje – oznajmiła Annie z nadzieją w głosie. – Jamie, potrzebna nam pomoc. Dzwoń po karetkę. – Spojrzała na niego i zobaczyła, że nadal jest w szoku, więc podnosząc głos, powtórzyła: – Zadzwoń po karetkę i powiedz im, że mamy tu przypadek znacznego wyziębienia organizmu, objawy duszności, a może coś jeszcze.

Wbiegł po schodach na górę.

– I przynieś koc – dorzuciła Annie.

Kątem oka zauważyła kotkę, która zbyt zdenerwowana, by podejść, siedziała pod ścianą. Annie nie myślała jednak teraz ani o Cleo, ani o Jamiem, skupiając całą uwagę na Oliwii. Wiedziała, co trzeba zrobić. Gdy William i Sophie byli mali, nauczyła się udzielać pierwszej pomocy. Teraz musiała jedynie uspokoić się i wykorzystać swoje umiejętności...

Wtedy zobaczyła, że Oliwia nieznacznie porusza się i oddycha. Odetchnęła, po czym sprawnie ułożyła Oliwię w odpowiedniej pozycji. Nie mogła na razie zrobić nic więcej i okryła ją swoim żakietem. Delikatnie głaszcząc po głowie, przemawiała do niej łagodnie i cicho, czekając na przyjazd karetki.

To przede wszystkim hipotermia, tłumaczyli w szpitalu Saint-Jean, starając się uprzejmie i spokojnie odpowiadać na pytania, którymi zasypał ich Jamie. No i oczywiście wyczerpanie, ale kobieta najwyraźniej ma bardzo silny organizm. Nie, Jamie nie może jej teraz zobaczyć. On i pani Thomas spędzili z nią wystarczająco dużo czasu. Może później, jeśli obieca, że wejdzie do niej tylko na chwilę.

Kiedy w końcu pozwolili mu wejść, Oliwia leżała na plecach z zamkniętymi oczami. Ręka w gipsie spoczywała na nowym, czystym temblaku.

Bardzo ostrożnie, starając się nie obudzić przyjaciółki, Jamie usiadł na krześle.

– Czemu usiadłeś tak daleko? – odezwała się z zamkniętymi oczami. – Chodź, usiądź na łóżku, tylko uważaj na rękę.

– Myślałem, że śpisz. – Przysiadł ostrożnie po prawej stronie łóżka.

Oliwia otworzyła oczy.

– Gdzie jest Annie?

– Znowu rozmawia z policją.

– Czy złapali tego mężczyznę?

– Chyba nie. Jeszcze nie. Ale na pewno go złapią.

– Lekarze mówią, że za drzwiami siedzi strażnik.

Jamie skinął głową:

– Tak. Będzie tam, dopóki to się nie skończy.

Oliwia spojrzała mu w oczy.

– A jak ty sobie radzisz?

– Teraz, kiedy wiem już, że nic ci się nie stało – jest lepiej.

– A jak czują się inni?

– Masz na myśli Michaela, tak?

– I twojego brata. – Urwała. – To musiał być dla was potworny szok.

– I kto to mówi? – powiedział Jamie cichym głosem. – Przepraszam, Oliwio. Tak strasznie mi przykro.

Była zdziwiona.

– Z jakiego powodu mnie przepraszasz?

– To moja rodzina. Michael zamordował rodziców twoich i Annie.

Oliwia spróbowała się podnieść, ale miała z tym spore trudności.

– Jamie, przestań. Nie ponosisz odpowiedzialności za to, co się stało. Przecież twój ojciec też zginął.

– Tak.

– W takim razie, przestań! Słyszysz? To nie twoja wina. Rodzina nie ponosi zbiorowej odpowiedzialności.

Jamie uśmiechnął się ponuro.

– Łatwo powiedzieć...

Oliwia wzięła go za rękę.

– Kocham cię, Jamie – wyszeptała.

– Wiem. Ja też cię kocham. – Umilkł. – Wiesz, przyszedł Bernard.

– Naprawdę? Biedny Bernard.

– Czuje się okropnie – ciągnął Jamie – ponieważ nie pomyślał o drzwiach do piwnicy.

– A skąd miał wiedzieć? – rzekła Oliwia. – Mam nadzieję, że mu to wytłumaczyłeś.

– Chyba ty sama musisz mu to powiedzieć.

Oliwia skinęła głową.

– Może tak. Później.

Drzwi się otworzyły i do środka ostrożnie weszła Annie.

– Możesz wypuścić powietrze – stwierdziła ciepło Oliwia.

Annie, uważając na złamaną rękę, objęła ją delikatnie, po czym odsunęła się od łóżka i przyjrzała przyjaciółce:

– Dobrze wyglądasz, aż trudno w to uwierzyć.

– A ty wyglądasz okropnie – odparła Oliwia, ściskając jej dłoń. – Zatrósz się o siebie – dodała, i patrząc na Jamiego, stwierdziła: – Oboje musicie odpocząć.

Annie usiadła na krześle.

– Nie zostaniemy długo.

– Co mówi policja? – zapytała Oliwia.

– Niewiele. Opowiedziałam im wszystko, a to zajęło trochę czasu.

– I co zamierzają zrobić? – spytał Jamie z krzywym uśmiechem. – Czy skontaktowali się z policją z Rhode Island?

– Jeszcze nie – odrzekła Annie. – Mówią, że jest za wcześnie.

– Za wcześnie na co? – zdziwiła się Oliwia.

Annie popatrzyła nieszczęśliwym wzrokiem.

– Chyba powinniśmy dać sobie spokój do jutra. Powinnaś się przespać, Liwi. A my też musimy trochę odpocząć.

– O co chodzi, Annie? – Oliwia zaniepokoiła się.

– Możesz nam powiedzieć – stwierdził Jamie. – Ona i tak nie zaśnie, dopóki nie dowie się wszystkiego.

Annie zawahała się, po czym powiedziała:

– Twierdzą, że nie mają wystarczających dowodów, aby wszcząć postępowanie przeciwko Michaelowi.

– Jak to?! – oburzył się Jamie. Czuł, że gniew i niedowierzenie znowu w nim narastają. – To czego jeszcze potrzebują?!

– Wszystkie dokumenty, które mamy, oskarżają o zbrodnie wojenne Juana Luisa, natomiast nie ma żadnych wiarygodnych dowodów przeciwko Michaelowi. – Annie urwała. – Przynajmniej dopóki nie złapią mężczyzny w skórzanej kurtce.

– Ale Michael niemalże potwierdził, że to on kryje się za wypadkiem naszych rodziców – rzekł Jamie.

– „Niemalże” nie wystarczy – stwierdziła Annie. – Zwłaszcza gdy reszta rodziny nas nie poprze.

– Wtedy w bibliotece nikt nie miał żadnych wątpliwości, Annie – zauważył Jamie. – Wszyscy to wiedzieliśmy. Nawet Louise uwierzyła.

– Wiem – odparła łagodnie Annie. – Ale Michael nie powiedział, że przyznaje się do postawionych mu zarzutów.

– A nawet gdyby to powiedział – wtrąciła Oliwia – to i tak inni mogą stanąć po jego stronie i kryć go.

Annie i Jamie nie odpowiedzieli.

– Każde z nich ma wiele do stracenia, Jamie – dodała, widząc, jak ogarnia go rozpacz.

– Słuchajcie – zaczęła Annie. – Nie martwmy się na zapas. Policja nie powiedziała, że nam nie wierzy. Stwierdzili jedynie, że nie mogą prosić swoich amerykańskich kolegów, aby aresztowali Michaela, dopóki nie mają wystarczających dowodów. – Urwała. – Helikopter rozbił się prawie dwadzieścia lat temu. Śledztwo wykazało, że przyczyną katastrofy była awaria techniczna.

- Musimy spowodować, żeby wznowiono śledztwo – stwierdziła Oliwia.
- To nie będzie łatwe – zauważyła Annie.
- Nic, co zrobiliśmy do tej pory, nie było łatwe – zaprotestowała Oliwia.
- Być może – rzekł Jamie – sprawa ruszy się, gdy znajdą tego mężczyznę.
- Albo Michael przyzna się do winy – zakończyła Oliwia.

Rozdział 26

Pakt 1995

Minął tydzień. Oliwia wyszła ze szpitala i wróciła z Jamiem do mieszkania przy rue Charles Hanssens. Po długich przekonywaniach Annie zgodziła się wrócić do Anglii, gdzie czekał na nią Edward nieprzytomny z przerażenia po usłyszeniu wstrząsających wieści.

Upłynął kolejny tydzień. Brukselska policja nie wpadła na trop mężczyzny w skórzanej kurtce. Bez pomocy innych osób, czy to w Europie, czy w Stanach, istniały nikłe szanse na złapanie go. Chyba że podczas ponownej próby napadu, ale Oliwia, Jamie i Annie byli już niemal stuprocentowo pewni, że tego nie zaryzykuje. Prawdopodobnie zlecenie zostało odwołane, zwłaszcza że teraz, gdy tyle osób znało już fakty – nie wspominając o sprawie Juana Luisa Ariasa – zamordowanie Oliwii niczego by nie zmieniło.

Jamie, będąc jeszcze w Brukseli, wielokrotnie dzwonił do Petera i Louise. Jednak chociaż dzwonił zarówno do Newport, jak i Bostonu oraz Nowego Jorku, do Arias Shipping i pod prywatne numery krewnych, nie rozmawiał z żadnym z nich. Daisy także była nieosiągalna. Nawet Carrie, która niezwłocznie odpowiedziała na jego telefon, szybko rozwiała wszelkie złudzenia. Stwierdziła, że jej wersja wydarzeń, które miały miejsce tamtej nocy w bibliotece, będzie nic nie warta, jeśli pozostali jej zaprzeczą.

– Zwarli szeregi – oznajmiła Oliwia, dzwoniąc do Annie dziesiątego sierpnia. Jamie słuchał ich rozmowy przez telefon w sypialni. – Wiedziałam, że tak będzie.

– Ale jak mogli tak postąpić? – Annie była naprawdę poruszona.

– To oczywiste – odrzekła Oliwia. – Michael wytłumaczył im, że zrobił to dla dobra całej rodziny. Aby ocalić ich przyszłość, przyszłość dzieci i honor Ariasów. Przypomniawszy im, że pełnymi garściami czerpią z majątku rodzinnego i korzystają z ich uprzywilejowanej pozycji społecznej, po czym uzmysłowił, ile stracą, gdy on pójdzie do więzienia.

– A co z Peterem? – spytał gorzko Jamie. – Na Boga! Przecież Michael zabił naszego ojca!

– Sądzę, że Peter musi myśleć o dzieciach – stwierdziła cicho Annie.

– A poza tym nie ma mocnego kręgosłupa – rzuciła Oliwia. – Nic dziwnego.

- Nie mogę się z tym pogodzić – rzekł Jamie. – To nie do zniesienia.
- Wiem – powiedziała Oliwia.

Oliwią i Jamie, zamknięci we dwoje w czterech ścianach, ze zdwojoną siłą czuli rosnące napięcie, związane zarówno z ostatnimi wydarzeniami, jak też z faktem wspólnego przebywania. Czuli, że wzajemne pożądanie, zepchnięte w najdalsze zakątki świadomości, ponownie budzi się do życia. Nie chodziło jedynie o przyjaźń – co do tego rodzaju uczucia, które ich łączyło, nie było żadnych wątpliwości. Oliwia, Jamie i Annie byli przyjaciółmi. Darzyli się miłością prostą i czystą. Ale wspomnienia tamtej wspólnie spędzonej nocy w Bostonie wracały, a piekło, przez które niedawno przeszli, wydawało się z powrotem podsycać tłumione płomienie gorącego uczucia.

Oliwia nadal nie czuła się najlepiej, jej ręka jeszcze się nie zrosła. Jamie ciągle nie przewyciężył wyczerpania i nadal był w szoku. A mimo to, po przeszło sześciu latach, kiedy to całkiem nieźle udawało im się ograniczyć wspólne kontakty do wzajemnej przyjaźni, nie byli w stanie przebywać razem w jednym pomieszczeniu dłużej niż przez kilka minut, po czym rosnące pożądanie stawało się nie do zniesienia.

W końcu, pewnego ranka przy śniadaniu, doszło do konfrontacji.

– Chyba wrócę do łóżka – oznajmiła Oliwia, patrząc, jak Jamie napełnia wodą czajnik elektryczny i włącza go.

– Dlaczego? – Jamie spojrzał na nią z niepokojem.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu mam na to ochotę.

– Czy boli cię ręka?

– Już prawie nie. – Uśmiechnęła się do niego. – Wszystko w porządku, Jamie. Po prostu.

Skinął głową z aprobatą.

– W porządku. Połóż się, a ja przyniosę ci śniadanie na tacy.

– Sama dam sobie radę. – Podeszła do szafki, w której trzymała dwie duże sosnowe tace.

– Nie sędzę – zaprotestował Jamie.

– Ależ oczywiście, że tak.

– A jak zanieziesz tacę?

– Zobaczysz. – Wyjęła tacę i położyła ją na stole. – Będę nosić po jednej rzeczy – najpierw tacę, potem kawę, a potem grzanekę.

– Zaniosę ci to. Wracaj do łóżka, Oliwio.

Spojrzała na niego. Miał na sobie szare szorty i koszulkę od Calvina Kleina. Twarz i ramiona pokrywała ciemna opalenizna. Stał boso ze zmierzwionymi włosami – miał takie piękne, silne nogi. Oliwia poczuła, jak ponownie ogarnia ją gwałtowna fala pożądania, silniejsza niż wczoraj rano, w południe i wieczorem. Nigdy nie pragnęła nikogo tak bardzo, jak teraz Jamiego. Nawet ta niezwykła żądza sprzed wielu lat, którą pamiętała do dziś, była niczym w porównaniu z pragnieniem, które opanowało ją teraz.

– Na Boga! – odezwała się nagle dziwnym głosem.

– Co? – Jamie spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Co się z nami dzieje?

Jamie przyjrzał jej się ponownie. Oliwia była ubrana w za dużą męską koszulę, której jeden rękaw zwisał luźno. Niedawno wyszła spod prysznic i jej włosy nadal były wilgotne. Wysoko zarysowane kości policzkowe i smukła szyja wyglądały jeszcze piękniej, od kiedy, po wypadku, straciła parę kilogramów. Tuż nad kołnierzykiem, po lewej stronie szyi, widać było miejsce wprost przeznaczone do całowania.

– Co nas jeszcze powstrzymuje, Jamie? – spytała ochryple. – Carrie należy już do przeszłości, wszystko, co nas powstrzymywało, należy do przeszłości...

– Wiem.

Podeszła do niego. Bez najmniejszego wahania, patrząc mu prosto w oczy, położyła dłoń na wybrzuszeniu na jego spodenkach. Myślał, że eksploduje, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Cofnęła rękę.

– Dlaczego ciągle z tym walczymy, Jamie? – Zmrużyła lekko skośne, zielone oczy. – Pragnę cię bardziej niż mogę to wyrazić, a ty mógłbyś teraz zaspokoić nawet Sharon Stone, a mimo to po prostu stoisz i patrzysz na mnie.

– Nie chcę Sharon Stone – rzekł Jamie.

– Ale chcesz mnie.

– Zawsze cię pragnąłem.

Jej oczy złagodniały, zaszły dziwną mgiełką.

– Więc dlaczego, na miłość boską, mnie nie pocałujesz?!

Woda zagotowała się, a czajnik automatycznie wyłączył.

– Nie – powiedział Jamie cicho.

– Dlaczego? – Oliwia patrzyła na niego ze zdumieniem. – Dlaczego nie?

Jamie przymknął oczy i stał tak przez dłuższą chwilę. Po chwili obrócił się i włączył ponownie czajnik.

– Wracaj do łóżka, Oliwio.

– Nie. Nie chcę. – Jej policzki zaróżowiły się, jakby miała gorączkę. – Nie, dopóki nie dowiem się, o co tu chodzi. – W jej głosie wyczuwało się napięcie, słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Powiedziałeś, że zawsze mnie pragnąłeś i wiesz, że ja pragnę ciebie także. Oboje doskonale wiemy, że kochamy się tak mocno, jak tylko to jest możliwe.

– Jeśli nie chcesz pójść do łóżka – ciągnął Jamie cicho – to przynajmniej usiądź. Zaparzę kawę i wytłumaczę ci wszystko.

– W porządku – skinęła głową, z trudem powstrzymując łzy.

– Siadaj.

Oliwia poczuła, jak o jej nogi ociera się ciepłe, miękkie futerko. Głośno przełknęła ślinę.

– Cleo przyszła na śniadanie.

– Nakarmię ją.

Oliwia odsunęła krzesło i usiadła za stołem.

– Cholera, Jamie...

Jamie uśmiechnął się ponuro.

– Wiem.

– W takim razie nie rozumiem.

Napełnił jedzeniem stojącą w kącie miskę kota, do drugiej nalał świeżej wody, a potem wziął swój kubek z kawą i usiadł po drugiej stronie stołu.

– Nie pocałuję cię – zaczął – bo na tym by się nie skończyło, nie mógłbym się powstrzymać.

– Nie chciałabym, żebyś się powstrzymywał.

Jego ciemne oczy były przepełnione bólem.

– Oliwio, nie zniosę kolejnej jednorazowej przygody z tobą.

– A kto mówi o jednym razie?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

– Tak. Wiem – odparła bez uśmiechu. – Też bym tego nie zniosła. Myślę, że to by mnie zabiło. – Urwała. – Ale nie rozumiem, jak możesz w ogóle myśleć, że skończyłoby się na jednej nocy? Przecież kochamy się. Oboje to wiemy i akceptujemy.

– Niedokończone sprawy – wyjaśnił.

– Jakie? – spytała Oliwia, przelękając pierwszy łyk kawy.

– Wiesz jakie.

Odstawiła filiżankę.

– Więc pozwolisz, żeby Michael zniszczył i nas? – Ucisk, który uprzednio czuła w gardle, teraz poczuła w klatce piersiowej. – Czy nie skrzywdził nas już wystarczająco?

– Tu nie chodzi o Michaela – rzekł Jamie. – To ja. I ty też.

– Ja nie mam żadnych problemów.

– Jesteś w szoku.

– Nieprawda.

– Ależ tak.

– Nawet jeśli – stwierdziła Oliwia – to i tak wiem, co do ciebie czuję. Jestem tego pewna.

– Może tak, a może nie – rzucił Jamie. – Tak czy inaczej, nic się przecież nie stanie, jeśli jeszcze trochę poczekamy.

Zanurzyła usta w filiżance kawy, po czym powiedziała:

– Zatem sugerujesz, żebyśmy poczekali?

– Tak.

– Jak długo?

– Nie wiem.

Cleo wskoczyła Oliwii na kolana i zaczęła ostrzyć pazury o jej gołe uda.

– Czy to cię nie boli? – spytał Jamie.

– Boli.

– Mam ją zabrać?

– Nie, dziękuję. Przynajmniej nie myślę o tobie.

Jamie pochylił się nad stołem i zabrał Cleo na swoje kolana. Kotka bez zmrużenia oka powróciła do przerwanej czynności, tym razem pastwiąc się nad szarymi szortami.

– Myślę, że też w pewien sposób jestem jeszcze w szoku – powiedział.

– Nadal czujesz się winny, ponieważ jesteś Ariasem – stwierdziła sucho Oliwia.

W ostatnich dniach kilkakrotnie rozmawiali na ten temat. Ciągłe powtarzała mu, że nie powinien czuć się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło, ale wiedziała, że jej argumenty w ogóle do niego nie dotarły.

– Tak wiele trzeba jeszcze wyjaśnić – powiedział Jamie. – Wiem, że też tak uważasz.

– Oczywiście, że tak. – Wolno potrząsnęła głową. – Po prostu nie widzę żadnego związku między tą sprawą a uczuciami, które nas łączą.

– Nie zaprzeczam, że coś nas łączy – odparł Jamie. – Wiem o tym... chyba zawsze gdzieś tam w głębi duszy to wiedziałem...

– Najwyraźniej nie aż tak głęboko – stwierdziła Oliwia.

– No tak – przytaknął.

– Tak czy inaczej, teraz te uczucia ujrzały światło dzienne, przynajmniej jeśli chodzi o nas dwoje...

Jamie położył prawą dłoń na stole. Najwyraźniej chciał wziąć ją za rękę, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i cofnął dłoń.

– Chcę, żeby nasz związek był idealny, Oliwio.

– Będzie.

Potrząsnął głową.

– Ale jeszcze nie teraz. – Skrzywił się, gdy Cleo zatopiła pazurki w jego nodze. – Chcę przyjść do ciebie wtedy, gdy będę mógł spokojnie spojrzeć w lustro i nie pamiętać o tym, co zrobiła moja rodzina.

– Michael jest twoim kuzynem, nie bratem. Prawie nie pamiętasz Juana Luisa, a twój ojciec nie zrobił nic złego. Przeciwnie – próbował pomóc.

– To niczego nie zmienia – stwierdził Jamie.

Spojrzała na niego oskarżająco.

– To bzdura, Jamie.

– Być może.

Łzy powróciły – piekące, gorące gromadziły się w kącikach oczu. Ale sama myśl o tym, że mogłaby rozplakać się na jego oczach, sprawiła, że poczuła złość.

– Naprawdę, to idiotyzm. Teraz powinniśmy wspierać się wzajemnie, a nie odwracać do siebie plecami.

- Przecież wspieramy się – zauważył Jamie.
- Łatwiej byłoby mi przejść przez to w twoich ramionach.
- Ale mnie nie.
- W takim razie lepiej wracaj do domu – rzuciła ostro Oliwia.

Jamie zawahał się:

- Nie chcę zostawiać cię samej.
- Zmienisz swoją decyzję?
- Nie. Nie mogę.

– To wynoś się! – Oliwia wstała, a zaniepokojona Cleo zeskokczyła z kolan Jamiego. – Wracaj do Bostonu, nie wytrzymam tu z tobą ani chwili dłużej.

- Wiesz, że tego nie chcę – zaczął Jamie łagodnie.
- W tej chwili – odparła Oliwia – niewiele obchodzą mnie twoje potrzeby.

Następnego dnia, czternastego sierpnia, była w nieco lepszym nastroju. Choć Jamie do ostatniej chwili przed odlotem nalegał na to, aby zostać i zająć się nią, Oliwia pozostała nieugięta. Zdecydowanie stwierdziła, że nie zostanie z nim sam na sam, dopóki Jamie nie będzie gotów do odwzajemnienia jej uczuć.

– Kocham cię – powiedział, przechodząc przez kontrolę paszportową. Powtarzał to już wielokrotnie tego poranka.

- Wiem – odparła Oliwia. – Nie podważam twoich uczuć.
- Może po powrocie do domu dostanę Michaela lub kogoś z rodziny w swoje ręce.
- Wątpię, czy ci się to uda.
- Prędzej czy później muszą ze mną porozmawiać – stwierdził Jamie.
- Być może.

Oliwia w żadnym wypadku nie zamierzała pogodzić się z nową sytuacją, w jakiej znalazła się rodzina Ariasów. Jednak kiedy Jamie, który nadal gorąco wierzył, że ostatecznie zwycięży ludzka przyzwoitość, zadzwonił z Bostonu, aby powiedzieć, że potrzebuje jeszcze trochę czasu, Oliwia nie widziała powodów, żeby protestować.

– W końcu – stwierdziła, dzwoniąc później do Annie – cóż znaczy zwłoka kilku tygodni wobec dziewiętnastu lat?

- Czy Jamie ciągle wierzy, że Michaela ruszy sumienie? – zapytała Annie.

- Nie, chyba już nie. Myślę, że swoje nadzieje wiąże raczej z Peterem, a może Louise.
- A co ty o tym myślisz, Liwi?
- Myślę, że nie ma na to najmniejszych szans. Oni nie poddadzą się dobrowolnie.
- Chyba masz rację – przyznała Annie. – I mimo to chcesz dalej czekać?
- A widzisz inne wyjście? – spytała Oliwia. – Niech pomyślą, że daliśmy sobie spokój.
- Chcesz, żeby ogarnęło ich fałszywe poczucie bezpieczeństwa, tak? – stwierdziła Annie.
- To na pewno nie zaszkodzi – rzekła Oliwia.

Intuicja kazała Annie poruszyć jeszcze jeden temat.

– Cokolwiek zdecydujemy – zaczęła poważnym tonem – przyrzeknij mi, że będziemy działać razem.

- Oczywiście – zgodziła się Oliwia.
- Przyrzeknij mi, Liwi – naciskała Annie. – Żadnych działań na własną rękę.
- Naturalnie.
- Obiecuj.

Oliwia uśmiechnęła się do słuchawki.

– Obiecuję – powiedziała.

Minał kolejny miesiąc. Oliwia w końcu pozbyła się gipsu, ale poza tym nic się nie zmieniło.

- Nie możemy dłużej czekać – oznajmiła Jamiemu przez telefon.
- Wiem – zgodził się.
- Annie chce, żebyśmy przyjechali do niej i omówili nasze plany.
- A mamy jakieś plany? – zdziwił się Jamie.
- Ja mam pewną propozycję.
- Tak też myślałem – stwierdził Jamie.
- Czy zgadzasz się na to? – spytała Oliwia.
- Na co?
- Na to, żeby znowu rzucić wszystko i zaangażować się w nasz plan.
- Ty przecież tak postąpisz.

– To co innego – oświadczyła Oliwia. – Ty masz JAA, a ja muszę jedynie znaleźć sobie zastępstwo, co w Brukseli nie jest trudne. Bernard zgodził się już zaopiekować Cleo tak długo, jak będzie trzeba.

– To są sprawy zawodowe, a nie życie – stwierdził Jamie. – My – ty, ja i Annie – już rzuciliśmy nasze życia na jedną szalę i tak będzie, dopóki nie załatwimy tej sprawy do końca.

– W takim razie, do zobaczenia w Stone Bridge – rzekła Oliwia.

– Kiedy?

– Mogę wyjechać już jutro.

– Ja potrzebuję dwóch dni – stwierdził Jamie.

Rozmawiali bardzo uprzejmie, starannie unikając tematu, który cisnął im się na usta.

Weekend spędzili wraz z Edwardem i dziećmi – typowe leniwe dni na angielskiej wsi. Była pełnia lata, toteż większość dnia spędzali na wolnym powietrzu, do domu wstępując tylko po to, żeby się ochłodzić. Urządzali pikniki i spotkania przy grillu, pływali, jeździli na rowerze i konno. Annie zafundowała nawet obojgu przyjaciółom sesję masażu relaksacyjnego. Jeśli chodzi o Oliwię, to nie odniósł on najmniejszego skutku, ponieważ ta skręcała się ze śmiechu za każdym razem, gdy Annie próbowała dotknąć jej stóp. W tych dniach okrutny los Rothenburgów, zamordowanie ich rodziców i zamachy na życie Oliwii wydawały się być odległe o miliony lat.

Siedemnastego września, w niedzielny wieczór, Edward wyjechał do Londynu i przyszedł czas na poważną rozmowę.

– Mam pewien plan – zaczęła Oliwia. – Może nie jest nadzwyczajny, ale na pewno lepszy niż próba – która prawdopodobnie nie powiodłaby się – wznowienia śledztwa w sprawie katastrofy helikoptera...

– A poza tym – wtrąciła Annie – nawet gdyby udało się nam zmusić władze do ponownego rozpatrzenia tej sprawy, to będzie to trwało wieki.

– Więc co to za plan? – zagadnął Jamie.

Siedzieli we trójkę przy stole w kuchni. Przypomniało to Oliwii i Annie inny dzień, zimą dziewięćdziesiątego roku, kiedy to siedziały w tym samym miejscu, ale bez Jamiego, planując zemstę na Carrie. Oliwia wróciła pamięcią do tamtych dni; wtedy koty grzały się przy kuchni, a

Bella drzemała pod stołem. Dzisiaj, wrześniowego popołudnia, jedynie w kuchni panował chłód, pozwalający znieść upalną pogodę późnego lata.

– Po pierwsze – zaczęła Oliwia – musimy być pewni, że nasze oczekiwania są zbieżne, że wszyscy troje chcemy tego samego.

– To znaczy? – spytał Jamie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę, żeby Michael zapłacił za to, co zrobił. Nieważne jak; nie żądam krwi, a myśl o procesie przyprawia mnie o mdłości...

– Mnie też – wtrąciła cicho Annie.

– Ale nie zniosę myśli, że ujdzie mu to płazem – ciągnęła Oliwia. – To prawda, przez dziewiętnaście lat nie poniósł żadnych konsekwencji za swoje czyny, ale, na litość boską, wtedy nie znaleźliśmy prawdy! – Urwała. – A teraz ją znamy.

Wszyscy słuchali w milczeniu.

– Dobrze. – Oliwia uśmiechnęła się nieznacznie. – Oto mój plan. Oceńcie sami, czy jest coś wart. – Zamilkła. – Chcę, żebyśmy zaczęli ich prześladować własną obecnością – wszystkich, z wyjątkiem Michaela. Będziemy za nimi chodzić wszędzie. Polecimy do Bostonu i wynajmiemy detektywów, którzy będą ich śledzić, my zaś będziemy się pojawiać we właściwych momentach. Chcę, żeby widzieli nas, gdziekolwiek się znajdą. Chcę ich śledzić, zmęczyć naszą obecnością, zmusić do działania. Doprowadzimy ich do szaleństwa. – Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Muszą wiedzieć, że się nie poddaliśmy, że nigdy się nie poddamy. Niech uświadomią sobie, że nie mogą tak po prostu zignorować tego, co usłyszeli na urodzinach Michaela, i udawać, że to spotkanie w ogóle nie miało miejsca.

– A co z Michałem? – spytał Jamie. – Powiedziałaś wszyscy, z wyjątkiem Michaela.

– Śledzenie Michaela byłoby niepotrzebną stratą czasu i nerwów – odrzekła Oliwia. – Michael nie ma sumienia; może posunąć się nawet do tego, że naśle na nas prawników lub policję. Ale Louise, Peter i Daisy są inni, przecież sami mówiliście, że tego wieczora w bibliotece byli naprawdę wstrząśnięci.

– Jednak najwyraźniej szybko o tym zapomnieli – zauważył Jamie z goryczą w głosie.

– Nie zapomnieli – zaproponowała Annie. – Po prostu są słabi, nie mają żadnych zasad i boją się...

– No i są chciwi – dodał Jamie.

– A najpewniej zdezorientowani – rzekła Oliwia zdumiewająco łagodnym tonem. – Dużo o nich myślałam, próbowałam zrozumieć ich punkt widzenia i sądzę, że ze wszystkich sił pragnę wymazać z pamięci tę sprawę.

– Ja nie potrafię tego zrozumieć – stwierdził Jamie.

– Nie powiedziałałam, że zgadzam się z ich postawą. Ty oczywiście nie możesz tego zrozumieć – odparła Oliwia. – Jesteś zupełnie inny niż oni. Ty i Peter – podobnie jak Carlos i Juan Luis – jesteście krańcowo różni. Peter nie ma żadnych zasad i jest sukinsynem, ale uważam, że w większym stopniu jest zwykłym głupcem niż wyrachowanym łajdakiem. Dlatego pokładam w nim pewne nadzieje.

Annie powoli przekonywała się do planu.

– Kiedy zastanawiam się nad tamtym wieczorem i reakcją Louise na moją opowieść, stwierdzam, że bez wielkiego trudu zdołamy ją przeciągnąć na naszą stronę.

– Ją albo Daisy – dodał Jamie. – Daisy jest z natury dobra i przyzwoita.

– Jeśli wystarczająco ich sprowokujemy i sprawimy, że poczują się niepewnie i wpadną w panikę – podsumowała Oliwia – to kto wie, może odwrócą się od Michaela.

Niecałe sześć dni później, w sobotę dwudziestego trzeciego września, gdy Peter po nocy spędzonej z Angie Rogos wychodził z jej apartamentu przy Park Avenue, na chodniku przed domem natknął się na Oliwię, która stała tam bez ruchu, patrząc mu prosto w oczy. Dwie i pół godziny później Daisy Arias wychodząca wesołym krokiem z gabinetu manikiuru B. Loren wpadła na Newbury Street na Annie. A gdy mniej więcej godzinę później Louise wracała z hotelu Ritz-Carlton, z lunchu wyprawianego przez jedno z towarzystw na rzecz bezdomnych, zobaczyła Jamiego, który stał niedbale oparty o latarnię, dokładnie naprzeciw miejsca, w którym stał jej szary bentley z oczekującym w środku szoferem.

Każde z nich było wyraźnie zaniepokojone.

– W poniedziałek wypadają urodziny Petera – oznajmił Jamie Oliwii pod koniec dnia. – Carrie twierdzi, że wszyscy przyjadą do Nowego Jorku i zjedzą wspólnie kolację w Le Bernardin.

– Powiedziałaś Carrie o naszym planie? – spytała Oliwia ze zdziwieniem.

– Dzwoniła do mnie w sprawach związanych z Beaumont-Arias – wyjaśnił Jamie. – Podjąłem błyskawiczną decyzję. Oliwio, w tej sprawie ona jest po naszej stronie, sądzę, że

udowodniła to już w Newport. No więc ona uważa, że doprowadzimy ich do białej gorączki, zamawiając stolik tuż obok nich.

– I ma rację – przyznała Oliwia.

– Ale czy w Le Bernardin nie trzeba zamawiać stolików na kilka tygodni wcześniej? – zaniepokoiła się Annie.

– Załatwię nam stolik – stwierdziła Oliwia. – Nawet jeśli miałabym kupić całą restaurację.

Późnym wieczorem w poniedziałek, siedząc w apartamencie, który wynajęli wspólnie w hotelu Plaža, doszli do zgodnego wniosku, że z pewnością widok Ariasów na serio zaniepokojonych wart był wszelkich poświęceń. Zresztą nic dziwnego, że tak się zdenerwowali, biorąc pod uwagę inne wydarzenia, które przytrafiły im się tego samego dnia, na wiele godzin przed tym, jak Annie, Oliwia i Jamie zasiedli przy sąsiednim stoliku w Le Bernardin. Louise była bardzo zaniepokojona i zdezorientowana, gdy ujrzała Oliwię wysiadającą na lotnisku La Guardia z tego samego samolotu, którym przyleciała z Bostonu. Peter doznał prawdziwego wstrząsu, zobaczywszy Annie kupującą „Timesa” w holu budynku Arias Shipping przy Trzeciej Alei. A Daisy czerwona z zażenowania i mocno skonsternowana płaciła za trzy staniki i parę majtek ściągających w dziale bieliznianym u Bloomingdale'a pod czujnym okiem Jamiego.

– To działa – stwierdziła Oliwia. – To naprawdę działa.

– Chyba najbardziej denerwuje ich to – dodał Jamie – że nie uczyniliśmy najmniejszego ruchu sugerującego, że chcemy z nimi porozmawiać.

– Widzieliście wyraz twarzy Michaela, gdy zobaczył, że siadamy przy sąsiednim stoliku? – rzuciła Annie z satysfakcją w głosie.

– Święte oburzenie – rzekła Oliwia.

– Raczej zrobiło mu się lekko niedobrze – stwierdził Jamie.

– Miałam na myśli Louise – rzekła Oliwia z zadowoleniem. – Daisy była mocno zażenowana całą sytuacją, a Peter najwyraźniej czuł się piekielnie nieswojo. Ale nadal uważam, że jeśli chodzi o Michaela, to tutaj decyduje Louise, a ona jest najwyraźniej wściekła.

– Na nas, czy na Michaela? – spytała Annie.

– Naturalnie na nas, ale wkrótce zacznie się zastanawiać, czy czasem nie popełniła błędu, zostając z Michaelem.

– A co sądzisz o reakcji Michaela? – Jamie zwrócił się do Oliwii.

– Nie wiem – odparła poważnie. – Jeśli chodzi o niego, naprawdę trudno jest coś powiedzieć. On jest zbyt sprytny i ma zbyt wiele masek.

Cała trójka bez końca krążyła pomiędzy Bostonem, Newport i Manhattanem, przywoływana za pomocą pagerów, otrzymywanych od agencji detektywistycznej, kierującej ich w miejsca, gdzie pojawiali się członkowie klanu Ariasów.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – spytała niepewnym głosem Annie. Był piątkowy poranek i razem z Oliwią siedziały przy śniadaniu na tarasie restauracji Stanhope. – Kiedy damy sobie spokój z tymi podchodami i przejdziemy do działania?

– Już niedługo – odparła Oliwia, nalewając kawę i zabierając się do jajecznicy.

– Nadal uważasz, że mamy szansę? – Jamie także powoli tracił nadzieję i ogarniał go coraz większy pesymizm. – Nic się nie dzieje.

– Tego nie wiemy – zaprotestowała Oliwia. – Może wszystko rozgrywa się za zamkniętymi drzwiami. – Spojrzała na przyjaciół. – Czy tylko ja tu jem śniadanie?

– Nie jestem głodna – stwierdziła Annie i odsunęła na bok swój talerz.

– Pewnie nieźle się kłóć – rzekł Jamie. – Louise i Peter muszą dawać Michaelowi niezły wycisk, a Daisy pewnie codziennie telefonuje, dopytując się, co zamierzają z tym zrobić. Ale założę się, że Michael tłumaczy im, że powinni to wytrzymać, a prędzej czy później damy im spokój.

– I tak będzie – stwierdziła Annie.

– Ja się nie poddam – powiedziała cicho Oliwia.

– W końcu będziesz musiała – perswadował Jamie.

– Nie – odparła Oliwia. – Nie wycofam się.

– Co masz na myśli? – spytała Annie.

– To, co powiedziałam – wyjaśniła Oliwia, odkrawając kawałek bagietki i smarując go topionym serem. – Annie, nie patrz tak na mnie, nie zrobię niczego szalonego. Nie kupię pistoletu ani nie wynajmę płatnego zabójcy, chociaż to kusząca propozycja...

– Nie tylko dla ciebie – wtrącił Jamie.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – obruszyła się Annie. – Chciałabym wiedzieć, co masz na myśli, twierdząc, że się nie poddasz i nie wycofasz.

– Nie wiem – odrzekła szczerze Oliwia.

– Nie masz więc kolejnego planu?

Oliwia uśmiechnęła się.

– Nie, Annie. Nie mam. Ten był ostatni.

– Ale czy nie powinniśmy szybko zmienić naszej taktyki? – indagował Jamie. – Skoro nie uzyskaliśmy w ten sposób... – Urwał. – To znaczy, chyba powinniśmy skończyć z zastraszaniem psychicznym na odległość. Może należałoby przejść do bezpośredniego ataku?

– Może – zgodziła się Oliwia. – Tyle że jeśli zaczniemy oficjalnie ich napastować, damy tym samym broń do ręki Michaelowi; będzie mógł podjąć przeciw nam oficjalne kroki.

Annie westchnęła głośno.

– Więc róbmy to, co do tej pory.

– Chyba tak – przytaknął Jamie. – Przynajmniej na razie.

– Wszyscy zgadzają się na to? – spytała Oliwia.

– Tak sądzę – rzucił Jamie.

Oliwia ponownie spojrzała na niego ukradkiem, nieśmiało:

– Czy wszystko w porządku? – spytała go łagodnie.

– Mniej więcej. – Jamie spojrzał jej prosto w oczy, po czym szybko odwrócił wzrok. – A u ciebie?

– Trzymam się – odrzekła Oliwia.

Annie patrzyła to na Oliwię, to na Jamiego i poczuła nagle, że z chęcią potrząsnęłaby obojgiem z całych sił. Ale nie odezwała się ani słowem.

W sobotni wieczór Annie została w hotelu Plaża, aby śledzić Petera. Jamie okopał się we własnym mieszkaniu, skąd mógł nadal uprzykrzać życie Daisy, a Oliwia zdecydowała się spędzić noc w zajeździe Inn at Castle Hill w Newport. Zamierzała ostentacyjnie spędzić tam całą niedzielę, mając jednocześnie na oku Louise i Michaela i podążyć za nimi do Nowego Jorku, gdzie wracali każdego niedzielnego wieczoru. Jednakże głównym celem jej wyprawy, o którym nie powiedziała Jamiemu i Annie, była chęć uczestniczenia we mszy, w kościele katolickim St. Mary, którą odprawiano w każdą niedzielę o jedenastej rano. Pamiętała, jak przed laty, na krótko przed pamiętnym upadkiem z Cliff Walk, Daisy opowiadała jej, iż centralnym punktem weekendowych pobytów Louise i Michaela w Rhode Island było uczestnictwo w sumie, w starym kościele katolickim, gdzie niegdyś Jacqueline Bouvier poślubiła Johna F. Kennedy'ego.

Jeszcze przed wyjściem z zajazdu Oliwia czuła, że jeśli ten naprędce wymyślony, niedopracowany plan ma się powieść, to właśnie spotkanie w kościele będzie najważniejsze. Z tego, co słyszała od Jamiego, Louise Arias była jeszcze bardziej żarliwą katoliczką niż jej mąż i Oliwia nie czuła się specjalnie dobrze z powodu tego, że zamierzała wykorzystać uczucia religijne do własnych celów. Ale z drugiej strony, skoro miała do czynienia z człowiekiem, który najprawdopodobniej chodził do spowiedzi i dostawał rozgrzeszenie przez dziewiętnaście lat, które minęły od dnia, w którym zamordował Artura, Emily, Grace, Franklina, Carlosa i pilota helikoptera, to nie powinna mieć przesadnych skrupułów.

Obserwowała ich przyjazd. Patrzyła, jak szofer otwiera drzwi limuzyny, z której wysiada Louise, w czarnej sukience, wyprostowana, z jedną ręką obleczoną w rękawiczkę. Widziała Michaela, który z kurtuazją bierze żonę pod ramię. Zobaczyła, jak jednocześnie oni ją zauważyli. Z zadowoleniem patrzyła, jak na twarzy Louise pojawia się nie ukrywana desperacja, a Michael czerwienieje z gniewu.

Oliwia czekała; stała bez ruchu, wpatrując się chłodnym spojrzeniem przed siebie. Zrozumiała, że Ariasowie, którzy zdołali już dojść do siebie i teraz wolno i dostojnie wkraczali na schody kościoła, uznali, iż w środku będą bezpieczni.

O, nie, pomyślała. Nie wyłgacie się tak łatwo.

Odczekała jeszcze pięć minut i tuż przed rozpoczęciem mszy świętej wyjęła z torebki szal od Hermesa i założyła go, naśladując styl Jackie Kennedy, po czym weszła do kościoła St. Mary.

W środku było cicho i chłodno. Świątynia była wypełniona w trzech czwartych. Ludzie przed nią kolejno zanurzali palce w wodzie święconej, żegnali się, przyklękali i zajmowali miejsca. Oliwia poczuła się nieswojo, przez moment chciała się wycofać, ale opanowała się i zaczęła rozglądać w poszukiwaniu Michaela i Louise. Siedzieli tam, gdzie przypuszczała, prawie na samym przodzie, w drugiej ławce po prawej stronie ołtarza. Zachowywali się dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała: klęczeli pod wysokim oknem, ozdobionym witrażem z wizerunkiem Piety.

Oliwia poszukała wzrokiem wolnego miejsca. Znalazła je w idealnym miejscu, w trzeciej ławce, tuż za plecami Michaela. Powoli i cicho przeszła przez centralną nawę i wśliznęła się na wolne miejsce dokładnie w chwili, gdy Ariasowie podnosili się z kolan.

– Dzień dobry – powiedziała.

Odwrócili się. Twarz Louise była kredowobiała, usta mocno zaciśnięte. Michael zachował kamienne oblicze; tylko w ciemnych, niemalże czarnych oczach widać było błysk nienawiści.

Życzę ci śmierci, zdawały się mówić.

Oliwia uśmiechnęła się.

– Kiedy będzie spowiedź? – spytała.

Louise wyglądała, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Zaczęła się msza.

Po zakończeniu nabożeństwa Oliwia wyszła pierwsza. Miała ściśnięty żołądek, ale w zasadzie była zupełnie spokojna. Czekala na Memoriał Boulevard, niedaleko, ale w stosownej odległości od limuzyny Ariasów, zaparkowanej w pobliżu kościoła. Patrzyła, jak wychodzą, wymieniają ze znajomymi wystudiowane uśmiechy i uprzejmości. Widziała, że powoli zacierają w jej kierunku; Michael trzymający Louise pod rękę, nie tyle z uprzejmości, ile żeby nie omdlała.

– Nie masz żadnego wstydu? – odezwał się Michael cicho groźnym tonem.

– Cześć, Michael – powiedziała Oliwia. – Cześć, Louise. Nie zdążyliście pójść do spowiedzi? – Prawie namacalnie czuła, jak kobieta drży ze strachu, ale nie miała dla niej litości. – Może przyjdziecie później? A zresztą, nie wiem, czy tak można.

– Zdziwiasz mnie – rzucił Michael. – Myślałem, że dostałaś już wystarczającą nauczkę.

– Co masz na myśli? – spytała, patrząc na Louise. – Jak sądzisz Louise, czy on mówi o złamanej ręce, czy może o zamknięciu w sejfie i pozostawieniu mnie na pewną śmierć?

– Michael, chodźmy już – rzekła Louise, nadal kurczowo trzymając się jego ramienia.

– A co by było, gdyby były z nami dzieci Petera? – zapytał Michael Oliwię.

– Michael... – Twarz Louise była bielsza od śniegu.

– Co z dziećmi, Louise? – Oliwia ponownie zignorowała pytanie Michaela. – Co sobie pomyślą, gdy Michael zostanie oskarżony o morderstwo, gdy cała prawda wyjdzie na jaw?

– Proszę – powiedziała Louise. – Proszę...

– O co prosisz, Louise? – spytała łagodnie Oliwia. – Chcesz, żebym zostawiła cię w spokoju i pozwoliła chronić męża mordercę? – Rozejrzała się. Dookoła zbierało się coraz więcej ludzi. Ranek był słoneczny i ciepły, więc nikomu nie spieszyło się do domu. – Czy mam powtórzyć głośniej?

– Zrób to – wtrącił gwałtownie Michael – a pożałujesz.

– Czyżby? Nie sędzę.

– Wsiadaj do samochodu, Louise – zażądał Michael, wycofując rękę spod ramienia żony. Louise powoli ruszyła w kierunku samochodu, ale Oliwia podążyła za nią.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, Louise – ciągnęła – że to tylko kwestia czasu i wszystkie brudy wypłyną na powierzchnię...

Louise zaczęła płakać, a Michael pchnął Oliwię z całej siły...

– No dalej, Michaelu! – Prawie upadła, ale zdołała odzyskać równowagę i ruszyła za Louise. – No, spróbuj jeszcze raz! A ty, Louise, dla własnego dobra zrób szybko coś z tym człowiekiem, zanim nie będzie za późno...

– Michael! – Louise próbowała uczepić się jego rękawa. – Zrób coś!!

– Zostaw moją żonę! – warknął Michael.

– Rzuć go, Louise. – Oliwia czuła, że zaczyna brakować jej tchu, ale jeszcze nie skończyła. Wiedziała, że jest już blisko sukcesu. To jej życiowa szansa, już prawie udało jej się przełamać ostatnie opory udręczonej kobiety. – Uciekaj, zanim on was wszystkich zniszczy. Zrób, co chcesz. Wszystko mi jedno, jak to zrobisz, ale przestań go ochraniać!

Byli już prawie przy limuzynie. Szofer wyszedł z samochodu i stał przy otwartych drzwiach, od strony krawężnika. Oliwia poznała po wyrazie jego twarzy, że słyszał każde jej słowo.

– Popatrz na niego, Louise, słyszał naszą rozmowę i pewnie zastanawia się, o co tu chodzi. I nie tylko on...

Louise niezdarnie wdrapała się do samochodu i ciężko opadła na siedzenie.

– Pomyśl o swojej reputacji, Louise. Nie pozwól, żeby pociągnął cię za sobą. Nie znałaś mojego ojca, prawda? Ale znałaś Carlosa, oczywiście, że tak. Był dobrym katolikiem, tak jak ty...

– Idź do diabła! – powiedział Michael.

Wsiadając do samochodu, odepchnął ją mocno. Oliwia poczuła ciężką dłoń na swoim ramieniu, znowu zachwiała się i o mały włos nie przewróciła. I raz jeszcze poczuła niemalże fizyczną siłę jego nienawiści, usłyszała życzenie śmierci, którego nie wypowiedział. Nachylając się, aby spojrzeć przez szybę odjeżdżającego samochodu, zobaczyła zza jego wścieklej, napiętej twarzy oczy Louise Arias – przerażone, zapłakane. Wtedy wszystkie inne uczucia zniknęły, a pozostał tylko tryumf.

Kiedy w poniedziałkowy wieczór siedzieli w mieszkaniu Jamiego, zadzwoniła Carrie z najnowszymi wiadomościami.

Louise i Michael zostali na noc w Newport. Następnego ranka Louise obudziła się później niż zwykle i widząc, że jej *mąż* nie wrócił jeszcze z porannej kąpieli w zatoce za domem, podniosła alarm.

Ciało Michaela znaleziono późnym popołudniem. Bez wątplenia utonął. Zgodnie z raportem policji w Newport, nie stwierdzono żadnych podejrzanych okoliczności śmierci. Gdy zapytano Louise o stan psychiczny męża w ostatnich dniach, ta odpowiedziała, że Michael po cudownym weekendzie był we wspaniałym nastroju, tak cudownym, że zdecydowali się spędzić jeszcze jedną noc w swojej rezydencji.

– To nasza wina – stwierdziła bezgłośnie Annie.

– Na to wygląda – zgodził się Jamie.

– Dobrze się czujesz? – spytała go Annie.

– Nie wiem – odrzekł.

Oboje spojrzeli na Oliwię. Stała na przeszklonej, przylegającej do salonu werandzie i wpatrywała się w bostońskie wybrzeże. Od telefonu Carrie prawie się nie odzywała.

– Liwi? – zagadnęła Annie. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała.

Jamie wstał, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– O czym myślisz?

Oliwia nie odwróciła się. Wolą teraz nie patrzeć na niego.

– O tym, że zabiłam człowieka – powiedziała.

– Nie. – Głos Jamiego brzmiał stanowczo i mocno. – Nie zabiłaś.

– W pewnym sensie tak.

Opowiedziała im o wyprawie do kościoła St. Mary, o tym, co zrobiła, i co wtedy powiedziała. Żadne z nich nie potępiło jej za to, że posunęła się tak daleko. Oboje dzielili z nią uczucie niesamowitej ulgi.

– Żadne z nas nie pomyślało, że Michael może popełnić samobójstwo – stwierdziła Annie ze swojego miejsca.

– Nie mogliśmy przewidzieć, co się wydarzy – dodał Jamie.

– Czyżby?

W końcu Oliwia odwróciła się od okna.

– Chyba żadne z was mnie nie rozumie. – Jej oczy gwałtownie pociemniały. – Nie chodzi o to, że zmusiłam Louise do podjęcia decyzji, do tego, aby nie pozostawiła Michaelowi żadnego wyboru. Ani nawet o to, że równie dobrze mogłam osobiście zaciągnąć go nad ocean i wepchnąć do wody...

– Liwi, proszę... – zaczęła Annie z rozpaczą w głosie.

– Najgorsze jest to – ciągnęła Oliwia – że nawet nie mogę udawać, że żałuję tego, co zrobiłam. Oczywiście, współczuję Louise i całej rodzinie, nietrudno o litość. Ale prawda – twarda, bezwzględna prawda – jest taka, że cieszę się, naprawdę się cieszę, że Michael Arias nie żyje.

– Sądysz, że ja nie? – spytał łagodnie Jamie.

– Oboje jesteśmy zadowoleni z takiego zakończenia – dodała Annie, podchodząc bliżej.

Oliwia potrząsnęła bezsilnie głową.

– To nie to samo.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się Annie.

– Bo wy tego nie zrobiliście – odparła Oliwia. – A ja tak.

Oficer śledczy stwierdził, że śmierć nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Jamie wrócił wraz z Annie i Oliwią do Anglii i był jedynym członkiem rodziny, który nie uczestniczył w pogrzebie Michaela w tydzień po zakończeniu dochodzenia. Jak stwierdziła z przekąsem Carrie, relacjonując im przebieg uroczystości, wszystkie mowy wygłoszone nad jego grobem były żarliwie panegiryczne i pochwalne.

Mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce nie odnaleziono nigdy.

Rozdział 27

Duklesfield Fell, 4 lipca 1996

– Jak myślicie – spytała Oliwia, gdy prawie dziesięć miesięcy później kolejny raz stanęli na znajomym, smaganym wiatrem pofałdowanym wzgórze. – Czy od tamtego dnia postępowaliśmy właściwie, podejmowaliśmy słuszne decyzje?

– A ty jak sądzisz? – zapytała Annie.

– Ja zapytałam o to pierwsza – zaprotestowała Oliwia.

Annie zawahała się, po czym odparła:

– Tak, zważywszy na okoliczności, myślę, że tak.

– Jamie?

– Znasz moją odpowiedź.

– Ale chcę ją jeszcze raz usłyszeć tu, w tym miejscu.

Jamie skinął głową.

– W takim razie nie. Nie uważam, że wszystko, co robiliśmy, było słuszne. Wiele było rzeczy niewłaściwych, nieodpowiednich. Nie zawsze postępowaliśmy sprawiedliwie. – Urwał. Chłodny letni wiatr rozwiewał mu włosy. – Ale uważam, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

– Liwi? – Annie spojrzała na nią. – A ty?

Oliwia spojrzała nieobecnym wzrokiem przed siebie. Zaciśnęła usta.

– Nie mogę tego znieść – odparła. – Nadal nie mogę pogodzić się z tym, że wspomnienie o wypadku rodziców ciągle tak bardzo mnie rani, boli fizycznie. Nie mogę także znieść myśli, że najpierw Juan Luis, a potem i Michael zdołali umknąć sprawiedliwości...

– Michaelowi nie do końca to się udało – zaprotestowała Annie.

– Przecież uniknął kary. Nie mogę się z tym pogodzić – ciągnęła Oliwia. – Ale najbardziej boli mnie to, że Jamie nadal czuje się odpowiedzialny za to, co zrobili ci dwaj mężczyźni z jego rodziny. Nie zaprzeczaj, Jamie, widzę to w twoich oczach. – Potrząsnęła głową. – Ale mimo to...

– Tak? – Jamie ostrożnie trącił ją łokciem.

– A mimo to wiem, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby odkryć prawdę. – Oliwia spuściła wzrok. Spojrzała na ziemię pod stopami, na miejsce, w którym zginęli jej rodzice. – I to musi nam wystarczyć.

Zrobili wszystko, co mogli. Dla dobra dzieci Petera zgodzili się ulec błaganiom Louise i zachować milczenie w całej sprawie. W zamian Louise wyraziła zgodę na sprzedaż części kolekcji Juana Luisa na aukcji, z której dochód miał zostać przeznaczony na cele charytatywne, wspierane przez rozliczne organizacje sponsorowane przez Fundację Artura Segala. Reszta obrazów została, w imieniu Emanuela Rothenburga, przekazana muzeom w Nowym Jorku, Berlinie, Paryżu, Tel Awiwie i Zurychu.

Zrobili wszystko, co było możliwe, lecz mimo to w nadchodzących miesiącach, kiedy to zrozumieli, choć nigdy się z tym do końca nie pogodzili, że jest już za późno na zadośćuczynienie, Jamie przeżywał znacznie gorszą tragedię niż Oliwia i Annie, gdyż musiał żyć ze świadomością zbrodni, których dopuściła się jego rodzina. Przyjaciółki zapewniały go stale o swojej miłości, powtarzały bez końca, że nie ma najmniejszych powodów, aby czuł się winny, ale mimo to nie pozbył się rozterek, które go dręczyły. Próbował wytłumaczyć im, że uważa, iż powinien pozbyć się wszystkiego, co posiada, pozbyć fortuny zbroczonej krwią, która uczyniła go tym, kim jest teraz.

– Na litość boską! – wykrzyknęła Oliwia z rozpaczą, rozmawiając z nim przez telefon w przeddzień Święta Dziękczynienia. – Nie jesteś jakimś cholernym mnichem, przestań się umartwiać i zacznij żyć!

– W zeszłym tygodniu Carrie powiedziała mi mniej więcej to samo – stwierdził Jamie.

– Ostatnio często się widujecie – zauważyła Oliwia. Zawsze była o niego trochę zazdrosna. Nawet teraz nie zdołała przezwyciężyć uczucia zazdrości o Carrie, która trochę się zrehabilitowała, spiesząc im z pomocą.

– Od czasu do czasu – wyjaśnił Jamie – jemy razem lunch. Teraz, kiedy w końcu rozwiodła się z Peterem, jest łatwiej.

– Tak czy inaczej – rzuciła oschle Oliwia – Carrie ma rację. Powinieneś posłuchać jej i w końcu dać sobie spokój.

– Być może – zgodził się Jamie, ale oboje wiedzieli, że wcale nie jest o tym przekonany.

– Czy nie uważasz – powiedziała Annie, dzwoniąc do Oliwii kilka dni później – że powinnaś go wyrwać z tego błędnego koła?

– W jaki sposób? Przecież obie próbowałyśmy i nic z tego nie wyszło.

– Wiesz, w jaki sposób.

– O czym ty mówisz?

– Bądź z nim szczerą – rzekła Annie. – Powiedz mu o swoich uczuciach. – Urwała. – Czy nie sądzisz, że najwyższy czas, abyście oboje pogodzili się z tym, że się kochacie?

Oliwia była zdumiona.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie wygłupiaj się, Liwi – odparła Annie. – Wiedziałam o tym od dawna.

Oliwia zastanowiła się przez chwilę.

– To nie poskutkuje, Annie. Jeśli nawet Jamie nadal czuje to samo co ja, to uważa, że nie zasługuje na szczęście.

– Znajdziesz jakiś sposób, aby go przekonać, że się myli – stwierdziła Annie z przekonaniem.

I rzeczywiście znalazła, a pomógł jej w tym Paul Osterman. Od kilku miesięcy próbowała odnaleźć jego rodzinę w Filadelfii, aż w końcu na początku grudnia udało jej się ustalić, że żona Ostermana zmarła kilka lat temu, ale jego syn żyje i wraz z rodziną mieszka na Florydzie. Pod koniec miesiąca napisała do Simona Ostermana i wkrótce otrzymała odpowiedź utrzymaną w bardzo ciepłym tonie. Był to list, w którym zapraszał ją wraz z Jamiem i Annie do odwiedzenia w Fort Lauderdale.

Pojechali tam w marcu. Annie zabrała ze sobą Edwarda i dzieci, ale na pierwsze spotkanie z Ostermanem wybrali się tylko we troje. Długo rozmawiali o ciężarze, który jego ojciec dźwigał na swoich barkach aż do śmierci, a także o winie, karze i przebaczeniu. Simon Osterman był zdania, że Jamie powinien być dumny z dobrych czynów swego ojca, a zapomnieć o podłości innych swoich krewnych. Wiedział, że Jamie nie ma nic wspólnego z ciemnymi sprawkami klanu Ariasów. W miarę rozmowy Jamie czuł, jak ciężki kamień powoli spada mu z serca. Zaczął bardziej optymistycznie spoglądać w przyszłość.

– A wy dwoje? – spytała Jamiego i Oliwię ostatniego wieczoru pobytu, gdy przechadzali się po ogrodzie, żona Ostermana, ciepła i prostoduszna kobieta. – Macie zamiar się pobrać?

– Teraz nie – odparła Oliwia.

Jamie spojrział na nią ze zdziwieniem, lekko skonsternowany. Jednakże w jego oczach ujrzała również miłość, tak głęboką i czystą, że z trudem powstrzymała się, aby nie krzyknąć ze szczęścia.

Jamie wziął ją za rękę i dodał:

– Ale wkrótce tak.

Tej nocy w pokoju Jamiego kochali się po raz pierwszy od pamiętnej nocy w Bostonie. Tym razem było jednak inaczej, nawet nie tak, jak to sobie wyobrażali podczas trudnych dni i nocy w Brukseli, kiedy próbowali uciec od własnej miłości. Połączyła ich namiętność, pożądanie, a przede wszystkim zaspokojenie pragnień, które tak długo czekały na spełnienie. Lecz teraz w akcie tym nie było niecierpliwości i szaleństwa. Zastąpiła je łagodność, czułość i pewność, która była zaczątkiem tego, czego mogli oczekiwać w nadchodzących latach.

Pobrali się dwa miesiące później, w maju. Oliwia opuściła mieszkanie w Brukseli i wraz z Cleo wprowadziły się do apartamentu Jamiego w Bostonie. W najbliższym czasie zamierzali przenieść się wraz z agencją JAA do Nowego Jorku, gdzie Oliwia miała nadzieję znaleźć wielu nowych klientów dla swojej agencji tłumaczeń.

A czwartego lipca, tak jak dziesięć i dwadzieścia lat temu, ponownie weszli we trójkę na Dukesfield Fell – wzgórze, na którym rozbił się helikopter i gdzie ich rodzice wydali ostatnie tchnienie. Stali, obejmując się i snując wspomnienia, a letni, nasycony zapachem trawy wiatr chłodził ich twarze.

– Czasami żałuję – odezwała się Oliwia – że znalazłam ten list Carlosa i otworzyłam pudełko mojego ojca.

– Ale gdybyś tego nie zrobiła – stwierdziła Annie – nigdy nie poznalibyśmy prawdy.

– Nie wiem, czy było warto – rzekła Oliwia. – A wy jak uważacie?

– Uważam, że warto było – powiedział Jamie. – I myślę, że Anton Rothenburg powiedziałby to samo.

– Chciałabym w to wierzyć – odrzekła Oliwia.